

STEPHENIE
MEYER

przed świtem



MEGABESTSELLER - ZAKOŃCZENIE CYKLU
zmierzch, księżyc w nowiu, zaćmienie

Wydawnictwo Dolnośląskie

Przed świtem

(Breaking Dawn)

Przełożyła Joanna Urban

*Dedykuję tę książkę mojej agentce ninja,
Jodi Reamer. Dziękuję Ci, że trzymałaś mnie
z dala od krawędzi przepaści.
Dziękuję także mojemu ulubionemu
zespółowi, o bardzo adekwatnej nazwie Muse,
za inspirację, której starczyło na całą sagę.*

KSIĘGA PIERWSZA

*** * ***

BELLA

Okres dzieciństwa nie trwa od momentu narodzin do chwili osiągnięcia pewnego wieku. Nie jest tak, że dziecko dorasta i odkłada na bok swoje dziecięce sprawy. Dzieciństwo to królestwo, w którym nikt nie umiera.

Edna St. Vincent Millay
(1892 - 1950), poetka amerykańska

Prolog

Otarłam się już o śmierć tyle razy, że dawno już wyrobiłam normę przeciętnego śmiertelnika - do czegoś takiego jednak trudno się przyzwyczaić.

Nie mogłam przywyknąć do tego uczucia, ale z drugiej strony, być może zaczynałam oswajać się z myślą, że podobne sytuacje są w moim przypadku nieuniknione. Chyba rzeczywiście przyciągałam je jak magnes. Wymyślałam się śmierci, ale ta, uparcie, zawsze po mnie wracała.

I znowu wróciła. Tyle że, tym razem, wybrała sobie zaskakująco odmiennego wysłannika.

Do tej pory wszystko było proste. Bałam się, to próbowałam uciec. Nienawidziłam, to próbowałam walczyć. Moje reakcje nie były skomplikowane, bo i zabójcy, z którymi miałam do czynienia, podpadali tylko pod jedną kategorię

- wszyscy bez wyjątku byli potworami, wszyscy byli moimi wrogami.

A teraz... Prawda jest taka, że kiedy kocha się tego, kto chce cię zabić, brakuje wyboru. Co mogłam zrobić? Jak mogłam uciec, jak mogłam walczyć, skoro zadalabym wtedy ukochanej osobie ból? Skoro nie chciała ode mnie nic innego prócz mojego życia, jak mogłam jej go nie ofiarować?

Przecież tak bardzo kochałam...

Nikt się na ciebie nie gapi. Naprawdę. Nikt się na ciebie nie gapi. Nikt nie zwraca na ciebie najmniejszej uwagi.

Ech, byłam takbeznadziejna w kłamaniu, że nie umiałam przekonać samej siebie. Musiałam sprawdzić.

W miasteczku Forks w stanie Waszyngton były tylko trzy skrzyżowania ze światłami, ale stałam właśnie na jednym z nich. Najpierw zerknęłam w prawo, na minivana na sąsiednim pasie. Pani Weber wykręcała tułów do tego stopnia, że siedziała praktycznie przodem do mnie. Az drgnęłam, bo okazało się, że świdrowała mnie wzrokiem. Ku mojemu zdziwieniu, ani nie odwróciła głowy, ani nawet się nie zawstydzila. Hm... Gapienie się na kogoś było oznaką złych manier, prawda, czy coś mnie ominęło? A może stanowiąłam jakiś wyjątek?

A potem przypominałam sobie, że szyby mojego auta były tak mocno przyciemniane, że kobieta mogła nie wiedzieć, że to ja, a co dopiero, że ją przyłapałam. Usiłowalam pocieszyć się myślą, że to nie we mnie się tak wpatruje, tylko po prostu w mój samochód.

Mój nieszczęsny nowy samochód...

Zerknęłam w lewo i z moich ust wyrwał się jęk. Dwóch pieszych stało na skraj chodnika przy pasach, rezygnując z możliwości przejścia na drugą stronę. Za nimi, przez okno swojego sklepika z pamiątkami wyglądał pan Marshall. Cóż, przy najmniej nie miał nosa przyklejonego do szyby. Jeszcze nie.

Światło zmieniło się na zielone, więc chcąc im wszystkim jak najszybciej zejść z oczu, odruchowo (i bezmyślnie) wcisnęłam z całej siły pedał gazu, tak jak wcześniej robiłam z moją sędziwą furgonetką, która inaczej po prostu nie ruszyłaby z miejsca.

Silnik zawarczał jak polująca pantera. Auto wyskoczyło do przodu tak byś skawiczmie, że aż wcisnęło mnie w siedzenie z czarnej skóry, a zółdek przywarł mi na moment do kręgosłupa.

- Ach! - znowu mimowolnie jęknęłam. Wymacałam hamulec. Na szczęście, tym razem nie straciłam głowy i potrakowałam go jak najdelikatniej. Samochód i tak momentalnie stanął.

Nie odważyłam się rozzerzeć, żeby sprawdzić reakcje czwórki obserwatorów. Jeśli mieli wcześniej jakieś wątpliwości, kto siedział za kierownicą, właśnie się ich pozbył. Złubkiem buta popchnęłam gaz o pół milimetra i nareszcie opuściłam feralne skrzyżowanie.

Zmierzałam do pobliskiej stacji benzynowej. Gdyby nie to, że jeździłam już na oparach, nigdy nie pokazałabym się w centrum. Odmawiałam sobie ostatnio bardzo wielu rzeczy, żyjąc bez ulubionych słodyczy i nowej pary sznurowadeł - byle tylko unikać ludzi.

Spiesząc się szalenie, jakby m brała udział w jakimś wyścigu, w kilka sekund otworzyłam klapkę wlewu paliwa, odkręciłam korek, wsunęłam kartę do czytnika i wetknęłam dyszę w otwór. Tylko na tempo tankowania nie miałam wpływu. Cyferki na dystrybutorze zmieniały się tak powoli, jakby chciały mnie rozdrażnić.

Słońce zniknęło za chmurami - mżyło, jak zwykle - ale i tak miałam wrażenie, że spada na mnie snop światła, a owo światło skupia uwagę wszystkich wokół na pierścionku na mojej lewej dłoni. W takich chwilach, kiedy czułam na plecach zaciekawione spojrzenia, wydawało mi się, że mój pierścionek pulsuje niczym neon: „Hej, hej! Tu jestem! Popatrzcie na mnie!”

Wiedziałam, że to głupie tak się tym wszystkim przejmować. Czy naprawdę było to takie ważne, co kto myślał o moich zaręczynach? O moim nowym samochodzie? O lśniącej czarnej karcie kredytowej w tylnej kieszeni spodni, która paliła niczym rozgrzane do białości żelazo? Albo o tym, że w tajemniczy sposób dostałam się na jedną z najlepszych uczelni w kraju?

- Niech sobie myślą, co chcą - mruknęłam pod nosem.

- Przepraszam... - usłyszałam za sobą męski głos. Odwróciłam się i zaraz tego pożałowałam.

Przy zaparkowanej obok nowoczesnej terenówce z nowiutkimi i kajakami na dachu stało dwóch mężczyzn. Żaden z nich nie patrzył w moją stronę - obaj gapił się na mój wóz.

Osobiście zupełnie mnie nie ruszał, no ale ja byłam osobą dumną z tego, że rozpoznaję znakičky toyoty, forda i chevroleta. Moje auto, owszem, było czarne, lśniące i piękne, ale jak dla mnie, nadal pozostawało tylko autem.

- Przepraszamy, że zwracamy głowę, ale jak to model? - zapytał jeden z mężczyzn.

- No, mercedes, prawda?

- Tak, oczywiście - odparł grzecznie mój rozmówca, chociaż jego kolega wznosił oczy ku niebu. - Tyle to wiemy. Ale... to chyba mercedes guardian, prawda?

Wymówił te nazwę niemalże z czcią. Pomyślałam sobie, że pewnie łatwo znalazłby wspólny język z Edwardem (z moim narzeczonym Edwardem - nie było co się tego wypierać, nie na kilka dni przed ślubem).

- Ponoć nie są jeszcze dostępne w Europie (Edward - ciągnął mężczyzna - a co dopiero tutaj).

Powtórnie przejechał wzrokiem po karoserii. Jak dla mnie, auto nie różniło się zbyt od innych sedanów mercedesa, ale co ja tam wiedziałam. Zresztą, co innego chodziło mi właśnie po głowie - wspomniawszy Edwarda, znowu zaczęłam zastanawiać się nad tym, jaki jest właściwie mój stosunek do takich słów jak „narzeczony”, „ślub”, „mąż” i tym podobne.

Trudno mi było sobie to poukładać.

Wychowano mnie tak, że krzywiłam się na samą myśl o bukietach i białych sukniach z bufami, ale nie to było najgorsze. Dużo bardziej męczyłam się, próbując połączyć swoją koncepcję „męża” - osoby, w moim przekonaniu, statecznej, szanowanej i nudnej - ze swoją koncepcją „Edwarda”. Równie dobrze mogłabym usiłować wyobrazić sobie archaniola jako księgowego! Edward według mnie za nic nie pasował do tak przyziemnej roli.

Jak zwykle, gdy w grę wchodził mój ukochany, zapomniałam o bożym świecie. Niezajomy od terenówki musiał głośno odchrząknąć, żeby sprawdzić mnie z powrotem na ziemię - nadal oczekiwał ode mnie jakichś dodatkowych informacji na temat samochodu.

- Ja tam nic nie wiem - przyznałam szczerze.

- Mogę sobie zrobić z nim zdjęcie?

Potrzebowałam trochę czasu, żeby zrozumieć, o co mu chodzi.

- Chce pan sobie zrobić zdjęcie z moim autem? - powtórzyłam.

- Inaczej nikt mi nie uwierzy, że coś takiego widziałem. Muszę mieć jakiś dowód.

- Proszę bardzo. Nie ma sprawy.

Szybko odwieślam dyszę na miejsce i wsiałam do środka, żeby nie znaleźć się w kadrze, tymczasem miłośnik motoryzacji wy dobył z plecaka imponujący rozmiarami aparat jak dla zawodowcy, wręczył go koleźce i stanął przy masce. Po chwili zamienili się miejscami, a jeszcze później przemieśli się kawałek dalej, żeby zrobić kilka zdjęć od tyłu.

- Jak ja tęsknię za moją furgonetką - pożałowałam się sama sobie. Że też akurat musiała wyzionąć ducha zaledwie kilka tygodni po tym, jak zgodziliśmy się z Edwardem, że każde z nas pójdzie na jakiś kompromis, z czego ja będę musiała, między innymi, pozwolić kupić sobie nowy samochód, kiedy mój stary nie będzie się już nadawał do użytku. Czy to aby na pewno był zbieg okoliczności? Edward twierdził, że w awarii furgonetki nie było nic dziwnego - że był to „zgon z przyczyn naturalnych” - służyła w końcu ludziom kilkadziesiąt lat. Taka była jego wersja. A ja, niestety, nie miałam możliwości jej zweryfikować, bo mój ulubiony mechanik...

Nie, nie, tego tematu nie zamierzałam teraz rozrzucać. Zamiast tego wsłuchałam się w dochodzące z zewnątrz głosy obu mężczyzn.

- Widziałem w necie filmik na którym potrakowali go miotaczem ognia, i nawet lakiier mu się nie zaczął łuszczyć.

- Jasne, że nie. Po tym cudeńku to czolg można by przetoczyć i nic. Tutaj na takie modele nie ma wzięcia. To jest auto dla bliskowschodnich dyplomatów, handlarzy bronią i baronów narkotykowych. To dla nich projektuje się takie fortece.

- No to kim ona jest, jak sądzisz? - spytał ciszej ten, co przedtem wywrałał oczami.

Skuliłam się, czerwieniąc.

- Cii - nakazał mu mój niedawny rozmówca. - Cholera ją wie. Nie mam pojęcia, na co tu komu szyby odporne na pociski i dwie tony żelastwa na sam pancierz. Może wybiera się nim w jakieś bardziej niebezpieczne rejony świata? Pancierz? Świetnie. W dodatku dwutonowy. I te szyby! Odporne na co? Na pociski? To już „zwykle” kuloodporne nie wystarczą?

Cóż, wszystko to składało się w logiczną całość - dla kogoś obdarzonego, nazwijmy to, „specyficznym” poczuciem humoru.

Dobrze wiedziałam, że Edward niecznie wykorzysta naszą umowę i ufunduje mi coś tak bardzo ekstrawaganckiego, że nigdy niczym nie będę mu w stanie tego wynagrodzić. Coś, przez co będę czuła się zażenowana. Coś, przez co wszyscy będą się za mną oglądali. Jeśli się czegoś nie spodziewałam, to tylko tego, że przyjdzie mu zastąpić moją furgonetkę tak szybko. No i kiedy już zgodziłam się, że mój stary wóz nadaje się tylko do muzeum, nawet w najczarniejszych scenariuszach nie przewidywałam, że nowe samochody będą dwa.

Samochód „przedślubny” i samochód „poślubny” - tak mi to wyjaśnił, kiedy poirytowana zarzuciłam mu, że przesada.

Tak, mercedes był „tylko na razie” - ot, takie auto zastępcze. Edward powiedział, że go wypożyczyl i że zwróci zaraz po weselu. Nie mogłam zrozumieć, po co tak komplikował sobie życie. Uświadomili mi to dopiero dwaj niezajomy na stacji benzynowej.

Ha, ha. Czy li byłam aż tak wielkim pechowcem, że zdaniem Edwarda, potrzebowałam pancernego auta, żeby nie naruszyć swojej kruchej ludzkiej powłoki? Świetny dowcip. On i bracia musieli mieć ze mnie niezły ubaw. „A może... A może to jednak wcale nie żart, głupekasku?” podszepnęła mi głosik z głębi mojej głowy. „Może on naprawdę się o ciebie martwi? Nie pierwszy raz przesadałby, mając na względzie twoje bezpieczeństwo”.

Westchnęłam.

Samochodu „poślubnego” jeszcze nie widziałam. Stał w najdalszym kącie obszernego garażu Cullenów, przykryty plachtą materiału. Zdawałam sobie sprawę, że większość ludzi na moim miejscu dawno by już tam zająrzała, ale naprawdę nie chciałam wiedzieć, co mnie czeka.

Kolejne opancerzone auto raczej nie - bo po miesiącu miodowym miowam już nie potrzebować takiej ochrony. Miałam stać się niemalże niezniszczalna. Była to tylko jedna z rzeczy, których nie mogłam się doczekać. Ale nie zaliczały się do nich bynajmniej ani drogie samochody, ani ekskluzywne karty kredytowe!

- Hej! - zawołał ten, który mnie wcześniej zagadnął. Starając się coś zobaczyć przez przyciemnianą szybę, pomiędzy jej taflą a swoją twarzą zrobił ze swoich dłoni coś na kształt tunelu. - Już skończyliśmy! Dziękujemy!

- Nie ma za co! - odrzknęłam. Nieco spięta, zapuściłam silniki ostrożnie, powolutku, wcisnęłam pedał gazu.

Co kilka metrów na słupach telefonicznych i pod znakami drogowymi wisiały te okropne, pofalowane od wilgoci ogłoszenia. Odkąd się pojawiły, pokonałam drogę z centrum do domu wiele razy, ale wciąż nie udawało mi się ich ignorować. Kiedy mój wzrok padał na któreś z nich, za każdym razem czułam się tak, jakby m dostawała w twarz. I uważałam, że jak najbardziej na to zasługuję.

Chcąc nie chcąc, powróciłam do tematu, od którego parę minut wcześniej zdołałam się oderwać. Jadąc tą drogą, nie dawało się go już unikać. Zdjęcie mojego ulubionego mechanika widniało przecież na każdym z mijanych przeze mnie plakatów.

Zdjęcie mojego najlepszego przyjaciela. Mojego Jacoba.

Tych ogłoszeń w stylu „kokołowiek widział” nie wymyślił wcale ojciec Jacoba. To mój ojciec, Charlie, wydrukował je i porozwieszał po całym miasteczku. Wisiały zresztą nie tylko w Forks - były i w Port Angeles, i w Sequim, i w Hoquiam, i w Aberdeen, i w każdej innej miejscowości w obrębie półwyspu Olympic. Charlie postarał się też o to, żeby jego plakat został wyeksponowany na każdym posterunku policji w stanie Waszyngton. Na jego własnym posterunku sprawie zaginięcia Jacoba poświęcono osobną tablicę korkową. Tyle że, co bardzo go frustrowało, przez większość czasu ziała ona pustkami.

Charliego nie frustrował nie tylko nikiy odzew, z jakim spotkała się jego akcja. Najbardziej zawiódł go Billy - jego najlepszy przyjaciel, ojciec Jacoba.

Billy właściwie wcale się nie zaangażował w poszukiwania swojego szesnastoletniego syna. Odmówił nawet rozwieszenia ogłoszeń w swoim rodzinnym La Push, rezerwacie indiańskim leżącym na wybrzeżu na północ od Forks. Zachowywał się tak, jakby pogodził się z losem. Oznajmił Charliemu, że Jacob jest już dorosły i jak będzie chciał, to sam wróci.

Charliego frustrowało coś jeszcze - to, że ja również byłam tego zdania.

Też niczego nie rozwieszałam. Powód był prosty - zarówno Billy, jak i ja, z grubsza wiedzieliśmy, co się z Jacobem dzieje, i mieliśmy stuprocentową pewność, że jeśli nawet kogośkolwiek go widział, to nie zobaczył chłopaka ze zdjęcia.

Na widok plakatów, jak zwykle, ścisnęło mnie w gardle, a do oczu napływały łzy. Dobrze, że Edward wybrał się akurat w tę sobotę na polowanie. Gdyby zobaczył, co się ze mną dzieje, sam też poczulby się okropnie.

Niestety, to, że była sobota, miało też wady. Kiedy skręcałam w swoją ulicę, ujrzałam radiowóz ojca stojący na naszym podjeździe. Charlie znowu zrezygnował z wyjazdu na ryby. Nadal się boczył, że już za kilka dni miał wydać jedyną córkę za mąż. A skoro był w domu, musiałam już teraz wykonać pewien telefon.

Bardzo mi zależało na tym, żeby zadzwonić w pewne miejsce, ale w obecności ojca było to niemożliwe. Zaparkowawszy koło swojej nieczytnej furgonetki, sięgnęłam do schowka po komórkę od Edwarda. Wybrałam numer i czekając, aż ktoś odbierze, przeniosłam palec nad przycisk, który m kończyło się rozmowę. Tak na wszelki wypadek.

- Halo? - usłyszałam głos Setha Clearwatera.

Odetchnęłam z ulgą. Byłam zbyt wielkim tchórzem, żeby rozmawiać z jego starszą siostrą Leą. Kiedy w grę wchodziła jej osoba, zwroty takie, jak „chyba by mnie zabiła”, przestawały być jedynie niewinnymi m metaforami.

- Cześć, Seth. Tu Bella.

- Cześć, Bella! I co tam u ciebie?

Mam w gardle obrzydliwą kłuchę. Rozpaczdziewie szukam pocieszenia.

- W porządku.

- Dzwoniś, żeby być c na bieżąco, co?

- Jesteś jasnowidzem.

- Jakim tam jasnowidzem. Żadna ze mnie Alice - zażartował. - Po prostu jesteś przewidywalna aż do bólu.

Był jedynym członkiem sfory z La Push, któremu w wymówieniu imienia kóregoś z Cullenów przychodziło z taką łatwością. Mógł nawet dowcipkować sobie z mojej niemalże wszechwiedzącej przyszłej szwagierki.

- Wiem, wiem. - Zawahałam się. - Jak on się czuje?

Seth westchnął.

- Jak zawsze. Nie chce z nami rozmawiać, chociaż wiemy, że nas słyszy. Stara się, tak jakby, nie myśleć po ludzku. Jedzie na czystym instyngcie.

- Wiecie, gdzie teraz jest?

- Gdzieś w północnej Kanadzie. Nie powiem ci, w której prowincji, bo nie zwraca uwagi na takie rzeczy jak drogowskazy.

- Czy cokolwiek wskazuje na to, że mógłby...

- Nie. Nie chce wracać. Przykro mi.

Przełknęłam głośno ślinę.

- Nie ma sprawy, Seth. Wiem, jak jest. Tylko cały czas, jak głupia, mam nadzieję.

- My tu wszyscy też.

- Dzięki, że się ode mnie nie odwróciłeś. Wiem, że reszta musi mieć ci to za złe.

- Rzeczywiście, twój gofankub tu nie założę - przyznał wesoło. - Co poradzić. Jak dla mnie, to Jacob dokonał pewnego wyboru, i ty dokonałaś pewnego wyboru, i tyle. Ale oni swoje. Jakiś też się nie podoba ich postawa.

Chociaż to, że go kontrolujesz, też mu się oczywiście nie podoba.

Zaskoczył mnie tą informacją.

- Myślałam, że się z wami nie kontaktuje.

- Stara się, jak może, ale wsty skiego nie jest w stanie przed nami ukryć.

Czyli Jacob wiedział, że się o niego martwię. Nie byłam pewna, jak się z tym czuję. Cóż, przy najmniej wiedział, że o nim nie zapominałam. A nie wykluczałam, że mógł mnie mieć za kogoś zdolnego do czegoś takiego.

- No to chyba do zobaczenia na... ślubie - powiedziałam, z trudem wyrzucając z siebie to ostatnie słowo.

- Tak pojawimy się z mamą na sto procent. Super, że nas zaprosiłaś. To miło z twojej strony.

Entuzjazm w jego głosie wywołał na mojej twarzy uśmiech. Wprawdzie to Edward wymyślił, żeby zaprosić Clearwaterów, ale cieszyłam się, że przyszło mu to do głowy. Seth miał być dla mnie na ślubie kimś w rodzaju symbolicznego łącznika pomiędzy mną a moim zaginionym drużbą.

- Nie mogłabym się bez was obejść.

- Pozdrów ode mnie Edwarda.

- Jasne.

Pokręciłam głową. Cały czas trudno mi było uwierzyć, że Edward i Seth naprawdę się zaprzyjaźnili. Był to jednak dowód, że wszystko mogło się jeszcze zmienić. Że wampiry i wilkołaki mogły żyć ze sobą w zgodzie, jeśli tylko obie

strony wykazywały dobrą wolę.

Byli tacy, którzy chcieli tę koncepcję niezbyt zachwycała.

- Ach - wyrwało się Sethowi. - E - Leah wróciła.

- No to cześć!

Rozłączyliśmy się. Położyłam telefon na siedzeniu i zaczęłam szycować się psychicznie do wejścia do domu, gdzie czekał na mnie ojciec.

Biedny Charlie! Tyle się na niego naraz zważyło! Prawie tak samo, jak o Jacoba, martwił się o mnie - swoją niepokorną córkę, która dopiero co ukończyła szkołę średnią, a już postanowiła zmienić stan cywilny.

Idąc w mżawce w kierunku domu, sięgnęłam pamięcią do owego wieczoru, kiedy to powiadomiliśmy go o swoich planach...

Kiedy dźwięki wydawane przez parkujący radiowóz zaanonsowały przybycie Charliego, pierścionek zaczął mi nieznośnie ciążyć, jakby ważył pół tony. Miałam ochotę schować lewą dłoń do kieszeni albo na niej usiąść, ale Edward

powstrzymał mnie, gdy tylko drgnęłam.

- Przestań się wiercić, Bello. Pamiętaj, że nie masz się przyznać przed Charlie'm do popełnienia morderstwa.

- Łatwo ci mówić.

Nadstawiałam uszu. O chodnik już uderzały rytmicznie podeszwy ciężkich policyjnych butów. Chwilę później zadzwoniły wkładane w zamek klucze. Przypomniały mi się te sceny z horrorów, w których ofiara uświadamia sobie, że

zapomniała zamknąć drzwi wejściowe na zasuwkę.

- Uspokój się - szepnął Edward, słysząc, jak szybko zaczęło bić mi serce.

Otworzone energicznie drzwi uderzyły o ścianę. Zadrżałam, jakby ktoś potraktował mnie paralizatorem.

- Witaj, Charlie! - zawołał Edward. Nie był ani trochę spięty.

- Jeszcze nie! - syknęłam.

- Czemu?

- Poczekaj, aż odwiesi kaburę!

Edward zaśmiał się i wolną ręką odgarnął sobie włosy z czoła.

W drzwiach stanął Charlie. Nadal był w mundurze i nadal był uzbrojony. Kiedy zobaczył nas razem, z wysiłkiem powstrzymał grymas rozdziwienia. W ostatnim czasie wkładał wiele trudu w to, żeby polubić Edwarda. Byłam

pewna, że to, co mieliśmy mu do przekazania, natychmiast położy kres tym próbom.

- Cześć, dzieci. Co słychać?

- Chcielibyśmy z tobą porozmawiać - oznajmił Edward pogodnie. - Mam dobre nowiny.

W ułamku sekundy wysiloną uprzejmość na twarzy Charliego zastąpiła podejrziwość.

- Dobre nowiny? - warknął, patrząc prosto na mnie.

- Usiądź sobie.

Uniósłszy jedną brew, wpatrywał się we mnie kilka sekund, po czym podszedł do fotela i przyśiadł na samym jego brzegu, wyprostowany jak struna.

- Nie denerwuj się, tato - powiedziałam, przerywając pełną napięcia ciszę. - Nie ma czym.

Edward się skrzywił. Domyślałam się, że wolałby usłyszeć coś w rodzaju: „Och, tato, taka jestem szczęśliwa!”.

- Jasne, Bella, już ci wierzę. Jeśli nie ma czym, to czemu tak się tu przede mną pocisz?

- Wcale się nie pocę - skłamałam.

Spuściłam wzrok i twóźnie wtuliłam się w Edwarda, przecierając jednocześnie odruchowo prawą dłońią czoło, żeby usunąć z niego „dowody rzeczowe”.

- Jesteś w ciąży! - wybuchnął Charlie. - Przyznaj się, jesteś w ciąży!

Chociaż pytanie to było raczej skierowane do mnie, wpatrywał się teraz gniewnie w Edwarda. Byłam gotowa przysiąc, że przesunął rękę w stronę kabury.

- Skąd! Wcale nie! - zaprotestowałam.

Miałam ochotę dać Edwardowi sółkę w bok, ale wiedziałam, że tylko dostanę od tego siniaka. A mówiłam mu, że wszyscy dojdą właśnie do takiego wniosku! Z jakiego innego powodu ktoś zdrowy na umyśle miałby brać ślub w

wielu osiemnastu lat? (Usłyszawszy jego odpowiedź, wyróciłam oczami. Z miłości. Tak jasne).

Zazwyczaj wystarczyło mi na niego spojrzeć, żeby ocenić, czy kłamie czy nie. Charlie przyjrzał mi się uważnie i nieco złagodniał.

- Och. Przepraszam.

- Przepraszam.

Milczeliśmy przez dłuższą chwilę. W końcu dotarło do mnie, że obaj spodziewają się, że to ja pierwsza się odezwę. Spanikowana, zerknęłam na Edwarda. Nie było sposobu, by choć jedno słowo na temat naszych zaręczyn przeszło

mi przez gardło.

Odpowiedział mi uśmiechem i przeniósł wzrok na ojca.

- Charlie, jestem świadomy, że zabrałem się do tego w kolejności. Zgodnie z tradycją, powinienem był najpierw zwrócić się do ciebie. Ale skoro Bella i tak już się zgodziła, a jej opinia jest tu przecież najważniejsza, pozwalam

sobie, zamiast o jej rękę, prosić cię o błogosławieństwo. Zamierzamy się pobrać, Charlie. Kocham ją bardziej niż cokolwiek innego na świecie, kocham ją nad życie, i jakimś cudem, ona też mnie równie mocno kocha. Czy dasz nam swoje

błogosławieństwo?

Był taki pewny siebie, tak spokojny. Nagle, wsłuchując się w ton jego głosu, doświadczyłam rzadkiego uczucia - na moment spojrzałam na świat jego oczami i przez ułamek sekundy wszystko to, o czym mówił, wydało mi się

najzupelniej logiczne.

A potem zauważyłam, co się dzieje z Charlie'm, który właśnie dostrzegł mój pierścionek

Z zapartym tchem śledziłam, jak jego skóra zmienia kolor - z różowego na czerwony, z czerwonego na fioletowy, z fioletowego na granatowy. Zaczęłam podnosić się z miejsca. Nie jestem pewna, po co - może, żeby zastosować

rękoczyn Heimlicha, w razie gdyby jednak się krzusił? Ale Edward złapał mnie za rękę i tak cicho, że tylko ja usłyszałam, szepnął:

- Daj mu minutkę.

Tym razem milczeliśmy znacznie dłużej. Twarz ojca przybrała w końcu normalny kolor. Zaciśnął usta i zmarszczył czoło - rozpoznałam jego minę oznaczającą, że intensywnie nad czymś rozmyśla. Przyglądał nam się i

przyglądał, aż wreszcie poczułam, że Edward się rozluźnia.

- Nie mogę powiedzieć, że jestem zaskoczony - mruknął Charlie. - Wiedziałem, że prędzej czy później zrobicie taki numer.

Odetchnęłam głęboko.

- Jesteś pewna, że to dobry pomysł? - spytał, posyłając mi groźne spojrzenie.

- Jestem pewna na sto procent, że Edward to „ten jedyny” - odpowiedziałam bez zająknięcia.

- Ale po co o raz wychodzić za mąż? Po co ten pośpiech? Znowu robił się podejrziwy.

Pośpiech brał się stąd, że z każdym przelętnym dniem zbliżały się moje dziewiętnaste urodziny, a Edward miał już po wieczność mieć lat siedemnaście. Musiałam jak najszybciej stać się nieśmiertelna. Co to miało wspólnego z

braniem ślubu? Otuż mój ukończony, w ramach skomplikowanej umowy, którą zawarliśmy, zgodził się na przeprowadzenie całej operacji pod warunkiem, że wcześniej zostanie jego żoną. Jeśli o mnie chodziło, zawarcie małżeństwa nie było mi

do niczego potrzebne.

Rzecz jasna, nie były to szczegóły, którymi mogłabym się podzielić z Charlie'm.

- Jesienią zaczynamy studia w innym mieście - przypomniał mi Edward. - Chciałbym, żeby wszystko odbyło się... tak jak należy. Tak mnie wychowano.

Wrzuciłam ramionami.

Nie przesadzał - w czasie pierwszej wojny światowej, kiedy sam był nastolatkiem, obowiązywały jeszcze bardzo surowe normy obyczajowe.

Charlie wykrzywił usta. Zastanawiał się, do czego by się tu przycepić. Ale co miał powiedzieć? „Wolałbym, żebyście żyli w grzechu?” Był ojcem - miał związane ręce.

- Wiedziałem, że tak to się skończy - mruknął pod nosem, ściągając brwi.

Nagle z jego twarzy znikły wszelkie negatywne emocje.

- Tato? - spytałam zaniepokojona.

Zerknęłam na Edwarda, ale i jego mina nic mi nie mówiła. Patrzył na ojca.

- Ha, ha, ha! - Charlie zniemacka wybuchnął śmiechem. Aż podskoczyłam. - Ha, ha, ha!

Zgiał się w pół i cały się trząsł. Nie wiedziałam, co jest grane. Zdezorientowana, spojrzalam na Edwarda, ale miał zacienięte usta, jakby sam również powstrzymał się od śmiechu.

- A bierzcie sobie ten ślub - wyrzucił Charlie. - Nie ma sprawy. - Znowu zaniósł się śmiechem. - Tylko...

- Tylko co? - spytałam.

- Tylko mamie będziesz musiała to przekazać sama, moja panno! Nie pisnę jej ani słóweczka, o nie! Nie chcę ci odbierać tej przyjemności!

I dalej się ze mnie śmiał.

* * *

Zatrzymałam się z ręką na gałce w drzwiach wejściowych i uśmiechnęłam do siebie. Jasne, byłam przerażona, kiedy mi to oznajmił. Czy mogło być coś gorszego od obowiązku przekazania wieści Renee? Ślub zaraz po szkole średniej znajdował się na wyższym miejscu jej czarnej listy niż wrzucanie żywych szczeniaków do wrzółka.

Kto mógł przewidzieć jej reakcję? Nie ja. I z pewnością nie Charlie. Może Alice, ale nie wpadłam na to, żeby ją o to zapytać.

- Cóż, Bello - powiedziała Renee, po tym jak udało mi się wyjąkać: „Mamo, wychodzę za mąż za Edwarda”. - Jestem trochę zła na was, że nie powiadomiliście mnie wcześniej. Bilety lotnicze droższą z dnia na dzień. Ojej... - przypomniało jej się. - A co z gipsem Phila? Sądziś, że zdąży mu go zdjąć? To by fatalnie wyglądało na zdjęciach, gdyby nie był w smokingu...

- Zaraz, mamo, zaczekaj - przerwałam jej. - Co masz na myśli, mówiąc, że mogliśmy powiadomić cię wcześniej? Dopiero dzisiaj się za... za... - Nie byłam w stanie wymówić słowa „zaręczyliśmy”. - Dopiero dzisiaj wszystko obgadaliśmy.

- Dzisiaj? Naprawdę? A to ci niespodzianka. Myślałam...

- Co myślałaś? Kiedy tak pomyślałaś?

- Wiesz, kiedy odwiedziście mnie w kwietniu, wydało mi się, że kłamka już zapadła, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. Nie trudno cię przejrzeć, kochanie. Ale nic nie mówiłam, bo wiedziałam, że nic dobrego by z tego nie wynikało. Jesteś jak swój ojciec. - Westchnęła z rezygnacją. - Kiedy już podejmiesz jakąś decyzję, nie ma sensu z tobą dyskutować. No i, też tak samo jak Charlie, jak już coś postanowisz, to to realizujesz.

A potem powiedziała ostatnią rzecz, jaką spodziewałam się usłyszeć od swojej matki.

- Nie popełniasz tego samego błędu, co ja, Bello. Po tonie twojego głosu poznaję, że masz niezłego stracha, i domyślałam się, że to mnie się tak boisz. - Zachichotała. - Boisz się, co sobie pomyślę. I nic dziwnego, bo tyle ci nagadałam w przeszłości o małżeństwie i głupocie młodych. Niczego nie odszczekuję, ale musisz zrozumieć, że to wszystko, o czym zawsze mówiłam, odnosiło się tylko do mnie samej. Ty popełniasz swoje własne błędy. Jestem pewna, że tego i owego będziesz w życiu żałować. Ale stałość nigdy nie była dla ciebie problemem, skarbie. Masz większą szansę na udany związek niż większość znanych ci czterdziestolatków. - Znowu się zaśmiała. - Och, moja dojrzała nad wiek córeczko... Jak to dobrze, że najwyraźniej znalazłaś kogoś o duszy równie starej, co twoja.

- Czy li nie jesteś... wściekła? Nie powiesz mi, że zmarnuję sobie życie?

- No cóż, oczywiście wolałabym, żebyś poczekała z tym kilka lat. Czy ja wyglądam na teściową? Sama sobie odpowiedz. Ale tu nie chodzi o mnie. Tu chodzi o ciebie. Jesteś szczęśliwa?

- Czy ja wiem? Czuję się, jakbym dostała właśnie młotkiem po głowie.

Zaśmiała się.

- Czy czujesz się szczęśliwa przy Edwardzie?

- Tak ale...

- Czy wydaje ci się, że kiedyś być może będziesz chciała być z kimś innym?

- Nie, ale...

- Ale co?

- Nie masz zamiaru mi powiedzieć, że tak samo odpowiedziałyby każda inna zakochana po uszy nastolatka?

- Ty nigdy nie byłaś nastolatką, kochanie. Dobrze wiesz, co jest dla ciebie najlepsze.

Renee nie tylko zaakceptowała nasze plany - zaangażowała się też niespodziewanie w szykowanie zbliżającej się uroczystości. Każdego dnia spędzała parę ładnych godzin na rozmowach telefonicznych z Esme, przysyłała matkę Edwarda, którą z miejsca bardzo, ale to bardzo polubiła. Tak, los oszczędził nam konfliktu pomiędzy teściowymi mi. Wątpiłabym, by łożółwiek był w stanie nie polubić kogoś tak kochanego, jak Esme. Ja sama ją uwielbiałam.

Mogłam odetchnąć z ulgą. Rodzina Edwarda i moi rodzice zajęli się wszystkim, tak że ja sama nie musiałam ani niczego robić, ani o niczym wiedzieć, ani nawet o niczym myśleć.

Charlie był, rzecz jasna, wściekły, ale piękne było to, że nie był wściekły na mnie. To Renee miał za zdrację. Liczył na to, że odegra za niego rolę surowego rodzica, a tu nic. Wyciągnął asa z rękawa - postraszył mnie mamą - ale nic z tego nie wynikało. Był teraz bezradny, o czym dobrze wiedział. Co mu pozostawało? Kręcenie się po domu z miną cierpienika i mamrotanie czegoś o tym, jak to już nikomu nie można zaufać...

- To ja! Wróciłam! - zawołałam, przekraczając próg.

Z pokoju dobiegł głos ojca:

- Czekaj, Bells! Stój tam!

- He? - zdziwiłam się, ale i tak odruchowo się zatrzymałam.

- Jeszcze chwilę. Auć! Alice, ukłułaś mnie! Alice?

- Przepraszam - zaszczebiotała. - Ale chyba nie mocno, prawda?

- Krwawie!

- Skąd. Nie mogłam ci przebić skóry. Zaufaj mi, Charlie.

- Co się tam dzieje? - spytałam zaintrygowana, nie wiedząc, czy zrobić tych kilka kroków do przodu, czy lepiej nie.

- Daj nam trzydzieści sekund - poprosiła Alice - a twoja cierpliwość zostanie nagrodzona.

- Tak, tak - dodał Charlie.

Zaczęłam przebierać nogami, cicho odliczając. Zanim jeszcze doszłam do trzydziestu, Alice powiedziała:

- Okej, Bello, możesz wejść!

Zachowując ostrożność, skęrciłam za róg i znalazłam się w naszym saloniku.

- Och. Ojej, tato. Wyglądasz jak...

- Glupek? - wszedł mi w słowo.

- Chciałam powiedzieć, że jak prawdziwy dżentelmen. Zarumienił się. Alice ujęła go za łokieć i obróciła powoli wokół jego własnej osi, żeby zademonstrować mi ze wszystkich stron bladoszary smoking.

- Przestań, Alice. Wyglądam jak idiota.

- Nikt ubrany przeze mnie nie może wyglądać jak idiota.

- Ona ma rację, tato. Prezentujesz się fantastycznie. Z jakiej to okazji?

Alice wzniosła oczy ku niebu.

- To tylko przymiarka. Dla was obojga.

Po raz pierwszy oderwałam wzrok od wyelegowanego Charliego i zobaczyłam, że z oparcia kanapy zwisa starannie odłożony pokrowiec z niepokojąco białą zawartością. O, nie!

- Przenieś się do swojego magicznego zakątka. To nie potrwa długo.

Wzięłam głęboki wdech i zacisnęłam powieki. Nie otwierając oczu, wdrapałam się niezdarnie po schodach, a stanąwszy na środku swojego pokoju, rozebrałam się do bielizny i rozłożyłam szeroko ręce.

- Pomyślałby kto, że mam ci tu wsadzać bambusowe drzazgi pod paznokcie - mruknęła Alice, zamykając za sobą drzwi.

Puściłam tę uwagę mimo uszu. Byłam w swoim magicznym zakątku.

W moim magicznym zakątku cały ten cyrk związany ze ślubem był już za mną, a wszelkie wspomnienia z nim związane wyparte z mojej świadomości.

Byliśmy tam sami, tylko Edward i ja. Sceneria bezustannie się zmieniała - raz był to zamglony las, innym razem arktyczna noc albo wielkie miasto z zachmurzonym niebem - wszystko dlatego, że mój ukochany nie chciał mi zdradzić, dokąd pojedziemy w podróz poślubną, żebyśmy miała niespodziankę. Ale też cel naszej podróży nie był dla mnie aż taki ważny. Edward i ja byliśmy razem, a ja posłusznie wywiązałam się z warunków naszej umowy. Przede wszystkim, co było dla niego najistotniejsze, zostałam jego żoną. Przyjęłam też jego ekstrawaganckie prezenty i zapisałam się, choć nie miało to zupełnie sensu, na studia w prestiżowym Dartmouth College w stanie New Hampshire. Teraz przysłała kolej na niego.

Przed zmianieniem mnie w wampira - co było najistotniejsze dla mnie - przyrzekł mi, że w ramach kompromisu zrobi coś jeszcze.

Edward był obsesyjnie z troską tym, z iluzi to ludzkich doświadczeń będę musiała zrezygnować, jednak jeśli o mnie chodziło, zależało mi tylko na jednym z nich. Oczywiście na tym, o którym, z tego punktu widzenia, dla własnego dobra powinnam była zapomnieć.

Problem polegał na tym, że po naszym miesiącu miodowym miałam stać się kimś zupełnie innym. Widziałam nowo narodzone wampiry na własne oczy, słyszałam relacje członków rodziny Edwarda i wiedziałam, że przez kilka najbliższych lat opis mojej osoby będzie można zamknąć w dwóch słowach: „spragniona krwi”. Miało minąć trochę czasu, zanim na powrót miałam odzyskać nad sobą kontrolę. Ale wraz z nią nie miałam przecież odzyskać do końca swojego ludzkiego „ja”. Już nigdy nie miałam czuć się tak, jak teraz.

Jak śmiertelniczka... która jest zakochana do szaleństwa.

Chciałam doświadczyć wszystkiego z interesującej mnie materii, zanim miałam zamienić swoje ciepłe, kruche, targane hormonami ciało na coś o wiele piękniejszego i silniejszego... ale i zupełnie dla mnie niewyobrażalnego. Chciałam, żeby nasz miesiąc miodowy był prawdziwy. I pomimo niebezpieczeństwa, na jakie, według Edwarda, się narażałam, zgodziłam się na moje marzenie spróbować spełnić.

Byłam tylko nieznacznie świadoma poczynań Alice i dotyku satyny na swojej skórze. W tej chwili nie obchodziło mnie ani to, że wszyscy w miasteczku o mnie plotkowali, ani to, że pewnie byłam za młoda na małżeństwo, ani to, że już wrócić miałam odegrać główną rolę w pewnym bardzo krępującym spektaklu, na którym mogłam potknąć się o tren albo zachichotać w nieodpowiednim momencie. Nie przejmowałam się nawet tym, że na ślubie nie pojawi się mój najlepszy przyjaciel.

Znajdowałam się z Edwardem w swoim magicznym zakątku.

- Już za tobą tęsknię.
- Nie muszę cię zostawiać samej. Mogę zostać...
- Mmm?

Na dłuższą chwilę zapadła niemal zupełna cisza. Słychać było tylko przyspieszone bicie mojego serca, urywany rytm naszych oddechów i szept naszych poruszających się synchronicznie warg.

Czasami było mi tak łatwo zapomnieć, że całowałam wampira. Nie dlatego, że wydawał się być kimś zwyczajnym, zwyczajnym człowiekiem - ani na moment nie zapominałam, że trzymam w ramionach raczej aniola niż mężczyznę - ale dlatego, że zupełnie nie musiałam się przy nim przejmować, że to wampir przy cisza swoje usta do moich ust, do moich policzków czy nawet do mojej szyi. Edward twierdził, że już dawno przeszła mu chęć na to, żeby mnie ukąsić - że z podobnych pragnień wyleczyła go całkowicie świadomość, że wówczas by mnie stracił. Wiedziałałam jednak, że zapach mojej krwi nadal sprawiał mu ból, nadal palił go w gardle, jakby wudchał płomienie.

Otworzyłałam oczy i zobaczyłam, że jego też są otwarte. Przyglądał mi się. To, że patrzył na mnie w ten sposób, nie miało dla mnie najmniejszego sensu. Jak mógł mieć mnie za nagrodę? To on był nagrodą. A ja zwycięzcą, któremu nieprzyzwyczajenie poszczęściło.

Przez chwilę nie odrywałam się od siebie oczu. Jego spojrzenie było tak głębokie, że wyobrażałam sobie, iż jestem w stanie zajrzeć aż na samo dno jego duszy. Wydawało się teraz skłóconą głupotą to, że jeszcze nie tak dawno spierałyśmy się, czy Edward w ogóle ją posiada, skoro jest wampirem. Miał najpiękniejszą duszę pod słońcem, piękniejszą od swojego błękotliwego umysłu, idealnej twarzy czy zachwycającego ciała.

Patrzył na mnie tak, jakby i on widział moją duszę - a to, co widział, bardzo mu się podobało.

Nie mógł jednak poznać moich myśli, chociaż potrafił odczytywać je u wszystkich innych rozumnych istot. Nie wiedzieliśmy, skąd się to u mnie brało - jaka to dziwna anomalia w moim mózgu sprawiała, że był odporny na działanie nadprzyrodzonych sił, jakimi byli obdarzeni niektórzy nieśmiertelni - silnie nie tylko nadprzyrodzonych, ale często także przerażających. (Tyłko mój mózg był na nie niewrażliwy - jeśli zdolności te opierały się na innych zasadach niż dągnięcia, mojego ciała nie przetrwałoby, gdyby sprawy miały się inaczej. Ponownie przyciągnęłam Edwarda do siebie.

- Nie ma co, zostają - zamruczał, kiedy po pewnym czasie się do siebie oderwałam.

- Nie, nie. To twój wieczór kawalerski. Musisz iść.

Powiedziałam tak, ale palce prawej dłoni wplątałam jednocześnie w jego kasztanowe włosy, a lewą dłonią naparłam na jego plecy, żeby zbytnio się ode mnie nie oddalił.

Pogłaskałam mnie po twarzy.

- Wieczory kawalerskie są dla tych, dla których małżeństwo wiąże się z utratą wolności. A ja nie mogę się już doczekać, żeby wreszcie mieć te kawalerskie lata za sobą. Po co ktoś taki, jak ja, miałby mi iść na taką imprezę?

- Racja - przyznałam, dotykając wargami lodowatej skóry jego szyi.

Było prawie tak, jakbyśmy znajdowali się w moim magicznym załasku. Niczego niewiadomy Charlie spał smacznie w swoim pokoju, można było więc sobie wyobrazić, że jesteśmy zupełnie sami. Tuliłyśmy się do siebie na moim wąskim łóżku, na ile tylko pozwalał na to gruby koc, którym byłam otoczona ściśle niczym kokonem. Nie cierpiałam tego, że nie dawało się inaczej, ale cóż, trudno było o zachowanie romantycznej atmosfery, kiedy zaczynałam szczekać zębami. A Charlie zauważyłby z pewnością, gdyby w sierpniu włączyła ogrzewanie...

Konieczność zawiązania się w koc miała jednak też pewną zaletę, kiedy ja się opatulalam, koszula Edwarda lądowała na podłodze. Nadal nie mogłam się przyzwyczaić do tego, jak perfekcyjnie był zbudowany - jego mięśnie zdawały się być wyrzeźbione z lśniącego gładkością marmuru. W rozmarzeniu przejechałam dłonią po jego klatce piersiowej, sięgając zgrabnych płaszczyzn brzośca. Edward zadrał delikatnie. Jego usta znowu odnalazły moje. Ostrożnie pozwoliłam sobie na to, aby koniuszkiem języka przesunąć po jego chłodnych wargach. Westchnął i owionęła mnie słodka woń jego oddechu.

Zaczął odsuwać się ode mnie. Była to z jego strony odruchowa reakcja, gdy tylko dochodził do wniosku, że pozwoliliśmy sobie na zbyt wiele - gdy czuł wyjątkowo silnie, że bardzo chciałby kontynuować to, co zaczęłam. Przez całe życie odmawiał sobie fizycznego spełnienia. Starał się to dla mnie zmienić, ale wiedziałam, że go to przeraża.

- Czekał - powiedziałam, łapiąc go za ramię i przytulając. Wplątałam z koca jedną nogę i owinęłam ją mu w pasie. - Praktyka czyni mistrza.

Zaśmiał się.

- W takim razie powinno nam już do mistrzów niewiele brakować, prawda? Chyba już od miesiąca nie zmrzyłaś oka.

- Ale na dziś przypada próba kostiumowa - przypomniałam mu - a na razie ćwiczyliśmy tylko wybrane sceny. Czas nas goni. Następnym razem idziemy już przeciwieństwem całości.

Sądziłam, że go rozbawię tym teatralnym porównaniem, ale zamiast mi odpowiedzieć, zestresował się i zrobił spięty. Wydało mi się, że płynne złoto w jego oczach zmieniło się w ciało stałe.

Powtórzyłam sobie w myślach moją wypowiedź i dotarło do mnie, że dla wampira „pójście na całość” miało podwójne znaczenie.

- Bello... - zaczął.

- Przestań - przerwałam mu. - Umowa to umowa.

- Sam już nie wiem. Tak trudno mi się skoncentrować, kiedy robisz się roznamiętiona. Nie potrafisz... nie jestem wtedy w stanie jasno myśleć. Stracę nad sobą panowanie. Zrobię ci krzywdę.

- Nic mi nie będzie.

- Bello...

- Cii! - Zatkaliśmy mu usta pocałunkiem, żeby przerwać jego atak paniki. Wszystko to słyszałam już wcześniej i nie miałam najmniejszego zamiaru pozwolić mi się wykręcić. Zwłaszcza, że sama dotrzymałam słowa i miałam już nazajutrz zostać jego żoną.

Całowaliśmy się trochę, ale wyczuwałam, że nie jest już w to tak zaangażowany, jak wcześniej. Znowu się martwił - ciągle się martwił. Jakaż to miała być odmiana, kiedy miał już stracić powód, dla którego się tak zadreśla! Ciekawa byłam, co pocinie z takimi ilościami wolnego czasu. Podejrzywałam, że będzie musiał znaleźć sobie jakieś nowe hobby...

- Nie masz pietra? - spytał.

Wiedziałałam bez dopytywania się, o jakie lęki mu chodzi, więc odparłam:

- Ani trochę.

- Naprawdę? Nie zmieniłaś zdania? Jeszcze nie jest za późno.

- Czyżbyś próbował mnie rzucić?

Zaśmiał się.

- Tylko się upewniam. Nie chcę, żebyś robiła cokolwiek wbrew sobie.

- Na pewno nie jestem z tobą wbrew sobie. A resztę jakoś przeżyję.

Zawahał się. Pomyślałam, że może znowu palnęłam gafę.

- Nie będziesz za bardzo cierpieć? - spytał cicho. - Mniejsza o ślub - jestem przekonany, że mimo swoich obaw świetnie sobie poradzisz - ale później... Co z Charliem? Co z Renee?

Westchnęłam.

- Będzie mi ich brakowało.

O wiele gorsze było to, że i im miało brakować mnie, ale do tego się już nie przyznałam - nie chciałam Edwardowi podsuwać argumentów.

- A co z Angelą, Benem, Jessiką, Mikiem?

- Ich też mi będzie brakować. - Uśmiechnęłam się w ciemnościach. - Zwłaszcza Mike'a. Och, Mike! Jak mam żyć bez ciebie?

Edward warknął.

Zachichotałam, by zaraz spoważnieć.

- Daj spokój, przerabialiśmy już to wszystko nie raz. Wiem, że będzie ciężko, ale tego właśnie chcę. Chcę być z tobą i to już na zawsze. Jedno ludzkie życie po prostu mnie w tym względzie nie zadowoli.

- Na zawsze w osiemnastoletnim ciele - szepnęłam.

- To marzenie każdej kobiety - zażartowałam.

- Nie będziesz się już zmieniać, nie będziesz się rozwijać...

- Co masz na myśli?

- Pamiętaj, jak powiedzieliśmy Charliemu, że zamierzamy się pobrać? - odpowiedział mi powoli. - Jak przyszło mu od razu na myśl, że pewnie... że jesteś w ciąży?

- I że w takim razie cię zastrzeli, co? - zgađłam ze śmiechem. - Przyznaj się - może tylko przez sekundę, ale miał na to ochotę, prawda?

Edward miledzał.

- Co jest?

- Widzisz... Żałuję, że jego podejrzenia były bezpodstawne.

- Och - wyrwało mi się.

- A jeszcze bardziej żałuję tego, że to po prostu niemożliwe - ciągnął. - Że nie dane nam jest to błogosławieństwo. Nienawidzę siebie za to, że odbieram ci tę możliwość.

Zatkało mnie na dobrą minutę.

- Wiem, co robię - odezwałam się wreszcie.

- Skąd możesz to wiedzieć, Bello? Spójrz na moją matkę, spójrz na moją siostrę. To nie jest takie proste, jak ci się wydaje.

- Esme i Rosalie wcale sobie tak źle z tym nie radzą. A jeśli okaże się, że to dla mnie problem, to zrobimy to, co Esme - adoptujemy.

Westchnął ciężko.

- To nie fair! - powiedział wzburzoną tonem. - Nie chcę, żebyś się dla mnie tak poświęcała. Chcę ci jak najwięcej dawać, a nie coś ci odbierać. Nie chcę niszczyć ci życia. Gdybym tylko był człowiekiem...

Zakryłam mu usta dłonią.

- Nie niszczy mi życia, wręcz przeciwnie - nie mogłabym żyć bez ciebie. A teraz dość już tego. Przestań jęczeć albo zadzwonię po twoich braci. Chyba przydałby ci się jednak ten wieczór kawalerski.

- Przepraszam. Jęczę, mówisz? To wszystko te nerwy.

- A może to ty masz pietra?

- Skąd. Czekałam sto lat na to, żeby się z panią ożenić, panno Swan. Nie mogę się już doczekać... - przerwał w pół słowa. - Na miłość boską!

- Co się dzieje? Zazgrzytała zębami.

- Nie musisz dzwonić po moich braci. Najwyraźniej sami z siebie nie pozwolą mi się w migać.

Na sekundę przycisnęłam go mocniej do siebie, ale zaraz zwołałam uścisk. W starciu z Emmettem nie miałam szans.

- Baw się dobrze.

Nagle od strony okna doszedł moich uszu niezwykle przykry dźwięk - ktoś celowo drapał szybkimi twardymi jak stal paznokciami. Wzdrygnęłam się i przebiegły mnie ciarki.

- Jeśli nie puścisz Edwarda - zaczął złowrogo niewidoczny nadal Emmett - to sami po niego przyjdziemy!

- Idź już, idź - zaśmiałam się - zanim zburzą mi dom.

Edward wywrócił oczami, ale jednym ruchem zerwał się z łóżka, a drugim włożył na siebie koszulę. Pochylił się nade mną i pocałował mnie w czoło.

- Spij, skarbie. Przed tobą wielki dzień.

- Wielkie dzięki! Jak będę o tym myśleć, na pewno się rozluźnię.

- Do zobaczenia przed ołtarzem.

- Rozpoznasz mnie po białej sukni.

Byłam z siebie dumna, bo powiedziałam to wręcz z beztrząsłą w głosie.

Zaśmiał się.

- Bardzo przekonująco - stwierdził.

Zaraz potem przykucnął, szylając się do skosu niczym mdrapięcy kot - jego mięśnie napięły się jak sprężyna - i zniknął. Dał susa przez okno tak szybko, że moje ludzkie oczy nie zdołały tego zarejestrować.

Na zewnątrz coś ciężkiego uderzyło jakby o kamień. Emmett zaklął.

- Tylko żeby się przez was nie spóźnił - mruknęłam pod nosem, wiedząc, że i tak mnie słyszą.

Za szybą ukazała się twarz Jaspera. W słabym świetle księżyca, który musiał wyłonić się akurat za chmur, jego miodowe włosy nabrały srebrnej barwy.

- O nic się nie martw, Bello. Odstawimy go do domu na długo przed czasem.

Poczułam się nagle bardzo spokojna, a wszystkie moje troski się ulotniły. Jasper był równie utalentowany jak Edward czy Alice, nie czytał jednak w myślach, ani nie miał wizji przyszłości, lecz potrafił manipulować ludzmi i emocjami. Nie sposób było się temu oprzeć.

Nadał opatulona kocem, podciągnęłam się niezgrabnie do pozycji siedzącej.

- Jasper, jak tak właściwie wyglądają wieczory kawalerskie wampirów? Nie zabieracie go przecież do klubu ze striptizem, prawda?

- Tylko nic jej nie mów! - wrknął z dołu Emmett.

Znowu rozległo się głuche uderzenie, a po nim cichy śmiech Edwarda.

- Nie obawiaj się - powiedział Jasper i oczywiście natychmiast się uspokoiłam. - My, Cullenowie, mamy swoje własne tradycje. Starczy nam kilka pum, może parę niedźwiedzi grizzly. Na dobrą sprawę to taki zupełnie zwyczajny

wypad do lasu.

Czy kiedykolwiek zdołam mówić o „wegetariańskiej” wersji wampirzej diety z taką nonszalancją?

- Dzięki, Jasper.

Mruknął do mnie i zsunął się w dół.

Zrobiło się zupełnie cicho. Słychać było tylko jak po drugiej stronie korytarza chrapie Charlie.

Coraz bardziej senna, przyłożyłam głowę do poduszki. Spod ciężkich powiek przyglądałam się ścianom swojego pokoiku zalanego księżycowym światłem.

Po raz ostatni miałam zasnąć w tym pokoju. Po raz ostatni miałam zasnąć jako Isabella Swan. Następnego dnia wczorzym miałam być już Bella Cullen. Chociaż krzywiłam się na samą myśl o ślubie i weselu, musiałam przyznać, że brzmienie mojego nowego nazwiska bardzo mi się podobało.

Pozwoliłam myślom krążyć swobodnie, spodziewając się, że zmorzy mnie sen, ale po kilku minutach niepokój tylko się wzmógł i ścisnął mi gardło. Łóżko było bez Edwarda jakieś takie za miękkie i za ciepłe. Jasper był już daleko i mój spokój ducha zabrał widać ze sobą.

Nazajutrz czekał mnie bardzo, bardzo długi dzień.

Zdawałam sobie sprawę z tego, że większość moich łęków jest idiotyczna - musiałam po prostu wziąć się jakoś w garść. Czasem trzeba było znaleźć się pod ostrzałem spojrzeń. Nie sposób bezustannie wtopić się w tło.

Killa z moich zmartwień miała jednak większy sens.

Po pierwsze, tren sukni ślubnej. Alice dała się przy nim ponieść fantazji, zapominając o stronie praktycznej. Nie wierzyłam, że uda mi się zejść w wysokich obcasach po schodach w domu Cullenów, nie potykając się o to чудо, ani o nic nim nie zahaczając. Powinnam była choć trochę poćwiczyć tę operację.

Po drugie, zaproszeni goście.

Rodzina Tanyi, klan z Parku Narodowego Denali na Alasce, miała przybyć na kilka godzin przed jutrzejszą ceremonią. Spodziewałam się, że zrobi się gorąco, kiedy znajdując się w jednym pokoju z gośćmi z rezerwatu Quileutów: ojcem Jacoba i Clearwatelami. Denalcy cy nie przepadali za wilkołakami. W rzeczy samej, siostra Tanyi, Irina, właśnie z ich powodu zdecydowała się wcale nie pojawić się na ślubie. Wciąż nie mogła wybaczyć członkom sfory, że zabili jej przyjaciela Laurenta (choć zrobili to na moment przed tym, jak miał zamiar zabić mnie). Ze względu na pielęgowaną przez nią urazę, Denalcy cy odwrócili się od rodziny Edwarda w najczarniejszej godzinie. Gdyby Cullenowie cudem nie zawarli przymierza z watahą, osamotnieni nie przeżyliby ataku nowo narodzonych wampirów...

Edward zarządził się, że Denalcy cy nie stanowią dla Quileutów żadnego zagrożenia. Tanyę i jej najbliższych - z wyjątkiem Iriny - dręczyły teraz potężne wyrzuty sumienia. Pakt z wilkołakami stanowił tylko część ceny, jaką byli gotowi zapłacić za swój karygodny postępek.

Ich wizyta mogła doprowadzić do poważnych komplikacji, ale dla mnie oznaczała coś jeszcze. Był to bardzo blahy problem, ale jednak.

Chodziło o moją niską samoocenę.

Nigdy jeszcze nie widziałam Tanyi, ale byłam pewna, że nasze spotkanie nie będzie przyjemnym doświadczeniem dla mojego ego. Dawno temu, być może jeszcze zanim się urodziłam, wampirzyca próbowała zainteresować Edwarda swoją osobą. Nie, nie miałam jej za złe tego, że straciła dla niego głowę - było to dla mnie zrozumiałe. A Edward - choć z kolei było dla mnie niepojęte - bez wątpienia preferował mnie. Ale Tanya z pewnością była oszałamiająco piękna i wiedziałam, że chcąc nie chcąc, zacznę się z nią porównywać.

Nie miałam za bardzo ochoty jej zaprosić, ale Edward znał mój słaby punkt i żeby dopiąć swego, wywołał we mnie poczucie winy.

- Jesteśmy jedynym substytutem ich prawdziwej rodziny, Bello. Minęło już wiele lat, ale wciąż cierpię z powodu swojego sieroctwa.

Więc zgodziłam się, a obawy zachowywałam odtąd dla siebie.

Tanya miała teraz sporą rodzinę, niemal tak dużą jak Cullenowie. Było ich pięćoro, bo do trzech siostr dołączyli Carmen i Eleazar, którzy odnaleźli je w podobny sposób, jak Cullenów Alice i Jasper. Także tę piątkę łączyło wspólne pragnienie, by kierować się w życiu większym humanitarnym zmem niż zwykłe wampiry.

Mimo dwojga nowych towarzyszy, Tanya, Kate i Irina czuły się nadal osamotnione. Nadał były w żalobie. Bo przed wielu, wielu laty miały nie tylko siebie, ale i matkę.

Doskonale rozumiałam, jak ogromna była to strata. Wystarczyło, że próbowałam sobie wyobrazić rodzinę Cullenów bez jej twórcy, jej przywódcy i przewodnika - bez Carlisle'a, rzecz jasna. Próbowałam i wyobraziłam sobie zawodziła.

Carlisle opowiedział mi historię rodziny Tanyi podczas jednego z tych długich wiekierów, jakie spędzałam w domu Cullenów, starając się nauczyć jak najlepiej przygotować się do życia, które wybrałam. Tragiczny koniec matki Tanyi ilustrował zaledwie jedną z wielu zasad, jakie musiałam poznać przed dołączeniem do grona nieśmiertelnych.

Tak właściwie to zasada była tylko jedna - jedna, ale przez swoją uniwersalność wpływająca na każdy aspekt wampirzego życia. Brzmiała: „Dochowujcie tajemniczy”.

Przestrzeganie jej pociągało za sobą setki określonych zachowań.

Jeśli ktoś chciał mieszkać wśród ludzi, tak jak Cullenowie, musiał starać się niczym nie wyróżniać i opuścić daną miejscowość, nim ktokolwiek zacznie podejrzewać, że jego sąsiad się nie starzeje. Można też było - poza porą posiłków - po prostu unikać ludzi, tak jak mieli to w zwyczaju nieżyjący już nomadzi James i Victoria albo byli kompani Jaspera, Peter i Charlotte.

Kontrolować należało nie tylko siebie, ale i młode, nieobliczalne wampiry, które się samemu stworzyło. Jasper stał się w tym prawdziwym mistrzem, kiedy wędrował z Marią, ale z kolei Victoria poniosła na tym polu klęskę.

Pewnego rodzaju młodych wampirów nie dawało się jednak kontrolować i tworzenie ich było absolutnie zakazane.

To właśnie tego zakazu dotyczyła historia rodziny Tanyi. Nie wiem, jak miała na imię ich matka - wyznał mi Carlisle na wstępie. Musiał doskonale pamiętać ból swojej przyjaciółki, bo jego złote oczy, niemalże nieodbiegające kolorem od jego jasnych włosów, były pełne smutku. - Jeśli tylko daje się tego unikać, nigdy jej tam głono nie wspominają. Nigdy nawet o niej nie myślą, chyba że przyпадkiem.

- Kobieta, która stworzyła Tanyę, Kate i Irinę - która je, jak sądzę, kochała - żyła już na wiele lat przed moim narodzeniem, w czasie, kiedy nasz świat zmagał się ze straszliwą plagą - z plagą nieśmiertelnych dzieci.

- Co sobie myśleli nasi pobratymcy sprzed wieków, nadal nie pojmuję. Zamieniali w wampiry maleńkie dzieci - takie, które dopiero co nauczyły się chodzić.

Kiedy wyobraziłam sobie to, co opisywał, zrobiło mi się niedobrze. Przełknęłam głośno ślinę.

- Były bardzo piękne - wyjaśnił szybko Carlisle, widząc moją reakcję. - Tak urocze i rozkoszne, jak to tylko możliwe. Wystarczyło raz spojrzeć na takie dziecko, aby mimowolnie je pokochać.

- Niestety, nie było je szczególnie nauczyć. Pozostawały na zawsze na takim stopniu rozwoju, jak osiągnęły przed przemianą. Gdy coś nie szło po ich myśli, te spełniające słodko dwulatki z dociekłami w policzkach, zamiast rzucać się na ziemię i wierzeć nogami, potrafiły wymordować pół wioski. Gdy były głodne, po prostu atakowały i nie działały na nie wówczas żadne groźby. Ludzie je widywali, więc zaczęły krążyć o nich najróżniejsze historie, a strach przed nimi szerzył się szybciej niż zaraza.

- Matka Tanyi też stworzyła takie dziecko - ciągnął Carlisle. - Podobnie jak w pozostałych przypadkach, nie rozumiem, co nią kierowało. - Wziął głęboki wdech, żeby się uspokoić. - I jak można się domyśleć, naraziła się tym samym na gniew Volturi.

Wdrzygnęłam się, jak zwykle kiedy ktoś o nich wspominał, chociaż spodziewałam się, że przed jej późnie będzie o nich mowa. Każde naruszenie prawa zasługiwało na karę, a ta nie byłaby skuteczna, gdyby nie miał jej kto wymierzyć. W świecie nieśmiertelnych samozwańcami są sędziami, mającymi się za władców całej rasy, byli właśnie mieszkający we Włoszech Volturi. Na ich czele stała licząca sobie tysiące lat trójka: Kajusz, Marek oraz Aro, kóremu wystarczało dotknąć jakiejś osoby, aby poznać wszystkie myśli, jakie kiedykolwiek przemknęły jej przez głowę. Spotkałam ich tylko raz, a audycja ta nie trwała długo, podejrzewałam jednak, że naprawdę to Aro był prawdziwym przywódcą.

- Volturi - mówił dalej Carlisle - przyglądali się nieśmiertelnym dzieciom zarówno na miejscu, w Volterze, jak i w różnych zakątkach globu, i Kajusz doszedł do wniosku, że nie są one w stanie strzec należyście naszego sekretu. A zatem musiały zostać bez wyjątku zgładzone.

- Jak już ci mówiłem, wyzwały u swoich opiekunów niezwykle silne emocje. Nikt nie chciał wydać ich bez walki, a walczono do ostatniej kropli krwi. Rzezie te nie pochłonęły wprawdzie tyłu ofiar, co późniejsze wojny toczone na południu kontynentu, ale były fatalne w skutkach pod innymi względami. Rozpadały się rodziny o wielowiekowej historii, zamierały kontakty, ginęły stare tradycje... Była to dla naszego świata ogromna strata. Praktykę tworzenia tego rodzaju wampirów całkowicie wyругowano. Nieśmiertelne dzieci stały się tabu, tematem zakazanym.

- Kiedy mieszałam u Volturi, miałem kontakt z dwójką z nich, doświadczyłam więc na własnej skórze tego, jak ogromny rozaczają wokół siebie urok. Aro badał je przez wiele lat po katastrofie, jaką wywołały. Wiesz, że ma naturę badacza - miał nadzieję, że odkryje, jak je ujarzmić. W końcu przyznał jednak rację Kajuszowi - tych złowrogich istot nie wolno było tworzyć pod żadnym pozorem.

Kiedy Carlisle powrócił do historii matki trzech siostr, zdążyłam już zupełnie o niej zapomnieć.

- To, co się stało z matką Tanyi, nie jest do końca jasne - usłyszałam. - Wiadomo, że Volturi pojmali najpierw ją i jej nielegalnie stworzonego podopiecznego, a dopiero później przyszli do Tanyę, Kate i Irinę. Siostry nie miały o niczym pojęcia i to je właśnie uratowało. Nie ukarano ich razem z matką, bo dotknąwszy je Aro potwierdził, że są niewinne.

- Żadna z nich ani nigdy wcześniej nie widziała chłopca, ani nawet nie śniła o jego istnieniu, aż do dnia, gdy stały się świadkami i tego, jak płonie w ramionach ich matki. Mogę się tylko domyślać, że nie zdradziła im swojego sekretu właśnie dlatego, żeby uchronić je przed takim losem. Tylko czemu w ogóle zmieniła chłopczyka w wampira? Kim był i ile dla niej znaczył, że tak wiecie dla niego zaryzykowała? Jej córki nigdy nie poznały odpowiedzi na te pytania. Mimo to, nie mogły wątpić, że ich matka poniosła zasłużoną karę, i nie sądzę, żeby przez te wszystkie lata prawdziwie jej wybaczyły.

- Aro był przekonany o ich niewinności, ale Kajusz i tak chciał je spalić - tylko za to, że były blisko związane z oskarżoną. Miały szczęście, że Aro był akurat w dobrym nastroju. Ulaskawiono je, jednak rany w ich sercach nigdy się do końca nie zagoiły i wszystkie trzy do dziś nad wyraz sumiennie przestrzegają naszych praw.

Nie wiedzieć kiedy, wspomnienie tamtej opowieści przeszło w senny majak. Stojąc mi przed oczami twarz Carlisle'a zastąpiło nagle nagie szare pole, a moje nozdrza uderzył silny zapach palonego kadzidła.

Nie byłam tam sama.

Widok stojących pośrodku pola złowrogich postaci w szarych pelerynach powinien był mnie przerazić nie na żarty - mogli być to tylko Volturi, a ja, wbrew ich rozkazowi, byłam nadal człowiekiem - wiedziałam jednak jak to czasem bywa w snach, że jestem dla nich niewidzialna.

Wokół mnie w nieregularnych odstępach płonęły ciemne stopy. Rozpoznawałam unoszącą się w powietrzu słodkawą woń, więc unikałam ich wzrokiem. Nie miałam zamiaru przyglądać się twarzom wampirów, na których przed chwilą dokonano egzekucji - po części z łęk, że niektóre mogłabym rozpoznać.

Choć żołnierze Volturi zazwyczaj porozumiewali się szepcąc, byli teraz tak wzburzeni, że co rusz któryś podnosił głos. Otaczali kręgiem kogoś lub coś i to pewnie o tym czymś tak zżarcie debatowali. Chciałam sprawdzić, co też do tego stopnia wyprzedzało ich z równowagi, podeszłam więc bliżej i wślizgnęłam się ostrożnie pomiędzy dwójkę zakapturzonych strażników.

Siedział na kopcu ziemi wypośrodku dorosłego człowieka. Rzeczywiście, był śliczny - takuroczy, jak to opisywał Carlisle. Miał może dwa lata, jasnobrązowe locki i buźkę cherubinka o różowitkach ustach i pełnych policzkach. Trząsł się cały i zaciskał mocno powieki, jak gdyby ze strachu przed nadchodzącą śmiercią.

Nagle poczułam nieodparte pragnienie, by uratować to biedne dziecko i to za wszelką cenę. Zagrożenie ze strony Volturi zupełnie przestało się dla mnie liczyć. Nie dbając już o to, czy zładzą sobie sprawę z mojej obecności czy nie, przepchnęłam się przez kordon i popędziłam ku chłopcu.

I niemal natychmiast się zatrzymałam, bo zwróciłam wreszcie uwagę na to, na czym siedział. Nie był to kopiec z ziemi czy kamień, lecz sterta ludzkich zwłok - bładych trupów, z których wyszło całą krew. Było już za późno na odwrócenie wzroku od ich twarzy. Znałam je wszystkie. Angella, Ben, Jessica, Mike... A tuż pod chłopczykiem ciała mojego ojca i matki.

Słodki malec otworzył powoli oczka. Blyszczały czystym szkarłatem.

I ja otworzyłam oczy.
Przez dobre kilkadziesiąt minut usiłowałam opanować drżenie i wyzwoić się na dobre spod działania snu. Kiedy tak czekałam, aż moje serce wreszcie zwolni, niebo za oknem zmieniło barwę najpierw na szarą, a później na bladoróżową.

Doszedsz do siebie, na powrót w pełni świadoma, że znajduję się w swoim zabałaganionym pokoju, odrobinię się zirykowałam. Czy naprawdę nie mogłam śnić o czymś przyjemniejszym w noc przed swoim własnym ślubem? Dostałam za swoje - nie trzeba było sobie przypominać przed zaśnięciem takich okropnych ch historii.

Słodka otrząsną się z koszmaru, ubrałam się i zesłam do kuchni, choć było jeszcze bardzo wcześnie. Posprzątałam i tak już czyste pokoje, a kiedy wstał Charlie, zrobiłam mu naleśniki. Sama byłam za bardzo spięta, żeby cokolwiek w siebie wmusić - podrygując nerwowo na krześle, przyglądałam się ojcu, jak je.

- O trzeciej masz podjechać po pana Webera - przypominałam.
- Bells, poza przywiezieniem pastora na ceremonię, nie mam dziś zupełnie nic do roboty. Nie sądzę, żebym zapomniał o swoim jedynym obowiązku.

Z okazji ślubu wziął cały dzień wolnego i musiało mu się już nudzić, bo od czasu do czasu zerkał ukradkiem na schowek pod schodami, gdzie trzymał swój sprzęt wędkarski.

- To nie twój jedyny obowiązek. Masz jeszcze się przyzwoicie prezentować.
- Wbił wzrok w swoją miskę, mrużąc pod nosem coś o robieniu z człowieka pajaca.
- Ktoś zapukał energicznie do drzwi wejściowych.
- Jeśli myślisz, że wpadłeś jak śliwka w kompot, to co ja mam powiedzieć? - spytałam skrzywiona, podnosząc się z miejsca. - Alice będzie się zęcać nade mną aż do wieczora.

Charlie pokiwiał w zamyszeniu głową, przyznając, że wycierpię więcej od niego.

Mijając go, pocałowałam czubek jego głowy - zarumienił się i odchrząknął - i otworzyłam drzwi swojej najlepszej przyjaciółce, a już niedługo i siostrze.

Alice zrezygnowała z charakterystycznej dla siebie nastroszonej fryzury na rzecz lśniących, starannie uformowanych chłozów przypiętych do głowy wsuwkami. Poważna mina zaferowanej bizneswoman śmiesznie kontrastowała z jej twarzą elfa.

- Nie zdążyłam się z nią nawet przywitać, bo bezceremonialnie wyciągnęła mnie z domu.
- Cześć, Charlie! - zawołała na odchodnym przez ramię i zanim się obejrzałam, siedziałyśmy już w jej porsche.

Dopiero tu mi się przyjrzała.

- A niech to, spojrz tylko w lusterko na swoje oczy! - Zacmokała z dezaprobatą. - Coś ty najlepszego wyprawiała? Zarwałaś noc?
- Prawie że.
- Posłała mi zagniewane spojrzenie.
- Bello, mam tylko określoną liczbę godzin na to, żeby zrobić cię na bóstwo. Mogłaś się lepiej postarać.
- Nikt nie spodziewa się, że będę wyglądać jak gwiazda filmowa. Bardziej się boję, że zasnę w środku ceremonii i przegapię moment, w którym będę miała powiedzieć „tak”, a wtedy Edward wykorzysta sytuację i ucieknie, gdzie pieprz rośnie.

Parsknęła śmiechem.

- Jakby co, rzucę w ciebie swoim bukieciem.
- Dzięki.
- Przy najmniej będziesz miała czas wyspać się jutro w samolocie. Uniosłam brew. Jutro, mówisz... Hm... Zamyśliłam się. Skoro planowaliśmy wyjechać jeszcze dziś wieczorem, a według Alice mieliśmy cały jutrzejszy dzień spędzić w samolocie, to... Cóż, w takim razie naszym celem nie było raczej Boise* [Boise - stolica Idaho, sąsiada stanu Waszyngton, w którym rozgrywa się akcja powieści] miasto to ma tylko nieco ponad sto tysięcy mieszkańców i jest dla Amerykanów synonimem prowincjonalnej dziury - przyp. tłum.] w stanie Idaho, Edward nie zdradził się do tej pory ani słowem, dołądź zabiera mnie w podróż poślubną. Nie przejmowałam się tym zbytnio, dziwnie było tylko nie wiedzieć, gdzie się miało spędzić następną noc. Ale mniejsza o to - o wiele bardziej interesowało mnie, jak ją spędzę...

Alice uzmysłowiła sobie, że o mało co byłaby się wygadała, i zmarszczyła czoło.

- Już cię spałowałam - oznajmiła mi, żeby odwrócić moją uwagę.

Podziałało.

- Alice! Dlaczego nie mogłam sama się spałować?!
- Musiałabyś poznać zbyt wiele szczegółów.
- A ty nie miałabyś pretekstu do kolejnych zakupów, tak?
- Za dziesięć krótkich godzin staniesz się moją siostrą... Najwyższy czas, żebyś zważyła w sobie tę awersję do nowych ubrań.

Naburmuszyłam się i spojrzałam w jej stronę, dopiero kiedy byliśmy już prawie pod domem.

- Wrócił już? - spytałam.
- Nie martw się, zjawi się, zanim zacnie grać muzyka. Ale i tak zobaczysz go dopiero przy ołtarzu, niezależnie od tego, o której wróci! Wszystko robimy dzisiaj zgodnie z tradycją!
- Też mi tradycyjni ślub! - prychnęłam.
- Niech ci będzie - tradycyjni poza osobami panny młodej i pana młodego.
- Przecież Edward i tak już wszystko podpatrzy!
- O, nie! To dlatego tylko ja widziałam cię do tej pory w sukni ślubnej. Miałam się przy nim na baczności i na pewno nic nie podejrzał.
- Cóż - zmieniłam temat. Skręcałyśmy właśnie w boczną drogę prowadzącą do domu Cullenów. - Widzę, że wykorzystałaś dekorację z poprzedniej imprezy.

Przez całe pięć kilometrów ciągnęły się rozwieszane na drzewach choinkowe światełka, tyle że Alice dodała do nich kołardy z białej satyny.

- Po co się miały zmarnować. Lepiej się nimi naciesić, bo dekoracji w środku domu nie zobaczysz aż do ostatniej chwili.

Wjechałyśmy do przestronnego garażu na północ od głównego budynku. Miejsce po wielkim jeepie Emmetta nadal świeciło pustkami.

- A odłądł to pannie młodej nie wolno zobaczyć dekoracji? - zaprotestowałam.
- Odłądł zgodził się, żebym to ja zorganizowała jej ślub. Chcę, żebyś zobaczyła wszystko po raz pierwszy dopiero wtedy, kiedy przy dźwiękach muzyki będziesz schodzić po schodach.

Zanim weszłyśmy do kuchni, zakryła mi oczy dłonią. We wnętrzu domu przepięknie pachniało.

- A to co? - spytałam prowadzona jak ślepiec.
- Przesadziłam? - zaniepokoiła się Alice. - Przed tobą nie było tu jeszcze żadnego człowieka. Mam nadzieję, że nie popełniłam głupstwa.
- Pachnie rewelacyjnie - zapewniłam ją. Woń była upajająca, ale nie aż tak, żeby przyprawiała o ból głowy. Tak właściwie była to mieszanka różnych woni, idealnie ze sobą skomponowanych. - Kwiat pomarańczy... bez... i coś jeszcze, prawda?

- Bardzo dobrze, Bello. Przegapiłaś tylko frezje i róże. Zdejęła mi dłoń z oczu dopiero w jej ogromnej łazience. Długi blat pod lustrem był całkowicie zastawiony produktami i przyrządami godnymi ekskluzywnego salonu kosmetycznego. Na ich widok poczułam, że mam za sobą nieprzespaną noc.
- Czy to naprawdę konieczne? Nawet jeśli spędzę tu kilka godzin, dalej będę wyglądać przy Edwardzie jak szara mysz.

Posadziła mnie siłą na różowym krześleku.

- Kiedy z tobą skończę, nikt nie ośmieli się nazwać cię szarą myszą.
- Tylko dlatego, że będą się bali, że wgrzyziesz im się w szyję - wymamrotałam.

Oparłam się wygodnie i zamknęłam oczy z nadzieją, że część czasu uda mi się przespać, i rzeczywiście, kilka razy udało mi się na chwilę zdrzemnąć. Za każdym razem, gdy się budziłam, Alice nadal się przy mnie krzątała, nie zaniebując ani jednego centymetra kwadratowego mojego ciała.

Było już wczesne popołudnie, kiedy do łazienki wśliznęła się Rosalie w połyskiewej srebrnej sukni, z włosami upiętymi na czubku głowy w coś w rodzaju miękkiej korony. Wyglądała tak zachwycająco, że zachciało mi się płakać.

Jaki sens miało strojenie się i malowanie, kiedy Rosalie przebywała w pobliżu?

- Już wrócili - powiedziała.
- Edward wrócił! Mój dziecięcy atak hysterii minął jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki.
- Tylko trzy mają go stąd z daleka! - ostrzegła Alice.
- Nie ma zamiaru cię dzisiaj drażnić - zapewniła ją Rosalie. - Za bardzo ceni sobie życie. Esme zagoniła ich do pracy w ogrodzie. Pomóc ci może w czymś? Mogłabym ją uczesać.

Rozdziawiłam usta ze zdziwienia. Potrzebowałam kilkunastu sekund, żeby przypomnieć sobie, jak się je zamyka.

Rosalie od samego początku nie darzyła mnie sympatią. A potem, co jeszcze bardziej pogorszyło panujące między nami stosunki, obraziła się na mnie śmiertelnie za to, że wybrałam tak, a nie inaczej. Chociaż była tak niewyobrażalnie piękna, chociaż miała Emmetta i kochającą rodzinę, oddałaby to wszystko bez wahania za możliwość stania się na powrót człowiekiem. A ja? To, o czym marzyła najbardziej w świecie, bezmyślnie odrzucałam.

- Czemu nie - zgodziła się z zaskakującą łatwością Alice. - Możesz już zapłacić. Chcę, żeby wyglądało to jak najbardziej misternie. Welon pójdzie tutaj, pod spód...

Wplotła mi palce we włosy. Zaczęła unosić i wykręcać kosmyki, żeby zademonstrować, o co chodzi. Po chwili jej miejsce zajęła Rosalie. Formowała moją fryzurę tak delikatnie, że ledwie czułam jej dotyk.

Skończywszy ze mną i uzy skawszy aprobatę Alice dla swojego dzieła, została posłana po moją suknię, a następnie poproszona o odnalezienie Jaspera, który powinien być już przywieźnię moją mamę i Phila z hotelu. Z parteru domu dochodził odgłos zamkniętych i otwieranych ch bezustannie drzwi wejściowych i coraz wyraźniejszy szmer ludzkich głosów.

Alice kazala mi wstać, by móc włożyć mi suknię, nie niszcząc przy tym mojej koafuury i makijażu. Kiedy zapinała mi perłowe guziki na plecach, moje kolana trzęsły się do tego stopnia, że spływające do ziemi kaskady satyny drgały niczym lustro wody na wietrze.

- Weź kilka głębokich wdechów - doradziła mi - i zrób coś, żeby serce tak ci nie waliło. Jeszcze trochę i twoja nowa twarz spłynie z potem.

Posłałam jej najbardziej sarkastyczny uśmiech, na jaki było mnie stać.

- Już się robi - wycedziłam.
- Muszę teraz iść się przebrać. Nie zlamiesz się nerwowo, jeśli zostawię cię samą na dwie minuty?
- Hm... czy ja wiem...
- Wywróciła oczami i wybiegła z pokoju.

Skłupiłam się na ruchach swoich płuc, licząc kolejne oddechy i wpatrując się we wzory, które światła łazienkowych lamp tworzyły na połyskiewej powierzchni mojej spódnicy. Bałam się spojrzeć w lustro, podejrzwając, że dopiero na widok siebie samej w sukni ślubnej dostalabym prawdziwego ataku paniki.

Alice wróciła, zanim doszłam do dwustu oddechów. Przyominająca srebrny wodospad suknia doskonale podkreślała atuty jej szczupłego ciała.

- Alice... Wow.
- To nie takie. Nikt dzisiaj nie będzie zwracał na mnie uwagi. Nie, jeśli będziesz przebywać ze mną w jednym pomieszczeniu.
- Ha, ha.
- To jak panujesz już nad sobą, czy mam zawołać Jaspera?
- Już wrócił? Mama już tu jest?
- Dopiero co weszła. Idzie właśnie po schodach tu na górę.

Renee przyłeciwała dwa dni wcześniej i spędzałam z nią, ile tylko czasu się dało - a dokładniej, te nieliczne minuty, na które udawało mi się odciągnąć ją od Esme i dekorowania domu. Z tego co zauważyłam, bawiła się przy tym lepiej niż dziecko zamknięte przez przy padek na jedną noc w Disneylandzie. W pewnym sensie czułam się z tego powodu tak samo oszukana jak Charlie. Oboje straciliśmy tyle czasu i energii, obawiając się, jak zareaguje na wieść o tym, że wychodzę za mąż...

Alice tak starannie wszystko zaplanowała, że uroczystość zaślubiny płynnie przeszła w wesele. Ceremonia zabrała dokładnie tyle czasu, aby słońce zdążyło schować się za drzewami, i nad rzeką zapadał teraz powoli zmierzch. Edward wyprowadził mnie na zewnątrz przez szklane drzwi. Białe girlandy jarzyły się w świetle światełek na drzewach, a kolejne dziesiąty tysięcy kwiatów tworzyło przewiewny wonny baldachim ponad parkietem tanecznym ulokowanym na trawie pomiędzy dwoma wiekiami mi cedrami.

Impreza zwołnia tempa, poddając się nastrojowi ciepłego sierpniowego wieczoru. Tłum rozpięzł się po ogrodzie, tworząc niewielkie grupki. Nadszedł czas na zabawę i rozmowy. Wszyscy chcieli uciąć sobie z nami pogawędkę, chociaż dopiero co składał nam życzenia.

- Moje gratulacje - zawołał Seth Clearwater, schylając się, żeby nie zderzyć się z girlandą. Jego matka, Sue, nie odstępowała jego boku, przyglądając się podejrzliwie nieznanym sobie gościom. Jej szczupła twarz przybrała wojowniczy wyraz, podkreślony dodatkowo przez krótkie jak u rekruta włosy. Ściągała je zaraz po tym, jak zrobiła to z konieczności jej córka, Leah - być może po to, by ją w ten sposób wesprzeć. Towarzyszący Clearwaterom Billy Blacknie był tak spięty jak Sue.

Kiedy spoglądałam na ojca Jacoba, miałam zawsze poczucie, że widzę nie jedną osobę, ale dwie. Pierwszą z nich był mężczyzna o czole poroanym z zmarszczkami i szerokim uśmiechu - usadowiony na wózku inwalidzkim, którego widzieli też wszyscy wokół. Ale był jeszcze drugi mężczyzna - w prostej linii potomek potężnych wodzów, budzący odruchowy respekt. Chociaż, z braku katalizatora, magiczne zdolności jego przodków nie uwewnętrzniły się w jego pokoleniu, znane z legend siły były w Billym nadal dość żywotne, by mógł je odziedziczyć jego jedyny syn. Tyle że Jacob odrzucił swoje dziedzictwo i wataha musiał dowodzić Sam Uley...

Zwazywszy na okoliczności, wydało się wręcz dziwne, że Billy jest do tego stopnia rozluźniony - czarne oczy błyszczały mu, jakby przed chwilą doszły do niego jakieś dobre nowiny. To opanowanie mi imponowało. Przecież z jego punktu widzenia ten ślub musiał być tragedią - najgorszą rzeczą, jaką mogła przydarzyć się córce jego najlepszemu przyjacielowi. Wiedziałam, że z trudem skrywa swoje prawdziwe uczucia, zwłaszcza że dzisiejsza uroczystość stanowiła poważny krok w kierunku naruszenia kilkudziesięcioletniego paktu pomiędzy Cullenami a Quileutami - paktu, który zabraniał rodzinie Edwarda stwarzać nowe wampiry. Cullenowie zdawali sobie sprawę, że sfera wie, co się święci, nie mieli jednak pojęcia, jak po fakcie zareaguje. Przed niedawnym zawarciem przymierza, moja przemiana sprokowałaby natychmiastowy atak wojny. Ale teraz, kiedy obie strony poznały się lepiej, czy wilki nie mogły po prostu nam przebaczyć?

Jak gdyby w odpowiedzi na moje pytanie, Seth pochylił się ku Edwardowi z otwartymi ramionami, a Edward uściśnął go bez wahania wolną ręką.

Zauważyłam, że Sue zadrżała.

- I wszystko dobrze się skończyło - powiedział Seth do Edwarda. Super. Az miło na was popatrzeć.

- Dzięki, Seth. Twoje słowa wiele dla mnie znaczą. - Edward odsunął się od niego i przeniósł wzrok na Sue i Billy'ego. - Wam też dziękuję. Za to, że puściliście Seta. Że pojawiliście się tutaj dzisiaj wesprzeć Bellę.

- Cała przyjemność po naszej stronie - odparł Billy swoim niskim, lekko zachrypniętym głosem.

Zaskoczył mnie jego optymistyczny ton. Być może więzy pomiędzy dwoma rasami miały się jeszcze zacieścić.

Za trójką gości z La Push utworzyła się już kolejka, więc Seth pomachał nam na pożegnanie i skierował wózek Billy'ego w stronę stołów z jedzeniem. Sue położyła Billy'emu dłoń na ramieniu, u synowi na plecach.

Przejęli nas Angela i Ben, po nich rodzice Angeli, a następnie Jessica i Mike. Ci ostatni, czego się nie spodziewałam, trzymali się za ręce. Nie wiedziałam, że znowu są razem, i ucieszyłam się, że do siebie wrócili.

Po znajomych z Forks przysła koleje na moich nowych przyzwyczajonych kuzynów - klan wampirów z Denali. Kiedy stojąca z samego przodu piękność o blond lokach, po którejch pomarańczowym odcieniu rozpoznałam Tanyę, wyciągnęła przed siebie ręce, żeby uściśnąć Edwarda, uświadomiłam sobie, że na moment wstrzymałam oddech. Towarzyszące jej trzy złotookie wampiry przyglądały mi się z nieskrywaną ciekawością. Pierwsza z kobiet miała długie, jasne włosy, proste niczym nitki kukurydzy. Włosy drugiej były czarne, podobnie jak jedynego w tej rodzinie mężczyzny, a w błędach cerach obojga zachował się jakiś ślad ich dawnej śniałości.

Wszyscy czworo byli tak niezwykle piękni, że aż mnie skłębilo.

Tanya nadal ścisnęła Edwarda.

- Och, Edwardzie - powiedziała. - Stęskniłam się już za tobą. Zaśmiał się i zwinnie wyswobodził z objęć, kładąc jej dłoń na ramieniu i odsuwając się o krok, jakby chciał się jej lepiej przyjrzeć.

- Tak, mieliśmy długą przerwę. Dobrze wyglądasz.

- Ty też.

- Pozwól, że przedstawię ci swoją żonę. - Po raz pierwszy użył publicznie tego określenia i widać było jak na dłoni, że sprawiło mu to ogromną satysfakcję. Denalczycy roześmieli się serdecznie.

- Tanyo, oto Bella.

Wampirzyca ca była dokładnie tak uroczą, jak to sobie wyobrażałam w najgorszych koszmarach. Zmierzyła mnie wzrokiem. Wydawała się raczej oceniać swoje szanse w porównaniu z dopiero co poznaną rywalką, niż godzić z porażką. Podała mi rękę.

- Witaj w rodzinie, Bello. - Uśmiechnęła się nieco smutnawo.

- Chciałabym przy okazji przeprosić cię osobiście za to, że chociaż uważamy się za członków tej rodziny, nie zachowaliśmy się, jak na bliskich krewnych przystało, kiedy... kiedy ostatnio byliście w potrzebie. Powinniśmy byli poznać cię już wcześniej. Czy jesteś w stanie nam wybaczyć?

- Oczywiście, że tak - pospieszyłam z odpowiedzią, z trudem łapiąc powietrze. - Tak mi miło, że tu jesteście.

- Może teraz, kiedy wszyscy Cullenowie są już sparowani, to do nas los się uśmiechnie, co, Kate? - Tanya uśmiechnęła się do długowłosej blondynki.

- Marzenie ściętej głowy - skwitowała Kate, wywracając oczami. Wzięła od siostry moja dłoń i ścisnęła ją delikatnie. - Witaj, Bello.

Brunetka położyła dłoń na naszym.

- Jestem Carmen, a to Eleazar. Bardzo się cieszymy, że możemy cię wreszcie poznać.

- Ja... ja też - wyjąkałam.

Tanya zerknęła za siebie na następnych w kolejce - byli to zastępca Charliego, Mark i jego żona. Wpatrywali się w Denalczylów oczami wielkimi jak spodki.

- Będziemy mieli jeszcze czas lepiej się poznać - stwierdziła Tanya. - Całe wieki! - Śmiejąc się odsunęła się ze swoimi bliskimi na bok.

Wesele przebiegało według tradycyjnego scenariusza. Kiedy kroiliśmy nasz efektowny tort, oślepiły mnie flesze (tak na marginesie tort był zresztą, moim zdaniem, zbyt duży, zważywszy na stosunkowo niewielką liczbę gości). Potem nakarmiliśmy się nim nawzajem, a Edward przelał dzielnie swoją porcję, czemu przyglądałam się z niedowierzaniem. Rzucając bukieciem, wykażalam się niespytaną u siebie zręcznością, a wianka trafiła prosto w ręce zaskoczonej Angeli. Przed zdejściowaniem podwiązki, zsunęłam ją dyskretnie niemal do łdki, ale kiedy Edward usuwał ją, jak należało, zębami, i tak splonęłam rumieńcem, a Emmett i Jasper mieli ubaw po pachy. Wynurzywszy się spod mojej spódnicy, Edward mrugnął do mnie porozumiewawczo, po czym wycełował swoją zdobycz w środek tawarzy Mike'a Newtona.

Nadszedł czas na pierwszy taniec wieczoru, zgodnie z zwyczajem, w wykonaniu młodej pary. Od zawsze panicznie bałam się tańczyć - zwłaszcza przed widownią - ale tym razem weszłam na parkiet bez oporów, nie mogąc się doczekać, kiedy znowu znajdę się w objęciach Edwarda. Prowadził mnie tak pewnie, że niczym nie musiałam się przejmować - wirowałam wdzięcznie w błyskach fleszy i poświacie rzucaanej przez baldachim choinkowych lampek

- Czy dobrze się pani bawi, pani Cullen? - szepnęła mi do ucha.

Zaśmiałam się.

- Będzie musiało trochę potwać, zanim się przyzwyczaję.

- Mamy czas - przypomniał mi przepelnionym radością głosem. Pocałował mnie, przerywając tańca. Zaczęto nam robić jeszcze więcej zdjęć niż przedtem.

Muzyka zmieniła się i Charlie poklepał Edwarda po ramieniu. Z nim tańczyć nie było mi już tak łatwo - to po nim odziedziczyłam brak zdolności w tej dziedzinie - poruszaliśmy się więc ostrożnie po kwadracie, nie miało się kolebić. Edward i Esme kręcili się tymczasem wokół nas niczym Fred Astaire i Ginger Rogers.

- Pusto będzie bez ciebie w domu. Już czuję się osamotniony. Ścisnęło mnie w gardle, ale spróbowałam obrócić jego obawy w żart.

- Mam okropne wyrzuty sumienia, że przeze mnie będziesz teraz musiał sobie sam gotować. Narażam twoje zdrowie na szwank. To karalne. Mogłbyś mnie aresztować.

Uśmiechnęłam się szeroko.

- Myślę, że jakoś to przeżyję. Ty tylko dzwoń, jak często się da.

- Obiecuję.

Zatańczyłam chyba ze wszystkimi. Miło było widzieć starych znajomych, ale tak naprawdę zależało mi tylko na przebywaniu z Edwardem. Szerze się ucieszyłam, kiedy w pierwszej minucie kolejnego tańca przeprosił mojego partnera i porwał mnie w swoje ramiona.

- Nadał nie przepadasz za Mikiem, co? - skomentowałam, kiedy znaleźliśmy się od niego w takiej odległości, że nie mógł już nas podsłuchać.

- Nie przepadam, bo muszę wysłuchiwać jego myśli. Ma szczęście, że nie wyrzuciłem go z wesela. Albo że jeszcze gorzej go nie potraktowałem.

- Mike myślał o mnie w ten sposób? Tak, tak, już ci wierzę.

- Czy w ostatnich kilku godzinach widziałaś swoje odbicie?

- Ehm... Nie, a bo co?

- W takim razie podejrzewam, że nie zdajesz sobie sprawy, jak niezwykle atrakcyjnie się dzisiaj prezentujesz. Wcale się nie dziwię, że Mike nie mógł się powstrzymać i fantazjował o tobie, chociaż jesteś już mężatką. Mam żal do Alice, że nie zmusiła cię do przejrzenia się w lustrze.

- Przeszadasz, wiesz? Jesteś zaślepiony.

Westchnął. Zatrzymał się i odwrócił mnie twarzą w stronę domu. W zajmujących całą powierzchnię ściany szbach odbijali się tańczący goście. Edward wskazał palcem na parę dokładnie naprzeciwko nas.

- Zaślepiony, mówisz?

U boku jego sobowótora stała ciemnowłosa piękność. Miała mlecznobiałą cerę bez jednej skazy i błyszczące z podekscytowania oczy obramowane gęstymi rzęsami. Rozszerzająca się subtelnie ku dołowi polyskająca biała kreacja, którą miała na sobie, przypominała odwrócony kwiat kalii. Dzięki doskonale dopasowanemu krowowi sukni nieznamom a wyglądała w niej elegancko i wdzięcznie - przy najmniej dopóki stała nieruchomo.

Nim zdążyłam mrugnąć i sprawić tym samym, by piękność przemieniła się w krojotę w moje, Edward zeszywniał zmienacka i obrócił się machinalnie w przeciwnym kierunku, jak gdyby ktoś go zawołał.

- Och.

Zmarszczył czoło, ale zaraz się uspokoił.

- Co się stało? - spytałam.

- Kolejny prezent ślubny. Niespodzianka.

- Hę?

Nie odpowiedział, tylko jak gdyby nigdy nie zaczął znowu tańczyć, manewrując mną jednak tak, abyśmy znaleźli się poza oświetlonym parkietem. Nawet tam nie przestaliśmy wirować i wkrótce odgradził nas od światła przyjęcia gruby pień jednego z sędziwych cedrów.

Edward spojrział prosto w mrok.

- Dziękuję - powiedział w przestrzę. - To bardzo... to bardzo miło z twojej strony.

- Tak miły ze mnie chłopak, prawda? - odpowiedział mi znajomy zachrypnięty głos. - Można? Nie przeszkadzam?

Dłoń powędrowała mi do ust. Gdyby nie Edward, byłaby mi się przewróciła.

- Jacob! - wykrzusiłam, gdy wrócił mi oddech. - Jacob!

- Cześć, Bells.

Zaczęłam przedzierać się niezdarnie przez ciemność. Edward podtrzymał mnie za łokieć, dopóki nie przyjął mnie ktoś równie dobrze widzący w nocy, co on. Jacob przyciągnął mnie do siebie i przez cienką warstwę satyny poczułam, jak bardzo gorąca jest jego skóra. Był najmniej nie próbował ze mną zatańczyć - przytulał mnie tylko, a ja przylgnęłam czołem do jego piersi.

Pochylił się, żeby przycisnąć mi policzek do czubka głowy.

- Rosalie mi nie wybaczy, jeśli choć raz z nią nie zatańczę - mrugnął Edward, niby to usprawiedliwiający się, dlaczego nas opuszcza, wiedziałam jednak dobrze, że tak naprawdę był to poniekąd jego prezent ślubny dla mnie - kilka chwil sam na sam z Jacobem.

- Och, Jacob... - Znowu się rozplakałam. Mówiłam niewyraźnie przez łzy. - Dziękuję.

- Prześlą ryczęć, dziewczyno. Zrzuńujesz sobie sukienkę. To tylko ja.

- Ty tylko? Och, Jake! Co to byłoby za wesele bez ciebie?

Prychnął.

- Tak, dopiero teraz może zacząć się porządna impreza. Drużba dojechał.

- Teraz są tu wszyscy, których kocham.

- Sorki za spóźnienie - szepnęła w moje włosy.

- Tak się cieszę, że cię widzę!

- I o to chodziło.

Zerknęłam w kierunku domu, ale tańczący przesłaniali miejsce, w którym ostatni raz widziałam ojca Jacoba. Nie byłam pewna, czy aby już sobie nie poszedł.

- Czy Billy wie, że tu jesteś?

Nagle zrozumiałam, że tak, bo było to jedyne wytłumaczenie tego, że był wcześniej w tak doskonałym humorze.

- Sam musiał mu powiedzieć. Wpadnę do niego, jak ty lko... jak tylko będzie po weselu.

- Sprawisz mu na pewno ogromną przyjemność.

Odsunął się ode mnie odrobinę i wyprostował się. Lewą dłonią obejmował mnie cały czas za szyję, a prawą wziął mnie za rękę i przycisnął ją sobie do piersi. Pocałował pod palcami, jak bije mu serce, i domyśliłam się, że nie wybrał tego miejsca przy padkowie.

- Nie wiem, czy dane mi będzie więcej niż ten jeden taniec - powiedział, zaczynając powoli się kołysać, co zupełnie nie pasowało do dochodzącej z oddali muzyki - więc muszę się naprawdę postarać.

Tańczyliśmy w rytmie uderzeń jego serca.

- Ciesz się, że przyszedłem - odezwał się cicho po chwili - a nie sądziłem, że tak będzie. Myślałem, że zrobi mi się smutno. Ale dobrze cię znowu widzieć.

- Nie chcę, żeby było ci smutno.

- Wiem. A ja nie przyszedłem tutaj, żeby wywołać w tobie poczucia winy.

- Coś ty. Jestem przeszczęśliwa, że się zjawiliś. To najlepszy prezent, jaki mógłbyś mi dać.

Zaśmiał się.

- To dobrze, bo nie miałem czasu wpaść po drodze do żadnego sklepu.

Oczy przyzwyczajały mi się do ciemności i dostrzegłam kontury jego twarzy, tyle że wyżej, niż się tego spodziewałam. Czy to możliwe, że ciągle rósł? Musiał już mieć dobrze ponad dwa metry. Z ulgą upewniłam się, że poza tym nic a nic się nie zmienił - nadal miał wystające kości policzkowe, oczy głęboko osadzone pod krzaczastymi brwiami, idealnie białe zęby i pełne wargi, wykrzywione w sarkastycznym uśmiechu pasującym do tonu jego głosu. Wyglądał jednak na spiętego - miał się na baczności. Robił to wszystko, żeby mnie uszczęśliwić, i bardzo się starał, żeby nie okazać, jak wiele go to kosztowało.

- Nie zasługiwałam na tak wspaniałego przyjaciela, jak Jacob.

- Kiedy postanowiłeś wrócić?

- Świadomie czy nieświadomie? - Zanim sam odpowiedział sobie na to pytanie, wziął głęboki wdech. - Tak naprawdę to sam nie wiem. Właściwie to już od pewnego czasu kierowałem się w stronę domu. Może coś mnie tu ciągnęło?

Ale dopiero dzisiaj rano zacząłem skłapać się na tym, żeby zdążyć na czas. I przejmować się, że mi się to nie uda. Biegłem jak szalony. - Zaśmiał się, kręcąc głową. - Nawet nie wiesz, jakie to niezwykłe uczucie chodzić znowu na dwóch nogach. I mieć na sobie ubranie! Tym bardziej, że nie spodziewałem się, że będzie mi dziwnie być znowu człowiekiem. Wyszedłem już z wprawy.

Cały czas tańczyliśmy.

- Ale było warto, choćby tylko po to, żeby cię taką zobaczyć. To niesamowite. Jesteś taka piękna.

- Alice poświęciła mi dziś bardzo dużo czasu. No i pamiętaj, że tu jest ciemno.

- A ty nie zapominaj, że widzę w ciemnościach.

- No tak.

Ach, te wystrzone zmysły wilkołaków. Tak łatwo wylatywało mi z głowy, ile potrafił. Wydawał się być zwykłym człowiekiem. Zwłaszcza teraz.

- Ostrzygłeś się - zauważyłam.

- Tak. Pomyślałem, że zrobię przy okazji jakiś użytek z rąk. Bez nich jest z tym trochę kłopotu.

- Ładnie ci tak - skłamałam.

Znowu prychnął.

- Jasne, nie ma jak zarządzać kuchenne nożyczki. - Uśmiechnął się szeroko, ale szybko spowaźniał. - Bella, jesteś szczęśliwa?

- Tak.

- To dobrze. - Wzruszył ramionami. - To chyba najważniejsze.

- A ty, jak się miewasz? Tak naprawdę?

- Jest okej. Nie zamartwiam się o mnie tyle. Przystań dręczyci Seta.

- Nie wydzwaniam do niego, żeby go dręczyć. Po prostu go lubię.

- Tak, to dobry dzieciak. Akurat w jego towarzystwie całkiem dobrze się czuję. Mówię ci, gdybym mógł się pozbyć tych głosów z mojej głowy, bycie wilkiem byłoby super.

Zaśmiałam się na myśl, jak by to ostatnie zdanie musiało zabrzmieć w uszach jakiegoś przypadkowego świadka naszej rozmowy.

- Tak, u mnie też ty lko gadają i gadają.

- Gdybyś ty słyszała jakieś głosy, toby oznaczało, że jesteś nienormalna. Ale zaraz, przecież ty jesteś nienormalna - zażartował.

- Dzięki.

- Pewnie łatwiej jest być chorym psychicznie niż wilkołakiem. Głosy z głowy wariatów nie nasylają na nich nianiek, żeby te miały ich na oku.

- Nianiek?

- Sam jest w pobliżu. I kilkoro innych. No wiesz, tak na wszelki wypadek.

- Na wypadek czego?

- Na wypadek, gdybym przestał się kontrolować, czy coś. Gdybym postanowił rozwalić to przyjęcie. - Po jego twarzy przemknął uśmiech. Pewnie miały na to ochotę. - Nie bój się, nie przyszedłem tu po to, żeby zepsuć ci wesele. Przyszedłem tu po to, żeby... - nie dokończył.

- Żeby moje wesele było idealne.

- Masz wobec mnie bardzo duże wymagania.

- No to dobrze, że sam jesteś taki duży.

Jęknął, słysząc tak kiepski dowcip, a potem westchnął.

- Przyszedłem tu po to, żeby pokazać ci, że jestem twoim przyjacielem. Twoim najlepszym przyjacielem. To nasz ostatni wieczór.

- Sam powinien ci bardziej ufać.

- Czy ja wiem, może jestem przewrażliwiony na swoim punkcie. Może są tu raczej ze względu na Seta. Naprawdę dużo tu wampirów. Seth nie podchodzi do tego tak poważnie, jak by wypadało.

- Seth wie po prostu, że nic mu nie grozi. Rozumie Cullenów lepiej niż Sam.

- Niech ci będzie - zażegnał pospiesznie potencjalny konflikt.

Jacob dyplomatą? Pocałował się dziwnie.

- Przykro mi, że musisz słyszeć te głosy - powiedziałam. - Tak bardzo chciałbym móc jakoś temu zaradzić.

Temu i wielu innym rzeczom.

- Nie jest tak źle. Tak sobie tylko narzekam.

- A ty... jesteś szczęśliwy?

- Na ile to możliwe. Ale koniec gadania o mnie. To twój dzień. - Zaśmiał się. - Zażość się, że jesteś w swoim żywiole. Tyle godzin w centrum zainteresowania...

- Tak - Nigdy mi tego za wiele.

Znowu się zaśmiała, a potem spojrzał w dół ponad moją głowę. Powiodłam wzrokiem za jego spojrzeniem. Z zacisniętymi ustami przyglądał się światelkom na drzewach, wirującym tancerzom i płatkom kwiatów odrywających się od girland. Wszystko to wydawało się być bardzo odległe od ciemnego, cichego miejsca, w którym się oboje znajdowaliśmy. Wrażenie było takie, jakbyśmy przyglądali się płatkom szlachetnego śniegu w szklanej kuli.

- Jednego im nie można odmówić - stwierdził - talentu do wyprawiania przyjęć.

- Na Alice nie ma siły.

Westchnął.

- Piosenka się skończyła. Myślisz, że dadzą nam przetańczyć jeszcze jedną? Czy już przeciągam strunę?

Ścisnęłam go mocniej.

- Możemy przetańczyć tyle piosenek, ile ci się tylko podoba.

Zaśmiał się.

- To by dopiero było ciekawe doświadczenie. Pozwól jednak, że zostaniemy przy dwóch. Nie chciałbym, żeby ludzie zaczęli plotkować.

Znowu zaczęliśmy się kołysać.

- Myślałbyś kto, że się już przyzwyczaiłem do żegnania się z toną - mruknął.

Spróbowałam przełknąć gulę, która pojawiła się w moim gardle, ale mi się to nie udało. Jacob spojrzał na mnie i ścisnął brwi. Starł mi palcami łzy z policzka.

- To ja powinienem tu płakać, Bello. Na weselach każdy płacze - odparłam. Wszystko idzie zgodnie z twoim planem, prawda?

- Tak.

- No to się uśmiechnij. Posłuchałam go, ale wyszedł z tego grymas, który tylko go rozśmieszy.

- Właśnie taką chciałbym cię zapamiętać. Będę wmawiał sobie, że...

- Że co? - przerwałam mu. - Że nie żyję?

Zacisnął zęby. Walczył z sobą, żeby po naszym spotkaniu pozostały mi i jedynie miłe wspomnienia. I tak domyślałam się, co chciał powiedzieć.

- Nie - odpowiedział w końcu. - Ale będę wyobrażał sobie, że ciągle tak wyglądasz. Zaróżowione policzki. Bijące serce. Dwie lewe nogi. Wszystko ze szczegółami.

Rozmyślnie z całej siły nadepnęłam mu na stopę. Uśmiechnął się.

- Cała ty.

Chciał dodać coś jeszcze, ale szybko zamknął usta i znowu zacisnął zęby, powstrzymując się od palnięcia głupstwa.

Kiedyś wszystko było takie proste. Przebywanie w towarzystwie Jacoba było dla mnie czystym relaksem. Ale potem wrócił Edward i nasza przyjaźń została wystawiona na próbę. Stało się tak, ponieważ - zdaniem Jacoba - wybierając Edwarda, wybierałam los gorszy od śmierci, a co najmniej jej ekwiwalent.

- No, co? - ośmieliłam go. - Powiedz mi. Mi możesz powiedzieć wszystko.

- To nie tak. Widzisz... Nie mam ci nic do powiedzenia.

- Przystań, Jake. No, wyrzuć to z siebie.

- Ale to prawda. To nie... To... to pytanie. Chciałbym, żebyś ty coś mi powiedziała.

- Wał śmiało.

Walczył z sobą przez kolejną minutę. Wreszcie zrobił głośno wydech.

- Tak nie wypada. Zresztą, to nie ma znaczenia. Po prostu tak bardzo chciałbym wiedzieć...

Nie musiał kończyć - zrozumiałam.

- Jeszcze nie dziś - szepnęłam.

Tak dobrze go znalazłam. Pragnął, żebym pozostała człowiekiem, jeszcze bardziej niż Edward. Każde uderzenie mojego serca było dla niego świętością. Odliczał je z narastającym niepokojem.

- Ach, tak? - powiedział, usiłując zamaskować, jak wielką czuje ulgę. - No tak

Zmieniła się muzyka, ale tym razem tego nie zauważyłam.

- To kiedy? - wyszeptał.

- Nie jestem pewna. Za tydzień, może dwa.

Ratował się, pokrywając swoje zdenerwowanie kpiną.

- A cóż cię zatrzymuje? - zadrwił.

- Po prostu nie chcę spędzić swojego miesiąca miodowego wijąc się z bólu.

- A jak wolisz go spędzić? Grając w warcaby? Ha, ha.

- Bardzo zabawne.

- Zartuję, Bells. Ale, szczerze, nie widzę w tym sensu. I tak nie możesz mieć teraz ze swoim wampirem prawdziwego miodowego miesiąca, więc po co odstawić całą tę szopkę? Załatwcie to jak najszybciej. Przynajmniej nie będziecie musieli tyle na siebie czekać. Chociaż - wtrącił szczerze - jak dla mnie, to dobrze, że tak w końcu do oddadacie. No, co się tak rumienisz?

- A odczep się! - warknęłam. - A właśnie, że mogę mieć prawdziwy miesiąc miodowy! Mogę robić wszystko, na co tylko mam ochotę! Z niczym nie będziemy musieli czekać!

Zatrzymałam się raptownie. W pierwszym odruchu, sądząc, że zaraz się pożegna, do zauważyłam wreszcie, że leci już nowa piosenka, zaczęłam zastanawiać się gorączkowo, jakby tu załagodzić sprawę i rozstać się w zgodzie. Ale potem wytrzeszczyłam oczy i dostrzegłam w nich przeżenienie.

- Co takiego? - wykrztusił. - Powtórz, co powiedziałaś!

- Co mam powtórzyć? Jake? O co ci chodzi?

- Co ty najlepszego wygadujesz? Że możesz mieć prawdziwy miesiąc miodowy? Będąc nadal człowiekiem? Nabijasz się ze mnie? Jak możesz nabijać się z czegoś takiego? To chore! Wzbiła we mnie gniew.

- Powiedziałam ci, żebyś się odczepił! Nie twój interes! Jak można... Nie powinniśmy w ogóle o tym rozmawiać! To... to moja prywatna sprawa!

Jake chwycił mnie za ramiona, wbijając mi palce w ciałko.

- Auć! To boli! Puszczaj!

Potrząsnął mną.

- Bella, oszalałaś?! Nie możesz być aż taka głupia! Błagam, powiedz mi, że to głupi dowcip!

Znowu mną potrząsnął. Jego rozedrgane dłonie wysyłały wibracje w głębi moich kości.

- Jake, przestań!

W ciemności wokół nas nagle się zakotłowało.

- Puszczaj ją w tej chwili! - Głos Edwarda był zimny jak stal i ostry jak brzytwa.

Zza pleców Jacoba dobiegł niski charkot, a potem drugi, głośniejszy.

- Jake, wyluzuj! - odezwał się skądś Seth Clearwater. - Tracisz nad sobą kontrolę!

Jacob stał nieruchomo, wpatrując się we mnie szeroko otwartymi oczami.

- Zrobisz jej krzywdę - ciągnął Seth cicho. - Puść ją.

- Ale to już! - rozkazał Edward.

Jacob opuścił ręce. Krew, powracająca do moich ramion niemal sprawiła mi ból. Zanim zdołałam w jakikolwiek sposób zareagować, gorące dłonie wilkolaka zastąpiły lodowate wampira, moje stopy oderwały się od ziemi, a wszystkie dźwięki zagłuszył szum powietrza.

Zdążyłam ledwie mrugnąć i już stałam dwa metry dalej. Przede mną Edward szykował się do kolejnego skoku. Pomiędzy nami a Jacobem pojawiły się dwa ogromne wilki, które najwyraźniej nie miały jednak zamiaru mnie atakować, a jedynie nie chciały dopuścić do bójki. Zaś Seth - patykowaty, piętnastoletni Seth - zaciskał karczowo swoje długie ramiona wokół dygoczącego Jacoba i odciągał go na bok.

Jest tak blisko, pomyślałam. Jeśli Jacob przeobrazi się teraz w wilka...

- Spokojnie, Jake. Chodźmy już. No, chodź.

- Zabiję cię! - syknął Jacob. Pewnie chciał krzyknąć, ale emocje dławily mu gardło. Świdrował Edwarda wzrokiem, a jego oczy miały błyskawice. - Zabiję cię własnoręcznie! I to zaraz! - Jego ciało przeszedł potężny dreszcz.

Większy z wilków, czarny, warknął ostrzegawczo.

- Puszczaj go, Seth - zażądał Edward, ale Seth ponowił próbę, a Jacob, skupiony na czym innym, pozwolił odciągnąć się do kolejnego metra.

- Nie rób tego, Jake. Wycofaj się. No, chodź.

Sam - bo to on był czarnym basiosem - dołączył do Seta i zaczął napierać na Jacoba, oparłszy czoło o jego pierś. Podzielało. Szybkim zniknęli w trójkę w ciemnościach: Seth ciągnąc, Jake trzęsąc się, a Sam pchając.

Drugi wilk przyglądał się tej dziwnej scenie. W słabym świetle nie byłam pewna, jakiego koloru miał sierść. Barwy czekolady? Czyżby był to Quil?

- Przepraszam - szepnęłam do niego.

- Już wszystko w porządku, Bello - zapewnił mnie Edward. Basior spojrział na niego nieprzyjaźnie. Edward skinął głową.

Wilki przychnęły i ruszyły za pobratymcami. Po chwili zniknęły bez śladu.

- Już po wszystkim - mruknął do siebie Edward. - Wracajmy zwrócić się do mnie.

- Ale Jake...

- Nie przejmuj się nim. Sam ma wszystko pod kontrolą.

- Tak strasznie mi głupio, Edwardzie. Zachowałam się jak idiotka...

- To nie twoja wina.

- Po co się na niego zdenerwowałaś?! Tak bardzo się stara! Co ja sobie, głupia, myślałam, że co osiągnę?!

- Nie zdręczaj się. - Dotknął mojej twarzy. - Musimy wrócić na wesele, zanim ktoś zorientuje się, że nas nie ma.

Pokręciłam głową, starając się zrozumieć, o co mu chodzi. Zanim ktoś się zorientuje? To ktoś mógł przegapić to zajście?

Ale kiedy zastanowiłam się nad tym dłużej, uświadomiłam sobie, że to, co mi wydawało się godne zbiegowiska, w rzeczywistości było krótką i cichą wymianą zdań kilku skrytych w cieniu osób.

- Chwila - poprosiłam.

W moim sercu panowała załoba, a w głowie zamęt, ale wszystko to nie miało teraz znaczenia - liczył się mój wygląd. Wiedziałam, że sztukę kamuflażu muszę doprowadzić do perfekcji.

- Jaktam suknia?

- Prezentujesz się idealnie. Nawet fryzura ci się nie rozspala. Wzięłam dwa głębokie wdychy.

- Okaj. Możemy iść.

Objął mnie ramieniem i podprowadził do parkietu, a kiedy znaleźliśmy się pod baldachimem lampek, zakręcił mną dookoła. Wkrótce wirowaliśmy wśród innych par, jak gdybyśmy nigdy nie przerywali tańca.

- Nic ci...

- Nic a nic. Nie mogę tylko uwierzyć, że to zrobiłam. Co jest ze mną nie tak?

- Nic nie jest z tobą nie tak.

Tak bardzo ucieszyłam się na widok Jacoba. I doskonale wiedziałam, jakie to dla niego poświęcenie. A mimo to, wszystko zniszczyłam, zmieniłam jego prezent w katastrofę. Powinnaś się była leczyć.

Żeby tego wieczoru nie zrujnować swoją głupotą nic więcej, postanowiłam sprawę Jacoba odłożyć do szuflady i zająć się nią później. Będziesz miała jeszcze wiele czasu, żeby to sobie wypominać, pomyślałam. Na razie i tak nie możesz tu pomóc.

- Sprawa zamknięta - powiedziałam. - Nie wracajmy już do niej dzisiaj.

Spodziewałam się, że Edward się ze mną zgodzi, ale odpowiedziała mi cisza.

- Co jest?

Zamknął oczy i przytknął czoło do mojego czoła.

- Jacob ma rację. Co ja sobie wyobrażam, że kim jestem, cudotwórcą?

- Nieprawda. - Staralam się zachować normalny wyraz twarzy w razie, gdyby obserwowali mnie goście. - Jacob jest zbyt uprzedzony, żeby rozsądnie to rozważyć.

Edward coś wymamrotał. Wydało mi się, że wyłapałam: „trzeba było dać się mu zabić” i „co ja sobie wmawiam”.

- Przestań - przerwałam mu ostro. Ujęłam jego twarz w dłonie i zaczęłam, aż otworzył oczy. - Ty i ja. Nic innego się nie liczy. Nie pozwalałam ci myśleć teraz o niczym innym, zrozumiano?

- Tak - westchnął.

- Zapomnij, że Jacob w ogóle tu był. - Sama zamierzałam dokładnie tak postąpić. - Dla mnie. Obiecuję, że dasz sobie z tym spokój.

Przez moment patrzyłam prosto w oczy.

- Obiecuję.

- Dziękuję. I pamiętaj, że wcale się nie boję.

- Ale ja się boję - szepnął.

- To przestań. - Wzięłam głęboki wdech i uśmiechnęłam się. - A tak w ogóle, kocham cię.

- To dlatego tu jesteśmy. - Z trudem zmusił się do uśmiechu.

- Dostyc tego - wtrącił się Emmett, stając za jego plecami. - Ja też chcę zatańczyć z panną młodą. Z moją małą siostrzyczką. Może to ostatnia okazja, żeby wywołać na jej twarzy rumieniec. - Zasinał się głośno, jak zwykle niezaruszony napiętą sytuacją.

Okazało się, że nie tańczyłam jeszcze z całą masą ludzi, ale tańcząc mogłam przynajmniej się uspokoić i kiedy Edward odzyskał mnie po kilkudziesięciu minutach, szufladka z napisem „Jacob” była już zamknięta na klucz. Czując wokół siebie jego silne miniona, poddałam się na nowo szczęściu, odzyskując pewność, że wszystko nareszcie jest w zupełnym porządku. Uśmiechnęłam się i złożyłam Edwardowi głowę na piersi. Przytulił mnie do siebie jeszcze mocniej.

- Mogłabym się do tego przyzwyczaić - oznajmiłam.

- Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że przekonałaś się do tańca?

- Nie jest tak źle - z tobą za partnera. Ale chodziło mi bardziej o to. - Przywarłam do niego z całych sił. - Chciałabym móc już nigdy się z tobą nie rozstawać.

- Na zawsze razem - obiecał mi, pochylając się, żeby mnie pocałować.

Całował mnie bardzo na serio - powoli, ale coraz namiętniej... Zdążyłam zapomnieć o bożym świecie, lecz na ziemię sprowadził mnie głos Alice:

- Bello, czas się przebrać!

Czy naprawdę nie mogła zacząć?

Edward zignorował siostrę i naparł na moje wargi z jeszcze większą energią. Serce waliło mi jakoszałale, a zaczięnięte na szyi Edwarda dłonie pokryły krople potu.

- Chcecie spóźnić się na samolot? - Alice nie dawała za wygraną. - Spędzicie uroczny miesiąc miodowy, koczując w hali odłotów.

Edward odsunął się ode mnie tylko na ułamek sekundy.

- Sió! - mruknął i zabrał się z powrotem do całowania.

- Bello, chcesz polecieć ubrana w suknię ślubną?

Puściłam jej pytanie mimo uszu. Zresztą, było mi naprawdę wszystko jedno.

Alice jęknęła cicho.

- Powiem jej, dokąd ją zabierasz - zagroziła Edwardowi.

Zamarł na moment, a potem spiorunował ją wzrokiem.

- I pomyśleć, że coś tak małego, może tak działać człowiekowi na nerwy.

- Nie po to naszukałam się idealnej sukienki na podróż, żeby teraz się miała zmarnować - odpyskowała. - Idziemy - zakomenderowała, biorąc mnie za rękę.

Zaparałam się, żeby móc pocałować go jeszcze choć raz, ale pociągnęła mnie niecierpliwie za sobą. Kilko z przyglądających się nam gości zachichotało. Poddałam się, żeby nie robić z siebie pośmiewiska, i pozwoliłam odprowadzić się do pustego domu.

Alice wyglądała na żelazszczożoną.

- Przepraszam.

- To nie twoja wina - westchnęła. - Po prostu nad sobą nie panujesz.

Jej mina mężczyzny rozbawiła mnie. Zmarszczyła czoło.

- Dziękuję, dziękuję za najpiękniejsze wesele w historii - powiedziałam szczerze. - Wszystko było super. Jesteś najlepszą, najmądrzejszą, najbardziej utalentowaną siostrą pod słońcem.

Starczyło, by poprawić jej humor. Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

- Cieszę się, że ci się podobało.

Na górze czekały Renee i Esmé. We trójkę błyskawicznie przebrały innie w wybrany przez Alice granatowy zestaw. Ktoś wyjął mi z włosów szpilki i pozwolił skrócićm puklom opaść swobodnie na plecy, za co byłam wdzięczna, bo uratowało mnie to przed bólem głowy.

Mama ani na moment nie przestała słochoać. Zadzwonię, jak tylko będziemy na miejscu - przyrzekłam, tuląc ją na pożegnanie. Wiedziałam, że cierpi katusze, zachodząc w głowę, dokąd też mnie Edward wywozi. Nie znosiła sekretów, chyba że była w niej wtajemniczona.

Alice przebiła tę obietnicę.

- Powiem ci, jak tylko pojadą na lotnisko.

Czy li miałam dowiedzieć się ostatnia? To nie było fair!

- Musisz nas wkrótce odwiedzić. I to jak najszybciej. Teraz twoja kolej. Powygrzewasz się wreszcie na słończku - ta pogoda tutaj...

- Dzisiaj nie padało - przypomniałam jej, zmieniając temat.

- To cud.

- Wszystko gotowe - powiedziała Alice. - Twoje walizki są już w samochodzie - Jasper wyprowadza go właśnie z garażu.

Pociągnęła mnie za sobą ku schodom. Renee poszła z nami, nadal się do mnie tuląc.

- Kocham cię, mamó - szepnęłam, kiedy schodziliśmy na dół. Jak to dobrze, że masz Phila. Dbajcie o siebie.

- Też cię kocham, skarbie. Moja mała.

- Pa. Kocham cię - powtórzyłam przez ściśnięte gardło.

Edward czekał na mnie u stóp schodów. Wzięłam go za rękę, ale wzrokiem zaczęłam przeczesywać zgromadzony w salonie tłumek pragnących pożegnać nas osób.

- Tato? - zawołałam, rozglądając się.

- Tam - mruknął Edward.

Poprowadził mnie wśród gości, którzy grzecznie ustępowali nam miejsca. Znaleźliśmy Charliego opartego pod dziwnym kątem o ścianę - wyglądało to trochę tak, jakby się chował. Czerwone obwódki wokół jego oczu wyjaśniały

dłaczego.

- Och, tato!

Kiedy objęłam go w pasie, po policzkach znowu pociekły mi łzy - wyjątkowo dużo dzisiaj płakałam. Poklepał mnie po plecach.

- Już dobrze, już dobrze. Bo spóźnisz się na samolot.

Z trudem mówiłam przy Charlie'm o swoich uczuciach. Pod tym względem byliśmy do siebie podobni - żeby umknąć skrópowania, ratowaliśmy się, wspominając coś trywialnego. Ale teraz musiałam zachować się dojrzałe.

- Pamiętaj, że zawsze będę cię kochać, tato.

- Ja też cię kocham, Bells. I nigdy nie przestanę.

Pocałowałam go w policzek w tym samym momencie, gdy on pocałował mój.

- Zadzwoń - poprosił.

- Jak tylko będę mogła - obiecałam, wiedząc, że nie mogę mu przyrzec nic więcej. Nic więcej prócz sporadycznych telefonów. Moi rodzice mieli mnie już nigdy nie zobaczyć - za bardzo miałam się zmienić, a przede wszystkim miałam stać się dla nich zbyt niebezpieczna.

- Czas na ciebie. No, bo spóźnisz się na samolot.

Goście znowu się przed nami rozstąpili. Edward przytulił mnie mocno do swego boku.

- Gotowa?

- Tak

- Nie kłamałam.

Kiedy pocałował mnie na progu, wybuchł brawa. A kiedy wybiegliśmy przed dom, posypał się ryż. Większość ziaren nas omijała, ale ktoś - prawdopodobnie Emmett - celował z zabójczą precyzją w plecy Edwarda, a we mnie trafiało sporo z tego, co odbijało się od nich rykoszetem.

Samochód upiększała ogromna ilość kwiatów, upiętych w sznury ciągnące się na całej jego długości. Z tylnego zderzaka zwisały pęki długich zwiewnych wstążek i jakiś tuzin butów - na oko zupełnie nowych i w dodatku ekskluzywnych marek

Wsiadałam do środka, a Edward osłaniał mnie przed strugami ryżu. Po krótkiej chwili znalazł się za kierownicą i odpałił silnik.

- Kocham was wszystkich! - zawołałam, machając przez okno do swoich bliskich. Oni też machali.

Tuż przed tym, zanim weranda, na której stali, znikła mi z oczu, mój wzrok padł na rodziców. Phil czule przytulał do siebie Renee, a ona obejmowała go w pasie, ale też trzymała za rękę Charliego. Tyle różnych odcieni miłości, pomyślałam, ale wszystkie ze sobą w harmonii. Ten obrazek napawał mnie nadzieją.

Edward ścisnął moją dłoń.

- Kocham cię - powiedział.

Oparłam mu głowę o ramię. To dlatego tu jesteśmy - zacytowałam go.

Pocałował mnie we włosy.

Kiedy wyjechaliśmy na główną drogę, a Edward dodał gazu, ponad pomruk silnika wybił się dobiegający z lasu dźwięk. Skoro byłam w stanie go usłyszeć, Edward słyszał go także, nie odezwał się jednak ani słowem, a i ja w żaden sposób go nie skomentowałam.

Przeszywające, rozpaczliwe wycie zanikało stopniowo, aż w końcu zapadła cisza.

- Houston? - spytałam zdziwiona, kiedy doszliśmy do naszej bramki na lotnisku w Seattle.

- To tylko kolejny przytanek w podróży - wyjaśnił Edward z zawiadczym uśmiechem.

Kiedy mnie obudził w Teksasie, miałam wrażenie, że dopiero co zasnęłam. Szurając nogami, dałam się ciągnąć przez hale terminali, usiłując nie zapomnieć, że po każdym mrugnieniu otwiera się oczy.

Zatrzymaliśmy się przy stanowisku odpraw dla lotów między narodowych, ale musiało minąć kilka minut, zanim zorientowałam się, co jest grane.

- Rio de Janeiro? - wyrzuciłam.

- Kolejny przytanek - poinformował mnie enigmatycznie.

Lot do Ameryki Południowej trwał wiele godzin, ale w szeroki fotelu pierwszej klasy było całkiem wygodnie, zwłaszcza, że Edward nie wypuszczał mnie z objęć. Obudziłam się dopiero, gdy kołując, zniżyliśmy się ku lotnisku - tym razem zupełnie wyspana i w stu procentach przytomna.

Wbrew temu, czego się spodziewałam, zamiast zacząć na przesiadkę, wzięliśmy taksówkę i zaczęliśmy się przedzierać przez tętniące życiem ulice Rio. Zapadał zmierzch. Nie rozumiałam, co Edward mówi po portugalsku do kierowcy, podejrzewałam jednak, że przed kolejnym etapem podróży mamy zanoćować w hotelu. Na myśl o tym poczułam wręcz paraliżującą treść.

Thum na ulicach nieco zrzędnął. Znajdowaliśmy się w najdalej na zachód wysuniętej części miasta i kierowaliśmy się w stronę oceanu.

Wysiedliśmy w porcie.

Edward poprowadził mnie wzdłuż przycumowanych do brzegu jachtów. Ich biel kontrastowała z głęboką czernią wody. Ten, przy którym się zatrzymaliśmy, choć równie luksusowy, był mniejszy od pozostałych, a i bardziej od nich opływowy - najwyraźniej zbudowano go z myślą o tym, by rozwijał jaknajwyższą prędkość, a nie po to, by mieścić jaknajwięcej pasażerów.

Edward przeskoczył lekko przez reling, chociaż niósł nasze walizy. Odstawiwszy je, odwrócił się, żeby pomóc mi dostać się na pokład.

Przyglądałam się w milczeniu, jak szykuje jacht do wypłynięcia w morze, zaskoczona, z jaką pewnością i znawstwem to robi. Nigdy mi nie wspominał, że interesuje się żeglarstwem. Ale z drugiej strony, nie było przecież chyba dziedziny, w której nie byłby dobry.

Popłynęliśmy na wschód, na otwarty ocean. Przypominałam sobie gorączkowo podstawy geografii. O ile dobrze pamiętałam, nu wschód od Brazylii nie już właściwie nie było. Nic... aż do wybrzeży Afryki.

Edward gnał jednak śmiało dalej, aż światła Rio zaczęły się zmywać, a wreszcie znikły za horyzontem. Na twarzy mojego towarzysza widniał znajomy uśmiech, jaki nieodmiennie wywoływał u niego pęd. Jacht prul dziobem fale i był wodny osiadł mi na skórze i we włosach.

Powstrzymałam się długo, ale ciekawość w końcu wzięła nade mną górę.

- Daleko jeszcze? - spytałam.

Nie byłoby to do niego podobne, gdyby zapomniał, że jestem człowiekiem, ale zaczęłam się już zastanawiać, czy aby nie planuje spędzić na tej łupinie kilku dni.

- Jakies pół godziny.

Zauważyłam, jak kurczowo trzymam się siedzenia, i znowu łobuzersko się uśmiechnęłam.

No cóż, pomyślałam, jak się podróżuje z wampirem, to trzeba być gotowym na wszystko. Może płynęliśmy na Atlantyde?

- Spójrz tam! - zawołał dwadzieścia minut później, przekrzykując silnik.

Z początku nie widziałam w ciemnościach nic prócz białego trąkotu odbijającego się w wodzie księżycy, ale wpatrywałam się we wskazany mi punkt tak długo, aż wreszcie wyłowiliam odcinający się od połyskliwych fal czarny kształt. Zmrużywszy oczy, dostrzegłam więcej szczegółów. Z grubsza był to trójakt, o jednym boku opadającym ku wodzie łagodniej niż drugi. Kiedy podплыliśmy bliżej, jego krawędzie okazały się być dziwnie rozdrżane i pierzaste.

Nagle zrozumiałam, że przed nami wyłania się z wody wyspa i patrzę na kołyszące się na wietrze palmy. Piaszczysta plaża odbijała błado światło księżycy.

- Co to? - wyszeptalam.

Edward zmienił kurs, kierując jacht ku północnemu skrajowi lądu. Usłyszał mnie mimo warkotu silnika, i uśmiechnął się szeroko.

- To Wyspa Esme.

Zwolnił, by móc dobić z precyzją do krótkiego drewnianego pomostu. Kiedy zgasił silnik, uderzył mnie spokój wokół. Nie slychać było nic prócz lizających burty fal i szumiącej w koronach palm bryzy. Powietrze było tu nagrzane, wilgotne i wonne - jak w zaparowanej łazience po gorącym prysznicu.

- Wyspa Esme?

Wciąż szeptałam, ale mój głos i tak nieprzyjemnie przeciął ciszę.

- Prezent od Carlisle'a. Esme zaoferowała się, że pożyczę nam ją na czas trwania naszego miodowego miesiąca.

Prezent? Kto daje występ w prezencie? Zmarszczyłam czoło. Nie zdawałam sobie sprawy, że to przybrani rodzice zamarszczyli Edwarda być tak niezwykłe hojnym.

Postawił bagaże na pomoście, wrócił, ale zamiast pomóc mi wysiąść, wziął mnie zienacka na ręce. Zeskoczył z jachtu, jakby mi ważyła tyle, co piórko.

- Nie powinienes być z tym zacząć, aż staniami przed jakimś progiem? - spytałam, z trudem łapiąc dech.

- Jestem po prostu bardzo skrupulatny - odparł z uśmiechem. Bynajmniej mnie nie puszczając, chwycił rączki obu waliz jedną ręką i zszedłszy z pomostu, ruszył piaszczystą ścieżką w głąb tropikalnego lasu. W gęstwinie było zupełnie ciemno, ale już po krótkiej chwili za liśćmi zamigotało ciepłe, przyjemne światło. Uświadamiałam sobie, że to dom i że światło pada z dwóch wielkich, kwadratowych okien widniejących po obu stronach drzwi wejściowych - i wróciła do mnie trema, jeszcze silniejsza, niż wtedy, kiedy w Rio sądziłam, że jedziemy do hotelu.

Serce załomotało mi o żebra, a ściśnięte gardło przestało dopuszczać powietrze do płuc. Poczułam na sobie wzrok Edwarda, ale wołałam na niego nie patrzeć. Niewidzący mi oczami, gapiłam się uparcie przed siebie.

Zawyczał pytał mnie w takiej sytuacji, co się dzieje, ale tym razem milczałam. Odgadłam, że musi być równie zdenerwowany jak ja.

Został bagaże na przestronnej werandzie, by móc wolną ręką otworzyć drzwi. Nie były zamknięte na klucz. Znowu na mnie spojrział. Zaczekał, aż podniosłam wzrok i dopiero wtedy przekroczył próg.

Niósł mnie przez kolejne pokoje, zapalając po drodze światła. Żadne z nas się nie odezwało. Pomyślałam sobie, że to bardzo duży dom jak na taką małą wyspę i że wydaje mi się dziwnie znajomy. Cullenowie preferowali w wystroju wnętrza beże i łączyłam się już do nich przyzwyczajając, poczułam się tu więc jak u siebie. Nie byłam jednak w stanie skoncentrować się na detalach - krew tak mocno pulsowała mi w uszach, że widziałam wszystko jak przez mgłę.

A potem Edward zatrzymał się i zapalił światło po raz ostatni.

Pokój, w którym się znajdowaliśmy, wyglądał jak to u moich wampirów - był duży i biały, z suwanymi w szklany drzwiami zajmującymi niemal całą przeciwległą ścianę. Na zewnątrz mienił się w świetle księżycy biały piasek a ledwie kilka metrów dalej o brzeg rozbiły się fale oceanu. Był to piękny widok ale na mnie nie zrobił żadnego wrażenia - całą moją uwagę skupiło gigantyczne białe łóżko, ku któremu spływały z sufitu welony moskitiery.

Edward postawił mnie na ziemi.

- Ehm... przyńoszę walizki.

W sypialni było za ciepło, jeszcze bardziej duszno niż na dworze. Na karku zaczęły mi się zbierać krople potu. Podeszłam powoli do łóżka i dotknęłam moskitiery. Nie wiedzieć czemu, miałam potrzebę sprawdzenia, czy wszystko jest prawdziwe.

Nie usłyszałam, kiedy wrócił. Jego chłodne palce pojawiły się znikąd i starły mi wilgoć z szyi.

- Gorąco tutaj - powiedział przepraszającym tonem. - Pomyślałem... że tak będzie najlepiej.

- Jak zwykle skrupulatny - mrknęłam pod nosem.

Zachichotał nerwowo. Rzadko byłwał do tego stopnia zestresowany.

- Staralem się zorganizować wszystko tak, żeby... żeby było to dla ciebie jak najprostsze.

Nie spoglądając w jego kierunku, przełknęłam głośno ślinę. Czy ktoś kiedykolwiek slyszal o takim miesiacu miodowym, co nasz?

Znałam odpowiedź na to pytanie. Nie. To miał być pierwszy raz.

- Tak sobie pomyślałem - zaczął nieśmiało - że może... może chciałbyś ze mną teraz popływać? - Wziął głęboki wdech i kiedy ponownie się odezwał, wydawał się być już bardziej rozluźniony. - Woda będzie nadal ciepła. Spodoba ci się. Kąpiel o północy...

- Brzmi zachęcająco - wyjąkałam lamiącym się głosem.

- Zostawię cię teraz samą, dobrze? Jesteś człowiekiem i masz za sobą długą podróż...

Skinęłam machinalnie głową. Nie czułam się jak żywy człowiek - raczej jak drewniana kukła - ale może kilka minut w samotności by pomogło.

Musnął wargami moją szyję, tuż pod uchem. Zaśmiał się cicho i poczułam na swojej rozgrzanej skórze igielki jego zimnego oddechu.

- Tylko niech pani nie każe na siebie zbyt długo czekać, pani Cullen.

Drgnęłam na dźwięk swojego nowego nazwiska.

Edward przesunął wargami wzdłuż mojego ramienia.

- Będę czekał na ciebie w wodzie.

Minąwszy mnie, zbliżył się do suwanych drzwi, za którymi był już tylko piasek. Po drodze zrzucił z siebie koszulę i cisnął ją na podłogę. Kiedy wyszedł w noc, do pokoju wtargnęło ciepłe, słonawe powietrze.

Czy moje ciało zapłonęło żywym ogniem? Musiałam spojrzeć w dół, żeby upewnić się, że nie - a przy najmniej, że nie dosłownie.

Oddychaj, nakazałam sobie, oddychaj! Udało mi się jakoś dojść do wielkiej walizy, którą Edward zostawił otwartą na niskiej komodzie. Musiała być moja, bo na samym jej wierzchu spoczywała moja kosmetyczka, a sporo kryjących się w niej ubrań miało kolor różowy. Poza kosmetyczką nic jednak nie wyglądało znajomo.

Przerzucając starannie złożone stosiki w poszukiwaniu czegoś wygodnego i zwyczajnego - na przykład znoszonego dresu - zorientowałam się w pewnym momencie, że ręce mam pełne koronek i niewielkich skrawków satyny.

Bielizna. Bardzo kobieca bielizna. Z francuskimi metkami.

Nie wiedziałam jak, ale kiedyś Alice mi za to zapłaci.

Poddałam się. Poszłam do łazienki i wyjrzałam przez okno wychodzące na tę samą plażę, co suwane drzwi. Edwarda nie było ani na niej, ani w wodzie - zapewne nurkował, korzystając w pełni z tego, że nie musiał się wyrzucać, by nabierać powietrza.

Księżyc tylko kilka dni dzieliło od pełni. Jasny piasek wydawał się być jeszcze bielszy w jego blasku. Kątem oka dostrzegłam, że coś się poruszyło - na wygiętym pniu jednej z otaczających plażę palm wisiały pozostałe części garderoby Edwarda. Kołysały się na wietrze.

Znowu zalała mnie fala gorąca.

Wziąwszy kilka głębszych wdechów, podeszłam do wiszących nad długim blatem luster. Wyglądałam dokładnie tak, jak ktoś, kto cały dzień przespał na pokładzie samolotu. Znalazłam swoją szczotkę i zaczęłam nią energicznie rozplątać kołtuny z tyłu głowy, aż wsty stąch się pozbyłam. Na szczotce zostało pełno włosów. Starannie wyszorowałam zęby - i to dwukrotnie. Potem obmyłam twarz i spryskałam sobie kark zimną wodą, bo parzył, jakby miała gorączkę. Sprawilo mi to taką ulgę, że obmyłam też przedramiona. Wreszcie poddałam się i postanowiłam po prostu wziąć prysznic. Wiedziałam, że to idiotyczne brać prysznic przed kąpielą, ale musiałam się uspokoić, a gorąca woda zawsze działała na mnie jak balsam.

Uznałam także, że wypadaloby znowu ogolić sobie nogi.

Kędy skończyłam, wzięłam z blatu duży biały ręcznik i owinęłam się nim niczym sarongiem.

Jakoś nigdy wcześniej się nad tym nie zastanawiałam, ale teraz przyszło podjąć mi tę decyzję: co na siebie włożyć? Przecież nie kostium kąpielowy. I nie to, co przed chwilą z siebie zdjąłam. Co do ubrań przyszykowanych dla mnie przez Alice, wołałam o nich nawet nie myśleć.

Oddech znowu przyspieszył i zaczęły trząść mi się ręce - tyle, jeśli chodzi o zbawienny wpływ prysznicu. Do tego doszły lekkie zawroty głowy. Atak paniki był tuż za rogiem. Nadał owinięta ręcznikiem, usiadłam na chłodnych kafelkach posadzki i wsadziłam sobie głowę pomiędzy kolana, modląc się, żeby Edward nie zastał mnie czasem w tej pozycji. Już ja dobrze wiedziałam, co by sobie pomyślał na mój widok. Szybko wyciągnąłby pochopnie wnioski i stwierdził, że powinniśmy się wycofać, zanim stanie się coś strasznego.

W ogóle nie myślałam o tym w tych kategoriach. Owszem, panikowałam, ale z zupełnie innego powodu.

Bałam się, bo nie miałam pojęcia, jak się do tego zabrać. Bałam się wyjść z łazienki i zmierzyć z nieznanym. Zwłaszcza w francuskiej bieliznie. Co jak co, ale na nią nie byłam jeszcze gotowa.

Czułam się dokładnie tak, jakbym miała zaraz wystąpić przed kłutą sięczą publicznością, chociaż nie widziałam jeszcze na oczy swojej roli.

Jak ludzie to robił? Jak udawało im się zapomnieć o swoich lękach - a raczej obnażyć je przed kimś innym w wstykie swoje lęki i niedoskonałości - skoro żadne z nich nie miało do partnera kogoś tak absolutnie im oddanego jak Edward?

Gdyby to nie Edward czekał tam na mnie na plaży, gdybym każdą komórką swojego ciała nie czuła, że kocha mnie równie mocno, jak ja jego - bezwarunkowo, nieodwołalnie i (co tu kryć) irracjonalnie - nie byłabym w stanie podnieść się z podłogi.

Ale to Edward na mnie czekał, więc szepnęłam do siebie: nie bądź tchórzem, wstałam niezdarnie i podciągnąwszy rącznik pod same pachy, wyszłam zdecydowanym krokiem z łazienki. Na ogromne łóżko i walizkę pełną koronek nawet nie spojrzałam. Miałam jeden cel. Wymaszerowałam przez otwarte drzwi na syplę piasek.

Noc wyprała krajobraz z wszelkich barw prócz czerni i bieli. Szłam powoli po ciepłym pudrze, aż dotarłam do zakrzywionego drzewa, na którym Edward pozostawił ubranie. Podparłam się dłonią o szorstki pień i upewniłam się, że oddycham miarowo. A przynajmniej dostatecznie miarowo.

Odszukałam go wzrokiem, co nie było trudne. Stał tyłem do mnie, zanurzony po pas, wpatrując się w owalną tarczę księżyca. W błymy światło skóra Edwarda była idealnie biała - jak piasek jak sam księżyc - a jego mokre włosy wydawały się być równie czarne, jak ocean. Nie poruszał się, a dlonie opierał o lustro wody - niskie fale rozbiły się o niego, jak gdyby był głazem. Napawałam się zgrabnym kształtem jego pleców, jego ramion, jego szyi - jego nieskazitelną urodą...

Zakłęty w moim cieple ogień nie parzył mi już skóry - skrył się głębiej, gdzie gdzie obracał właśnie w popiół całą moją niezgrabność i zakłopotanie. Bez wahania zsunęłam z siebie rącznik i odwieszony go obok części garderoby Edwarda, wyszłam w białe światło. Mnie też czyniło równie bladą, jak tutejszy piasek.

W swoim mimie uśmiechałam się do brzęgu bezszelestnie, wiedziałam jednak, że Edward mnie słyszy. Nie odwracał się. Pozwoliłam, by jedna z fal liźnęła mi stopy, i przekonałam się, że mnie nie oszukiwał - woda była ciepła jak w wannie.

Zaczęłam stapać ostrożnie, niepewna, co wyczuję pod nogami, ale mój niepokój okazał się bezpodstawny - aż po miejsce, w którym stał mój ukochany, niewidoczne dno było gładkie i opadało łagodnie. Znalazszy się u boku Edwarda, położyłam dłoń na jego unoszącej się na wodzie dłoni.

- Jaki on piękny - powiedziałam, spoglądając na księżyc.

- Ciałem ładny - stwierdził Edward, niewzruszony.

Powoli obrócił się w moją stronę. Ruch ten wywołał drobne fale, które rozbiły się o mój tułów. Jego oczy wydawały się być srebrne, a twarz barwy lodu. Wpłót swoje palce w moje, zanurzając nasze dłonie pod wodę. Była tak ciepła, że w kontakcie z chłodną skórą Edwarda nie dostawałam gęsiej skóry.

- Ale nie użyłbym słowa „piękny” - ciągnął. - Nie, kiedy mogę porównać go z tobą.

Uśmiechnęłam się delikatnie, a potem uniosłam wolną rękę (już się nie trzęsła) i położyłam mu ją na sercu. Białe na białym - nareszcie do siebie pasowaliśmy. Edward ledwie dostrzegalnie się wzdygnął. Jednak był spięty.

Zauważyłam, że zaczął inaczej oddychać.

- Obiecałem, że spróbujemy, ale jeśli tylko... jeśli tylko zrobię coś nie tak, jeśli poczujesz ból, proszę, natychmiast mi o tym powiedz.

Nie przestając patrzeć mu prosto w oczy, z powagą skłębłam głowę. Zrobiłam krok do przodu i wtuliłam się w jego pierś.

- Nie bój się - szepnęłam. - Jesteśmy sobie przeznaczeni. Już zawsze będziemy razem.

Chociaż sama to powiedziałam, zakręciło mi się w głowie. Tak, taka była prawda. Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. Zwłaszcza tu i teraz, w tej idealnie pięknej chwili.

Objął mnie mocno i przycisnął do siebie - lato do zimy. Pocażłam się tak jakby przez każdy nerw w moim ciele przeszedł prąd.

- Już zawsze - zgodził się i pociągnął mnie na głęboką wodę.

Nazajutrz obudziłam się promienie słońca parzące w plecy. Nie byłam pewna, czy był późny rano, czy może już popołudnie, poza tym wszystko jednak było jasne - wiedziałam doskonale, gdzie się znajduję. Leżałam na wielkim białym łóżku, a przez otwarte na plażę drzwi do pokoju wlewało się oślepiające słońce, którego blask zmiękzały nieco fałdy moskietery.

Nie otwierałam oczu. Byłam zbyt szczęśliwa, by chcieć cokolwiek zmienić, choćby jeden drobiazg. Jedynymi dźwiękami, jakie do mnie dochodziły, były: szum fal oceanu, szmer naszych oddechów i bicie mojego serca.

Mimo skwaru czułam się komfortowo. Chłodna skóra Edwarda stanowiła wspaniałe antidotum na upał. Leżałam w jego ramionach z głową na jego piersi, ale nie byłam z tego powodu nie a nie skępowana. Dziwiałam się w rozeniwnieniu, jak ubiegłego wieczoru mogłam tak panikować. Wszystkie moje łęki wydawały mi się teraz śmieszne.

Przesunął palcami wzdłuż linii mojego kręgosłupa. Domyśliłam, że już wie, że się obudziłam. Nadal nie otwierając oczu, objęłam go mocniej za szyję i przywarłam do niego jeszcze ściślej.

Nie odrywał się. Jego palce wędrowały powoli to w górę, to w dół. Właściwie ledwie mnie dotykał - śledził tylko ich opuszkami i jakieś wzory na moich plecach.

Ta chwila mogłaby trwać dla mnie wiecznie, ale moje ciało miało inne pomysły. Zaśmiałam się. Ach, ten niecierpliwy żołądek! Jak mogłam być głodną po tym wszystkim, co stało się zeszłej nocy? Było to takie prozaiczne.

Ściągnięto mnie siłą na ziemię z niebiańskich wyżyn.

- Co cię tak rozbawiło? - zamruczał Edward, nie przestając głaszcąc moich pleców. Jego głos, poważny i zachrypnięty, przywołał falę świeżych wspomnień. Twarz i szyję zalał mi głęboki rumieniec.

W odpowiedzi na jego pytanie zaburczało mi w brzuchu. Znowu się zaśmiałam.

- Oj, nie da się na dłużej zapamiętać, że się jest człowiekiem.

O dziwo, nie zawiórował mi. Potrzebowałam kilku sekund, żeby poprzez wiele spowijających mnie warstw radości przebiła się do mojego umysłu informacja, że poza kokonem szczęścia, w którym się znajdowałam, wokół panuje zupełnie inna atmosfera.

Otworzyłam oczy. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłam, była blada skóra Edwarda, wręcz srebrzysta pod zgrabnym łukiem jego brody. Poznałam, że ma zaciśnięte zęby. Podparłam się na łokciu, żeby móc przyjrzeć się wyrazowi jego twarzy.

Wpatrywał się w zwiewny baldachim nad naszymi głowami i gdy studiowałam jego rysy, nawet na mnie spojrzął. Byłam w szoku. Przeszedł mnie dreszcz.

- Czy coś się stało? - spytałam, czując, że głos płata mi figle.

- Czy stało się coś złego?

- Jeszcze pytasz? - zadrwił.

W pierwszym odruchu, jak przy stało na osobę o dość niskim poczuciu własnej wartości, zaczęłam się zastanawiać, co też mogłam zrobić nie tak. Przypominałam sobie krok po kroku, co się między nami wydarzyło, ale nie byłam w stanie doszukać się niczego, czym mogłam go urazić. Wszystko okazało się o wiele prostsze, niż się tego spodziewałam - pasowaliśmy do siebie niczym dwa sąsiadujące z sobą kawalki układanki. W głębi ducha czerpałam z tego faktu ogromną satysfakcję. Ogień i lód potrafiły w jakiś niewyjaśniony sposób ze sobą współistnieć. Traktowałam to jako kolejny dowód na to, że byliśmy z Edwardem dla siebie stworzeni.

Nie przychodziło mi do głowy nic, czym zasłuzylabym sobie na takie traktowanie. Skąd ten cynizm i chłód? Czy coś przegapiłam?

Spróbował wygładzić zmarszczeni niepokoju na moim czole.

- O czym myślisz? - szepnęła.

- Jesteś podenerwowany i nie rozumiem dlaczego. Czy coś ci... - nie dokończyłam.

Zmrużył oczy.

- Bardzo cię boli, Bello? Nie oszczędzaj mnie, powiedz mi całą prawdę.

- Boli? - powtórzyłam. Głos miałam nienaturalnie cieni, bo swoim pytaniem Edward zupełnie zbil z tropu.

Zacisnął usta i uniósł jedną brew.

To karczące, to rozprostowujące zeszywniałe mięśnie, skupiłam się na moment na tym, jak się miewam od strony fizycznej. Nie powiem, do pewnego stopnia byłam nawet obolała, ale przede wszystkim odnosiłam dziwne wrażenie, że byłam na dobrej drodze do zmienienia się w meduzę czy galaretkę, bo wszystkie moje kości zdawały się być poluzowane w stawach. Nie było to jednak nieprzyjemne uczucie.

Zirytowałam się odrobine. Był to najpiękniejszy poranek w moim życiu, a Edward próbował go zepsuć swoim głupim przewrażliwieniem.

- Czemu myślisz, że coś mnie boli? Nigdy nie czułam się lepiej.

Przymknął powieki.

- Przestań.

- Co „przestań”?

- Przestań się tak zachowywać! Jak mogłem się na to zgodzić?! Jestem potworem!

- Co ty wy gadujesz?! - zdenerwowałam się. Jego pesymizm plamił najdroższe mi wspomnienia. - Nie mów takich rzeczy!

Nadal nie otwierał oczu - jak gdyby nie chciał na mnie patrzeć.

- Spójrz tylko na siebie, Bello. A potem powiedz mi, że nie jestem potworem.

Zraniona i zszokowana, mimowolnie go posłuchałam. Z moich ust dobył się krótki jęk zaskoczenia.

Co się ze mną stało? Wyobraźnia mnie zawiodła. Skórę miałam pokrytą jak gdyby miękkimi i płatkami śniegu! Potrzęsłam głową i niezliczone białe drobiniki oderwały się od moich włosów.

Złapałam jedną z nich w dwa palce. Był to kawalek piórka.

- Dlaczego jestem cała w pierza? - spytałam zdezorientowana.

Edward prychnął niecierpliwie.

- Rozgryzłam poduszkę. Może dwie. Mniejsza o to, nie o to mi chodzi.

- Rozgryzłam poduszkę? Dlaczego?

- Na miłość boską, Bello! - niemalże warknął. Ujął moją dłoń niezwykłe ostrożnie i podstawił mi pod nos moje przedramię. - Tu! Spójrz na to!

Tym razem zrozumiałam.

Pod cienką warstwą pierza kryły się podłużne fioletowe siniaki, kontrastujące makabrycznie z jasnym odcieniem mojej skóry. Ciągnęły się aż po ramię, a potem schodziły w dół, na zębra. Przycisnęłam jeden z nich palcem i przyglądałam się, jakblednie. Odrobine przy tym pulsował.

Edward przytknął swoją dłoń do mojej ręki - właściwie to ledwie ją musnął, bo wyraźnie bał się mnie dotykać - i zademonstrował, że zsinienia idealnie pokrywały się z rozstawem jego długich palców. Właśnie one pozostawiły ślady na moim ciele.

- Och - wyrwało mi się.

Próbowałam sobie przypomnieć te chwile - przypomnieć sobie ból - ale bez powodzenia. Nie pamiętałam, żeby aż tak na mnie napierał, żeby choć raz przesadził. Jeśli już, to raczej to, że pragnęłam, żeby trzymał mnie jeszcze mocniej - tak bardzo mi się to podobało.

- Tak bardzo mi przykro, Bello - szepnęła, kiedy badałam swoje obrażenia. - Wiedziałem, że tak to się skończy. Nie powinienem był... - Jęknął cicho, zdjęty obrzydzeniem. - Nie ma słów, którymi mógłbym cię przeprosić.

Przesłonił sobie twarz ramieniem i znieruchomiał.

Siedziałam przez dłuższą chwilę zupełnie oszołomiona, starając się wczuć w jego położenie. Jego rozpacz była tak daleka od mojej euforii, że przychodziło mi to z trudem.

Powoli wychodziłam z szoku, ale nic nie pojawiło się w jego miejsce. W głowie miałam pustkę. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Od czego miałam zacząć, żeby uwierzyć? Żeby poczuł się tak samo cudownie, jak ja - przed paroma minutami.

Dotknęłam jego ramienia, ale nie zareagował. Próbowałam odciągnąć na bok rękę, którą zasłaniał sobie twarz, ale równie dobrze mogłabym siłować się z osiągnięciem.

- Edwardzie? Nie poruszył się.

- Edwardzie?

Nic. Trudno, pomyślałam, niech to będzie monolog.

- Mi nie jest przykro. Jestem taka... Nawet nie wiem, jak to określić. Jestem taka szczęśliwa? Nie, to nie oddaje tego w pełni. Nie bądź na siebie zły. Nic sobie nie wypominaj. Naprawdę, nic mi...

- Tyłko nie mów, że nic ci nie jest - przerwał mi lodowatym tonem. - Nie powtarzaj tego uparcie, bo zaraz oszaleję.

- Ale to prawda - szepnęłam.

- Bello, błagam, przestań!

- Nie. To ty przestań, Edwardzie.

Odsłonił twarz. Jego złote oczy przyjrzały mi się uważnie.

- Nie psuj wszystkiego - powiedziałam. - Patrz na moje usta jestem szczęśliwa.

- Ja już wszystko zepsułem.

- Przestań! - nakazałam mu.

Zagryzał łyżkami.

- Uch! - jęknęłam. - Dłaczego, u diabła, nie potrafisz już czytać mi w myślach! To takie denerwujące być mentalną niemową!

Otworzył szerzej oczy. Wbrow sobie, dał się mi zaskoczyć.

- A to coś nowego. Przecież ty uwielbiasz to, że nie potrafisz czytać ci w myślach.

- Nie dzisiaj.

Wpatrywał się we mnie intensywnie.

- Dłaczego?

Sfrustrowana, pacnęłam go oburącz w pierś. Zabolalo mnie ramię, ale zignorowałam ból.

- Bo nie musiałyś się tak zadrećcać, gdybyś mógł zobaczyć, jak się w tej chwili czuję! A raczej, jak się czułam pięć minut temu.

Byłam taka szczęśliwa! Po prostu, nie wiem, unosiłam się w powietrzu. A teraz... Tak szczerze, wkurzona jestem na ciebie.

- Powinnaś być na mnie zła.

- No to jestem. I co, czujesz się przez to lepiej?

Westchnął.

- Nie. Nie sądzę, żebym od czegokolwiek mógł się teraz poczuć lepiej.

- Tak - wycedziłam - widzę. I właśnie dlatego jestem na ciebie zła. Odbierasz mi całą frajdę, Edwardzie.

Wywrócił oczami i pokręcił głową.

Wzięłam głęboki wdech. Czuliśmy się teraz nieco bardziej obolala, ale nie było tak źle. Przynajmniej mi się, jak spróbowałam podnoszenia ciężarów, kiedy Renee po raz kolejny miała obsesję na punkcie fitnessu - sześćdziesiąt pięć powtórzeń z pięciokilowym obciążeniem na każdą rękę. Następnego dnia nie mogłam chodzić. Było to nieporównywalnie gorsze doświadczenie.

Postanowiłam pokonać swoją irytację i spróbowałam przybrać łagodniejszy ton.

- Oboje nie wiedzieliśmy, czego się spodziewać. I miało być ciężko, prawda? Tak zakładałam. A tymczasem... okazało się o wiele prostsze, niż myślałam. A te tu - przejechałam palcami po siniakach - to naprawdę nic takiego.

Sądzę, że jak na pierwszy raz, poszło nam rewelacyjnie. A jak trochę poćwiczymy...

Edward spojrział na mnie z takim oburzeniem, że przerwałam, nie dokończywszy zdania.

- Tak zakładałaś? Spodziewałaś się tego, Bello? Oczekiwałaś, że zrobisz mi krzywdę? Myślałaś, że będzie jeszcze gorzej? Uważasz ten eksperyment za udany, bo jesteś w stanie wstać z łóżka? Nic ci nie zlamalem, więc odnieśliśmy sukces?

Nie zabrałam głosu, tylko zaczęłam, aż wszystko z siebie wyrzuci. A potem, aż zacznie na powrót normalnie oddychać. Odpowiedziałam mu powoli i ze spokojem.

- Nie wiedziałam, czego się spodziewać - ale z pewnością nie spodziewałam się tego, że będzie tak... tak pięknie i tak cudownie.

- Mój głos przeszedł w szept. Wbiłam wzrok w swoje dłonie. - To znaczy, nie wiem, jak tobie było, ale mi było właśnie tak.

Podparłam palcem moją brodę, żeby mi znowu na niego spojrzeć.

- Czy to cię teraz właśnie trapi? - spytał przez zaciśnięte zęby.

- Martwisz się, że nie miałem z tego żadnej przyjemności?

Nie podnosiłam oczu.

- Wiem, że się od siebie różnimy. Nie jesteś człowiekiem. Ale usiłuję ci tylko wyjaśnić, że przy najmniej z punktu widzenia człowieka, trudno sobie wyobrazić coś lepszego.

Zamilił na tak długo, że w końcu nie wytrzymałam i zerknęłam na niego. Złagodniały mu rysy twarzy. Wyglądał na zamyślonego.

- Najwyraźniej winien ci jestem kolejne przeprosiny. - Zmarszczył czoło. - Nie przy puszczałam, że jedynym wnioskiem, jaki wyciągniesz z mojego lamentu, będzie to, że ostatnia noc nie była dla mnie... cóż, że nie była najlepszą nocą mojego istnienia. Ale nie chcę o niej myśleć w ten sposób - nie, kiedy ty musiałyś tyle wycierpieć...

- Naprawdę? - Kąciaki moich ust uniosły się lekko. - Ta była najlepsza? - spytałam nieśmiało.

Nadał zamyśloni, ujął moją twarz obiema dłońmi.

- Po tym, jak dobił się targu, poszedłem do Carlisle'a, mając nadzieję, że udzieli mi jakichś wskazówek. Oczywiście ostrzegł mnie, że narażam cię na ogromne niebezpieczeństwo - po jego twarzy przemknął cień - ale ufał mi, ufał mi, choć na to nie zasługiwałem.

Chciałam zaprotestować, ale zanim zdążyłam, przyłożył mi do ust dwa palce.

- Spytałem go także, czego ja sam mam oczekiwać. Nie wiedziałem, jak to będzie... jak to wygląda u wampirów. - Uśmiechnął się, ale bez przekonania. - Carlisle wyjaśnił mi, że to bardzo silne doznanie, nieporównywalne z niczym innym. Powiedział, że nie powinienem lekceważyć tej siły. Ponieważ zwykle jesteśmy nad wyraz opanowani, silne emocje mogą nas zmieniać, pozostawić w naszej psychice trwałe ślady. Ale dodał, że tym to akurat nie muszę się przejmować, bo przy tobie już się ogromnie zmieniam.

Tym razem jego uśmiech wydał się być bardziej szczerzy.

- Rozmawiałem też z moimi braćmi. Powiedzieli mi, że to wielka przyjemność. Ustupęje jedynie picie ludzkiej krwi. - Skrzywił się. - Ale próbowałem nawet twojej krwi i nie wierzę, żeby jakkolwiek mogła pociągać bardziej niż to... Nie uważam, że moi bracia są w błędzie, nie. Sądzę tylko, że z nami jest inaczej. Dla nas to po prostu coś więcej.

- O wiele więcej. Dla nas to wszystko.

- Nie zmienia to jednak faktu, że nie powinniśmy byli się tak daleko zapędzać. Nie powinniśmy, nawet jeśli naprawdę mogłabyś czerpać z tego tak wielką radość, jak twierdzisz.

- A to co ma znaczyć? Myślisz, że wszystko sobie zmyślałam? Po co?

- Żeby zmniejszyć moje wyrzuty sumienia, rzecz jasna. Ale nie mogę ignorować dowodów, Bello. Ani zapomnieć, że już nieraz próbowałaś wcześniej podobnych sztuczek, kiedy popełniałam jakiś błąd.

Ujęłam go pod brodę i pochyliłam się, tak że nasze twarze dzieliło od siebie tylko kilka centymetrów.

- Słuchaj, Edwardzie. Niczego nie udaję i to już na pewno nie ze względu na ciebie, jasne? Dopóki nie zaczęłaś zrędzić, nawet nie wiedziałam, że istnieje jakiś powód, dla którego miałabym starać się poprawić ci humor. Jeszcze nigdy w życiu nie byłam w takiej euforii - nie byłam tak szczęśliwa ani wtedy, kiedy doszedłeś do wniosku, że twoja miłość do mnie jest silniejsza niż chęć, by mnie zabić, ani wtedy, kiedy obudziłam się rano, a ty po raz pierwszy na mnie czekałeś, ani wtedy, kiedy usłyszałam twój głos w studiu tanecznym... - Edward wzdygnął się, przypomniał sobie, jak blisko byłam wówczas śmierci, ale nie przerwał swojej wyliczanki - ... ani nawet wtedy, kiedy na ślubie powiedziałeś „tak” i uświadomiłam sobie, że poniekąd jesteś teraz mój na wieki. To moje najdroższe wspomnienia, Edwardzie, a to, co się wydarzyło dziś w nocy bije je na głowę, i jest tak, czy tego chcesz, czy nie, więc lepiej się z tym pogodzić.

Dotknął pary pionowych zmarszczek, które pojawiły się pomiędzy moimi brwiami.

- Unieszczęśliwiam cię teraz. Nie chcę, żebyś tak było.

- Więc sam siebie przestań unieszczęśliwiać! Tylko tego nam teraz brakuje do pełni szczęścia.

Zmrużył oczy, a potem wziął głęboki wdech i skinął głową.

- Masz rację. Co by było, minęło i nie da się już tego zmienić. Skoro czujesz się dobrze, nie ma sensu, żeby mi psuć ci nastrój. Zrobisz, co tylko w mojej mocy, żebyś była szczęśliwa.

Przyjrzałam mu się podejrziwie. Uśmiechnął się pogodnie.

- Co tylko w twojej mocy?

W tym samym momencie zaburczało mi w brzuchu.

- Jesteś głodna - powiedział szybko. W mgnieniu oka zerwał się na równe nogi, wzbijając w powietrze chmurę śnieżnobiałych drobinek. Przypomniałam sobie o poduszczach.

- Skąd właściwie przyszedł ci do głowy pomysł, żeby zniszczyć poduszki Esme? - spytałam, siadając na łóżku i zabierając się do wytrzeptywania sobie piórek z włosów.

Stał już przy drzwiach. W między czasie zdążył naciągnąć na siebie spodnie koloru khaki.

- Nie powiem, żeby to była świadoma decyzja - powiedziałam, mierząc sobie włosy. Z nich także wypadło kilka piórek - Dziś w nocy raczej nie kierowałem się rozumem. Cóż... Cieszymy się, że to poduszki, a nie ty. - Potrząsnął głową, jakby chciał odegnąć jakąś myśl. Zaraz potem uśmiechnął się szeroko, ale domyślałam się, że włożył w ten uśmiech wiele pracy.

Łóżko było bardzo wysokie. Zsunęłam się ostrożnie na podłogę i ponownie się przeciągnęłam, tym razem bardziej świadoma, co mnie ciągnie czy boli. Jęknął Edward doszedł moich uszu. Odwrócił się do mnie plecami, a dłonie zwinął w pięści, aż zbieleły mu kłykie.

- Aż tak strasznie wyglądam? - spytałam, starając się mówić swobodnym tonem.

Parsknął czy prychnął, ale się nie odwrócił - pewnie po to, żeby ukryć przede mną swój wyraz twarzy. Chcąc poznać odpowiedź na swoje pytanie, poszłam do łazienki i obejrzałam się od stóp do głów w dużym lustrze wprawionym w drzwi.

Niewątpliwie bywało już ze mną dużo gorzej.

Miałam odrobnie napuchnięte wargi i blade zsinienie na jednym z policzków, ale poza tym z moją twarzą było wszystko w zupełnym porządku. Co do reszty mojego ciała, tu i ówdzie „zdobyle je” sinielotowe plamy. Skupiłam się na tych, które były najtrudniejsze do ukrycia - tych na rękach i ramionach - ale nie prezentowały się wcale tak fatalnie. Byłam przyzwyczajona - od zawsze dostawałam siniaków od byle czego. Zazwyczaj kiedy jakiś przyuważałam, nie pamiętałam już, w co się uderzyłam.

Jedynym problemem było to, że moje siniaki pojawiły się dopiero niedawno i następnego dnia miałam wyglądać dużo gorzej. Nie miało mi to ułatwić życia.

Trudno.

Przeniósłam wzrok na swoje włosy...

- Bello? - Edward zjawił się przy moim boku, gdy tylko usłyszał mój głośny jęk.

- Jak ja się tego pozbędę?! - Zrozpaczona, wskazałam na swoją głowę, na której na pierwszy rzut oka rozsiadł się biały karczak. Zaczęłam wysłubować pojedyncze piórka.

- No tak, ta to nie ma się czym martwić - mrugnął Edward pod nosem, ale stanął za mną i zabrał się do roboty. Szło mu to znacznie sprawniej niż mnie.

- Jak ci się udało powstrzymać od śmiechu? Wyglądam idioty cznie.

Nie odpowiedział, tylko skubał dalej, ale nie było trudno zgadnąć, jak tego dokonał - w takim nastroju, nie nie było w stanie go rozbawić.

Minęła minuta.

- Nie pomagaj - zauważyłam. - Wszystko już zaschło. Będę musiała spróbować wypłukać je pod prysznicem. - Odwróciłam się na pięcie i objęłam Edwarda w pasie. - Może miałbyś ochotę się do mnie przyłączyć?

- Lepiej pójść przygotować dla ciebie coś do jedzenia - stwierdził, wysubodając się pospiesznie z mojego uścisku. Wręcz wybiegł z łazienki.

Westchnęłam ciężko. Wszystko wskazywało na to, że nasz miesiąc miodowy dobiegł końca.

Na tę myśl coś ścisnęło mnie w gardle.

Pożyczyłam sobie większość pierza z włosów i ubrałam nieznaną, białą, bawełnianą sukienkę, która zakrywała najgorsze z siniaków, podreptałam boso w kierunku, z którego dochodziła smakowita woń jajek bekonu i żółtego sera.

Edward stał przy kuchence ze stali nierdzewnej i właśnie przekładał omlet na jasnoniebieski talerz. Zapach jedzenia był tak intensywny, że traciłam nad sobą kontrolę. Miałam chęć zjeść omlet wraz z talerzem i jeszcze patelnię na dokładkę. Zolałem głośno domagać się posiłku.

- Proszę - oznajmił Edward z uśmiechem. Postawił talerz na stoliku z blatem z kaffi.

Usiadłam na jednym z dwóch metalowych krzeseł i zabrałam się do jedzenia. Omlet był bardzo gorący, ale nie zwracałam na to uwagi. Edward usiadł naprzeciwko mnie.

- Oj, widzę, że cię zaniedbywałem. Przełknęłam spory kęs.

- Spałam - przypomniałam mu. - A tak w ogóle, bardzo to smaczne. Jestem pod wrażeniem, że ktoś, kto nie jada, potrafi tak dobrze gotować.

- Food Network* [www.foodnetwork.com - jeden z najpopularniejszych amerykańskich portali poświęconych gotowaniu - przyp. tłum.] - powiedział, obdarzając mnie tak uwielbianym przeze mnie zawiadaczkim uśmiechem.

Ucieszyłam się na jego widok. Miło było go widzieć, że Edward zachowuje się już normalnie.

- Skąd wzięłaś jajka?

- Poprosiłem ekipę sprzątającą, żeby napełniła szpiżarnię i lodówkę. To pierwszy raz, musieli się zdziwić. A jeszcze bardziej się zdziwią, kiedy zobaczą to pierze w sypialni... - Posmutniał i utkwiał wzrok w jakimś punkcie ponad moją głowę.

Nie nie mówiłam, żeby niechący nie poruszyć czasem jakiegoś drażliwego tematu. Zjadłam za to wszystko do ostatniej okruszyny, chociaż jedzenia starczyłoby dla dwojga.

- Dziękuję - powiedziałam i wyciągnęłam szyję w stronę Edwarda, żeby go pocałować. Pochylił się ku mnie odruchowo i cmoknął mnie, ale zaraz zeszywniał i się wyprostował.

Zacisnęłam zęby. Już wcześniej chciałam mu zadać pewne pytanie, ale teraz, kiedy się zdenerwowałam, zabrzmiało jak oskarżenie.

- Czy mam rozumieć, że do końca naszego pobytu tutaj nawet mnie nie dotkniesz?

Zawahał się, a potem uśmiechnął z wysiłkiem i pogładził mnie po policzku. Nie cofnął od razu ręki, więc nie mogąc się oprzeć, wtuliłam twarz we wnętrze jego dłoni.

- Wiesz, że nie to miałam na myśli.

Z westchnieniem opuścił rękę.

- Wiem. Masz rację. - Zamilkł na moment. Uniósł odrobinę brodę. Kiedy ponownie się odezwał, w jego głosie slychać było zdeterminowanie: - Aż do twojej przemiany nie mam zamiaru ponownie się z tobą kochać. Już nigdy, przenigdy nie zrobię ci krzywdy.

Odwracanie uwagi

Od tego ranka priorytetem stało się zapewnianie mi rozrywkę. Nurkowaliśmy - ja z maską i fajką, Edward, rzecz jasna, bez żadnego sprzętu. Chodziliśmy na spaceru do tropikalnego lasu okalającego wzniesienie w sercu wyspy. Odwiedziliśmy papugi mieszkające w koronach drzew na południowym brzegu. Podziwialiśmy znikające za horyzontem słońce ze skalistej zatoczki na zachodzie. Pływałam z morświnami, które bawiły się w jej ciepłych, płytkich wodach - a raczej ja sama pływałam, bo przed Edwardem uciekały w takim popłochu, jak gdyby pojawił się rekin.

Doskonałe wiedziałam, co jest grane. Nowe zajęcia i atrakcje miały na celu odwrócenie mojej uwagi od seksu. Edward przechodził samego siebie. Gdy mówiłam, dajmy na to, że nie mam ochoty na oglądanie kolejnego filmu na DVD (w salonie mieli ogromny telewizor plazmowy i chyba z milion płyt), natychmiast wywabiał mnie z domu takimi magicznymi hasłami jak „rafa koralowa”, „żółwie morskie” albo „podwodne jaskinie”. A potem już cały dzień spędzaliśmy w ciągłym ruchu, tak że kiedy wracaliśmy wieczorem do domu, myślałam tylko o tym, żeby coś zjeść i pójść spać.

Pochlaniałam ogromne ilości jedzenia. Z jednej strony byłam po prostu głodna - po tylu godzinach pływania i wspinań się musiałam uzupełnić zapasy energii - z drugiej strony był to chyba jednak podstęp gotującego dla mnie Edwarda, bo od pełnego żołądka oczy same mi się zamykały. Raz zasnęłam nawet przy stole i musiałam zanieść mnie do łóżka. I tak codziennie wciełałam w życie swój niecy plan.

Nie oznaczało to, że się poddałam, o nie. Błagałam, marudziłam, wysuwałam nowe argumenty. Na próżno. Poza tym, na przeszkodzie stało mi własne wyczerpanie, bo zwykle, zanim zdążyłam się rozkręcić, odpływałam w niebyt. A wtedy pojawiały się sny najczęściej koszmary, bardzo rzeczywiście, o co obwiniałam zbyt jaskrawe barwy wyspy - po których niezmiennie budziłam się zmęczona, niezależnie od tego, jak długo spałam.

Jakiś tydzień po przybyciu na wyspę postanowiłam pójść z Edwardem na kompromis. Próbowałam tej metody w przeszłości i zawsze się sprawdziła. Zajmowałam teraz drugą sypialnię, tak zwaną niebieską, bo ekipa sprzątająca miała przy płynąć dopiero następnego dnia i w białym pokoju nadal królowała pierze. Niebieska sypialnia była mniejsza, a stojące w niej łóżko miało rozszniedze wymiary. Ściany pokrywała tu boazeria z ciemnego drewna tekowego, a wszystkie obicia i pościel uszyte były z drogiego błękitnego jedwabiu.

Od paru dni sypiałam w bieleńnię z kolekcji skompletowanej przez Alice - i tak zakrywała więcej niż zestawy bikini, w których zmuszona byłam paradować za dnia. Zastanawiałam się raz, czy moja przyjaciółka spała w tym fajnym fikuśnym fatalaszku, bo widziała w wizji, do czego mogłabym ich potrzebować, i zarumieniłam się na samą myśl o tym, że to nią właśnie mogło kierować.

Zaczęłam od niewinnego zestawu z kremowej satyny, gotowa spróbować wszystko, ale też świadoma faktu, że jeśli już na sam początek odsonię zbyt wiele, efekt może być odwrotny od zamierzonego.

Edward wydawał się niczego nie zauważać, jak gdyby miał wciąż na sobie stary, wyciągnięty dres, który zastępował mi piżamę w Forks.

Moje siniaki prezentowały się teraz znacznie lepiej - w pewnych miejscach zżółkły, a w innych całkiem zniknęły - więc przebijając się wieczorem w łazience, zdecydowałam się na jeden z bardziej odważnych kompletów, czarny i koronkowy, na który wstydziłam się spojrzeć nawet wtedy, gdy miałam go w rękach. Wróciłam do sypialni, ani razu nie zerknąwszy w lustro - bałam się, że jeśli się zobaczę, to spanikuję.

Z satysfakcją odnotowałam, że Edward, zanim się opanował, na sekundę wybałuszył oczy.

- I jak, podoba ci się? - spytałam, obracając się na palcach, żeby mógł obejrzeć mnie ze wszystkich stron.

Odchrząknął.

- Wyglądasz ślicznie. Jak zawsze zresztą.

- Dziękuję - odpowiedziałam, odrobinę zawiediona.

Byłam już bardzo zmęczona, więc wdrapałam się po prostu na łóżko i ułożyłam do snu. Edward otoczył mnie ramieniem i przytrzymał do siebie, ale nie było w tym nic nadzwyczajnego - robił tak co wieczór, bo inaczej upał nie pozwoliłby mi zasnąć.

- Zawrzyjmy umowę - zaproponowałam zaspanym głosem.

- Nie ma mowy.

- Nie wiesz jeszcze, co oferuję ci w zamian.

- To bez znaczenia.

- Szkoda - westchnęłam. - A tak bardzo chciałam... No nie. Trudno.

Wzniósł oczy ku niebu. Zamknęłam swoje, pewna, że złapał przyłtę. Ziewnęłam.

Wystarczyła minuta - nie zdążyłam jeszcze zasnąć.

- Niech ci będzie. O co chodzi?

Zacisnęłam zęby, żeby się nie uśmiechnąć. Jeśli istniało coś, czemu Edward nie był w stanie się nigdy oprzeć, to tą rzeczą była możliwość, by mi coś podarować.

- Tak sobie myślałam... Wiem, że to całe Dartmouth to tylko zasłona dymna, ale jeden semestr w college'u chyba mi nie zaszkodzi. - Przywoływałam jeden z jego własnych argumentów z czasów, kiedy próbował odłożyć na późniejszy termin moją przemianę. - Pomyśl, ile radości sprawimy Charliemu, opowiadając mu, jak to jest na studiach. Pewnie będzie mi głupio, kiedy nie będę nadążać za tymi wszystkimi geniuszami, ale co mi tam. A to, czy będę miała na zawsze osiemnaście lat czy dziewiętnaście - to w końcu nie jest aż tak duża różnica. Nie dostanę chyba ja jeszcze w przyszłym roku kurzych łapek, prawda?

Na dłuższą chwilę zapadła cisza.

- Zaczęłaś - powiedział cicho Edward. - Zostaniesz jeszcze trochę człowiekiem.

Ugryzłam się w język pozwalając mu, żeby sam to przetrwał.

- Czemu mi to robisz? - wycedził przez zęby, zmienacka wybuchając gniewem. - Czy nie jest mi już dostatecznie trudno, kiedy muszę cię taką oglądać? - Pociągnął za marszczenie z koronek zdobiących moje biodro. Przez moment myślałam, że ją wyrwie, ale rozluźnił chwyt. - Mniejsza o to. Nie będę zawierał z tobą żadnych umów.

- Ale ja chcę pójść na studia!

- Nie, wcale nie chcesz. I nie ma nic, dla czego byłoby warto znowu cię narażać. Dla czego byłoby warto znów sprawiać ci ból.

- Ale ja naprawdę chcę pojechać do Dartmouth. No, może nie tyle, żeby pójść do college'u, ale żeby pobycić jeszcze trochę człowiekiem.

Zamknął oczy i wypuścił powietrze przez nos.

- Doprowadzasz mnie do szału, Bello. Dyskutowaliśmy już o tym milion razy, a ty zawsze upierałaś się, że chcesz jak najszybciej zostać wampirem.

- Tak, ale teraz mam powód, żeby zostać człowiekiem, którego nie miałam wcześniej.

- Jaki?

- Sam zgadnij. - Podniosłam się, żeby go pocałować.

Pocałował mnie, ale nie tak, żeby mi doszła do wniosku, że wygrywam. Starał się raczej nie zranić moich uczuć. Był w każdym calu opanowany - piekielnie denerwujący opanowany. Po chwili delikatnie mnie od siebie odsunął i przytulił do piersi.

- Jesteś taka ładna, Bello - zaśmiał się. - Rządzą tobą hormony.

- W tym cała rzecz. Lubię ten aspekt bycia człowiekiem. Nie chcę z tego jeszcze rezygnować. Nie chcę czekać całe lata, aż w końcu przestanę być polującą na ludzi bestią i ta część mojej natury do mnie wróci.

Ziewnęłam mimowolnie, wywołując na jego twarzy uśmiech.

- Jesteś zmęczona. Śpij już, skarbie. - Zaczął nucić kołysankę, którą skomponował dla mnie, kiedy się poznałyśmy.

- Ciekawe, czemu jestem wiecznie taka zmęczona - mruknęłam z sarkazmem. - Pomyślałbyś, że to jakiś spisek...

Zaśmiał się tylko i podjął przerwana melodię.

- Wydawać by się też mogło, że lepiej od tego sypiam...

Przerwał nucienie.

- Bello, śpisz ostatnio jak zabita. Odkąd tu przyjechalśmy, nie powiedziałaś przez sen ani słowa. Gdyby nie twoje chrapanie, bałbym się, że wpadałaś w śpiączkę.

Wziankę o chrapaniu puściłam mimo uszu - nie chrapałam.

- Nie rzucać się? A to ciekawe. Zwykle tarzam się po całym łóżku, kiedy dręczą mnie koszmary. I krzyczę.

- Dręczą cię koszmary?

- Bardzo realistyczne. Wykańczają mnie. - Ziewnęłam. - Trudno mi uwierzyć, że nie mam rączek o nich całą noc.

- A co ci się śni?

- Hm... Różne rzeczy. Ale wszystkie w tych samych kolorach.

- W tych samych kolorach?

- Wszystko jest takie jaskrawe i rzeczywiście. Zazwyczaj zdaję sobie sprawę z tego, że to tylko sen, ale w tych ostatnich koszmarach nie jestem już tego taka pewna. Przez to jeszcze bardziej się ich boję.

Kiedy ponownie się odezwał, był wyraźnie poruszony.

- Czego dokładnie się tak boisz?

Wzdrygnęłam się odruchowo.

- Najczęściej... - zawahałam się.

- Tak?

Nie wiedzieć czemu, nie miałam ochoty wyznać mu, że co noc nawiedza mnie pewne dziecko - było w tym śnie coś niewytłumaczalnie intymnego. Zamiast opowiadać Edwardowi całą intrygę, zdradziłam mu tylko jeden jej element - już sam w sobie wystarczająco przerażający.

- Volturi - wyszeptalam.

Przycisnął mnie mocniej do siebie.

- Już nigdy nie będziesz musiała mieć z nimi do czynienia. Wkrótce staniesz się jedną z nas, a wtedy nie będą mieli żadnego powodu, żeby cię niepokoić.

Pozwoliłam mu się pocieszać, ale czułam się nieco winna tego nieporozumienia. W moich koszmarach nie o to chodziło. Nie bałam się o siebie - bałam się o chłopca.

Nie był to już ten sam chłopiec, co za pierwszym razem - wampirze dziecko o szkarlatnych oczach siedzące na stosie trupów najbliższych mi ludzi. Malec, o którym śniłam czterokrotnie przez ostatni tydzień, był bez wątpienia człowiekiem: miał zaróżowione policzki i oczy o ślicznym odcieniu ciepłej zieleni. Ale podobnie jak nieśmiertelne dziecko, ze strachu dygotał na całym ciele, bo i wokół niego zacieśniał krąg Volturi.

W tym dziwnym śnie, starym i nowym zarazem, byłam pełna determinacji. Po prostu musiałam uratować tego szkraba. Nic innego nie wchodziło w rachubę. A jednocześnie wiedziałam, że nie mam szans.

Edward zauważył w moich oczach przygnębienie.

- Mogę ci jakoś pomóc?

Machnęłam ręką.

- To tylko sny.

- Może mam ci zaśpiewać? Mogę śpiewać choćby do rana, jeśli tylko pomoże to odgonić złe sny.

- Nie wszystkie są takie złe. Niektóre są całkiem przyjemne. Takie... kolorowe. Nurkuję i przyglądam się rybom i koralowcom. Wydaje mi się, że to dzieje się naprawdę - nie myślę, że to sen. Może to przez tę wyspę. Wszystkie barwy są tu takie ostre.

- Chcesz już wracać do domu?

- Nie, nie. Jeszcze nie. Możemy zostać odrobinę dłużej?

- Możemy tu zostać tak długo, jak to ci się będzie żywnie podobało - obiecał.

- Kiedy zaczynasz się rok akademicki? Wcześniej mnie to nie interesowało i nie zwróciłam uwagi.

Westchnął. Być może potem znowu zaczął nucić kołysankę, ale zanim to do mnie dotarło, byłam już gdzie indziej.

Obudziłam się gwałtownie, głośno dysząc. Czyli to jednak był sen? A takie żywe były tamte kolory, takie prawdziwe tamte zapachy... Zdezorientowana, rozglądałam się po ciemnym pokoju. Ledwie ułamek sekundy wcześniej stałam w pełnym słońcu.

- Bello - szepnęła Edward. - Skarbie, nic ci nie jest?

Obejmował mnie i delikatnie mną potrząsał.

- Och.
To był tylko sen. To nie działo się naprawdę.
Ku mojemu zdumieniu, bez żadnego ostrzeżenia po policzkach pocięły mi żyły. Edward zaczął ścierać je pośpiesznie swoimi chłodnymi palcami, ale wciąż napływały nowe.
- Bello! - powtórzył, coraz bardziej zaniepokojony. - Co się stało?
- To był tylko sen - wyrzuciłam łamiącym się głosem, który przeszedł w szloch.

Próbowałam jakoś nad sobą zapanować, ale ogarnął mnie tak przeraźliwy smutek, że nie sposób było z nim walczyć. Tak bardzo żałowałam, że mój sen okazał się prawdą!
- Już w porządku, kochanie, już wszystko dobrze. Jestem przy tobie. - W zdenerwowaniu kołysał mnie zbyt szybko, niż by wypadało. - Kolejny koszmar? Ale to był tylko sen, tylko sen.
- To nie był koszmar. - Pokręciłam głową, przecierając oczy wierzchem dłoni. - To był bardzo piękny sen. - Tu głos znowu odmówił mi posłuszeństwa.

- To czemu płaczesz? - spytał Edward zaskoczony.
- Bo się obudziłam! - jęknęłam.
Łkając zarzuciłam mu ręce na szyję i wtuliłam się w jego obojczyk.
Zaśmiał się z mojej logiki, ale słychać było, że wciąż się o mnie martwi.
- Już wszystko dobrze, Bello. Oddychaj głęboko.
- Ale było mi tak dobrze! - zawodziłam. - Dlaczego, dlaczego to musiał być tylko sen!
- Opowiedz mi go w szczegółach - zachęcił. - Może to ci pomoże.
- Byliśmy na plaży...

Przerwałam. Cofnęłam się, by móc spojrzeć zalazanymi oczami na ledwie widoczną w ciemnościach twarz mojego zatroskanego anioła. Zamyślona, wpatrywałam się w niego, czując, że moja absurdałna rozpacz słabnie.
Trwało to dłuższą chwilę.

- Byliśmy na plaży i co?
- Och, Edwardzie! Byłam rozdarta.
Nie mógł patrzeć, jak cierpię.
- Opowiedz mi. Proszę.
Ale nie potrafiłam. Zamiast tego, znów przyciągnęłam go do siebie i wpiłam się ustami w jego wargi. Nie kierowało mną pożądanie. To była potrzeba - tak silna, że odczuwanie jej sprawiało mi ból.
Edward z początku nie protestował, ale szybko przejrzał moje zamiary i jak mógł najczulej, odsunął mnie od siebie.

- Nie, Bello, nie!
Był w szoku. Spoglądał na mnie z taką miną, jak gdyby bał się, że postradałam zmysły.
Pokonana, opuściłam ręce i znów wybuchłam spazmatycznym płaczem. Nie mogłam się powstrzymać.
To nie miało sensu. Miał rację - widać zwarfiowałam.

Obserwowałam mnie zagubiony, z twarzą wykrzywioną bólem.
- Prze... prze... przepraszam - wyjąkałam. Porwał mnie w objęcia i przycisnął sobie do piersi.
- Nie mogę, Bello! - zawołał udręczonym głosem. - Przecież wiesz, że nie mogę!
- Ale ja tak proszę... - Ledwie mnie było słychać. - Proszę, Edwardzie...
Nie wiedziałam, co na niego podziało. Może moje łzy. Może nie spodziewał się, że zareaguję tak gwałtownie. A może po prostu jego własne potrzeby domagały się zaspokojenia równie nieznacznie, jak moje. Niezależnie od

przyczyny, poddał mi się z jękiem, namiętnie mnie całując.
I mój sen stał się rzeczywistością.

Obudzivszy się, bałam się otworzyć oczy. Staralam się leżeć zupełnie nieruchomo i miarowo oddychać.
Czułam pod sobą ciało Edwarda, ale i on się nie poruszał, ani nawet mnie nie obejmował. Uznałam to za zły znak, i wołałam się nie przyznawać, że już nie śpię. Nie miałam ochoty zmierzyć się z jego gniewem - bez względu na to, przeciwko komu miał być dziś skierowany.

Zerknęłam na niego ostrożnie spod półprzymkniętych powiek. Z rękami splecionymi pod głową wpatrywał się w ciemny sufit. Podciągnęłam się na łokciu, by mieć lepszy widok. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.
- Duże będą miała kłopoty? - spytałam nieśmiało.
- Gigantyczne - odpowiedział, ale potem posłał mi kąpiarskie spojrzenie.
Odetchnęłam z ulgą.

- Bardzo cię przepraszam - powiedziałam. - Nie chciałam... Ten płacz... Nie wiem, co we mnie wstąpiło.
Pokręciłam z niedowierzaniem głową, wspominając swoje łzy i wszechogarniający smutek.
- I w końcu nie opowiedziałaś mi tego swojego snu.
- Tak jakoś tak wyszło... Ale chyba poniekąd pokazałam ci, o czym był, prawda? - Zaśmiałam się nerwowo.
- Och. - Otworzył szeroko oczy, a potem zamrugał. - Ciekawe...
- To był bardzo piękny sen - westchnęłam.

Nie skomentował tego, więc na wszelki wypadek spytałam:
- I co, wybaczysz mi?
- Właśnie się nad tym zastanawiam.

Usiadłam, zamierzając się sobie przyjrzeć - w moim polu widzenia nie było na szczęście żadnego pierza - ale kiedy się podniosłam, okropnie zakręciło mi się w głowie. Zachwiałam się i osunęłam na poduszkę. Edward błyskawicznie mnie objął.

- Ojej... A to co ma być?
- Wiesz, długo spałaś. Dwanaście godzin.
- Dwanaście?

To było do mnie niepodobne.
Podczas tej krótkiej wymiany zdań, przyjrzałam się sobie ukradkiem. Nic nie rzucało się w oczy. Ma moich rąk nie było żadnych siniaków poza tymi żółtymi smugami sprzed tygodnia. Przeciągnęłam się jeszcze na próbę, ale nic mnie nie zabolowało. Czulałam się zupełnie normalnie. A właściwie znacznie lepiej niż zazwyczaj.

- Inspekcja zakończona?
Nieczo zawstydzona, skinęłam głową.
- I poduszkom nic się nie stało.
- Niestety, nie można tego powiedzieć o twojej... hm... koszulce nocnej.
Wskazał podbródkiem ku nogom łóżka, gdzie na jedwabnym prześcieradle poniewierały się skrawki czarnej koronki.
- Jaka szkoda - stwierdziłam. - Podobała mi się.

- Mi też.
- Czy coś jeszcze trzeba dopisać do listy szkód? - spytałam bojaźliwie.
- Będę musiał kupić Esmę nową ramę do łóżka - wyznał, zerkając sobie przez ramię.
Podążyłam wzrokiem za jego spojrzeniem. Byłam wstrząśnięta, kiedy zobaczyłam, że od deski u wezgłowia, niczym od tabliczki czekolady, oderwano spore, nieforemne ławki.
Zmarszczyłam czoło.

- Czy nie powinnam była usłyszeć, jak to robisz?
- Kiedy twoja uwaga skupiona jest na czym innym, stajesz się wyjątkowo mało spostrzegawcza.
- No tak - przyznałam, pąsowiejąc. - Byłam trochę zajęta.
Z westchnieniem dotknąłem mojego zarumienionego policzka.

- Strasznie będę za nimi tęsknił.
Przestraszona, zaczęłam wpatrywać w jego twarz oznak zniechęcenia lub zagniewania. Wyglądał na spokojnego, ale z jego oczu nie dawało się nic wyczytać.
- Wszystko w porządku?

Zaśmiał się.
- Co? - spytałam.
- Muszą cię zżerać wyrzuty sumienia. Patrzysz na mnie, jak ktoś, kto popełnił jakąś zbrodnię.
- To prawda - mruknęłam. - Czuję się winna.
- Winna uwiedzenia własnego rozamiętnionego męża? Za to nie grozi kara śmierci.

Najwyraźniej się ze mnie nabijał. Zarumieniłam się jeszcze bardziej.
- „Uwiedzenie” sugeruje premedytację.
- Może źle dobrałem słowa - zgodził się.

- Nie jesteś na mnie zły?
Uśmiechnął się smutnawo.

- Nie.
- Dlaczego?
- Cóż... Zamyślił się. - Przed wszystkim, nie zrobiłem ci krzywdy. Tym razem było mi o wiele łatwiej się kontrolować, odpowiednio kanalizować nadmiar energii. - Spojrzał w stronę zniszczonego wezgłowia. - Może dlatego, że wiedziałem już mniej więcej, czego się spodziewać.

Uśmiechnęłam się. W moim sercu zakiełkowała nadzieja.
- Mówiłam ci, że praktyka czyni mistrza.
Wywrócił oczami.

Zaburczało mi w brzuchu. Edward parsknął śmiechem.
- Śniadanko dla człowieka?
- O tak.

Wyskoczyłam z łóżka. Okazało się, że przesadziłam, bo zatoczyłam się jak pijana. Edward złapał mnie, zanim wpadłam na szafkę.
- Nic ci nie jest?
- Jeśli będę tak samo niezadarna po przemianie, to złożę reklamację.

W kuchni sama zabrałam się za przygotowanie posiłku. Postanowiłam usadzić kilka jajek, bo byłam zbyt głodna, by czekać na cokolwiek bardziej wyrafinowanego, a i tak, zniecierpliwiona, wylałam je na talerz, ledwie się ścięły.
- Od kiedy to jadasz jajka sadzone żółtkiem od góry? - zdziwił się Edward.
- Od dzisiaj.

- Czy wiesz, ile pochłonął jaj, odkąd się tu zjawiliśmy? Wyciągnął spod zlewu kulebki na śmieci - był pełen pustych niebieskich kartonów.

- Dzwone - powiedziałam, przelknąwszy parzący kęs. - To ta wyśpa tak wpływa na mój apetyt.

I na moje sny i na mój już wcześniej nienajlepszy zmysł równowagi.

- Ale podoba mi się tutaj - ciągnęłam. - Tylko będziemy musieli już niedługo wyjechać, prawda, żeby zdążyć na początek roku w Dartmouth. Kurczę, musimy sobie znaleźć jakąś stancję i w ogóle będzie sporo rzeczy do załatwienia.

Edward usiadł ze mną przy stole.

- Nie musisz już dłużej udawać, że chcesz iść na studia - przecież dostałaś, czego chciałaś. I nie zawarłem z tobą żadnej umowy, więc nie jesteś do niczego zobowiązana.

Prychnęłam.

- Wcale nie udawałam. W odróżnieniu od innych osób, nie snuję po kryjomu intryg. Co można by tu było dziś zrobić, co zmęczyłoby Bellę? - powiedziałam, naśladowując marnie brzmienie jego głosu. Zaśmiał się, zamiast się zawstydić. - Naprawdę chcę jeszcze trochę pobycć człowiekiem. - Pochyliłam się, by móc pogłaskać go po nagim torsie. - Nie mam cię jeszcze dość.

- To oto ci chodzi? O seks? - spytał zaskoczony, powstrzymując moją dłoń, która zmierzła w stronę jego brzucha. Wzniósł oczy ku niebu. - Czemu nie przyszło mi to do głowy? - mruknął z sarkazmem. - Zmarnowałem tyle czasu na wywołanie setek argumentów.

Zaśmiałam się.

- Zmarnowałeś, niewątpliwie.

- Jesteś taka ludzka - powiedział mi znowu.

- Wiem.

Kąciki jego ust uniosły się lekko ku górze.

- Pojedź z mną do Dartmouth? Naprawdę?

- Pewnie i tak mnie wyrzucą po jednym semestrze.

- Będę ci dawał korepetycje. - Nie krył już swojej radości. - Spodoba ci się, zobaczysz.

- Jak myślisz, uda nam się wynająć mieszkanie tak na ostatnią chwilę?

Zakłopotany, spuścił oczy.

- Cóż, tak właściwie to mamy już tam dom. Zadbalem o to, tak na wszelki wypadek.

- Kupiłeś dom?!

- Nieruchomości to dobra lokata kapitału. Uniosłam brwi, ale stwierdziłam, że nie warto się kłócić.

- Czyli wszystko już załatwione - podsumowałam.

- Będę musiał tylko sprawdzić, czy możesz zatrzymać na tak długo swój samochód przedślubny.

- Tak, tak Koniecznie. Bałabym się jeździć po mieście. Jeszcze by mnie jakiś czołg przejechał...

Uśmiechnął się szeroko.

- Ile jeszcze dni możemy tu zostać? - spytałam.

- Spokojnie. Nawet kilka tygodni, gdybyś miała ochotę. Zanim wyjedziemy do New Hampshire, odwiedzimy jeszcze Charliego. A Boże Narodzenie moglibyśmy spędzić u Renee...

Odstąpił przede mną bardzo negujące perspektywy - jeszcze przez długi czas wszyscy moi bliscy mieliby być szczęśliwi... Nagle zagrzecotała zapomniana szuflada z Jacobem i musiałam się poprawić. No tak - wszyscy prócz jednej osoby.

Niczego to nie ułatwiało. Odkrywszy, jak naprawdę przyjemnie jest być człowiekiem, odczuwałam coraz większą pokusę, żeby odkładać swoje plany w nieskończoność. Osiemnaście lat a dziewiętnaście, dziewiętnaście a dwadzieścia? Czy miało to jakieś znaczenie? Nie powinnam była się aż tak bardzo zmienić. A w zamian nadal mogłabym być przy Edwardzie człowiekiem... Podjęcie decyzji stawało się trudniejsze, niż kiedykolwiek.

- Kilka tygodni - zgodziłam się. A potem (bo zaraz pewnie znowu miało nie być kiedy) dodałam: - Pamiętasz, co mówiliśmy wcześniej o mistrzach?

Zaśmiał się.

- Pozwolisz, że wrócimy do tego za jakiś czas? Słyszę, że ktoś cumuje przy pomoście. To na pewno ekipa sprzątająca.

Powiedział, że wrócimy do tego za jakiś czas. Czy miał na myśli to, że nie będzie się już opierał? Uśmiechnęłam się do swoich myśli.

- Muszę wyjaśnić Gustavo, skąd wziął się ten bałagan w białej sypialni, a potem możemy sobie pójść. Na podumie stąd jest w lesie taki...

- Nigdzie nie idę - przerwałam mu. - Nie mam zamiaru wędrować znowu po całej wysep. Zostaniemy w domu i puścimy sobie film.

Mówiłam tonem naburmuszonego dziecka. Edward zacisnął usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem.

- W porządku, jak wolisz. Wybierz jakiś, a ja pójdę im otworzyć.

- Nie słyzałam dzwonka.

Przekrzywił głowę, nasłuchując. Pół sekundy później ktoś zapukał cichutko do drzwi. Edward uśmiechnął się z triumfem i wyszedł z kuchni.

Podeszłam do półek pod imponującym rozmiarom telewizorem i zaczęłam przyglądać się tytułom na grzbiatach pudełek. Ciężko było dokonać tu wyboru - mieli więcej DVD niż wypożyczalnia.

Edward rozmawiał z kimś na korytarzu, powoli się do mnie zbliżając. Musiał naprawdę świetnie znać portugalski, skoro umiał mówić tak szybko. Odpowiadał mu niski, męski głos, kontrastujący z jego alsamitym barytonem.

Po krótkiej chwili wprowadził do pokoju dwoje Brazylijczyków, tłumacząc im coś i wskazując na kuchnię. Wydawali się przy nim wyjątkowo niscy i ciemni. Oboje mieli sporo zmarszczek mężczyzna był otyły, zaś kobieta szczupła. Przy pomniałam sobie, że zaraz przejdą do białej sypialni zrobić tam porządek i zacerzweniłam się odrobine.

Edward wskazywał teraz na mnie, uśmiechając się z dumą, i z potoku obcych słów wyłowilałam swoje imię. Korpułentny mężczyzna uśmiechnął się grzecznie, ale jego drobna, śniada towarzysza nie. Wpatrywała się we mnie z bardzo dziwną miną. Wydawała się być po części zszokowana, a po części zadowolona, ale przede wszystkim... okropnie przystraszona. Zanim jakoś na to zareagowałam, Edward nakazał im gestem pójść za sobą i odeszli w trójkę w stronę kurnika.

Wrócił sam. Podeszedł do mnie i wytrulił do siebie.

- Czemu tak na mnie patrzyła? - spytałam go szeptem. Miałam na myśli oczywiście to, czego tak się bała.

Edward wzruszył ramionami. Najwyraźniej się nią nie przejmował.

- Kaure jest w połowie Indianką z plemienia Ticuna. Wychowano ją wśród wielu przesądów - czyli, jak dla nas, jest bardziej świadoma pewnych zjawisk niż mieszkańcy nowoczesnego świata. Podejrzewa czym jestem, a przynajmniej czym mniej więcej jestem. - Jakoś nie robiło to na nim wrażenia. - Mają tutaj swoje własne legendy. Wierzą w istnienie *libishomen*: demonów, które żywią się wyłącznie krwią pięknych kobiet* [Właściwie „Jobisomen” - port.

wilkolak - przyp. tłum.] - Lypnął na mnie poządlwie.

Wyłącznie pięknych kobiet? Hm, to poniekąd był komplement.

- Wyglądała na przerażoną - powiedziałam.

- Bo jest przerażona - ale boi się głównie o ciebie.

- O mnie?

- Boi się, że spowoduję cię w niecnym zamiarach. No wiesz, jesteś tu ze mną sam na sam. - Zaśmiał się złowieszczo, a potem spojrzął na półki z DVD. - To co, wybierz jakiś film i go sobie obejrzyjmy. Jak para normalnych młodych ludzi.

- Tak, jak zobaczy cię przed telewizorem, to zaraz uwierzy, że jesteś człowiekiem - zdrwiłam.

Zarzucałam mu ręce na szyję, stając na palcach, więc pochylił się, żeby mi mogła go pocałować. Potem po prostu mnie podniósł, bo w ten sposób nie musiał się wyginać.

- Film może poczekać - mruknęłam, kiedy jego wargi przesunęły się ku mojej szyi. Wplotłam palce w jego kasztanowe włosy.

Nagle usłyszałam, jak ktoś gwałtownie nabiera powietrza do płuc, tak jak to się robi, kiedy widzi się coś szokującego. Edward natychmiast postawił mnie na podłodze.

W holu stała oniemiała Kaure. W rękach miała spory worek pełen pierza, które bielilo się także w jej czarnych włosach. Wpatrywała się we mnie wytrzeszczony mi ze strachu oczami, więc spłoszowałam i spuściłam wzrok.

Otrząsnąwszy się z szoku, kobieta wymamrotała kilka słów. Mówiła po portugalsku, ale domyślałam się, że to przeprosiny. Edward z uśmiechem odpowiedział jej coś przyjaznym tonem i odwróciła się, by po chwili zniknąć w głębi korytarza.

- Pomyślała sobie to, co myślę, że sobie pomyślała, prawda?

Rozbawiłam go tym pokręconym zdaniem.

- Tak

Sięgnęłam do półki i wyjęłam pierwszą płytę z brzęgu.

- Proszę. Nastaw ją i poudawajmy, że oglądamy.

Film okazał się być starym musicalem pełnym uśmiechniętych twarzy i falbaniastych sukienek

- W sam raz na miesiąc miodowy - ocenił Edward.

Kiedy aktorzy tańczyli na ekranie w rytm pierwszej z piosenek, umościłam się na kanapie w jego ramionach.

- Przenieśmy się teraz może z powrotem do białej sypialni? - zamyśliłam się na głos.

- Czy ja wiem... Ta rama łóżka w niebieskiej nadaje się już tylko do wyrzucenia. Może jeśli ograniczy my się z sianiem zniszczenia do jednego pokoju, to Esme nas tu jeszcze kiedyś zaprosi.

Uśmiechnęłam się od ucha do ucha.

- Więc będziemy jeszcze siał zniszczenie?

Zaśmiał się, widząc moją minę.

- Sądę, że będzie bezpieczniej, jeśli zacznę z tobą współdziałać, niż jeśli dam się zaskoczyć kolejnym niezapowiedzianym atakiem z twojej strony.

- Nie czekałbyś długo - przyznałam ze swobodą, ale serce biło mi już jak oszalałe.

- Jesteś pewna, że dobrze się czujesz? Ten twój puls...

- Jestem zdrowa jak koń. - Zamilkłam na moment. - Hej, to może miałbyś ochotę pójść ze mną oćenić, ile już wyrządziliśmy szkód?

- Chyba grzeczniej byłoby zacząć, a będziemy zupełnie sami. Ty może nie nie zauważysz, jeśli zacznę demolować pokój, ale Gustavo i Kaure napędziliby mnie niezłego stracha.

Szczerze mówiąc, zdążyłam już zapomnieć, że w pomieszczeniu obok przebywały jakieś inne osoby.

- Rzeczywiście. Ech...

Brazylijczycy krztali się cicho po domu, a ja czekałam zniecierpliwiona, aż skończą, próbując koncentrować się na fabule cukierkowego musicalu. Chociaż według Edwarda przespałam pół doby, zaczynałam robić się senna.

Z półdrzemki wyrwał mnie niski głos. Nie wyszczępałam mnie do kuchni. Znał mnie tak dobrze, że właściwie nie musiał umieć czytać mi w myślach.

- Odpływają - poinformował mnie Edward.

- Czyli za chwilę będziemy już sami?

- Może najpierw zjesz obiad? - zasugerował.

Rozdarta, przygryzłam dolną wargę. Byłam już bardzo głodna.

Uśmiechając się, ujął moją dłoń i zaprowadził mnie do kuchni. Znał mnie tak dobrze, że właściwie nie musiał umieć czytać mi w myślach.

- To mi się wymyka spod kontroli - pożałowałam się, kiedy napelniłam już żołądek.

- Może, żeby spalić kalorie, popływasz teraz z delfinami?

- Może później. Mam inny pomysł, jak spalić kalorie.

- Tak? Jak?

- Ta rama łóżka jest jeszcze całkiem dobra...

Nie musiałam kończyć. Uciszywszy mnie pocałunkiem, jednym ruchem wziął mnie na ręce i z nadludzką szybkością zaniósł do niebieskiej sypialni.

Rząd czarnych sylwetek sunął ku mnie we mgle. W rubinowych oczach złowrogich postaci jarzyła się żądza mordu. Jeden po drugim, wampiry odsłaniały ostre, mokre zęby - jedne by groźnie warknąć, inne by się uśmiechnąć. Usłyszałam za sobą jęk dziecka, ale nie mogłam się odwrócić. Chociaż wszystko się we mnie rwało do tego, by upewnić się, że nic mu nie jest, nie mogłam teraz się zdekcentrować ani na sekundę.

Nasi przeciwnicy byli coraz bliżej. Przy każdym ich ruchu ciemne peleryny unosiły się w powietrzu. Zobaczyłam, jak blade palce zaciskają się w szpony. Szereg rozprasał się stopniowo, obchodząc nas ze wszystkich stron. Byliśmy otoczeni i bez szans.

A potem, jak gdyby po błysku flesza, coś się odmieniło. Z pozoru sytuacja pozostała bez zmian - Volturi nadal zbliżali się w przyczajonych pozach. Ale teraz spoglądałam na nich innymi oczami. Głodnymi oczami. Chciałam, żeby zaatakowali. Pragnęłam skoszować ich krwi. Z uśmiechem na twarzy przyzykowałam się do skoku, a zła moich obnazonych zębów wydobyl się charkot..

Az usiadłam na łóżku.

Rozejrzałam się dookoła. W pokoju panowały egipskie ciemności. Było też gorąco jak w saunie. Pot zlepił mi włosy na skroniach i spływał za dekolt.

Pomacałam prześcieradło koło siebie, ale moja ręka na nikogo nie natrafiła.

- Edward?

W tym samym momencie wyczułam pod palcami coś papierowego. Była to złożona na pół kartka. Zabrałam ją ze sobą i po omacku dotarłam do włącznika światła w przeciwległym kącie pokoju.

Liścik był zaadresowany do „Pani Cullen”.

Mam nadzieję, że się nie obudzisz i nawet nie zauważysz mojej nieobecności, gdyby jednak stało się inaczej, wiedz, że niedługo wrócę. Popłynęłam tylko na stały łód na małe polowanie. Śpij spokojnie - kiedy wstaniesz rano, będę już z powrotem.

Kocham cię.

Westchnęłam. Od naszego ślubu minęły już jakieś dwa tygodnie, powinnam się więc byłą spodziewać, że Edward prędzej czy później mnie opuści, ale nie zaprzątałam sobie głowy liczeniem dni. Na wyspie Esme zylimy poza czasem - dryfowaliśmy w absolutnej harmonii.

Otarłam wilgoć z czoła. Chociaż według stojącego na szafce zegara minęła pierwsza, czułam się zupełnie rozbudzona. Wiedziałam, że już nie zasnę, zwłaszcza taka zgrzana i lepiąca się od potu. Nie mówiąc już o tym, że gdybym zamknęła oczy, pod moimi powiekami i pojawiłyby się natychniały tamte skradające się, złowrogie postacie.

Zaczęłam wędrować bez celu po ciemnym domu, zapalając po drodze światła. Bez Edwarda wydawał się taki wielki i pusty. Taki inny.

Swoją spacer zakończyłam w kuchni, gdzie doszłam do wniosku, że coś smacznego z pewnością podniesie mnie na duchu.

Grzebałam w lodówce, dopóki nie znalazłam wszystkich składników potrzebnych do usmażenia kurczaka. Skwierczenie mięsa, drewniana łopata szurająca po patelni - te odgłosy przypomniały mi, jak szykowałam obiady dla Charliego po powrocie ze szkoły. Nie było już tak cicho i poczułam się pewniej.

Kurczak pachniał tak smakowicie, że nawet nie przeniosłam go na talerz i przez swoją łapczywość poparzyłam się w język. Dopiero po piątym czy szóstym kęsie danie ostygło na tyle, że poczułam jego smak. Znieruchomiałam. Czy mięso aby nie było zepsute? A może zbyt szybko się pospieszyłam? Rozkroiłam kilka kawalków, ale w środku też były białe. Na próbę wsadziłam do ust kolejny i trochę go pożałam. Fuj - zdecydowanie zepsute. Zerwałam się, żeby wypłuć wszystko do zlewu. Złaniała nawet sam zapach kurczaka i oleju wydał mi się obrzydliwy. Wzięłam talerz i strzeliłam jego zawartość do śmieci, a potem otworzyłam szeroko okno, żeby przewietrzyć. Do kuchni wtargnął podmuch chłodnej bryzy. Przyjemnie mnie orzeźwiła.

Poczułam się nagle zmęczona, ale nie miałam ochoty wracać do dusznej sypialni. Otworzyłam więcej okien w pokoju telewizyjnym i położyłam się na kanapie, która stała tuż pod nimi. Nastawiliśmy to samo DVD, co poprzedniego dnia, zasnąłam, zanim jeszcze dobiegła końca otwierająca film piosenka.

Kiedy się obnęłam, słońce stało już wysoko na niebie, ale to nie światło mnie obudziło. Otaczały mnie zimne, silne ramiona - Edward przyciągał mnie właśnie do siebie.

W tej samej chwili poczułam skarcz w żołądku, tak bolesny, jakby ktoś kopnął mnie w brzuch.

- Przepraszam - mruczał mi Edward do ucha, przecierając mi chłodną dłońią lepkie czoło. - Nie jestem jednak taki skrupulatny. Nie pomyślałem, jak ci będzie bez mnie. Zanim następnym razem cię zostawię, załatwię, żeby zainstalowano tu klimatyzację.

Nie byłam w stanie skupić się na jego słowach.

- Zaraz - wykrztusiłam, wyswobadzając się z jego objęć.

Puścił mnie odruchowo.

- Coś nie tak? Bello?

Z ręką na ustach pobiegłam do łazienki. Czułam się tak fatalnie, że nawet nie przeszkażdało mi - z początku - to, że Edward przygląda mi się, jak kłęcząc na podłodze, wymiotuję do sedesu.

- Bello, co ci?

Na razie nie mogłam mu odpowiedzieć. Żeby się na coś przydać, odgarnął mi włosy do tyłu i czekał, aż dojdę do siebie.

- Przekłety kurczak! - jęknęłam.

- Wszystko w porządku? - spytał mocno zaniepokojony.

- Tak - wydyshałam. - To tylko zatrucie pokarmowe. Nie musisz tego oglądać. Idź już sobie.

- Zostanę.

- Idź sobie! - powtórzyłłam, próbując niezdarne wstać, żeby oplukać usta. Pomógł mi się podnieść, nie zwracając uwagi na to, że odganiam go słabymi kuksańcami.

Kiedy wytarłam już sobie buzię, zaniósł mnie do łóżka i usadził na nim ostrożnie, wspierając ramieniem.

- Zatrucie pokarmowe?

- Tak - wychrypiałam. - W nocy usmażyłam sobie trochę kurczaka. Smakował jakoś dziwnie, więc resztę wyrzuciłam. Ale zdążyłam przełknąć kilka kęsów.

Przyłożył mi dłoń do czoła. Sprawilo mi to ulgę.

- I jak, lepiej ci już teraz?

Zastanowiłam się. Młdosi minęły równie szybko, jak się pojawiły. Czułam się tak samo, jak każdego ranka.

- Chyba już wszystko w normie. Właściwie to jestem trochę głodna.

Kazał mi odczekać godzinę, a zanim zaserwował usadzone przez siebie jajka, dał wielką szklankę wody. Nic mi już nie dolegało, byłam tylko odrobinę rozbita, bo wstawałam w środku nocy. Włączył CNN - byliśmy tu tacy odcięci od świata, że nawet gdyby wybuchła trzecia wojna światowa, nie byśmy o tym nie wiedzieli. Usiadłam mu na kolanach i rozleniwiona oparłam głowę o jego ramię.

Po pewnym czasie znużyło mnie oglądanie wiadomości, więc obróciłam się, żeby go pocałować. Podobnie jak rano, kiedy się poruszyłam, brach przesyłał mi ostry ból. Odskoczyłam od Edwarda jak oparzona. Tym razem nie miałam szans zdążyć do łazienki - musiał wystarczyć kuchenny zlew.

Edward znowu podtrzymał mywał mi włosy.

- Może powinniśmy popłynąć do Rio i iść do lekarza? - zaproponował z troską w głosie, kiedy płukałam usta.

Pokręciłam przecząco głową i podreptałam w kierunku korytarza. U lekarza na pewno nie ominąłby mnie jakiś zastrzyk

- Jak umyję zęby, od razu poczuję się lepiej.

Odświeżona, zabrałam się do wybebeszania walizki. Wiedziałam, że Alice spakowała mi niewielką apteczkę - bandaże, środki przeciwbólowe i inne rzeczy niezbędne śmiertelnikom - a także to, czego mi było teraz trzeba: coś na niestrawność. Może gdybym uspokoiła swój żołądek, uspokoiłabym i Edwarda? Miałam taką nadzieję.

Zanim jednak znalazłam PeptoBismol, natknęłam się na coś innego - charakterystyczne jasnoniebieskie pudełeczko. Wyciągnęłam je z walizki i wpatrywałam się w nie przez dłuższą chwilę, zapomniawszy o bożym świecie.

A potem zaczęłam liczyć dni.

Raz.

Drugi.

W połowie trzeciego rachunku wystraszyło mnie pukanie do drzwi. Pudełko wypadło mi z rąk wprost do otwartej walizki.

- Wszystko w porządku? - zawołał Edward. - Znowu wymiotowałaś?

- Tak i nie - odpowiedziałam zmienionym głosem.

- Bello? Mogę wejść?

Słychać było, że martwi się o mnie.

- O... kęj?

Stanąwszy na progu, jednym spojrzeniem ocenił sytuację. Siedziałam po turecku przed walizką. Wzrok musiał mieć błędny. Usiadł koło mnie i znowu przyłożył mi dłoń do czoła.

- Co się dzieje?

- Ile dni minęło od naszego ślubu? - wyszeptalam.

- Siedemnaście - odpowiedział machinalnie. - Bello, o co chodzi?

Podniosłam palec do ust, żeby go uciszyć. Znowu podliczałam, wypowiadając bezgłośnie kolejne liczby. Przedtem byłam w błędzie - nie sądziłam, że jesteśmy na wyspie aż tak długo. Machnęłam ręką i zaczęłam wszystko od początku.

- Bello! - Zaczynał tracić cierpliwość. - Zaraz oszaleję z niepokoju!

Spróbowałam przełknąć ślinę, ale nie pomogło, sięgnęłam więc do walizki i odszukałam pudełeczko z tamponami. Podałam mu je bez słowa.

Nie nie zrozumiał.

- Myślisz, że ta niby choroba to przez zespół napięcia przedmiesiączkowego?

- Nie, Edwardzie - udało mi się wykrztusić. - Usiłuję ci powiedzieć, że powinnam była dostać okres pięć dni temu.

Wyraz jego twarzy się nie zmienił. Tak, jakbym w ogóle się nie odezwała.

- Sądzę, że wcale niczym się nie strulam - dodałam.

Nie reagował. Zmienił się w posąg.

- Te sny - zaczęłam wyliczać w zamyśleniu. - I to spanie do późna. I te łyzy, wtedy w nocy. I tyle teraz jem. Och. O mój Boże...

Spojrzenie Edwarda stało się szkliste, jak gdyby nie już nie widział.

Odruchowo położyłam sobie rękę na brzuchu.

- Ojej! - jęknęłam.

Zerwałam się na równe nogi. Edward nawet nie drgnął. Na sobie miałam nadal jedwabne szorty i koszulkę na ramiączkach, w które przebrałam się do snu. Szorty zsunęłam odrobinę, a koszulkę podciągnęłam i przyjrzałam się badawczo swojemu brzuchowi.

- To niemożliwe - szepnęłam.

Jeśli chodziło o ciążę czy niemowlęta, miałam zerowe doświadczenie, ale nie byłam głupia. Widziałam w życiu dość filmów i programów telewizyjnych, żeby wiedzieć, że nie tak to wyglądało. Okres spóźnił mi się przecież tylko o pięć dni. Jeśli naprawdę byłam w ciąży, nie powinnam była jeszcze mieć żadnych jej objawów: ani porannych mdłości, ani wzmożonego apetytu, ani zmienionych upodobań, co do długości snu.

A przede wszystkim, z całą pewnością, nie byłoby po mnie owej ciąży widać.

Wciągnęłam brzuch, ale nadal sterczał. Spoglądałam na niego pod różnym kątem, ale bynajmniej się od tego nie zmniejszył. Pomacałam go ostrożnie. Pod skórą zdawało się kryć coś zadziwiająco twardego.

- Niemożliwe - powtórzyłam.

Mógł mi rosnąć brzuch, mógł mi spóźnić się okres (a spóźnił się bez wątpienia, chociaż mój cykl zawsze był nadzwyczaj regularny), ale przecież nigdy w życiu nie znalazłam się w sytuacji, w której mogłabym zająć w ciąży. Na

milość boską, jedyną osobą, z którą kiedykolwiek uprawiałam seks, był wampir!

Wampir, który nadal siedział znieruchomołały na podłodze, nie dając mi nadziei na to, by miał się jeszcze kiedyś poruszyć.

Musiało istnieć jakieś inne wyjaśnienie. Może zapadłam na jakąś rzadką południowoamerykańską chorobę przypominającą przebiegiem ciężą, tylko w przyspieszonym tempie?

A potem coś mi się przypomniało - pewien szary poranek spędzony wieki wcześniej na wyszukaniu informacji w Internecie. Siedziałam wtedy za starym biurkiem w swoim pokoju w domu Charliego i wpatrywałam się w ekran sądzącego komputera, pograżona w lekturę strony internetowej o nazwie „Wampiry od A do Z”. Niespełna dwadzieścia cztery godziny wcześniej Jacob Black, próbując zabawić mnie quileuckimi legendami, w które sam jeszcze nie wierzył, powiedział, że Edward jest wampirem.

Przeczytałam wtedy pobieżnie wiele hasel poświęconych podaniom i mitom o wampirach na całym świecie: na Filipinach funkcjonowały pod nazwą Danag, po hebrajsku Estrie, w Rumunii Varacolaci, we Włoszech Stregoni benefici... (Ta ostatnia legenda była akurat oparta na poczynaniach mojego własnego teścia i goszczących go przed wielkimi Volturi, ale rzecz jasna wówczas nie miałam o tym pojęcia). Z wpisu na wpis, historie stawały się coraz bardziej nieprawdopodobne, więc coraz mniej poświęcałam im uwagi. Ostatnie hasła pamiętałam jak przez mgłę. W większości wyglądały na wymówki wymyślone po to, by usprawiedliwić przydadki nagłej śmierci wśród noworodków - bądź zdrady małżeńskiej... „Skąd, kochanie, nie mam żadnego romansu! Ta seksowna kobieta, którą widziałas wymyślającą się z naszego domu, to demon, sulab. Miałem szczęście, że wyszedłem z tego żywy!”. Oczywiście, wiedząc to i owo o Tany i i jej siostrach, podejrzewałam, że niektóre z tych wymówek były prawdziwe. Pań takie przygody również nie omijały, przynajmniej teoretycznie: „Jak możesz mnie oskarżać o niewierność, tylko dlatego, że po powrocie z dwuletniego rejsu zastajesz mnie w ciąży! To inkub* [sulab - kobieta - demon odbywająca stosunki seksualne z pogrążonymi we śnie mężczyzmi* inkub - jej męski odpowiednik - przyp. tłum.] mnie uwiódł. Zahipnoty walcie mnie. One mają różne nadprzyrodzone zdolności...”

Fakt ten został jeszcze powtórzony w zawartej w leksykonie definicji inkuba - potrafił zapładniać swoje bezbronne ofiary.

Pokręcałam głową w niedowierzaniu. Ale jak... ale przecież...

Pomyślałam o Esme, a przede wszystkim o Rosalie. Wampiry nie mogły mieć dzieci. Gdyby było to możliwe, moja szwagierka z pewnością by już o tym wiedziała. Podania o inkubach można było włożyć między bajki.

Tyle że... Cóż, pomiędzy kobietami a mężczyznami była pewna różnica. Rosalie nie mogła zająć w ciąży, ponieważ pozostała na wieki taką, jaką była w dniu przemiany. Z tą chwilą przestała się zmieniać. A ciała zwykłych kobiet zmieniały się bezustannie. Po pierwsze, zachodzili w nich zmiany wynikające z cyklu menstruacyjnego. A po drugie, już po zapłodnieniu, przeobrażały się, by móc pomieścić w sobie rosnący płód. Ani jedno, ani drugie, nie było Rosalie dane.

Ale mi owszem.

Zmieniałam się, i to w jakim tempie!

Dotknęłam rysującego się pod moją bluzką wybruszenia, którego wczoraj tam jeszcze nie było.

Co do zwykłych mężczyzn - ci pozostawali pod tym względem z grubsza tacy sami od momentu osiągnięcia dojrzałości płciowej aż do śmierci. Przypomniało mi się (skąd ja czerpałam takie informacje?), że kiedy Charlieu Chaplinowi urodziło się najmłodsze dziecko, słynny aktor był już dobrze po siedemdziesiątce. Mężczyźni nie musieli się zastanawiać, kiedy mieli „dni płodne”, ani nikt ich nie popędzał, by zostali ojcami, „zanim będzie za późno”.

Tylko kto mógł wiedzieć, że wampirów także to dotyczyło, skoro ich partnerki były bezpłodne? Jaki wampir miał dość silną wolę, by sprawdzić teorię w praktyce z jakąś śmiertelniczką? Albo w ogóle chciał wypróbować na niej, jak silną ma wolę?

Do głowy przychodził mi tylko jeden.

Część mojego umysłu analizowała moje wspomnienia, przypuszczenia i zgromadzoną przeze mnie wiedzę, ale pozostała jego część - ta odpowiedzialna za kontrolowanie mięśni, aż po te najdrobniejsze - z powodu szoku nie była w stanie normalnie funkcjonować. Chociaż chciałam błagać Edwarda, żeby wyjaśnił mi, co jest grane, nie mogłam nawet otworzyć ust. Powinnam była do niego podejść, dotknąć, ale moje kończyny odmawiały posłuszeństwa. Mogłam tylko wpatrywać się szeroko otwartymi oczami w swoje odbicie w lustrze, macając niepewnie powiększony brzuch.

A potem, podobnie jak w koszarach, który nawiedził mnie poprzedniej nocy, w ułamku sekundy sytuacja odwróciła się o sto osiemdziesiąt stopni. Nagle to, co widziałam w lustrze, zaczęłam postrzegać zupełnie inaczej, chociaż tak naprawdę nie się nie zmienilo.

Tę ogromną zmianę spowodowało pewne drobne zdarzenie: pod dłoń, którą trzymałam na brzuchu, coś drgnęło. Coś mnie kopnęło - coś znajdujące się w głębi mojego ciała.

W tym samym momencie zadzwonił telefon Edwarda. Natarczywy dźwięk dzwonka rozdarł nieprzyjemnie ciszę.

Zadane z nas się nie poruszyło - telefon dzwonił i dzwonił. Staralam się go ignorować. Przy cisnęłam mocniej palce do brzucha. Czekałam w skupieniu. Widziałam w lustrze, że nie wyglądam już na wstrząśniętą, tylko na zamysłą.

Nie wiedzieć kiedy, po policzkach zaczęły spływać mi łzy.

Telefon uparcie nie milkł. Byłam zła na Edwarda, że go nie odbiera. Doświadczałam właśnie czegoś nieopisanego - najprawdopodobniej była to najważniejsza chwila w całym moim życiu.

Dryń! Dryń! Dryń!

W końcu irytacja wzięła górę nad innymi emocjami. Ukłękłam koło Edwarda (poruszałam się teraz wyjątkowo ostrożnie, o wiele bardziej świadoma każdego swojego ruchu) i zabrałam się za przeszukiwanie jego kieszeni. Do pewnego stopnia spodziewałam się, że kiedy już znajdę telefon, Edward ożyje i sam go odbierze, ale ani drgnął.

Rozpoznałam wyświetlający się na ekranie numer - nie trudno było zresztą zgadnąć, kto się do nas dobiega.

- Cześć, Alice.

Mój głos wciąż nie brzmiał najlepiej. Musiałam odchrząknąć.

- Bella? Bello, nic ci nie jest?

- Ehm. Nie, nie. Czy jest gdzieś tam Carlisle?

- Tak, a o co chodzi?

- Hm... Właściwie to sama nie wiem.

- Czy z Edwardem wszystko w porządku? - spytała zaniepokojona. Usłyszałam, jak woła Carlisle'a, ale zaraz znowu zwróciła się do słuchawki. - Dlaczego sam nie odebrał telefonu?

- Nie jestem pewna, co nim kieruje.

- Bello, co się tam u was dzieje? Widziałam przed sekundą...

- Co widziałaś? Nie odpowiedziała.

- Daję ci Carlisle'a.

Poczułam się tak, jakby ktoś wstrzyknął mi do żył lodowatą wodę. Gdyby Alice miała wizję, w której tulilibym do siebie zielonookie dziecko o twarzy czcze aniołka, z pewnością nie musiałaby tego przede mną ukrywać, prawda? Zanim w słuchawce odezwał się doktor, minęło może z pół sekundy, ale wizja, jaką stworzyłam dla Alice, zdążyła rozkwitnąć pod moimi powiekami. Śliczne niemowlę, jeszcze piękniejsze niż chłopczyk z moich snów - po prostu maleńki Edward. Ciepło bijące z mojego serca przegoniło chłód.

- Witaj, Bello, tu Carlisle. Co się dzieje?

- Eee...

Nie wiedziałam, od czego zacząć. Może miał mnie wyśmiać albo powiedzieć mi, że poniosła mnie fantazja? Może znowu sen mi lił mi się z rzeczy wistocią?

- Trochę się martwię o Edwarda... Czy wampiry mogą doznawać szoku?

- Czy jest ranny? - Carlisle wyraził się zdenerwował.

- Nie, nie - zapewniłam go. - Tylko... coś bardzo go zaskoczyło.

- Nic nie rozumiem.

- Wydaje mi się... że... hm... wydaje mi się, że... że chyba... - Wzięłam głęboki wdech. - Ze chyba jestem w ciąży.

Jak gdyby na potwierdzenie moich słów tajemnicze coś znowu mnie kopnęło. Szybko przyłożyłam sobie dłoń do brzucha.

Carlisle długo milczał. Wreszcie odezwał się w nim zawodowicie:

- Kiedy miałaś ostatnią miesiączkę?

- Szesnaście dni przed ślubem.

Podliczałam to już tyle razy, że mogłam odpowiedzieć mu na to pytanie bez wahania.

- Jak się czujesz?

- Dziwnie - wyznałam łamiącym się głosem. Znowu się rozplakałam. - Nie uwierysz mi pewnie, jak ci powiem, bo niby jeszcze za wcześnie na takie objawy. Nie wiem, może zwiariowałam. Ale mam dziwne sny, i cały czas jem, i płaczę bez powodu, i mam nudności, i... i mogę przysiąc, że przed chwilą coś się we mnie poruszyło.

Edward uniósł głowę. Odetchnęłam z ulgą.

Wyciągnął rękę w moją stronę. Twarz miał białą jak ściana. Nie uśmiechał się.

- Oj, chyba Edward chce z tobą porozmawiać.

- Daj mi go - poprosił Carlisle. Był bardzo śpięty.

Nie byłam pewna, czy Edward jest w stanie coś z siebie wykrzusić, ale posłusznie podałam mu telefon. Przycisnął go sobie do ucha.

- Czy to możliwe? - wyszeptał.

Carlisle tłumaczył mi coś długo. Edward wpatrywał się niewidzący mi oczami w przestrzeń.

- A co z Bella? - spytał, obejmując mnie ramieniem i przyciągając do siebie.

Kolejna długa odpowiedź.

- Tak, tak Obiecuję.

Weisnął przy cisk kończący rozmowę, a zaraz potem wybrał nowy numer.

- I co powiedział Carlisle? - spytałam niecierpliwie.

Edward wyglądał na kogoś, z kogo uszło życie.

- Uwaga, że jesteś w ciąży.

Po ciele rozlała mi się fala gorąca. W moim brzuchu znowu coś się poruszyło.

- A teraz do kogo dzwonisz? - wskazałam ręką na telefon, który znowu trzymał przy uchu.

- Na lotnisko. Wracamy do domu.

Edward wisiał na telefonie ponad godzinę. Domyśliłam się, że organizuje naszą podróż powrotną, ale nie mogłam mieć pewności, bo nie używał angielskiego. Musiał się z kimś wyklócać, bo dużo mówił przez zacziśnięte zęby. Wyklócał się i jednocześnie pakował. Wirował po sypialni niczym wściekłe tornado, pozostawiając jednak za sobą porządek zamiast chaosu. W pewnym momencie rzucił na łóżko zestaw ubrań dla mnie, nawet nie spoglądając w ich stronę, z czego wynioskowałam, że pora już, żebym i ja zaczęła się szykować. Kiedy się przebierałam, krążył dookoła, cedząc w słuchawkę gniewne słowa i gwałtownie gestykulując.

Nie mogłam dłużej znieść bijącej od niego negatywnej energii, więc wyknęłam się po cichu z pokoju. Od patrzenia na to, jak straszliwie Edward jest skoncentrowany, zrobiło mi się niedobrze - nie były to poranne mdłości, po prostu czułam się nieswojo. Chciałam gdzieś zacząć, aż będzie w lepszym humorze. Szczerze mówiąc, kiedy był taki oschły i skupiony, odrobinę się go bałam.

Podobnie jak podczas swojego nocnego spaceru, wylądowałam w kuchni. W jednej z szafek znalazłam paczkę precli. Podjadając je bezmyślnie, wyglądałam przez okno, za którym polyskiwały w słońcu plaża z palmami, skały i ocean.

Poczułam kolejne kopnięcia.

- Wiem ja też nie chcę stąd wyjeżdżać.

Stałam tak jeszcze przez chwilę, ale tajemniczy ktoś już się nie odezwał.

- To podejrzane - szepnęłam. - Czemu on tak się wścieka? Rozumiałabym, gdyby był zaskoczony. Zadziwiony. Ale nie wzburzony.

Jak gdyby działo się coś złego.

Czym tak się denerwował? Przecież sam mi mówił, że byłoby cudownie, gdybyśmy pobierali się tak wcześniej z powodu wypadki.

Spróbowałam wydedukować, co go gryzie.

Może nie było nic dziwnego w jego pragnieniu, by jak najszybciej wrócić do domu. Chciał, żeby Carlisle mnie zbadal, żeby potwierdził moje przypuszczenia - choć, jeśli o mnie chodziło, nie miałam już żadnych wątpliwości.

Chcieli się też pewnie dowiedzieć, dlaczego objawy mojej ciąży były już tak bardzo zaawansowane - czemu miałam widoczny brzuszek i wyczuwałam ruchy dziecka. Nie było to normalne.

Gdy tylko o tym pomyślałam, doszłam do wniosku, że Edwardowi za prostu na dobrą dziecka. Ja sama nie wpadałam jeszcze w panikę, ale mój mózg działał znacznie wolniej niż jego. Nadal byłam na etapie zachycania się wizją, w której tuliłam do siebie śliczne niemowlę o zielonych oczach - takich samych, jak oczy Edwarda, gdy był jeszcze człowiekiem. Miałam nadzieję, że małe odziedziczy po nim rysy twarzy bez żadnych domieszek z mojej strony.

Zabawne, jak szybko i jak całkowicie owa wizja stała się mi niezbędna. Wystarczyło jedno małe kopnięcie, by zmienił się cały mój świat. Do niedawna istniała tylko jedna rzecz bez której nie mogłabym żyć - teraz było ich dwie. I to bynajmniej nie o połowę mniej dla mnie ważne. Nie rozdzieliłam pomiędzy nie swojej miłości, nie, nie tak to działało. Wrażenie raczej takie, jakby moje serce raptownie urosło, jakby w mgnieniu oka naapeczęniało i stało się dwukrotnie większe. Tyle dodatkowej przestrzeni, a cała już wypełniona! Od tego przybytu mogło zakręcić się w głowie.

Tak na dobrą sprawę, nigdy do końca nie rozumiałam, skąd Rosalie tyle rozszalała. Nigdy nie zastanawiałam się, jak by to było, gdybym została matką, nigdy tego nie planowałam. Kiedy zarzekałam się przed Edwardem, że rezygnując dla niego z macierzyństwa, wcale się nie poświęcam, nie kłamalam - naprawdę, zupełnie mnie to nie interesowało. Nie przepadałam za dziećmi - kojarzyły mi się z hałasem i różnymi obrzydliwymi wydzielinami, którymi zawsze były gdzieś upačkane. Nigdy nie miałam z nimi zresztą zbyt wiele do czynienia. A kiedy marzyłam, że Renee urodzi mi brata, chodziło mi o starszego brata - kogoś, kto mógłby się zaopiekować mną, a nie na odwrot.

To dziecko, dziecko Edwarda, to była i zupełnie inna historia. Potrzebowałam go jak powietrza. To nie był wybór - to była konieczność. Może po prostu miałam wyjątkowo kiepską wyobraźnię? Może to dlatego nie chciałam wyjść za Edwarda i panikowałam przed ślubem - bo nie umiałam sobie wyobrazić, ile szczęścia da mi świadomość, że jestem jego żoną? A dopóki nie zaszłam w ciążę, nie wiedziałam, że chciałabym mieć dziecko...

Położyłam dłoń na brzuchu, żeby nie przegapić następnego kopnięcia, i znowu pociekły mi łzy.

- Bello?

Odwróciłam się. Ton jego głosu sprawiał, że miałam się na baczności - był taki zimny, taki ostrożny. Jego twarz zdawała się być wyłuta z lodu.

Zobaczyłam, że płacze.

- Bello! - W ulamku sekundy pokonał dzielącą nas odległość. - Coś cię boli? - Sprawdził, czy nie mam gorączki.

- Nie, nie... Przycisnął mnie do siebie.

- Nie bój się, kochanie. Wszystko będzie dobrze. Nie pozwól, żeby stała ci się krzywda. Za szesnaście godzin będziemy w domu. Carlisle będzie na nas czekał w pełnej gotowości. Wszystkimi się zajmimy.

- To znaczy, co zrobicie?

Pochylił się, żeby spojrzeć mi prosto w oczy.

- O nic się nie bój. Wyjmiemy z ciebie to coś, zanim zdąży ci w jakikolwiek sposób zaszkodzić.

- To coś?! - wykrztusiłam.

Nie zauważyłam tego, bo nagle zerknęłam ku drzwiom.

- A niech to! Zapomniałem, że miał się dziś zjawić Gustavo. Odprawię go i zaraz do ciebie wrócę.

I już go nie było.

Nogi ugięły mi się w kolanach. Musiałam podeprzeć się o komodę, żeby się nie przewrócić.

Edward określił właśnie moje maleństwo słowami „to coś”! Powiedział, że Carlisle je ze mnie wyjmie!

- Nie - wyszeptalam.

Myślałam się. Wcale nie zależało mu na dziecku. Chciał je skrzywdzić. Idylliczny obrazek w mojej głowie zastąpił z miejsca inny, straszny i mroczny: moje śliczne zielonookie dzieciętko zapłakane, moje słabe ręce nie dość silne, by je obronić...

Co miałam zrobić? Jak mogłam przemówić im do rozsądku? Co, jeśli miało mi się to nie udać? Czy to dlatego Alice zamilkła, gdy pytałam ją o jej wizję? Czy właśnie to w niej zobaczyła? Edwarda i Carlisle'a zabijających chłopczyka o porcelanowej skórze, zanim jeszcze miał stać się zdolny do samodzielnego życia?

- Nie - powtórzyłam głośniej.

Nie mogłam do tego dopuścić. Musiałam coś wymyślić.

Usłyszałam, że Edward znowu rozmawia z kimś po portugalsku. Był coraz bliżej. Nagle przerwał i westchnął głośno - jak ktoś, kto mimo wysiłków nie może postawić na swoim. Moich uszu doszedł jakiś inny głos - nieśmiały i cichy.

To z kobietą Edward rozmawiał, a nie z Gustavo.

Wszedł do kuchni pierwszy. Podeszedł prosto do mnie i ścierając mi łzy z policzków, szepnęła mi do ucha:

- Uparła się, że musi zostawić to, co przywiozła - zrobiła nam obiad.

Wiedziałam, że gdyby był mniej spięty, mniej zdenerwowany, wywróciłby teraz oczami.

- To tylko wymówka - wyjaśnił. - Chce się upewnić, że jeszcze cię nie zabiłem.

Kończówkę tego drugiego zdania wręcz wyczedził.

Na progu pojawiła Kaure, trzymając w rękach nakryty półmisek. Żałowałam, że nie potrafię mówić po portugalsku i że mój hiszpański ogranicza się do garstk podstawowych zwrotów, i gdyby było inaczej, mogłabym podziękować tej dzielnej kobiecie za to, że odważyła się rozniewać wampira, by sprawdzić, czy nic mi nie jest.

Społgądała nerwowo to na mnie, to na Edwarda. Zauważyłam, że zwróciła szczególną uwagę na barwę moich policzków i kropkę wilgoci w kąciłkach moich oczu. Dodając od siebie kilka słów w nieznanym mi języku, odstawiała przyniesiony półmisek na blat.

Edward warknął coś do niej - nigdy jeszcze nie widziałam, żeby zachowywał się wobec kogoś tak nieuprzejmie. Odwróciła się na pięcie, żeby wyjść, i faldy jej długiej spódnicy zafurkotały w powietrzu, posyłając w moim kierunku zapach ugotowanego przez nią dania: zapach ryby i cebuli. Był bardzo intensywny. Dostałam oduruchu wymiotnego i rzuciłam się do zlewu.

Edward zaraz do mnie doskoczył. Pocałował na czole moje dłonie i chociaż co innego miałam na głowie, dotarło do mnie, że szepcze mi coś tliwio do ucha. Nagle zimne dłonie zniknęły. Trzasnęły drzwi lodówki. Dzięki Bogu, w tym samym momencie przepadła też natarczywa woń jedzenia, a na moje czoło powrócił kojący kompres. Wróćce było po wszystkim. Głaskana przez Edwarda po skroni, wyplułałam usta.

Niewidoczne dzieciętko poruszyło się niepewnie.

Juz wszy stko dobrze, przekazałam mu myśłami. Nie nam nie będzie.

Edward obrócił mnie delikatnie i przytulił do siebie. Oparłam mu głowę na ramieniu. Moje dłonie w opiekuńczym geście powędrowały do wzdętego brzucha.

Ktoś jęknął cicho. Podniosłam oczy.

Kaure wcale sobie jeszcze nie poszła. Stała tam, gdzie wcześniej, na progu, z rozdziawionymi ustami i wzrokiem wbitym w dolną część mojego tułowia. Obie ręce miała podniesione, jakby do niedawna starała się rozpaczliwie wpaść na jakiś pomysł, jak mi pomóc.

Edward też jęknął. Blyskawicznie obrócił się do niej, obejmując mnie jednocześnie jedną ręką w pasie, jak gdyby nie chciał, żeby mu się wyrwała, i na ile było to możliwe, zasłaniając mnie własnym ciałem.

Indianka zaczęła na niego krzyczeć, wydzierać się na całe gardło. Ciskała niezrozumiałymi dla mnie słowami niczym szyletami. Potrząsając groźnie drobną piąstką, zrobiła kilka kroków do przodu i dostrzegłam, że mimo jej zajadłości, w jej oczach czaił się strach.

Edward również zrobił krok w jej kierunku. Przestraszyła się, że ma wobec niej złe zamiary i ucepiłam się kurczowo jego ramienia, ale kiedy przerwał jej gniewną tyradę, szczerze mnie zaskoczył tym, jak łagodnie się do niej zwraca. Było to dziwne, zważywszy zwłaszcza na to, jak źle ją potraktował jeszcze przed jej wybuchem. Mówił nie tylko cicho, ale wręcz ją o coś błagał. Co więcej, na wypowiedziane przez niego słowa składały się teraz egzoty czne, gardlowe dźwięki i ze zdumieniem uświłdmiłam sobie, że to już nie portugalski.

Kaure także była zdumiona. Zamilkła na moment, po czym ściągnąwszy brwi, zadała mu ostro złożone pytanie w tym samym języku.

Spojrzałam na Edwarda. Posmutniały, sknął głową. Kobieta cofnęła się odurchowo i przeżegnała się pospiesznie.

Wskazał na nią, a potem na mnie, i położył mi dłoń na policzku. Odpowiedziała coś wzburzona, wymachując rękami. O coś go chyba oskarżała. Trwało to dość długo.

Edward znowu zwrócił się do niej błagalnym tonem i tym razem podziałało. Im dłużej mówił, tym wyraźniej zmieniał się wyraz jej twarzy. Coraz więcej było w kobiecie wahania. Kilkakrotnie na mnie zerknęła. Zdezorientowana, przyglądałam się całej tej scenie.

Kiedy Edward skończył, Kaure wydawała się coś rozważać. Spoglądała to na mnie, to na niego, a potem, chyba mimowolnie, zrobiła krok do przodu. Przyłożyła sobie dłoń do mostka i patrząc na mnie... pokazała na migi brzuch ciężarnej.

Drgnęłam. Tego się nie spodziewałam. Czy legendy jej plemienia o drapieżnych krwiopijcach i o tym opowiadały? Czy naprawdę wiedziała, co we mnie rosło?

Podeszła bliżej - tym razem już świadoma tego, co robi - i zadała Edwardowi kilka krótkich pytań. Odpowiedział jej, ale był przy tym bardzo spięty. Potem zamienili się rolami - to on zadał jej jedno pytanie. Zawahała się i powoli pokręciła przecząco głową. Kiedy ponownie się odezwał, w jego głosie slychać było tyle cierpienia, że spojrzałam na niego. Twarz miał wykrzywioną z bólu.

Indianka zrobiła jeszcze kilka kroków, aż wreszcie znalazła się na tyle blisko nas, że mogła położyć swoją dłoń na mojej dłoni, którą nadal opierałam na powiększonym brzuchu. Powiedziała tylko jedno słowo - po portugalsku.

- *Morte* * *!Morte* - port. śmierć (podobne do hiszpańskiego *muerte*) - przyp. tłum. - westchnęła cicho.

Obróciła się, zwieszając ramiona, jak gdyby przeprowadzona przed chwilą rozmowa dodała jej lat, po czym wyszła z kuchni.

Hiszpański znalazł słabo, ale ty le zrozumiałam.

Edward znowu zmienił się w posag. Oczami pełnymi udręki wpatrywał się w miejsce, w którym stała Kaure. Kilka minut później w oddali rozległ się odgłos opalanego silnika. Warkot cichł stopniowo, aż w końcu zapadła cisza.

Mój towarzysz się poruszył się dopiero wtedy, kiedy chciałam wyjść do łazienki. Złapał mnie za rękę.

- Dokąd idziesz? - wyszeptał, jakby mówienie sprawiało mu ból.

- Muszę znowu umyć zęby.

- Nie przejmuj się tym, co powiedziała. To tylko bzdurne legendy - indiańskie bajki, wymyślone dla rozrywki gawiedzi.

- I tak nie rozumiałam.

Zalotne były jego próby podniesienia mnie na duchu. Jak mogłam coś zbagatelizować, tłumaczyć sobie, że to „tylko” legenda? Legendy otaczały mnie za wszystkich stron. Wszystkie okazywały się być prawdziwe.

- Spakowałem ci już szoteczkę. Zaraz ci ją znajdę.

Poszedł przodem.

- Kiedy dokładnie wyjeżdżamy? - zawałalam za nim.

- Jak tylko będziesz gotowa.

Kiedy myłam zęby, krążył po sypialni, czekając, aż będzie mógł na powrót zapakować szoteczkę. Wręczyłam mu ją zaraz po wyjściu z łazienki.

- Zaniósę już bagaże na jacht.

- Edwardzie...

Odwrócił się.

- Tak?

Nie odpowiadałam od razu. Usiłowałam szybko wymyślić jakiś fortel, dzięki któremu zyskałabym kilka sekund.

- Czy mógłbyś... uszykować mi jakiś prowiant na drogę? No wiesz, mogę zgłodnieć.

- Oczywiście. - Nagle spojrzał na mnie czulej. - O nic się nie martw. Carlisle zbada cię już za parę godzin. Wróćce będzie po wszystkim.

Nie ufalam swojemu głosowi, więc sknęłam tyłu głową. Edward zniknął z walizkami za drzwiami.

Zrobiłam piruet i dopadłam jego telefonu porzuczonego na blacie. Bardzo to było do niego niepodobne, że o tyłu rzeczach zapomniał - o tym, że Gustavo miał przyjechać, o swojej własnej komórce. Był taki zestresowany, że ledwo go poznałam.

Zaczęłam przeglądać spis telefonów, dzikując losowi, że Edward wyłączył dzwięk, ale i tak nie byłam pewna, czy nie przyłapie mnie później. Czy wrócił już z przystani? Czy był w stanie usłyszeć mój szepcz z kuchni?

Znalazłam numer, o który mi chodziło - numer, pod który nie dzwoniłam nigdy przedtem. Wybrałam odpowiedni przycisk i zacisnęłam kciuki.

- Halo? - rozległ się anielski głos.

- Rosalie? - szepnęłam. - Mówi Bella. Błagam, musisz mi pomóc.

KSIĘGA DRUGA

*** * ***

JACOB

*Chociaż, żeby prawdę powiedzieć,
rozum z miłością rzadko chodzą w parze w dzisiejszych czasach.*

William Szekspir *Sen nocy letniej*
akt III, scena I (przeł. Stanisław Barańczak)

Zycie to jedno wielkie gówno, a potem się umiera.
Ta. Chciałoby się.

Kurcze kiedy wreszcie wybuchnie ta wojna z wampirami?

- Jezu, Paul - jęknąłem - nie masz własnego domu? Uśmiechnął się tylko bezczelnie. Siedział rozwalony na mojej kanapie, oglądając jakiś kretyński mecz baseballu w moim telewizorze. Powoli - naprawdę powoli - z torebki na kolanach, wyjął dorodnego chipsa i wsadził go sobie w całości do ust.

- Mam nadzieję, że sam je kupiłeś.

Chrup.

- Sorki - wymląkał z pełnymi ustami. - Twoja siostra powiedziała, że mam się rozgościć i brać, co chcę.

- Rachel gdzieś się tu kręci?

Staralem się zadać to pytanie takim tonem, żeby nie zorientował się, że chcę mu przyłożyć, i może bym go nawet przechytrył, ale usłyszał, jak się poruszyłem. Wcisnął paczkę *doritos* pomiędzy oparcie a swoje plecy i zaslonił sobie twarzą pięściami jak bokser.

- No, dalej. Bez Rachel też sobie poradzę.

Prychnąłem.

- Jasne. A przy pierwszej okazji polecisz się jej wyplakać.

Zaśmiał się. Opuszczając ręce, opadł na kanapę.

- Ja tam nie kabluję. Gdyby jakimś cudem udało ci się coś mi zrobić, to zobaczysz, zostanie to między nami. I *vice versa*, co nie?

Miłe to było z jego strony, że sam się prosił. Rozluźniłem mięśnie, jakbym już z nim skończył.

- Niech ci będzie. Przeniósł wzrok na ekran. Wymierzyłem cios.

Kiedy moja pięść zderzyła się z jego nosem, rozległo się bardzo satysfakcjonujące chrupnięcie. Paul próbował mnie złapać, ale wywinąłem się, zanim zdolał mnie schwytać dostatecznie mocno. Za to zdążyłem zabrać z kanapy torbę z *doritos*.

- Złamałeś mi nos, debilu!

- Ale to zostaje między nami, co nie, Paul?

Odłożyłem chipsy na miejsce. Kiedy znowu spojrzałem na Paula, nastawiał sobie pospiesznie nos, żeby nie zrósł mu się krzywy. Krew przestała mu już lecieć, więc wyglądał trochę dziwnie, bo jaskrawe strużki spływały mu jeszcze po wargach i brodzie, ale już nie wyżej.

Ścisnął chrząstkę i skrzywił się z bólu. Zaklął głośno.

- Cholery można z tobą dostać, Jacob. Już wolałbym trzymać się z Leą.

- Och, Leah! Założę się, że oszaleje z radości, jak się dowie, że masz ochotę spędzić z nią więcej czasu sam na sam. Po prostu się rozpromieni.

- Zapomnisz, że to powiedziałem! Umowa stoi?

- Jasne. Na pewno mi się to przydadkowo przy niej nie wymślnie.

- Ech, ty. - Zrezygnowany, rozsiadł się z powrotem na kanapie, wycierając sobie resztki krwi z kołnierzyka podkoszulka. - Szybki jesteś, to ci trzeba przyznać - stwierdził.

I znowu zapatrzył się na swój durny mecz.

Postałem nad nim przez chwilę jak głupi i poszedłem do swojego pokoju, błagając cicho kosmitów, żeby go uprowadzili.

Kiedys, kiedy szukało się guza, Paul był niezawodny. Nie trzeba było go nawet tykać - wystarczał jakaś pierwsza z brzegu złośliwa uwaga. Naprawdę, niewiele było mu trzeba, żeby stracił nad sobą kontrolę. Ale teraz, kiedy człowiek aż rwał się do porządnego sparingu z warczeniem, ranami gryzionymi i łamaniem drzew, oczywiście nic już bęwała nie ruszało.

A już myślałem, że gorzej być nie może, kiedy i jego trafiał ten cholerny „grom z jasnego nieba”. Czwarde wpojenie w sforze to już była przesada. Kiedy to się miało skończyć? Na litość boską, legendy mówily, że to rzadkość! Rzygać mi się chciało od tych ich amorów.

Czemu musiało paść akurat na moją siostrę? A jak już, to nie mógł jej sobie wpoić kto inny?

Kiedy Rachel wróciła do domu z uniwersytetu pod koniec letniego semestru - kajuonka, skończyła studia przed czasem - moim największym zmartwieniem było to, jak utrzymamy przed nią wszystko w tajemnicy. Nie byłem przyzwyczajony do krycia się z tym, kim jestem, w swoim własnym domu. Dopiero wtedy dotarło do mnie, jak ciężko mają Embry czy Collin, których rodzice nie wiedzieli, że są wilkolakami. Szczerze im współczułem. Taka, na przykład, mama Embry`ego sądziła, że jej syn przechodzi okres nastoletniego buntu. W kółko miał szlaban za wymykanie się z domu, ale co poradzić, nie mógł przecieć tych zakazów przestrzegać. Jego mama sprawdziła co noc, czy jest w swoim pokoju, i co noc zastawiała puste łóżko. Robiła mu dzikie awantury, a on wysłuchiwał jej skarg w milczeniu i dalej robił swoje. Próbowaliśmy naklonić Sama, żeby dla dobra Embry`ego zgodził się ją wtajemniczyć, ale Embry powiedział, że jakoś to przeżyje. Sfora była najważniejsza.

Postanowiłem brać z niego przykład i byłem gotowy stawać na głowie, żeby tylko nie się wydało, ale już dwa dni po powrocie Rachel wpadła na Paula na plaży i wiadomo co. Ta - dam! Miłość od pierwszego wejrzenia! Ohyda. A zgodnie z naszymi i regułami przed swoją drugą połówką nie ma się nie do ukrycia.

Rachel dowiedziała się co i jak, a ja zapalałem, że Paul zostanie kiedys moim szwagrem. Pięknie. Billy też nie był tym zachwycony, ale znosił to lepiej niż ja - lepiej, bo uciekał z domu do Clearwaterów. Cóż, ja nie mogłem pójść w jego ślady - Leah czy Paul, to nie była dla mnie żadna alternatywa.

Ciekawe, pomyślałem, czy gdybym wpakował sobie kulkę w łeb, tobym się zabił, czy tylko musiałbym potem pół dnia skrobać ściany?

Padłem na łóżko. Jechałem na oparach - nie spałem od ostatniego patrolu - ale wiedziałem, że i tak nie zasnę. W głowie mi aż huczało. Myśli objęły się od środka o czaszkę niezmyślnie rój spłoszonych pszczoł. Głośno tam było. A od czasu do czasu łoraś mnie na dodatek gryzła. To musiały chyba raczej być szerszenie. Pszczoły po jednym ukąszeniu szlag trafiał. A mi bezustannie dawały w kość te same myśli.

To całe czekanie doprowadzało mnie do szału. Minęły już prawie cztery tygodnie. Spodziewałem się, że gdy dojdzie co do czego, to jakoś tam się o tym dowiem. Nie spałem po nocach, wyobrażając sobie, jak to będzie.

Charlie szlochający w słuchawkę - Bella i jej mąż zginęli w katastrofie lotniczej. Nie, chyba przesadzałem z tą katastrofą - taką to za trudno byloby upozorować. Chyba że pijawki nie miały nic przeciwko zabiciu kilkadziesiątu niewinnych pasażerów... Ale niby dlaczego miały być coś przeciwko? Zresztą, może rozbiłyby się awionetka? Na awionetkę to byloby ich stać...

A może morderca miał wrócić do domu sam po nieudanej próbie zrobienia z Belli jednej z nich? Ba, może nawet nie doszłoby do tego etapu - może zginiłoby ją niechcący jak paczkę chipsów, próbując sobie dogodzić? Bo jej życie było dla niego mniej ważne niż zaspokajanie własnych samczych zachcianek...

Och, jaką tragiczną historię miałby do opowiedzenia! Bella przypadkową ofiarą napadu rabunkowego. Bella zadławiła się na śmierć przy kolacji. Bella zginęła w wypadku samochodowym. Tyle ludzi ginie na drogach. Moja mama też tak zginęła. Nikt by nie nabrał podejrzna.

Czy zamierzal „prowadzić jej zwłoki” do Forks? „Pochować” ją tu dla Charliego? Oczywiście ceremonia odbyłaby się przy zamkniętej trumnie. Mamy też nie pozwolili mi zobaczyć...

„Zwłokami” czy bez, mniejsza o to, byleby drań wrócił. Bylebym miał szansę dorwać gada. Bo może wcale nie miało być żadnej oficjalnej wersji wydarzeń. Może Charlie miał zadzwonić do Billy`ego z pytaniem, czy nie kontaktował się z nim czasem doktor Cullen? Może doktor Cullen miał po prostu z dnia na dzień przestać chodzić do pracy? Dom by opuścili. Nikt nie odbierałby ich telefonów. Jakaś drugorzędna stacja telewizyjna podałaby w dzienniku informację o ich tajemniczym zniknięciu, wsząc jakieś machloje...

A może w ich wielkim białym domu wybuchłby straszny pożar, a wszyscy jego mieszkańcy spaliliby się w łóżkach? Oczywiście, żeby ten numer przeszedł, potrzebowałyby ośmiu trupów - ośmiu trupów ludzi o podobnej budowie ciała, spalonych do tego stopnia, żeby nie tylko nikt nie mógłby ich rozpoznać, ale żeby jeszcze nie sposób ich było zidentyfikować po zębach.

To by było dopiero wyzwanie - to znaczy, wyzwanie dla mnie. Ciężko byłoby mi ich znaleźć, gdyby tego nie chcieli. Ale z drugiej strony, miałbym na to całą wieczność. Jak się ma wieczność, można sprawdzić każdą słomkę w każdym stogu siana na świecie.

Właściwie to nie miałbym nic przeciwko rozłożeniu na części pierwsze jakiegos stogu. Przy najmniej miałbym coś wreszcie do roboty! Okropnie by to tak siedzieć i zapewne tracić okazję do zemsty. Jeśli pijawki zamierzały wynieść się z okolicy, mogły właśnie wcielać swój plan w życie.

Moglibyśmy wypracować się tam jeszcze dziś wieczorem, pomyślałem. Moglibyśmy zabić każdego, kto by się nawął.

Podobał mi się ten pomysł, bo znałem Edwarda dostatecznie dobrze, by wiedzieć, że jeśli zabiliby kóregoś z członków jego rodziny, to o czym tak marzyłem, na pewno by mnie nie ominęło. Gościu sam by mnie znalazł. Och, to by była dopiero walka - nie rzuciliby mi się na niego z całą sforą, o nie. Odeszłabym ich. Tylko ja i on. Niech wygra lepszy.

Ale Sam nie chciał o tym słyszeć. „Nie zerwiemy paktu. Niech oni zrobią to pierwszy”. Jednak nie mieliśmy żadnego dowodu na to, że Cullenowie coś przewinili. Na razie. Trzeba było tu dodać „na razie”, bo wszyscy zdawaliśmy sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu. Bella albo miała wrócić jako jedna z nich, albo miała nie wrócić wcale. Tak czy siak, zabiliby człowieka. A to oznaczałoby, że mamy zielone światło.

W drugim pokoju Paul zarzął jak kół. Może rozbawiła go reklama. Może zmienił kanał i oglądał komedię. Wszystko jedno - działał mi na nerwy i ty le.

Pomyślałem, że mógłbym znów złamać mu nos. Ale musiałem przyznać przed samym sobą, że tak naprawdę, to nie z Paulem chciałem się bić.

Spróbowałem skłócić się na innych dźwiękach, na wietrze szumiącym w koronach drzew. W wietrze kryły się miliony głosów, których nie byłem w stanie usłyszeć w tym cieple, ale i tak słuch miałem teraz sto razy lepszy od każdego zwykłego człowieka. Słyszałem, co się działo za lasem, co się działo na drodze. Słyszałem auta pokonujące zakręt, za którym wreszcie wyłaniała się plaża - i wyspy, i skały, i ocean aż po horyzont. Gliniarze z La Push lubili się tam zaczynać na tury stów, którzy zapatrzeni w morze, jakoś nigdy nie zwracali uwagi na stojący w tym miejscu znak ograniczenia prędkości.

Słyszałem głosy ludzi przed sklepem z pamiątkami na plaży i dzwonek trącany przez otwierane i zamykane drzwi. Słyszałem mamę Embry`ego obsługującą kasę. Właśnie drukował się paragon.

Słyszałem, jak fale przyplwlyu biją o przybrzeżne glazy. Jakieś dzieciaki piszczały głośno, bo nie zdążyły uciec przez lodowatą wodą, a ich mamy zaczęły narzekać, że pomocyły sobie ubrania... Nagle tuż obok nich wypląłem znajomy głos.

Nasłuchiwałem w takim skupieniu, że gdy Paul znowu wybuchnął śmiechem, aż poderwałem się z łóżka.

- Wynoś się z mojego domu! - syknąłem do ściany.

Wiedziałem, że Paul mnie nie posłucha, więc zrobiłem to sam. Otworzyłem okno w swoim pokoju i wyskoczyłem na dwór. Wolałem już więcej nie oglądać swojego przyszłego szwagra. Byłoby to zbyt kuszące. Znowu bym go uderzył, a Rachel i tak miała być u mnie wściekla. Zasnęta krew na koszulce Paula? To musiała być moja wina. Po co więcej dowodów. Oczywiście miałaby rację, ale to nie było jej fair.

Z pięściami wbitymi w kieszenie, poszedłem w kierunku wybrzeża. Kiedy znalazłem się wśród ludzi, nikt ani razu się za mną nawet nie obejrzał. Lato miało swoje zalety - to, że chodziłem w samych szortach, nie robiło teraz na nikim żadnego wrażenia.

Nasłuchując uważnie, namierzyłem Quila bez trudu. Zastałem go na południowym krańcu plaży, bo unikał tłumy przyjezdnych. Ani na moment nie przestawał upominać swojej podopiecznej:

- Trzymaj się z dala od wody, Claire! Przeستا! Nie, nie chodź tam! O, nie! Bądź grzeczna! Powiedz, chcesz, żeby Emily była na mnie zła? Nie zabiorę cię już więcej na plażę, jeśli nie... Ach, tak? Nie... Ech. Myślisz, że to zabawne, co? Mam cię! Ha, i kto jest teraz górą?

Kiedy go zobaczyłem, trzy małe dziewczynkę w powietrzu za tydkę. Chichocząc, wymachiwała wiaderkiem, a jej dżinsowe spodenki były zupełnie mokre. Na środku podkoszulka Quila widniała wielka mokra plama.

- Pięć dółców na małą! - zawołałem.

- Cześć, Jake.

Claire pisała i cisnęła wiaderkiem w jego kolana.

- Puś mie! Puś!

Postawił ją ostrożnie na ziemi. Podbiegła do mnie i przytuliła mi się do nogi.

- Wuj Jay!

- Co słychać, Claire?

Zaśmiała się.

- Kil telaz caaaly mokly!

- Właśnie widzę. A gdzie twoja mama?

- Pojechała, pojechała! - zaśpiewała. - Kłel będzie bawić się z Kilem cały dzień. Kiel już nigdy nie włóci do domu.

Puściła mnie i potruchtała z powrotem do Quila. Wzięła ją na barana.

- Ktoś tu chyba miał niedawno drugie urodziny, prawda?

- Trzęcie - poprawił mnie. - Przeglądźś przyjęcie. Moty przewodnim były księżniczki. Kazala mi chodzić z koroną na głowie, a potem Emily podsunęła jej pomysł, żeby wypróbować na innej jej zabawowy zestaw do makijażu.

- Wow. Wielka szkoda, że mnie to ominęło.
Nie martw się, Emily ma zdjęcia. Wyszędłem całkiem sexy.
- Ale z ciebie frajer.
Quil wzruszył ramionami.
- Najważniejsze, że Claire świetnie się bawiła. O to chodziło.
Wywróciłem oczami. Faceci po wpojeniu byli nie do wytrzymania. Wszystko jedno, na jakim byli etapie - czy mieli się żenić lada dzień jak Sam, czy dawali robić z siebie idiotów jako niani jak Quil - bijące od nich spokój i pewność wywoływały u mnie odruch wymiotny.
Claire znowu pisnęła i pokazała palcem coś w dole.
- Kil, tam, sińcy kamyk! Daj mi, daj!
- Który, małeńka? Ten czerwony?
- Nie cielwony.
Uklęknął ostrożnie. Wrzasnęła i złapała go za włosy, jak gdyby były to lejce.
- Ten niebieski?
- Nie, nie, nie... - zaśpiewała, podekscytowana nową zabawą. Najdziwniejsze było to, że Quil miał z tego tyle samo radochy, co ona. Wyrazem twarzy nie przypominał tych wszystkich mamus i tatusiów, którzy zjechali tu na wakacje - tak wielu z nich miało minę, która mówiła: „Boże, kiedy ten dzieciak wreszcie zaśnie?”. Nigdy jeszcze nie spotkałem prawdziwego rodzica, któremu te wszystkie idiotyczne, wymyślone na poczekaniu przez pociechę gry sprawiałyby tyle frajdy. Widziałem raz, jak Quil chował się za różnymi rzeczami i wyskiakiwał z nich z głośnym „ku” przez bitą godzinę, i wcale nie wyglądał przy tym na znudzonego.

Nawet nie potrafiłem się z niego nabijać - za bardzo mu zazdrościlem.
Jasne, to było beznadziejne, że czekało go jeszcze czternaście lat celibatu, zanim jego wybranka miała być wreszcie w jego wieku - dobrze chociaż, że wilkoki się nie starzały - ale najwyraźniej wcale mu to nie przeszkadzało.
- Quil, nie masz czasami ochoty umówić się z kimś na randkę? - spytałem.
- Hej?
- Nie, nie żółty! - zaprotestowała mała.
- No wiesz. Spędzić trochę czasu z prawdziwą dziewczyną. Nic poważnego, tak tylko na razie. W te wieczory, kiedy Claire zajmuje się jej mama.
- Kamyk! Ce mój kamyk! - zaczęła się wydzierać, bo zbyt długo nie proponował jej niczego nowego. Uderzyła go piąstką w ciemie.
- Przepraszam, skarbie. Już, już. To może chodzi ci o ten fioletowy?
- Nie - zachichotała. - Nie fioletowy.
- Daj mi jakąś wskazówkę. Błagam cię, małeńka. Zamyśliła się na moment.
- Zjelony - zdradziła litościwie.
Rozejrzał się dookoła, po czym podsunął jej pod nos cztery bryłki w różnych odcieniach wskazanego przez nią koloru.
- Jeden z tych?
- Tak!
- To który to?
- Wsyysykie!
Wypał kamyki w jej nadstawione rączki. Zaśmiała się głośno i natychmiast cisnęła nimi prosto w jego głowę. Skrzywił się teatralnie, a potem wstał i ruszył w stronę parkingu. Pewnie bał się, że dziewczynka zmarznie niedługo w swoim przemoczonym ubraniu. Jego paranoja była dalej posunięta niż u nadopiekuńczej matki.

- Przepraszam za ten głupi tekst o chodzeniu na randki - powiedziałem.
- Nie ma sprawy. Zaskoczyłeś mnie tylko. Jakoś nigdy na to nie wpadłem.
- Nie sądzę, żeby Claire miała ci to kiedyś za złe. No wiesz, kiedy już dorosnie. Trudno, żeby ci wypominała, że nie żyłeś jak mnich, kiedy chodziła jeszcze w pieluchach.
- Jestem pewien, że by zrozumiała.
Nie więcej nie dodał.
- Ale i tak się z nikim nie umówisz, prawda? - domyśliłem się.
- Nie umiem sobie tego wyobrazić - przyznał cicho. - Po prostu jakoś siebie w tym nie widzę. Zresztą, odkąd jest Claire... dziewczyny przestały dla mnie istnieć. Nie zwracam uwagi na to, która jest ładna, a która nie. Nawet nie widzę ich twarzy.

- No tak i jeszcze ostatnio ta korona i makijaż. Może to nie inne dziewczyny będą dla Claire konkurencją.
Paruszył śmiechem. Wydął usta i kilka razy głośno emoknął.
- Dasz się gdzieś wyciągnąć w ten piątek, co, Jacob?
- Chciałoby się - powiedziałem, a potem skrzywiłem się. - Chociaż, tak właściwie, to mam wolny wieczór.
Zawahał się na moment.
- A ty, nie masz czasami ochoty umówić się z kimś na randkę? - zapytał.
Westchnąłem. Co poradzić, sam go sprowokowałem.
- Może byś gdzieś tak poszedł się zabawić - ciągnął. - Sam przestał żyć jak mnich.
Nie żartował - współczuł mi i to było jeszcze gorsze.
- Też nie zwracam uwagi na dziewczyny, Quil. Też nie widzę ich twarzy.
I on westchnął.
W oddali, w głębi lasu rozległo się wilcze wycie - tylko my dwaj na tej plaży bylibyśmy w stanie usłyszeć je poprzez szum fal.
- Cholera, to Sam - zaklął Quil. Jego ręce powędrowały odruchowo do Claire, jakby chciał sprawdzić, czy jego podopieczna czasem nie znikła. - A ja nie wiem, gdzie jest jej mama!
- Zobaczę, co jest grane, i dam ci znać, jeśli będziesz nam potrzebny - obiecałem. Zacząłem mówić tak szybko, że zjadłem końcówki. - Hej, a może byś tak zostawił ją u Clearwaterów? Jakby co, to małą zajmą się Sue i Billy. No i może wiedzą, co się dzieje.

- Okej. No, leć już!
Rzuciłem się do biegu - dla oszczędności czasu nie przez cherlawy zwojplot w kierunku ścieżki, tylko po linii prostej. Przeskoczyłem przez stos wyrzuconego przez morze drewna i nie zmniejszając tempa, zacząłem przedzierać się przez głogi. Kolce cięły mi boleśnie skórę, ale to ignorowałem - ranki miały się zagoić jeszcze przed moją przemianą.
Za sklepem wypadłem na zszosę. Ktoś na mnie zatrąbił. Kilka metrów i nareszcie skryły mnie drzewa. Tu mogłem przyspieszyć, dając większe susy. Gdybym był na otwartej przestrzeni, wzbudziłbym sensację. Czasami korciło mnie, żeby dla jej wiać udział w jakimś wyścigu - może nawet w eliminacjach olimpijskich czy czymś takim. Fajnie byłoby zobaczyć miny tych wszystkich gwiazd atletyki, kiedy bym je wyprzedził. Ale przed biegiem wszyscy uczestnicy musieli poddawać się testom na obecność sterydów i pewnie wykryto by w mojej krwi coś baaardzo dziwnego.

Gdy tylko znalazłem się w prawdziwej puszczy, z dala od dróg i domów, wyhamowałem i ściągnąłem szorty, po czym z wielką wprawą zwinąłem je w rulonik, by następnie przymocować je sobie rzemieniem do kostki. Jeszcze wiązałem supeł, a już zacząłem się przeobrażać. Wzdłuż kręgosłupa przeszedł mnie ognisty dreszcz, wywołując w rękach i nogach gwałtowne drżenie. Wszystko trwało zaledwie sekundę. Kiedy załapała mnie fala gorąca, poczułem owo ciche migotanie, które czy nio ze mnie kogoś innego. Opadłszy przednimi łapami na ziemię, przeciągnąłem się z lubością.

Tak skoncentrowany jak dziś, nie miałem z przemianą żadnych kłopotów. Mój wybuchowy charakter coraz rzadziej dawał o sobie znać. Ale zdarzało się, że dawał.
Przy pominięciu sobie tamten okropny moment na żalostnej parodii wesela. Do tego stopnia byłem ogarnięty gniewem, że moje ciało przestało działać tak jak należy. Trząsnęłam się i plonąłem, ale nie mogłem się zmienić i uwięziony w swojej ludzkiej postaci nie mogłem zabić mordercy, choć dzieliło mnie od niego tylko kilka kroków. Myślałem, że oszaleję. Tak bardzo chciałem go zabić. Tak bardzo bałem się, że zrobię jej krzywdę. Jej albo moim braciom, którzy stali pomiędzy nami. A potem, akurat wtedy, kiedy w końcu odzyskałem nad sobą kontrolę, padła komenda Sama, święty rozkaz Alfya. Ach, gdyby tamtej nocy śledzili mnie tylko Embry i Quil, bez naszego przywódcy... Może udałoby mi się załatwić gada...

Nienawidziłem tych chwil, kiedy Sam mnie do czegoś zmuszał. Tego uczucia, że nie mam wyboru, że muszę się podporządkować, ugiąć przed nim kark...
Przerwałem, bo uzmysłowilem sobie, że mam słuchać. Nie byłem w swoich myślach sam.
Wiecznie zaabsorbowany sam sobą, zadrwiła Leah.
I kto to mówi, odparowałem.
Spokój, chłopaki, uciszył nas Sam.
Zamilliśmy posłusznie, ale wyłapałem, że Lei nie spodobało się słowo „chłopaki”. Drażliwa jak zwykłe.
Sam udał, że niczego nie zauważył.
Gdzie Quil i Jared?
Quil jest z Claire. Odprowadza ją do Clearwaterów.
To dobrze. Będzie mógł zostawić ją z Sue.
Jared wybierał się do Kim, pomyślał Embry. Sądzę, że by cię nie usłyszał.
Rozległ się chóralny jęk. Ja również do niego dołączyłem. Kiedy Jared przychodzi do nas prosto od Kim, jeszcze długo o niej myśli. A nikt nie chciał zobaczyć na powtórke tego, czym się teraz zajmowali.
Sam przysiadł na moment, odrzucił łeb w tył i głośno zawył. Tym razem był to nie tylko sygnał, ale i polecenie.
Wataha miała się zebrać kilka kilometrów na wschód od miejsca, w którym się znajdowałem. Pędziłem ile sił. Leah, Embry i Paul też jeszcze byli w drodze, Leah nawet całkiem blisko - wkrótce moich uszu dobiegł tętent jej łap - ale wybraлиśmy równoległe trasy, wolać nie spędzać ze sobą więcej czasu, niż to było absolutnie konieczne.
- Cóż, nie będziemy na niego czekać cały dzień. Doszlusuje do nas później.
- Co się dzieje, szefie? odezwał się Paul.
- Musimy pogadać. Wydarzyło się coś ważnego.

Poczułem, że Sam wybiega ku mnie myślami - i nie tylko on, bo razem z nim i Seth, i Collin, i Brady. Ci dwaj ostatni - nasze nowe nabytki - byli dziś z Samem na patrolu, nic więc dziwnego, że wiedzieli to, co on. Ale dlaczego Seth był już z nimi na miejscu zbiórki i czemu był już we wszystko wtajemniczony? To była zagadka.
- Seth, powiedz im, czego się dowiedziałeś.
Zaprzagnąłem już tam być. Dodałem gazu. Chwilę potem usłyszałem, że Leah też zwiększa tempo. Nie cierpiała, gdy ktoś ją wyprzedzał. Oprócz tego, że była najszybsza w sforze, nie miała zbyt wielu powodów do dumy.
Spróbuj teraz, cieniase, syknęła i dopiero wtedy pokazała, co potrafi. Wszła mi na ambicję. Przed kolejnym sussem wbilem pazury w ziemię, byle tylko lepiej się odbić.
Sam nie był w nastroju do tolerowania naszych szczeniackich zachowań.
Jake, Leah, odpuście sobie.
Zadne z nas nie zwolniło.
Sam warknął, ale dał za wygraną.
Seth?
Dzwonił do nas Charlie. Chciał rozmawiać z Billym, a nie zasiał go w domu.
Zgadza się, wtrącił Paul. To ja odebrałem ten telefon.
Na dźwięk imienia ojca Belli drgnąłem. A więc się doczekałem. Koniec niepewności. Przyspieszyłem, zmuszając swoje płuca do pracy, co wymagało ode mnie sporo wysiłku, bo nagle jakby zeszywniały.

To na którą wersję się zdecydowali?

Charlie był bardzo zdenerwowany. Ponoć Bella i Edward wrócili już w zeszłym tygodniu i...

Znowu mogłem normalnie oddychać.

Bella żyła.

A przy najmniej nie była taka zwyczajnie martwa.

Nie spodziewałem się, jak ogromna to będzie dla mnie różnica. Cały ten czas miałem ją za martwą - dopiero teraz zdałem sobie z tego sprawę. Dopiero teraz dotarło do mnie, że nie wierzyłem, że Cullen przywiezie ją żywą. Ale i tak nie miało to znaczenia, bo wiedziałem, co Seth miał zaraz powiedzieć.

Tak, masz rację, Jacob, na tym koniec dobrych wiadomości. Charlie rozmawiał z Bella przez telefon. Miała zmieniony głos, bardzo słaby. Ozajmiła mu, że jest chora. Wtedy włączył się Carlisle i wyjaśnił Charlie'emu, że w tej Ameryce Południowej zaraziła się jakąś bardzo rzadką chorobą. Musi przejść kwarantannę. Charlie odchodzi od zmyśłów, bo nie pozwalają mu się z nią zobaczyć. Mówi, że wszystko mu jedno, czy się zarazi czy nie, ale Carlisle nie chce się ugiąć. Żadnych odwiedzin. Powiedział, że sprawa jest poważna i że robi wszystko, co w jego mocy. Charlie męczy się z tym od kilku dni, ale zdzwonił do Billy'ego dopiero teraz. Twierdzi, sądząc po głosie Belli, że dziś jej się pogorszyło.

Zapadła wiele mówiąca cisza. Wszyscy ją zrozumieliśmy - Seth nie musiał już niczego dodawać.

Czy li oficjalna wersja miała być taka, że Bella zmarła na jakąś egzotyczną chorobę. Czy mieli pozwolić Charlie'emu zobaczyć jej zwłoki? To akurat daloby się załatwić - nie musiałyby już przecież oddychać i byłaby upiornie błada.

Tylko dotknąć by jej nie mógł, bo jeszcze by zauważył, jak dziwnie twarda jest jej skóra. No i trzeba by było odczekać, aż byłaby w stanie w pełni się kontrolować, żeby nie rzuciła się na niego ani na innych żalobników. Ile to mogło potrwać?

Czy planowali ją pochować? Czy miała później sama się odkopać czy pijawki zamierzały przyjść jej z pomocą pod osłoną nocy?

Pozostali członkowie sfory przysłuchiwali się mi w milczeniu. Żadne z nich aż tyle się nad tymi kwestiami nie zastanawiało.

Wybiegłem na polanę właściwie w tym samym momencie co Leah, ale dopinowałem, żeby na mecie wyprzedzić mnie o pół kroku. Usiadła koło brata, a ja podszedłem do Sama, gdyż zwykle, stawałem po jego prawicy. Paul przesunął się, żeby ustąpić mi miejsca.

Znowu cię pokonałam, pomyślała Leah, ale mało mnie to obeszło.

Zdziwiłem się, dlaczego tylko ja jeszcze stałem. Byłem taki nabuzowany, że sierść na karku zjeżyła mi się.

Co jest? Na co czekamy? spytałem zniecierpliwiony.

Nikt mi nie odpowiedział, ale w ich umysłach wychwyliłem wahanie.

Chłopaki, co z wami! Dranie zerwały pakt!

Nie mamy na to dowodów. Może Bella naprawdę jest chora.

Chyba masz mnie za idiotę!

Przyznaję, pomyślał Sam, ostrożnie dobierając słowa. Wszystko zdaje się zmierzać do wiadomego końca. Ale Jacob, jeśli nawet uznamy, że to już, czy naprawdę chcesz tak na to zareagować? Czy to w ogóle podchodzi pod złamanie postanowień paktu? Wszyscy wiemy, jak o tym marzyła.

W pakcie nie ma nic o tym, jakie były preferencje ofiary!

Ale czy Bellę można nazwać ofiarą? Czy tak byś określił jej położenie?

Tak!

Jake, odezwał się Seth. To nie są nasi wrogowie.

Zamknij się, mały! To, że jesteście tak zboczony, że wybrałeś sobie jednego z nich na idola, nie zmienia jeszcze przepisów prawa. To są nasi wrogowie. To nasze terytorium. Musimy ich wytrzebić. Mam gdzieś, ile frajdy sprawiło ci wojowanie u boku Edwarda Cullena.

A co, jeśli Bella będzie walczyć z nimi? odpytywał Seth. Jak wtedy się zachowasz?

To już nie będzie Bella.

Mamy ją zostawić dla ciebie?

Mimowolnie się skrzywiłem.

A widzisz? Nie zrobisz tego. Więc co, zmusisz jedno z nas? A potem będziesz miał do tego kogoś żal przez resztę życia?

Wcale nie będę...

Jasne, że nie. Ech, Jacob, nie jesteś gotowy do tej konfrontacji.

Tego było już za wiele. Warcząc ostrzegawczo na piskowego wilka siedzącego w kręgu naprzeciwko mnie, przycałiłem się do skoka.

Jacob! upomniał mnie Sam. Seth, w tej chwili się zamknij.

Seth skinął łbem.

Kurczę, coś przegapiłem? spytał Quil. Pędził już do nas przez las. Mówili mi, że dzwonił Charlie...

Szykuję się na Cullenów, odpowiedziałem. Może byś tak cofnął się do Km i wyciągnął stamtąd Jareda? Musimy mieć jak największą przewagę liczebną.

Zadnego zwracania, rozkazał Sam. Niczego jeszcze nie postanowiliśmy.

Znowu warknąłem.

Jacob, muszę przede wszystkim mieć na względzie dobro tej watahy. Mam was za wszelką cenę chronić, a nie narażać na niepotrzebne niebezpieczeństwo. Odkład nasi przodkowie podpisali pakt, czasy się zmieniły. Tak szczerze... nie wierzę, żeby Cullenowie stanowili dla nas jakieś zagrożenie. Poza tym, wiemy, że nie zostaną tu już długo. Nakładamy, ile wlezie, ale potem będą musieli zniknąć. I wszystko wróci do normy.

Do normy?

Jeśli ich zaatakujemy, będą się bronić do końca.

Masz pietra? zaskrzyżeliłem.

A ty, jesteś gotowy stracić kogoś z swoich braci? Zamilkł na moment. Albo siostrę? dodał.

Nie boję się śmierci.

Wiem o tym, Jacob. To dlatego nie mogę teraz polegać na twoich sądach.

Spojrzałem mu prosto w oczy.

Uszanujesz pakt naszych ojców, czy nie?

Szanuję swoich współtowarzyszy. Szanuję i chronię.

Tchórz.

Zesztywniała mu szczęka. Obnażył kły.

Dość tego. Nie masz wyboru. Musisz mnie posłuchać.

Jego mentalny głos zmienił się - doszło to specyficzne echo, które sprawiło, że nie mogliśmy przeciwstawić się przywódcy. Powiódłszy wzrokiem po pyskach zebranych, Sam przemówił głosem Alfya:

Nie zaatakujemy, dopóki sami nas nie sprokują. Będziemy nadal przestrzegać paktu. Cullenowie nie stanowią zagrożenia ani dla naszego plemienia, ani dla mieszkańców Forks. Bella Swan podjęła decyzję samodzielnie i w pełni świadoma konsekwencji. Nie będziemy karać naszych byłych sojuszników za jej wybór.

Święte słowa, pomyślał Seth z entuzjazmem.

Wydawało mi się, że kazałem ci się zamknąć.

Ups. Przepraszam, szefie.

Jacob, a ty dokąd?

Opuściłem krąg, kierując się na zachód, tak żeby być zwróconym do Sama plecami.

Idę pożegnać się z ojcem. Nie widzę powodów, dla których miałbym tu dłużej siedzieć.

Znowu odchodzisz? Jake, nie rób tego!

Zamknij się, Seth, pomyślało wiele głosów naraz.

Nie chcemy cię stracić, zwrócił się do mnie Sam łagodniejszym tonem.

Więc zmusz mnie, żeby m z wami został. Odbierz mi wolną wolę. Zrób ze mnie swojego niewolnika.

Wiesz, że tak cię nie potraktuję.

W takim razie, nie mam nic więcej do powiedzenia.

Uciekłem z polany, bardzo starając się nie myśleć o tym, co planowałem. Zamiast tego, skoncentrowałem się na wspomnieniach z okresu, kiedy nieprzerwanie byłem wilkiem. Pozwoliłem wtedy odpłynąć wszystkim moim ludzkim odruchom, aż wreszcie było we mnie więcej ze zwierzęcia niż z człowieka. Zylem chwilą: jadłem, kiedy byłem głodny, spałem, kiedy byłem zmęczony, piłem, kiedy chciało mi się pić, i biegałem - ot, dla samego biegania. Miałem proste potrzeby, które można było zaspokoić w prosty sposób. Jeśli już odczuwałem ból, łatwo można było mu zaradzić.

Bolał mnie pusty żołądek. Bolały marzące na lodzie łapy. Bolały rany zadane pazurami wyrywającego się obiadu. Na każdy ból istniała prosta odpowiedź, jasny sposób, aby go zakończyć.

Nie tak jak wtedy, kiedy byłem człowiekiem.

Mimo to, przeobraziłem się w niego, gdy tylko znalazłem się w pobliżu swojego domu. Musiałem przemysleć coś na osobności.

Odwiązałem szorty od nogi i jeszcze zanim naciągnąłem je na siebie, zacząłem biec.

Udało mi się. Ukryłem przed innymi i to, na czym mi zależało, i teraz Sam nie mógł mnie już powstrzymać. Już mnie nie słyszał.

Jego rozkaz był jasny. Sfory nie zamierzała przeprowadzić ataku na Cullenów.

W porządku.

Może sfory jako całość, ale nic nie wspomniał o działaniu na własną rękę.

Nie zabronił mi zaatakować ich w pojedynkę.

Więc mogłem to zrobić.

Jeszcze dziś.

Tak naprawdę wcale nie chciałem pożegnać się z ojcem.

Wystarczyłby przecież jeden szybki telefon do Sama i byłoby po wszystkim. Już coś by wykombinowali, żeby przejrzeć moje plany. Pewnie spróbowalby mnie rozłościć albo nawet by mnie pobili, byle tylko spowodować moją przemianę i pozwolić Samowi wydać nowy edyt.

Ale Billy wiedział, że będę wzburzony, kiedy dotrą do mnie wieści, i czekał na mnie. Kiedy wylonilem się z lasu, siedział na podwórku na wózku inwalidzkim i patrzył prosto w moją stronę, jakby wiedział już wcześniej, w którym miejscu się pojawię. Postanowiłem go wyminąć i skręciłem w stronę garażu.

- Masz chwilkę, Jake?

Zatrzymałem się. Spojrzałem na niego, a potem na garaż.

- Nie bądź taki. Chociaż pomóż mi wejść do domu. Zażrzytałem zębami, ale doszedłem do wniosku, że jeśli ani trochę przed nim nie pogram, tym chętniej skontaktuje się z Samem i narobi mi kłopotów.

- Odkąd to potrzebujesz do tego mojej pomocy?

Zaśmiał się tubalnie.

- Mam obolale ręce. Pokonałem sam całą drogę od Sue.

- Miałeś z górki. Jeszcze się pewnie rozpędziłeś. Wepchnąłem wózek po rampie, którą zbudowałem przy wejściu, i znaleźliśmy się w saloniku.

- Przejrzałeś mnie. Super się jechało. Chyba miałbym na liczniku z pięćdziesiąt kilometrów.

- Jak tak dalej pójdzie, zniszczysz sobie wózek i będziesz musiał zczołgać się na kociach.

- Akurat. Będziesz miał obowiązek wszędzie mnie nosić.

- No, to nie lic na to, że często wyrwiesz się z domu. Złapał za opony i podjechał do lodówki.

- Coś zostało?

- Pojęcia nie mam. Ale Paul siedział tu cały dzień, więc pewnie nie.

Westchnął.

- Muszę zacząć chować jedzenie, jeśli nie chcę umrzeć z głodu.

- Lepiej powiedz Rachel, żeby się do niego przeniosła. Billy natychmiast spowaźniał. Kąciła jego oczu załśniły.

- Jest w domu dopiero od kilku tygodni, po raz pierwszy po długiej przerwie. Dziewczyńkom jest ciężko - były starsze od ciebie, kiedy zmarła mama. Nie tak łatwo im tu wracać.

- Wiem.

Rebecca nie odwiedziła nas, odkąd wyszła za mąż, ale ona przynajmniej miała dobre usprawiedliwienie - przylecieć tu z Hawajów kosztowałyby sporo kasy. Studiując na uniwersytecie stanowym, Rachel nie miała tak dobrej wymówki. Co roku latem chodziła na zajęcia* [Na niektórych uczelniach amerykańskich latem odbywają się normalne zajęcia, dla tych, którzy chcą szybciej skończyć studia, zaliczyć dodatkowe przedmioty, oszczędzić na czesnym, które zwykle jest wtedy niższe itd. - przyp. tłum.] i pracowała dodatkowo na dwie zmiany w jakiejś knajpie na terenie kampusu. Gdyby nie Paul, już dawno by się znowu dokądś wyniosła. Może to dlatego Billy go jeszcze nie pogonił. Podszedłem do drzwi.

- Idę do garażu trochę popracować nad takim tam...

- Nie opowiesz mi najpierw, co robiliście w lesie? Muszę zadzwonić do Sama, żeby być z bieżąco?

Obróciłem się do niego tyłem, żeby nie widział mojego wyrazu twarzy.

- Nic nie robiliśmy. Sam daje im wolną rękę. Ze sfory zrobił się fanklub pijawek.

- Jake...

- Nie chcę o tym rozmawiać.

- Synu, czy znowu nas opuszczasz?

Na długą chwilę zapadła cisza. Zastanawiałem się, jak to powiedzieć.

- Rachel może wprowadzić się z powrotem do swojego pokoju. Wiem, że nienawidzi tego dmuchanego materaca.

- Wolałaby spać na podłodze niż stracić ciebie. Ja zresztą też. Prychnąłem.

- Jacob, błagam cię. Jeśli musisz... jeśli potrzebujesz czasu, żeby dojść ze sobą do ładu, idź. Ale nie trzy maj nas znowu tak długo w niepewności. Wróć, jak tylko będziesz mógł. Będziemy czekać.

- Kto wie, może wyspecjalizuję się w weselach? Zrobię miłą niespodziankę Samowi i Emily, a potem Rachel i Paulowi. Albo Jaredowi i Kim, jeśli się pospieszą. Chyba powinienem sprawić sobie garnitur.

- Jake, spójrz na mnie.

Odwróciłem się powoli.

- Co?

Przez dobrą minutę patrzył mi prosto w oczy.

- Dokąd teraz pójdziesz?

- Nie mam konkretnego planu.

Przekrzywił głowę, mrując oczy.

- Czy aby na pewno?

Wpatrywałem się w siebie w milczeniu. Mijały kolejne sekundy.

- Jacob - powiedział przez ściśnięte gardło - Jacob, nie rób tego. To nie jest tego warte.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

- Sam ma rację. Zostaw Bellę i Cullenów w spokoju. Spoglądałem na niego jeszcze przez chwilę, a potem dwoma zamasytymi krokami pokonałem odległość dzielącą mnie od przeciwległego końca pokoju, chwyciłem kabel telefoniczny i odłączyłem go z obu stron. Zwinęty, mieścił się cały w mojej prawej dłoni.

- No to cześć - rzuciłem do Billy'ego.

- Jake, czekaj... - zawołał za mną, ale byłem już na zewnątrz i otwierałem drzwi garażu.

Motocyklem dotarłbym na miejsce później, niż gdybym pobiegł, ale ta metoda przemierzania się była dyskretniejsza. Zastanawiałem się tylko, ile czasu zabierze Billy'emu dotarcie do sklepu, gdzie znajdował się najbliższy telefon, i skontaktowanie się z kimś, kto mógłby przekazać wiadomość Samowi, zwłaszcza że ten na pewno jeszcze nie wrócił z leśnego patrolu. Największym problemem było to, że lada moment miał pojawić się u nas Paul. Mógł się przeobrazić w mgnienu oka i dać Samowi znać, co się święci.

Postanowiłem niezym się nie przejmować. Planowałem jechać juknajszybciej, a jeśli mieli mi zagrozić drogę, trudno, coś tam się wymyśli.

Odpałilem motor i ruszyłem po błocie w kierunku szosy. Mijali: dom, nie obejrzałem się za siebie.

Jak to w szczybie sezonu wakacyjnego, był duży ruch. Przemykałem pomiędzy samochodami, prowokując część kierowców do wciśnięcia klaksonu, a kilku do pokazania mi środkowego palca. Skręciłem w sto jedynkę z prędkością ponad stu dziesięciu kilometrów na godzinę i nawet nie zerknąłem w lusterko. Dołączyłem do szeregu aut dopiero po to, żeby nie zderzyć się z minivanem - wprawdzie wyszedłbym z tego wypadku żywy, ale musiałbym odłożyć plany na później. Żeby całkowicie się zrosnąć złamane kości członków sfory - przynajmniej te największe - potrzebowały co najmniej kilka dni. Już ja dobrze o tym wiedziałem.

Szosa opuszczała nieco, więc przyspieszyłem do stu trzydziestu. Nie tknąłem hamulca, dopóki nie zamajaczyła przede mną droga dojazdowa do domu Cullenów. Wydedukowałem, że powinienem być już bezpieczny. Sam nie zapuściłby się tak daleko. Chłopaki się spóźnili.

Teraz, kiedy miałem już pewność, że nikt mnie nie zatrzyma, przysła wrzeszcie pora na obmyślenie taktyki. Żeby mieć na to czas, zwoleńłem do trzydziestki, biorąc kolejne zakręty o wiele ostrożniej, niż to było konieczne. Uszłyby mi, nawet gdybym nie wziął motocykla, więc atak zaskoczenia nie wchodził w rachubę. Nie miałem też żadnych szans na ukrycie swoich zamiarów - Edward miał poznać moje myśli, gdy tylko miałem znaleźć się dostatecznie blisko. Kto wie, może już był w stanie w nich czytać. Sądziłem jednak, że mogę jeszcze dopiąć swego, bo po swojej stronie miałem jego ego. Wiedziałem, że tak jak ja, zignoruje błagania swoich bliskich i zechce zmierzyć się ze mną w pojedynkę.

Chciałem po prostu wejść do środka, zobaczyć dowody na własne oczy, a potem rzucić Edwardowi rękawicę.

Prychnąłem. Jak znałem gada, ta cała teatralna oprawa miała mu nawet przypaść do gustu.

A jak już z nim skończę, pomyślałem, zanim rozerwam mnie na strzępy, spróbuję załatwić tyłu z nich, ily tylko się da...

Ha! Ciekaw byłym, czy Sam miał uznać zabicie mnie za złamanie paktu. Pewnie stwierdziłby, że sam sobie na to zasłużyłem. Wszystko, byle tylko nie urazić swoich nowych przyjaciół.

Wjechałem na polanę. Wampirzy odór powalał na kolana. Poczuliem się, jakbym dostał w twarz zgnity pomidorem. Co za ohyda! Aż skręcał mi się żołądek. Było mi dużo trudniej znosić ten smród teraz, niż na weselu, kiedy ginał rozrzedzony zapachem tłum ludzi gości - ale i tak było to nie w porównaniu z męczarniami, które przeżywałbym, gdybym przybrał postać wilka.

Nie miałem pojęcia, jakie powitanie mi zgotują. Na razę na podjeździe nie było żywego ducha. Mimo że, rzecz jasna, dobrze wiedzieli, że już tu jestem.

Zgasiwszy silnik, wsłuchałem się w ciszę. Dopiero teraz wyłapałem szmer wzburzonych głosów dochodzący z szerokich dwuskrzydłowych drzwi wejściowych. Ktoś jednak był w domu. Kiedy usłyszałem swoje imię, uśmiechnąłem się zadowolony, że moje najście choć trochę ich zestresowało.

Wziąłem na zapas głęboki wdech - w środku miało być jeszcze gorzej - i jednym potężnym susem znalazłem się na werandzie.

Drzwi otworzyły się, zanim jeszcze je dotknąłem. Na progu stanął doktor. Miał bardzo poważną minę.

- Witaj, Jacobie - powiedział spokojnie. Nie spodziewałem się, że będzie aż tak opanowany. - Jak się masz?

Staralem się oddać choć przez usta. Fetor sączący się z wnętrza salonu mącił mi w głowie.

Rozczarowało mnie to, że to Carlisle wyszedł mi naprzeciw. Sto razy wolałbym Edwarda, najlepiej z obnażonymi kłami. Carlisle był taki... taki ludzki, czy coś. Może odnosiłem takie wrażenie, bo tyle razy odwiedzał mnie w domu, kiedy leżałem połamany na wiosnę? Tak czy siak, poczułem się nieswojo, stając z nim oko w oko ze świadomością, że gdybym tylko mógł, toby m go zabił.

- Dowiedziałem się właśnie, że Bella wróciła żywa - oświadczyłem.

- Ehm, Jacob, to nie jest najlepszy moment... - Może i wyglądał na podenerwowanego, ale najwyraźniej z zupełnie innego powodu, niż zakładałem. - Nie moglibyśmy przelożyć tego na później?

Zbił mnie tym pytaniem z pantyaku. Czy naprawdę proponował mi przełożenie pogromu swojej rodziny na jakiś inny termin?

A potem usłyszałem głos Belli, zachrypięty i zmęczony, i nie mogłem już myśleć o czymkolwiek innym.

- Ale dlaczego? - wyklócała się z kimś. - Czy przed Jacobem też mamy utrzymywać to w tajemnicy? A niby po co?

Znowu się zdziwiłem. Coś mi tu nie grało. Spróbowałem przypomnieć sobie, jakie głosy miały nowo narodzone wampiry, z którymi walczyliśmy na wiosnę, ale przy nas co najwyżej warczały. Może dopiero później zaczynały mówić tak dźwięcznie jak te starsze? Może na samym początku wszystkie tak rzęziły?

- Jacob, proszę, wejź! - wychrypiiała głośnie. Carlisle ściągnął brwi.

Przyszło mi na myśl, że może Bella jest spragniona mojej krwi, i też zmarszczyłem czoło.

- Przepraszam - powiedziałem do doktora i wyminąłem go.

Sporo mnie to kosztowało - musiałem się przełamać, żeby zapomnieć o instynkcie i zwrócić się plecami do przeciwnika. Okazało się jednak, że nie jest to niewykonalne. Cóż, jeśli istniało coś takiego jak niegroźny wampir, to był nim właśnie łagodny Carlisle.

Zadecydowałem, że jeśli dojdzie do walki, będzie się trzymał od niego z daleka. Miałem ich do zabicia dostatecznie dużo, by móc sobie na to pozwolić.

Carlisle Carlisle, ale wślizgnąwszy się do salonu, nie odrywałem już pleców od ściany. Zobaczyłem się dookoła. W pokoju sporo się zmieniło. Kiedy byłem tu po raz ostatni, wszystko było przerobione na potrzeby przyjęcia, a teraz królowały tu odcienie beżu i bieli. Błada cera szóstki wampirów, stojących przy białej kanapie idealnie wpasowywała się do wystroju wnętrza.

Tak by li tu wszyscy, wszyscy bez wyjątku, ale nie dlatego mnie zamurowało i nie dlatego opadła mi szczęka.

To widok Edwarda tak na mnie podziałał. To przez wyraz jego twarzy.

Wiedziałem go rozgniewanego, widziałem go aroganckiego, a raz widziałem, jak kacił, ale to... To było coś więcej niż cierpienie. Był na granicy szału.

Nawet nie podniósł głowy - stał zeszytany z dłońmi zwinionymi w pięści i oczami wbitym w kanapę, a minę miał przy tym taką, jakby ktoś go biczował.

Nie byłem nawet w stanie rozkoszować się jego bólem. Wiedziałem, że tylko jedna rzecz mogła doprowadzić go do takiego stanu i że owa rzecz również nie była mi obojętna. Zrobiłem krok do przodu i podążyłem wzrokiem za jego spojrzeniem.

Dostrzegłem ją w tym samym momencie, w którym poczułem jej znajomy zapach. Znajomy, a nie nowy. Zapach, a nie odór.

Leżała zwiniona w kłębek z rękami wokół kolan, zasłonięta częściowo przez oparcie kanapy. Przez dłuższą chwilę nie docierało do mnie nic innego prócz tego, że nadal była tą Bellą, którą kochałem. Nadal miała miękką, ciepłą skórę o brzoskwiowym odcieniu i oczy barwy czekolady. Jej serce ciągle biło - dzwinnie nierytmicznie, ale biło. Pomyślałem, że to chyba tylko piękny sen, z którego przyjdzie mi się zaraz obudzić.

A potem zobaczyłem ją tak naprawdę.

Pod oczami wisiały jej ciemne worki, tym bardziej wyraźne, że bardzo zmierzniała. Czyżby schudła? Skóra jej twarzy była bardzo naciągnięta - jakby kości policzkowe miały ją niedługo przebić. Włosy miała potargane i upięte niedbale z tyłu głowy, ale kilka kosmyków przykleiło jej się do szyi i czoła, blyszczących od potu. Jej palce i nadgarstki wydawały się tak kruche, że aż przesyłał mnie ciarki.

A jednak była chora. I to bardzo chora.

Historijką opowiedziana przez Charliego Billy`emu wcale nie była zmyślona. Cullenowie nie kłamali.

Kiedy tak gapiełem się na Bellę, wytrzeszczając oczy, nagle odrobiłem pozieleniała. Jasnowłosa wampirzyca - ta, która mogłaby startować w wyborach Miss World, Rosalie - pochyliła się nad nią z troską, zasłaniając mi widok.

Znowu coś mi się nie zgadzało. Znałem niemal wszystkie sympatie i antypatie Belli - zazwyczaj to, co w danym momencie myślała, było tak oczywiste, że równie dobrze mogłaby mieć to wypisane na czole. W rezultacie, wielu rzeczy nie musiała mi wcale tłumaczyć. I tak na przykład, wiedziałem, że nie przepadała za Rosalie. Wystarczyło popatrzeć, jak krzywi usta, kiedy o niej wspomina. Powiedzieć, że jej nie lubiła, to mało. Bała się jej.

A przynajmniej tak było do tej pory.

Bo teraz nie wyglądała na przestraszoną, tylko tak jakoś... Jakby było jej głupio, że sprawia Rosalie kłopot! Wampirzyca błyskawicznym ruchem podstawiła jej pod brodę stojącą nieopodal miednicę. Zdążyła. Bella zaczęła głośno wymiotować.

Edward ułknął przy kanapie. Widać było, że bardzo to wszystko przeżywa. Tymczasem Rosalie ostrzegła go machnięciem dłoni, żeby zbyt nie zbliżał.

Edward nie mógł się zbliżyć do Belli? Nic nie trzymało się kupy.

Kiedy Bella doszła już do siebie, uśmiechnęła się do mnie błado. Chyba trochę się mnie krępowała.

- Przepraszam, że musisz to oglądać - powiedziała szepem. Edward cicho jęknął. Głowa opadała mu bezwładnie na jej kolana. Dotknęła jego policzka, jakby to on potrzebował pociechy.

Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że przeszedłem przez pokój, dopóki Rosalie z sykiem nie zastąpiła mi drogi. Ledwo zwróciłem na nią uwagę. Była dla mnie jak ktoś z ekranu telewizora. Trudno było uwierzyć, że jest prawdziwa.

- Rose, przestań - szepnęła Bella. - Pozwól mi przejść.

Blondyna przepuściła mnie, ale domyślałem się, że miała wielką ochotę inaczej mnie potraktować. Przyglądając mi się spod łba, gotowa do skoku, przykucała przy Belli. Nigdy nie przypuszczałem, że tak łatwo przyjdzie mi ją ignorować.

- Bella, co z tobą? - spytałem.

Nie myśląc o tym, co robię, położyłem obie dłonie na oparciu kanapy i także przyklękłem, lądując tym samym zaledwie metr od jej... męża. Nawet na niego nie zerknąłem, a i on zupełnie nie przejmował się moją obecnością.

Wzięłem Bellę za rękę. Była lodowata.

- Wszystko w porządku?

Głupie pytanie. Nie dostałem na nie odpowiedzi.

- Och, Jacob! Tak się cieszę, że przyszedłeś mnie odwiedzić!

Chociaż Edward nie potrafił czytać w jej myślach, przypisał chyba tym słowom jakieś inne znaczenie niż ja, bo znow jęknął i schował twarz w kocu, który mi się zakrywał. Poglaskała go po policzku.

- Bella, powiedz mi, co ci jest? - powtórzyłem, zaciskając mocniej dłonie wokół jej lodowatych palców.

Zamiast mi odpowiedzieć, rozejrzała się po pokoju, jak gdyby czegoś wypatrywała. W jej spojrzeniu kryła się zarówno prośba, jak i ostrzeżenie. Szóstka wampirów nie odrywała od niej oczu. W końcu obróciła się ku Rosalie.

- Pomożesz mi wstać?

Wampirzyca odsłoniła zęby i popatrzyła na mnie z taką miną, jak gdyby chciała rzucić mi się do gardła. Właściwie to „jak gdyby” nie było tu potrzebne.

- Proszę, Rose.

Twąrz blondyny wykrzywił grymas, ale posłusznie podparła jej plecy. Edward za to nie poruszył się ani o milimetr.

- Nie, nie - zaprotestowałem. - Leż sobie, leż. Taka była słaba.

Wolałem jej nie przemęczać.

- Odpowiadam na twoje pytanie - warknęła. O, to już bardziej przypominało dawną Bellę.

Wspierana przez Rosalie, wstała ostrożnie z kanapy. Edward, jak kukuła, przez moment pozostał w niezmiętej pozycji, po czym powoli osunął się na poduszki. Koc, którym się okrywała, opadł na ziemię.

Jej tułów był straszliwie zdeformowany, spuchnięty niczym balon. Wypłowiały szary sweter, który miała na sobie, ledwie mieścił chorobliwie nabrzmiały brzuch chociaż, sądząc po długości rękawów, był na nią o wiele za duży.

Reszta jej ciała zdawała się być w chudzoną, a przez to nieproporcjonalnie drobna, jak gdyby na bebec składało się to, co zostało wysrane z innych miejsc. Czym była ta przerażająca narośl, zorientowałem się z opóźnieniem - nic nie rozumiałem, dopóki Bella czułym gestem nie przyłożyła do niej obu dłoni, jednej u góry, drugiej u dołu, tuląc ją do siebie.

Wiedziałem już, co widzę, ale nadal nie mogłem w to uwierzyć. Rozmawiałem z Bella zaledwie miesiąc wcześniej. Nie mogła być już w ciąży. A zwłaszcza w tak zaawansowanej ciąży.

Tyle że była.

Nie chciałem na to patrzeć, nie chciałem o tym myśleć. Wyobrażał sobie jego w niej... A teraz jeszcze jakaś jego część - kogoś, kogo tak nienawidziłem - zagnieździła się tam na dobre! Trudno byłoby mi w wyobraźni potworniejszy scenariusz. Żołądek podszedł mi do gardła. Przeknąłem wymiociny.

Ale przecież to nie było wszystko - było jeszcze gorzej! To wymierzone ciało, te sterczące kości policzkowe... Mogłem się tylko domyślać, dlaczego była taka chora, dlaczego jej brzuch był tak wielki. Powód tego był taki, że owo

coś, co kryło się tam w środku, odbierało jej powoli życie, by samemu się nasycić...

Bo było potworem. Takim samym potworem, jak jego ojciec.

Zawsze wiedziałem, że drań ją kiedyś zamorduje.

Usłyszawszy we mnie tę myśl, podniósł raptownie głowę, a ułamek sekundy później stał już nade mną. Pod oczami miał ciemnofioletowe cienie.

- Na dwór - zakomenderował. - Migiem.

Podniosłem się z kłęczek i spojrzałem na niego z góry. Czyli doczekałem się tego, po co tu przyszedłem.

- Mijemy tu już za sobą - zgodziłem się.

Doskoczyli do nas jego bracia - pierwszy ten osiek Emmett, a zaraz za nim ten cały Jasper, co to zawsze wyglądał na gotowego. Zupełnie się tym nie przejąłem. Może sfera miała przyjąć posprzątać to, co mieli ze mnie zostawić?

A może nie. Było mi wszystko jedno.

Mój wzrok padł przy padkowie na stojące za nimi Esme i Alice. Były takie drobne i kobiece, że jakoś dzwinnie robiło mi się na myśl, że też są wampirami. Na szczęście, byłem pewien, że trzej bracia uporają się ze mną tak szybko, że nie będę musiał mieć z nimi dwiema do czynienia. Głupio by mi było zabijać dziewczyny - nawet jeśli żywy się krwią.

Chociaż dla blondyny zrobiłbym chyba wyjątek...

- Nie! - jęknęła Bella, wyrrywając się do przodu, żeby złapać Edwarda za rękę. Miała kopoty z utrzymaniem równowagi. Rosalie przesuwała się za nią jak cień, jak gdyby łącząc je niewidzialny łańcuch.

- Muszę z nim tylko coś przedyskutować - uspokoił Bellę Edward i poglaskał ją po policzku.

Krew mnie załała, kiedy zobaczyłem, że po tym wszystkim, co jej zrobił, pozwalała mu się jednak jeszcze dotykać.

- Nie przemęczaj się - ciągnął błagalnym tonem. - Proszę, połóż się z powrotem. Przyrzekam, że nie potrwa to dłużej niż kilka minut.

Przyjrzała mu się uważnie, starając się wyczytać z jego twarzy prawdziwe intencje, a potem skinęła głową i opadła ciężko na kanapę. Oparłszy się z pomocą Rosalie o poduszki, skupiła swoją uwagę na mnie. Unikałem jej wzroku.

- Zachowuj się - upomniwała mnie. - I wracaj szybko.

Nie odpowiedziałem jej. Nie miałem zamiaru dzisiaj nikomu nic obiecywać. Wyszedłem za Edwardem. Jego bracia zostali w środku.

Mimo szoku, który przeżyłem przed chwilą, nie byłem w stanie się cieszyć, że tak łatwo udało mi się dopiąć swego. Sądziłem, że trzeba będzie nie lada fortelu, żeby odłączyć Cullena od jego pobratymców.

Oddał się od domu szybkim krokiem, ani razu nie oglądając się za siebie, żeby sprawdzić, czy czasem nie szykują się do skoku.

Nie było mu to potrzebne. Dowiedziałby się, że atakuję, gdy tylko podjąłby mi taką decyzję. Co oznaczało, że musiałem ją podjąć naprawdę błyskawicznie.

- Nie jestem jeszcze gotowy na to, żebyś mnie zabił - odezwał się cicho. - Daj sobie na wstrzymanie. Musisz uzbroić się w cierpliwość.

Myślał może, że coś mnie obchodzi jego preferencje?

- Obawiam się, że to nie w moim stylu - warknąłem. Przeszliśmy kilkaset metrów drogą wiodącą do szosy, Edward przodem, prowadząc, ja - depcząc mu po piętach. W moim ciele szalał pożar, trzęsły mi się ręce. Czekałem w napięciu na stosowny moment.

Zatrzymał się bez ostrzeżenia i obrócił przodem do mnie. Na widok jego miny znowu mnie zamurowało.

Poczułem nagle, że jestem tylko smarkaczem - wyrosniętym smarkaczem, który mieszał od urodzenia w tym samym prowincjonalnym miasteczku. Zwykłym dzieckiem. Musiałbym jeszcze o wiele więcej przeżyć, o wiele więcej się nauczyć, o wiele więcej wycierpieć, żeby zrozumieć, jakie Edward znosił męczarnie.

Podniósł rękę gestem kogoś, kto chce sobie otrzeć pot z czoła. Jego palce zaryły o marmurową skórę, jak gdyby zamierzał za karę oderwać sobie kawałek policzka. Czarne, rozgnione oczy wydawały się nieobecne, zapatrzone w jakąś przerażającą wizję. Otworzył usta jak do krzyku, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

Taką minę mógłby mieć człowiek plonący na stosie.

Nie potrafiłem wykrzusić z siebie ani słowa. Ta twarz, to co się za nią kryło, było zbyt prawdziwe. Po tym, co widziałem w domu, po tym, co wyczytałem wtedy w ich oczach, mogłem się tylko domyślać, ale teraz zyskałem pewność.

- To ją zabija, prawda? Bella umiera.

Wiedziałem, że gdy tylko powiedziałem to na głos, i ja zacząłem przypominać Cullena wyglądem. Prezentowałem się pewnie nieco lepiej, nie aż tak upiornie, ale tylko dlatego, że nadal byłem - w ciężkim szoku. Tyłu emocji doświadczyłem w ciągu ostatnich kilkunastu minut, że nie zdążyłem jeszcze wszystkiego poukładać sobie w głowie. Edward miał za to czas osiągnąć stan, w którym się znajdował. Moja reakcja różniła się też od jego, bo byłem zahartowany - traciłem już Bellę w myślach tyle razy, na tyle różnych sposobów. Nie mogłem też jej przecieścić tak naprawdę, bo nigdy ani nie była, ani nie miała być moja.

A przede wszystkim, nie ja to na nią ściągnąłem.

- Moja wina - wyszeptał.

Ugięły się pod nim kolana. Upadł na błoto. Trudno było wyobrazić sobie łatwiejszy cel.

Ale ja, który przyszedłem tutaj, marząc o jego śmierci, zamiast zaatakować, poczułem, że ogień mnie opuścił.

- Tak - wyjęczał Edward, nie podnosząc głowy, jak gdyby zwierzał się ziemi. - Tak, to ją zabija.

Zirykował mnie tą swoją beznadziejnością. Chciałem walczyć, a nie dokonać egzekucji. Gdzie się podział zadufany w sobie arogant?

- A wy co? - oburzyłem się. - Czemu ni nie robicie? Carlisle zapomniał, że jest lekarzem? Czemu u prostu tego czegoś z niej nie wyciągnie?

Spojrzał na mnie. Odpowiedział mi zmeconym głosem rodzica zmuszonego wyjaśniać dziecku coś oczywistego dziesiąty raz X rzędu.

- Bella nam nie pozwala.

Musiało trochę potrwać, zanim to do mnie dotarło. Jezus, ta dziewczyna to miała pomysły! Mogłem się tego domyślić. Cała ona, masochistka jedna. Poświęcić życie dla wampirzego bękartu? Jasne, z uśmiechem na twarzy.

- Tak dobrze ją znasz - powiedział Edward. - Tak szybko ją przejrzałeś. Ja nie. Nie zorientowałem się w porę. W drodze powrotnej zupełnie nie chciała ze mną rozmawiać, może tylko coś tam lakonicznie odpowiadała. Sądziłem, że się boi - w jej sytuacji byłoby to zrozumiałe. Myślałem, że jest zła na mnie za to, że naraziłem jej życie na niebezpieczeństwo. Już kolejny raz. Do głowy by mi nie przyszło to, nad czym wtedy rozmyślała, to, co wtedy postanowiła. Dopiero kiedy spotkałmi się z moimi bliskimi na lotnisku i pobięła prosto w ramiona Rosalie... Właśnie Rosalie! Kto by się spodziewał? I usłyszałem, co Rosalie myśli. Dopiero wtedy się dowiedziałem. A ty zrozumiałeś w ułamku sekundy... Ni to jęknął, ni to westchnął.

- Jedną chwilęczkę. Mówisz, że Bella wam nie pozwala - zasztyłem. - Czy nie zauważyliście, że ma tyle samo siły, co każda inna normalna dziewczyna, która waży te pięćdziesiąt parę kilo? Naprawdę jesteście tacy ciemi? Niech

jedno z was ją przytrzymaj i wstrzyknijcie jej coś, czym się usypia ludzi do operacji.

- Chciałem tak zrobić - wyszeptał. - I Carlisle się zgodził... Ale co? Byli za bardzo honorowi?

- Nie, nie o honor tu poszło. Widzisz, Jacob, wszystko komplikuje to, że Bella ma ochroniarza.

Och. Ich postępowanie wydawało mi się pozabawione sensu, ale teraz wszystko stało się jasne. To taką rolę odgrywała blondyna. Tylko co z tego niby miała mieć? Czy Miss World aż tak bardzo życzyła Belli śmierci?

- Może - stwierdził Edward. - Choć z jej punktu widzenia nie tak to wygląda.

- W czym problem? Unieszkodliwienie lasce i tyle. Można was poskładać z powrotem do kupy, prawda? To zróbcie z niej tymczasowo puzzle i zajmijcie się Bella.

- Rosalie poparł Emmett i Esme. Emmett nigdy by nam nie pozwolił... - urwał w połowie zdania. - A Carlisle nie pomoże mi tak długo, jak długo będzie to równoznaczne ze zwróceniem się przeciwko Esme...

- Trzeba było zostawić Bellę ze mną.

- Masz rację.

Na to było już jednak trochę za późno. Może powinien był o tym pomyśleć, zanim zmyślał jej dzieciaka, który wysysał z niej życie.

Spojrzał na mnie z wnętrza swojego przywattnego piekła i zobaczyłem, że się ze mną zgadza.

- Nie wiedzieliśmy - powiedział tak cicho, jak cichy był ludzki oddech. - Nigdy mi się to nawet nie śniło... Bo i nigdy wcześniej nie było takiej pary, jak Bella i ja. Skąd mogliśmy wiedzieć, że ze zwykłymi kobietami możemy plodzić

dzieci...

- ... skoro każda zwykła kobieta powinna była zostać rozerwana na strzępy w trakcie ich płodzenia?

- Tak - przyznał, wciąż nie podnosząc głosu. - Zdarzają się wśród nas tacy zwyrodnialcy: wampiry inkuby, wampirzy cesulaby... To prawda. Ale w ich wypadku uwiedzenie człowieka stanowi wyłącznie wstęp do krwawej uczy...

Pokręcił głową, jak gdyby na samą myśl o tym brało go obrzydzenie. Morderca. Uważał, że czymś się od nich różni!

- Nie wiedziałem, że istnieje specjalne określenie na takich, jak ty. - Splunąłem.

Spojrzał na mnie wzrokiem kogoś, kto przeżył tydzień lat.

- Nawet ty, Jacobie, nie jesteś w stanie mnie nienawidzić tak bardzo, jak nienawidzę sam siebie.

I tu się mylisz, pomysłem, zbyt wzburzony, by zabrać głos.

- Nie uratujesz jej, zabijając mnie - szepnął.

- To co może ją uratować?

- Jacob, musisz coś dla mnie zrobić.

- Wiesz, gdzie możesz wsadzić sobie prośby, pijawko! Wpatrywał się we mnie uparcie tymi swoimi oczami, w których potworne zmęczenie mieszało się z szaleństwem.

- To może dla niej?

Zacisnąłem zęby.

- Zrobiłem wszystko, co było możliwe, żeby ją do ciebie zniechęcić. Wszystko, co tylko mogłem. Teraz jest już za późno.

- Tak dobrze ją znasz, Jacob. Łączy was jakaś tajemnicza więź, której nie potrafisz zrozumieć. Jesteś częścią jej, a ona jest częścią ciebie. Mnie nie chce słuchać, bo sądzi, że jej nie doceniam. Uważa, że da radę... - Przerwał i

przełknął ślinę. - Może ciebie posłucha.

- A niby czemu by miała?

Poderwał się. Oczy plonęły mu jeszcze jaśniej niż przedtem, bardziej dziko. Czyżby naprawdę tracił rozum? Czy wampir mógł zwariować?

- Być może - odpowiedział na pytanie, które zadałem w myślach. - Nie wiem. Ale dokładnie tak się czuję. - Pokręcił głową. - Staram się to przed nią ukrywać, bo gdy się denerwuje, robi się jej gorzej. Już teraz wymiotuje wszystko, co jąda. Muszę być opanowany. Nie mogę przy sparać jej cierpień. Ale nie daruję sobie, jeśli zmaruję taką szansę. Musisz do niej pójść! A nuż cię posłucha!

- Nie powiem jej nic, czego sam już jej nie powiedziałeś. Co mogę jeszcze zrobić? Nalrzyć cześć na nią, że jest skończoną idiotką? Pewnie sama dobrze o tym wie. Uświadomić jej, że umiera? Zależę się, że o tym to wie lepiej od

nas.

- Możesz zaoferować jej to, czego pragnie. Co on bredził, do cholery? Może już oszalał.

- Nie dbam już o nic prócz tego, by wyszła z tego żywa - oznajmił z niespodziewaną stanowczością. - A później nie będę jej stawał na drodze do spełnienia marzeń. Jeśli pragnie zostać matką, niech nią zostanie. Niech ma pół tuzina

dzieci. - Zamilkł na moment. - Niech rodzi choćby i szczenięta, jeśli to właśnie ma ją uszczęśliwić.

Na chwilę nasze oczy się spotkały. Widać było, że jest na skraju przepaści. Przestałem patrzeć na niego ze sceptycznym, za to szeroko rozdziawilem usta.

- Ale nie tak! - syknął, nim doszedłem do siebie. - Niech będzie w normalnej ciąży, a nie w ciąży z tym czymś, co wysysa z niej życie, kiedy ja mogę tylko bezradnie się temu przyglądać! Przyglądać się, jak z dnia na dzień jej gorzej, jak mizerniej w oczach! Jak to coś sprawia jej ból! - Nabrał szybko powietrza z głośnym świstem, jak człowiek, który dostał cios w żołądek - Jacob, musisz przemówić jej do rozsądku. Mnie już nie chce słuchać. Rosalie utwierdza ją w przekonaniu, że jej decyzja jest słuszną - dopinguje ją w jej szaleństwie, podsyca chore nadzieje. Broni jej. Nie, raczej broni tego czegoś. Życie Belli nie dla niej nie znaczy!

Z mojego gardła wydobył się taki odgłos, jak gdybym się krztusił.

Co on wygadwał? Że Bella powinna, co? Mieć dziecko? Ze mną?! Co takiego? Niby jak? Czyżby zamierzał ją zostawić? A może sądził, że nie miałyby nic przeciwko, żebyśmy się nią dzielili?

- Cokolwiek wybierze. Cokolwiek, byle wyszła z tego żywa.

- To najbardziej idioty cma rzecz, jaką kiedykolwiek od ciebie usłyszałem - wymamrotałem.

- Przecież Bella cię kocha.

- Ale nie dość mocno.

- Jest gotowa umrzeć, byle mieć dziecko. Może zaakceptuje coś mniej ekstremalnego.

- Czy ty ją choć trochę znasz?

- Wiem, wiem. Trzeba ją będzie przekonywać całe wieki. To dlatego jesteś mi potrzebny. Znasz jej myśli. Przemów jej do rozumu.

Jak mogłem brać coś takiego pod uwagę? Za dużo tego było. Wydawało mi się to niemożliwe do zrealizowania. Niemoralne. Chore. Pożyczę Bellę na weekendy i odwożę ją w poniedziałek unio jak film do wypożyczalni? Co to za zboczona propozycja?

Ale jaka kusząca...

Nie chciałem nawet o tym myśleć, nie chciałem sobie niczego wyobrazić, ale obrazy i tak się pojawiły. Zbyt wiele razy fantazjowałem w ten sposób o Belli w przeszłości - i wtedy, kiedy jeszcze miałem u niej jakieś szanse, i na długo po tym, kiedy było jasne, to czysty masochizm i że rozdrapuję tylko stare rany, ale nie mogłem się opanować.

Teraz też tego nie potrafiłem. Bella w moich ramionach, Bella powtarzająca szepem moje imię...

Najgorsza ze wszystkich była wizja dla mnie zupełnie nowa - ta, której nigdy nie powinienem był nawet poznać. A przynajmniej jeszcze nie teraz. Wiedziałem, że gdyby nie Edward, minęłoby wiele lat, zanim by do mnie przyszła i zanim bym z jej powodu cierpiał. Ale podsunął mi ją i zagnieździła się w moim mózgu niczym chwast - sączący truciznę i niemożliwy do wytrzebienia. Bella, zdrowa, uśmiechnięta i rumiana, tak odmienna od tej, która czekała na nas w salonie. A jej ciało niezdeformowane, tylko piękne w swoich krągłościach. Bella nosząca w sobie moje dziecko...

Wyrwałem się z wysiłkiem chwastom swoich myśli.

- Przemówić jej do rozumu? Na jakim świecie ty żyjesz?

- Chociaż spróbuj.

Pokręciłem przecząco głową, ale zignorowałem moją odmowę, bo słyshał, co się działo w moim umyśle. Walczyłem sam z sobą.

- Skąd wytrasnałeś taki dziki plan? Wymyślasz je tak na poczekaniu?

- Odłódz umysłowiłem sobie, jakie Bella ma zamiary, za co gotowa jest umrzeć, nie myślę o niczym innym, jak tylko o tym, jak ją uratować. Ale nie wiedziałem, jak się z tobą skontaktować. Gdybym zadzwonił, rzucilibyś słuchawkę, czyż nie? Pewnie sam bym po ciebie niedługo przyszedł, gdybyś do nas dzisiaj nie zawitał. Tylko tak trudno ją zostawić, choćby na kilka minut, Jej stan... tak szybko się zmienia. To coś... różnie. W zastraszającym tempie. Nie powinienem ruszać się z domu.

- Co to w ogóle jest?

- Żadne z nas nie ma pojęcia. Ale jest silniejsze od niej. Już teraz.

Wyobraziłem go sobie nagle - krwiożerczego potworka rozrywającego Bellę od środka.

- Pomóż mi skończyć ten koszmar - poprosił. - Pomóż mi nie dopuścić do tragedii.

- Ale jak? Oferując jej swoje usługi ogiera rozplodowego? - Nawet się nie wzdygnął, kiedy to powiedziałem, ale ja tak - Jesteś chory. To obrzydliwe. Bella nigdy się na to nie zgodzi.

- Spróbuj. Nie mamy nic do stracenia. W niczym jej tym nie zaszkodzimy.

Ale sam sobie miałem tym zaszkodzić. Kolejne przykre doświadczenie. Czy już bez tego nie odrzucała mnie dostatecznie wiele razy?

- Zdenerwujemy ją, ale to wszystko. Czy to taka wysoka cena?

- To nie wypali.

- Może nie. Ale a nuż zasiejiesz w niej ziarno zwątpienia. Może zacnie się łamać. Jeden moment wahania to wszystko, czego nam trzeba.

- A potem, co? Ze wszystkiego się wycofasz? Sorki, Bella, tylko żartowałem?

Nie mogłem uwierzyć, że wdałem się z nim w tę kretynską dyskusję. Gdybym zaproponował Belli to, na co mnie namawiał, juk nie dałaby mi w twarz - nie żebym się z sobą całał, ale pewnie znowu złamałaby sobie przy tym rękę. Nie powinienem był mu pozwalać na wygadanie takich głupot i mieszanie mi w głowie. Powinienem był go teraz po prostu zabić.

- Jeszcze trochę - wyszeptał. - Jeszcze nie. Bez względu na to, czy sobie na to zasłużyłem czy nie, to by ją zniszczyło i jesteś tego świadomy. Nie ma co się spieszyć. Zwłaszcza, że jeśli cię nie posłucha, sam się do ciebie zgłoszę.

Kiedy jej serce przestanie bić, będę cię błagał na kłęczkach, żebyś ze mną skończył.

- Nie będziesz musiał się dopraszać.

Na jego twarzy pojawił się bardzo błady uśmiech.

- Bardzo na to liczę.

- W takim razie, jesteśmy umówieni.

Skinął głową i wyciągnął do mnie rękę. Uściskałem ją, przełamując wstręt. Była zimna jak kamień.

- Umowa stoi - potwierdził.

**Czemu po prostu sobie stamtąd
nie poszedłem?
No, tak, Bo jestem kretynem**

Czułem się, jakbym... Sam nie wiem. Jakby to nie działa się naprawdę. Jakbym występował w gotyckiej wersji jakiejś durnego młodzieżowego serialu komediowego. Tyle że zamiast grać naiwnego kujona, który zamierza zaprosić najładniejszą laskę w szkole na bal absolutentów, byłem wilkołakiem idącym spytać żony wampira, która już dawno dała mi do zrozumienia, że nie mam u niej szans, czy nie miałaby ochoty zamieszkać ze mną na kocia łapę i zrobić sobie ze mną dziecka.

Super.

Nie, pomyślałem, nie zrobię tego. To wbrew wszelkim zasadom przyzwoitości. Zapomnę o wszystkim, co mi ten dziad nagadał.

Ale porozmawiam z nią. Postaram się, żeby mnie wysłuchała.

A ona mi odmówi. Jak zawsze, zresztą.

Edward nie skomentował w żaden sposób mojego postanowienia, tylko szedł dalej w kierunku domu. Zaciękało mnie nagle, czemu wcześniej zatrzymał się w tym a nie innym miejscu. Czy znajdowało się na tyle daleko, że kiedy mówił do mnie szeptem, jego bliscy nie mogli go podłuchać? Czy o to mu chodziło?

Nie byłem pewien.

Kiedy stanęliśmy na progu, przyjrzałem się pozostałym Cullenom i w ich oczach zobaczyłem jedynie podejrzliwość i zdezorientowanie. Nikt nie sprawiał wrażenia ani zniecierpliwionego, ani oburzonego. Jednak dobrze dedukowałem. Żadne z nich nie słyszało, o jaką przysługę mnie Edward poprosił.

Zawahałem się, nie wiedząc, jak mam się teraz zachować. Stanie w drzwiach miało też tę zaletę, że dawało się tu jeszcze swobodnie oddychać.

Edward szedł sztywno w kierunku kanapy. Zaniekpokojona Bella nie odrywała od niego wzroku - zerknęła tylko na mnie i dalej go obserwowała. Twarz jej poszarzała. A więc miał rację, mówiąc, że gdy się denerwowała, robiło się jej gorzej...

- Pozwolimy teraz porozmawiać Jacobowi z Bella w cztery oczy - oznajmił.

Intonację miał jak robot. Jego głos nie zdradzał żadnej emocji.

- Po stosie moich popiołów - syknęła Rosalie. Nadal pochyliła się nad Bella, gładząc ją zaborczo po bładym policzku.

Edward puścił tę uwagę mimo uszu.

- Bello - odezwał się takim samym drewnianym głosem. - Jacob chciałby z tobą porozmawiać. Czy boisz się zostać z nim sam na sam?

Spojrzała na mnie. Wyglądała na zagubioną.

- Nie, Rose, o nic się nie martw - zwróciła się do swojej obrończyni. - Jake nas nie skrzywdzi. Możesz mnie z nim spokojnie zostawić.

- To może być podstęp - ostrzegła ją blondyna.

- Nie wiem, na czym miałyby polegać - stwierdziła Bella.

- Mnie i Carlisle'a będziesz miała cały czas na oku - zapewnił siostrę Edward. Powoli tracił nad sobą kontrolę, okazując coraz więcej gniewu. - To nas Bella się obawia.

- Ależ nie - wyszeptała Bella. W oczach stanęły jej łzy. - Nie, to nieprawda...

Pokręcił głową z bładym uśmiechem na twarzy. Od patrzenia na ten uśmiech serce ścisnął żal.

- Nie o to mi chodziło, skarbie. Nie martw się o mnie. Nic mi nie jest.

Miał rację. Bella w chorobliwy sposób starała się nie zranic jego uczuć. Sama się podkręcała. Aż niedobrze się od tego robiło. Ta dziewczyna na była klasycznym przypadkiem męczennicy. Jak nic urodziła się w złym stuleciu. Powinna była żyć w czasach, w których w imię swoich przekonań mogłaby zginąć pożarta przez lwy na arenie.

- Proszę was, wyjdźmy wszyscy - powiedział Edward, wskazując na drzwi.

Żeby nie niepokoić Belli, próbował nie dać nic po sobie poznać, ale na przwidzianej przez niego masce pojawiała się coraz więcej rys. Widziałem, że niewiele mi już brakuje do tamtego skażenka płonącego na stosie, który rozmawiał ze mną na zewnątrz. Pozostali też to widzieli, więc nikt mu się nie sprzeciwił. W milczeniu wyszli na dwór jedno po drugim. W porę zszedłem im z drogi. Przemieszczała się bardzo szybko - po dwóch uderzeniach mojego serca w salonie pozostała tylko niezdecydowana Rosalie i Edward, czekający na nią na progu.

- Rose - odezwała się cicho Bella. - Chciałabym, żebyś wyszła. Blondyna zmroziła brata wzrokiem. Nakazała mu gestem, żeby opuścił dom pierwszy. Kiedy zniknął w drzwiach, posłała mi ostrzegawcze spojrzenie, po czym, najczona, podążyła za resztą.

Zostaliśmy sami. Przeszedłszy przez pokój, usiadłem koło Belli na podłodze. Zacząłem rozgrzewać jej dłonie, delikatnie je pocierając.

- Dzięki, Jake. To bardzo przyjemne.

- Nie będę ci wcisnął kitów, Bells. Jesteś kretynką.

- Wiem - westchnęła. - Wyglądam koszmarnie.

- Jak jakaś szkarada, co wypełza z bagien.

Zaśmiała się.

- Strasznie fajnie, że przyszedłeś. Miło jest się znowu uśmiechać. Mam już powoli serdecznie dosyć tej rozpacz i napięcia wokół siebie.

Wywróciłem oczami.

- Wiem, wiem - przyznała. - Sama to na siebie ściągnęłam.

- Zgadza się. I co to, kurde, ma być? Jak ty to sobie niby wyobrażasz?

- Edward poprosił cię, żebyś na mnie nakrzyczała?

- Coś w tym stylu. Tyle że nie rozumiem, czemu sobie ubzdurał, że mnie wysłuchasz. To byłby pierwszy raz w historii.

Znowu westchnęła.

- Mówiłem ci...

Weszła mi w słowo.

- Wiesz, Jacob, że „mówiłem ci, że tak będzie” ma brata? Ma na imię „zamknij się, do cholery”.

- Nieżle.

Wyszczeryła ją zęby w triumfalnym uśmiechu. Jej i tak już napięta skóra naciągnęła się na jej kościach policzkowych jeszcze bardziej niż przedtem.

- Niestety, to nie ja na to wpadłam. Zapamiętałam ten tekst z powtórki Simpsonów.

- Musiałem przegapić ten odcinek.

- Był bardzo zabawny.

Przez minutę siedzieliśmy w zupełnej ciszy. Dłonie zrobiły jej się nieco cieplejsze.

- Naprawdę cię poprosił, żebyś ze mną porozmawiał?

Skinęłam głową.

- Mam spróbować przemówić ci do rozumu. Ale przecież nie mam szans. To przegrana sprawa.

- Więc dlaczego się zgodziłeś?

Nie odpowiedziałem jej. Sam do końca tego nie wiedziałem.

Wiedziałem jednak co innego - że każda spędzona z Bellą sekunda zwiększy tylko ból, który będę musiał znieść po naszym rozstaniu. Byłem jak narkoman, któremu kończyły się zapasy. Dzień, w którym miałem zacząć przy musowy odwyk zbliżał się nieubłaganie, i im więcej miałem strzelić sobie dialekt, tym bardziej miałem później cierpieć.

Dalej milczeliśmy.

- Wszystko jakoś się ułoży - odezwała się Bella. - Jestem o tym głęboko przekonana.

Zalał mnie gniew.

- Czy jednym z objawów, które masz, jest demencja? - warknąłem.

Parusnęła śmiechem, chociaż byłam tak na nią zły, że trzęsły mi się już ręce, a wraz z nimi jej własne.

- Być może - powiedziała. - Ale Jake, zwróć uwagę, że nie mówię, że to pójdzie jak z płatka. Zresztą, jak mogłabym przetrwać to wszystko, co do tej pory mi się przytrafiło, nie uwierzywszy, że czasem zdarzają się rzeczy niemożliwe? Ze istnieje coś takiego jak magia?

- Magia?!

- Ty też powinieneś w nią wierzyć. Zwłaszcza ty. - Uśmiechała się, jakby była nawiedzona. Uwolniła jedną dłoń z mojego uścisku i przycisnęła mi ją do policzka. Ręka zdążyła jej się rozgrzać, ale w porównaniu z moją skórą nadal była chłodna. - Inni nie mogą mieć tej pewności, ale w twoim życiu ma się przecież wydarzyć coś magicznego.

- O czym ty bredzisz?

Z jej twarzy nie zniknął uśmiech.

- Edward opowiedział mi kiedyś, jak to u was jest z tym wpojeniem. Powiedział mi, że to czysta magia, jak coś wzięte prosto ze *Snu nocy letniej*. Pewnego dnia, Jacob, znajdziesz tę, której tak naprawdę szukasz, a wtedy może zrozumiesz czemu postępuję teraz tak, a nie inaczej.

Gdyby nie to, że nie chciałem jej zaszokować, zacząłbym się na nią chamsko wydzierać.

Ale i tak, ton głosu miałem ostry.

- Jak można... Jak możesz mi w ogóle sugerować, że po wpojeniu zobaczę nagle sens w tym... - wskazałem na jej nabrzmiały brzuch - brakowało mi słów - ... w tym twoim szaleństwie? Naprawdę uważasz, że wystarczy, że spojrzę na jakąś obcą babę, i już pogodzię się z tym co tu wyprawiasz? To powiedz mi, jaki w takim razie to wszystko miało sens? To, że się w tobie zakochałem? To, że ty zakochałaś się w nim? Kiedy umrzesz - warknąłem - jakim cudem to wszystko ma się naprawić? Jak ma sens zadawanie nam wszystkim tyle bólu? Mi, jemu, samej sobie? Nie, żeby mnie to coś obchodziło, ale przecież to go zabije. - Drgnęła, ale nie przerwałem. - Jaki w takim razie miała sens ta cała wasza pokręcona *love story*? Jeśli masz jakieś rozsądne usprawiedliwienie na to, co robisz, proszę, zdradź mi je, bo sam jakoś nie mogę na nie wpaść.

Westchnęła.

- Nie umiem jeszcze odpowiedzieć na wszystkie twoje pytania. Ale czuję... po prostu czuję, że wyniknie z tego coś dobrego. Wiem, że trudno to sobie teraz wyobrazić, ale wierzę, że całej siły, że tak będzie. Na tym chyba polega

wiara.

- Umierasz za nic, Bella! Za nic!

Przeniósła dłoń z mojego policzka na swój brzuch i pogłaskała się po nim czule. Nie musiała nic mówić - wiedziałem, co sobie myśli. To dla niego poświęcała życie. Dla tego czegoś tam w środku.

- Nie umrę - oświadczyła przez zacisnięte zęby. Domyśliłem się, że powtarza argumenty, które przytaczała już nie raz. - Nie pozwolę, żeby moje serce przestało bić. Dam radę. Jestem silna.

- Bella, pleciesz od rzeczy. Aż tak silna to nie jesteś. Za długo przebywałeś w towarzystwie istot o nadludzkich zdolnościach i teraz starasz się im dorównać. Żaden normalny człowiek by tego nie przeżył i ty nie będziesz tu żadnym wyjątkiem.

Teraz to ja przytuliłem jej swoją wielką dłoń do policzka. Nie musiałem sobie przypominać, że muszę być ostrożny - wszystko w Belli aż krzyczało: „Uwaga! Jestem krucha!”.

- Uda się - mruknęła pod nosem. - Musi się udać. Dam radę. Zabrzmiało to jak kwestia z tej bajki dla dzieci o dzielnej małej lokomotywie - *The Little Engine That Could*.

- Jakoś tego nie widzę - stwierdziłem cierpko. - Ale mniejsza o to. To co, powiesz mi, jaki masz plan? Bo jakiś masz, mam nadzieję?

Nie patrząc mi w oczy, skinęła głową.

- Słyszałeś kiedyś, że Esmie skoczyła z klifu? To znaczy, kiedy jeszcze była człowiekiem.

- I co z tego?

- Była tak bliska śmierci, że nawet nie próbowano jej ratować zamiast do lekarza, zawieziono ją prosto do kostnicy. Ale kiedy znalazł ją Carlisle, jej serce nadal bilo...

Właśnie to miała na myśli, zarzekając się wcześniej, że nie pozwoli mu ucinąć.

- Czyli nie zamierzasz wyjść z tego jako człowiek - podsumowałem głosem bez wyrazu.

- Zgadza się. Nie jestem głupia. - Spojrzała na mnie. - Chociaż w tym punkcie, jak podejrzewam, się pewnie różnimy.

- Wampiryzacja jako metoda ratowania życia - wymamrotałem.

- Sprawdziła się w przypadku Esme. I Emmetta. I Rosalie. Nawet Edward tak właśnie stał się jednym z nich. Kiedy Carlisle decydował się ich przemieniać, żadne z nich, delikatnie mówiąc, nie było w najlepszej formie. Inaczej zostawiłby ich w spokoju. Nie odbierał im życia, tylko je ratował.

Dobry wampir. A jednak Tak jak wcześniej przy doktorze, na myśl o tym naszył mnie wyrzuty sumienia. Odgoniłem je pospiesznie i wróciłem do przekonywania Belli.

- Posłuchaj, Bella. Nie możesz planować tego skończyć w taki sposób.

Podobnie jak wtedy, kiedy dowiedziałem się o telefonie Charliego, uświadomiłem sobie z opóźnieniem, na czym tak naprawdę mi zależało. Zdałem sobie sprawę, że pragnąłem przede wszystkim, aby żyła, a pod jaką postacią, to już nie miało dla mnie znaczenia.

Wziąłem głęboki wdech. - Nie czekaj, aż będzie za późno. Nie czekaj, kiedy jesteś w takim stanie. Musisz żyć. Okej? Po prostu żyj. Nie rób mi tego. Nie rób tego Edwardowi. - Mimowolnie, podnosiłem stopniowo głos i mówiłem coraz bardziej surowym tonem. - Wiesz, co on robi, kiedy umrzesz. Już to raz przerabialiście. Chcesz, żeby wrócił do tych włosów zabójców?

Skuliła się, wbijając się w poduszki.

Postanowiłem jej nie zdradzać, że tym razem lot przez Atlantyk nie miał być konieczny.

Walcząc ze sobą, żeby przemawiać do niej trochę łagodniej, spytałem:

- Pamiętasz, jak leżałem pokiereszowany przez tych nowo narodzonych? Pamiętasz, co mi powiedziałaś?

Czekałem, ale nie chciała udzielić mi odpowiedzi. Zaciśnęła usta.

- Powiedziałaś, że mam być grzeczny i słuchać Carlisle'a - przypomniałem jej. - I co zrobiłem? Posłuchałem wampira. Dla ciebie.

- Posłuchałeś go, bo wiedziałeś, że tak właśnie trzeba.

- Okej, niech ci będzie. Dwa powody do wyboru.

Wzięła głęboki wdech.

- Ja też wiem, że w tym wypadku tak właśnie trzeba. - Zerknęła na swój wielki brzuch. - Nie zabiję go - szepnęła.

Znowu zatrząśły mi się ręce.

- Och, co za nowina! Nikt mi nic nie powiedział. Czyli to chłopak? Powiniemem był przynieść niebieskich balonów dla naszego zucha!

Zaczerwieniła się. Zawsze było jej do twarzy z rumieńcem. Na jego widok poczułem się tak, jakby ktoś wbił mi nóż w bebechy i go przekręcił. Taki ząbkowany. Z zardzewiałym ostrzem.

Miałało to w sobie coś strasznego.

- No, nie wiem, czy to chłopiec - przyznała nieśmiało. - Na ultrasonografie nie widać, bo błona otaczająca dziecko jest zbyt gruba - jakich skóra. Jego pleć to nadal tajemnica. Ale zawsze wyobrażam je sobie jako chłopca.

- Bella, to coś w środku to nie jest jakiś słodziak z reklamki pielnuch.

- Pożyjemy, zobaczymy.

Boże, miała hopla na jego punkcie.

- Ja może tak, ale ty nie - przypomniałem jej.

- Straszny z ciebie pesymista, Jacob. Jakież tam prawdopodobieństwo, że wyjdę z tego żywa, istnieje.

Byłem tak wściekły, że zamiast do skomentować, spuściłem głowę i zacząłem głęboko oddychać, żeby odyskać nad sobą kontrolę.

- Spokojnie, Jake. - Głaskała mnie czule po głowie. - Wszystko będzie dobrze. Ci. Wszystko się ułoży.

Nie podniosłem oczu.

- A właśnie że nie.

Starła mi z policzka kroplę jakiegoś płynu.

- Ci.

- O co ci teraz chodzi, Bella? - wyrzuciłem, wbijając wzrok w jasną wykładzinę. Moje brudne stopy zostawiały na niej brzydkie smugi. I bardzo dobrze. - Sądziłem, że niczego tak nie pragniesz w życiu jak być ze swoim krwiopijcą. A teraz tak po prostu go odrzucasz? To się nie trzyma kupy. Niby to od kiedy jesteś taka zdesperowana, żeby zostać mamą? Skoro dopiero to jest dla ciebie spełnieniem marzeń, to dlaczego poślubiłaś wampira?

Byłem niebezpiecznie blisko złożenia jej propozycji, o której mówił Edward. Widziałem, że słowa niosą mnie w tamtym kierunku, ale nie mogłem nic na to poradzić.

Westchnęła.

- To nie tak. Rzeczywiście, nigdy nie chciałam mieć dziecka. Nawet się nad tym tak na poważnie nie zastanawiałam. Ale to, że będę matką, nie jest też w tym wszystkim najważniejsze. Najważniejsze jest... hm... że to właśnie konkretne dziecko.

- To zabójca, Bella. Tylko spojrz na siebie.

- To nie jego wina, tylko moja. Jestem tylko słaby człowiekiem. Ale wziąłem się i zobaczysz, Jake...

- Wiesz co? Zamknij się. Takie baniałuki to możesz wygadywać przy swoim panu krwiopijcy, ale mnie nie oszukasz. Już ty dobrze wiesz, że wykorzystujesz.

Wpatrywała się we mnie wzburzona.

- Wcale tego nie wiem. Martwię się, że tak to się może skończyć, jasne, ale...

- Widzieliście ją! Martwi się tym! - wycedziłem.

Jęknęła zniecierpliwiona i załapała się za brzuch. Mój gniew błyskawicznie się ulotnił, jakby ktoś wcisnął w moim mózgu wyłącznik.

- Nic mi nie jest - wysapała. - To nic takiego.

Nie dotarło do mnie jednak to, co powiedziała, bo w tym samym momencie odsłoniła swój brzuch i zszokowany, rozdziawiłem usta. Cały był w wielkich fioletowo - czarnych plamach, jakby ktoś pomalował go atramentem.

Zobaczyła moją minę i szybko opuściła sweter.

- Mały jest silny - wytłumaczyła. - To wszystko. Atramentowe plamy były siniakami! O mały włos nie zwymiotowałem. Zrozumiałem, co Edward miał na myśli, mówiąc, że nie może patrzeć, „jak to coś sprawia jej ból”. Nagle i ja sam poczułem, że wariuję.

- Bella... - zacząłem.

Wychwyliła zmianę w moim głosie, więc spojrzała na mnie. Wciąż jeszcze ciężko oddychała. Wyglądała na zdezorientowaną.

- Bella, nie rób tego!

- Jake...

- Posłuchaj mnie. Jeszcze nie protestuj, dobra? Posłuchaj tylko. A co gdyby...

- Co gdyby co?

- Gdybyś miała jeszcze jedną szansę? Gdyby to nie było tak, wszystko albo nic? Gdybyś posłuchała Carlisle'a jak na grzeczną dziewczynkę przy stało i wyszła z tego żywa?

- Nie pozwolę...

- Jeszcze nie skończyłem. Wyobraź sobie, że już jest po wszystkim. Żyjesz i jesteś człowiekiem. Czy nie mogłabyś wtedy spróbować jeszcze raz?

Zmarszczyła czoło. Dotknęła miejsca, w którym stykały się moje ściągnięte brwi, i starała się przez chwilę je wygładzić, trawiąc to co powiedziałem.

- Nie rozumiem... O co ci chodzi z tym, że mogłabym spróbować jeszcze raz? Chyba nie sądzisz, że Edward pozwoliłby mi?... A zresztą, co to za różnica? Jestem pewna, że każde dziecko...

- Nie - warknąłem. - Nie każde. Tylko jego dziecko. Wyrzaz zagubienia na jej twarzy pogłębił się.

- Co takiego? A potem zamrugala i widać było, że wreszcie załapała.

- Och. O nie. Jacob, to się strętnie! Uważasz, że powinnam zabić swoje dziecko i zastąpić je jakimś innym?! Dać się sztucznie zapłodnić?! - Była na mnie wściekła. - Po co miałabym chcieć urodzić dziecko jakiegoś obcego faceta?! Bo co, bo to żadna różnica?! Każde się nada!

- Nic nie mówiłem o żadnym obcym faciecie - mrugnałem.

Pochyliła się ku mnie.

- To jakby to miało wyglądać?

- Już nic. Zapomnij. Zignoruj mnie jak zwykle.

- Skąd ci to przyszło do głowy? - drążyła.

- Bella, koniec tematu! Ale i tak nabrała podejrzeń.

- Czy to on kazał ci to mi zaproponować?

Zawahałem się, zaskoczony, że wpadła na to tak szybko.

- Nie, skąd.

- Nie kłam. To jego pomysł, prawda?

- Nie, przy sięgam. Ani słowem nie wspominał o sztuczny m zapłodnieniu.

Twarz jej złagodniała. Opadła z powrotem na poduszki, sprawiając wrażenie wyczerpanej. Kiedy się ponownie odezwała, patrzyła gdzieś w bok i wyraźnie nie mówiła już do mnie:

- Nie ma rzeczy, której by dla mnie nie zrobił, a ja tak bardzo go ranie... Ale co on sobie myśli? Że wymienię nasze małżeństwo... - pogłaskała się po brzuchu - ... na jakieś...

Głos jej się łamał. W jej oczach zabyły się łzy.

- Nie musisz go ranić - wyszeptalem. Słowa jego prośby pały moje gardło niczym trucizna, ale rozumiałem już, że tylko tak można było Bellę najpewniej uratować. Chociaż prawdopodobieństwo, że nam się uda, było nadal jak jeden do tysiąca. - Mogłabyś go jeszcze na nowo uszczęśliwić, naprawdę. On oszaleje, jeśli nic nie zrobisz. Wszystko na to wskazuje.

Nie wyglądało na to, żeby mnie słuchała. Przygryzając wargę, jedną ręką gładziła się powoli po brzuchu.

Milczeliśmy bardzo długo. Zachodziłem w głowę, jak daleko mogli oddalić się Cullenowie. Czy byli świadkami tego, jak niezdarnie usiłuję nakłonić Bellę do zmiany zdania?

- Nie z nieznanym? - przerwała ciszę.

Drgnąłem.

- Co dokładnie powiedział ci Edward? - spytała cicho.

- Nie takiego. Myślał tylko, że może mnie wysłuchasz.

- Nie, nie. Co powiedział ci o tym, że mogę spróbować raz jeszcze?

Świdrowała mnie wzrokiem. Uzmówiłem sobie, że zdradziłem jej już zbyt dużo szczegółów.

- Nic. Nic a nic.

Otworzyła nieznacznie usta.

- Wow - wyrwało jej się.

Żadne z nas nic więcej nie dodało. Wpatrywałem się we własne stopy, nie śmiejąc spojrzeć jej w oczy.

- Naprawdę zrobiłby dla mnie wszystko - szepnęła. - Prawda?

- Bells, mówiłem ci już, że mu odbija. Dosłownie.

- Dzwię się, że od razu mi na niego nie naszkarzyłeś. Żeby wpakować go w kłopoty.

Podniosłem głowę i zobaczyłem, że szeroko się uśmiecha.

Myślałem o tym. Spróbowałem obdarzyć ją podobnym uśmiechem, ale coś czułem, że mi to nie wychodzi.

Była już świadoma, co jej proponuję, i nie zamierzała nawet brać tego pod uwagę. Wiedziałem, że tak będzie. Ale i tak zabolalo.

- Ty też, tak jak on, nie zważałbyś się przed niczym. Nie pojmuję, czemu tak wam na mnie zależy. Nie zasłużyłam sobie na żadnego z was.

- Ale i tak nas zlekceważył.

- Tym razem, niestety, muszę - westchnęła. - Zauważ, że nie potrafię wytłumaczyć ci tego tak, żebyś zrozumiał. Nie potrafię zrobić mu krzywdy - wskazała na swój brzuch - tak samo jak nie potrafiłabym sięgnąć po broń i strzelić do ciebie. Kocham go.

- Ech, Bella, dlaczego zawsze kochasz tych, których nie powinnaś?

- Ja tam wcale tak nie uważam.

Odchrząknęłam, żeby pozbyć się guli rosnącej w gardle i by móc przybrać dostatecznie stanowczy ton.

- Zaufaj mi.

Zacząłem wstawać.

- Dokąd idziesz?

- Nic tu już nie wskóram.

Wyciągnęła ku mnie rękę.

- Nie idź jeszcze.

Uzależnienie wysysało ze mnie wolną wole, zatrzymując mnie za wszelką cenę w pobliżu zapasu towaru.

- Nie pasuję tutaj. Muszę już wracać.

- Dlaczego tu dzisiaj przyszedłeś? - spytała, wciągając ku mnie sięgając, choć brakowało jej już sił.

- Tyłko po to, żeby sprawdzić, czy jeszcze żyjesz. Nie wierzyłem w tę historię Charliego o tym, że jesteś chora.

Nie byłem w stanie ocenić po wyrazie jej twarzy, czy kupiła tę bajeczkę czy nie.

- Odwiedzisz mnie jeszcze? Zanim...

- Nie będę tu przesiadywał, żeby przyglądać się, jak umierasz.

Wzdrygnęła się.

- Masz rację, masz rację. Powinieneś już sobie pójść. Ruszyłem w kierunku drzwi.

- Pa - zawołała za mną cicho. - Kocham cię.

O mało co nie zawróciłem. Odczułem przemożną chęć, żeby odwrócić się, paść na kolana i znowu zacząć ją błagać. Wiedziałem jednak, że muszę odejść i twardo rzucić swój nałóg z dnia na dzień, bo w przeciwnym razie zabiłaby mnie, tak samo, jak zamierzała zabić Edwarda.

- Jasne, jasne - burknęłam, nie zwalnając.

Na zewnątrz nie zauważyłem żadnych wampirów - pośrodku polany stał za to mój motocykl, ale zignorowałem go. Tym razem był dla mnie zbyt powolny. Wiedziałem, że ojciec szaleje z niepokoju - a i Sam również. Wszyscy pewnie czekali z zapartym tchem, kiedy zamienię się w wilka - i się doczekali. Ciekawe, co sobie myśleli? Że Cullenowie dorwali mnie, zanim jeszcze ich zaatakowałem? Rozebrałem się do naga, nie przejmując się tym, że ktoś mnie może podglądać, i rzuciłem się biegiem w las. Kilka kroków i pędziłem już na czterech łapach.

Pojawili się w moich myślach w komplecie. Jak mogło być inaczej?

Jacob.

Jake.

Osiem głosów odetchnęło z ulgą.

W tej chwili do domu, padł rozkaz Alfego. Sam był na mnie wściekły.

Poczułem, że Paul zmika, żeby przekazać dobrą nowinę Billy'emu i Rachel. Tak bardzo zależało mu na tym, żeby nie trzymać ich dłużej w niepewności, że nie zaczęła, aż zdam raport z tego, i o się wydarzyło.

Nie musiałem informować sfory, że zaraz będę na miejscu - widzieli moimi oczami rozmazane pędem drzewa. Nie musiałem im też tłumaczyć, w jakim jestem żalonym stanie - mętnik w mojej głowie mówił sam za siebie.

Poznał wszystkie najokropniejsze szczegóły - zobaczył posiniaczony brzuch Belli (ochryple: „Mały jest silny, to wszystko”), Edwarda z twarzą człowieka płonącego na stosie (szepc: „Mogę tylko bezradnie się temu przyglądać!

Przyglądając się, jak z dnia na dzień jest gorzej, jak mizernieje w oczach! Jak to coś sprawia jej ból), Rosalie przy czajoną nad zmierniałą Bella (jęk: „Życie Belli nie dla niej nie znaczy!”) - i nareszcie żadne z nich nie miało na podorzędzi żadnego komentarza.

Oniemieli. Ciszą, która zapanowała w moim umyśle, była jak niemy krzyk

!!!!!!

Nim wyszli z szoku, byłem już w połowie drogi do domu. Wybiegli mi naprzeciw.

Panował półmrok bo zachodzące słońce całkowicie przesłaniały chmury. Zaryzykowałem i przebiegłem przez szosę w swojej wilczej postaci. Udało się - nikt mnie nie zauważył.

Spotkałiśmy się jakieś piętnaście kilometrów przed La Push na polanie pozostawionej przez drwali. Znajdowała się z dala od uczęszczanych dróg, pomiędzy dwoma górkami odnogami, gdzie raczej nikt by się na nas nie napatoczył. Paul dołączył do watahy w tym samym momencie co ja, więc nikogo nie brakowało.

W mojej głowie panował kompletny chaos. Przekrzykiwali jedno drugie.

Sam, z sierścią zjezoną groźnie na larku, zamiast zająć swoje miejsce w kręgu, krążył nerwowo wokół niego, warcząc nieustannie. Paul i Jared, z położonymi uszami, nie odstępowali go ani na krok. Pozostali członkowie sfory, poruszeni, nie potrafili usiedzieć spokojnie, a od czasu do czasu cicho pomrukiwali.

Z początku trudno było stwierdzić przeciwko komu skierowany jest ich gniew i pomyślałem, że już po mnie, ale na wpół oszalały po wizycie u Belli, jakoś wcale się tym nie przejąłem. Jeśli zamierzali mnie ukarać za niesubordynację, mogli ze mną zrobić, co chcieli.

A potem bezładna płatanina ich myśli zmieniła się w płynącą zgodnie lawicę.

Jak to możliwe? Co to ma znaczyć? Co to się urodzi?

Nie powinni byli do tego dopuścić. To coś może im się wymknąć spod kontroli.

To wbrew naturze. To obrzydliwe. To po prostu zbrodnia.

Nie możemy pozwolić, by to coś przyszło na świat.

Zsynchronizowali nie tylko swoje myśli, ale i ruchy, i obchodzili teraz krąg w jednakowym tempie - wszyscy oprócz mnie i jeszcze jednego z braci. Usiadłem przy nim, zbyt oszołomiony, by zainteresować się, który to, i zerknąć na niego lub wejrzeć w jego umysł.

Pakt nie obejmuje takiej ewentualności.

Grozi nam niebezpieczeństwo.

Spróbowałem podążyć krętą ścieżką, wyznaczoną ich rozmowami, aby zobaczyć, do jakich wniosków dojdą i co postanowią, ale to, co do mnie docierało, wydawało się nie mieć sensu. Obrazy, które najczęściej przywoływały, ukazywały moje własne wspomnienia i w dodatku najgorsze z najgorszych: odsonięty brzuch Belli pokryty siniakami i wykrzywioną cierpieniem twarz Edwarda.

Oni też się tego czegoś obawiają.

Ale nie zrobią nic, żeby to coś uśmiercić.

Bo chcą ocalić Bellę Swan.

Nie możemy pozwolić na to, by ich postawa wpłynęła na naszą.

Bezpieczeństwo naszych bliskich i pozostałych mieszkańców tych okolic jest ważniejsze niż życie jednej dziewczyny.

Jeśli tego czegoś nie zabiją, to będziemy zmuszeni ich wyreżycić.

Żeby chronić nasze plemię.

Żeby chronić nasze rodziny.

Musimy zabić to coś, zanim będzie za późno.

Kolejne wspomnienie. Tym razem słowa Edwarda. „To coś... rośnie. W zastraszającym tempie”.

Nadal byłem rozbity, ale spróbowałem się skoncentrować, by móc przypisywać to, co słyszę, do konkretnych członków watahy.

Nie ma czasu do stracenia, pomyślał Jared.

Będą stawiać opór, ostrzegł Embry. Czeka nas ciężka walka.

Jesteśmy gotowi, stwierdził Paul.

Musimy wykorzystać element zaskoczenia, planował Sam.

Będziemy mieli większe szanse na wygraną, jeśli zaatakujemy, kiedy będą rozdzieleni, podpowiedział Jared. Będziemy mogli wtedy załatwić jednego po drugim.

Wstałem powoli, potrząsając łbem. Czulem się dziwnie - jak gdyby m od patrzenia na krążące wilki dostawał zawrotów głowy. Mój kompan także się poderwał. Podparł mnie ramieniem, żeby m odzyskał równowagę.

Czekajcie, pomyślałem.

Przystanął, ale tylko na sekundę.

Mamy niewiele czasu, powiedział Sam.

Co się z wami dzieje? zaprotestowałem. Nie zdecydowaliście się zaatakować ich populudni, chociaż w grę wchodziło złamanie paktu, a teraz, kiedy nikt nie naruszył jego postanowień, planujecie rzeź?

Czegoś takiego w pakcie nie przewidziano, wyjaśnił Sam. A to coś w Belli stanowi zagrożenie dla każdego człowieka w promieniu wielu kilometrów. Nie wiemy, jakiego typu istotę spłodził Cullen, ale wiemy, że jest silna i bardzo szybko się rozwija. I że będzie za młoda, żeby przestrzegać jakiegokolwiek paktu. Pamiętajtasz tamte nowo narodzone wampiry, z którymi m walczyliśmy na wiosnę? W głowach było im tylko zabijanie, a przy tym były zupełnie nie do ujarzżenia. Wyobraź sobie coś takiego, ale chronione przez Cullenów.

Nie mamy pewności... zacząłem.

Zgadza się, pewności nie mamy. Ale nie możemy ponosić takiego ryzyka. Pozwalamy Cullenom mieszkać w tych stronach tylko dlatego, że ufamy im w stu procentach. Wiemy, że nie zrobią tu nikomu nic złego. Ale czemuś takiemu nie będzie można ufać.

Cullenowie marzą o tym, żeby się tego czegoś pozbyć, tak samo jak my.

Sam wyciągnął z zakamarków mojej pamięci obraz, na którym Rosalie czaiła się gotowa do skoku u boku Belli, i zaprezentował go całej watasze.

Niektórzy są gotowi o to coś walczyć, niezależnie od tego czym jest.

Na miłość boską, to tylko plód!

Nie na długo, szepnęła Leah.

Jake, odezwał się Quil. Uwierz, to poważny problem. Nie możemy go tak po prostu zignorować.

Przesadzacie, chłopaki. Jedyną osobą, której grozi z tego powodu śmiertelne niebezpieczeństwo, jest Bella.

Bella znowu ryzykuje na własne życie, przypomni mi Sam. Tyle że tym razem konsekwencje jej wyboru mamy ponosić wszyscy.

Nie wydaje mi się.

Nie możemy mieć się nadzieje. Ani się obejrzemy, a po naszym terenie będzie grasował wampir. Nie możemy do tego dopuścić.

Więc kacie się Cullenom wyprzedzić, zaproponował wilk, na którym nadal się opierałem. Okazało się, że to Seth. A kóždy inny?

I ścignąć takie nieszczęście na jakichś niewinnych ludzi? Kiedy krwio pijcy wchodzą na nasze terytorium, unieszkodliwiamy ich, choćby nawet nie chcieli u nas polować. Staramy się uratować tyle istnień, ile tylko się da.

To szaleństwo, powiedziałem. Jeszcze przed paroma godzinami upierałeś się, że nie możesz narażać sfory.

Przed paroma godzinami nie wiedziałem jeszcze, że coś grozi naszym bliskim.

Nie no, po prostu nie wierzę, że to się dzieje naprawdę! A jakniby zamierzacie zabić tego potworka, nie zabijając Belli?

W mojej głowie zapadła wiele mówiąca cisza.

Jęknąłem z bezsilności.

Ona też jest człowiekiem! To jej nie mamy już obowiązku bronić?!

I tak jest umierająca, pomyślała Leah. Skróćmy tylko ten proces.

Miarka się przebrała. Oderwawszy się od Setha, skoczyłem na jego siostrę obnażając kły. Miałem już ją złapać za tylną lewą łapę, kiedy Sam wgrzył mi się w bok i szarpnął do tyłu.

Zawylem z bólu i gniewu, i błyskawicznie się odwróciłem.

Prześtań! rozkazał mi Sam głosem, którego nie można było pomylić z żadnym innym.

Ugięły się pode mną nogi. Zatrzymałem się raptownie, jedynie siłą woli powstrzymując się przed upadkiem.

- Sam przeniósł wzrok na Leę.

Nie wolno ci się na nim wyzywać, zakomenderował. Życie Belli to wysoka cena i w pełni zdajemy sobie z tego sprawę. Zabijanie ludzi jest wbrew wszelkim wyznawanym przez nas zasadom. To potworne, do czego zmuszają nas okoliczności. Będziemy długo cierpieć po tym, co wydarzy się dziś wieczorem.

Dziś wieczorem? powtórzył wstrząśnięty Seth. Sam, uważam, że powinniśmy to jeszcze przedyskutować. A przy najmniej skonsultować się ze starszą. Chyba nie mówisz serio. Naprawdę chcesz, żebyśmy teraz zaraz...

Nie stać nas teraz na to, żeby odnosić się do Cullenów z taką tolerancją, jak ty. Nie ma czasu na debatę. Możesz mieć inne zdanie, ale i tak zrobisz to, co ci każę.

Seth ugiął przednie łapy i opuszczył łeb ku ziemi - taka była siła dekretu Alfya.

Sam zaczął zataczać ciasne kręgi wokół naszej dwójki.

Potrzebna nam do tego cała sfera, Jacob, jesteś z nas najsilniejszy. Też musisz z nami pójść. Rozumiem, że będzie to dla ciebie trudne, więc twoim zadaniem będzie blokowanie Emmeta i Jaspera, bo to z kolei najsilniejsi z

Cullenów. Przydzielam ci Quila i Embry'ego. Co do... Ehm... Naszym głównym celem zajmie się kto inny.

Drżały mi kolana. Z wysiłkiem trzymałem się na wyprostowanych nogach, chociaż głos Alfya smagał moją wolę jak bicz.

Paul, Jared i ja skupiliśmy się na Rosalie i Edwardzie. Z tego, co przekazał nam Jacob, wynika, że przy Belli zastaniemy właśnie tych dwoje. W pobliżu mogą też być Carlisle i Alice, być może Esme. Zostawimy ich Brady'emu, Collinowi, Sethowi i Lei. Ktokolwiek znajdzie się w sytuacji, w której nikt nie będzie mu bronić dostępu do... Poczuliśmy wszyscy, jak sięga po imię Belli, ale w ostatniej chwili się reflektuje. ... dostępu do tej nienarodzonej istoty, niech zabije ją bez wahania. W tym wszystkim nie chodzi przecież o nic innego.

Chór warknięć wyrażających zgodę na strategię przywołał zbrzmiał niczym grzmot przetaczający się po polanie. Od rosnącego napięcia wszystkim zjeżyła się sierść. Bracia przyspieszyli kroku, a odgłosy ich łap odbijających się od podłoża przybrały na sile, bo wilki ryły teraz darń pazurami.

Tylko ja i Seth nie dołączaliśmy wciąż do pierścienia, za to tkwiliśmy w samym jego środku. Nie obnażyliśmy też kłów, a nasze uszy nie przywierały nam płasko do czaszek. Pod ciężarem rozkazu Alfya, Seth prawie że dotykał nosem ziemi. Dzięki łączącej nas więzi, czułem, jak bardzo cierpi zmuszony do zdradzenia Cullenów. Odkąd na jeden dzień stali się sojusznikami i miałem sposobność walczyć u boku Edwarda, stał się prawdziwym miłośnikiem wampirów.

Nie próbował jednak w żaden sposób stawiać oporu. Nie był w stanie, niezależnie od rozdierającego go bólu. Nie miał wyboru.

A ja, czy miałem jakiś wybór? Samiec Alfa z definicji był władcą absolutnym.

Sam jeszcze nigdy nie posunął się tak daleko. Wiedziałem, że w głębi duszy mężczy się, widząc jak Seth kłęka przed nim jak niewolnik przed panem. Gdyby nie był przekonany, że to jedyną słuszną rozwiązanie, do niczego by nas nie zmuszał. Kiedy znaleźliśmy wszystkie jego myśli, nie mógł przed nami kłamać. Naprawdę wierzył, że zamordowanie Belli i potwora, którego w sobie nosiła, to nasz święty obowiązek. Naprawdę wierzył, że nie ma czasu do stracenia. Wierzył w to do tego stopnia, że był gotowy za to zginąć.

Wylapałem, że zamierza zabić Edwarda samodzielnie, sądził bowiem, że zdolność wnikania w cudze umysły czy ni z Cullena najpoważniejszego przeciwnika. Był zbyt odpowiedzialny, by pozwolić zmierzyć się z nim kumulującym się nas.

Za drugiego w kolejności najgroźniejszego wampira uważał Jaspera i to z tego powodu przydzielił go mnie. Zakładał, że oprócz niego tylko ja mogę zwyciężyć taki pojedynek. Najłatwiejsze cele pozostawił młodszemu wilkowi i Lei. Drobną Alice nie stanowiła większego zagrożenia, skoro w naszym przypadku nie mogła opierać się na swoich wizjach, a walcząc z Cullenami przeciwko nowo narodzonemu, dowiedzieliśmy się, że Esme daleko do urodzonego zabójcy. Większe wyznaczenie miał stanowić Carlisle, ale jego pięta Achillesa było to, że brzydził się przemocą.

Siedząc jak Sam obmyślała taktykę pod takim kątem, żeby zapewnić każdemu członkowi sfery jak największe szanse na przeżycie, poczułem się jeszcze gorzej niż Seth.

Cały świat stanął na głowie. Jeszcze kilka godzin wcześniej o niczym tak nie marzyłem, jak o wyprawie watahy na Cullenów. Ale Seth miał rację. Nie byłem gotowy do tej konfrontacji. To nienawiść tak mnie zaślepiła. Nie pozwalałem sobie na żadne głębsze rozważania, bo wiedziałem, dokąd mnie doprowadzą, jeśli ugnę się rozsądkowi.

Carlisle Cullen. Myśląc o nim bez nienawiści, nie mogłem zaprzeczyć, że zabicie go byłoby zwykłym morderstwem. Miał dobre intencje. Był równie wartościową istotą, co każda z osób, które chcieliśmy chronić. Jeśli nie kimś od nich lepszym. Pozostali jego pobratymcy także zapewne nie zasługiwali na śmierć, ale byli mi bardziej obojętni. Nie znalazłem ich aż tak dobrze. To Carlisle musiałby walczyć sam z sobą, żeby nas zaatakować, nawet jeśli miałby zrobić to w samoobronie. To dlatego byliśmy zdolni go zabić - ponieważ miałby opory przed zabicciem nas, swoich przeciwników.

Ta cała akcja Sama... Wszystko we mnie krzychało: „Nie!”

I to nie tylko dlatego, że czułem się tak, jakby moi bracia mieli zabić nie Bellę, ale mnie samego. Albo jakbym miał popełnić samobójstwo.

Weź się w garść, Jacob, nakazał mi Sam. Najważniejsze jest dobro plemienia.

Sam, zaoponowałem, przecież myślałem się, kiedy chciałem ich wcześniej zaatakować.

Wtedy się myliłeś, ale teraz mamy powody do interwencji.

Zabrałem się na odwagę.

Nie pójdę z wami.

Zatrzymał się przede mną. Patrząc mi prosto w oczy, zaczął przeciągle warczeć przez zaciśnięte zębiska.

A właśnie, że pójdziesz, oświadczył głosem Alfya. Bijący od niego autorytet zdawał się palić mi skórę. Dziś wieczór nie będzie żadnych odstępstw od reguły. Pójdziesz z nami i z nami zasadzisz się na Cullenów. Razem z Quilem i Embrym zamieszacie Jasperem i Emmetem. Macie obowiązek chronić swój lud. Taka jest wasza rola. I wywiążcie się dziś z tego obowiązku.

Ugiąłem się, jakby na moich barkach spoczął jakiś ogromny ciężar. Chwilę później leżałem już przed Samem na brzuchu, bezwolny i upokorzony.

Zaden członek watahy nie mógł sprzeciwić się Alfie.

**Dwie pierwsze pozycje na mojej
prywatnej liście rzeczy,
których za nic w świecie
nie chciałbym zrobić**

Sam ustawiał już pozostałych w szyku bojowym, ale ja leżałem wciąż na ziemi. Embry i Quil czekali nade mną, aż wreszcie dojdę do siebie i przejmę nad nimi dowództwo.

Czułem w sobie rosnącą potrzebę, by się podnieść i ich poprowadzić, ale chociaż wiedziałem, że w końcu się jej poddam, zwałczałem ją w sobie uparcie, kuląc się i krzywiąc.

Embry jęknął mi cicho do ucha. Nie chciał myśleć słowami, bojąc się, że przypomni tym Samowi o moim istnieniu. Zrozumiałem, że namawia mnie, żebym wstał - chciał, żebyśmy jak najszybciej mieli już to wszystko za sobą.

Bał się jak każdy z nas - nie tyle o siebie, co o sforę jako całość. Nie wierzyliśmy, że wszyscy wyjdziemy z tego żywi. Kogo mielibyśmy stracić? Czyje myśli miały na zawsze zamilknąć? Czyją pograżoną w żalobie rodzinę mielibyśmy pocieszać następnego dnia rano?

Kiedy tak wsłuchiwałem się w lęki swoich towarzyszy, niepostrzeżenie stałem się jednym z nich, bo mój umysł dołączył wreszcie do tych wspólnych rozważań. Machinalnie podniosłem się z ziemi i otrząsnąłem się.

Embry i Quil odetchnęli z ulgą. Quil trzącił mój boknosem.

Myślami wybiegał ku czekającemu nas wyzwaniu, ku naszej misji. Zaczęliśmy razem wspominać nocne treningi z Cullenami sprzed kilku miesięcy, kiedy to przyglądaliśmy się, jak krwio pijcy szykują się do starcia z nowo narodzonymi. Emmett był najsilniejszy, ale większym problemem miał być dla nas Jasper. Też nie brakowało mu siły, ale przede wszystkim błyskawicznie się przemieszczał. Był maszyną do zabijania. Ile stuleci ćwiczył się w tej sztuce? Dostatecznie dużo, by dla swoich pobratymców być autorytetem w tej dziedzinie.

To ja mogę dowodzić, jeśli wolalibyś tylko pomagać, zaoferował się Quil.

W jego myślach wychwytywałem więcej ekscytacji niż u większości pozostałych braci. Rwał się do tego, żeby sprawdzić swoje własne umiejętności w walce z mistrzem, przyglądając się na treningach, jak Jasper instruuje Cullenów i nadał mu nie przeszło. Dla niego to miał być konkurs, a świadomość, że może w tym konkursie stracić życie, nie osłabiała bynajmniej jego zapału. Paul był podobnie nastawiony do wyprawy, a także Collin i Brady - dzieciaki, które nie brały jeszcze udziału w żadnej bitwie. Gdyby naszymi przeciwnikami mieli nie być jego przyjaciele, Seth najprawdopodobniej też by się tak zachowywał.

Jake? Quil dał mi sółkę w bok. To jak będzie? Jak chcesz to rozegrać?

Pokręciłem tylko głową. Nie mogłem się na niczym skoncentrować - przymus słuchania rozkazów Alfya zrobił ze mnie marionetkę. Czułem, że to nie ja, tylko wola Sama porusza mięśniami w moich łapach: lewa do przodu, prawa do przodu...

Seth włókł się za Collinem i Bradym. W jego drużynie dowodziła Leah. Planując akcję z młodzikami, zupełnie nie brała brata pod uwagę, i widziałem, że najchętniej po prostu by mu odpuściła. W jej postawie było wiele z matki. Najbardziej życzyłaby sobie, aby Sam odesłał po prostu Seta do domu. Do chłopaka nic z jej rozterek jednak nie docierało. Tak jak ja, próbował przywłączyć do pociągających za jego kończy sznurków.

Może gdybyś przestał się opierać... podszeptnął mi Embry.

Po prostu skup się naszym zadaniu, wtrącił się Quil. Dostali nam się ci najwięksi. Super. Poradzimy sobie. Damy im popalić. Nałręcał się jak zawodnik przed ważnym meczem.

Wiedziałem, że byłoby to najprostsze wyjście z sytuacji - nie myśleć o niczym innym, oprócz tego, żeby zabić. Nietrudno mi było sobie wyobrazić, że rzucam się na Emmetta czy Jaspera. Nie raz miałem na to ochotę. Uważałem ich za swoich wrogów przez bardzo długi czas i nic nie stało na przeszkodzie, żebym znowu miał zacząć ich tak traktować.

Musiałbym tylko zapomnieć, że chronili teraz tę samą osobę, którą chronilibyśmy i ja, gdyby tylko było to możliwe. Musiałbym zapomnieć, że tak właściwie, nie było żadnego powodu, dla którego miałbym chcieć ich pokonać...

Jake, ostrzegł mnie Embry, nie zapominaj, po czyjej jesteś stronie.

Szuralem łapami, sprzeciwiając się każdemu pociągnięciu sznurka na tyle, na ile mogłem.

Nie ma sensu z tym walczyć, szepnął Embry.

Miał rację. Czy tego chciałem, czy nie, miałem w końcu podporządkować się Samowi, chyba że ten łaskawie zmieniłby zdanie. Ale na to nic, rzecz jasna, nie wskazywało.

Zresztą, to, że Alfa mógł nami dyrygować, było w pełni uzasadnione. Nawet taka zgrana sfera jak nasza nie byłaby liczącą się siłą bez przywódcy. Żeby działać efektywnie, musieliśmy poruszać się i myśleć jak jeden organizm. A jeden organizm mógł mieć tylko jedną wolę.

Tylko co, jeśli Sam się mylił? Nic nie można było na to poradzić. Nikt nie mógł mu się przeciwstawić.

No, z jednym wyjątkiem...

I nagle mnie oślniło. W mojej głowie pojawiła się myśl, którą zawsze od siebie odrzucałem - ale teraz, ze spętanymi łapami, powitałem ją ulgą. Z czymś więcej niż ulgą - z dziłą radością.

Nikt nie mógł przeciwstawić się Alfie - nikt, z wyjątkiem mnie.

Nie, nie spłynęła na mnie żadna tajemna wiedza. Ten potencjał miałem w sobie od chwili, gdy obudziły się we mnie moce moich przodków, ale postanowiłem z niego nie korzystać.

Nigdy nie chciałem dowodzić wataha. Teraz też nie zamierzałem. Nie miałem ochoty brać odpowiedzialności za los swoich kompanów. Sam sprawdzał się w tej roli o wiele lepiej, niż ja miałem kiedykolwiek.

Ale dziś wieczór podjął złą decyzję.

A ja nie urodziłem się po to, by padać przed nim na kolana.

Ledwo pogodziłem się ze swoim przeznaczeniem, opadły więzy.

Wzbierało we mnie nowe uczucie - poczucie swobody, ale i dziwnej, stłumionej mocy. Stłumionej, bo swoją moc samiec Alfa czerpał ze sfory, a ja takiej nie posiadałem. Przez sekundę czułem się przerażenie samotny.

Nie miałem już własnej sfory.

Ale kiedy ruszyłem w stronę Sama, który namawiał się z Paulem i Jaredem, szedłem już wyprostowany i pewny swojej siły. Słyszac, że się zbliżam, odwrócił się do mnie przodem i ściągnął brwi.

Nie pójde z wami, powtórzyłem.

W moich myślach rozbrzmiewał dumnie głos Alfya.

Sam od razu zorientował się, co się stało. Z jękiem cofnął się o krok.

Jacob, wykruszył szokowany, co ty, u licha, narobiłeś?

Nie będę słuchał twoich rozkazów. Nie, kiedy zamierzasz popełnić zbrodnię.

Wpatrywał się we mnie oszołomiony.

Wolisz... wolisz naszych wrogów od swojego plemienia?

To nie tak Potrząsnąłem łbem, żeby trafniej dobrać słowa. Oni nie są naszymi wrogami. Nigdy nimi nie byli. Teraz już to wiem. Dopiero teraz, kiedy przestałem wreszcie myśleć tylko o tym, jak ich wymordować, i poważnie się nad tym wszystkim zastanowiłem.

Nie chodzi ci o nich, wypomniał mi, tylko o Bellę. Nigdy nie była ci pisana, nigdy nie chciała z tobą być, ale nadał uparcie niszczyć sobie życie z jej powodu!

Była to prawda bolesna, ale jednak prawda. Biorąc głęboki wdech, wziąłem sobie słowa Sama do serca.

Może i masz rację. Ale to, co dla nas na dzisiaj planujesz, zniszczy nas wszystkich. Ci z nas, którzy przeżyją to starcie, już zawsze będą musieli żyć ze świadomością, że z zimną krwią dokonali morderstwa.

Musimy chronić nasze rodziny!

Wiem, co postanowiłeś. Ale mnie to już nie dotyczy. Nikt już nie będzie podejmował za mnie takich decyzji.

Jacob, nie możesz zwrócić się przeciwko swoim bliskim!

Przemówił do mnie podwojony m echem głosem Alfya, ale jego magia już na mnie nie działała. Stracił nade mną kontrolę. Mimo to zacisnął zęby, starając wymusić moje posłuszeństwo.

Spojrzałem prosto w jego rozognione gniewem oczy.

Potomek Ephraima Blacka nie urodził się po to, żeby wykonywać polecenia potomka Leviego Uleya.

A więc do tego doszło? Zjeżył sierść na karku i obnażył kły. Paul i Jared, warcząc groźnie, przyczaili się u jego boków. Nawet jeśli mnie pokonasz, sfera i tak za tobą nie pójdzie!

Teraz to ja cofnąłem się zaskoczony.

Sam, oszalałeś? Wcale nie chcę z tobą walczyć.

Tak? To jakie masz plany? Nie ustąpię dobrowolnie, żebyś kosztem plemienia mógł bronić wampirzego bękartu.

Nikt ci nie każe ustępować.

Jeśli wydasz im rozkaz, żeby za tobą poszli...

Nigdy nie niżę się do odbierania komukolwiek wolnej woli.

Skulił się, gdy skrzytykowałem nie wprost jego postępowanie, ale zaraz potem zrobił krok do przodu, tak że nasze pyski znalazły się zaledwie kilka centymetrów od siebie. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że jakiś czas temu go przerosłem.

W sforze może być tylko jeden przywódca. Wataha wybrała mnie. Czy dziś wieczorem zamierzasz rozszarpać nas na strzępy? Zwróć się przeciwko swoim braciom? Czy oprzytomiejesz i do nas wrócisz?

Władzy mego słowie ukryta była la komenda, ale byłem na nie odporny. W moich żyłach płynęła czysta krew Alfya.

Odkryłem kolejny powód, dla którego Alfa był zawsze tylko jeden. Moje ciało zaczęło reagować na rzucone mi przez Sama wyzwanie. Coraz silniej odczuwałem potrzebę, by zawałczyć o to, co mi się teoretycznie należało. Najbardziej prymitywna, wilcza część mojego „ja” szykowała się do pojedynku, w którym stawką była władza.

Całą energię skupiłem na ujarzmieniu instynktu. Atakowanie Sama nie miało dla mnie żadnego sensu. Chociaż go odrzuciłem, uważałam go wciąż za brata.

W sforze może być tylko jeden przywódca - nie kwestionuję tego. Chcę po prostu pójść swoją drogą.

I dołączyć do Cullenów?

Wzdrygnąłem się.

Nie wiem, Sam. Ale wiem jedno...

Teraz to jamu ugięły się kolana na dźwięk mojego głosu. Potrafiłem wywrzeć na niego większy wpływ niż on wcześniej na mnie. Działo się tak dlatego, że zgodnie z zasadami dziedziczności to ja powinienem od zawsze dowodzić nim.

Wiem, że stanę pomiędzy wami a Cullenami. Nie będę się beczynie przyglądał, jak mordujecie niewinnych... ludzi. Trudno mi było tak myśleć o wampirach, ale taka była prawda. Sfera nie zasłużyła sobie na to, by upaść tak nisko, Sam. Poprowadzą we właściwym kierunku.

Odrzuciłem się do niego tyłem. Powietrze wokół mnie rozdarło chóralne wycie. Odbiłem się od ziemi i rzuciłem się pędem przez las, zostawiając za sobą wywołane przez siebie poruszenie. Liczyła się każda sekunda. Na szczęście, z całej sfory tylko Leah miała szansę mnie doścignąć i to jedynie wtedy, gdyby wystartowała równo ze mną.

Przerażliwe zwierzęce odgłosy mąciły wciąż nocną ciszę, ale na szczęście słyszałem je coraz słabiej. Jeszcze mnie nie gonili.

Musiałem ostrzec Cullenów, zanim wataha miała się zgrać i mnie powstrzymać. Gdyby krwio pijcy byli przygotowani do starcia, być może Sam uznałby, że jednak należałoby wszystko przemysleć. Biegłem ku białemu domowi, którego wciąż nienawidziłem, zostawiając swój własny dom za sobą. Swoją był własny dom. I dopiero co się go wyparłem.

Dzisiejszy dzień zaczął tak samo jak każdy inny: o wschodzie słońca wróciłem w deszczu z patrolu, zjadłem śniadanie z Billym i Rachel, oglądałem jakieś głupoty w telewizji, sprzeczałem się z Paulem... Jak to się stało, że przeszedł w ten surrealistyczny kosmos? Jak to się stało, że wszystko nagle się poplątało i skończyłem zupełnie sam jako karykatura Alfya - wilłak bez własnej sfory, za to preferujący wampiry?

Z zamyślenia wyrwał mnie dźwięk, którego tak się obawiałem gdzieś za mną, ale coraz bliżej, uderzały miękko o ziemię czyjeś potężne łapy. Zwiększyłem tempo, ruszając przez ciemny las niczym rakietą. Na dobrą sprawę, nie musiałem nawet dotrzeć do samego domu - wystarczyłoby, że Edward odczytałby ostrzeżenie w moich myślach. Leah nie była w stanie zatrzymać mnie w pojedynkę.

A potem wychwyciłem nastrój panujący w głowie ścigającego mnie wilka. Basior nie był wściekły... tylko pełen entuzjazmu. Nie gonił mnie po to, żeby wgrzyźć mi się w kark... tylko po to, żeby do mnie dołączyć.

Na moment zgubiłem rytm, ale szybko doszedłem do siebie.

Zaczekaj! Nie mam takich długich nóg, jak ty!

SETH?! Co ty najlepszego wyprawiasz?! WRACAJ DO DOMU!

Nie odpowiadał, ale i nie zawrócił, bo nadal czułem za sobą jego podekscytowanie. Potrafiłem patrzeć na świat jego oczami, podobnie jak on mógł moimi. Dla mnie pograżony w mroku las prezentował się posepnie. Dla niego trwał cudowny wieczór pełen nadziei.

Nie wiesz jak się kiedy, musiałem mimowolnie zwolnić, bo zniacka znalazł się tuż obok mnie.

Seth, nie żartuję! To nie miejsce dla ciebie! Spadaj! Już cię tu nie ma!

Chuderlawy, piaskowy wilk ty lko przychnął.

Jestem z tobą, Jacob. Uważam, że masz rację. Nie mam zamiaru słuchać Sama, kiedy...

Już ja ci dam nie słuchać Sama! Bierz swoją włochatą dupę w troki i wracaj do La Push, ale to już!

Nie.

Wracaj do domu!

Czy to rozkaz?

Jego słowa natychmiast mnie zatrzymały. Hamując, zostawiłem za sobą cztery wyryte pazurami w błocie brudny.

Nikogo do niczego nie zmuszam. Powtarzam tylko to, co już sam dobrze wiesz.

Usiadł koło mnie.

Powiem ci, co wiem - wiem, że w mojej głowie zrobiło się nagle jakoś tak cholernie cicho. Co, sam tego nie zauważyłeś?

Zamrugalem, zaskoczony. Machając nerwowo ogonem, uznosł mi się, co miał tak naprawdę na myśli. Wcale nie było cicho - przynajmniej dla kogoś postronnego. Daleko, na zachód od nas, nadal brzmiały przeciągłe

wycia.

Oni nadal są wilkami, powiedział Seth.

Nie trzeba mi było o tym przypominać. Byli przecież w gotowości bojowej. Mieli używać łączącej ich więzi do tego, by wiedzieć, co się działo z każdej strony. Ale nie słyszałem myśli żadnego z nich. W mojej głowie rozbrzmiewał tylko głos Seta.

Wygląda na to, że poszczególne sfory nie mogą się w ten sposób z sobą kontaktować. No cóż, nasi przodkowie nie mieli się jak o tym dowiedzieć, prawda? Nigdy nie było dwóch sfor na raz. Zawsze brakowało wilków, żeby starczyło na dwie sfory. Wow. Ale cicho. Aż mi tak jakoś dziwnie. Ale właściwie to całkiem fajne, co nie? Ci cali Ephraim, Quil i Levi to musieli mieć łatwe życie. Zamiast tego okropnego jazgotu, tylko trzy głosy. A dwa to jeszcze lepiej.

Zamknij się, Seth.

Tak jest, szefie.

Prześtań! Nie ma żadnych dwóch sfor. Jest JEDNA sfera i do tego, na doczepkę ja. To wszystko. Więc zmykaj do domu.

Jeśli nie ma dwóch sfor, to czemu słyszymy tylko siebie nawzajem i nikogo innego? Sądzę, że nie można lekceważyć tego, co się wydarzyło, kiedy wypiąłeś się na Sama. Zaszła wtedy jakaś zmiana. A potem okazało się, że mogę pójść za tobą, i tego też nie można lekceważyć.

Coś w tym jest, przyznałem. Ale skoro wszystko mogło się tak nagle zmienić, to równie dobrze wszystko może lada chwila wrócić do normy.

Seth podniósł się i zaczął szybkim krokiem iść na wschód.

Nie mamy teraz czasu się nad tym zastanawiać. Musimy dotrzeć do Cullenów przed Samem.

W tym punkcie akurat się z nim zgadzałem. Nie miałem czasu się kłócić. Pognałem, dbając jednak o to, żeby mógł za mną nadążyć. Deptał mi po piętach, trzymając się mojej prawej strony, tam, gdzie, zgodnie z tradycją, było miejsce drugiego basiora watahy.

Mogę wybrać inny szyk pomyślał, zwieszając odrobinę głowę. Nie poszedłem za tobą, bo liczyłem na awans.

A biegnij sobie, jak chcesz. Mi tam wszystko jedno.

Nie dochodziły do nas odgłosy pogoni, ale obaj w tym samym momencie trochę przyspieszyliśmy. No to miałem kłopot. Jeśli nie mogłem już podsłuchiwać myśli sfory, nie na wiele miałem się Cullenom przydać. Miałem wiedzieć o zbliżającym się zagrożeniu tyle samo, co oni.

Będziemy patrolowali okolice, zaproponował Seth.

A co, jeśli chłopaki nas zaatakują? Ściągnąłem brwi. Rzucisz się na swoich braci? Na swoją rodzoną siostrę?

No, nie... Ty lko podniosę alarm i się wycofam.

Okej, brzmi nieźle. Ale co potem? Nie wydam ci się, żebyś był w stanie...

Wiem. Ja też nie. Nie był już taki pewny siebie. Ale będzie im tak samo trudno się przemóc jak nam. Może to wystarczy, żeby ich zatrzymać. No i do tego jest ich teraz tylko osiemoro.

Ech, Seth, prześtań być taki... Musiałem trochę pomyśleć, żeby dobra odpowiedź. Prześtań być takim niepoprawnym optymistą, dobra? Działasz mi na nerwy.

Nie ma sprawy. Mam zacząć żreć i rozpaczac, czy po prostu się zamknąć?

Po prostu się zamknij.

Już się robi.

Naprawdę? A chyba coś właśnie usłyszałem.

Nareszcie zamilkł na dobre.

Przebiegliśmy szosę i znaleźliśmy się w lesie otaczającym dom Cullenów. Czy Edward mógł nas już tu usłyszeć?

Może powinniśmy powtarzać sobie w myślach coś w stylu: „Mamy pokojowe zamiary?”

Skoro tak uważasz.

Edward? odezwał się nieśmiało. Edward, jesteś tam? Kurczę, czuję się jak idiota.

Potwierdzam, brzmi to idiotycznie.

Myślisz, że nas słyszysz?

Tak sądzę. Od domu dzieliło nas już tylko nieco ponad kilometr. Cześć, Edward. Jeśli mnie słyszysz, przekaż pozostałym, żeby ustawili wozy w kole. Zbliżają się Indianie!

Ale to nie o nas chodzi. My jesteśmy po waszej stronie, dodał Seth.

Mnięliśmy ostatnie drzewa i wypadliśmy na ich wielki trawnik. Okna domu były ciemne, ale jego mieszkańcy bynajmniej się nie wynieśli. Edward stał na werandzie pomiędzy Emmettem a Jasperem. W słupym świetle ich skóra była biała jak śnieg.

- Jacob? Seth? Co się dzieje?

Zwolnilem i cofnąłem się pod las. Miałem wrażenie, że płonie mi gardło, tak ostro był ich zapach odbierany przez wilczy nos. Seth zaskowywał cicho. Przez chwilę się wahał, ale w końcu nie wytrzymał i do mnie dołączył.

Aby odpowiedzieć Edwardowi na jego pytanie, celowo przypominałem sobie ze szczegółami swoją konfrontację z Samem, zaczynając od końca, tak jakby przewijał film na wideo. Seth myślał o wydarzeniach ostatniej godziny wraz z mną, wypełniając luki i pokazując poszczególne sceny z innej perspektywy. Zatrzymaliśmy się na wymianie zdań o „tym czyms”, bo Edward syknął gniewnie i dał susa z werandy na trawę.

- Chcą zabić Belle?

Mówił tak płaską intonacją, że Emmett i Jasper, którzy nie słyszeli naszej relacji, wzięli jego pytanie za zdanie oznajmujące. W gniewnie oka zajęli pozycje u boków Edwarda, gotowi skoczyć nimi do gardła.

Ej, co wy? pomyślał Seth, robiąc kilka kroków do tyłu. Em, Jazz - nie oni! Reszta sfory. Postanowili nas zaatakować.

Bracia wyprostowali się. Jasper nie spuszczał z nas oczu, ale i Emmett spojrział na Edwarda.

Zaatakować? - powtórzył. - Ale po co?

Bo mają ten sam problem, co ja - syknął Edward. - Tyle że chcą go rozwiązać w nieco brutalniejszy sposób. Dzwonił do Carlisle'a! Niech jak najszybciej wracają z Esme do domu.

Jęknąłem głucho. A więc byli rozproszeni!

- Są niedaleko - poinformował mnie swoim wypranym z emocji głosem maszyny.

Pójdę na zwiad, oznajmił Seth. Zrobię rundkę od zachodu.

- Jak sądzisz, czy grozi ci jakieś niebezpieczeństwo? - spytał Edward.

Ja i Seth popatrzyliśmy po sobie.

Raczej nie, pomyśleliśmy. Ale zaraz dodałem: Może to ja powinienem pójść się rozejrzeć. Tak na wszelki wypadek...

Jakby co, to mi będzie łatwiej ich udobruchać, stwierdził Seth. W sforze mają mnie za dzieciaka.

Ja też cię mam za dzieciaka.

No to zmykam. Dogadaj się z Cullenami, co i jak.

Obrócił się na pięcie i pobiegł w las. Pozwoliłem mu odejść. Nie zamierzałem mu rozkazywać.

Zerknąłem na Edwarda. Stał pośrodku polany i przyglądał mi się. Usłyszałem, że Emmett rozmawia z kimś szeptem przez telefon. Jasper wpatrywał się w punkt, w którym Seth zniknął w ciemnościach.

Na werandzie pojawiła się zniacka Alice. Przez dłuższą chwilę, zaniepokojona, mierzyła mnie wzrokiem, po czym błyskawicznie podeszła do Jaspera. Domyśliłem się, że Rosalie jest w środku z Bellą. Nadal strzegła jej jak oka w głowie - tyle że nie przed tym zagrożeniem, przed którym było trzeba.

- To nie pierwszy raz, kiedy mam u ciebie dług wdzięczności - powiedział Edward. - Sam z siebie nigdy bym cię nie poprosił, żebyś aż tak się poświęcała.

Pomyślałem o prośbie, z jaką zwrócił się do mnie po południu. Gdy w grę wchodziła Bella, nie istniały dla niego żadne granice. Poprosiłbyś, poprosił. Zastanowiwszy się nad tym przez moment, skinął głową.

- Chyba rzeczywiście masz rację.

Westchnąłem ciężko.

Poza tym, może to i nie pierwszy raz, ale nigdy nie poświęcałem się ze względu na ciebie.

- Zgadza się - mruknął.

Przepraszam, że z tego mojego przekonywania nic nie wyszło. Uprzedzałem, że Bella nie będzie chciała mnie słuchać.

- To nie twoja wina. Też w to nie wierzyłem. Ale sam rozumiesz...

Musiałeś spróbować. Jasne. A tak w ogóle, co u niej? Polepszyło jej się choć trochę?

Przygarbił się i spuścił oczy.

- Jest coraz gorzej - wyszeptał.

Nie chciałem nawet o tym myśleć. Byłem wdzięczny Alice, że zabrała głos:

- Jacob, byłbyś tak dobry i zmienił się w człowieka? To trochę denerwujące nie wiedzieć, co jest grane.

Pokręciłem przecząco głową. Edward pozostawił z wyjaśnieniem:

- Musi pozostać w kontakcie z Sethem.

- W takim razie, może ty byś był łaskaw wytłumaczyć mi, co się dzieje?

Zdał jej oszczędny raport, nadal nie dając po sobie poznać, jak to wszystko przeżywa:

Sfera uważa, że stan Belli to także ich problem. Wilki podejrzewają, że to... to, co Bella w sobie nosi, może w niedalekiej przyszłości zagrażać ich najbliższemu. Czują się w obowiązku zlikwidować to zagrożenie. Jacob i Seth sprzeciwili się Samowi i opuścili watahy, żeby nas ostrzec. Pozostali planują napaść na nas jeszcze dziś wieczorem.

Alice syknęła i cofnęła się odruchowo. Emmett i Jasper wymienili spojrzenia, a potem zerknęli w stronę ściany lasu.

Ani żywego ducha, zameldował Seth. Na zachodzie bez zmian.

Może chcą nas zająć z drugiej strony.

To zrobię pełną pętlę.

Carlisle i Esme są już w drodze - oznajmił Emmett. - Będą za górą dwadzieścia minut.

Powinniśmy omówić taktykę - powiedział Jasper.

Edward skinął głową.

Wejdzmy do środka.

Idę robić rundki z Sethem. Umówmy się, że jeśli będę za daleko żebyś mógł mi czytać w myślach, to sygnałem ostrzegawczym będzie moje wycie.

- Dobrze.

Rozglądając się na wszystkie strony, jedno po drugim zniknęli w domu. Zanim drzwi się zamknęły drzwi, odwróciłem się i ruszyłem na zachód.

Na razie nic, pomyślał Seth.

Zajmę się granicą od zachodu, okej? Tylko dawaj gazu - nie damy im się prześliznąć.

Posłusznie ostro przy spieszył.

Przez kilkanaście minut okrążyliśmy dom w milczeniu. Wsluchiwałem się w słyszane przez niego dźwięki na wypadek, gdyby się zagapił.

Hej, zawołał po kwadransie. Coś pędzi prosto na mnie!

Już leczę!

Nie, zostań tam, gdzie jesteś. To nie sfera. To nie te odgłosy.

Seth...

Wampiry, przerwał mi, wyłapawszy niesioną wiatrem woń. Założę się, że to Carlisle.

Seth, lepiej się wycofaj. To może być ktoś inny.

Nie, to oni. Rozpoznaję ich zapach. Czekał, tylko się zmienię i powiem im, co jest grane.

Seth, to chyba nie jest najlepszy...

Ale już go nie było.

Mocno podenerwowany, przemierzałem dalej obraną przez siebie trasę. Super byłoby że mnie przywódcą, gdyby coś mu się stało już pierwszego wieczoru! Nie mówiąc o tym, że Leah zrobiłaby ze mnie mielone.

Na szczęście się nie rozgadał. Nie minęły dwie minuty, a już usłyszałem w głowie jego głos.

Spoko, to Carlisle z Esme. Żebyś widział ich miny, jak mnie zobaczyli! Są już pewnie w domu. Carlisle każe ci podziękować.

Facet jest w porządku.

To jeden z powodów, dla których myślę, że stoimy po właściwej stronie.

Mam taką nadzieję.

Jake, czemu wciąż masz doła? Założę się, Sam i reszta wcale się dzisiaj nie pojawiają. Sam ma swój rozum. Nie jest samobójcą.

Westchnąłem. Właściwie to było mi wszystko jedno.

Och. Rozumiem. Sam to nie jest twój największy problem.

Dobiegłem do końca swojego odcinka i zawróciłem - wiedziałem gdzie, bo czuć było tam zapach Setha. Razem robiliśmy pełne koło, nie pozwalając nikomu się prześliznąć.

Myślisz, że Bella i takumrze, dodał Seth szeptem.

Tak, tak właśnie myślę.

Biedny Edward. Pewnie szaleje z rozpacz.

I to dosłownie.

Na dźwięk jego imienia z zakamarków mojej pamięci wypłynęły na powierzchnię związane z nim obrazy. Seth przyglądał im się wstrząśnięty.

O, kurczę! No, nie! Jacob, chyba zartujesz! Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?! Nie wierzę! Obiecałeś mu, że go zabijesz?! Co to ma być?! Musisz mu odmówić!

Był taki poruszony, że zaczął przy tym wyć.

Zamknij się! Zamknij się, idioto! Cullenowie pomyślą sobie, że zbliża się wataha!

Cholera.

Rzuciłem się pędem w kierunku domu.

Tylko nie biegnij za mną! Rób teraz pełną pętlę!

Seth wściekł się, ale miałem go gdzieś.

Falszywy alarm, falszywy alarm, pomyślałem, gdy tylko znalazłem się dostatecznie blisko. Przepraszam. Seth jest jeszcze młody. Zapomniało mu się. Nikt nie atakuje.

Kiedy dotarłem do polany, zobaczyłem, że Edward wygląda przez ciemne okno. Musiałem upewnić się, czy dostał moją wiadomość.

Nikogo tam nie ma - już wiesz?

Skinął głową.

To, że nasza metoda porozumiewania się działała tylko w jedną stronę, trochę komplikowała nam życie, ale z drugiej strony jemu akurat wolałbym nie siedzieć w głowie.

Miałem już odejść, kiedy Edward zerknął nagle za siebie, jakby ktoś go zawołał. Zauważyłem, że przeszedł go potężny dreszcz. Nie patrząc na mnie, odgonił mnie gestem dłoni, po czym znikł mi z oczu.

Co się stało?

Nie liczyłem na to, że mi odpowie.

Usiadłem pośrodku trawnika i nastawiłem uszu. Miałem tak dobry słuch, że niemalże wychwytywałem, jak kilkanaście kilometrów dalej Seth stąpa miękką po leśnej ściółce. Grube mury domu Cullenów nie stanowiły dla mnie żadnej przeszkody.

- Falszywy alarm - wyjaśniał komuś Edward swoim nienaturalnie monotonnym głosem. - Coś innego wyprowadziło Setha z równowagi i zapomniał, że czekamy na umówiony sygnał. Jest jeszcze bardzo młody.

- Jak to miło, że pilnują nas przedszkolaki - zaszczuł ktoś basem. Pomyślałem, że to Emmett.

- Wyświadczyli nam dzisiaj ogromną przysługę - upomniał go Carlisle. - W dodatku musieli zapłacić za to wysoką cenę.

- Wiem, jestem tylko zazdrośny. Też chciałbym tam być.

- Seth wątpi, żeby Sam miał zaatakować po tym, co się wydarzyło - powiedział Edward. - Raz, że nas uprzedzono, dwa, że stracili dwóch członków sfory.

- A co sądzi Jacob? - spytał Carlisle.

- Nie jest aż takim optymistą.

Zapadła cisza. W tle coś jakby ciekło, ale nie mogłem dojść, co to takiego. Domyślałem się za to bez trudu, który ze słyszanych przez mnie oddechów należy do Belli. Oddychała o wiele głośniejszymi od pozostałych, chrapliwie, z wyraźnym wysiłkiem i co chwila w innym rytmie. Słyszałem także, jak bije jej serce - moim zdaniem niepokojąco szybko. Porównywałem je jednak z swoim własnym, a nie byłem taki pewien, czy miało to jakiś sens. Normalny to ja nie byłem.

- Nie dotykaj jej! Obudzisz ją! - szepnęła Rosalie.

Ktoś westchnął.

- Rosalie... - mruknął Carlisle.

- Tylko nie zaczynaj! Pozwoliłyśmy ci wcześniej postawić na swoim, owszem, ale to wszystko, na co wyraziłyśmy zgodę, zrozumiano?

Hm, czyli i Bella, i Rosalie mówiły teraz w liczbie mnogiej. Ciekawe. Jakby założyły własną sferę.

Zaczęłam krążyć nerwowo po polanie, z każdym kółkiem przybliżając się nieco do domu. Jego ciemne okna działały na mnie niczym telewizor w nudnej poczekalni - nie sposób było na dłużej oderwać od niego oczu.

Po kilku minutach i kilku zaliczonych kółkach, mijając werandę, szorowałem już ją futrem. Mogłem zaglądać teraz przez okna do środka, ale niewiele było widać: górną część ścian, fragmenty sufitu i zwisający z niego zyrandol.

A może, gdybym tak wyciągnął szyję? I jedną łapą podparł się o krawędź werandy...

Spodziewałem się, że przestronny salon Cullenów będzie prezentował się tak samo jak popołudniu, ale jego wystrój zdążył zmienić się do tego stopnia, że z początku zgłupiałem. Wydało mi się, że jakimś cudem pomyliłem pokój.

Ściana szła od strony rzeki znikła - jej następczyni wyglądała na metalową. Wszystkie meble i sprzęty odciążono na bok, żeby nie zawadzały, tak że pośrodku pustej przestrzeni pozostała jedynie Bella, skulona dziwnie wąskim łóżku. Nie było to zwyczajne łóżko, tylko takie na kółkach, z metalową ramą, jak w szpitalu. Bella była też, jak prawdziwy pacjent, podłączona do różnych czujników, a w bladą skórę miała powbijane różne rurki. Czujniki migały, ale nie wydawały żadnych dźwięków. Odgłos ciekającej cieczy okazał się dochodzić z kropelówki - z woreczka na specjalnym stojaku sączył się nieprzeźroczysty, białawy płyn.

Bella spała, ale niespokojnie. W pewnym momencie zakrzuszyła się troszeczkę. Edward z Rosalie zaraz się do niej rzucili, żeby sprawdzić, czy nie jej nie jest. Wstrząsnął nią pojedynczy dreszcz i przeciągle jęknęła. Rosalie pogłaskała ją z troską po czole.

Edward zeszywniał. Stał tyłem do mnie, więc nie mogłem ocenić wyrazu jego twarzy, ale zrobił to Emmett i natychmiast zastąpił bratu drogę.

- Nie dzisiaj, Edward - powiedział, kładąc mu obie dłonie na piersi. - Dzisiaj mamy inne zmartwienia.

Edward obrócił się na pięcie. Nasze oczy się spotkały. Znowu miał minę człowieka płonącego na stosie.

Szybko wróciłem na cztery łapy i czmychnąłem w las, do Setha. Nie chciałem tam zostać ani chwili dłużej. Nie chciałem na to patrzeć.

Z godziny na godzinę z Bellą było coraz gorzej.

**Do niektórych ludzi po prostu
nie dociera, że nie są gdzieś
mile widziani**

Byłem na krawędzi snu.

Słońce weszło za chmurami przed godziną - las nie był już czarny, tylko szary. Seth padł koło pierwszej, ale obudziłem go o świcie i zrobiliśmy zmianę warty. Chociaż patrolowałem terytorium Cullenów całą noc, miałem kłopoty z zaśnięciem, bo nie umiałem na dość długo się wyłączyć, ale pomagało mi wsłuchiwanie się w rytmiczny bieg mojego kompana. Raz, dwa - trzy, cztery. Raz, dwa - trzy, cztery. Bum, bum - bum, bum. I tak bez końca. Głuche uderzenia łap odbijających się od wilgotnego podłoża. Trasa, której się trzyaliśmy, zamieniała się już powoli w wydeptaną ścieżkę.

Seth nie myślał o niczym, może o zieleni i szarości lasu, to relaksowało. Aby nie dopuszczać do siebie bolesnych wspomnień, pozwoliłem, by moją głowę wypełnił ciąg odbieranych przez niego obrazów rozmazane od pędu płamy w różnych odcieniach szarości i zieleni.

Jeszcze minutka, a jaknie byłbym zasnął.

Ale wtedy ciszę poranka rozdarło nagle przeraźliwe wycie.

Jednym ruchem zerwałem się z ziemi. Jeszcze zanim wyprostowałem tylne łapy, przednie były gotowe do sprintu. Ruszyłem ku miejscu, w którym zamarł Seth, nasłuchując jego uszami, jak coś czworonożnego mknie w naszym kierunku.

Cześć, chłopaki.

Seth zaskowy czał z szoku. A potem przyjrzelśmy się uważniej myślom przybysza i jak na komendę obaj warknęliśmy.

O, nie! jęknął Seth. Tylko nie to! Spadaj, Leah!

Kiedy znalazłem się koło niego, odrzucił właśnie łeb w tył, gotowy zawyc po raz drugi - tym razem, żeby się pożalić.

Stul pysk, baranie!

No tak Uch! Uch! Uch! Zaczął ryć pazurami w ziemi, pozostawiając w niej głębokie ślady.

Wśród drzew zamajaczyło coś szarego - to Leah przedzierała się zwinnie przez zarośla.

Seth, przestań jocyć. Zachowujesz się jak małe dziecko.

Warknąłem na nią. Uszy przywarły mi płasko do czaszki. Leah odruchowo cofnęła się o krok.

Co ty najlepszego wyprawiasz? spytałem.

Westchnęła ciężko.

To chyba oczywiste, prawda? Szczęknęła krótko, co oznaczało, że zaśmiała się sarkastycznie. Jestem teraz renegatem, tak jak wy. Chcę dołączyć do tej waszej żalosznej sfory. Do klubu wampirych psów obronnych.

Nie ma mowy. Zawracaj, zanim przegryzę ci ścięgno.

Juz widzę, jak mnie doganiasz. Wy szczrzyła zębiska w uśmiechu i spinając mięśnie, gotowa puścić się biegiem. To jak, nieuleknyiony przywódco? Ścigamy się?

Wziąłem głęboki wdech, napleniając płuca, aż wydeło mi boki. Zrobiłem wydech dopiero wtedy, kiedy byłem już pewien, że się na Leę nie wydrę.

Seth, leć do Cullenów dać im znać, że to tylko twoja durna siostra. Włożyłem w te słowa tyle jadu, ile tylko się dało. Sam się nią zajmę.

Juz się robi!

Był szczęśliwy, że mógł zejść jej z oczu. Pospiesznie oddalił się w stronę białego domu.

Teraz to Leah zaskowy czała. Mało brakowało, a by za nim pobiegła.

Puszczasz go tam SAMEGO?! krzyknęła, jeżąc sierść na karku.

Założę się, że wolały zostać przez nich zaatakowany, niż dłużej tu z tobą siedzieć.

Zamknij się, Jacob. Och, przepraszam - powinnam być powiedzieć: „Zamknij się, wielce szanowna Alfo”.

Co tu robisz, do cholery?

Myślisz, że mogłabym siedzieć spokojnie w domu, po tym, jak mój młodszy brat zgłosił się na ochotnika, żeby zostać gryzakiem dla wampirów?

Seth ani nie chce, ani nie potrzebuje twojej ochrony. Zreszta, nikt cię tu nie chce.

Ojoj, już to sobie biorę do serca. Ha, prychnęła. Chcesz, żeby mi sobie poszła? To pokaż mi kogoś, kto dla odmiany ceni sobie moje towarzystwo.

Czy li tu wcale nie chodzi o Setha, tak?

Oczywiście, że tu chodzi o Setha. Usiłuję ci tylko pokazać, że bycie niechcianą to dla mnie nie pierwszy zna. Ten argument do mnie zupełnie nie trafia.

Zazgrzytałem zębami. Spróbowałem to wszystko sobie poukładać.

Czy to Sam cię przysłał?

Gdyby m wypełniała teraz rozkazy Sama, to byś mnie nie słyszał. Wypowiedziałam mu służbę.

Wsluchiwałem się w szeptanie w wmiieszane w jej słowa myśli. Musiałem mieć się na baczność - to mógł być jakiś podstęp, może próba odwrócenia mojej uwagi - ale niczego się nie doszukałem. Deklaracja była szczera. Leah przyznawała się do swojego położenia z niechęcią graniczącą z rozpaczą, ale niczego przede mną nie ukrywała.

I co, jesteś teraz lojalna wobec mnie? spytałem drwiącym tonem. Ha, ha. Świetny dowcip.

Nie mam wielkiego pola do manewru. Staram się dokonać właściwego wyboru. Wierzę mi, jestem równie zachwycona tym, jak się to wszystko potoczyło, jak ty.

Tym razem kłamała. W zakamarkach jej umysłu tlił się niezdrowy entuzjazm. Nie była szczęśliwa, ale to, że opuściła sforę, mimo wszystko dawało jej kopa. Przeczesałem jej myśli, starając się zrozumieć, co ją w tym tak kręci.

Skrzywiła się, niechętna moim zabiegom. Do tej pory, na ile było to możliwe, ignorowałem to, co działo się w jej głowie. Nigdy wcześniej nie próbowałem jej lepiej poznać.

Przerwał nam Seth, który zaczął myśleć intensywnie o pojawieniu się Lei, żeby wiadomość ta dotarła do Cullenów. Podobnie jak poprzedniego wieczoru, Edward stał w ciemnym oknie i wysłuchuje raportu, nie okazywał żadnych emocji. Twarz miał jak zombie.

Kurczę, niedobrze z nim, mruknęła do siebie Seth.

Edward i na to nie zareagował. Bez słowa zniknął w głębi domu. Kiedy Seth zawrócił, Leah odrobnie się rozluźniła.

Co u nich? spytała. Coś się zmieniło?

Nie będę ci nic mówił, bo i tak długo tu nie zabawisz.

I tu się pan myli, panie Alfo. Skoro najwyraźniej muszę należeć do jakiejś sfory - a nie myśl, że nie próbowałam zerwać tej więzi wcześniej, ale sam dobrze wiesz, że się nie da - to wolę już być z wami.

Leah, ty nawet mnie nie lubisz. A ja nie lubię ciebie.

Wielka mi nowina. Słuchaj, mi to nie przeszkadza. Zostaję z Sethem. Koniec, kropka.

Wampirów też nie lubisz. Nie sądzisz, że mielibyśmy tu do czynienia z konfliktem interesów?

Ty też nie lubisz wampirów.

Ale ten sojusz to był mój pomysł. Jestem w tę sprawę zaangażowany. Ty nie.

Będę się trzymać od nich z daleka. Mogę patrolować okolicę, tak jak Seth.

A ja mam ci powierzyć takie odpowiedzialne zadanie?

Wyprostowała się, stając na palcach, żeby dorównać mi wzrostem, i spojrzała mi prosto w oczy.

Nie zdradzę swojej watahy.

Miałem ochotę odrzucić łeb do tyłu i głośno zawyc, tak jak wcześniej zrobił to Seth.

To nie jest twoja wataha! To nie jest właściwie żadna wataha! To tylko ja próbuję coś załatwić na własną rękę! Cholerni Clearwaterowie! Co z wami?! Czemu nie możecie zostawić mnie w spokoju!!

Za drzew wyrzucił się akurat Seth. Aż jęknął, tak go zranilem. Super.

Myślałem, że na coś ci się przydałem.

Może trochę inaczej: nie uprzykrzałeś mi życia. Ale jeśli takto wygląda, że albo ty i Leah, albo nie - jeśli jedynym sposobem na pozbycie się jej, jest odesłanie cię do domu - nie dziw się, że wolałbym, żebyś był już w La Push.

Widzisz, Leah? Wszystko zepsuła!

Wiem, wiem.

Rozpacz w jej myślach stała się jeszcze wyraźniejsza niż przedtem.

W tych dwóch krótkich słowach wyczułem więcej bólu, niż można się było tego spodziewać. Nie chciałem go czuć. Nie chciałem, żeby było mi Lei żal. Zgoda, nikt w sforze za nią nie przepadał, ani tego nie ukrywał, ale sama sobie na to zasłużyła, dręcząc nas swoim zgorzknieniem, którym przesiąknięta była każda jej myśl i które sprawiało, że przebywanie w jej głowie było koszmarem.

Setha też dopadły wyrzuty sumienia.

Jake... Tyko się ze mną drażnisz, prawda? Nie odesłaś mnie do domu? Leah nie jest taka najgorsza. Naprawdę. A jeśli będzie nas troje, będziemy mogli zataczać w lesie większe koło. I Samowi zostanie tylko siedem wilków. W życiu na nas nie napadnie, jeśli będziemy mieć taką przewagę liczebną. Widzisz, ile plusów?

Wiesz, że nie chcę tworzyć nowej sfory. Nie chcę być przywódcą.

To nie bądź naszym przywódcą, zaproponowała Leah.

Prychnąłem.

Popieram. Zmykajcie do domu.

Jake, pomyślał Seth. Tu jest moje miejsce. Ja tam lubię wampiry. A przy najmniej Cullenów. Uważam ich za ludzi i zamierzam ich bronić. Od tego właśnie jesteśmy.

Może i jest tu twoje miejsce, ale twojej siostry to nie dotyczy. A uparla się, że cię nie...

Urwałem w połowie zdania, bo w tym samym momencie coś zrozumiałem. Coś, o czym Leah starała się za wszelką cenę nie myśleć.

Nie miałem najmniejszych szans się jej pozbyć.

A ponoć jesteś tu dla Setha, zrzuciłem jej kwaśno.

Wzdrygnęła się.

Oczywiście, że jestem tu dla Setha.

I żeby uwolnić się od Sama.

Zacisnęła zęby.

Nie muszę ci się z niczego tłumaczyć. Muszę tylko robić, co mi każą. Należę do tej sfory, Jacob. To nie podlega dyskusji.

Odszedłem od niej, warcząc.

A niech to. Nawet wołami nie zaciągnąłbym jej do domu. Mogła nie darzyć mnie sympatią, mogła nienawidzić Cullenów, mogła marzyć o tym, żeby ich wymordować, choćby zaraz, i wściekać się, że zamiast tego przyszło jej ich ochraniać - ale i tak wszystko to nie miało najmniejszego znaczenia, skoro nareszcie zdołała się uwolnić od Sama.

Mnie nie lubila, więc nie było to z jej strony znowu takie poświęcenie wysłuchiwać bez końca, że chcę się jej pozbyć.

Ale Sama kochała. Nadal go kochała. I mając wybór, nie chciała ani sekundy dłużej wysłuchiwać, jak bardzo cięży mu jej obecność, tak bardzo było to dla niej bolesne. Żeby uciec przed jego myślami, była gotowa na wszystko. Nawet na przyjęcie posady pieska salonowego wampirów.

No, tak daleko, to się raczej nie posunę, poprawiła mnie. Usiłowała przybrać zszorstki, agresywny ton głosu, ale w masce, za którą się kryła, było coraz więcej rys. Najpierw na pewno co najmniej kilka razy spróbowałabym się

zabić.

Sluchaj, Leah...

Nie, to ty sluchaj, Jacob. Przestań się ze mną kłócić, bo i tak nie nie wskórasz. Obiecuję, że nie będę sprawiał kłopotów, okej? Będę ci posłuszna. Tylko nie każ mi wracać do Sama i do roli jego żalostnej byleję, której nie może spławić. Jeśli chcesz, żebym sobie poszła... Przesiadła na tylnych łapach i spojrzała mi prosto w oczy... to będziesz musiał mnie do tego ZMUSIĆ.

Przez minutę po prostu warczałam na nią z bezsilności. Mimo tego, jak Sam potrakował poprzedniego dnia mnie i Seta, powoli zaczęłam mu współczuć. Nic dziwnego, że brutalnie korzystał ze swojej pozycji Alfę. Jakim cudem mogłoby inaczej realizować jakikolwiek plan?

Seth, czy będziesz na mnie bardzo zły, jeśli zabiję twoją siostrę?

Udał, że musi się nad tym zastanowić.

Hm... Tak raczej tak

Westchnąłem.

Dobra, panno Posłuszna. To może na coś nam się przydasz i powiesz nam, co wiesz? Co zrobiliście, kiedy odłączyliśmy się od sfory?

Wylišmy dalej. Ale to pewnie sami słyszeliście. Robiliśmy tyle hałasu, że trochę to potrwało, zanim się zorientowaliśmy, że obu was już nie słychać. Sam dostał... Zabrakło jej słów, żeby to opisać, ale zobaczyliśmy jej wspomnienie. Wzdrygnęliśmy się obaj.

Szybko stało się jasne, że musimy zmienić nasze plany. Sam postanowił z samego rana naradzić się ze starszymi. Mieliliśmy się spotkać i na nowo obgadać strategię. Było jednak widać, że nie zamierza wyprawić się na Cullenów zaraz po tym. Bez was dwóch i z uprzedzonym przeciwnikiem to byłoby samobójstwo. Nie jestem pewna, co zrobią, ale gdybym była pijawką, nie przechadzałbym się teraz po lesie. Sezon polowań na wampiry można uważać za otwarty.

Postanowiłaś odpuścić sobie to poranne spotkanie? spytałam.

Kiedy zeszłego wieczoru rozdzielano patrole, poprosiłam o pozwolenie na powrót do domu, żeby móc opowiedzieć mamie, co się wydarzyło...

Cholera! Powiedziałaś mamie? jęknął Seth.

Seth, powstrzymaj się jeszcze sekundkę z wylewaniem swoich żalów. Leah, mów dalej.

Gdy tylko zmieniłam się w człowieka, stwierdziłam, że muszę to wszystko przemysleć. No i w końcu zastanawiałam się całą noc. Założę się, że chłopaki myślały, że śpią. Ta cała koncepcja, że są teraz dwie osobne sfory i dwa osobne wspólne umysły, nie dawała mi spokoju. Z jednej strony mogłabym zażądać o bezpieczeństwo brata, tudzież, hm... skorzystać z innych zalet takiego stanu rzeczy, z drugiej strony wyszłabym na zdrając i musiałabym nie wiadomo jak długo wachać wampiryzm smród. Wiecie, na co się zdecydowałam. Zostawiłam mamie liścik. Spodziewam się, że usłyszy mi, kiedy wieści dotrą do Sama...

Nastawiła ucha ku zachodowi.

Tak, też tak myślę, odparłam.

To wszystko. To co teraz?

Oboje z Sethem spojrzeli na mnie wyciekająco.

Właśnie czegoś takiego zawsze chciałem uniknąć.

Chyba po prostu musimy mieć się na baczności. Nic więcej zresztą nie możemy zrobić. Powinnaś się zdrzemnąć, Leah.

Ty też prawie nie zmrzyłeś oka.

A podobno miałaś być mi posłuszna?

Jasne, mruknęła. Zobaczysz, ten tekst szybko przestanie cię bawić. W tym samym momencie mimowolnie ziewnęła. Ech, niech ci będzie. Wszystko mi jedno.

To ja wracam do patrolowania granicy, okej? Nie jestem nie a nic zmęczony. Seth aż podrygiwał w miejscu, taki był szczęśliwy, że nie odesłałem go do domu.

Dobra, leć. A ja pójdę zobaczyć, co słychać u Cullenów.

Seth oddalił się od nas pospiesznie świeżo wydeptaną ścieżką. Leah odprowadziła go zamyślonym spojrzeniem.

Może jednak zrobić ze dwie rundki, zanim się zwinę? zastanowiła się. Hej, Seth! Chcesz się przekonać, o ile okrążeń jestem w stanie cię przegonić?

NIE! padła stanowcza odpowiedź.

Szcześnie cicho, czyli li się zaśmiała, i wystrzeliła w las. Warknęłam za nią, ale byłam bezradny. Mogłem pożegnać się z ciszą i spokojem.

Nie powinienem narzekać - Leah naprawdę się starała. Pędząc po wybranej przez nas trasie, ograniczyła typowe dla siebie docinki do minimum, ale nie sposób było zignorować tego, jak bardzo była dziś z siebie zadowolona. Trochę mnie to irytowało. Przypomniało mi się powiedzenie, że przy trzech osobach to już robi się tok* [Chodzi o angielskie powiedzenie *Two is a company, three is a crowd* - przyp. tłum]. Właściwie to nawet gdybym był sam, po mojej głowie krążyłoby zbyt wiele myśli. A jeśli już musiała być na trójka, chętnie wymieniałbym Leę na kogokolwiek innego.

Na Paula? zasugerowała.

Może, powiedziałem.

Zaśmiała się. Była taka podekscytowana uwolnieniem się od Sama, że nawet jej to nie dotknęło. Ciekaw byłam, na jak długo miało jej starczyć dobrego humoru.

W takim razie, niech to będzie mój cel - mniej ci grać na nerwach niż Paul.

Tak, popracuj nad tym.

Zmieniłem się w człowieka kilka metrów od skraj trawnika. Nie zakładałem wcześniej, że będę tu tyle przebywał w tej postaci. Ale nie przypuszczałem też, że już niedługo będę dzielił swoje myśli z Leą. Naciągnąłem podniszczone szorty i ruszyłem w kierunku domu.

Drzwi wejściowe otworzyły się, zanim jeszcze dotarłem do schodków. Zdziwiłem się, bo nie wyszedł Edward, tylko Carlisle. Wyglądał na zmęczonego i pokonanego. Na sekundę przestało bić mi serce. Zatrzymałem się jak sparalizowany, nie mogąc wykrzusić ani słowa.

- Nic ci nie jest, Jacob?

- Czy Bella?... - nie dokończyłem.

- Bella... Cóż, powiedzmy, że jej stan nie zmienił się za bardzo od ubiegłego wieczoru. Przestraszyłem cię? Wybacz mi. Edward uprzedził nas, że zbliżasz się pod postacią człowieka, więc wyszedłem cię przywitać, żeby nie musiał odchodzić od jej łóżka. Niedawno się obudziła.

A dla Edwarda każda spędzana z nią minuta była bezcenna, bo wiedział, że nie zostało im zbyt wiele czasu - Carlisle nie powiedział tego na głos, ale rozumiało się to samo przez się.

Nie spałem od wielu godzin - ostatni raz jeszcze przed ostatnim patroliem. Dopiero teraz tak naprawdę to poczułem. Zrobiłem krok do przodu, usiadłem na schodkach i oparłem się całym ciężarem o barierkę werandy.

Poruszając się ciszej od szeptu, jak to tylko było dane wampirów, Carlisle przycupnął koło mnie i oparł się o barierkę po przeciwnej stronie.

Podczas twojej poprzedniej wizyty nie miałem możliwości ci podziękować. Nawet nie wiesz, jak bardzo doceniam twoje... zainteresowanie. Wiem, że zależy ci jedynie na obronie Belli, ale zawdzięczam ci również ocalenie reszty mojej rodziny. Edward opowiedział nam, jaką przyszło ci zapłacić za to cenę...

Nie ma o czym mówić.

Skoro tak wolisz.

Siedzieliśmy w milczeniu. Z piętra dochodziły głosy Alice, Emmetta i Jaspera, którzy z powagą o czymś dyskutowali. W innym pomieszczeniu Esme nucila pod nosem jakąś bliżej nieokreśloną melodię. Tuż za ścianą oddychali Rosalie i Edward - nie byłam w stanie powiedzieć, które jest które - i ciężko sąpała wyczerpana Bella. Znowu wsłuchałem się w bicie jej serca i znowu wydało mi się ono niepokojąco niemiarowe.

Jak każdy, zarzekałem się kiedyś, że za żadne skarby nie zrobię tego czy tamtego, ale los zakpił ze mnie i w przeciągu minionych dwudziestu czterech godzin zmusił do zrobienia każdej z tych rzeczy. Po co uczyłem się Cullenów? Mogłem tu tylko czekać bezsilny, aż Bella umrze.

Miałem dość słuchania. Stwierdziłem, że już lepiej porozmawiać.

- Bella jest dla ciebie rodziną? - spytałam Carlisle'a. Zwróciłem wcześniej uwagę na to, że mówił o Belli i „reszcie mojej rodziny”.

- Tak. Jest już dla mnie jak rodzona córka. Ukochana córka.

- Ale mimo to pozwolił jej umrzeć.

Zamiłł na dłuższą chwilę, aż w końcu podniosłem wzrok. Sprawiał wrażenie jeszcze bardziej zmęczonego, niż kiedy się ze mną witał. Wiedziałem, co czuje.

- Potrafię sobie wyobrazić, jak bardzo jesteś na mnie zły, Jacobie. Ale uważam, że należy uszanować jej wolę. To nie byłoby w porządku, gdybym podjął za nią taką decyzję, gdybym ją do czegoś zmusił.

Chciałem się na niego rozniewać, ale bardzo mi to utrudniał. Było tak jakby odrzucał mi moje własne słowa, tylko nieco zniekształcone. Gdy sam je wypowiadałem, takie nastawienie wydawało mi się słuszne, ale teraz zmieniłem zdanie. Jak mogłem w takiej sytuacji dawać jej wolny wybór?

Z drugiej strony... Pamiętałem siebie, upokorzonego, leżącego przed Samem. Jak się czułem ze świadomością, że wbrew sobie wezmę udział w zabijaniu kogoś, kogo kochałem.

Na tym jednak kończyły się podobieństwa. Sam się mylił. A Bella kochała tych, których kochać nie powinna.

- Jak sądzisz, czy są jakieś szanse na to, że z tego wyjdzie? To znaczy, czy uda wam się w porę zrobić z niej wampiryzm? Opowiedziała mi... o przypadku Esme.

- Myślę, że mamy szansę jak jeden do dwóch - odpowiedział cicho. - Widziałem, jak wampiryzm jad czyni mi cuda, ale istnieją pewne warunki, które muszą zostać spełnione. Jej serce pracuje teraz ponad siły - jeśli się zatnie, jeśli stanie... nie będę mógł już w niczym pomóc.

W te serce Belli na przemian to dudniło, to słabło, podkreślając w przerażający sposób jego słowa.

Może Ziemia zaczęła obracać się w przeciwnym kierunku? Możliwe, że dlatego wszystko było zupełnie inne niż wczoraj? Nagle miałem ogromną nadzieję, że Cullenom powiedzie się plan, za którego potworność jeszcze wczoraj chciałem ich zabić.

- Co to coś z nią wyprawia? - wyszeptałem zrozpaczony. - Tak gwałtownie się jej pogorszyło. Widziałem te wszystkie rurki i całą resztę. Przez okno.

- Ten płód nie jest kompatybilny z jej organizmem. Na przykład, ma bardzo dużo siły - choć to Bella mogłaby pewnie jeszcze jakiś czas wytrzymać. Największym problemem jest to, że nie pozwala jej przyswajać w odpowiednich ilościach składników pokarmowych. Jej ciało odrzuca pożywnie w każdej postaci. Próbuje karmić ją dożylnie, ale po prostu nie się wchłania. W dodatku jej potrzeby są, rzecz jasna, zwiększone, co przyspiesza cały proces. Innymi słowy, Bella umiera na moich oczach z głodu - nie tylko ona, ale i płód - a ja nie mogę tego ani zatrzymać, ani spowolnić. Główną rolę w tym odegrał sam płód, który nie może być chroniony. Wszystkie próby uzyskania obrazu z USG spęłżyły na niczym. Wątpię też, czy dałoby się przebić igłą owodnie - zresztą Rosalie i tak nie pozwala mi na przeprowadzenie takiego zabiegu.

- Przebić igłą owodnie? - powtórzył. - Ale po co? Czego można się tak dowiedzieć?

- Im więcej wiem o tym płodzie, tym trafniej jestem w stanie ocenić, do czego będzie zdolny. Co ja bym dał za chociaż kilka mililitrów płynu owodniowego! Starczyłoby, że poznałbym liczbę chromosomów...

- Pogubiłem się, doktorze. Może tak jeszcze raz, ale tak, żebym coś zrozumiał?

Zaśmiał się - nawet w jego śmiechu pobrzmiwało znużenie.

- Oczywiście. Na jakim poziomie mieliście biologię w szkole? Przerabialiście pary chromosomów?

- Tak myślę. Mam dwadzieścia trzy takie pary, prawda?

- Ludzie tak

Zaskoczył mnie.

- A wy, ile macie?

- Dwadzieścia pięć.

Przez chwilę wpatrywałem się w swoje pięści, marszcząc czoło.

- I co to znaczy?

- Sądziłam, że oznacza cię, że nasze gatunki bardzo się od siebie różnią. Że mają z sobą mniej wspólnego niż lew i zwykły kot. Ale ta nowa forma życia... Cóż, wszystko wskazuje na to, że pod względem genetycznym jesteśmy z sobą bliżej spokrewnieni, niż mi się wydawało. - Westchnął ze smutkiem. - To przez to ich nie ostrzegłem.

Też westchnąłem. Kiedy się dowiedziałem, co się stało, wściekłem na nas Edwarða za jego ignorancję. Nadal się na niego wściekałem. Ale złościć się za to na Carlisle'a było mi znacznie trudniej. Może dlatego, że w jego przypadku nie wchodziła w grę duża zazdrość?

- Znajomość liczby par chromosomów mogłaby okazać się użyteczna - wiedzielibyśmy, czy płodowi jest bliżej do nas czy do Belli. Wiedzielibyśmy, czego się spodziewać. - Wzruszył ramionami. - Ale może w niczym by to nam jednaknie pomogło. Chyba po prostu szukam dla siebie jakiegoś zająca i tyle.

- Ciekawe, ile ja mam chromosomów? - mruknąłem w zamyśleniu. Znowu wyobraziłem sobie, jak by to było, gdybym poddał się testom na obecność sterydów przed jakimiś zawodami sportowymi. Czy DNA też by wtedy badał?

Carlisle odchrząknął.

Masz dwadzieścia cztery pary, Jacobie. Spojrzałem na niego, unosząc ze zdziwienia brwi. Wyglądał na speszonego. Intrygowało mnie to od dawna... więc pozwoliłem sobie skorzystać z okazji i sprawdziłem to, kiedy leczyłem cię w czerwcu. Zamyśliłem się na moment. Pewnie powinienem się teraz na ciebie wkurzyć. Ale tak właściwie to wszystko mi jedno.

- Przepraszam. Powiniennem był zapytać.

- Nie ma sprawy. Nie miałeś zły ch zamiarów. Nie, przyrzekałem, nie chciałem tego w żaden sposób wykorzystać przeciwko wam. Po prostu... wasz gatunek mnie fascynuje, podejrzewam, że będąc wampirem przez tyle stuleci, zdążyłem już przywyknąć do większości naszych niemych cichych. Co innego różnice między ludźmi a wami. Są dla mnie niezwykle interesujące. Jest w tym wręcz coś z magii.

- Czary - mary, hokus - pokus - prychnąłem. Był jak Bella z tym swoim bredzeniem o czarach.

Znowu smutno się zaśmiała.

A potem z wnętrza domu dobiegł baryton Edwarða i obaj zamieniliśmy się w słuch.

- Zaraz wracam, Bello, chcę tylko zamienić słówko z Carlisleem. Rosalie, czy mogłabyś mi towarzyszyć?

W jego głosie coś się zmieniło, wydawał się być nieco bardziej ożywiony. Pojawiła się w nim jakaś iskierka - może nie nadziei, ale przynajmniej pragnienia, by mieć nadzieję.

- Co się dzieje? - spytała Bella ochryple.

- Nic, czym powinnaś zwracać sobie głowę, najdroższa. To nam zajmie tylko sekundę. Rosalie, mogę cię prosić?

- Esmę? - zwołała. - Popilnowałabyś dla mnie przez chwilę Belli?

Esmę spłynęła po schodach, nie robiąc przy tym więcej hałasu niż lekki wietrzyk.

- Żaden kłopot - odpowiedziała.

Carlisle obrócił się twarzą w stronę drzwi. Pierwszy wyszedł Edward, a zaraz po nim jego siostra. Twarz Edwarða, podobnie jak jego głos, nie należała już do umarłego. Sprawiał wrażenie kogoś, kto ma plan. Rosalie przyglądała mu się podejrzliwie.

Zamknął za nią drzwi.

- Carlisle...

- O co chodzi, Edwarðzie?

- A może podeszliśmy do tego wszystkiego w zupełnie niewłaściwy sposób? Przysłuchiwałem się waszej rozmowie i kiedy powiedziałeś, że nie wiesz czego temu... temu płodowi trzeba, Jacobowi przysłała do głowy pewna bardzo ciekawa myśl.

Mnie? Co ja takiego sobie pomyślałem? Poza tym, jak bardzo tego czegoś nienawidzę? Dla Edwarða nie było to przecież nic nowego. Sam miał trudności z używaniem wobec tego czegoś neutralnego terminu - „płód”.

- Pod tym kątem jeszcze na to nie patrzyliśmy - ciągnął. - To potrzeby Belli staraliśmy się zaspokoić. Ale jej ciało reaguje teraz na zwykłe ludzkie pożywienie tak, jakby była już jedną z nas. W takim razie, być może powinniśmy przede wszystkim skupić się na tym, czego potrzebuje... płód. Może jeśli to on najpierw dostanie to, czego chce, będziemy mogli później skuteczniej pomóc Belli.

- Nie za bardzo za tobą nadążam, Edwarðzie - wyznał Carlisle.

- Tylko pomyśl. Jeśli to stworzenie ma w sobie więcej z wampira niż z człowieka, to czego łaknie, czego od nas nie dostaje? Jacob na to wpadł.

Naprawdę? Spróbowałem odtworzyć w myślach całą naszą rozmowę, zwracając szczególną uwagę na to jakie przemyslenia zachowałem dla siebie. Właściwy fragment przypomniałem sobie w tym samym momencie, w którym Carlisle zrozumiał aluzję Edwarða.

- Och - powiedział zaskoczony. - Uważasz, że płód... odczuwa pragnienie?

Rosalie zasyzczała triumfalnie. Wyżyła się wszelkich podejrzeń. Jej nieznośnie idealna twarz rozpozodziła się, a oczy rozbiły jej z podeksycytowania.

- No przecież - wyszeptala. - Carlisle, zgromadziliśmy dla Belli spory zapas zero Rh minus, prawda? To dobry pomysł dodała, unikając mnie wzrokiem.

- Hm... - doktor pocierał sobie w zamyśleniu podbródek - ciekawe... Tylko jak będzie najlepiej ją zaaplikować?

Wampirzyca pokręciła głową.

Nie mamy czasu do stracenia. Sądzę, że powinniśmy zacząć od najbardziej tradycyjnej metody.

- Człkajcie - odezwałem się wreszcie. - Chce tylko coś wyjaśnić. Zamierzacie zmusić Bellę do picia krwi?

- Sam nam to podsunąłeś, psie - warknęła Rosalie, najeżając się ale nadal nie patrząc w moim kierunku.

Zignorowałem ją i spojrzałem Carlisle'a. W jego oczach, tak jak wcześniej u Edwarða, pojawiła się nadzieja. Zaciśnął usta, rozważając wszystkie za i przeciw.

- Nie no, co za... - zabrało mi słów.

- Obrzydliw? - podpowiedział mi Edward. - Ohyða?

- Coś w tym rodzaju.

- Ale co, jeśli to jej pomoże? - szepnęła.

Potrząsnąłem gniewnie głową.

- Jak tego dokonasz, wetkniesz jej rurkę do gardła?

- Na początek spytam ją, co ona na to. Chciałem tylko najpierw skonsultować się z Carlisleem.

Rosalie mu przytaknęła.

- Jeśli powiesz, że to dla dobra maleństwa, nie trzeba jej będzie do niczego zmuszać. Nawet jeśli nie obędzie się bez rurki w gardle.

Kiedy wymawiała słowo „maleństwo”, miejsce szorstkości zajęło w jej głosie rozczulenie, które wywołało u mnie młodości. Uświadomiłem sobie, że blondyna nie cofnie się przed niczym, byle tylko utrzymać tego potworka przy życiu. Czy to o to w tym wszystkim chodziło? Czy to z tego powodu obdarzyła nagle Bellę względami? Czy Rosalie najzwyczajniej w świecie chciała mieć dziecko?

Kątem oka dostrzegłem, że Edward ledwie zauważalnie skinął głową. Nie patrzył na mnie, ale wiedziałem, że udziela odpowiedzi.

Hm. Nie spodziewałem się, że lodowata Barbi może mieć instynkt macierzyński. A już myślałem, że zależeła jej na Belli! Pewnie sama miała wcisnąć jej w gardło tę nieszczęsną rurkę!

Edward zaciśnął usta i domyśliłem się, że znowu mam rację.

- Cóż, nie ma co się dłużej zastanawiać - stwierdziła Rosalie niecierpliwie. - Jak uważasz, Carlisle? Czy możemy przeprowadzić próbę?

Wziął głęboki wdech, po czym wstał.

- Spytajmy Bellę.

Blondyna uśmiechnęła się z zadowoleniem - wiedziała, że ma na nią dostatecznie duży wpływ.

Weszi do domu, więc powlokłem się za nimi. Nie byłem do końca pewny, po co to robię. Może kierowała mną chorobliwa ciekawość? Czulem się jak postać z filmu grozy - wszędzie tylko potwory i krew.

A może po prostu nie mogłem się oprzeć kolejnej działce swojego narkotyku, póki nie robię. Może kierowała mną chorobliwa ciekawość? Czulem się jak postać z filmu grozy - wszędzie tylko potwory i krew.

Bella leżała na swoim szpitalnym łóżku z monstualnym brzuchem nakrytym pościelą. Była tak biała, że wyglądała niemal na przeźroczystą, jakby zmieniła się woskową lalkę. Gdyby nie delikatne falowanie jej klatki piersiowej, można by było pomyśleć, że już nie żyje. No i gdyby chwilę potem nie zaczęła nam się podejrzliwie przyglądać.

Kiedy przekroczyłem próg, pozostała trójka była już przy niej przemiecili się tak niesamowicie szybko, że aż przebiegły mnie ciarki. Sam podszedłem do łóżka powoli.

- Co jest grane? - spytała Bella skrzekliwym szeptem. Woskową dłoń przesunęła odruchowo, jak gdyby liczyła na to, że ochroni ją swój wielki brzuch.

- Jacob wpadł na pomysł, dzięki któremu być może zrobi ci się lepiej - wyjaśnił Carlisle. Ze też musiał mnie w to wplątać! Nic komu nie proponowałem. Nie mógł powiedzieć, zgodnie z prawdą, że to jej mąż miał takie szalone zapędy? - To nie będzie... przyjemne, ale...

- Ale pomoże maleństwu - wtrąciła z uczuciem Rosalie. - Wpadliśmy na to, jak je skuteczniej nakarmić. A przynajmniej taką mamy nadzieję.

Bella zatrzepotała rękami, a potem zaśmiała się, co zabrzmiało tak, jakby kasznęła.

- I nie będzie to przyjemne? - szepnęła. - No, nareszcie jakaś odmiana. - Wskazała brodą na rurkę wbity w jej rękę i znowu kasznęła.

Blondyna jej zawtórowała.

Wyglądała jak żywy trup i musiało bardzo ją boleć, ale stać ją było na sarkastyczne uwagi! Cała Bella. To przez wzgląd na nas próbowała rozładować napiętą atmosferę.

Edward okrążył Rosalie. Sądząc o jego skupionej minie, nastrój siostry bynajmniej mu się nie dzielił. Ucieszyło mnie to. Pomagała mi świadomość - odrobina, ale zawsze - że cierpiał bardziej ode mnie.

Wziął Bellę za rękę - tę, którą nie broniła wzdętego brzucha.

- Skarbie, mamy ci do zaproponowania coś, co zapewne uznasz za ohydne. Obrzydliwe.

Używał tych samych określeń, które wcześniej podrzucił mi. Cóż, przynajmniej nie owijał niczego w bawełnę. Wzięła kolejny rozedrgany, płytki wdech.

- Jak bardzo obrzydliwe?

Odpowiedział jej Carlisle.

- Uważamy, że płód może mieć upodobania bardziej zbliżone do naszych niż do twoich. Sądźmy, że łaknie krwi.

Zamrugala.

- Ach, tak Och.

- Twój stan - stan was obojga - gwałtownie się pogarsza. Nie mamy czasu na obmyślenie jakiejś bardziej wyrafinowanej metody żywienia was. Najszybciej będzie, jeśli wypróbujemy naszą teorię...

- Mam pić krew - wyszeptala. Skinęła delikatnie głową, ledwie znajdując w sobie na to dość siły. - Da się zrobić. Przydał mi się zawsze trochę praktyki, prawda?

Przeniosła wzrok na Edwarða, a jej białawe wargi wygięły się w szerokim uśmiechu. Cullen się nie uśmiechnął.

Zniecierpliwna Rosalie zaczęła wybijać stopą nerwowy rytm. Było to bardzo irytujące. Zastanowiłem się, co by zrobiła, gdyby w rozbił nią na wyłot ścianę.

- To jak, które z was złapie dla mnie grizzly? - spytała Bella.

Carlisle i Edward spojrzeli po sobie. Rosalie przestała hałasować.

- Co jest?

- Chcemy, by próba dała jak najlepszy efekt, więc nie możemy niczego komplikować - powiedział Carlisle.

- Jeśli płód łaknie krwi - wyjaśnił Edward - to nie krwi zwierzęcej.

- Nie zauważysz żadnej różnicy - obiecała jej Rosalie. - Nie myśl o tym i tyle.

Bella rozdziawiła usta.

- To czyją?...

Zerknęła na mnie.

- Nie, Bells, nie jestem tutaj po to, żeby zostać dawcą. Poza tym, to ludzkiej krwi domaga się to coś. Nie sądzę, żeby moja się nadawała.

- Mam cały zapas krwi - poinformowała ją Rosalie, odzywając się równocześnie z mną, jakby wcale mnie tam nie było. - Sprowadziliśmy ją dla ciebie - tak na wszelki wypadek. O nie się nic martw. Wszystko będzie dobrze.

Mam przecucie, że to jest to. Maleństwo będzie zachwycone.

Bella pogłaskała się po brzuchu.

- Cóż, jestem głodna jak wilk, więc on pewnie też. No to do dzieła - zaszortowała. - Moje pierwsze wampirze śniadanko.

Carlisle i Rosalie pobiegli pędem na górę. Usłyszałem, jak debatują, czy powinni tę krew podgrzać, czy raczej zaserwować ją zimną. Fuj. Ciekawe jakie jeszcze okropieństwa prócz lodówki z krwią skrywało to domostwo z horrorów? Izbę tortur? Trumny w lochach?

Edward został przy Belli. Wciąż trzymał ją za rękę. Znow przybrał wyraz twarzy chodzącego trupa. Wydawał się nie być w stanie wykrzesać z siebie dość energii nawet na to, by podtrzymać w sobie tę nadzieję, która zakiełkowała w nim przed chwilą. Patrzył sobie z Bella prosto w oczy, ale nie było w tym nic kłiwego. Wyglądało to tak jak gdyby ze sobą rozmawiali. Przy pominali mi do pewnego stopnia Sama i Emili.

Nie, nie było w tym nic kłiwego, ale z tego powodu jeszcze trudniej było znajdować się z nimi w jednym pokoju.

Wiedziała, jak czuła się z tym Leah - z tym, że musiała się temu cały czas przyglądać. Z tym, że musiała słyszeć to w głowie Sama. Oczywiście wszystkim w sforze było jej szkoda, nie byliśmy potworami - przynajmniej nie w tym sensie. Ale mieliśmy jej za złe to, jak sobie z tym radzi. Przy każdej nadarżającej się okazji wyżywała się na nas, jakby uważała, że powinniśmy cierpieć tak samo, jak ona.

Teraz jednak obiecałem sobie, że nigdy więcej nie będę jej niczego zarzucał. Ktoś tak głęboko niezadowolony po prostu nie mógł tego kryć przed światem. Nie mógł, ot tak wziąć się w garść i przestać próbować sobie ulżyć, obdzielając drobny mi porcjami ciężącego mu rozgoryczenia wszyscy słychi dookoła.

Nie mógł też się opanować, gdy otwierała się przed nim możliwość dołączenia do nowej watahy. Jak mogłem obwiniać Leę o to, że odebrała mi wolność? Na jej miejscu postąpiłbym tak samo. Gdyby był to jedyny sposób na ukojenie mojego bólu, długo bym się nie wahał.

Po schodach zbiegła z prędkością błyskawicy Rosalie. Przemknęła przez pokój, wzbijając w powietrze drobinki wampirzego odoru i wpadła do kuchni. Skrzyknęły drzwiczki od szafki.

- Rosalie, nieprzeczysty - szepnęła Edward, wywracając oczami.

Bella spojrziała na niego zaintrygowana, ale tylko pokręcił głową.

Blondy na mignęła nam przez ułamek sekundy, po czym ponownie zniknęła na piętrze.

- To był twój pomysł? - spytała mnie Bella, starając się z wysiłkiem mówić na tyle głośno, bym mógł ją usłyszeć, chociaż miałem przecież doskonały słuch. Często sprawiała wrażenie, jakby zapomniała, że nie jestem do końca człowiekiem, i musiałem przyznać, że nawet mi się to podobalo. Przy sąłem się bliżej, żeby niepotrzebnie się nie nadwyręzała.

- Pomysł niby mój, ale to nie moja wina, że go podchwycili. To twój wampir wyłapał z moich myśli taki jeden gorzki komentarz i tyle.

Uśmiechnęła się błado.

- Nie spodziewałam się, że cię jeszcze zobaczę.

- Ja też nie - przyznałem.

Glupio mi było tak nad nią stać, ale pijawki odsunęły wszystkie meble, żeby zrobić miejsce na sprzęt medyczny. Pewnie było im wszystko jedno, czy stali czy siedzieli - jaka to różnica, kiedy jest się z kamienia. Mi też by to raczej nie przeszkadzało, gdyby nie to, że byłem taki okropnie zmęczony.

- Edward opowiedział mi o tym, co musiałeś zrobić. Tak bardzo mi przykro.

- To była tylko kwestia czasu - skłamałem. - Prędzej czy później i tak jakiś rozkaz Sama nie przydadłby mi do gustu i bym się wyłamał.

- I Seth poszedł za tobą...

- Tak, ale jest w siódmym niebie, że może wam w czymś pomóc.

- Nie cierpię komplikować innym życia.

Parsknąłem śmiechem - bliżej mu było właściwie do szelkniecia.

Westchnęła cicho.

- Od samego początku ci je komplikuję, prawda?

- No, bez przesady.

- Nie musisz tu zostawać i patrzeć na to wszystko - powiedziała, prawie nie wydając się z siebie głosu.

Tak, mogłem odejść. Chyba nawet byłby to dobry pomysł. Ale biorąc pod uwagę to, jak wyglądała, mógłbym wtedy przegapić ostatnie piętnaście minut jej życia.

- Poniekąd to nie mam gdzie się podziąć - stwierdziłem, starając się nie okazywać przy tym żadnych emocji. - Niestety, odkąd pojawiła się Leah, bycie wilkiem wiele straciło na swojej atrakcyjności.

- Leah? - wykrzusiła.

- Nic jej nie mówileś? - spytałem Edwarda.

Wrzucił tylko ramionami, nie odrywając wzroku od jej twarzy. Najwyraźniej w tak niezwykłe ważne dla niego momencie, nie była to informacja warta tego, by przekazywać ją dalej.

Bella nie przyjęła jej podobną obojętnością. Widać było, że to dla niej zła wiadomość.

- Ale dlaczego? - wychrypiała.

Odpowiedź na to pytanie mógłbym rozwinąć w powieść, ale woląłem oszczędzić chorej szczegółów.

- Żeby mieć oko na Seta.

- Ależ Leah nas nienawidzi.

Nas. Pięknie. Bella wyglądała na przerażoną.

- Nie martw się - pocieszyłem ją. - Będzie obchodzić was szerokim łukiem.

Szkoda, że i mnie nie miała zostawić w spokoju.

- Jest teraz członkiem mojej sfory - skrzywiłem się - i jako taki musi się mnie słuchać.

Nie przekonałem jej.

- Bella, boisz się Lei, chociaż twoją najlepszą kumpelką jest teraz ta blond psy chopatka?

Na piętrze ktoś syknął cicho. Super, usłyszała mnie. Bella ściągnęła brwi.

- Nie mów tak Rose... Rose mnie rozumie.

- Jasne - prychnąłem. - Rozumie, że umrzesz, i ma to gdzieś, tak długo, jak dostanie jej się ten mały mutant.

- Przestań gadać głupoty.

Była chyba zbyt słaba, żeby się na mnie rozłościć. Postanowiłem to wykorzystać i ją rozbawić.

- Radzisz mi tak, jakby to było możliwe.

Przez sekundę Belli udawało się nie uśmiechać, ale w końcu poddała się i uniosła kąciki bładych ust.

W tym samym momencie wrócili Carlisle i psychopatka. Doktor niósł plastikowy kubek taki z wiecikiem z dziurką, w który była wetknięta słomka. Ach, „nieprzeczysty”! Dopiero teraz skojarzyłem. Edward nie chciał, żeby Bella wiedziała, co robi, bardziej, niż to było absolutnie konieczne. Nie widać było, co za napój znajduje się w naczyniu. Ale już z daleka czulem jego zapach.

Carlisle wyciągnął rękę z kubkiem w stronę Belli, ale zawałał się w połowie drogi. Bella wpatrywała się w trzymany przez niego przedmiot, znowu wyglądając na przerażoną.

- Może jednak spróbujemy innej metody? - zaproponował cicho.

- Nie - szepnęła. - Nie. Zobaczymy najpierw, jak to podziała. Nie mamy czasu...

Z początku myślałem, że wreszcie zmańdrzała i chce pomóc samej sobie, ale potem zauważyłem, że pogłaskała się delikatnie po brzuchu.

Wzięła kubek. Zatrzęsa jej się przy tym ręka i usłyszałem, jak w środku coś zachłupotało. Usiłowała wesprzeć się na łokciu, ale ledwo miała siłę unieść głowę. Kiedy zobaczyłem, jak bardzo osłabła w ciągu jednej doby, wzduż kręgosłupa przeszedł mnie piekący żarem dreszcz.

Rosalie objęła ją ramieniem, podpierając jednocześnie jej głowę, tak jak się to robi przy noworodkach. Musiała mieć hopla na punkcie małych dzieci.

- Dzięki - powiedziała Bella.

Rozejrzała się dookoła. Nawet w takiej chwili jeszcze się kłępowała. Założyłbym się, że gdyby nie była taka wymizerowana, to by się zarumieniła.

- Nie zwracaj na nich uwagi - mruknęła blondyna.

Poczułem się nieswojo. Powiniennem był sobie pójść, kiedy wspomniała o tym Bella. Nie pasowałem tu, nie byłem jednym z domowników. Zastanowiłem się, czy nie mógłbym się jakąś wymknąć, ale potem umysłowiłem sobie, że tylko pogorszyliby to sprawę - Belli jeszcze trudniej byłoby się przelamać, bo pomyślałaby sobie, że poszedłem, bo nie radziłem sobie z obrzydzeniem. Co właściwie aż tak bardzo nie mijalo się z prawdą.

Co poradzić? Z jednej strony nie chciałem brać na siebie odpowiedzialności za to, jaką metodę zastosowano, a z drugiej, nie miałem też ochoty przyczytnić się do tego, żeby próba jej realizacji skończyła się niepowodzeniem.

Bella podstaawiła sobie kubek pod nos, żeby powąchać wyłot słomki. Drgnęła i skrzywiła się.

- Bello, skarbie, możemy wymyślić coś innego - odezwał się z troską Edward, sięgając po kubek.

- Zatkaj sobie nos - poradziła Rosalie.

Patrzyła na rękę Edwarda z taką miną, jakby miała ochotę zatopić w niej zęby. Jaka szkoda, że się opanowała! Cullen z pewnością nie puściłby jej tego płazem, a bylibyśmy przeszczęśliwy, widząc, jak blondy na traci kończyinę.

- Nie, nie o to mi chodzi - powiedziała Bella. - Po prostu jestem zaskoczona. - Znowu powąchała słomkę. - Pachnie całkiem apetycznie - przyznała.

Przełknąłem ślinę, walcząc ze sobą, żeby na mojej twarzy nie pojawił się żaden grymas.

- To dobry znak - zachęciła ją Rosalie. - Musimy być na właściwym tropie. No, spróbuj.

Była taka zadowolona, że nie zdziwiłbym się, gdyby zaczęła podsłakiwać i wymachiwać rękami, jak piłkarz, który właśnie strzelił gola.

Bella wsunęła słomkę w usta. Zacinęła powieki i zmarszczyła nos. Ręka znowu się jej zatrzęsa i usłyszałem chlupot krwi. Ciągnęła płyn przez rękę przez kilka sekund, a potem jęknęła cicho, nie otwierając oczu.

Edward i ja doskoczyliśmy do niej jednocześnie. Dotknął jej twarzy. Zwinąłem schowane za plecami dłonie w pięści.

- Bello, najdroższa...

- Wszystko w porządku - szepnęła. Spojrzała na niego... przepraszącąco. Błagalnie. Z przetrachem. - W smaku też jest dobre.

Omali nie zymiotowałem. Zagryzłem usta.

- To świetnie - zagruchała blondyna, cała podekscytowana. - To dobry znak.

Edward nie nic powiedział. Wtulał dłoń w policzek Belli, układając palce tak by pasowały do kształtu jej kruchych kości.

Z westchnieniem zabrała się do picia. Tym razem pociągnęła naprawdę spory łyk. Zrobiła to z energią, której się po niej nie spodziewałem - jak gdyby brał nad nią górę jakiś tajemniczy instykt.

- Jaktam reakcja ze strony żołądka? - spytał Carlisle. - Nic ci się nie cufa?

Pokręciła przecząco głową.

- Nie, wcale mnie nie mdli. No cóż, zawsze musi być ten pierwszy raz.

Rosalie promieniowała.

- Wspaniale!

- Myślę, że jeszcze za wcześnie na świętowanie - bąknął doktor.

Bella wypila kolejny duży łyk krwi. Zerknęła na Edwarda.

- Czy właśnie przegrałam, czy zaczniemy liczyć dopiero, kiedy zostanę wampirem?

- Nikt jeszcze niczego nie podlicza - zapewnił ją z nieudanie wymuszonym uśmiechem. - Zresztą, w tym przypadku nikt przez, nie zginął. Nadal masz czyste konto.

Nic z tego nie kapowałem.

- Później ci to wyjaśnię - szepnęła Edward ciszej od szmeru.

Bella zauważyła, że poruszył ustami.

- Coś powiedziałeś?

- Nic, nie. Mówiłem tylko do siebie.

Jeśli miało im się poszczęścić, jeśli Bella miała przeżyć, została jedną z nich i zyskała czujne, wampirze zmysły, Edward musiał przygotować się, że jego kłamstwa przestaną uchodzić mu na sucho. Powinien zacząć ćwiczyć się w szczości.

Drgnęły mu wargi, ale powstrzymał uśmiech.

Bella pła dalej, nie patrząc na nas, tylko na okno. Prawdopodobnie udawała, że wcale nas tam nie ma. A może tylko, że mnie tam nie było? Nikogo innego z obecnych nie odrzucało to, co robiła. Wręcz przeciwnie - pewnie powstrzymała się siłą woli, żeby nie wyrwać jej kubka i samemu go nie wychylić.

Edward wznioł oczy ku niebu.

Jezu, jak oni z nim wytrzymał? Co za pech, że nie słyszał akurat myśli Belli. Tak by ją irytował, że wkrótce miałaby go po dziurki w nosie.

Zachichotał. Bella zaraz przeniosła na niego wzrok i widząc go w dobrym humorze, posłała półuśmiech. Domyśliłem się, że nie było jej dane go takim oglądać od wielu dni.

- Co cię tak rozkabawiło? - spytała.

- Jacob.

Teraz to ja zostałem obdarowany półuśmiechem.

- Tak - potwierdziła. - Jak on coś powie...

Świetnie. Czy li awansowałem na ich nadwornego błazna.

- Ba - bam - zanucilem, naśladowując nieudolnie odgłos uderzenia w obudowę i membranę bębna.

Bella znów się uśmiechnęła, po czym zabrała się z powrotem za opróżnianie kubka. Wykończyła jego zawartość z głośnym siorbnięciem, kiedy słomka zassała powietrze.

- Udało się! - oznajmiła triumfalnie. Głos miała wyraźnie mocniejszy - wciąż był zachrypnięty, ale po raz pierwszy tego dnia nie mówiła szeptem. - Carlisle, jeśli tego nie zwymiotują, wyjmiesz ze mnie te wszystkie igły?

- Tak szymbko, jak to tylko będzie możliwe - obiecał jej. - Jak na razie zupełnie się zresztą nie sprawdzają.

Rosalie czule poklepała Bellę po skroni. Wymieniły pełne nadziei spojrzenia.

Każdy to widział - kubek ludzkiej krwi natychmiast dodał jej sił. Powoli wracały rumieńce. Nie potrzebowała już chyba aż tak bardzo wsparcia Rosalie. Oddychała lżej i mógłbym przysiąc, że serce biło jej głośniej i bardziej miarowo.

Wszystko przyspieszyło.

Cień nadziei dostrzegalny wcześniej w oczach Edwarda zmienił się w silne uczucie.

- Chcesz więcej? - spytała Rosalie.

Bella posmutniała.

Edward spiorunował Rosalie wzrokiem, a potem zwrócił się do chorej:

- Nie musisz tak od razu.

- Wiem. Ale... chcę - wyznała ponuro.

Blondyna przeczesła palcami i jej przetruszczone włosy.

- Nie wstydz się, Bello. Masz prawo mieć różne zachcianki. To zrozumiałe. - Powiedziała to tonem pocieszy cielskim, ale potem dodała ostro: - Kto tego nie rozumie, nie powinien tutaj być.

To mnie miała oczywiście na myśli, ale nie zamierzałem dać się sprokować. Cieszyłem się, że Belli się polepszyło. Co z tego, że wybrana dla niej karacja mnie odrzucała? Czy jakoś to skomentowałem?

Carlisle wziął od Belli kubek

- Zaraz wracam. Wyszedł z pokoju.

Przyjrzała mi się.

- Jacob, wyglądasz okropnie - wychrypiała.

- I kto to mówi.

- Serio. Ile godzin jesteś już na nogach?

Zastanowiłem się nad tym.

- Hm... Tak właściwie to nie wiem.

- Ojej. Teraz jeszcze ty się przeze mnie rozchorujesz. Jake, nie bądź głupi.

Zacisnąłem zęby. To jej było wolno zabijać się dla potwora, ale ja nie mogłem zarwać kilku nocy, żeby się temu przyglądać?

- Proszę - ciągnęła - prześpij się trochę. W pokojach na górze są łóżka. Możesz wybrać, które chcesz.

Mina Rosalie powiedziała mi, że z jednego z nich nie będę mógł jednak skorzystać. Na co w ogóle tej Bezsennej Królowie było łóżko? Przy pominiała rozpieszczoną dziewczynkę, która nie pozwala nikomu dotykać swoich zabawek.

- Dziękuję za propozycję, Bells, ale wolałbym się przespać w lesie. Rozumiesz, jak najdalej od tego zapachu.

Skrzywiła się.

- No tak

Akurat wrócił Carlisle. Wyciągnęła rękę po kubek, ale tym razem, głęboko zamyślona, zupełnie nie zwracała uwagi na to, co robi. Szczyła w płyn w milczeniu.

Naprawdę, zdrowiała w oczach. Uważając na łączące ją z aparaturą rurki, podciągnęła się i ostrożnie uisadła. Rosalie nachyliła się zaraz ku niej, gotowa ją złapać, gdyby zabrakło jej sił, ale nie takiego się nie wydarzyło. Bella szymbko opróżniła kubek, odychając głęboko pomiędzy łykami.

- I jak się czujesz? - odezwał się Carlisle.

- Dobrze. Nie chce mi się wymiotować, ani nic. Jestem tylko taka... jakby głodna. Ale nie mam pewności, czy to takie zwykłe ludzkie głód, czy wciąż to wampirze pragnienie. Wiesz, o co mi chodzi.

- Carlisle, tylko spojrz na nią - zamruczała blondyna, taka zadowolona, że mogłaby świętować jak kanarek - Nie ma najmniejszych wątpliwości, że tego właśnie jej trzeba. Moim zdaniem powinna dostać trzecią porcję.

- Bella nadal jest człowiekiem, Rosalie. Jeść też coś musi. Może odcełajmy chwilę, żeby zobaczyć, jakie ta metoda przyniesie efekty, a potem przeprowadzimy próbę z czymś bardziej tradycyjnym. Bello, na co miałabyś apetyt?

- Na jajka - odpowiedziała bez namysłu.

Uśmiechnięci, wymienili z Edwardem porozumiewawcze spojrzenia. Cullen nie doszedł jeszcze w pełni do siebie, ale od dnia ich ślubu nie widziałem go tak ożywionego.

Zamrugalem wtedy i o mało co nie zapomniałem otworzyć oczu.

- Jacob - Edward zabrał głos - nie torturuj się, powinienes iść spać. Tak, jak powiedziała Bella, możesz tu czuć się jak u siebie w domu, chociaż pewnie będzie ci wygodniej na dworze. Nie martw się, że coś przegapisz - jakby co, na pewno cię znajdę.

- Jasne - bąknąłem.

Miał rację. Teraz, gdy Bella zyskała co najmniej kilka godzin, mogłem zostawić ją z czystym sumieniem i zwinąć się gdzieś w kłębek pod drzewem - na tyle daleko stąd, żeby nie dosięgał mnie ich smród. Jakby co, pijawka mnie obudzi. Mogłoby w ten sposób spłacić częściowo swój dług wdzięczności.

- Zgadza się - potwierdził.

Skinąłem głową i położyłem dłoń na dłoni Belli. Była zimna jak lód.

- Oby tak dalej, Bells.

- Dziękuję, że mnie wspierasz.

Obróciła dłoń, żeby uściśnąć mi rękę. Poczulem, jak obręczka przesuwa się swobodnie po jej wychudzonym palcu.

- Dalibyście jej jakiś koc czy coś - mrucnąłem pod nosem, ruszając w kierunku drzwi.

Zanim do nich doszedłem, panującą na zewnątrz ciszę rozdarło wycie dwojga wilków. Rozpoznałbym, gdyby któreś z nich tylko poniosły emocje. Tym razem nie było mowy o nieporozumieniu. Moja wataha ogłaszała alarm.

- Cholera - warknąłem.

Wybiegłem na werandę i dałem potężnego susa, pozwalając, by jeszcze w locie rozsadzili mnie ognisty dreszcz. Przeobrażając się, usłyszałem dźwięk rozdieranego materiału. Moje szorty! Kretyn. Nie miałem nic na zmianę. Ale teraz nie to było najważniejsze. Wyładowawszy już na łapach, pomknąłem na zachód.

Co jest? wykrzyknąłem w myślach.

Zbliżają się, odpowiedział Seth. Co najmniej trzech.

Rozdzielili się?

Patruję granicę z przeciwną stroną z prędkością światła, oznajmiła Leah, i jaka na razie nic.

Seth, tylko ich NIE atakuj, rozumiano? Zaczekaj na mnie.

Zwalniają. Uch, to idiotyczne nie móc słyszeć, co kombinują. O! Wydaje mi się...

Co?

Wydaje mi się, że się zatrzymał.

Czekają na pozostałych?

Cii! Czujesz to?

Skoncentrowałem się na tym, co do niego docierało. Powietrze w lesie jakby bezgłośnie zdradzało.

Któryś zmienia się w człowieka?

Na to wygląda, stwierdził Seth.

Leah wypadła na polankę, na której stał. Żeby wyhamować, wbiła pazury w ziemię, aż ją zarzuciło niczym wyścigowe auto.

Mam cię, braciszku.

Są coraz bliżej, powiedział zdenerwowany. Idą. Powoli.

Zaraz tam będę, przyrzekłem.

Spróbowałem w biegu dorównać Lei. Czulem się strasznie ze świadomością, że grozi im niebezpieczeństwo, a mnie przy nich jeszcze nie ma. Że też atak nie mógł nadejść z innej strony! Tak, żebym mógł znaleźć się pomiędzy nimi a tym, co im groziło. Czymkolwiek by to nie było.

Kto by pomyślał, że miewasz takie opiekuńcze zapędy, rzuciła cierpko Leah.

Skup się lepiej na tym, co się dzieje.

Jest ich czterech, zdecydował Seth. Dzieciak miał naprawdę dobry słuch. Trzy wilki i jeden człowiek.

Ledwie to powiedział, dotarłem do polanki, gdzie od razu ustawiłem się w szyku, z samego przodu. Seth odetchnął z ulgą i wyprostowawszy się, z radością zajął miejsce na prawo ode mnie. Leah podreptała na pozycję po mojej lewej, ale zrobiła to ze znacznie mniejszym entuzjazmem.

Czy li Seth stoi wyżej ode mnie w hierarchii, pomyślała naburmuszona.

Kto pierwszy, ten lepszy, odparł, zadowolony ze swojej zapobiegliwości. Poza tym, nigdy nie byłaś druga po Alfie. Zawsze to jakiś awans.

Jeśli muszę się teraz słuchać takiego smarkacza, jak ty, to mam w nosie taki awans.

Cicho tam! upomniałem ich. Mam gdzieś, gdzie stoicie. Zamknijcie się i przygotujcie.

Przybysze ukazali nam się kilka sekund później. Tak, jak to przewidział Seth, szli, a nie biegli. Pierwszy wyłonił się zza drzew Jared, w ludzkiej postaci, z rękami w górę. Paul, Quil i Collin podążali za nim na czterech łapach. Zaden z wilków nie okazywał agresji - mieli się na baczności, ale w pełni się kontrolowali.

Zdziwiło mnie jedno - że Sam wybrał Collina a nie Emlyn 'ego. Nie tak bym postąpił, gdyby m wysyłał misję pokojową w głąb terytorium wroga. Postawiłbym na kogoś doświadczonego w walce. Collin był jeszcze dzieckiem.

Może ci tutaj mają tylko uspić naszą czajność? zasugerowała Leah.

A Sam planował zmierzyć się Cullenami, mając do pomocy tylko Embry 'ego i Brady 'ego? Było to bardzo mało prawdopodobne.

Mam to sprawdzić? Dwie minuty i będę z powrotem.

Może powinienem ostrzec Cullenów? zastanowił się Seth.

A co, jeśli chodzi o to, żeby nas rozdzielić? spytałem. Cullenowie słyszeli wasze wycie. Są w gotowości.

Sam nie zachowałby się tak lekko myślnie... szepnęła Leah, próbując podnieść na duchu samą siebie. Wyobrażała sobie właśnie, jak jej ukochany atakuje wampiry, nie zważając na ich ponad dwukrotną przewagę liczebną.

Jasne, że nie, zapewniłem ją, chociaż jej wizja sprawiała, że i mnie obciążył strach.

Przez cały ten czas, Jared i trzy wilki obserwowali nas, czekając na naszą reakcję. Dziwnie się czulem, nie mogąc podsłuchiwać myśli Quila, Paula i Collina. Z ich min nie udawało mi się niczego wyczytać.

Jared odchrząknął, a potem skinął na mnie głową.

- Nie mamy zych zamiarów, Jake. Chcemy porozmawiać. Myślisz, że to prawda? spytał mnie Seth.

Niby to ma sens. Ale kto ich tam wie...

Tak przytaknęła mi Leah. Ale kto ich tam wie...

Zadne z nas się nie rozluźniło.

Jared ściągnął brwi.

- Byłoby nam łatwiej, gdybyś ty też mógł zabierać głos. Przyjrzałem się mu z powątpiewaniem. Zamierzałem zmienić się w człowieka dopiero wtedy, kiedy miałem poczuć się nieco pewniej. Kiedy miałem poznać odpowiedzi na

wszystkie dręczące mnie pytania. Dlaczego Collin? To intrygowało mnie najbardziej.

- Dobra - poddał się Jared. - Widzę, że muszę powiedzieć ci to, co mam do powiedzenia, i tyle. Jake, chcemy, żebyś do nas wrócił.

Dla potwierdzenia jego słów, Quil zaskowywał błagalnie.

- Jesteśmy nadal jedną rodziną. Nie niszczy tego. To nie tak powinno wyglądać.

Co do bycia rodziną, nie mogłem się z nim nie zgodzić, ale co to miało teraz do rzeczy? Ja i Sam nie przestaliśmy się różnić w bardzo istotnych kwestiach.

- Wiemy, jak bardzo... jak bardzo jesteś zaangażowany uczuciowo w to, co się dzieje u Cullenów. Sami też tego nie bagatelizujemy. Ale z tym odłączeniem się od sfory, to cię poniosło.

Poniosło?! warknął Seth. A jak postanowiliście zaatakować swoich sojuszników bez ostrzeżenia, to was nie poniosło, co?! Seth, słyszałeś kiedyś co to „twarz pokerzy sty”? Uspokój się.

Przepraszam.

Jared przeniósł wzrok z Setha z powrotem na mnie.

- Sam jest gotowy się jeszcze wstrzymać. Opadły już emocje, przedyskutowałem całą sprawę ze starszymi i doszliśmy do wniosku, że pośpiech nie leży w naszym interesie.

Z ichniego na nasze: stracili element zaskoczenia, uzupełniła Leah.

Jak to szybko poszło! Az mi było z tym nieswojo. Czyli nasza dawna sfera była teraz sferą Sama, a o chłopakach mówiliśmy „oni”? Z dnia na dzień zmienili się w obcych, którym nie można było ufać. I w dodatku to Leah tak

myślała - to ona stała po mojej stronie i to mnie obejmowało jej „my”.

- Billy i Sue podzielają twoją opinię, Jacob - że można zacząć, aż Bella... aż Bellę da się z tego wyłączyć. Żaden z nas nie czułby się dobrze, gdyby przyszło mu ją zabić.

Chociaż przed chwilą upomniałem za to Setha, nie mogłem się opanować i icho warknąłem. Żaden z nich nie czułby się z tym dobrze. Jak miło.

Jared znowu podniósł ręce do góry.

- Jacob, wyluzuj. Wiesz, co mam na myśli. Najważniejsze jest to, że jesteśmy gotowi zacząć i zobaczyć, jak się rozwinie sytuacja. I dopiero za jakiś czas podjąć decyzję, czy ten... czy to coś i min zagraża.

Ha, pomyślała Leah. Bo uwierz.

Nie kupujesz tego?

Wiem, co knują, Jake. Wiem, co Sam knuje. Liczą na to, że Bella umrze tak czy siak i że wtedy do tego stopnia ci odbije...

Że sam poprowadzę ich do ataku?

Uszy przywarły mi płasko do czaszki. Czy Leah ich przejrzała?

Wszystko to brzmiało zupełnie logicznie, był to bardzo prawdopodobny scenariusz. Kiedy... Jeśli to coś miało zabić Bellę, łatwo zdołabym zapomnieć, co teraz czulem wobec Cullenów. Znowu miałbym ich za wrogów - za żywiące

się krwią pijawy.

Przypomniałbym ci, szepnęła Seth.

Wiem, mały. Pytanie tylko, czy chciałbym cię słuchać.

- Jake? - odezwał się Jared.

Westchnąłem ciężko.

Leah, zrób rundkę - tak na wszelki wypadek. Muszę z nim pogadać, a chcę mieć stuprocentową pewność, że kiedy będę człowiekiem, nic mnie nie zaskoczy.

Nie bądź taki wstydlawy. Przy mnie też możesz się przeobrazić. Wierz mi, starałam się, jak mogłam, ale i tak widziałam cię już nago. Nie przejmuj się, nie kręczysz mnie.

Nie próbuję dbać o twoją cnotę, tylko zabezpieczyć cię. Już cię tu nie ma!

Leah sarknęła, ale wystrzeżila w las. Słyszałem, jak przed każdym susem wbija pazury w ziemię, żeby jak najlepiej się odbijać.

Obnazanie się przy innych członkach sfory było czymś, czego nie dawało się uniknąć, ale dopóki nie dołączyła do nas Leah, było nam to właściwie obojętne. Dopiero wtedy zrobił się problem. Średnio panowała nad wybuchami

gniewu i kiedy uczyła się być wilkołakiem, potrzebowała trochę czasu, zanim opanowała sztukę przeobrażania się na życzenie. Nic w tym dziwnego, ale wcześniej, gdy tylko się zdenerwowała, eksplodowała, rozrywając na sobie ubranie, i

każdy z nas, chcąc nie chcąc, coś tam podejrział. Nie żeby nie było warto zerkać w takich momentach w jej stronę - gorzej, jeśli przyłapała kogoś na wspomnianiu takiej sytuacji.

Jared i wilki wpatrywali się w punkt, w którym zniknęła. Nie wiedzieli, co tym myśleć.

- Dokąd pobiegła? - spytał Jared.

Zignorowałem go. Zamknąwszy oczy, skupiłem się na przemianie. Wrażenie było takie, jakby zdrągła powietrze wokół mnie - i we mnie - i to we mnie zaczęło falami ulatywać. Uniosłem się na tylnych łapach z takim wyciuciem,

że kiedy przeniosłem na nie ciężar ciała, zmieniłem się w człowieka i mogłem stanąć prosto.

- Och - wyrwało się Jaredowi. - Cześć.

- Cześć.

- Dzięki, że chcesz ze mną porozmawiać.

- Nie ma za co.

- Naprawdę, chcemy, żebyś do nas wrócił.

Quil znowu zaskowywał.

- Nie wiem, czy to takie proste, Jared.

- Wróć do domu - powiedział, pochylając się ku mnie. Był gotowy mnie błagać. - Jakoś się dogadamy. Nie możesz tak żyć. Sethowi i Lei też pozwól wrócić.

Zaśmiałem się.

- Jasne, pozwól. A do czego ja ich niby staram się kółko przekonać?

Seth prychnął mi za plecami.

Jared przyjrzał się mu uważnie, trawiąc moje słowa.

- To co robimy?

Zamyśliłem się nad odpowiedzią. Czekał cierpliwie.

- Nie wiem. Ale nie jestem pewien, czy da się tak po prostu wrócić do punktu wyjścia. Nie wiem, jak tym się steruje. Nie wydaje mi się, żebym mógł włączać i wyłączać w sobie Alfę na zawołanie. To chyba permanentny stan.

- Twoje miejsce jest przy nas.

Uniosłem brwi.

- Jared, w jednej sforze nie może być dwóch Alf. Pamiętasz, jak o mało co nie skoczyliśmy sobie wczoraj z Samem do gardeł? Instynkt bierze górę.

To co, będziecie teraz do końca życia trzymać się ty ch pasożytów? Wasz dom jest gdzie indziej. Nawet nie macie w co się ubrać. Zamierzacie cały czas być wilkami? Wiesz przecież, że Leah nie lubi jeść surowego mięsa.

Kiedy Leah zgłodnieje, może zrobić, co zechce. Jest ze mną z własnej nieprzymuszonej woli. Ja tam nikogo do niczego nie nastawiam.

Jared westchnął.

Sam chciałby cię przeprosić za to, jak cię wczoraj potraktował.

Skinąłem głową.

Już nie jestem na niego zły.

- Ale?

- Ale nie wrócić. Jeszcze nie teraz. Też chcemy poczeć i zobaczyć, jak to się wszystko potoczy. I będziemy patrolować terytorium Cullenów tak długo, jak długo będzie nam się to wydawało konieczne. Bo, wbrew temu, co

myślicie, tu nie chodzi tylko o Bellę. Chronimy ty ch, którzy powinni być chronieni. A Cullenowie też się zaliczają do tej grupy.

A przynajmniej większość z nich.

Seth szczełnął, żeby wyrazić swoje poparcie.

Jared zmarszczył czoło.

- Widzę, że cię raczej nie przekonam.

- Nie teraz. Poczekamy, zobaczymy. Zwrócił się do Setha:

- Sue kała ci przekazać, że masz... Nie, kała mi ciebie błagać, żebyś wrócił do domu. Jest załamana. Zostawiliście ją zupełnie samą. Nie wiem, jak mogliście z Leą zrobić coś takiego własnej matce. Porzucić ją w ten sposób,

kiedy wasz ojciec dopiero co zmarł...

Seth zajączął.

- Dałbyś spokój, Jared - warknąłem.

- Opowiadam mu tylko, co się dzieje u niego w domu.

- Jasne - prychnąłem. Sue była twardsza od każdego, kogo znałem. Twardsza od mojego ojca, twardsza ode mnie. Na tyle twarda, by pozwolić Jaredowi grać na emocjach swoich własnych dzieci, jeśli tylko miało to sprowadzić je

z powrotem. Ale takie manipulowanie Sethem nie było fair. - Sue wie o tym od ilu godzin? A większość tego czasu spędziła z Billym, Starym Quilem i Samem, prawda? Tak na pewno po prostu umiera z samotności. Ale oczywiście, jeśli

chcesz, możesz iść, Seth. Wiesz o tym.

Pociągnął nosem.

Nagle nastawił ucha ku północy. Leah musiała już być blisko. Kurczę, była naprawdę szybka. Pojawiła się, zanim dwukrotnie mrugnąłem, i wyhamowała ostro w zaroślach kilka metrów ode mnie. Wszedłszy na polankę, zajęła

moje dawne miejsce przed Sethem. Trzymała nos wysoko w górze i ostentacyjnie nie spoglądała w moim kierunku. Doceniałem jej wysiłki.

- Leah? - Teraz Jared zamierzał wypróbować swoje sztuczki na niej.

Łaskawie zwróciła na niego uwagę, ale jednocześnie odsłoniła odrobinę kły.

Jared nie wydał się zaskoczony jej wrogością.

- Leah, dobrze wiesz, że nie chciesz tutaj być.

Warknęła na niego. Posłałem jej ostrzegawcze spojrzenie, którego nie zauważyła. Seth jęknął i trącił ją ramieniem.

- Przepraszam - Jared wycofał się na moment. - Chyba nie powinienem był niczego zakładać z góry. Ale przecież z krwiopijcami i nie cię nie łączy.

Leah popatrzyła znacząco na swojego brata i na mnie.

- Rozumiem, chcesz mieć oko na Setha - powiedział Jared. Zerknął podejrzliwie na mnie, a potem znowu na Leę. Najprawdopodobniej zastanawiał się, o co jej chodziło z tym drugim spojeniem. Podobnie jak ja. - Ale Jake nie

pozwoli, żeby stała mu się krzywdą - ciągnął - no i on sam nie boi się tu być. - Skrzywił się.

Zresztą, mniejsza o niego. Proszę cię, Leah. Chcemy, żebyś wróciła. Sam chce, żebyś wróciła.

Lei drgnął ogon. Sam kazał mi cię błagać. Powiedział, że jeśli będzie trzeba, mam paść przed tobą na kolana. Chce, żebyś wróciła do domu. Tak Lee. Tam, gdzie prawdziwie przy należyż.

Dostrzegłem, że wzdrygnęła się, kiedy Jared nazwał ją tak, jak kiedyś Sam. A potem, kiedy dodał ostatnie cztery słowa, zjężyła sierść na karaku i warknęła przeciągle przez zacziśnięte zębiska. Nie musiałem siedzieć w jej głowie, żeby usłyszeć, że to stek przekleństw, i Jared też nie musiał. Niemal dało się rozróżnić pojedyncze obelgi.

Odczekałem, aż skończyła.

- Wiem, że nadstawiam teraz za Leę karku, ale chciałbym podkreślić, że „prawdziwie przy należyż” tam, gdzie jej się to żywnie podoba.

Znowu warknęła, ale chyba po to, żeby pokazać, że się ze mną zgadza, bo patrzyła przy tym na Jareda.

- Sluchaj, Jared, postawmy sprawę jasno, jesteśmy nadal rodziną. Jakoś się w końcu dogadamy, ale dopóki to nie nastąpi, powinniście raczej trzymać się granic swojego terytorium. Tylko po to, żeby nie było żadnych nieporozumień. Niki nie lubi kłótni w rodzinie, prawda? Sam też wolałby unikać spieć, nie mam racji?

- Jasne, że by wolał - odparł opryskliwie Jared. - Nie będziemy przekraczać granic naszych ziem. Ale gdzie jest twoje terytorium, Jacob? Czy to teraz terytorium wampirów?

- Nie, Jared. Tymczasowo jestem bezdomny. Ale nie martw się o mnie. To nie potrwa wiecznie. - Musiałem głęboko odetchnąć. - Już niedługo... Nie zostało jeszcze aż tak dużo czasu. A po wszytłkim, Cullenowie się wyprowadzą, a Seth i Leah wrócą do domu.

Clearwaterowie zaskowytali chóralnie, zwracając się nosami w moją stronę.

- A co będzie z tobą, Jake?

- Pewnie znowu będę wędrował. Nie mogę kręcić się po okolicy. Dwie Alfy nie powinny wchodzić sobie w paradę. Poza tym, i tak miałem takie plany. Zanim jeszcze wszystko się pokomplikowało.

- Jak możemy się teraz z wami komunikować?

- Zawyjcicie. Ale nie przekraczajcie granicy, okej? Przyjdziemy do was. I przekaz Samowi, że nie musi przysyłać takich licznych delegacji. Nie zamierzamy się z wami bić.

Jared nastroszył się, ale skinął głową. Nie podobało mu się, że stawiam Samowi jakieś warunki.

- To do zobaczenia. A może nie?

Pomachał nam bez przekonania.

- Czekał, Jared. Jeszcze jedno małe pytanie. Czy z Embrym wszystko w porządku?

Szczerze się zdziwił.

- Z Embrym? Jasne, że wszystko z nim w porządku. A bo co?

- Zaintrygowało mnie tylko, czemu Sam przysłała Collina. Przyglądałem mu się badawczo, wciąż wierząc, że coś przede mną ukrywają. Wychwyliłem dziwny błysk w jego oku, ale nie wyglądał na ten, którego się spodziewałem.

- Obawiam się, Jake, że to już nie twój interes.

- Pewnie nie. Po prostu byłem ciekaw.

Kątem oka zobaczyłem, że Quil drgnął, ale nie dałem po sobie nic poznać, żeby go nie zdradzić. Najwyraźniej był bardziej skłonny do zwierzeń.

- Przekażę Samowi twoje... zalecenia. No to cześć.

Westchnąłem.

Cześć. Hej, powiedz mojemu ojcu, że nie mi nie jest, dobra? I że mi przykro, że tak to wyszło, i że go kocham.

- Powiem mu, powiem.

- Z góry dziękuję.

- Chodźcie, chłopaki - Jared rzucił do wilków. Odwróciwszy się ruszył przed siebie. Ze względu na Leę, wolał się przy nas nie przeobrazić.

Paul i Collin zaraz się zerwali, ale Quil się zawałał i jęknął cicho.

Zrobiłem krok do przodu.

- Tak wiem. Mi też ciebie brakuje. Podbiegł do mnie ze zwieszonym smutno łbem. Poklepałem go po ramieniu.

Wszystko się ułoży.

Zaskowytali.

- Powiedz Embry 'emu, że to już nie to samo, kiedy się nie ma was dwóch za sobą.

Skinął łbem, a potem przycisnął mi swój zimny nos do czoła, Leah prychnęła. Podniósł głowę, ale nie po to, żeby zgromić ją wzrokiem, tylko żeby spojrzeć za siebie, tam, gdzie zniknęli pozostali.

- Tak Quil - powiedziałem. - Wracaj do domu.

Znowu jęknął, ale posłuchał mnie i potruczał w las. Mogłem się założyć, że Jared nie będzie wobec niego zbyt wyrozumiały. Gdy tylko przesloniły go drzewa, wydobylem na zewnątrz ciepło kryjące się w głębi mojego ciała i pozwoliłem mu rozejść się po swoich kończynach. Jeden ognisty dreszcz i ponownie stanąłem na czterech łapach.

A już myślałam, że pójdziecie ze sobą do łóżka, zadrwiła Leah.

Puściłem jej komentarz mimo uszu.

I jak mi poszło? spytałem ich. Martwiłem się, bo niby występowałem także w ich imieniu, ale nie mogąc słuchać ich myśli, nie byłem do końca pewien, czy reprezentowałem ich poglądy. Nie chciałem być taki jak Jared. Nie chciałem niczego zakładać. Czy powiedziałem może coś, co nie przypadło wam do gustu? Albo w drugą stronę, frustrujecie się, bo zapomniałem o czymś ważnym?

Poszło ci świetnie! pochwalił mnie Seth.

Chociaż mogłeś go wałnąć w pewnym momencie, pomyślała Leah. Nie miałyby mi nic przeciwko.

A ta sprawa Embry 'ego...

Seth pokręcił głową. Ale się porobiło, że Sam nie pozwolił mu przyjść.

Nie załapałem.

Jako, nie pozwolił mu przyjść?

Nie domyśliłeś się, Jake? Przecież widziałeś Quila. Jest rozdarty. Dałbym dziesięć dolców do jednego, że Embry jest w jeszcze gorszym stanie. A pamiętaj, że Embry nie ma Claire. Quil nie może tak po prostu zrezygnować z wizyt w La Push. To dla niego wręcz fizycznie niemożliwe. Ale dla Embry 'ego jak najbardziej. Więc Sam woli za wszelką cenę unikać sytuacji, w których mógłby wystawić go na pokuszenie. Nie może na to pozwolić, żeby nasza sfora była większa od jego.

Naprawdę tak sądzisz? Wątpię, żeby Embry miał coś przeciwko rozerwaniu na strzępy kilku Cullenów.

Ale jakby nie było, jest twoim najlepszym przyjacielem. On i Quil woleliby już przejść na twoją stronę, niż zostać zmuszeni do walki przeciwko tobie.

W takim razie, jestem zadowolony, że Sam kazał zostać mu w domu. Jeśli o mnie chodzi, ta sfora jest już dostatecznie duża. Westchnąłem. No, dobra, to na jakiś czas mamy niby spokój. Seth, zostaniesz teraz sam na warcie. Mogę na ciebie liczyć, że niczego nie przegapisz? Leah i ja musimy się przekłamać. Do niczego nie można się było przy czepić, ale kto wie? Może jednak coś kombinują.

Nie zawsze byłem taki przewrażliwiony, ale nie mogłem zapomnieć, jak Sam czuł się poprzedniego wieczoru. Tak bardzo zależało mu na zlikwidowaniu zagrożenia, że był zupełnie zaślepiony. Czy zamierzał wykorzystać fakt, że mógł nas teraz okłamywać?

Jasne, wyśpijcie się. Seth był przeschęśliwy, że może się na coś przydać. Czy mam zdać raport Cullenom? Pewnie się denerwują.

Ja do nich najpierw wpadnę. I tak chciałem sprawdzić, jak tam karacja Belli.

W moim umyśle pojawiły się obrazy z przemienionego w salę szpitalną salonu.

Fuj, jęknął zaskoczony Seth.

Leah potrząsnęła łbem, jakby próbowała pozbyć się w ten sposób moich wspomnień.

Cholera jasna, to chyba najobrzydliwsza rzecz, o jakiej w życiu slyszalam! Co za ohyda! Dobrze, że mam pusty żołądek bo bym się porzygała.

Seth odczekał minutę, żeby się uspokoiła, i dopiero wtedy dodał:

Cóż, to w końcu wampiry. To znaczy, można się było tego po nich spodziewać. A jeśli to pomaga Belli wrócić do zdrowia, to można się tylko cieszyć, prawda?

Oboje z Leą spojrzeliśmy na niego, jakby spadł z Księżyca.

Co takiego?

Kiedy był mały, mama często go niechcący upuszczała, wyjaśniła mi Leah.

Rozumiem, że ładował na głowie?

Lubił też gryźć pręty swojego łóżeczka.

Pomalowane farbą z ołowiem?

Na to wygląda.

Bardzo zabawne, sarknął Seth. Może byście się już tak zamknęli i poszli spać?

**Kiedy jest naprawdę źle?
Kiedy ma się wyrzuty sumienia,
że się było chamskim wobec wampirów**

Przed domem Cullenów nikt nie czekał na moją relację. Czyżby nieustannie spodziewali się ataku?

Wszystko w porządku, pomyślałem ze zmęceniem.

Znałem już fasadę domu na tyle dobrze, iż zauważyłem, że coś się zmieniło. Na dolnym stopniu schodków werandy leżała kupka kolorowych, jasnych szmat. Podeszedłem bliżej. Wstrzymując oddech trąciłem szmaty nosem. Nasycone wampirzym smrodem niewyobrażalnie cuchnęły.

Wyglądało to na komplet ubrań. Hm. Edward musiał wychwycić, jak przemieniałem się w locie - wypominałem sobie swoją głupotę. Miło z jego strony, że pomyślał. Ale było mi z tym dziwnie.

Ostrożnie wzięłem tłumok w zęby i zaniosłem do lasu. Tak na wszelki wypadek, bo mogło się okazać, że to tylko żart blond psychopata i są w nim same ciuchy dla dziewczyn. Dopiero miałaby ubaw z mojej miny, gdybym, goły jak święty turecki, zorientował się, że trzymam w ręce sukienkę!

Za zasłoną drzew odrzuciłem ubrania na mech, zmieniłem się w człowieka i zabrałem się do ich starannego wytrzępiania - żeby choć trochę mniej śmierdziały, wymłóciłem je porządnie o pobliski pień. Na szczęście, były przeznaczone dla faceta i chyba miały być dobre na szerokość (musiały należeć do Emmetta), jednak zarówno biała koszula, jak i jasnoniebieskie spodnie, okazały się za krótkie. W koszuli podwinąłem rękawy do łokci, ale ze spodniami nie mogłem nie zrobić. Ech, pomyślałem, jakoś to przeżyję.

Musiałem przyznać, że poczułem się dużo lepiej, kiedy w moim posiadaniu znalazły się jakieś ubrania - pomimo, że cuchnęły i były na mnie za małe. Trudno było żyć ze świadomością, że w razie czego nie można po prostu podskoczyć do domu i zabrać starych spodni od dresu. Co tu ukrywać, byłem bezdomny - nie miałem dokąd wracać. Nie miałem też żadnego majątku, co może teraz za bardzo mi nie przeszkadzało, ale już niedługo mogło załgać działać na nerwy.

Przebrawszy się w nowe używane ciuchy, ledwie trzymając się i ni nogach ze zmęczenia, wszedłem powoli po schodkach na werandę, ale przed drzwiami się zawałem. Czy powinienem był zapukać? Niby wiedzieli, że przyszedłem. Tylko czemu nikt się nie pojawił? Spodziewałem się jakiejś reakcji, a tu nikt ani nie zaprosił mnie do środka, ani nie powiedział, że mam spaść. Trudno. Wzruszyłem ramionami i przekroczyłem próg.

Jeszcze więcej zmian. Przez te dwadzieścia minut, kiedy mnie nie było, zdążyli przywrócić salon do poprzedniego stanu. Grał cicho wielki telewizor - puścili jakąś komedię obyczajową dla kobiet, ale nikt nie wydawał się być nią zainteresowany. Carlisle i Esme stali przy ścianie od strony rzeki, która znowu była ze szkła, a nie ze stali. Alice, Jasper i Emmett rozmawiali na piętrze. Bella leżała na kanapie, podobnie jak poprzedniego wieczoru, a w jej ciele tkwiła tylko jedna rurka. Za sofą ze stojaka po staremu wisiała kropelówka. Podczas mojej obecności Cullenowie owinęli Bellę kilkoma koldrami - tak szczerze, że przypomniała naleśnik albo mumię. Dobrze, że mnie posłuchali. Rosalie siedziała na podłodze u węgłowia kanapy, a Edward na kanapie z przeciwnej strony, z końcówką kokonu z kolder na kolanach. Podniósł wzrok i uśmiechnął się do mnie - tak na ułamek sekundy wygiął kąciaki ust - jak gdyby ucieszył się na mój widok.

Bella nie usłyszała, że wszedłem. Zerknęła na mnie tylko dlatego, że zrobił to Edward. Też się uśmiechnęła, ale bynajmniej nie tak zdawkowo jak on. Oczy jej rozbiły. Po prostu promieniowała radością. Nie pamiętałem, kiedy ostatni raz witała mnie z taką energią i entuzjazmem.

Na litość boską, przecież była mężatka! I to szczęśliwą mężatką - nie było wątpliwości, że kochała swojego wampira nad życie. W dodatku była w mocno zaawansowanej ciąży.

Więc dlaczego, do cholery, musiały się tak ekscytować moją wizytą? Jak gdyby m samym swoim pojawieniem się sprawiał jej jakąś dziwą przyjemność.

Gdyby tak miała mnie gdzieś... albo jeszcze lepiej - gdyby nie życzyła sobie, żeby m się do niej zbliżał. O ile łatwiej byłoby mi wtedy trzymać się od niej z daleka!

Edward wydawał się podzielać moje zdanie. Ostatnio tak często byliśmy jednomyślni, że można było od tego oszaleć. Przyglądał się wpatrzony we mnie, radosnej Belli, marszcząc czoło.

- Chcieli tyko pogadać - wymamrotałem. Ciężko mi było mówić, bo zasypiałem na stojąco. - W najbliższym czasie na pewno nie zaatakują.

- Wiem - odparł. - Prawie wszystko słyszałem.

Nieco mnie to ocucilo. Spotkaliśmy się z delegacją sfory dobre pięć kilometrów od domu Cullenów.

- Jakim cudem?

- Ostatnio przebywałem sporo w swoim towarzystwie, więc nauczyłem się lepiej cię rozróżniać i przez to coraz lepiej cię teraz słyszę. Jest mi też odrobinę łatwiej wyłapywać twoje myśli, kiedy jesteś człowiekiem. W rezultacie niewiele chyba przegapiłem z waszej rozmowy.

- Och. - Zirytowałem się na niego, że ma takie zdolności - właściwie zupełnie bez sensu. Postanowiłem wziąć się w garść. - Fajnie. Nie lubię się powtarzać.

- Mówiłam ci, żebyś położył się do łóżka - odezwała się Bella - ale, jak widzę, i tak za jakiś szesć sekund stracisz przytomność, więc chyba nie ma po co ci o tym przypominać.

Trudno było uwierzyć, o ile dźwięczniejszy miała głos, o ile zdrowiej wyglądała. Poczułem zapach świeżej krwi i zobaczyłem, że w dłoniach znów trzyma swój kubek. Ile krwi potrzebowała, by pozostać przy życiu do porodu? Czy w pewnym momencie Cullenowie nie mieli zostać zmuszeni do zamordowania kilku sąsiadów?

Nie chciałem spać u nich w domu. Idąc ku drzwiom, odliczałem dla Belli sekundy:

- Jedna Missisipi, dwie Missisipi...

- Widzisz gdzieś tu jakąś powódź? - mruknęła Rosalie.

- Wiesz, jak utopić blondynkę? - spytałem ją, nie odwracając się za siebie. - Wystarczy przykleić lusterko do dna basenu.

Zanim zamknąłem za sobą drzwi, usłyszałem śmiech Edwarda, jego nastrój był wyraźnie zależny od stanu zdrowia Belli.

- Stary dowcip! - zawołała za mną Rosalie.

Zszedłem ociężale po schodkach werandy. Moim jedynym celem było dowiezienie się do granicy lasu, gdzie było czystsze powietrze. Ofiarowane ubrania planowałem zostawić nieopodal domu, zamiast przywiązywać je do nogi, żeby oszczędzić sobie konieczności ciągnięcia ich wachania. Przemierzając trawnik, manipulowałem niezdarne przy guzikach koszuli. Pomyślałem, że nie ma szans, żeby guziki kiedykolwiek stały się modne wśród wilkołaków.

- Dokąd idziesz? - spytała w salonie Bella.

- Zapomniałem mu o czymś powiedzieć.

- Daj mu się wyśpać. To chyba może poczekać, prawda? Tak, Edward, błagam, daj mi się wyśpać.

- To zajmie tylko chwilę.

Odwrociłem się powoli. Był już na zewnątrz. Podeszedł do mnie z przeproszącym wyrazem twarzy.

- Jezu, co znowu?

- Wybacz, że zawracam ci głowę...

Zawałał się, jak gdyby nie wiedział, jak ubrać w słowa to, co miał mi do powiedzenia.

- O czym m sięślisz, czy tający w myślach?

- Kiedy rozmawiałeś z wysłannikami Sama, przekazywałem wszystko od razu Carlisle'owi, Esme i pozostałym, i zaczęli się martwić, że...

- Nie przejmujcie się - przerwałem mu. - Nie zrezygnujemy z patroli. Wierzymy Samowi, ale mimo wszystko będziemy mieć oczy szeroko otwarte. A wy nawet nie musicie mu wierzyć.

- Nie, Jacobie, nie o to mi chodzi. Tu ufamy wam całkowicie. Ale Esme przejęła się trudną sytuacją twojej nowej sfory i poprosiła mnie, żeby m pomówił o tym z tobą na osobności.

Zbił mnie z pantałyku.

- Trudną sytuacją mojej sfory?

- Zwłaszcza za tym, że jesteście teraz bezdomni. Esme bardzo to przeżywa. Chciałaby się wami jakoś zopiekować.

Prychnąłem. Wampirzyca matką - kwok! Ale dziwo!

- Jesteśmy twardzi. Powiedz jej, żeby się o nas nie martwiła.

- W każdym razie, możecie liczyć na jej wsparcie. Na przykład, o ile dobrze zrozumiałem, Leah preferuje spożywać posiłki w swojej ludzkiej postaci.

- I co z tego?

- Mamy zawsze w domu zapasy zwykłego ludzkiego jedzenia - dla kamuflażu i rzecz jasna dla Belli. Gdyby tylko Leah miała na coś ochotę, niech się nie krępuje. Ty i Seth też zawsze jesteście mile widziani w naszej kuchni.

- Dobra, podam to dalej.

- Tylko weź pod uwagę, że Leah nas nienawidzi.

- Bo co?

- Bo jeśli nie będziesz dość delikatny, to nie skorzysta z tej oferty. Więc postaraj się, z łaski swojej.

- Zrobię, co się da.

- Pozostaje jeszcze kwestia ubrań.

Zerknąłem na te, które miałem na sobie.

- A, tak. Dzięk.

Uznałem, że okazę trochę kultury i nie wspomnę, jak okropnie ich podarek cuchnie.

Na twarzy Edwarda zamajaczył uśmiech.

- Cóż, nie sądzę, żeby zaopatrzenie was w odpowiednie ich ilości nastęrczało nam jakichś kłopotów. Alice rzadko kiedy pozwala nam włożyć na siebie jedną rzecz dwa razy. Mamy całe sterty ubrań odłożone dla fundacji Goodwill.

Leah ma chyba ten sam rozmiar co Esme, prawda? A Seth...

- Nie byłby taki pewien, czy Leah zgodzi się przyjąć używane ciuchy od wampirów. Nie ma takiego pragmatycznego podejścia do życia, jak ja.

- Mam nadzieję, że uda ci się przedstawić naszą propozycję w jak najlepszym świetle. A żywność i ubrania to nie wszystko. Gdybyście tylko potrzebowali jakiegos przedmiotu, środka transportu, czy jeszcze czegoś, proście śmiało.

Skoro wolicie spać na dworze, zapraszamy też do korzystania z naszych pryszniców. Proszę, nie uważajcie się za osoby, które nie mają dokąd pójść i do kogo się zwrócić.

Weźniejszej starał się mówić cicho, ale to ostatnie zdanie powiedział głośniej, z uczuciem. Przemawiały przez niego prawdziwe intencje.

Wpatrywałem się w niego przez chwilę, osłupiały i zaspany.

- Hmm... no... to miło z waszej strony. Powiedz Esme, że... hmm... że doceniamy jej troskę. Ale nasza trasa przecina w kilku miejscach rzekę, więc za prysznicę dziękujemy, jesteśmy czystszy.

- Gdybyś jednak mimo wszystko przekazał to pozostałym...

- Jasne, jasne.

- Dziękuję.

Chciałem już odejść, ale zaraz zamarłem w pół kroku, bo z wnętrza domu doszedł mnie cichy jęk bólu. Kiedy się odwróciłem, Edwarda już nie było.

CO ZNOWU?

Ruszyłem za nim, powłócząc nogami jak zombie. I używając takiej samej liczby komórek mózgowych co zombie. Nic nie wskazywało na to, żeby m miał jakkolwiek wybór. Wydarzyło się coś niedobrego. Miałem sprawdzić, co miałem nie być w stanie nic na to poradzić. I miałem poczuć się gorzej.

Wydawało się to nieuniknione.

Znowu otworzyłem sobie drzwi. Bella sapiała, obejmując swój wielki brzuch. Rosalie podtrzymywała ją, a Edward, Carlisle i Esme pochylali się nad nią zaaferowani. Kątem oka zauważyłem, że coś poruszyło się na schodach. Była to Alice - stała u ich szczytu w wpatrzona w scenę na dole, przyciskając sobie dłonie do skroni. Wyglądało to dziwnie - jakby coś w jakiś sposób nie pozwalało jej dołączyć do pozostałych.

- Sekundkę, Carlisle - wykrzusiła Bella.

- Muszę cię zbadać - nalegał doktor. - Słyszeliśmy, że coś chrupnęło.

- Myślę... - sapnęła. - że to żebro. Auć. Tak. Tutaj. Wskazała na swój lewy bok uważając, żeby go nie dotknąć. To potworne coś lamało jej kości.

- Prześwietlę ci klatkę piersiową - wyjaśnił Carlisle. - Mogły powstać niebezpieczne odłamki. Chyba nie chcesz, żeby jeden z nich coś ci przebił, prawda?

Wzięła głęboki wdech.

- Dobrze. Zgoda.

Rosalie wzięła ją delikatnie na ręce. Edward miał chyba coś przeciwno, ale blondy na obnażyła zęby i warknęła:

- Już ją mam.

Czyli Bella nabrała sił, ale to coś w jej brzuchu także. Nie dało się zgłodzić tylko jednego z nich i tak samo nie można było leczyć tylko jednego z nich. Tak to działało. Żadną metodą nie mogliśmy wygrać.

Rosalie zaniósłaby szybko Bellę po schodach na górę, nie odstępowała ani na krok przez Edwarda i Carlisle'a. Oszołomiony, stałem wciąż na progu, ale żadne z nich nie zwróciło na mnie najmniejszej uwagi.

A więc trzy mali tutaj nie tylko brach krwi, ale i rentgen? Doktor chyba miał w zwyczaju zabierać pracę do domu.

Byłem zbyt zmęczony, żeby pójść za nimi, zbyt zmęczony, żeby się ruszyć. Po ścianie osunąłem się na podłogę. Drzwi były nadal otwarte, więc zwróciłem się w ich stronę, wdzięczny losowi, że wpadła przez nie do środka orzeźwiający wietrzyk. Nashuchiwałem z głową wspartą o framugę.

Na piętrze słycać było różne odgłosy wydawane przez aparaturę do prześwietlania. A może było to tylko złudzenie? A potem ktoś zszedł po schodach - cichutko jak kot. Nie musiałem podnosić oczu, żeby odgadnąć kto to.

- Chcesz poduszkę? - spytała Alice.

- Nie - mruknąłem.

Czy te wampiry musiały mi tak nadskakiwać?

- Wątpię, żeby było ci wygodnie - zauważyła.

- Nie jest.

- Więc dlaczego się dokąś nie przeniesiesz?

- Padam na nos. A ty, dlaczego nie jesteś z resztą na górę? - odpyskowałem.

- Boli mnie głowa - odpowiedziała. Zerknąłem na nią. Była taka drobna. Tułów miała na oko szerokości mojego bicepsa. Teraz wyglądała na jeszcze mniejszą, bo jakby się garbiła. Krzywiła się z bólu.

- Od kiedy wampiry boli głowa?

- Tych normalnych nie boli.

Prychnąłem. Normalne wampiry!

- Czemu nigdy nie opiekuje się Bella? - spytałem oskarżycielskim tonem. Wcześniej tyle się działo, że jakoś mi to umknęło, ale było to dziwne, że najlepszej przyjaciółki chorej nigdy nie ma u jej boku. Może gdyby tam się znalazła, zabrałoby miejsce dla Rosalie? - Myślałem, że jesteście dla siebie jak siostry.

- Tak jak już mówiłam... - przysiadła półtora metra ode mnie, owijając kolana szczupłymi ramionami i... boli mnie głowa.

- I to właśnie przez Bellę cię boli?

- Tak

Zmarszczyłem czoło. Byłem zbyt padnięty, żeby zajmować się zagadkami. Skapitulowałem. Odwróciłem głowę ku drzwiom i zamknąłem oczy.

- Tak dokładnie - uściśliła - to nie przez Bellę, tylko przez ten... plód.

Ach, kolejna osoba nastawiona do tej sprawy tak jak ja. Łatwo się było tego domyślić. Wypowiedziała to ostatnie słowo z taką samą niechęcią jak wcześniej Edward.

- Nie widzę go - powiedziała mi, chociaż równie dobrze mogła mówić do siebie, bo skąd miała mieć pewność, że jeszcze nie zasnęłam. - Nie widzę go w swoich wizjach. Tak samo jak ciebie.

Drgnąłem, a potem zaciśnąłem zęby. Nie chciałem być porównywany do tego czegoś.

- A Belli to się udziela. Otacza to coś ze wszystkich stron, więc sama jest taka... rozmazana. Mam tak jakby patrzyła w telewizor, który nie ma dobrze nastawionej anteny, i wyjętą wzrok starała się skupić na widocznych na ekranie postaciach. To od tego tak mnie boli głowa. A i tak nie widzę więcej niż kilka minut naprzód. Jej przyszłość za bardzo zależy od tego... od tego płodu. Kiedy na samym początku podjęła decyzję... gdy tylko stwierdziła, że chce go zatrzymać, od razu w moich wizjach pojawiły się te zakłócenia. Napędziła mi niezłego stracha!

Zamilkła na chwilę, po czym dodała:

- Muszę przyznać, że twoje wizyty sprawiają mi ulgę - chociaż rozczasz wokół siebie ten nieprzyjemny zapach mokrego psa. Wszystko znika. Jakbyś zamknęła oczy. To bardzo kojące.

- Jestem do usług.

- Ciekawe, co jeszcze to coś ma z tobą wspólnego... i dlaczego w ogóle jesteście do siebie pod tym względem podobni.

Z głębi moich kości wystrzeliło ciepło. Zaciśnąłem dłonie w pięści, żeby opanować dreszcz.

- Nie mam z tym mały m krwiopijcą nic wspólnego - wycedziłem.

- Ale coś musi w tym być.

Nie odpowiedziałem jej. Gorączka w moim ciele opadała. Byłem zbyt wyczerpany, żeby rozgniewać się na dobre.

- Miałbyś coś przeciwko, gdybym przy tobie usiadł?

- Nie. I tak tu wszędzie śmierdzi.

- Dzięki, Jacob. Co ja bym bez ciebie zrobiła? Przecież nie mogę wziąć aspiryny.

- Mogłabyś już przestać gadać? Tu się śpi.

Naty chmiast się uciszyła. Kilka sekund i odpłynąłem w niebyt.

Śniło mi się, że okropnie chciało mi się pić. Przede mną stała duża szklanka pełna wody prosto z lodówki - zamglona i zrozszona kropelkami, jak na reklamie Coca Coli. Pociągnąłem spory łyk i wtedy okazało się, że to nie woda, tylko słony wybielacz. Wypulem go zaraz, krztusząc się i spryskując wszystko dookoła, ale część trafiła mi do nosa. Trucizna niemilosiernie parzyła...

Obudził mnie właśnie ból w nosie - tak raptownie i skutecznie, że od razu przypomniało mi się, gdzie jestem. Smród był nie do wytrzymania. Faj. A przecież na progu nie powinno być tak. Ktoś śmiał się głośno - za głośno. Ten śmiech brzmiał znajomo, ale jakoś nie kojarzyłem mi się z wszechobecnym odorem. Jakoś to nie pasowało.

Jęknąłem i otworzyłem oczy. Ciemniejące niebo miało kolor matowej stali - było jeszcze widno, ale nie miałem pojęcia, jaka jest pora dnia. Może zachodziło już słońce, a może zbierało się tylko na burzę?

- Nareszcie - odezwała się Rosalie. - Piłę łańcuchową naśladujesz świetnie, ale po pewnym czasie robi się to trochę nużące.

Przekreśliłem się na drugi bok i usiadłem. Wiedziałem już, skąd wziął się tak silny odór. Kiedy spałem, ktoś włożył mi pod głowę dużą puchową poduchę. Pewnie próbował być miły. Chyba, że była to blondyna.

Z daleka od cuchnącego pierza, zacząłem czuć inne zapachy, między innymi i cynamonu. Mrugając rozejrzałem się po pokoju.

Nie zmieniło się zbyt wiele, poza tym, że Bella siedziała teraz pośrodku kanapy. Zniknęła kropiówka. Poniżej, Rosalie złożyła głowę na kolanach dziewczyny. Na widok tego, z jaką swobodą jej dotykała, wciąż przechodziły mnie ciarki, chociaż wiedziałem już, że to z mojej strony kretyński odruch.

Alice, podobnie jak jej siostra, siedziała na ziemi. Wyglądała znacznie lepiej niż przed moją drzemką - i nie dziwnego, bo w międzyczasie znalazła sobie kolejny środek przeciwbólowy.

- Patrzcie, kto się obudził! - zawołał wesolo Seth.

Siedział koło Belli, po przeciwnej stronie niż Edward. Edward trzymał ją za rękę, a on obejmował ją bezeremonialnie, podjadając coś z przelewającego się talerza.

Co to miało być?!

- Przyszła, żeby sprawdzić, czy ty jesteś - wyjaśnił mi Edward, przyglądając się, jak wstaję - i Esme namówiła go, żeby został na śniadaniu.

- Tak było - włączył się Seth, zobaczywszy moją minę. - Tylko sprawdzałem, czy nic ci nie jest. Tak długo nie zmieniałeś się w wilka, że Leah zaczęła się martwić. Powiedziałem jej, że pewnie zasnęła jako człowiek i tyle, ale znasz ją. A potem zaserwowali mi to całe jedzenie, no i tak tu siedzę. Kurczę - zwrócił się do Edwarda z podziwem - ty to umiesz gotować. I piec.

- Dziękuję - mruknął Edward.

Oddychałem powoli, starając się rozluźnić. Nie byłem w stanie oderwać wzroku od ręki, którą przytulał do siebie Bellę.

- Bella trochę zmarzła - powiedział Edward cicho. Co mi było zresztą do tego? Nie była moja.

Seth usłyszał Edwarda, spojrzał na mnie sploszony i nagle uznał, że musi jeść obiema rękami. Zatrzymałem się przed kanapą, nadal usiłując wszystko ogarnąć.

- Leah na patrolu? - spytałem Seta zaspąnym głosem.

- No - odpowiedział z pełnymi ustami. Też miał na sobie nowe ubrania. Pasowały na niego lepiej niż moje. - Wszystko pod kontrolą. Nic się nie martw. Jakby co, to zawięj. Wymieniła mnie o północy. Biegałem dwanaście godzin non stop - dodał z nieskrywaną dumą.

- O północy? Zaraz... to która jest teraz godzina? Zerknął na okno, żeby się upewnić.

- Właśnie świta.

A niech to. Przespaliśmy resztę dnia i całą noc. Straciłem czujność.

- Cholera. Sorki, Seth. Głupio mi. Powinieneś był mnie kopnąć czy coś.

- Nie, no co ty, musiałeś odpocząć. Kiedy ostatni raz miałeś przerwę na spanie? Jeszcze przed ostatnim patrolem dla Sama, prawda? Czyli, ile godzin byłeś na chodzie? Czterdzieści? Pięćdziesiąt? Jaka, nie jesteś maszyną. Poza tym, niczego nie przegapiłeś.

Na pewno niezago? Spojrzałem szybko na Bellę. Jej twarz nabiału zdrowego koloru - była blada, ale nie chorobliwie, tylko tak jak kiedyś. Zaróżowiły się jej usta. Nawet włosy prezentowały się lepiej - wydawały się bardziej lśniące. Zauważyła, że się jej przeglądam, i uśmiechnęła się szeroko. Jaktam zebro? Nastawione i opatrzone. Nawet go nie czuję.

Wywróciłem oczami. Usłyszałem, że Edward grzyta zębami, i zrozumiąłem, że jej przesadnie heroiczna postawa denerwuje go jeszcze bardziej niż mnie.

- Co na śniadanie? - spytałem nieco sarkastycznie. - Zero Rh minus czy AB Rh plus?

Bella pokazała mi język. Można było pomyśleć, że zupełnie wróciła już do zdrowia.

- Omlęty - odpowiedziała, ale mimowolnie popatrzyła w dół i dostrzegłem kubek wciśnięty pomiędzy jej nogę a udo Edwarda.

- Poczęstuj się - doradził mi Seth. - W kuchni jeszcze sporo zostało. Musisz umierać z głodu.

Przyjrzałem się reszkom na jego talerzu. Obok połówki omlęta z złotym serem leżała jedna czwarta cynamonowej drożdżówki wielkości frisbee. Zignorowałem burczący brzuch.

- A co twoja siostra ma na śniadanie? - spytałem go z krytyką w głosie.

- Za kogo mnie masz? - obruszył się. - Zaniósłem jej jedzenie, zanim jeszcze sam cokolwiek tknąłem. Powiedziała, że woli padlinę zeszkobaną z sosy, ale zaołoży się, że temu się nie oprze. Te cynamonowe drożdżówki... - Brakowało mu słów, żeby je opisać.

- W takim razie wybiorę się z nią na polowanie. Ruszyłem w stronę wyjścia. Seth tylko westchnął.

- Jacobie, mogę ci zabrać chwilkę?

Był to Carlisle, więc odwróciłem się bez komentarza. Gdyby to kto inny próbował mnie zatrzymać, z pewnością nie zachowałbym się tak grzecznie.

- A o co chodzi?

Musieli zejść przed chwilą po schodach - Carlisle zmierzał w moim kierunku, a Esme zniknęła właśnie w kuchni. Stał spory kawałek ode mnie, dalej, niż by wypadało, gdyby rozmawiali ze sobą dwie zwyczajne osoby. Doceniałem takie drobne gesty.

- Skoro mowa o polowaniu... - zaczął poważnym tonem. - Tak się składa, że ja i moi najbliżsi mamy z tym teraz spory problem. O ile dobrze zrozumiąłem, nasz pakt z twoimi pobratymcami obecnie nie obowiązuje, chciałem więc się ciebie poradzić. Jak sądzisz, czy Sam nas zaatakuje, jeśli przekroczy my stworzoną przez twoją sforę granicę? Chcielibyśmy uniknąć sytuacji, w której moglibyśmy zrobić krzywdę komuś ze starej watahy, no i oczywiście nie chcemy również, by nam samym stała się krzywdą. Gdybyś był na naszym miejscu, jak byś postąpił?

Zaskoczony jego bezpośredniością, mimowolnie się od niego odsunąłem. Miałem sobie wyobrazić, co bym zrobił, gdyby był wampirem? Co ja tam o tym wiedziałem? Ale, z drugiej strony, znałem Sama.

Wyrzuciłem słowa. Staralem się skupiać wyłącznie na Carlisle'u ignorując pozostałe spojrzenia, które na sobie czułem. - Sam trochę się uspokoił, ale jestem pewien, że jego zdaniem pakt już nie obowiązuje. Tak długo, jak będzie myślał, że jego plemię, czy w ogóle jacyś ludzie, są w niebezpieczeństwie, tak długo, jeśli na was się natknie, nie będzie zadawał żadnych pytań - wiesz, co mam na myśli. Na szczęście dla was, ich priorytetem zawsze będzie La Push. Zaołoży się, że Sam oddelegował większość chłopaków do patrolowania swojego terytorium. Nawet jeśli po lesie krążą jakieś oddziały, są zbyt nieliczne, żeby trzeba się było nimi bardzo przejmować.

Carlisle pokiwiał w zamyśleniu głową.

- Uważam, że jeśli już, to tak na wszelki wypadek powinniście przemieszczać się w dużej grupie - ciągnąłem. - I chyba lepiej byłoby, gdybyście wyruszyli w dzień, bo my, wilkolaki, wierzymy w tradycyjną podania i spodziewamy się po was większe aktywności w nocy. Jesteście szybcy - przeprawcie się przez góry i zamknijcie polować na tyle daleko od rezerwatów, żeby Samowi nie opłacało się tam nikogo wysłać.

- Mammy zostawić Bellę samą w domu, bez opieki?

Prychnąłem.

- A my to co, strzyżone pudle?

Zaśmiał się, ale zaraz z powrotem spowaźniał.

- Jacobie, nie możesz walczyć przeciwko swoim braciom.

Ściągnąłem brwi.

- Nie mówię, że nie będzie to dla mnie trudne, ale jeśli naprawdę przyjdą tu, żeby ją zabić - będę w stanie im się przeciwstawić.

Pokręcił głową. Moja deklaracja nie przypadła mu do gustu.

- Nie chodzi mi o to, że... że nie dasz rady. Tyle że byłoby to naganne z punktu widzenia moralności. Nie mogę mieć czegoś takiego na sumieniu.

- To nie ty będziesz miał to na sumieniu, tylko ja. I jakoś to przeżyję.

- Nie, Jacobie. Zrobimy co w naszej mocy, żeby do tego nie dopuścić. - Zamyślił się na moment. - Będziemy polować trójkami - zdecydował. - Tak chyba będzie najlepiej.

- Czy ja wiem. Rozdzielanie się to nigdy nie jest dobry pomysł.

- Posiadamy dodatkowe umiejętności, które pozwolą nam wyrównać braki. Jeśli w każdej trójce znajdzie się Edward, zyskamy pewność, że w promieniu kilku kilometrów nikt się na nas nie czai.

Obaj zerknęliśmy na Edwarda. Miał taki wyraz twarzy, że Carlisle czy m przedziej musiał się wycofać ze swoich planów.

- Cóż, sądzę, że istnieją też inne sposoby - stwierdził. Widać nic nie mogło odciągnąć teraz Edwarda od Belli. - Alice, podejrzewam, że mogłabyś nam podpowiadać, których tras powinniśmy się wystrzegać?

- Tych, które znikająby w moich wizjach, rzecz jasna - odparła. - To proste.

Słysząc, że nie będzie musiał opuścić chorej, Edward wyraźnie się rozluźnił, Bella za to posmutniała i zapatrzyła na Alice. Na jej czole, jak zwykle, gdy się martwiła, pojawiła się mała zmarszczka.

- Czyli wszystko ustalone - podsumowałem. - Seth, chcę, żebyś wrócił na patrol o zmierzchu. Do tego czasu gdzieś się prześpij, okej?

- Jasne, jasne. Zamienię się w wilka, jak tylko skończę. Chyba że... - zawahał się i spojrzał na Bellę. - Będziesz mnie potrzebować?

- Ma koce - warknąłem.

- Dzięki, Seth, nie mi nie będzie - odpowiedziała szybko Bella.

Do pokoju weszła Esme, niosąc duży płaski zamykany pojemnik na żywność. Patrząc na mnie nieśmiało, przystanęła obok Carlisle'a, ale nieco z tyłu, po czym zrobiła krok do przodu i wyciągnęła ku mnie rękę.

- Jacobie... - odezwała się. Jej głos nie był tak przenikliwy, jak pozostałych. - Wiem, że... że przez nasz specyficzny zapach, odrzuca cię na myśl, że miałbyś tu coś zjeść, ale czułabym się znacznie lepiej, gdybyś, zanim wyjdiesz,

wziął ze sobą coś do jedzenia. To z naszego powodu nie masz teraz domu. Proszę, przyjmij to ode mnie, a będę mniej się zdrećzać.

Jej ciemnozłote oczy wpatrywały się we mnie błagalnie. Nie wiem, jak jej się to udało, bo wyglądała najwyżej na dwadzieścia pięć lat, a cerę miała bladą jak kość słoniowa, ale coś w jej twarzy przypominało mi nagle moją

mamę.

Jezu...

- Ehm - odchrząknąłem. - Nie ma sprawy. Zobaczą, może Leah jest jeszcze głodna czy coś.

Wziąłem od niej pojemnik jedną ręką, którą zostawiłem na wpół wyprostowaną, żeby znajdował się jak najdalej ode mnie. Zamierzałem się go pozbyć w lesie - zostawić pod jakimś drzewem czy coś w tym stylu. Nie chciałem

sprawiać Esme przykrości.

Przypomniałem sobie, że słyszy mnie Edward. Tylko nic jej nie mów! pomyślałem. Niech myśli, że to zjadłem.

Nie spojrzałem na niego, żeby sprawdzić, czy planuje spełnić moją prośbę. Lepiej byłoby dla niego, gdyby mnie posłuchał. Miał u mnie dług wdzięczności.

- Dziękuję ci, Jacobie - powiedziała Esme z uśmiechem.

Na miłość boską, jak ktoś z kamienną skórą mógł mieć w policzkach doleczki?!

- Ehm. To ja dziękuję.

Moja twarz zrobiła się gorąca - gorętsza niż zwykle.

Dlatego właśnie nie powinno się było zadawać z wampirami - człowiek się do nich przyzwyczajał i jego świat stawał na głowie. Można było zacząć ich traktować jak przyjaciół.

- Wpadniesz później? - spytała Bella w tym samym momencie, w którym doszedłem do wniosku, że muszę się wynieść z ich domu jak najrybciej.

- Ehm... czy ja wiem...

Zacisnęła usta, jakby powstrzymała uśmiech.

- Proszę, Jake. Mogę znowu zmarznąć...

Wziąłem głęboki wdech przez nos i zaraz potem zorientowałem się, że to nie najlepszy pomysł. Za późno. Skrzywiłem się.

- Może.

- Zostawiłam na werandzie kosz z ubraniami - powiedziała Esme. - Dla Lei. Są świeżo wyprane. Staralam się je jak najmniej dotykać. - Zmarszczyła czoło. - Czy mógłbyś je jej zanieść?

Słuchając jej, podszedłem powoli do drzwi - zrobiła kilka kroków za mną.

- Jasne - mruknąłem, a potem wyślizgnąłem się na dwór, zanim ktokolwiek spróbował wzbudzić we mnie jeszcze więcej poczucia winy.

Cześć. Jake. Myślałem, że chciałeś, żebym stawiał się o zmierzchu. Dlaczego nie przysłałeś Lei, żeby mnie obudziła, zanim sama poszła spać?

Bo nie byłbyś mi potrzebny. Jeszcze się nie zmęczyłem.

Ruszył już biegiem wzdłuż północnej granicy.

Coś się dzieje?

Nic. Nic a nic.

Dotarł akurat do miejsca, w którym mój trop odłączył się od naszej starej trasy i skręcał w bok śladem jednego z moich wypadów. Seth też skręcił.

Tak, potwierdziłem. Zrobiłem kilka dodatkowych odnóg. Tak na wszelki wypadek. Skoro Cullenowie mają wybrać się na polowanie...

Dobry pomysł.

Wrócił na główną pętlę.

Łatwiej było mi być na patrolu z nim, niż z Leą. Chociaż się starała - bardzo się starała - w jej myślach zawsze wyczuwało się niechęć. Nie chciała służyć wampirem. Nie chciała widzieć tego, jak mimowolnie coraz cieplej zacy nam o nich myśleć. Nie chciała przyglądać się, z jaką swobodą jej brat się z nimi przyjaźni i jak łącząca ich więź staje się coraz silniejsza.

Dziwne, jak to się wszystko układało. Spodziewałbym się raczej, że jej największym problemem będę ja sam. Kiedy należeliśmy jeszcze do sfory Sama, straszliwie działaliśmy sobie na nerwy. Ale zmieniła swoje nastawienie do mnie i antypatią darzyła tylko Cullenów i Bellę. Nie wiedziałem, skąd ta zmiana. Może po prostu była mi wdzięczna, że jej nie przepędziłem? Może zobaczyła, że lepiej ją teraz rozumiem? Niezależnie od przyczyny, stosunki między nami okazały się znacznie lepsze, niż mogłyby być.

Nie oznaczało to jednak, że zachowywała się w stu procentach poprawnie. Jedzenie i ubrania od Esme płynęły właśnie z nurtem rzeki do morza. Zjadłem swoją połowę zawartości pojemnika - nawet nie dlatego, że z dała od wampirzego smrodu wyjątkowo apetycznie pachniała, tylko po to, żeby pokazać Lei, że należy się poświęcać w imię tolerancji - ale i tak odmówiła. Była naprawdę uparta. Niewielki jeleni wapiti, którego zabiła koło południa, nie zaspokoił w pełni głodu, a polowanie popsuło jej humor. Nienawidziła jeść takich zakrwawionych ochlapów.

Może powinniśmy zapuszczać się bardziej na wschód? zaproponował Seth. Sprawdzić, czy gdzieś tam się nie czają.

Myślałem o tym, przyznałem. Ale zrobimy to dopiero, jak obudzi się Leah. Ktoś musi pilnować domu. Chociaż, z drugiej strony, lepiej byłoby załatwić to jak najszybciej. Zanim w lesie pojawią się wampiry.

Racja.

Zacząłem się zastanawiać.

Jeśli Cullenowie mogli opuścić bezpiecznie okolicę, żeby polować, to właściwie powinni byli opuścić ją na dobre. Szkoda, że nie wynieśli się zaraz po tym, jak ich ostrzegłem, co się święci. Było ich stać na to, żeby wynajęć gdzieś jakiś dom. I mieli tych przyjaciół na Alasce, którzy byli na ślubie. Zabrałiby ze sobą Bellę i byłoby po sprawie. Mieliby problem wilkołaków z głowy.

Pewnie sam powiniennem był to zasugerować, ale bałem się, że mnie posłuchają, a nie chciałem, żeby Bella zniknęła. Nigdy bym się nie dowiedział, czy przeżyła ciężą, czy nie.

Co za głupota. Co za egoizm. Nie, trzeba było kazać im się wynieść. Pozostanie w Forks w tej sytuacji nie miało sensu. Nawet dla mnie samego byłoby lepiej, gdyby Bella wyjechała. Nie oszczędziłoby mi to bólu, ale przynajmniej musiałbym pójść na odwyk

Łatwo było mi tak twierdzić, kiedy nie było jej przy mnie. Kiedy nie przyglądałem się, jak bardzo cieszy się z moich wizyt. I jednocześnie, jak karczoowo czepia się zycia...

Och, pytałem już o to Edwarda, wtrącił się Seth.

O co?

Pytałem go, czemu jeszcze nie uciekli. Czemu nie przeprowadzili się do Tany i, czy jeszcze gdzie indziej. Na tyle daleko, żeby Sam dałbym im spokój.

Musiąłem sobie przypomnieć, że przecież przed chwilą postanowilem poradzić im, żeby dokładnie tak postąpili. Bo tak miało być dla nich najlepiej. Więc z jakiej racji miałbym się wściekać na Seta? Chłopak mnie wyręczył. I nie miałem żadnego powodu, żeby za to na niego naszkoczyć. Żadnego.

I co powiedział? Ze czekają na odpowiedni moment?

Nie. Ze nigdzie się nie wybierają.

Nie powiniennem był na to reagować, jak na dobrą wiadomość.

Dlaczego? To kretynizm tak tu się okopywać.

Nie do końca. Słychać było, że do Seta przemówiły ich argumenty. Musieliby na nowo zgromadzić cały sprzęt medyczny dla Carlisle'a, a tego nie da się zrobić z dnia na dzień. Tutaj ma wszystko, czego mu potrzeba, żeby pielęgnować Bellę, a na dodatek legalne papiery, żeby w razie czego móc coś dokupić. Przez okazyjną polowania wybierze się też właśnie na zakupy. Sądzi, że już niedługo trzeba będzie uzupełnić zapasy krwi. Bella zużyła już prawie całą zero Rh minus, którą dla niej trzymali. Carlisle woli nie dopuścić do tego, żeby krwi nagle zabrakło. Wiedziaws, że można kupić krew? Ale tylko, jeśli jest się lekarzem.

Może i brzmiało to logicznie, ale nie dawałem się przekonać.

Ja wciąż uważam, że to głupie. Mogłoby zabrać sporo rzeczy ze sobą, prawda? A inne ukraść po drodze albo w nowym miejscu. Po co przejmować się przestrzeganiem prawa, jak jest się niezniszczalnym i nieśmiertelnym?

Edward uważa, że nie powinno się Belli nigdzie przenosić, że to za bardzo ryzykowne.

Bella czuje się już dużo lepiej.

Zgadza się. Porównał, jak wyglądała w moich wspomnieniach, podłączona do rurek, a jak, kiedy widział ją po raz ostatni, wychodząc z ich domu. Uśmiechnięta, pomachała mu na pożegnanie. Ale, widzisz, ona za bardzo nie może się ruszać. To coś prawie non stop kopie ją od środka.

Zebrało mi się na wymioty. Przełknąłem kwas.

Wiem. No tak.

Złamało jej następne żebro, dodał ponuro.

Zapłatały mi się łapy. Dopiero po kilku sekundach złapałem z powrotem rytm.

Carlisle oczywiście zaraz ją zbadał i opatrzył. Powiedział, że to kolejne pełnięcie. A Rosalie palnęła coś o tym, że nawet zwykłe ludzkie dzieci lamią czasem swoim mamom żebra, i Edward tak na nią spojrział, jakby chciał jej jednym szarpnięciem oderwać głowę.

Wielka szkoda, że się pohamował.

Seth postanowił ciągnąć swoją relację. Nie prosiłem go o to, ale wiedział, że zainteresuje mnie każdy szczegół.

Belli skacze dzisiaj trochę temperatura, ale nie ma wysokiej gorączki. Dostaje potów, a potem znowu robi jej się zimno. Carlisle nie jest pewny, co o tym sądzić - może po prostu się przeziębiła. Taka wykończona tym wszystkim musi mieć nie najlepszą odporność.

Tak, to raczej zbieg okoliczności.

Ale humor jej dopisuje. Kiedy rozmawiała z Charliem, śmiała się i w ogóle.

Z Charliem?! Co takiego?! Jakt, z Charliem?!

Teraz to Seth zgubił rytm - mój wybuch furii zupełnie go zaskoczył.

Wydaje mi się, że codziennie do niej dzwoni. Czasami dzwoni też jej mama. Bella ma teraz o wiele silniejszy głos, więc chyba jej uwierzył, kiedy zapewniała go, że wyszła już na prostą.

Ze wyszła na prostą?! Co oni sobie wyobrażają, do cholery?! Jeśli podsycają jego nadzieje, tym łatwiej się później załamię! Przecież ona umrze! Powinni go na to przygotować! Powinni o niego zadbać! Jak ona może mu to robić?!

Może nie umrze, szepnął Seth nieśmiało.

Wziąłem głęboki wdech, żeby się uspokoić.

Seth, jeśli Bella z tego wyjdzie, to nie jako człowiek. Dobrze o tym wie i Cullenowie też o tym wiedzą. Jeśli nie umrze, i tak przez kilka dni będzie musiała udawać trupa. Albo to, albo zniknie. Myślałem, że starają się jakoś do tego Charliego przygotować, jakoś mu w tym wszystkim ulżyć, ale tak...

Te teksty o zdrowieniu to chyba pomysł Belli. Nikt niczego nie powiedział na głos, ale sądząc po minie Edwarda, ma na ten temat takie samo zdanie, jak ty.

Boże, znowu to samo. Super.

Przez kilka minut biegliśmy w milczeniu. W pewnym momencie odbiliśmy na południe na mały zwiad.

Tylko nie oddalaj się za bardzo.

Dlaczego nie?

Bella kazała mi ciebie poprosić, żebyś do niej zajrzał.

Zacisnąłem zęby.

Alice też by się ucieszyła. Mówi, że ma dość przesiadywania na strychu, jak jakiś wampir z filmu, co zmienia się w nietoperza. Prychnął rozbawiony. Wymieniałem się wcześniej z Edwardem - no wiesz, żeby pomóc Belli z tą temperaturą - Edward był na gorączkę, a ja na dreszcze. Jeśli nie chcesz się w to bawić, to mogę tam wrócić...

Sam tam wpadnę, warknąłem.

Okej. Powstrzymał się od komentarzy i skupił się na przeczesywaniu pustego lasu.

Biegłem dalej na południe, wypatrując czegośkolwiek nowego. Zawróciłem dopiero wtedy, kiedy natknąłem się na pierwsze ślady bytności ludzi. Do miasteczka był stamtąd jeszcze spory kawałek, ale nie chciałem, żeby znowu się rozszedło, że po puszczy grasują olbrzy me wilki. Już od dłuższego czasu udawało nam się nie rzucać w oczy - wolałem, żeby tak pozostało.

Przeciąłem naszą stałą trasę i skierowałem się w stronę domu Cullenów. Wiedziałem, że nie powiniennem tam wracać, ale nie mogłem się powstrzymać. Chyba po prostu byłem masochistą.

Nie jesteś żadnym masochistą, Jake. Wszystko jest z tobą w porządku. To ta cała sytuacja nie jest normalna.

Błagam, Seth, stul dziób.

Juz stulam.

Tym razem nie zawahałem się przed drzwiami, tylko wszedłem śmiało do środka, jak gdyby bym był u siebie. Liczyłem na to, że zirytuje tym Rosalie, ale próba się nie powiodła - ani jej, ani Belli nie było w pokoju. Podenerwowany, rozjeźrzałem się dookoła, z głupią nadzieją, że może je przezapiliem. Serce załomotało mi jak szalone.

- Nic jej nie jest - odezwał się szepem Edward. - A raczej, jest bez zmian.

Siedział na kanapie z twarzą ukrytą w dłoniach i nie podnosił głowy. Esme obejmowała go ramieniem, najwyraźniej usiłując pocieszyć.

- Witaj, Jacobie - powiedziała. - Miło cię znostu widzieć.

- Bardzo miło - włączyła się Alice z głośnym westchnieniem. Zbiegając po schodach posłała mi oskarżycielskie spojrzenie, jak gdyby m spóźnił się na umówione spotkanie.

- Ehm. Cześć wszystkim - wybąkałem. Dziwnie mi było z tym, że próbowałem być wobec nich grzeczny. - Gdzie Bella?

- W łazience - odparła Alice. - Rozumiesz, jej dieta składa się głównie z płynów. No i przez ciężą też trzeba ponoc częściej korzystać z toalety.

- Ach, tak

Zakłopotany, kołysałem się na piętach, nie wiedząc, co ze sobą począć.

- Świetnie - usłyszałem przesycony sarkazmem głos Rosalie. Obróciłem głowę i zobaczyłem, jak wynurza się ze schowanego za ciągiem schodów korytarzyka, uśmiechając się słośliwie. Trzymała Bellę na rękach.

- A tak mi się wydawało, że coś nagle zaśmierdziało.

Tak, jak poprzednio, oczy Belli rozbleły się na mój widok, jak u dziecka widzącego prezenty pod choinką. Jak gdyby m przyniósł jej najbardziej odlotowy podarunek w historii świata.

To było nie fair.

- Jacob! Przyśzedłeś!

- Cześć, Bells.

Esme i Edward oboje wstali. Przyglądałem się, jak Rosalie z wyjątkową delikatnością oddada Bellę na kanapę. I jak mimo starań wampirzy cy, Bella nagle błędnie i wstrzymuje oddech - bo za wszelką cenę nie chce dać po sobie

poznać, jak bardzo ją boli.

Edward pogłaskał ją po czole, a potem po szyi. Z pozoru tylko odgarniał jej włosy, ale jak dla mnie, badał temperaturę ciała Belli.

- Nie jest ci zimno? - spytał cicho.

- Nie. Wszystko w porządku.

- Bello, wiesz, co powiedział Carlisle - przy pominięciu jej Rosalie. - Nie możesz niczego bagatelizować. Żadnych objawów. Inaczej niezwykle trudno jest nam o was należy cię dbać.

- Dobrze, przyznaję, jest mi trochę zimno. Edwardzie, mógłbyś mi podać tamten koc?

Wzniósł oczy ku niebu.

- To po co tutaj jestem, co?

- Dopiero wszedłeś - wyjaśniła Bella. - Założę się, że od świtu nie miałeś ani chwili przerwy. Odpocznij sobie najpierw trochę. Zobaczysz, koc też mi pomoże.

Zignorowałem ją i zanim jeszcze skończyła mówić, usiadłem na podłodze koło kanapy - nie byłem tylko pewny, jak się zabrać do swojego zadania. Bella wyglądała na tak kruchą, że bałem się ją ruszyć, a nawet przytulić. W końcu oparłem się ostrożnie o jej boki i wziąłem za rękę, układając ramię tak, żeby dotykało jej własnego na całej jego długości. Nie umiałem ocenić, czy skórę miała chłodniejszą niż zwykle.

- Dzięki, Jake.

Poczułem, że zadrżała.

- Nie ma za co.

Edward przysiadł na oparciu kanapy u stóp Belli. Nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

Zaburzało mi w brzuchu. Niestety, tyle osób w pokoju miało nienaturalnie wyczulony słuch, że nie mogło to przejść niezauważone.

- Rosalie, może byś tak skoczyła do kuchni przynieść Jacobowi coś do jedzenia? - zaproponowała Alice. Nie było jej widać, bo siedziała cichutko za kanapą.

Lodowata Barbis niedowierzaniem w oczach zapatrzyła się w punkt, z którego dochodził głos Alice.

- Dzięki, Alice, ale nie mam ochoty zjeść czegoś, do czego Blondie przed sekundą naplała. Mój organizm nie zareagowałby chyba dobrze na wampirzy jad.

- Ależ Rosalie nigdy nie zawstydzalaby Esmę, okazując taki brak szacunku wobec podstawowych zasad gościnności.

- Oczywiście, że nie - zgruchotała słodko wampirzyca i wyszła szybko do kuchni. Ton jej głosu był wybitnie fałszywy i nie zamierzałem dać mu się zwieść.

Edward westchnął.

- Powiesz mi, jeśli zatruje to jedzenie, prawda? - spytałem go.

- Tak - przyrzekł.

Z jakichś powodów mu uwierzyłem.

Z kuchni dobiegło przeraźliwe walenie, a potem - co było jeszcze dziwniejsze - seria zgrzytów. Edward znowu westchnął, ale teraz wyglądał przy tym na nieco rozbawionego. Zanim zdążyłem się nad tym zastanowić, wróciła Rosalie i na ziemi koło mnie postawiła srebrną miskę.

- Smaczniejszego, kandy.

Musiała być to wczesniej zwykła duża misa na sałatę, ale blondyna wygięła jej krawędź na zewnątrz w taki sposób, że naczy nie przy pominięciu teraz kształtem miskę dla psa. Byłem pod wrażeniem, z jaką szybkością stworzyła swoje dzieło. I z jaką precyzją. Zadbano o wszystkie szczegóły: z boku wydrapała paznokciem napis „Azor”. Miała piękny charakter pisma.

Zawartość miski wyglądała bardzo zachęcająco - prawdziwy stek, wielki pieczony ziemniak i dodatki - więc powiedziałem:

- Dzięki, Blondie.

Sarknęła.

- Hej, wiesz, co to jest, ma jasne włosy i mózg? - Dokończyłem, nie czekając na jej odpowiedź - Golden retriever.

Przestała się uśmiechać.

- Ten też już słyszałam - odparła.

- Będę próbował dalej - obiecałem i zabrałem się do jedzenia. Skrzywiła się, wywracając oczami. Usiadła w jednym z foteli, wzięła pilota i zaczęła skakać po kanałach telewizyjnych. Zmieniała je tak szybko, że z pewnością nie szukała niczego do obejrzenia.

Jedzenie było tak dobre, że nawet nie przeszkadzało mi wampirzy odór. A może po prostu się do niego przyzwyczajałem? Hm... Nie chciałem, żeby tak było.

Miałem właśnie zamiar wyliżać opróżnioną miskę - tylko po to, żeby wywołać w Rosalie obrzydzenie - kiedy poczułem, że Bella swoimi zimnymi palcami przeczesuje mi włosy. Poklepała mnie z tyłu głowy.

- Co? - spytałem. - Powinieniem się podziękować?

- Nie powiem, trochę zarosłeś. Może...

- Niech zgadnę, jedno z tu obecnych pracowało w ekskluzywnym salonie w Paryżu?

Zachichotała.

- Kto wie.

- Dzięki, ale nie skorzystam z jego usług - oświadczyłem, zanim zaproponowała coś konkretnego. - Jeszcze kilka ładnych tygodni obejdem się bez fryzjera.

Wybiegłem myślami te kilka tygodni naprzód i nagle coś mnie zaciękawilo. Przez chwilę dobieierałem w milczeniu słowa, żeby niechcący nie urazić Belli.

- A ty... na kiedy masz ten, no, termin? Wiesz, o co mi chodzi. Kiedy nasz mały mutant ma przyjeść na świat?

Trzepnęła mnie w ucho - równie dobrze mogła musnąć mnie piórkiem - ale nie nie powiedziała.

- Pytam serio - ciągnąłem. - Chcę wiedzieć, jak długo jeszcze będę musiał tu przychodzić.

Jak długo jeszcze będę miał do kogo tu przychodzić, pomyślałem.

Spojrzałem na nią - zamyśliła się głęboko, a pomiędzy jej brwiami znowu pojawiła się ta charakterystyczna mała linia zmarszczka, oznaczająca, że Bella się martwi.

- Nie wiem - wyszeptala. - Nie do końca. Oczywiście, nie ma mowy o podstępnych dziejach miesiącach i nie da mi się zrobić USG, więc Carlisle szacuje na podstawie tego, jak wyglądam. U zwykłych kobiet odległość odtań do tań - nacięła palcem linię przez środek swojego brzucha - wynosi tuż przed porodem zazwyczaj około czterdziestu centymetrów. Jeden centymetr na każdy tydzień. Dziś rano u mnie było to trzydzieści centymetrów, a dzienne przybywają mi dwa, czasem więcej...

Dwa tygodnie w jeden dzień, jedna doba w niespełna dwie godziny - życie przeciekało jej przez palce w zawrotnym tempie. Ile to dawalo jej jeszcze czasu, skoro liczylo się do czterdziestu tygodni? Cztery dni? Musiała minąć minuta, żebym przy pominięciu sobie, jak się przełyka ślinę.

- Nic ci nie jest? - spytała.

Skinąłem głową, bo nie miałem pewności, czy zdołałbym z siebie coś wykrzusić.

Słuchający moich myśli Edward odwrócił się do nas, ale zobaczyłem jego odbicie w szybie okiennej. Znowu był człowiekiem pływającym na stosie.

To zabawne, że przez poznanie terminu jeszcze trudniej było mi myśleć o odejściu lub o tym, że Bella mogłaby wynieść się z Forks. Byłem wdzięczny Sethowi, że poruszył z Cullenami ten temat, dzięki czemu wiedziałem, że jednak nie wyjadą. Zwartowałbym, zastanawiając się w kółko, czy wyprowadzą się już następnego dnia, czy może dopiero za dwa albo za trzy. Zastanawiając się, ile mi z tych czterech dni zabiorą. Z moich czterech dni.

Zabawne, że chociaż było już prawie po wszystkim, władza Belli nade mną wciąż rosła - jak gdyby pomiędzy tą więzią a pęczniącym brzuchem istniała jakaś zależność. Jak gdyby, zyskując na wadze, Bella mogła przyciągnąć mnie z coraz większą siłą.

Spróbowałem na chwilę otrząsnąć się z tego uczucia, żeby móc przyjrzeć się całej tej sytuacji z większym dystansem. Naprawdę tak było - naprawdę coś mnie pchało ku Belli bardziej niż kiedykolwiek. To nie moja wyobraźnia wmawiała mi, że coraz bardziej jej potrzebowałem. Skąd to się brało? Czy działo się tak dlatego, że umierała? Czy, że wiedziałem, że nawet jeśli nie umrze - a był to przecież najbardziej optymistyczny scenariusz - zmieni się w coś całkowicie dla mnie obcego?

Przejechała mi palcem po policzku. Moja skóra, w miejscu, w którym jej dotknęła, była mokra.

- Wszystko będzie dobrze.

Zabrzmiało to nieco tak, jakby to zanuciła - jakby chciała mnie uspokoić tak, jak kołysankę uspokajają się niemowlę. Były to tylko puste słowa, ale nie miało to znaczenia - wierszyki śpiewane dzieciom też często nie miały większego sensu. Aaa, kotki dwa...

- Jasne - burknąłem.

Skulona, przytuliła się do mojej ręki, opierając mi głowę na ramieniu.

- Myślałam już, że nie przyjdiesz. Seth zarzekał się, że się pojawisz, i Edward też, ale jakoś im nie dowierzałam.

- Dlaczego? - spytałem szorstko.

- Jesteś nieszczęśliwy, kiedy musisz tutaj siedzieć. Ale jednak wpadłeś.

- Chciałaś, żebym do ciebie zajrzał.

- Wiem. Ale to nie fair wobec ciebie, że mam takie zachcianki, więc nie musiałeś. Zrozumiałabym.

Na moment zapadła cisza. Edward wziął się w garść i prezentował się już w miarę normalnie, nie patrzył jednak na Bellę, tylko na ekran telewizora. Rosalie, która nadal skakała w szaleńczym tempie po kanałach, dotarła już do tych z szóstej setki. Ciekaw byłem, kiedy będzie musiała zacząć wszystko od początku.

- Dziękuję, że przyszedłeś - szepnęła Bella.

- Czy mogę cię o coś spytać?

- Oczywiście.

Edward udawał, że wcale nie interesuje go nasza rozmowa, ale przecież wiedział, o co zamierzam ją zapytać, więc nie dawałem się na to nabrać.

- Dlaczego tak właściwie chcesz, żebym tu przychodził? Seth też mógłby cię ogrzać, a facet jest zawsze taki wesoły, że pewnie milej jest przebywać w jego towarzystwie. Ale kiedy staję na progu, uśmiechasz się od ucha do ucha, jakbyś była dla moją największą fanką.

- Mało kogo lubię bardziej od ciebie.

- To beznadziejna.

- Wiem. - Westchnęła. - Przepraszam.

- Ale dlaczego tak mnie lubisz? Nie wytłumaczyłaś mi tego. Edward znowu odwrócił głowę i niby to wyglądał przez okno.

Zerknąłem na jego odbicie w szybie. Tym razem nie dawał mi po sobie poznać.

- Kiedy tu jesteś, mam takie wrażenie... że wszystko jest na swoim miejscu. Cała moja wielka rodzina w komplecie. Tyle lat mieszałam tylko z mamą, a teraz otacza mnie wielu ludzi, którzy mnie kochają. To wspaniałe uczucie. -

Po jej twarzy przemknął uśmiech. - Ale żebym tak się czuła, ty też musisz tu być.

- Bella, nigdy nie będę członkiem twojej rodziny.

A mogłem nim zostać. Mogłem się tu dobrze czuć. Ale to należało do odległej przyszłości, która umarła, zanim dano jej szansę się narodzić.

- Zawsze byłeś i będziesz członkiem mojej rodziny - zaprotestowała.

Zazgrzytałem zębami.

- Taką odpowiedź to wiesz, co sobie możesz.

- A jaka jest prawdziwa?

- Co powiesz na: „Jacob, kręci mnie oglądanie tego, jak się męczysz”?

Wzdrygnęła się.

- Naprawdę wolałbyś usłyszeć coś takiego? - spytała cicho.

- Ulatniałoby to sprawę. I lepiej bym cię rozumiał. I łatwiej by mi było się do tego dostosować.

Spojrzałem na nią. Była tak blisko mnie. Miała zacisnięte powieki i zmarszczone czoło.

- Coś gdzie zrobiliśmy nie tak, Jake. Zeszliśmy z właściwego kursu. Powinieneś być częścią mojego życia. Oboje to czujemy.

Zamilkła na chwilę, nie otwierając oczu - jak gdyby spodziewała się, że zaraz jej zaprzęcą. Widząc, że nie zamierzam się jednak odezwać, znowu zabrała głos:

- To nie powinno tak wyglądać. Gdzie popelniliśmy błąd. Nie, to ja go popelniliam. To wszystko przez mnie...

Ucichła, a zmarszczka pomiędzy jej brwiami zaczęła powoli znikać, aż wreszcie jedyną oznaką tego, że się martwiła, był delikatny grymas majaczący w kąciakach ust. Czekalem, aż synpie na moje rany kolejną porcją soli, gdy zmienacka z głębi jej gardła wydobyło się słodkie chrapanięcie.

- Była już bardzo zmęczona - wyjaśnił Edward. - Miała za sobą długi dzień. Ciężki dzień. Sądzę, że zasnęłaby już wcześniej, ale chciała cię zobaczyć.

- Seth mówił, że to coś złamało jej kolejne zębro - powiedziałem, nie patrząc w jego stronę.

- Tak! Coraz trudniej jej się oddycha.

- Super.

- Daj mi znać, kiedy będzie trzeba zbić jej temperaturę. - Okej.

Na razie na ręce, którą mnie nie dotykała, miała tęsi skórę. Ledwie drgnęłam, żeby rozejrzeć się za jakimś kocem, kiedy Edward chwycił za pleć przewieszony przez oparcie kanapy i zarzucił go na Bellę zgrabnym ruchem.

Hm, skoro jego paranoormalne zdolności pomagały zaoszczędzić trochę czasu w tak banalnych sprawach, może nie musiałem też odstawiać przedstawienia, żeby pokazać, jak bardzo jestem na nich wściekły za to, jak pozwalali jej traktować Charliego. Edward pewnie po prostu słyszał, co ja o tym wszystkim myślę.

- Tak - potwierdził. - To nie najlepszy pomysł.

- Więc czemu to robicie?

Czemu Bella wmawiała swojemu ojcu, że „wychodzi na prostą”, skoro później miał się tylko czuć od tego gorzej?

- Woli go uspokajać, bo nie może patrzeć na to, jak bardzo Charlie to przeżywa.

- Więc lepiej...

- Nie, taknie jest lepiej. Ale nie będę jej teraz zmuszał do niczego, co miałoby ją unieszczęśliwić. Bez względu na konsekwencje. To jej samopoczucie jest najważniejsze. Resztą zajmę się później ja sam.

Coś mi się nie zgadzało. Bella nigdy nie podeszłaby do tego z takim wyrachowaniem. Może i była umierająca, ale nigdy nie pozwoliłaby na to, żeby Charlie miał kiedykolwiek przez nią bardziej cierpieć, ani by ktokolwiek miał ponosić przykre konsekwencje jej własnych wyborów. To byloby do niej niepodobne. Znałem ją na tyle dobrze, by domyślać się, że miała inne plany.

- Jest przekonana, że przeżyje - Edward przerwał moje rozmyślenia.

- Chyba nie wierzysz, że wyjdzie z tego jako człowiek!?

- Nie. Nawet jej wiara ma swoje granice. Ale i tak ma nadzieję, że wkrótce go znowu zobaczy.

Bella i jej dzięki pomysł! Co jeszcze miała wymyślić?! Spojrzałem wreszcie na Edwarda. Oczy miałem szeroko otwarte ze zdumienia.

- Że go zobaczy?! Że go zobaczy po przemianie?! Ze spotka z Charliem, kiedy będzie miała czerwone oczy, i będzie błada jak ściana, i będzie iskrzyć się w słońcu?! Nie jestem pijawką, więc może coś mi umknęło, ale chyba nie wybrałbym własnego ojca na swoją pierwszą ofiarę.

Edward westchnął.

- Wie, że nie będzie mogła się do niego zbliżyć co najmniej przez rok, ale uważa, że da się to jakoś usprawiedliwić. Że powiemy Charliemu, że musiała wyjechać do jakiejś super kliniki na drugim końcu świata. Że będzie niby stamtąd regularnie do niego dzwonić...

- To szaleństwo.

- Tak

- Charlie nie jest głupi. Nawet jeśli Bella go nie zabije, zauważy, że się zmienia.

- Na to, że się znacznie czegoś domyślać, to ona akurat liczy. Wpatrywałem się w niego, czekając, aż mi to wyjaśni.

- Nawet jeśli Charlie uwierzy w jej wymówkę, prędzej czy później się wyczerpie, bo przecież Bella nie będzie się starzeć. - Uśmiechnął się odrobinę. - Pamiętasz, jak starałeś się jej przekazać, czym się stałes? Jak ją na to naprowadzałeś, żeby sama zgadła?

Wolną dłoń zacisnąłem w pięść.

- Opowiedziała ci o tym?

- Tak. Kiedy tłumaczyła mi, jak chce to rozegrać. Wiesz, zgodnie z naszymi prawami, też nie możemy nikomu zdradzać, kim jesteśmy. Gdyby Bella zwierzyła się Charliemu, mogłoby mu grozić śmiertelne niebezpieczeństwo.

Ale nie brakuje mu inteligencji i twardo stąpa po ziemi. Bella sądzi, że sam znajdzie jakiś wytłumaczenie na to, co się dzieje z jego córką. Zakłada, że nie trafi. Cóż, nie śpimy w trunkach i nie uciekamy na widok czosnku. Ale będzie miał jakieś tam swoje podejrzania, tak jak Bella na samym początku, kiedy mnie poznała, a my się do nich dopasujemy. Wierzy, że będzie mogła pozostać z nim w kontakcie.

- To szaleństwo - powtórzyłem.

- Tak - znowu się ze mną zgodził.

Okazywał słabość, pozwalając, żeby w tym wypadku postawiła na swoim, tylko po to, żeby zadbać o jej samopoczucie. Nie miało z tego wynikać nic dobrego.

Wydedukowałem, że w takim razie najprawdopodobniej Edward nie spodziewa się, by miała wyjść z tego cało i by mogła wcielić swój plan w życie. Wyrażając na to zgodę, pragnął ją tylko udobruchać i jak najdłużej podtrzymać iluzję, że wszystko się ułoży.

Chyba miało mu się to udać, skoro zostały tylko cztery dni.

- Wezmę później wszystko na siebie - szepnął, spoglądając w dół tak, żeby mi nie mógł już widzieć nawet odbicia jego twarzy.

Nie będę jej teraz przy sparał bólu.

- Jeszcze cztery dni? Nie podniósł głowy.

- Mniej więcej.

- A potem?

- Co dokładnie masz na myśli?

Zastanowiłem się nad tym, co powiedziała mi wcześniej Bella. Tego mutantu w jej brzuchu otaczała wyjątkowo gruba błona - tak gruba i wytrzymała, jak skóra wampirów. Więc jak miał wyglądać poród? Jak to coś miało się z niej wy dostać?

- W miarę możliwości - odpowiedział mi Edward - gromadzimy wszelkie dostępne informacje na ten temat i wychodzi na to, że tego typu istoty wygrają dziurę w ścianie macicy.

O mało co nie wymiotowałem.

- Gromadzić informacje? - wymamrotalem.

- To dlatego nie widzisz tu za często Jaspera i Emmetta. Carlisle też się tym zajmuje. Analizują lokalne podania, odsiewają ziarna od plew, byle tylko dowiedzieć się jak najwięcej o tym, z czym mamy tu do czynienia.

Lokalne podania? Skoro istniały opowieści na ten temat...

- To świadczy to o tym, że to nie pierwsza taka istota? - dokończył za mnie. - Być może. Ale takie przekazy to nic pewnego. Niektóre zrodziły się ze strachu, inne są efektem bogatej wyobraźni dawnych bazarzy... - Zawahał się. - Choć legendy twojego plemienia okazały się prawdziwe, czyż nie? Hm... Więc może i na tych możemy polegać. Pochodzą z tego samego obszaru, więc niewątpliwie mogą mieć wspólne źródło...

- Jak na nie natrafiliście?

- Kiedy byliśmy z Bella w Ameryce Południowej, spotkaliśmy pewną kobietę, Indiankę. Jako dziecko nasłuchała się przekazy wanych z pokolenia na pokolenie historii o takich istotach. Ostrzegano ją przed nimi.

- I co radzono? - spytałem cicho.

- Zalecano zabijać je natychmiast po urodzeniu. Zanim miały możliwość nabrać więcej sił.

Tak jak tego chciał Sam. Czy jednak miał rację?

- Rzecz jasna, to samo mówią legendy o nas samych. Że trzeba na nas polować. Że jesteśmy bezdusznymi mordercami.

Witajcie w klubie, pomyślałem. Edward parsknął śmiechem.

- A co podania mówią... o matkach?

Jego twarz wykrzywił ból. Musiałem odwrócić wzrok. Wiedziałem, że mi nie odpowie. Chyba w ogóle nie był w stanie nic powiedzieć.

To Rosalie mi odpowiedziała. Odłąd Bella zasnęła, siedziała nieruchomo i cicho, tak że niemalże zapominałem o jej obecności. Swoją przemowę zaczęła od pogardliwego prychnięcia.

- Oczywiście żadna nie przeżyła.

„Żadna nie przeżyła” - ot tak, prosto z mostu, bo i co ją obchodziły matki - takto odebrałem.

- Rodzenie dziecka wśród pełnych zarzków bagien, za jedynego pomocnika mając miejscowego szamana, który rozmarywał ci po twarzy ślinę leniwa, żeby odgonić złe duchy - trudno zaliczać do bezpiecznych przypadków.

Nawet zupełnie zwyyczajne porody w połowie kończyły się tragicznie. Żadne z tamtych dzieci nie miało tego, co to - grupy opiekunów świadomych, czego temu wyjątkowemu dziecku potrzeba, i starających się te potrzeby zaspokoić. Lekarza prowadzącego posiadającego obrzydliwą wiedzę o naturze wampirów. Gotowego planu, jak sprowadzić dziecko na świat. Jadu na poródurzęd, który naprawi wszystkie ewentualne szkody. Dziecku nic nie będzie. Jestem przekonana, że tante matki też wyzłyby z tego bez szwanku - gdyby tylko istniały, bo w to akurat wątpię.

Dziecko to, dziecko tamto - jakby tylko ono było ważne. Życie Belli traktowała jako zbiór elementów, o które trzeba było zadbać, żeby osiągnąć cel. Tak naprawdę, samo w sobie nie jej nie obchodziło.

Edward zrobił się biały jak prześcieradło. Dłonie zacisnął w pięści. Jego siostra z wy studiowaną obojętnością obróciła się do niego plecami. Pochylił się do przodu, tak że już nie siedział, tylko kucnął gotowy do skoku.

Pozwól, że cię wyręcę, poprosilem.

Zaskoczony, unióśł brew.

Podniósłszy bezszelnie z ziemi swoją psią miskę, jednym alergicznym ruchem nadgarstka wyrzuciłem ją w powietrze z głośnym brzękiem trafila idealnie w tył głowy blondyny, na której rozplaszła się jak naleśnik, po czym ścigła rykoszetem górny kawałek drewnianego słupka balustrady u stóp schodów.

Bella drgnęła, ale nie otworzyła oczu.

- Głupia blondynka - mruknąłem.

Rosalie przeknęła powoli głowę. Posała mi mordercze spojrzenie.

- Mam. Przez ciebie. Jedzenie. We włosach. To mnie rozłożyło.

Wybuchnąłem takim śmiechem, że pocięły mi żyły i musiałem odsunąć się od Belli, żeby nią zatrząść. Dołączyła do mnie schowana za kanapą Alice, co zabrzmiało tak, jakby rozdzwoniły się dzwoneczki.

Byłem zdziwiony, że blondyna się na mnie nie rzuciła. Ponięgåd tego się właśnie spodziewałem. Ale zaraz przestałem się nad tym zastanawiać, bo zdałem sobie sprawę, że mój śmiech obudził Bellę, chociaż nie przeszkodził jej gorszy hałas.

- Co cię tak rozbawiło? - wymamrotala zaspana.

- Rosalie ma przeze mnie jedzenie we włosach - wyjaśniłem, znowu się krztusząc.

- Nie wybaczę ci tego, psie - syknęła poszkodowana.

- Nie tak trudno wymazać pamięć blondynce - odparowałem. - Wystarczy, że podmucha się jej do ucha.

- Lepiej zmień repertuar - warknęła.

- Przestań, Jake. Daj jej s... - Bella przerwała w połowie zdania, ale zamiast jęknąć z bólu, zassała ty lko głośno powietrze. W tej samej sekundzie znalazł się nade mną Edward i ściągnął z niej koc, żeby zobaczyć, co się z nią działo.

Wygięła się w łuk, tak że plecami nie dotykała już kanapy.

- Mały - wy sapala - tylko się przeciąga.

Wargi jej zbiałały. Zaciskała zęby, jakby próbując zdusić krzyk. Edward ujął jej twarz w obie dłonie.

- Carlisle! - zawołał spiętym głosem.

- Już jestem - odpowiedział mu doktor. Nie usłyszałem go, kiedy wchodził do pokoju.

- Okej - stwierdziła Bella, choć nadal oddychała płytko i szybko. - Chyba już przeszło. Biedactwo, nie ma wystarczająco dużo miejsca, to wszystko. Robi się taki duży.

Tak gruchała o czymś, co rozywało ją od środka, że nie dawało się tego słuchać. Zwłaszcza po tym pokazie bezduszności w wykonaniu Rosalie. Naszła mnie ochota, żeby i w Bellę czymś rzucić.

Nie zauważyła w jakim jestem nastroju.

- Wiesz, Jake, przypomina mi ciebie - ciągnęła rozczulonym tonem, wciąż posapując.

- Nie porównuj mnie do tego czegoś! - wycedziłem przez zęby.

- Chodzi mi tylko o to, że też tak szybko rosłeś - powiedziała. Miała przy tym taką minę, jakby m zranił jej uczucia. I dobrze. - Pamiętam, jak wystrzeliłeś. Można by było stać wtedy przy tobie z centymetrem i co kilka minut pewnie wychodziłby inny wynik. On też tak ma.

Ugryzłem się w język - tak mocno, że poczułem w ustach krew - żeby nie palnąć tego, co przyszło mi na myśl. Oczywiście ranka zablizniła się, zanim jeszcze zdążyłem przełknąć ślinę. Tego właśnie Belli trzeba, pomyślałem.

Gdyby tylko była taka silna, jak ja... Gdyby wszystko też się na niej tak błyskawicznie goiło...

Odetchnęła normalniej i ułożyła się z powrotem wygodnie na kanapie.

- Hm... - mruknął Carlisle.

Spojrzałem na niego i okazało się, że się mi przypatruje.

- Co? - spytałem ostro.

Edward przekrzywił głowę, kontemplując to, co wychwycił w umyśle ojca.

- Mówiłem ci już, że intryguje mnie budowa genetyczna tego płodu. Że zastanawiam się, ile ma chromosomów.

- No i? Cóż, biorąc pod uwagę, ile was łączy...

- Ile nas łączy?! - powtórzyłem, oburzony, że trafiłem do jednego worka z potworem.

- Nie dość, że rośnie szybko jak wilkołak, to jeszcze Alice obu was nie widzi. Zamarłem.

Rzeczywiście. Zapomniałem o tym drugim.

- Jeśli te cechy regulują geny, być może znamy już odpowiedź na moje pytanie.

- Dwadzieścia cztery pary... - szepnął do siebie Edward.

- Nie możecie mieć pewności.

- Nie - pocieszył mnie Carlisle - ale to interesujące.

- Tak po prostu fascynujące - burknąłem z przekąsem. Jakby na potwierdzenie moich słów, w tym samym momencie Bella zachrapała.

Carlisle i Edward wdali się w gorącą dyskusję o genetyce. Wkrótce jedynymi słowami, które rozumiałem, były spójniki i moje własne imię. Alice wtrącała co jakiś czas świergotliwym głosikiem swoje trzy grosze.

Mimo że rozmawiali o mnie, wolałem nie wiedzieć, do jakich dochodzili wniosków. Miałem co innego na głowie - musiałem pogodzić ze sobą kilka faktów.

Po pierwsze, Bella powiedziała, że to coś w jej brzuchu chroniła błona równie twarda jak wampirza skóra - błona, przez którą nie przechodziły ultradźwięki i której nie dawało się przebić żadną igłą. Po drugie, Rosalie twierdziła, że mają gotowy plan, jak bezpiecznie przeprowadzić poród. Po trzecie, jak przyznał Edward, według indiańskich legend istoty spłodzone przez wampiry opuszczały swoje matki, wygryzając się na zewnątrz.

Zadrzałem.

Wszystko to w obrzydliwy sposób trzy mało się kupy, ponieważ po czwarte, mało co było w stanie przebić coś dorównującego wytrzymałością wampirzej skórze. Jeśli wierzyć podaniom, wystarczająco silne były jednak zęby tego potwornego mieszańca.

I moje własne zęby były wystarczająco silne.

I wampirze zęby także.

Trudno było zignorować nasuwającą się konkluzję. Żalowałem gorzko, że tego nie potrafię.

Chyba już się domyślałem, jak Rosalie zamierzała temu czemuś pomóc „bezpiecznie” przyjść na świat.

Alarm! Za dużo rewelacji naraz

Wyszedłem przed czasem, na długo przed świtem. Wcześniej trochę się zdrzemnąłem oparty o bok kanapy, ale nie spałem za dobrze. Cullen obudził mnie, kiedy na czole Belli pojawiły się krople potu, po czym zajął moje miejsce, żeby się nie przegrzała. Kiedy się przeciągnąłem, stwierdziłem, że czuję się wypoczęty i że w takim razie wrócę do lasu.

- Dziękuję - powiedział cicho Edward, widząc w moich myślach, co planuję. - Jeśli będzie spokojnie, wyprawimy się na polowanie jeszcze dziś.

- Dam znać, jak wygląda sytuacja.

Zmieniwszy się w wilka, odetchnąłem z ulgą. Od długiego siedzenia cały zeszywniałem. Biegając, dawałem jak największe susey, żeby pozbyć się z mięśni wszystkich suptów.

Witamy rannego ptaszka, odezwała się w mojej głowie Leah.

Dobrze, że już jesteś. Seth dawno zasnął?

Jeszcze wcale nie zasnął, pomyślał półprzytomnie. Ale mało mi brakuje. A co, jestem potrzebny?

Sądziś, że dasz radę być na nogach jeszcze godzinę?

Jasne. Żaden kłopot. Zerwał się i otrząsnął z paprochów.

Lecimy na wschód, tak jak się umawialiśmy, rzuciliśmy do Lei. A ty, Seth, wracaj na naszą stałą trasę.

Zrozumiano. Puścił się biegiem.

I znów robię coś, żeby krwio pijom nie stała się krzywda, pozałapała się.

Masz z tym jakiś problem?

Jasne, że nie, zadrwiła. Moje Kochane pijaweczki! Tak bardzo chciałabym móc je utulić.

Miło mi to słyszeć. A teraz zobaczmy, które z nas jest szybsze.

No, na to zawsze jestem gotowa!

Znajdowała się w najdalej na zachód wysuniętym punkcie naszej pętli, ale zamiast dotrzeć do mnie po przekątnej, mijając dom Cullenów, wybrała celowo dłuższą drogę wzdłuż granicy. Nie czekając, ruszyłem prosto na wschód.

Wiedziałem, że jeśli zwolnię choć na sekundę, mimo przewagi, lada chwila mnie przegoni.

Nos nisko przy ziemi, upomniałem ją. To nie wyścig, to rekonosans.

Wyłapię wszystkie tropy, a i tak cię wyprzedzę, odpyskowałam.

Nie przesadzała.

Wiem, tak ty lko gadam.

Zasłaniała się.

Bieglśmy krętą ścieżką wijącą się wśród wschodniego pasma gór. Dobrze ją znałem. Po tym, jak rok wcześniej wampiry wyjechały z Forks, zaczęliśmy przeczyszczać tę część lasu regularnie, żeby lepiej chronić mieszkańców tych okolic. Wycofaliśmy się z tych terenów, kiedy Cullenowie wrócili. Zgodnie z postanowieniami paktu, były to ich ziemie.

Jednak dla Sama prawdopodobnie nic to teraz nie znaczyło. Pakt przestał obowiązywać. Pozostawało tylko pytanie, do jakiego stopnia był gotowy rozproszyć swoje siły. Czy polował na zbląkanymi klusującymi Cullenów, czy nie?

Czy Jared mówił prawdę, czy też wykorzystał fakt, że nie mogliśmy już podsłuchiwać jego myśli? Coraz głębiej zanurzaliśmy się w góry, ale nadal nie natrafiliśmy na ani jeden wilczy trop, dookoła roilo się za to od starych śladów wampirów. Doskonale rozróżniałem teraz, który zapach należy do kogo - w końcu wdychałem je cały dzień.

Krwopijocy wyjątkowo często wybierali jeden ze szlaków - jakiś czas temu chodził tam wszyscy oprócz Edwarda. Musieli mieć jakiś powód do zbierania się w tym konkretnym miejscu, o którym zapomniano, kiedy przywiózł umierającą ciężarną żonę z powrotem do domu. Zagrzązałem zębami. Cokolwiek by to nie było, nie miało to ze mną nic wspólnego.

Przywiązywałem większą uwagę do wychwytywania nowych tropów, niż do ścigania się z Leą, więc teoretycznie już dawno mogłaby mnie wyprzedzić, ale o dziwo, nie robiła tego - trzymała się mojej prawej strony, towarzysząc mi, zamiast konkurować.

Zapędziliśmy się już bardzo daleko, zauważyła.

Zgadza się. Gdyby Sam wystawił tutaj jakieś czujki, już dawno coś byśmy znaleźli.

Zrozumiał, że większy sens ma okopywanie się w La Push. Jakby nie było, dzięki nam pijawki zyskały trzy pary dodatkowych oczu. Sam wie, że nie da rady ich teraz zaskoczyć.

Sprawdzamy tak ty lko na wszelki wypadek

Nie chcemy przecieć narażać naszych drogiej pasów na niebezpieczeństwo.

Właśnie, przytaknąłem, ignorując jej sarkazm.

Bardzo się zmieniłeś, Jacob. Zwrot o sto osiemdziesiąt stopni.

Ty też już nie jesteś tą Leą, którą kiedyś kochałem.

Racja. Czy mniej już cię drażni od Paula?

Nie wierzyłem, że to kiedyś powiem... ale tak

Ach, kolejny sukces.

Moje gratulacje.

Zamiłkiliśmy oboje. Był już chyba najwyższy czas zawrócić, ale widne z nas miało na to ochoty. Nareszcie zyskaliśmy trochę swobody. Mielliśmy po dziurki w nosie wpatrywania się w tę samą Kasę kilkadziesiąt razy z rzędu. Dobrze było móc rozprostować kości i przebiec się po bardziej urozmaiconym terenie. Nie spieszyło nam się zbytnio, więc postanowiłem zapolować w drodze powrotnej. Leah była już nielze głodna.

Mniam, mniam, pomyślała z kwaśną miną.

To wszystko kwestia nastawienia, zachęciłem ją. Tak odżywnia się wilki. To zupełnie naturalne. I smak nie jest wcale taki zły. Gdybyś ty lko nie patrzyła na to z ludzkiej perspektywy...

Daruj sobie, przerwała mi. Spoko, zapoluję. Ale lubić tego nie muszę.

Jak sobie chcesz

Jeśli wolała utrudniać sobie życie, trudno. To nie był mój problem.

Nie odrywała się przez dobre kilka minut. Zacząłem się zastanawiać, czy by jednak nie zawrócić.

Dziękuję, powiedziała ni stąd, ni zowąd, zupełnie innym tonem.

Za co?

Za to, że mogę tu być. Że pozwoliłeś mi zostać. Potraktowałaś mnie o wiele lepiej, niż powinienam się być tego spodziewać.

Ehm... To żaden kłopot. *Szczerze*. Myślałem, że jak cię przyjmę, będzie znacznie gorzej.

Prychnęła, ale w rozbawieniu.

Cóż za uroczy komplement!

Uważaj, bo ci jeszcze przewróci w głowie.

Obiecuję, że będę uważać - pod warunkiem, że tobie nie przewróci w głowie to, co ja mam do powiedzenia. Zrobiła pauzę. Uważam, że jesteś świetną Alfą, Jacob. Nie taką jak Sam, ale świetną na swój własny sposób. Dobrze mieć nad sobą kogoś takiego jak ty.

Zamurowało mnie. Potrzebowałem sekundy, by móc coś z siebie wydusić.

Ehm... Dzięki. Ty lko z tym przewracaniem w głowie... Nie jestem powien, jak to ze mną będzie. Kurcze, ale wyskoczyłaś! Co cię naszło?

Nie odpowiedziała mi od razu, więc zająłem głębiej w jej umysł, żeby sprawdzić czemu. Myślała o przyszłości - o tym, co powiedziałem Jaredowi - że nie zostało aż tak dużo czasu, a po wszystkim zaczną znowu włożyć się samotnie po odludziach. Obiecałem mu wtedy, że kiedy Cullenowie się wyprowadzą, ona i Seth wrócą do domu...

Chcę zostać z tobą, oświadczyła.

Tym razem zdziwienie mnie sparaliżowało. Stałem jak wryty. Leah wyhamowała kilka metrów dalej i zawróciła.

Przyrzekam, nie będę dla ciebie ciężarem. Nie będę nawet z tobą chodzić. Będziesz mógł pójść, dokąd będziesz chciał, i ja też pójdę, dokąd będę chciała. Krzątała przede mną w tę i z powrotem, wymachując nerwowo swoim szarym ogonem. Będziesz musiał ty lko ścierpieć to, że będziesz sływał moje myśli, kiedy oboje będziemy wilkami, ale zamierzam rzucić to, jak ty lko się da, więc może nie będzie się to zdarzać aż tak często.

Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Nie byłam taką szczęśliwą od ładnych kilku lat.

Ja też chciałabym zostać w twojej sforze, odezwał się cicho Seth. Dopiero teraz uzmysłowiałem sobie, że chociaż był daleko, słyszał całą naszą rozmowę. Bardzo mi w niej dobrze.

Hej, spokojnie! Nie zapędzajcie się! Już niedługo nie będzie żadnej mojej sfory! Próbowałem użyć myśli w jak najbardziej logiczną całość, byle ty lko zdołać ich przekonać. Teraz mamy jakiś cel, ale kiedy... kiedy go zabraknie, będę po prostu wałęsał się jako wilk Seth, potrzebujesz jakiegoś celu w życiu. Dobry z ciebie chłopak Jesteś tym typem człowieka, który lubi mieć zawsze o walczyc. A poza tym, nie ma mowy, żebyś miał opuścić teraz La Push. Musisz skończyć szkołę, zdobyć jakiś zawód. Musisz zaopiekować się Sue. Nie chcę brać na siebie odpowiedzialności za to, że złamię ci życie.

Ale...

Jacob ma rację, poparła mnie Leah.

Trzymasz moją stronę?

Jeśli chodzi o Setha, jak najbardziej. Ale nic, z tego, co powiedziałeś, nie odnosi się do mnie. I tak zamierzałam się wyprowadzić z domu. Znajdę sobie jakąś pracę daleko od La Push... Może zapiszę się na jakieś kursy dokończające... Zacznę uprawiać jogę i medytować, żeby radzić sobie z wybuchami gniewu... I pozostanę członkiem twojej sfory - żeby nie zwariować. Chyba widziś, że to ma sens, prawda? Nie będę wchodzić ci w drogę, ty mi nie będziesz wchodził w drogę, i oboje będziemy zadowoleni.

Obróciłem się i ruszyłem powoli na zachód.

To za duża sprawa, żebyśmy mogli od razu podjąć decyzję. Muszę to sobie najpierw przemyśleć, rozumiem.

Rozumiem, jasne. Nie będę cię popędzać.

Powrót zajął nam więcej czasu. Nie miałem głowy do wyścigów. Usiłowałem ty lko skupić się na tyle, żeby nie wyróżnić łbem o pierwsze z brzęgu drzewo. Seth trochę narzekał, ale udawało mi się go ignorować. Wiedział, że mam rację. Nie zdobyłby się na zostawienie swojej mamy. Miał dołączyć do Sama i razem z nim chronić mieszkańców La Push.

Nie mogłem jednak oczekiwać, że w jego ślady pójdzie Leah.

I to najwzyczajniej w świecie mnie przerażało.

Ty lko nas dwoje w sforze? Mniejsza o to, że nie musiałbym jej widywać, ale dzielić się wyłącznie z nią swoją każdą, choćby najbardziej intymną myślą? Nie potrafiłem sobie tego wyobrazić. Ciekaw byłem, czy po prostu tego do końca nie przeanalizowała, czy też aż do tego stopnia była zdesperowana.

Słuchała moich rozważań bez słowa komentarza - jakby próbowała mi udowodnić, że nie sprawi kłopotów.

Kędy za widnokręgu wyłoniło się wreszcie słońce, różowiąc chmury za naszymi plecami, natapoczyliśmy się na stado mulaków* [Mulak - gatunek jelenia - przyp. tłum.]. Leah westchnęła w myślach, ale zareagowała bez wahania - sprawnie i pewnie, a zarazem z wielką gracją. W kilku susach dopadła największego z samców, zanim jeszcze zorientował się, że grozi mu niebezpieczeństwo.

Nie każem na siebie długo czekać. Powaliliśmy na ziemię drugą największą sztukę, szybko zmiądziliśmy zębami jej kark, żeby oszczędzić niepotrzebnych cierpień. Dotarło do mnie, że obrzydzenie walczy w Lei z głodem i chcąc jej pomóc, pozwoliłem by górę wzięła nade mną wilczy instynkt. W czasie długiej samotnej wędrownki nauczyłem się w nim kompletnie zatracać - rozumiem to zwierzę w sobie i rozumować jak zwierzę.

Leah zauważyła oczywiście, co się ze mną dzieje. Zawahała się na sekundę, ale zaraz potem odniosłem wrażenie, że ostrożnie, powolutku, zaczyna przełączać się na moje postrzeganie świata. Było to dziwne uczucie - łącząca nasze umysły więc stała się nagle silniejsza niż kiedykolwiek przedtem, bo po raz pierwszy oboje naprawdę dążyliśmy do tego, żeby ją podtrzymać.

O dziwo, podziałało. Leah wgrzyła się w ramię swojej ofiary, odrywając od barku grubą pas parującego mięsa. Jej ludzkie odruchy nakazywały jej się wdzygać, udawało jej się jednak je ignorować. Może i działała w

odrętwieniu, jak automat, ale przynajmniej mogła najeść się w spokoju.

Mnie bycie wilkiem przychodziło z łatwością. Cieszyłem się, że nie zapomniałem tej sztuki. Już niedługo znowu miałem tak żyć.

Tylko czy stałym elementem tego życia miała być odtąd obecność siostry Setha? Jeszcze tydzień wcześniej taka perspektywa by mnie przerażała. Po prostu nie zniósłbym towarzystwa Lei. Ale teraz znalazłem ją już lepiej. A uwolniona od źródła ciągłego bólu nie była już takim samym wilkiem. Nie była już taką samą dziewczyną.

Jedliśmy łapczywie, aż napełniliśmy żołądki.

To myślenie po zwierzęcemu nie było wcale takie złe, stwierdziła wycierając pyski i łapy o mokrą trawę. Sam to sobie darowałem - dopiero co zaczęło mżyć, a w drodze powrotnej mieliśmy znów przepaść się przez rzekę. Będzie jeszcze okazała się umyć. Dzięki.

Nie ma za co.

Kiedy dobiegliśmy do naszej stałej trasy, Seth ledwie trzymał się na nogach. Kazalem mu iść spać i zajęliśmy się patrolowaniem granicy razem z Leą. Umysł jej brata zapadł w sen praktycznie już po kilku sekundach.

Odwiedzisz jeszcze pijawki? spytała.

Pewnie tak.

Ciężko w tym wszystkim siedzieć, ale tak samo ciężko dać sobie z tym wszystkim spokój, prawda? Wiem, jak się czujesz.

Wiesz co, Leah, lepiej dobrze sobie przemyśl, czy chcesz się ze mną związać na dłużej. Już za kilka dni w mojej głowie rozpęta się piekło. Jeśli ze mną zostaniesz, będziesz musiała przez to przejść.

To, co ci powiem, nie zabrzmi za dobrze, ale szczerze. Dobrze? Latwiej mi będzie zmierzyć się z twoją tragedią niż z moimi własnymi demonami.

Skoro tak uważasz.

Wiem, że będzie to dla ciebie bardzo mroczny okres. Potrafisz sobie wyobrazić, co będziesz przeżywać - może nawet lepiej, niż ci się wydaje. Nie przepadam za Bella, ale... ona jest tym dla ciebie, kim dla mnie Sam. Jest ucieleśnieniem twoich pragnień, ale nigdy nie będzie twoja.

Nie byłem w stanie jej odpowiedzieć.

Wiem, że jest ci trudniej niż mnie. Sam jest przynajmniej szczęśliwy. Przynajmniej żyje i ma się dobrze. Kocham go na tyle mocno, by nie życzyć mu źle. Chcę, żeby spełniały się jego wszystkie marzenia... Westchnęła. Tylko nie chcę się temu przyglądać.

Czy musimy ciągnąć ten temat?

Myślę, że tak. Bo chciałybyśmy, żebyś zrozumiał, że jeśli pozostaniemy w jednej sforze, nie będziesz dodatkowo przez mnie cierpieć. Cholera, może nawet cię jakoś wesprę! Nie urodziłem się jako wredna sula. Kiedyś byłam całkiem sympatyczna.

Coś pamięć mnie zawodzi.

Zaśmialiśmy się oboje.

Przykro mi, że tak to się potoczyło. Bardzo ci współczuję. To straszne, że jest coraz gorzej, a nie coraz lepiej.

Dzięki, Leah.

Sięgnęła do moich najsmutniejszych wspomnień z ostatnich dni, na podstawie których doszła właśnie do takich a nie innych wniosków. Próbowałem jakoś zagłuszyć te czarne wizje, ale bez powodzenia. Na szczęście, patrzyła na nie z dużo większym ode mnie dystansem i pod innym kątem, i musiałem przyznać, że było to pomocne. Mogłem sobie wmawiać, że może za parę lat też tak będę do nich podchodził.

Wyłapała wiele zabawnych momentów, które brały się stąd, jak bardzo irytowało mnie nieraz przebywanie wśród wampirów. Spodobało jej się na przykład to, jak dokucałem jasnowłosej psychopatce, i rozbawiona przypominała sobie nawet kilka dowcipów o blondynkach, które mógłbym w przyszłości wykorzystać.

Niespodziewanie, zatrzymała się nad obrazem Rosalie na dłużej i spoważniała. Na moment straciłem wątek.

Wiesz, co jest w tym najbardziej pokręcone? zapytała.

Jak dla mnie, to już wszystko po równo. Cały świat stanął na głowie. O co ci dokładnie chodzi?

Ta blond wampirzyca, której tak bardzo nienawidzisz - doskonale ją rozumiem.

Przez sekundę sądziłem, że to dowcip - bardzo kiepski dowcip - ale potem uświadomiłem sobie, że nie żartuje, i zakłapał we mnie gniew, nad którym nie miałem siły zapanować. Dobrze, że dzieliło nas pół okrążenia. Gdybym tylko była na tyle blisko, żebym mógł ją ugryźć...

No, co ty! Wstrzymaj się! Daj mi to sobie wytłumaczyć!

Nie chcę tego słuchać. Sama dalej biegnaj.

Jake, czekaj! zawołała błagalnie. Usiłowałem się uspokoić, ale tylko po to, by móc zmienić się w człowieka. Zaczekaj! Hej! No, nie bądź taki!

Leah, naprawdę, to nie najlepsza metoda na przekonanie mnie, że powinienem spędzić z tobą w przyszłości więcej czasu.

Boże, człowieku, ale z ciebie choleryk. Nawet nie wiesz, co miałam na myśli.

Tak? To co miałaś na myśli?

Nagle znowu stanęła przede mną zgorzkniała, umęczona Leah, którą tak dobrze znałem.

Miałam na myśli bycie ślepą uliczką genetyki.

Pogarda w jej tonie zabiła mnie z tropu. Nie spodziewałem się, że coś przebiję moją furję.

Nie nie rozumiem.

A rozumiałbyś, gdybyś nie był taki sam, jak cała reszta? Gdybyś na hasło „kobiece sprawy” - doprawiał te dwa słowa wyjątkowo silną dawką sarkazmu - nie uciekał, gdzie pieprz rośnie tak jak każdy inny durny facet, mógłbyś poświęcić im trochę uwagi i rozjaśnić ci się w lepytnie.

Hm...

No tak, żaden z nas wolał nie wnikać w jej prywatne sprawy, ale co z tego? Kto na naszym miejscu miałby na coś takiego ochotę? Pamiętałem oczywiście w jaką panikę wpadła w pierwszy miesiąc po dołączeniu do sfory - i pamiętałem, jak z chłopakami wdrygaliśmy się za każdy razem, gdy wracała myślami do swoich problemów. Nie mogła być w ciąży, bo przecież po Samie z nikim się nie spotykała - no, chyba że w grę wchodziło niepokalane poczęcie. Ale tygodnie miały, a nadal nie się nie działo, i wreszcie musiały przyznać, że jej ciało przestało funkcjonować zgodnie z naturalnym rytmem. Z jakimkolwiek rytmem. Więc czym teraz była? Czy owa zmiana zaszła dlatego, że stała się wilkołakiem? Czy też może stała się wilkołakiem, ponieważ od samego początku coś z nią było nie tak? Jedyna taka dziewczyna w historii plemienia... Czyżby nigdy tak do końca nie była prawdziwą kobietą?

Zaden z nas nie chciał brać udziału w podobnych rozważaniach. Co z resztą mieliśmy robić? Próbować postawić się w jej położeniu?

Wiesz, co Sam sądzi o wpojeniu, pomyślała spokojnie.

Że to po to, żeby mieć pewność, że nasz ród nie wymrze.

Właśnie. Żeby mieć z kim płodzić słodkie szczeniaki. Przetrawanie gatunku, nasi górą - te sprawy. Przyciągnie cię ta osoba, z którą będzie się miało największe szanse przekazać następnemu pokoleniu swoje wilcze geny.

Czekałem, aż mi wyjaśni, gdzie w tym schemacie widzi miejsce dla siebie.

Gdybym była coś warta, w przypadku Sama padłoby na mnie.

Przeszły ją taki ból, że aż pomyliłem krok i musiałem zwinąć.

Jestem do niczego. Mam jakąś ukrytą wadę. Mimo swoich super przodków, najwyraźniej nie potrafisz przekazać ich wspaniałego genu. Więc zostałam dziwadłem - dziewczyną - wilkiem - bo do niczego innego się nie nadaję. Nie ma co się oszukiwać: jestem ślepą uliczką.

Nie mów tak, zaprotestowałem. Z tymi genami to tylko pomyśl Sama. Prawda, istnieje takie zjawisko jak wpojenie, ale nie wiemy dlaczego. Billy ma na przykład zupełnie inną teorię.

Wiem, wiem. Myślisz, że przez to nowe pokolenie wilków jest silniejsze od poprzedniego. Bo ty i Sam wyróżnicie tacy wielcy - znacznie więksi od wilków z poprzedniej sfory. Ale tak czy siak, mnie to nie dotyczy. Jestem już po menopauzie. Mam dwadzieścia lat i jestem już po menopauzie.

Pięknie. O niczym taknie marzyłem w tej chwili, jak o tym, żeby zakończyć tę rozmowę.

Spokojnie, Leah. To pewnie tylko efekt uboczny tego, że tak często zmieniamy się w wilki i przestajemy się starzeć. Zobacysz pobędziesz trochę człowiekiem, to te tam... to coś tam ci się odblokuje.

Może masz rację - tylko co z tego, skoro bez względu na mój rewelacyjny rodowód i tak nikt nigdy nie wpoił sobie mnie. Wiesz, dodała w zamyśleniu, gdyby nie było cię w pobliżu, to Seth mógłby sobie rościć prawo do zostania nową Alfą. Przynajmniej zważywszy na jego koligacje. No bo mnie tam, rzecz jasna, nikt nie brał pod uwagę...

Naprawdę chcesz, żeby przytrafiło ci się to całe wpojenie albo żeby kto inny tak oszalał na twoim punkcie? A co jest złego w zwykłym zakochiwaniu się, jak normalni ludzie? Jak dla mnie, z wpojeniem jest tak jak z rozkazami Alfy - to tylko kolejna odmiana zniewolenia.

Sam, Jared, Paul, Quil... nie wydają mi się nieszczęśliwi.

Bo są jak po praniu mózgu!

Więc wolałbyś unikać wpojenia?

Jasne, że bym wolał.

Tylko dlatego, że jesteś już zakochany w Belli. A po wpojeniu by ci przeszło. Nie musiałbyś już tak cierpieć. Nie zastanawiałeś się nad tym?

Chciałabyś zapomnieć o tym, co czułaś do Sama?

Zamyśliła się.

Sądzę, że tak.

Westchnęłam. Miała do tego o wiele zdrowsze podejście ode mnie.

Ale wracając do punktu wyjścia - rozumiem, dlaczego ta blond wampirzyca jest taka chłodna. W przenośni, oczywiście. Jest bardzo skoncentrowana, skupiona na osiągnięciu upragnionego celu, zgadza się? Bo zawsze najbardziej chce się tego, czego nie może się mieć.

Też byś tak postąpiła? Zamordowałabyś kogoś - bo nie da się inaczej nazwać tego, co ona robi, starając się za wszelką cenę nie dopuścić do tego, żebyśmy pomogli Belli - zamordowałabyś kogoś, żeby mieć dziecko? Kiedy to odezwał się w tobie instynkt macierzyński?

Tak jak ci mówiłam - chcę tego, czego nie mogę mieć. Gdyby wszystko byłoby ze mną w porządku, kto wie, może nigdy nie miałabym takich ciągot.

I zabiłabyś kogoś, żeby zostać matką? drażylem uparcie.

Myślę, że Rosalie nie czerpie przyjemności z tego, że Bella może umrzeć, tylko z tego, że oczekuje dziecka. Przeżywa to trochę tak jakby sama była w ciąży. Gdyby... gdyby to mnie Bella poprosiła o pomoc... Zastanowiła się nad tym. Nie lubię jej jako osoby, ale pewnie też bym się zgodziła.

Spomniędy moich zaciśniętych kłów wy dobyło się głośne warknięcie.

Bo gdyby odwrócić role, chciałabym, żeby Bella zrobiła dla mnie to samo. I Rosalie też. Obie podjęłybyśmy tę samą decyzję, co Bella.

O, nie! Następna się znalazła!

To zabawne, do czego człowiek robi się zdolny, kiedy w grę wchodzi coś, czego nie można mieć.

Nie, no... Dostyć tego. Mam dość. Koniec tematu, rozumiano?

Proszę bardzo.

Nie wystarczało mi to, że ucichła. Chciałem od niej odpocząć.

Znajdowałem się niespełna dwa kilometry od miejsca, w którym zostawiłem swoje nowe ubrania, więc czym prędzej zmieniłem się w człowieka i przeszedłem resztę drogi na dwóch nogach. Nie myślałem o rozmowie, która odbyłem z Leą, ale nie dlatego, że nie spowodowała mnie do żadnych przemyśleń, ale dlatego, że nie mogłem ich znieść. Nie miałem najmniejszego zamiaru spojrzeć na całą sytuację z innej perspektywy - z jej perspektywy - ale było mi piekielnie trudno się przed tym uchronić, bo do mojej głowy dostawały się wszystkie jej refleksje i emocje.

Nie zamierzałem też już nigdy więcej patrolować z nią granicy. Właściwie mogłem po prostu odesłać ją do La Push. Jedna mała komenda Alfę przed moim odejściem nikomu nie mogła zaszkodzić.

Kiedy dotarłem do domu, było jeszcze bardzo wcześnie. Bella pewnie nadal spała. Postanowiłem, że sprawdzę tylko, co słychać, powiem Cullenom, że mogą się już wybrać na polowanie, a potem znajdę jakąś polankę porośniętą na tyle miękką trawą, że będę mógł się na niej przespać w ludzkiej postaci. Chciałem wrócić na patrol dopiero wtedy, kiedy Leah miała z niego zejść.

Z wnętrza budynku dochodził szmer rozmów. Czyżby Bella już wstała? Ale zaraz przedła mi mina, bo usłyszałem, że na piętrze znowu buczy aparatura. Czyli trwało prześwietlenie. Świetnie. Wyglądało na to, że pierwszy z pozostałych nam czerech dni zaczął się mocnym akcentem.

Zanim sięgnęłam do klamki, drzwi otworzyła Alice.

Skinęła głową na powitanie.

- Cześć, wilk

- Cześć, mała. Co tam się dzieje na górze? Salon był pusty - wszyscy wybyli do rentgena. Wzruszyła swoimi i kościsty mi ramionkami.

- Podejrzewają nowe złamanie.

Starala się powiedzieć to z jak najwięcej swobodą, ale w głębi jej oczu zauważyłam płomienie. Edward i ja nie byliśmy tu jedynymi, którzy czuli się jak na stosie. Alice też kochała Bellę.

- Kolejne zebro? - spytałem ochryple.

- Nie. Teraz mednica.

Śmieszne, że za każdym razem reagowałem tak gwałtownie - jak gdybym każda nowa rzecz, o jakiej mnie informowano, była dla mnie całkowitym zaskoczeniem. Kiedy miałem przestać czuć się zaskoczony? Czego się spodziewałem?

Alice wpatrywała się w moje rozedrgane dłonie.

Na piętrze odezwała się Rosalie.

- A widzisz. Mówiłam, że ci się przewidziało, Edwardzie. Nic nie chrupnęło. Musisz chyba wybrać się do laryngologa.

Nikt jej nie odpowiedział. Alice skrzywiła się.

- Jak tak dalej pójdzie, Edward straci cierpliwość i rozerwie ją na strzępy. Dziwię się, że Rosalie tego nie widzi. A może widzi, tylko liczy na Emmetta.

- Emmetta wezmę na siebie - zaoferowałem się - a ty możesz pomóc Edwardowi z tym rozrywaniem.

Uśmiechnęła się blade.

Po schodach zesłała całą procesję. Tym razem chorą niósł jej mąż. Trzymała oburącz kubek z krwią, a twarz miała białą jak trup. Widać było, że chociaż Edward stara się zamortyzować każdy najdrobniejszy wstrząs, i tak przenosiny sprawiają Belli ból.

- Jake - wyszeptala i mimo wszystko zmusiła do uśmiechu. Przyglądałem się jej w milczeniu.

Położywszy ją ostrożnie na kanapie, Edward usiadł u jej wezglowia. Przez chwilę zastanawiałem się, dlaczego nie zostawił jej na górze, ale szybko wydedukowałem, że musiał być to pomysł Belli. Wolała pewnie udawać, że wszystko z nią jest w porządku, więc nie potrzebuje non stop szpitalnego osprzętu. A Edward naturalnie podporządkował się jej prośbie.

Carlisle zszedł powoli na samym końcu, spięty i zatroskany. Rozpacz go postarzała. Nareszcie wyglądał na kogoś, kto mógłby być lekarzem.

- Sprawdziłmy połowę trasy stąd do Seattle - zakomunikowałem mu - i ani śladu sfory. Macie ode mnie zielone światło.

- Dziękuję, Jacobie. W samą porę. Tyle mamy do załatwienia... - Zerknął na kubek, który tak kurczowo trzymała Bella. Oczy miał czarne jak węgiel.

- Myślę też, że spokojnie możecie wyruszyć w większej grupie niż trzy osoby. Jestem przekonany, że Sam koncentruje swoje siły wokół La Push.

Pokiwał głową. Wydało mi się dziwne, że tak chętnie słuchał moich rad.

- Dobrze. Najpierw pójdziemy ja, Alice, Esme i Jasper, a później Alice może wziąć Emmetta i Ro...

- Nie ma mowy - syknęła Rosalie. - Emmett może pójść już w pierwszej turze.

- Powinnaś się posilić - przypomniał jej łagodnie. Ton głosu, jaki przybrał, nie wypłynął na jej własny.

- Jeśli już wybiorę się na polowanie, to tylko z nim - warknęła, wskazując podbródkiem na Edwarda, po czym odgarnęła włosy do tyłu.

Carlisle tylko westchnął.

Momentalnie w salonie pojawili się Jasper i Emmett i razem z Alice ustawili się w gotowości przy drzwiach w szdanej ścianie. Z pewnym opóźnieniem dołączyła do nich Esme.

Carlisle położył mi rękę na ramieniu. Była lodowata, ale jej nie strąciłem - po części dlatego, że zaskoczył mnie tym gestem, a po części, ponieważ nie chciałem ranić jego uczuć.

- Dziękuję - powtórzył, a potem z pozostałą czwórką rzucił się pędem przed trawnik. Zniknęli mi z oczu, zanim jeszcze zdążyłem zacerpnąć powietrza. Musieli być o wiele bardziej spragnieni, niż podejrzewałem.

W pokój zapadła cisza. Czulem, że ktoś wpatruje się we mnie gniewnie i dobrze wiedziałem kto. Planowałem wcześniej jak najszybciej wrócić do lasu się przepaskać, ale możliwość popsucia poranka pewnej wampirzycy była zbyt kusząca.

Podszedłem do fotela stojącego obok tego, który zajmowała, i rozsiadłem się, a raczej rozwalilem, przechylając głowę ku Belli, tik że moja lewa stopa wyładowała tuż przy twarzy Rosalie.

- Faj - mruknęła, marszcząc nos. - Niech ktoś wypuści psa.

- Znasz dowcip o tym, jak umierają komórki mózgowe blondynek?

Nie nie powiedziała.

- To jak? Znasz odpowiedź, czy nie?

Ignorowała mnie, udając, że ogląda telewizję.

- Zna ten dowcip? - spytałem Edwarda.

Nie rozbawiła go ta sytuacja - nawet nie drgnął, a oczu nie spuszczał z Belli - ale odpowiedział:

- Nie.

- Super. W takim razie, na pewno ci się spodoba, Blondie. Komórki mózgowe blondynki umierają samotnie.

Nadał na mnie nie patrzyła.

- Zabijałam setki razy więcej niż ty, ty parszywy kundlu. Nie zapominaj o tym.

- Prędkiej czy później, królowo piękności, straszanie mnie przestanie ci wystarczać. Och, jak ja czekam na ten dzień!

- Wystarczy, Jacob - upomniła mnie Bella.

Zerknęłam na nią. Przyglądała mi się krzywo. Najwyraźniej jej wczorajszy dobry nastrój minął bezpowrotnie. Trudno, nie chciałem jej denerwować.

- Mam sobie pójść?

Miałem już prawie nadzieję - a raczej niemal obiecałam mi strach - że nareszcie przejadła jej się moja obecność, ale zamrugnęła gwałtownie, zszokowana, że mogłem dojść do takiego wniosku.

- Nie! Oczywiście, że nie!

Westchnąłem. Edward też westchnął, ty le że bardzo dyskretnie. Też wolałby, żeby Bella wreszcie mnie przegoniła. Pomyślałem, że to wielka szkoda, że nigdy by jej nie zasugerował niczego, co by ją unieszczęśliwiło.

- Wyglądasz na zmęczonego - stwierdziła.

- Ledwo żyję - przyznałem.

- Chciałoby się - mruknęła Rosalie takcicho, żeby Bella nie mogła jej usłyszeć.

Osunąłem się w fotelu dla większej wygody. Moja naga stopa zawisła przez to jeszcze bliżej wampirzycy. Blondyna zeszywniała. Po kilku minutach poproszona przez Bellę o więcej krwi, zerwała się z miejsca, aż zawiął wiatr, i pognała na piętro. Było naprawdę spokojnie. Właściwie to nic nie stało na przeszkodzie, żebym się zdrzemnął.

Ciszę przerwał Edward.

- Mówiłaś coś? - zwrócił się do Belli wyraźnie zdezorientowany.

Było to dziwne, bo nikt nic nie powiedział, a słuch miał przecież równie dobry, co ja.

Bella spojrzała na niego zagubiona.

- Ja? Nie, nic nie mówiłam.

Ukłęknał i pochylił się nad nią. Zdawał się analizować coś intensywnie, więc chyba wpadł na jakiś trop. Zerknął znowu na Bellę.

- O czym teraz myślisz?

Wzruszyła ramionami.

- O niczym. O co ci chodzi?

- A przed chwilą?

- Hm... O Wyspie Esme. I o pierzu.

Co miał piernik do wiatraka? Ale Bella się zarumieniła i zrozumiałem, że lepiej, żebym się tego nie dowiedział.

- Powiedz coś jeszcze - poprosił.

- Ale co? I po co? Edwardzie, o co chodzi?

Jego wyraz twarzy znowu raptownie się zmienił i Edward zrobił coś, od czego mimowolnie rozdziawiłem usta. Usłyszałem, jak ktoś za moimi plecami zachłytuje się powietrzem i domyśliłem się, że wróciła Rosalie. Zachowanie jej brata było dla niej tak samo zaskakujące, jak dla mnie.

Tak delikatnie, jak tylko było to możliwe, przyłożył obie dłonie do nabrzmiałego brzucha Belli.

- To co... - Ugryzł się w język - Dzie... dziecko lubi dźwięk twojego głosu - wykrztusił.

Na moment wszystkich zamurowało. Nie byłem w stanie choćby mrugnąć.

- Matko Boska, ty słyszysz jego myśli! - wykrzyknęła Bella.

Zaraz potem się skrzywiła.

Edward przesunął rękę ku górze i poglaskał czule miejsce, w które to coś pewnie ją kopnęło.

- Cii - szepnął. - Przestraszyłaś... go.

Ze zdumienia otworzyła szeroko oczy. Podkopała się po brzuchu.

- Przepraszam, kochanie.

Edward nasłuchiwał uważnie z przechyloną głową.

- O czym teraz myślisz? - chciała wiedzieć Bella.

- Jest bardzo... - zamilkł i spojrzął na nią. Wyglądał na wzruszonego i poruszonego, tak jak ona, ale jednocześnie nadal był pełen rezerwy. - Jest szczęśliwy - powiedział z niedowierzaniem.

Zaparał jej dech w piersiach. Nie sposób było nie zauważyć błysku fanatyizmu w jej oczach: mieszanek nabożnego uwielbienia i ślepego oddania. Uśmiechnęła się szeroko, a po policzkach pociekły jej łzy.

Edward z kolei ani się przeraził, ani się nie rozgniewał, ani nie upodobił się do człowieka płonącego na stosie czy do kogokolwiek innego, kim był w ciągu ostatnich kilku dni. Widziałem go w różnych momentach, ale takiego jeszcze nigdy. Na chwilę razem z Bella popadł w bezgraniczny zachwył.

- Oczywiście, że jesteś szczęśliwy, mój maleńki - zagruchała, głaszając się po brzuchu i płacząc z radości. - Jakże mogłoby być inaczej? Przecież wiesz, że jesteś kochany, a w brzuszku u mamusi jest ci tak ciepłutko i bezpiecznie.

Och, mój mały EJ!* [EJ (wym. i dżej) - w języku angielskim można w ten sposób tworzyć zdrobnienie - w tym przypadku od pierwszych liter imion Edward i Jacob - przyp. tłum] Moja gwiazdeczka! Tak bardzo cię kocham!

- Jak go nazwałaś? - spytał Edward zaintrygowany.

Znowu się zarumieniła.

- Widzisz... wymyśliłam już dla niego imiona. Nic ci nie mówiłam, bo chyba... nie byłś zainteresowany.

- EJ?

- Twój ojciec też miał na imię Edward.

- Tak, to prawda. A co... - Przerwał, bo coś zbiło go z pantyłu ku.

- Hm...

- Co?

- Dźwięk mojego głosu też lubi.

- Jasne, że lubi - powiedziała niemalże takim tonem, jakby napawała się jakimś sukcesem. - Masz najpiękniejszy głos w całym wszechświecie. Kto mógłby go nie pokochać?

- Masz jakiś plan awaryjny? - spytała Rosalie, pochylając się ku Belli ponad oparciem z taką samą jak ona obrzydliwie usatysfakcjonowaną miną. - Co jeśli to dziewczynka a nie chłopiec?

Bella otarła sobie łzy wierzchem dłoni.

- Brałam już pod uwagę kilka wersji. Bawilam się różnymi pouczeniami Renee i Esme, i tak sobie myślę, że może... Renezej? Z akcentem na drugą sylabę.

- Renezej?

- Pisałoby to się Renesmee. I jak, zbyt dziwaczne?

- Nie, podoba mi się - zapewniła ją Rosalie. Prawie że stykały się głowami - złote włosy przy brązowych o mahoniowym odcieniu. - Jest piękne. I jedyne w swoim rodzaju, więc pasuje jak ulał.

- Mimo wszystko, nadal wydaje mi się, że to Edward.

Duży Edward dalej nasłuchiwał, zapatrzony w dał niewidzącymi oczami.

- I co? I co? - zawołała Bella podeksytowana. - O czym teraz myślisz?

Zamiast jej odpowiedzieć, zrobił coś, czym tak zaskoczył całą naszą trójkę, że każde z nas aż jęknęło - ostrożnie przyłożył ucho do jej brzucha.

- Kocha cię - wyszeptał, całkowicie oszolomiony. - Po prostu cię ubóstwia.

W tej samej chwili zrozumiałem, że zostałem sam. Zupełnie sam.

Miałem ochotę się kopnąć, kiedy zdałem sobie sprawę, jak bardzo liczyłem na tego gada. Jaki byłem głupi! Jakby można było zaufać pijawce! To, że mnie w końcu zdradzi, było nieuniknione.

Liczyłem na to, że będzie po mojej stronie. Liczyłem na to, że będzie cierpiał jeszcze bardziej niż ja. A przede wszystkim liczyłem na to, że będzie nienawidził bardziej niż ja tego odrażającego, zabijającego Bellę stwora.

Stawiałem na niego.

Mimo to siedzieli teraz razem, przytuleni, rozmarzeni, zachwycając się tym niewidocznym, nabierającym sił potworem jak szczęśliwi młodzi rodzice.

A ja zostałem sam z swoją nienawiścią i z swoim bólem, który dokuczał mi tak bardzo, jak gdybym był na torturach. Jak gdyby przeciągano mnie powoli przez łożę z postawionych na sztorc żyłek. Ból był tak silny, że śmierć

wydawała się przy nim wyławianiem.

Z moich mięśni wystrzeliło ciepło, przywracając je do życia. Zerwałem się z fotela. Wszyscy troje podnieśli głowy. Edward skupił się na powrót na moich myślach i jego twarz znowu wykrzywił ból.

- Aaa... - wykrztusił.

Nie wiedziałem, co robię - stałem tak, dygocząc, gotowy pomóc sobie w taki sposób, jaki pierwszy przy szedł mi do głowy.

Poruszając się równie szybko, co atakujący wąż, Edward dopadł stolika i wyjął z szafki jakiś drobny przedmiot. Cisnął to coś w moją stronę, a ja machinalnie to złapałem.

- Idź już, Jacob. Wyjdź stąd jak najprędzej.

Nie powiedział tego agresywnie czy z odrazą - rzucił mi te słowa niczym koło ratunkowe. Podsuwał po przyjacielu inną drogę ucieczki.

Ścisnąłem kluczyki samochodowe.

tylko głową. Zupełnie mnie nie interesowało, co sobie pomyśleli o mojej eskapadzie.

Skręciwszy do Cullenów, skinięciem głowy przy witalem się też z Sethem i Leą. Ściemniało się, a po tej stronie zatoki niebo było mocno zachmurzone, ale zauważyłem ich, bo ślepia błysnęły w świetle reflektorów. Postanowiłem, że wyjaśnię im wszystko później. Będziemy mieć na takie rzeczy mnóstwo czasu.

Ku mojemu zdziwieniu, Edward czekał na mnie w garażu. Pierwszy raz od dawna widziałem go bez Belli. Sądząc po wyrazie jego twarzy, nie stało jej się na szczęście nic złego - właściwie to w ciągu ostatnich kilku dni nie widziałem, żeby wyglądał tak dobrze. Przy pominięciu mi się, skąd brał się jego spokój, i że złości i obrzydzenia ścisnęło mnie w żołądku.

Wielka szkoda, że przez te wszystkie rozmowy ślania zapomniałem skasować mu auto. Trudno. Zresztą, przez to, że w grę wchodził Aston Martin, pewnie nie byłbym w stanie zdobyć się na to, żeby choćby go zadrasnąć. Może Edward odgadł, jakie są moje preferencje, i to właśnie dlatego wybrał ten wóz a nie inny?

- Mam z tobą do omówienia dwie sprawy - oświadczył, kiedy zgasilem silnik.

Wziąłem głęboki wdech i przez chwilę nie wypuszczałem powietrza z płuc, po czym wysiadłem powoli z samochodu i rzuciłem Edwardowi kluczyki.

- Dziękuję za pożyczkę - powiedziałem cierpko. Najwyraźniej nie była bezinteresowna. - Czego znowu chcesz?

- Po pierwsze... wiem, że jesteś przeciwny dyscyplinowaniu członków swojej sfery, ale...

Mrugnąłem, zdumiony, że wyskoczył akurat z czyms takim.

- Co takiego?

- Jeśli nie potrafisz albo nie będziesz chciał wpłynąć jakoś na Leę, to będę...

- Na Leę? - przerwałem mu, cedząc przez zaciśnięte zęby. - Co się stało?

Zrobił surową minę.

- Podeszła pod dom sprawdzić, czemu tak nagle wyjechałaś. Usiłowałem jej to wyjaśnić i podejrzewam, że zaszło między nami nieporozumienie.

- Jak zareagowała?

- Zmieniła się w człowieka i...

- Naprawdę? - znowu mi przerwał, tym razem dlatego, że ta informacja mnie szokowała. Nie mieściło mi się to w głowie. Leah pożyła się swojej jedynej broni na progu siedziby wroga?!

- Chciała... porozmawiać z Bella.

- Z Bella?!

Edward był oburzony.

- Nie pozwolę, żeby Bellę ktoś lał jak psa, i nie mnie to nie obchodzi, jakie usprawiedliwienia ma Leah na swoje zachowanie! Nie zrobiłem jej krzywdy, nigdy się do tego nie posunę, ale jeśli jeszcze raz zrobi Belli scenę, po prostu ją wyrzucę i to dosłownie - tak się zamachnę, że wyładuje na drugim brzegu rzeki!

- Chwileczkę. O co zrobiła Belli scenę?

Nic z tego, co mówił, nie miało dla mnie sensu. Teraz to on wziął głęboki wdech, żeby się uspokoić.

- Niepotrzebnie się na nią zełościła. Sam nie mam zamiaru udawać, że rozumiem, czemu Bella nie może zakończyć znajomości z tobą, ale wiem jedno - że nie postępuje w ten sposób po to, żeby cię zranić. Bardzo cierpi przez to, ile bólu zadaje zarówno tobie, jak i mnie, prosząc cię o to, żebyś nie odchodził. Leah była dla niej zbyt szorstka. Doprowadziła ją do leż, a...

- Czekaj. Czyli Leah nakrzywdziła na Bellę z mojego powodu?

Skinął głową.

- Broniła cię jak lwica. Ho, ho!

- Nie prosiłem jej o to.

- Wiem, że nie.

Wywróciłem oczami. Jasne, że wiedział. Wszyscy przecie wiedzieli.

Z tej Lei to był jednak niezły numer. Kto by przypuszczał, że stać ją na coś takiego? Ze wparuje do salonu krwiopijców, w dodatku w ludzkiej postaci, i oznajmi, że nie podoba jej się to, jak mnie tam traktowano!

- Nie mogę obiecać, że ją spacyfikuję - powiedziałem. - Nie chcę jej do niczego zmuszać. Ale porozmawiam z nią, okej? I nie sądzę, żeby planowała powtórkę. Nie jest osobą, która gromadzi w sobie złe emocje. Jak ma do kogoś jakieś pretensje, to wyrzuca je z siebie za jednym zamachem.

- Tak, to było widać.

- Z Bella też zresztą porozmawiam. Żeby się tym nie gryzła. To mój problem.

- Już jej to mówiłem.

- No tak jasne. Jak się czuje?

- Śpi. Jest z nią Rose.

Czyli blond psychopatkę nazywał teraz Rose? Nie ma co, facet przeszedł na ciemną stronę mocy.

Puścił tę moją uwagę mimo uszu, za to odpowiedział bardziej szczegółowo na moje pytanie.

- Poniekąd... czuje się już znacznie lepiej. Poza tym, że po wizycie Lei ma okropne wyrzuty sumienia.

Lepiej. Też mi coś. Bo slyszal myśli potworka i takich to rozczuliło? Żenada.

- To coś więcej - mruknął. - Ponieważ mam teraz kontakt z dzieckiem, udało mi się ustalić, że jest nad wiek rozwinięte intelektualnie. Do pewnego stopnia rozumie, co się do niego mówi.

Rozdziałem usta.

- Serio?

- Tak. Na to wygląda. Na przykład, chyba dotarło do niego, że swoimi ruchami sprawia Belli ból. Stara się być teraz ostrożniejszy. Z ilości do niej. Bo on już ją kocha.

Gapiłem się na niego, czując się tak, jakby oczy miały mi wyjść z orbity. Niedowierzenie wzięło nade mną górę, ale nie przeszkodziło mi to szybko kojarzyć fakty - domyśliłem się od razu, co też takiego spowodowało, że Edward tak radykalnie zmienił swoje poglądy. To właśnie swoją miłością zmutowany bękart przekonał go do siebie.

Edward nie był w stanie nienawidzić czegoś, co kochało Bellę. Gdyby było inaczej, nienawidziłby przecież i mnie. Pomiedzy mną a nienarodzonym potworem była jednak istotna różnica. Kochałem Bellę, ale jej nie zabijałem.

Mówił dalej, jakby nie usłyszał moich myśli:

- Jestem zdania, że ta cięzka jest już bardziej zaawansowana, niż to sobie wyliczyliśmy. Gdy tylko wróci Carlisle...

- To jeszcze nie wrócił? - odezwałem się ostro. Pomyślałem o Samie i Jaredzie obserwujących ch droge. Może zaintrygowani moim zachowaniem, zdecydowali się sprawdzić, co jest grane?

- Alice i Jasper są już z powrotem. Carlisle przysłał przez nich całą krew, jaką udało mu się dostać, ale ma zamiar załatwić jej jeszcze więcej, bo Belli wzrasta apetyt i zużyje ten zapas w jeden dzień. Został więc na miejscu i dobija się do kolejnego dostawcy. Nie sądzę, żeby było to konieczne, ale chce być gotowy na każdą okoliczność.

- Dlaczego nie sądzisz, żeby było to konieczne? Skoro Bella potrzebuje jej coraz więcej...

Wyjaśniając to, uważnie mi się przyglądał i, jak znam życie, jeszcze uważniej wczytywał się w moje myśli.

- Będę starał się przekonać Carlisle'a, żeby zrobić Belli cesarskie cięcie tak szybko, jak to tylko możliwe.

- Co takiego?!

- Dziecko najprawdopodobniej unika wykonywania gwałtowniejszych ruchów, ale utrudniają mu to znacznie jego rozmiary. Szaleństwem byłoby zwlekać, skoro wszystko wskazuje na to, że jest już gotowe do samodzielnego życia.

Każdy dodatkowy dzień zbyt wiele Bellę kosztuje.

I znowu straciłem punkt podparcia - przez własną łatwowierność. Najpierw liczyłem jak głupi, że Edward nienawidzi tego stwora jeszcze bardziej niż ja. A teraz uzmysłowilem sobie, że za pewnik brałem te nieszczęśne cztery dni.

Wyobraziłem sobie ocean rozpacy, który miałem przemierzyć i na ten widok po prostu mnie zatkało.

Edward czekał. Patrzyłem mu prosto w oczy i dochodząc do siebie, zauważyłem, że zaszła w nim jeszcze jedna zmiana.

- Myślisz, że ona wyjdzie z tego żywa - wyszeptalem.

- Tak. To ta druga rzecz, o której chciałem z tobą porozmawiać.

Nie mogłem wykrzusić z siebie nic więcej. Gdy Edward to zrozumiał, sam zabrał głos:

- Tak - powtórzył. - To, że czekaliśmy, aż dziecko w pełni się rozwine, było szalenie niebezpieczne. W każdym momencie mogło się okazać, że jest już za późno. Ale jeśli weźmiemy sprawy w swoje ręce, jeśli będziemy działać

sprawnie, nie widzję powodu, dla którego ta operacja miałaby się nie udać. Niezwykle pomocne będzie też to, że czy tam dziecku w myślach. Na szczęście, Bella i Rose podzielają moje zdanie. Teraz, kiedy już je przekonałem, że przejmując inicjatywę, nie skrzywdzimy dziecka, nic nie stoi nam na przeszkodzie.

- Kiedy wróci Carlisle? - spytałem cicho.

Nie oddychałem jeszcze normalnie.

- Najpóźniej jutro w południe.

Ugięły się pode mną kolana. Musiałem złapać się samochodu, żeby się nie przewrócić. Edward odruchowo wyciągnął ku mnie rękę, ale dotarło do niego zaraz, że przecież nie skorzysta z jego pomocy, więc szybko ją cofnął.

- Tak bardzo mi przykro - powiedział. - Szczerze ci współczuję, że przez to tyle wycierpisz. Chociaż mnie nienawidzisz, muszę przyznać, że sam nie myślę o tobie w ten sposób. Poniekąd mam cię prawie... prawie za brata. A przynajmniej za towarzysza broni. To, że tak się męczysz, dotyka mnie bardziej, niż sobie wyobrażasz. Bella przeżyje - dodał stanowczo, prawie agresywnie - a wiem, że oprócz tego nic się dla ciebie nie liczy.

Chyba miał rację. Trudno mi to było stwierdzić. Kręciło mi się w głowie.

- Wybacz, że zwracam się do ciebie z czyms takim w takiej chwili - ciągnął. - Wiem, ile na ciebie naraz spadło, ale sam rozumiesz, nie zostało nam dużo czasu. Jacob, muszę cię o coś prosić. Będę cię o to błagał, jeśli będzie trzeba.

- Nic mi już nie zostało - wymamrotałem.

Uniósł znowu rękę, tym razem jakby chciał ją położyć mi na ramieniu, ale znowu się powstrzymał i westchnął.

- Wiem, wiem, ile już z siebie dałeś. Ale jest coś jeszcze, co możesz zrobić. I co możesz zrobić tylko ty. Nie tyle jako Jacob Black, co jako prawdziwa Alfa. Jako sukcesor Ephraima.

Nie byłem w stanie mu odpowiedzieć.

- Pragnę uzyskać od ciebie pozwolenie na zrobienie wyjątku od zasad, które z Ephraimem ustaliliśmy. Pragnę, żebyś nam zagwarantował, że w tym jednym jedynym wypadku za złamanie postanowień paktu nie spotka nas kara.

Pragnę, żebyś pozwolił nam uratować Belli życie. Jesteś świadomy tego, że zrobimy to tak czy siak, ale nie chcę doprowadzać do konfliktu, skoro można go uniknąć. Nigdy nie zamierzaliśmy cofnąć danego wam słowa i nie przyjdzie nam to łatwo. Pragnę, żebyś nam ten jeden raz wybaczył, Jacobie, ponieważ doskonale rozumiesz, dlaczego tak postąpimy. Pragnę, by przy mierze pomiędzy naszymi rodzinami przetrwał ten trudny czas.

Spróbowałem przełknąć ślinę.

Idź do Sama, pomyślałem. To do Sama musisz się w tym zwrócić.

- Sam dzierży władzę w sforcie, ale tylko dlatego, że się jej rzekłeś. Nigdy mu jej nie odbierzesz, ale tak naprawdę na to, o co proszę, nie może wyrazić zgody nikt oprócz ciebie.

Ta decyzja nie należy do mnie.

- Należy i dobrze o tym wiesz. Jedno twoje słowo wyda na nas wyrok albo nas ulaskawi. Tylko ty możesz przyrzec nam nietykalność.

Nic już nie wiem. Mam mętlik w głowie.

- Mamy coraz mniej czasu. Zerknął w stronę domu.

Tak, mieliśmy coraz mniej czasu. Z moich kilku dni zrobiło się kilka godzin.

Nie wiem. Daj mi się nad tym zastanowić. Tylko parę minut, dobra?

- Zgoda.

Zacząłem iść w kierunku domu. Edward poszedł za mną. Trudno było uwierzyć, że przychodzi mi to z taką łatwością chodzenie po ciemku z wampirem deprecującym mi po piętach. Nie czulem, że grozi mi jakiegokolwiek niebezpieczeństwo ani nawet nie było mi nieswojo. Mógłby iść koło mnie ktokolwiek. No, ktokolwiek od kogo cuchnęło.

Coś poruszyło się w zaroślach na skraju trawnika, a potem cicho jęknęło. Spośród paproci wyłonił się Seth. Dopadł nas w kilku susach.

- Cześć, mały - mruknąłem.

Nachylił ku mnie łeb. Poklepałem go po ramieniu.

- Wszystkie w porządku - skłamałem. - Opowiem wam później. Przepraszam, że wyjechałem tak bez żadnego ostrzeżenia.

Wyszczeryły kły w uśmiechu.

- I przekazał swojej siostrze, żeby dała Belli spokój. Dosyć już namieszała.

Dał mi znać, że rozumiem. Pchnąłem go lekko.

- Wracaj na patrol. Niedługo cię zmienię.

Pchnął mnie raz w zabawie i pogalopował z powrotem do lasu.

- Ech, Seth - westchnął Edward. - Az miło zaglądać w jego umysł. Zawsze jest taki szczery, i szlachetny, i pogodny... Powinieneś dziękować losowi, że dzielisz myśli z kimś takim.

- Wierz mi, dziękuję.

Ruszyliśmy dalej. Nagle drgnęliśmy obaj, bo z wnętrza domu doszedł nas odgłos picia przez słomkę. Edward natychmiast przyspieszył - zanim zdążyłem mrugnąć, pokonał schodki werandy i znikł za drzwiami.

- Bello, skarbie, myślałem, że śpisz - usłyszałem. - Przepraszam. Nie wyszedłbym, gdybym wiedział.

- Nie przejmuj się. Po prostu zachciało mi się bardzo pić, to się obudziłam. Jak to dobrze, że Carlisle ma przy wieżu większy zapas. Będzie czym karmić maluszka, kiedy już się pojawi na świecie.

- Masz rację. O tym nie pomyślałem.

- Ciekawa jestem, czy będzie jadła coś jeszcze.

- Pewnie z czasem się tego dowiemy.

Wszedłem do środka.

- Nareszcie - ucieszyła się Alice.

Bella przeniosła wzrok na mnie. Na sekundę na jej twarzy pojawił się ten przeuroczy uśmiech, którym ostatnio zawsze mnie witała, a który doprowadzał mnie do szału, ale zaraz raptownie posmutniała. Zaciśnęła usta, jakby starała się nie rozplakać.

Gdybym miał Leę pod ręką, dałbym jej po gębie.

- Cześć, Bells - powiedziałem szybko. - I jak się czujesz?

- Dobrze.

Podszedłem przysiąść obok niej na oparciu kanapy. Edward zajął już miejsce na podłodze.

- Ale dzień, co? Rewelacja goni rewelację.

- Jacob, nie musisz tego robić.

- Nie wiem, o co ci chodzi.

Bella posłała mi karzące spojrzenie.

- Tak bardzo mi... - zaczęła.

Ścisnąłem jej wargi pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym.

- Jak - wymamrotała, próbując odsunąć moją rękę. Użyła przy tym tak małą siłę, jakby wcale się nie starała.

Pokręciłem głową.

- Możesz mówić, ale nie takie głupoty.

- Dobrze, nie będę - przyrzekała, o ile dobrze zrozumiałem zniekształcone dźwięki.

Odsunąłem rękę.

- Przykro! - dokończyła szybko i uśmiechnęła się triumfalnie.

Wniosłem wzrok ku niebu, ale potem odpowiedziałem uśmiechem. W jej oczach doszukałem się wszystkiego, czego wypatrywałem w parku.

Za kilkanaście godzin będzie kimś innym. Ale miałem nadzieję, że nadal będzie żyła, a tylko to się liczyło, prawda? Miała spoglądać na mnie prawie takimi samymi oczami. Uśmiechać się do mnie prawie takimi samymi ustami.

Nadal miała mnie znać tak - dobrze, jak nikt inny na świecie, kto nie miał dostępu do wszystkich moich myśli.

Leah może i była ciekawym kompanem - może nawet mógłbym ją nazwać swoim prawdziwym przyjacielem, bo udowodniła, że jest gotowa mnie bronić - ale nie była moim najlepszym przyjacielem. Nie mogła zastąpić Belli.

Oczywiście różniły się od siebie tym, że Bellę irracjonalnie kochałem, ale łączyło mnie z nią coś jeszcze, jakaś niezniszczalna, tajemnicza więź.

Za kilkanaście godzin miała stać się moim wrogiem. Albo moim sprzymierzeńcem. Kim, to już najwyraźniej zależało ode mnie.

Westchnąłem.

- Dobrze, pomyślałem, oddając ostatnią rzecz, jaką mogłem jej dać. Poczulem się dziwnie pusty. Daję wam wolną rękę. Możecie ją uratować. Ja, potomek Ephraima, uroczyście oświadczam, że naruszenie przez was paktu w tym wypadku, nie pociągnie za sobą żadnych konsekwencji. Pozostali mogą mieć później do mnie o to pretensje, ale nie będą mogli zaprzeczyć, że miałem prawo wyrazić na to zgodę.

- Dziękuję - szepnął Edward na tyle cicho, żeby Bella nie mogła go usłyszeć. Powiedział to jednak z takim uczuciem, że kątem oka dostrzegłem, jak pozostałe wampiry odwracają się, poruszone.

- A ty, co porabiałeś? - spytała mnie Bella, starając się przybrać rozluźniony ton głosu. - I jak ci minął dzień?

- Fantastycznie. Wybrałem się na przejażdżkę. Przeszedłem się po parku.

- To fajnie.

- No, fajnie.

Skrzywiła się nagle.

- Rose?

Blondyna zachichotała.

- Znowu?

- W ciągu ostatniej godziny wypiliśmy chyba z siedem litrów - wyjaśniła Bella.

Edward i ja zeszliśmy Rosalie z drogi. Wzięła Bellę na ręce, żeby zanieść ją do łazienki.

- Czy nie mogłabyś się przejść? - poprosiła chora. - Nogi tak mi zesztywniały.

- Jesteś pewna? - zaniepokoił się Edward.

- Rose mnie złapie, jeśli się potknę o własne stopy. Co jest całkiem prawdopodobne, skoro ich nie widzę.

Rosalie postawiła ją ostrożnie i podniosła dłoń na wysokość jej ramion, żeby w razie czego móc szybko przyjąć z pomocą. Bella wyciągnęła ręce przed siebie, odrobinę się krzywiąc.

- Jak miło się rozprostować - stwierdziła. - Tylko taka jestem duża!

Rzeczywiście, jej brzuch był jak osobny organizm.

- Jeszcze jeden dzień - poklepała go czule.

Poczulem się tak, jakby zmięcała ktoś wbił we mnie nóż, ale starałem się to ukryć. Mogłem chyba ukrywać swoje uczucia jeszcze przez jeden dzień, prawda?

- Okiej, możemy iść - oznajmiła. - O, nie!

Kubek, który zostawiła na kanapie, przewrócił się na bok i na jasne obicie wylewała się krew.

Chociaż wyprzedziły ją trzy pary rąk, Bella pochyliła się odruchowo, żeby naprawić szkodę.

Z głębi jej ciała wydobył się przedziwny, stłumiony dźwięk - jakby coś się rwało.

- Och! - jęknęła.

A potem osunęła się na podłogę jak szmaciana lalka.

Rosalie błyskawicznie ją złapała, więc nie zdążyła upaść. Edward też znalazł się nagle przy niej i wysunął ku niej ręce. Kubkiem na kanapie nikt się już nie przejmował.

- Bella! - zawołał Edward. Panią wykrzywiła mu twarz. Chwilę później powietrze rozdarł jej krzyk.

Nie był to zwykły krzyk bólu, ale raczej mroźące krew w żyłach agonalne wycie. Ustało raptownie, gdy w gardle Belli coś zabulgotało. Jej oczy błysnęły białkami, drgnęła w ramionach Rosalie i z jej ust trysnęła na wszystkie strony fontanna wymiotowanej krwi.

Zakrwawione ciało Belli zaczęły przechodzić rytmiczne dreszcze, jakby poddawano ją elektrowstrząsom. Mogło się zdawać, że próbuje się wyrwać z objęć Rosalie, ale twarz miała pustą, nieprzytomną - poruszała się tylko dlatego, że miotało się to coś kryjące się w brzuchu. Każdemu drgnięciu towarzyszyły chrupnięcia i trzaski.

Cullenów sparaliżowało tylko na ułamek sekundy - kiedy doszli do siebie, ledwo za nimi nadążalem. Blondy na wzięła Bellę na ręce, wyrzucając z siebie słowa z taką prędkością, że miałem spory problem z ich rozdzieleniem. Oboje z Edwardem pognali na górę.

Pobiegłem za nimi.
- Morfina! - zakomenderował Edward.

- Alice, dźwonić do Carlisle'a! - wrzasnęła Rosalie.

Pokój, do którego za nimi trafili, przypominał oddział urazowy założony w bibliotece. Z szpitalnych reflektorów biło białe światło, zmieniające Bellę w jeszcze bledszą niż była w rzeczywistości. Leżała tam, gdzie wszystkie lampy były wycelowane - na samym środku, na stole operacyjnym - i rzuciła się niczym ryba na piasku. Rosalie przytrzymała ją w miejscu, zrywając z niej ubranie, a Edward wkłuwał się strzykawką w jej rękę.

Ile razy wyobrażałem ją sobie nago? Teraz nie mogłem na nią patrzeć. Nie chciałem, żeby te obrazy krążyły później po mojej głowie.

- Edward, co się dzieje?

- Dziecko ma kłopoty z oddychaniem!

- Musiałoby się oddeść ktoś!

W którymś momencie Bella odzyskała przytomność. Usłyszawszy tę wymianę zdań, krzyknęła z taką siłą, że o mało co nie pędy mi bębni.

- Wyciągnijcie go stamtąd! SZYBKO! On się DUSI! Obserwowałem z przerażeniem, jak od wysiłku pękają jej żyły w gałkach ocznych.

- Morfina... - zaczął gniewnie Edward.

- NIE! TERAZ!... - nie skończyła, bo zakrzuszyła się kolejną fontanną krwi. Podtrzymał jej głowę, starając się w desperacji opróżnić jej usta, żeby mogła znowu zaczerpnąć tchu.

Do pokoiu wpadła Alice i nałożyła Rosalie niebieską słuchawkę z *bluetoothem*. Od razu się wycofała. Jej złote oczy płonęły. Blondy na syknęła do telefonu coś niezrozumiałego.

W jasnym świetle skóra Belli wydawała się być bardziej fioletowa i czarna niż biała. Tuż pod naskórkiem obrzydliwie rozedrganego brzucha rozszerzała się szkarłatna plama. Rosalie podniosła w górę skalpel.

- Zaczekał, aż dotrze tam morfina! - upomniał ją Edward.

- Nie mamy czasu! - warknęła. - On umiera!

Zbliżyła ostrze do brzucha Belli i z miejsca, w którym go nacierała, wypłynęła obficie czerwień. Wyglądało to tak, jakby ktoś wywrócił wiadro albo odkręcił do końca kran. Bella drgnęła, ale nie krzyknęła. Nadała się krztusiła.

I wtedy Rosalie straciła nad sobą kontrolę. Zobaczyłem, jak rzyły jej twarz, jak rżyły jej zęby, jak odsłaniała zęby, jak w jej czarnych oczach pojawia się gnój.

- Rose, nie! - zgroził ją Edward, ale nie miał jak jej powstrzymać, bo obiema rękami starał się podoprzeć Bellę tak by ta mogła oddychać.

Ta ją skoczyła na Rosalie. Nawet nie zmieniłem się w wilka. Kiedy zderzyłem się z jej kamiennym ciałem, przesuwając ją w kierunku wyjścia, poczułem, jak trzymany przez nią skalpel wbija się głęboko w moje lewe ramię. Prawą dłoń przycisnąłem jej do twarzy, unieruchamiając uchwyć i zatykając nos, po czym odepchnąłem ją od siebie, by móc kopnąć ją w brzuch. Wrażenie było takie, jakbym walnął w beton, ale podzielało i z impetem zderzyła się z framugą drzwi. Deska złamała się pod jej ciężarem, a słuchawka rozpadła na kawałeczki. W tej samej chwili zjawiła się Alice i chwyciwszy Rosalie za szyję, zaczęła wyciągać ją na korytarz.

Musiałem oddać blondyni sprawiedliwość - ani trochę się nie broniła. Naprawdę chciała, żebyśmy ją obezwładnili. Pozwoliła pokornie, żebym potraktował ją jak worek treningowy, byle tylko ocalić Bellę. No, może nie Bellę, tylko to „coś” w niej, ale zawsze.

Wyrwałem sobie skalpel z ręki.

- Alice, zabierz ją stąd! - rozkazał Edward. - Przy pilnujcie ją z Jasperem! A ty, Jacob, zostań! Jesteś mi potrzebny!

Zostałem Alice samą przy jej robocie i wróciłem czym prędzej do stołu operacyjnego. Bella robiła się coraz bardziej sina. Miała szeroko otwarte oczy.

- Umiesz robić sztuczne oddychanie? - upewnił się Edward. Mówił ostrym tonem, jak żołnierz. Przyjrzałem mu się, ale nic nie wskazywało na to, żeby miał zareagować tak, jak Rosalie. Był maksymalnie ślapiony na swoim zadaniu.

- Umie.

- No to jazda! Zajmij się nią tutaj. Muszę wyjąć dziecko, zanim...

Przerwał mu straszliwy trzask dobiegający się z wnętrza ciała Belli, głośniejszy niż wszystkie poprzednie i tak potworny, że zamarliśmy, czekając, aż Bella znowu zawyje z bólu. Ale nie takiego się nie stało. Co gorsza, obie jej nogi, do tej pory zgięte w kolanach, rozjechały się na bok jak porzuconej marionetki.

- To kręgosłup - wydamrotał Edward.

- Wyjmij go, wydajmy! - popędziłem go wściekle, rzucając mu skalpel. - Ona teraz nic już nie czuje!

Pochyliłem się nad jej ustami. To, czym się wcześniej krztusiła, już chyba z nich wypłynęło. Wdmuchałem jej do środka całe powietrze, jakiego miałem w płucach. Wstrząsana drgawkami klatka piersiowa uniosła się posłusznie, więc gardła najwyraźniej nie już nie blokowało.

Wargi Belli miały smak krwi.

Słyszałem urywane bicie jej serca. Trzymaj się, pomyślałem, pompując w jej ciało kolejną porcję powietrza. Obiecałaś. Obiecałaś, że nie pozwoliś przestać mi bić.

Moich uszu doszedł cichy odgłos wydawany przez ostrze skalpela w zetknięciu ze skórą. Na podłogę pocięko jeszcze więcej krwi.

Następny odgłos zupełnie mnie zaskoczył. Aż przeszły mnie ciarki. Brzmiało to tak, jakby ktoś darł arkusze blachy. Wróciły wspomnienia sprzed kilku miesięcy, kiedy walcząc z nowo narodzonymi, Cullenowie rozrywali ich zębami na strzępy.

Zerknąłem na Edwarda. Twarz miał przyściśniętą do brzucha Belli. Jak miał przeciąć wampirską skórę jeśli nie wampirzy mi zębami?

Zadrzałem, ale nie przedstawiałem wdmuchiwać w Bellę powietrza. Zakaszała, zamrugwała, lypnęła na mnie półprzotomie.

- Zostajesz ze mną! - krzyknąłem do niej. - Słyszysz? Nigdzie się nie wynosisz! Zostajesz tutaj, Bella! Dasz radę! Twoje serce musi bić!

Rozglądała się za kims, może za mną, może za Edwardem, ale wzrok miała błędny i niczego nie widziała. Patrzyłem na nią i tak. Nie mogłem oderwać od niej oczu.

Nagle jej ciało znieruchomiało - choć zaczęła samodzielnie oddychać, a jej serce na całe zszczęście nadal pracowało. Uświadomiłem sobie z opóźnieniem, że to dlatego, że było już po wszystkim. Ustały targające nią dreszcze.

Pewnie już to wyjął, pomyślałem.

I rzezy wiście tak było.

- Renesmee - szepnęła Edward.

Czyli Bella się myliła. Jednaknie nosiła w sobie chłopca, tak jak to sobie wyobrażała. Cóż, nie była to właściwie dla mnie jakaś wielka niespodzianka. Chyba nigdy w życiu nie udało jej się niczego przewidzieć.

Uparcie patrzyłem w jej nakrapiane czerwono oczy, ale poczułem, że z wysiłkiem wyciągnęła ku Edwardowi ręce.

- Pozwól mi... - wycharczała. - Daj mi ją, proszę.

Niby wiedziałem, że zawsze spełniał jej życzenia, niezależnie od tego jak bardzo by były idiotyczne, ale nawet mi się nie śniło, że posłucha jej w tak ekstremalnej sytuacji, jaka ta. Więc nie przyszło mi do głowy, żeby go powstrzymać. Moje ramię musnęło coś ciepłego. Samo to powinno mnie być zaalarmować. Odłąk zostałem wilkołakiem, nic nigdy nie wydawało mi się ciepłe w dotyku.

Mimo tego nie mogłem przestać wpatrywać się w twarz Belli. Zamrugwała, zmarszczyła czoło i wreszcie coś zobaczyła. Przemówiła czule, ale słychać było po jej głosie, że ma coraz mniej siły.

- Renes... mee... Jaka śliczna... A potem syknęła z bólu.

Przeniósłem wzrok niżej, ale było już za późno - Edward zdążył już odebrać jej to ciepłe stworzenie. Skórę miała całą w krwi - w krwi, która trynęła jej z ust, w krwi, którą umazane było to coś, co przed chwilą tuliła do siebie, i wreszcie w krwi sączącej się ze świeżej ranki w kształcie półksiężyca tak tuż nad jej lewą piersią.

- Renesmee, nie wolno! - powiedział Edward stanowczym tonem, jak gdyby chciał nauczyć potwora dobrych manier.

Nie spojrział ani na niego, ani na to coś. I dzięki temu zauważyłem, że Bella znowu błysnęła białkami.

Jej serce wydało z siebie ostatnie „ta - dam”, jakby się zacięło i wreszcie, ucichło na dobre.

Nie minęło pół sekundy, a moje dłonie znalazły się na jej mostku. Wyliczałem w głowie kolejne pchnięcia, usiłując zachować równy rytm. Raz. Dwa. Trzy. Cztery.

Przerwałem na moment, żeby wdmuchać w jej usta kolejną porcję powietrza.

Nic już nie widziałem, tak bardzo zatłżawione miałem oczy, ale starałem się jeszcze bardziej niż przedtem wyczulony na wszelkie dźwięki. Słyszałem, jak pod moimi rękami rżęzi nieposłuszne serce. Słyszałem, jak moje własne bije jakoszala.

Słyszałem też jakby jeszcze jedno, nienaturalnie szybkie, jak u ptaka, ale nie miałem głowy zastanawiać się na tym, co to jest. Znowu wpiąłem się w blade usta Belli.

- Na co czekasz? - wychrypałem do Edwarda, ciężko dysząc. I znowu na mostek Raz. Dwa. Trzy. Cztery.

- Weź ode mnie dziecko - zażądał.

- Ach, wyrzucić przez okno. Raz. Dwa. Trzy. Cztery.

- Daj mi ją - dobiegł od progu dźwięczny, kobiecy głos. Obaj jednocześnie warknęliśmy.

Raz. Dwa. Trzy. Cztery.

- Już się kontroluję - przyrzekła Rosalie. - Edward, daj mi małą. Zajmę się nią, dopóki Bella...

Kiedy wymieniali się dzieckiem, znowu oddychałem za Bellę. Bicie trzepoczącego się serduszka powoli ucichło w oddali.

- Zabierz ręce, Jacob.

Nie odsunąłem ich od jej mostka, ale oderwałem wzrok od białek jej oczu. Edward trzymał w dłoni strzykawkę - całą srebrną, jak gdyby zrobioną z metalu.

- A to co? - spytałem.

Odsunął mnie brutalnie jednym szybkim ruchem. Swoim ciosem złamał mi mały palec. Chrupnęła kostka. W tej samej sekundzie, wbił Belli igłę prosto w serce.

- Mój jad - odpowiedział, dociskając tłok

Jej serce przeszedł gwałtowny wstrząs, jak gdyby reanimowano je prądem.

- Pompuj dalej - rozkazał.

Nie okazał wuj już żadnego uczucia. Bił od niego chłód, ale i zdecydowanie - jak gdyby był maszyną.

Zignorowałem ból zrasztającego się już palca, zabrałem się z powrotem do pracy. Serce Belli wydało mi się teraz twardsze, jak gdyby przepływająca przez nie krew zwalniała w nim i gęstniała. Posyłając tę nową lepłą cieczę arteriami w głęb jej ciała, przylgądałem się poczynałom Edwarda.

Można było pomyśleć, że obsypuje ją pocałunkami - musnął wargami jej szyję, nadgarstki, zgięcie łokci. Ale słyszałem, jak jego zęby raz za razem przecinają jej skórę, wstrzykując wampiry jad w tylu miejscach, w ilu tylko się dało. Zauważyłem, jak po każdym ugryzieniu jego błąd język przesuwa się wzdłuż krwawicjącej ranki, ale zanim dostałem na ten widok mdłości czy ataku furii, uświadomiłem sobie, co Edward robi. Tam, gdzie rozprzawiał jad językiem po skórze, ta błyskawicznie się zasklepiała. Ani krew, ani truciźna nie mogły już wy dostać się na zewnątrz.

Wdmuchałem w Bellę jeszcze więcej powietrza, ale nic to nie dało, poza tym, że zawartość moich płuc wypchnęła w górę jej klatkę piersiową. Przeniósłem się na mostek i po raz kolejny zacząłem odliczanie, podczas gdy krążący wokół mnie Edward nadal z uporem maniała starał się dokonać cudu - złożyć Bellę z powrotem w jedną całość.

„A nie sprawiają wszystkie Króla konie ni żołnierze...”* [Fragment popularnego wierszka dla dzieci o człowieku - jak tu w tłumaczeniu Macieja Słomczyńskiego]: „Humpty Dumpty na murze siedł / I Humpty Dumpty / muru spadł / A nie sprawiają wszystkie Króla konie ni żołnierze, / Ze w tłumaczeniu Macieja Słomczyńskiego” - przy p. tłum.]

Bo jak dla mnie Belli wcale tam nie było. Byliśmy tylko my dwaj.

Próbowaaliśmy ożywić trupa.

Tyle tylko pozostało z dziewczyny, którą obaj kochaliśmy - te połamane, wykrwawione, sponiewierane zwłoki. Nie byliśmy w stanie tu już nic pomóc.

Wiedziałem, że już za późno. Wiedziałem, że Bella nie żyje. Wiedziałem to na pewno, bo nie czulem, żeby cokolwiek mnie przy niej jeszcze trzymało. Nie widziałem żadnego powodu, dla którego miałbym przy niej jeszcze być. Zresztą, jakiej „niej”, skoro Belli już nie było? Do jej pustego ciała nie mnie nie ciągnęło. Bezsensowna potrzeba przebywania jak najbliżej niej - znikła.

A może raczej - zmieniła się. Bo czułem teraz coś skrajnie przeciwnego - przemożną ochotę na to, by zostawić Bellę, wyjść z pokoju i zbiec po schodach. Zapewne to instynkt nakazywał mi jak najszybciej się stąd wynosić.

Wynosić się stąd i już nigdy, przynigdy tu nie wracać.

- No to idź - warknął Edward, znowu mnie odpychając, żeby zająć moje miejsce. Tym razem złamał mi chyba aż trzy palce.

Wyprostowałem je otepiały, nie zwracając uwagi na ból. Uciszał jej klatkę piersiową w szybszym tempie niż ja.

- Bella żyje - wycedził. - Zobaczysz, dojdzie do siebie.

Nie byłem już taki pewny, czy zwracał się do mnie.

Odwrociłem się na pięcie, zostawiając go z jego trupem, i podszedłem powoli do drzwi. Strasznie powoli. Nie potrafiłem wykrzesać z siebie więcej energii.

Czy li stało się. To już było to. Wypłynąłem na ocean bólu. Woda w nim wrzała, a drugi brzeg znajdował się tak daleko, że nie mogłem uwierzyć w to, że istnieje, a co dopiero go dojrzeć.

Znowu poczułem się pusty - tym razem, bo straciłem w życiu cel. Tak długo walczyłem tylko o to, żeby uratować Bellę. Ale nie dało się jej uratować. Na własne życzenie została rozerwana od środka przez bękartą splodzonego przez tego gada, więc walka została przegrana. Było już po wszystkim.

Wlokąc się na dół po schodach, co chwila się wzdygałem, bo zza moich pleców dobiegało głuche dudnienie. To Edward zmuszał do pracy martwe serce.

Gdyby tylko tak to działało, wlałbym sobie jakoś do czaszki coś żrącego i pozwolił, żeby wypaliło wszystkie moje wspomnienia z ostatnich kilkunastu minut. Uszkodziłbym sobie z chęcią trwale mózg, byle tylko się ich pozbyć - tego wycia, tej krwi, tych przeraźliwych trzasków i chrupnięć, kiedy rodzący się mutant torował sobie drogę na zewnątrz...

Marzyłem o tym, żeby puścić się biegiem, brać po dziesięć stopni naraz i wypaść na dwór, ale stopy miałem ciężkie jak z ołowiu, i ciało bardziej zmęczone niż kiedykolwiek. Posuwałem się w zółwym tempie, szurając nogami niczym niedołężny starzec.

Przy stanąłem na najniższym stopniu, żeby trochę odpocząć przed utworzeniem drzwi. Rosalie siedziała tyłem do mnie na białej kanapie, w tym jej końcu, na którym nie było plam krwi, gruchając i świergocąc do opatulonego w koc potworka. Musiała usłyszeć, że się zatrzymałem, ale nie zareagowała, całkowicie pochłonięta przez właszczony przez siebie macierzyństwo. Może odtąd miała być szczęśliwa. Dostała, czego chciała, a Bella już nigdy nie miała jej tego odebrać. Zastanowiłem się, czy czasem nie liczyła na to od samego początku.

Dotarło do mnie, że w wolnej ręce trzyma coś podłuznego, a mały morderca mlaszcze głośno, ssąc coś łapczywie. Karmila go. Czym? - nie trudno było się domyślić. W pokoju pachniało przecież krwią. Ludzką krwią. Czego innego można się było spodziewać po stworzeniu, które brutalnie okaleczyło własną matkę? Równie dobrze mogło pić krew Belli. A może i ją piło.

Wydawane przez to coś odgłosy niespodziewanie postawiły mnie z powrotem na nogi. Wróciły siły, ale wraz z nimi także nienawiść i gorączka - ukrop, który obmywał mi mózg, ale niczego w nim nie wymazywał. Przeciwnie, zgromadzone w mojej głowie obrazy były dla niego paliwem i to paliwem, którego zapasy, choć podsycaly ogień, bynajmniej się nie wyczerpywały. Poczulem, jak wstrząsają mną potężne, piekące dreszcze. Nareszcie nie musiałem robić nic, by je powstrzymać.

Rozanielona blondyna na niczego nie zauważyła. Wiedziałem, że tak rozproszona, nie będzie dość szybka, żeby mnie powstrzymać.

Sam miał rację. To diabelskie nasienie nie powinno przyjść na świat. Było niebezpiecznym wybrykiem natury. Demonem bez duszy. Czymś, co nie miało prawa do życia.

Czymś, co należało jak najprędzej zniszczyć.

Doszedłem do wniosku, że nie ciągnie mnie jednak wcale w stronę wyjścia, tylko właśnie do małego krwiopijcy. Coś pchało mnie ku niemu, zachęcało, żebym podszedł bliżej. Takie było moje przeznaczenie. To ja miałem z nim skończyć - spełnić swoją obowiązek i wypełnić zło.

Rosalie miała w odwecie spróbować mnie zabić, ale byłem gotowy stanąć z nią do walki. Nie miałem tylko pewności, czy udałoby mi się ją załatwić, zanim pozostali przyszybi jej z pomocą. Może tak, może nie. Było mi wszystko jedno.

Nie obchodziło mnie też to, czy wilki, niezależnie z której sfory, pomszczą moją śmierć, czy też uznają, że Cullenowie postąpili słusznie. Liczył się dla mnie tylko to, że to ja miałem wymierzyć sprawiedliwość. Ze to ja miałem się zemścić. Nie mogłem pozwolić na to, żeby coś, co zabiło Bellę, żyło choćby minutę dłużej.

Gdyby wyszła z tego cało, zienawidziłaby mnie za to. Sama chciałaby mnie zabić. Ale miałem to gdzieś. Tak jak ona miała gdzieś mnie, kiedy dała się zarznąć jak zwierzę. Czemu miałbym brać teraz pod uwagę jej uczucia? Pozostawaj jeszcze Edward. Tak oszalały z żalu, że nie potrafił przyjąć do wiadomości, że Bella nie żyje. Musiał być zbyt zajęty reanimowaniem trupa, żeby czytać mi w myślach, skoro jeszcze nie pojawił się na dole.

Czyli miałem jednak nie dotrzymać danego mu słowa. Chyba że miałem wyjść żywy ze starcia z Rosalie, Jasperem i Alice. Trzech na jednego? Nie stawiałbym na to. Zresztą, nawet gdybym ich pokonał, nie spełniłbym tej obietnicy. Nie dość mu współczułem. Dlaczego nie miały odpokutować za to, co zrobił? Czy nie byłoby to bardziej fair - i o wiele bardziej satysfakcjonujące - gdybym zostawił go po prostu samemu sobie? Z niczym?

Byłem do tego stopnia przepełniony nienawiścią, że wyobraziwszy to sobie, niemalże się uśmiechnąłem. Wieczność bez Belli. Bez potomka - zabójcy. I bez tyłu członków rodziny, ilu ty lko udałby mi się zabić. Chociaż nie miałem dożyć momentu, w którym mógłbym spalić ich ciała, więc pewnie miał ich sobie złożyć później do łapy. W odróżnieniu od Belli, której nie mógł już uzdrowić.

Zaciekawilo mi, czy potworka też mógłby na powrót ożywić. Ale przecież mutant w połowie był człowiekiem - jak nie odziedziczył po Belli coś z jej kruchości. Słychać to było po tym, jak trzępotało w nim serce.

Tak jego serce biło. Ale jej już nie.

Wszystkie te rozmyślenia zajęły mi zaledwie kilka sekund.

Dreszcze przenikały mnie coraz głębiej i częściej. Skuliłem się, szyklając do tego, żeby skoczyć ku wampirzycy i wyrwać jej stworzenie z objęć jednym kłapięciem wilczych zębisk.

Rosalie znowu zgruchala i odstawiwszy metalową niby - butelkę, przytuliła sobie zawiątko do policzka.

Światnie. Nowa pozycja ułatwiała mi atak. Pochylając się do przodu, poczułem, że gorączka zaczyna miło zmieniać, a chęć zbliżenia się do szkarady gwałtownie narasta. Stawała się silniejsza niż więź trzy mająca mnie przy Belli - takobezwładniająca, że przy pominała rozkaz Alfya. Zdawało się, że mnie zmiadży, jeśli jej się nie poddam.

Tyle że tym razem chciałem się jej poddać.

Ponad ramieniem Rosalie ukazała się twarz czka małego mordercy. Wzrok miał o wiele bardziej przytomny, niż zwykłe u noworodka.

Spojrzał na mnie oczami koloru mlecznej czekolady - w takim samym odcieniu brązu, co zgasłe oczy Belli.

Zamarłem. Dygotanie ustalo jak ręką odjął. Zalala mnie fala ciepła, gorętsza niż wcześniej, ale teraz było to ciepło innego rodzaju. Nie paliło mnie żądzą mordy.

Zsyłalo olśnienie.

Kiedy zapatrzyłem się w porcelanową bużkę maleństwa, które w połowie było wampirem, a w połowie człowiekiem, wszystko, co miało dla mnie dotąd jakiegokolwiek znaczenie, uleciało ze mnie - niczym pęk balonów uwolnionych serią cięć. Wszystkie więzi łączące mnie z moim dawnym życiem, wszystko to, co sprawiało, że byłem, kim byłem - miłość, jaką darzyłem martwą dziewczynę na piętrze, jaką darzyłem swojego ojca, jaką darzyłem swoich braci, lojalność wobec nowej sfory, nienawiść do wrogów, mój dom, moje imię, moje ja - w okamgnieniu odłączyło się ode mnie - ciach, ciach, ciach - i znikło w przestworzach.

Nie dryfowałem jednak W miejscu trzymała mnie nowa więź - o stokroć silniejsza niż tamte razem wzięte.

Jedna więź, ale jakby ich milion. I nie sznurków od balonów, ale stalowych kabli. Milion stalowych kabli łączących mnie z jedną rzeczą - z centrum wszechświata.

Rozumiałem to już - rozumiałem, gdzie ono leży. Nigdy wcześniej nie dostrzegałem tej symetrii w budowie kosmosu, ale nagle uznałem ją za oczywistość.

To nie ziemską grawitacją sprawiała teraz, że stałem tam, gdzie stałem.

Tylko nowo narodzona dziewczynka w ramionach blond wampirzycy.

Renesmee.

Na piętrze rozległ się nowy dźwięk. Jedyny dźwiękzdolny przebić się do mnie w tej wyjątkowej chwili.

Dziki, miarowy rytm, gorączkowe łomotanie...

Przeobrażające się serce.

KSIĘGA TRZECIA

*** * ***

BELLA

Miłość jest luksusem, na który możesz sobie pozwolić dopiero wtedy, kiedy twoi wrogowie zostaną wyeliminowani. Do tego czasu, wszyscy, których kochasz, to zakładnicy, wysysający z ciebie odwagę i nie pozwalający ci podejmować rozsądnych decyzji.

Orson Scott Card Empire

Prolog

To już nie był tylko sen.

Rząd czarnych postaci przedzierał się do nas poprzez lodowatą mgłę, którą wzbijały w powietrze ich kroki.

Wszyscy zginiemy, pomyślałam spanikowana. Swojego największego skarbu byłam gotowa bronić do końca, ale samo myślenie o nim mnie rozpraszało, a na to nie mogłam sobie pozwolić.

Zbliżali się niczym duchy. Czarne peleryny wznosiły się odrobinę z każdym ich ruchem. Dłonie mieli koloru kości, z drapieżnie zacisniętymi palcami. Rozproszyli się, żeby okrążyć nas ze wszystkich stron. Było ich więcej niż nas. Nie mieliśmy szans.

A potem jak gdyby błysnął flesz i nagle poczułam się zupełnie inaczej, chociaż z pozoru nic się nie zmieniło - Volturi nadal parli w naszym kierunku gotowi do starcia. Ale teraz byłam już inną osobą i jako taką ich postrzegałam. Teraz pragnęłam, żeby nas zaatakowali. Nie mogłam się już doczekać. Kiedy przyczaiłam się z uśmiechem na twarzy, panika ustąpiła żądzy mordy, a zza moich obnażonych zębów dobył się groźny charkot.

Ból mnie oszalał.

Tak właśnie tak Czulał się oszalone. Nie byłem w stanie zrozumieć, co się dzieje, nie zdołałam tego ogarnąć.

Moje ciało usiłowało odrzucać ból i raz po raz zapadałam się na nowo w ciemność, wycinając z agonii siebie te sekundy, a może nawet minuty, przez co jeszcze trudniej było mi uczyć się rzeczy wiścioci.

Próbowałam oddzielić od siebie te dwa stany.

Ułudą była czarna i aż tak bardzo mnie tam nie bolało.

Jawa była czerwona i kiedy w niej przebywałam, miałam wrażenie, jakby dopiero co przejechał mnie autobus, a teraz leżałam w kąpielni ze żrącego kwasu, przepilowywana na pół, tratowana przez byki i bita przez mistrza bokseńskiego jednocześnie.

Na jawie moje ciało zdawało się wić i podrygiwać, chociaż byłam pewna, że ból jest zbyt silny, żebym mogła się ruszać.

Wiedziałam, że istnieje coś o stoć razy ważniejszego od wszystkich tych tortur, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć, co to takiego.

Jawa tak szybko mnie dogoniła.

Jeszcze niedawno wszystko wyglądało dokładnie tak, jak powinno być. Otaczali mnie ludzie, których kochałam. Uśmiechaliśmy się do siebie. To, że osiągnę jednak wszystko, o co walczyłam, było niby tak bardzo nieprawdopodobne, ale jakoś wydawało się coraz bardziej możliwe.

A potem jedna blaha rzec wywołała lawinę.

Zobaczyłam, że mój lubek się przechyla i na białe obicie kanapy pociekła krew, więc pochylałam się odruchowo, żeby temu zaradzić, i oczywiście wyprzedziłam mnie pozostali, o tyle ode mnie szybsi, ale i tak nie przestałam sięgać, nie przestałam się rozciągając...

Coś w moim wnętrzu szarpnęło się w przeciwnym kierunku. Zaczęło się drzeć. Przerwało się.

Ból nie do opisanai.

Pochłonęła mnie ciemność, by zaraz potem wypłuc na nowo ze swych głębin w fali agonii. Nie mogłam oddychać. Już raz wcześniej się topiłam, ale teraz było inaczej - żar palił w gardle.

A we mnie wciąż coś trząsało, rozrywało się, pękało...

Znowu nicosić.

A kiedy powrócił ból, usłyszałam wzburzony głos:

- Musiałaś się odlecieć łożysko!

Przeszło mi coś ostrzejszego od noży - mimo tortur rozumiałam sens tych słów. Oddklejone łożysko. Wiedziałam, co to oznacza. Że dziecko było nadal w moim brzuchu - i że umierało.

- Wyciągnijcie go stamtąd! - wrzasnęłam na Edwarda. Dlaczego tego jeszcze nie zrobi!? - SZYBKO! On się DUSI!

- Morfina...

Chciał czełać, zaaplikować mi wpiერw coś przeciwbólowego, kiedy nasze dziecko umierało?!

- NIE! - wycharczałam. - TERAZ!

Zakrzusiłam się i nie zdołałam powiedzieć nic więcej. W tym samym momencie czarne plamki pokryły biel światel nade mną, a w skórę na brzuchu wbiło się boleśnie coś zimnego. Coś było nie tak - machinalnie próbowałam zaslonić to miejsce rękami, żeby ochronić jakoś moje małenstwo, mojego Edwarda Jacoba, ale zabrakło mi sił. Byłam taka słaba... Pozbawione dopływu tlenu płuca zapłonęły.

Ból znowu zaczął się oddalać, chociaż za wszelką cenę chciałam teraz pozostać przytomna. Moje dziecko, moje małenstwo, umierało...

Jak dużo czasu minęło? Sekundy czy minuty? Ból zmikł. Czulał się odwrętwiała. Czyli właśnie nic nie czulał. Nie było mi wiadoma, ale nie straciłam sluchu. A przez moje płuca znowu przepływało powietrze - jego pęcherzyki przesuwały się wzdułż ścian gardła, to w górę, to w dół.

- Zostajesz ze mną! Słyszysz? Nigdzie się nie wynosisz! Zostajesz tutaj, Bella! Dasz radę! Twoje serce musi bić!

Jacob? A więc Jacob tu jeszcze był i nadal usiłował mnie uratować?

Jasne, miałam ochotę mu odpowiedzieć. Jasne, że dam radę i że moje serce nie przestanie bić. Czy nie przyrzekałam tego im obu?

Próbowałam poczuć moje serce, zlokalizować je, ale gubiłam się we własnym cieles. Nie czulałam tego, co powinienam, i nie było mi wiadoma, jak być na swoim miejscu. Zamrugawszy odnalazłam wzrok. Zobaczyłam światło. Nie tego szukałam, ale zawsze było to lepsze niż nic.

Kiedy z wysiłkiem wyostrzałam to, co widziały moje oczy, dobiegł mnie szept Edwarda:

- Renesmee. Renesmee?

Nie nadludzko piękny, bladej syn, którego sobie wyobrażałam? Ta nowina mnie szokowała.

Ale szybko mi przeszło i zalała mnie fala ciepła.

Renesmee...

Silą woli zmusiłam swoje wargi do ruchu, a pęcherzyki powietrza ułożyły się w szep na moim języku. Zmartwiałe dlonie poddały się moim rozkazom i uniosły.

- Pozwól mi... Daj mi ją, proszę.

Światło zatańczyło, odbijając się od kryształowych rąk Edwarda. W iskierek kryła się nuta czerwieni, bo miał zakrwawioną skórę. Szkarlatne było też to coś, co mi podawał - coś niewielkiego, próbującego mu się wyrwać, ociekające krwią.

Przytłnęła do mnie rozgrzana niemowlę na tyle mocno, że wrażenie było takie, jakbym trzymała je w ramionach. Skóra małenstwa była wilgotna i gorąca - również gorąca, co u Jacoba.

Kontury nabrały nareszcie ostrosći i nagle zobaczyłam wszystko wyraźniej.

Idealnie okrągłą głowę pokrywała gruba warstwa złepionych krwi loczków. Renesmee nie płakała, ani nie krzychała. Oddychała szybko, jakby była zasapana. Oczka miała otwarte, a minę taką zaskoczona, że prawie mnie to rozbawiło. Najbardziej zadziwiły mnie jej tęczówki o barwie mlecznej czekolady - kolor ten był znajomy, ale i tak mnie zachwycił. Skórę miała za to w odcieniu kości sloniowej - wszędzie z wyjątkiem policzków, na których kwitły rumieńce.

Piękno twarzy czka mojej córeczki po prostu mnie poraziło. Trudno było uwierzyć, że coś takiego mogło być możliwe - była niezaprzeczalnie piękniejsza od swojego ojca.

- Renesmee - wyszeptalam. - Jaka śliczna...

Uśmiechnęła się zienacka - szeroko i w pełni świadomie. Różowe jak muszelki usteczka rozchyliły się, ukazując kompletny zestaw śnieżnobiałych ząbków.

Wykręciła się, wtulając się buźką w moją pierś. Jej jedwabista skóra była miła w dotyk, ale nie tak miękka jak moja.

Znowu mnie zabolało, ale tylko rząz. Coś zadało mi krótkie, pojedyncze cięcie. Jęknęłam.

I wtedy Renesmee zniknęła. Mojego aniolka nigdzie nie było. Ani go nie widziałam, ani nie czulałam już na sobie jego ciężaru.

Chciałam zaprotestować: „Nie! Nie zabierajcie mi jej!”. Ale przegrałam ze słabością. Na chwilę moje ręce zmieniły się w gumowe węże, a potem i one zmikły tak jak moje małenstwo. Też już ich nie czulałam. Nie czulałam już całej siebie.

Czerń nabiegła mi do oczu, gęstsza niż przedtem. Jakby ktoś zawiązał mi je paskiem grubego materiału. Zakrywając nie tylko je, ale i moje „ja”. Przycinając je jakimś olbrzymim ciężarem. Próbowałam się spod niego wy dostać, ale bardzo mnie to wyczerpywało. Wiedziałam, że o wiele łatwiej będzie mi się po prostu poddać. Pozwolić, by ciemność zepchnęła mnie daleko, daleko w dół - tam, gdzie nie było bólu ani znieczczenia, ani zmartwień, ani strachu.

Gdyby chodziło tylko o mnie, nie byłabym w stanie walczyć zbyt długo. Byłam tylko człowiekiem i brakowało mi sił. Zbyt długo starałam się dorównać otaczającym mnie herosom. Jacob miał rację.

Ale tu nie chodziło tylko o mnie.

Gdyby m poszła na łatwiznę, gdyby m pozwoliła czarnej nicości mnie wymazać, zrobiałabym m krzywdę tym, których kochałam.

Po pierwsze Edwardowi.

Edwardowi, którego życie splotło się z moim w nierozrwalną całość. Nie przeżyłabym, gdyby miało go zabraknąć, a i on nie mógłby dalej żyć, gdyby m ja odeszła. Świat bez niego nie miałby najmniejszego sensu. Edward po prostu musiał istnieć.

A po drugie Jacobowi.

Jacobowi, który co rusz się ze mną żegnał, ale jeśli tylko go potrzebowałam, zawsze do mnie wracał. Jacobowi, którego raniłam tyle razy, że aż było mi wstydu. Czy miałam go zranić raz jeszcze, w najgorszy możliwy sposób? Został przy mnie, pomimo tylu trudności. A teraz nie prosił o nic więcej prócz tego, by m ja została z nim.

Jednak tam, gdzie przebywałam, było tak ciemno, że nie widziałam twarzy żadnego z nich. Nic nie wydawało się być prawdziwe. Jeszcze trudniej było się przez to nie poddać.

Napieralam na mrok, ale tylko odruchowo, a nie z rozmysłem. Nie starałam się go unieść. Po prostu mu się opierałam. Nie pozwalając przy tym na to, aby mnie zniadżył. Nie bylam Atlase, a czerń zdawała się wazyć tyle, co kula ziemska.

Nie zdołałam jej udnwignąć. Nie dopuszczałam tylko, żeby starła mnie w proch.

Tak właśnie wyglądała chyba całe moje życie. Nigdy nie miałam dość sił na to, żeby zająć się rozwiązywaniem swoich problemów. Nie mogłam nawet zaatakować swoich wrogów, a co dopiero z nimi zwyciężyć. Nie miałam szans przed nimi uciec czy uniknąć bólu. Zawsze byłam tylko słabym człowiekiem i jedyną rzeczą, jaką naprawdę umiałam, było przeczekiwanie. Podczas gdy inni wybawiali mnie z opresji, zaciskałam żęby i jakoś tam wytrzymywałam do końca. Wciąż żyłam.

Do tej pory zawsze to wystarczało. I dzisiaj też miało wystarczyć. Musiałam się zawiązać i czełać na ratunek.

Wiedziałam, że Edward zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby mi pomóc. Ze się nie podda. Więc i ja nie mogłam się poddać.

Uparcie odpychałam od siebie czerń nieistnienia.

Ale determinacja powoli mi się kończyła. Z sekundy na sekundę ciemność obniżała się o kolejne milimetry, aż wreszcie uświadomiłam sobie, że trzeba mi nowego źródła energii.

Nie potrafiłam przywołać twarzy Edwarda. Ani twarzy Jacoba, ani Alice, ani Rosalie, ani Charliego, ani Renee, ani Carlisle'a, ani Esme... Zupelnie nikogo. Przeraziło mnie to. Może było już za późno?

Poczułam, że się ześlizguję - nie mając czego się chwycić.

Nie! Musiałam wyjść z tego żywa. Zależało ode mnie los Edwarda. I Jacob na mnie liczył. I Charlie, i Alice, i Rosalie. Carlisle, Renee, Esme...

Renesmee.

Nadal niczego nie widziałam, ale nagle coś poczułam. Podobnie jakosobom po amputacjach, wydało mi się, że wciąż mam obie ręce. A w nich coś wilgotnego, coś twardego i bardzo, ale to bardzo ciepłego.

Moje małenstwo. Moje nowo narodzone dziecko.

Coś mi się jednak udało. Coś sama osiągnęłam. Na przekór losowi, okazałam się dość silna - wytrwałam do momentu, w którym Renesmee była już na tyle duża, by móc żyć poza mną. Donosiłam ciężę.

Wspomnienie gorącego ciłka w moich objęciach było takie żywe! Przycisnęłam je mocniej do siebie. Znajdowało się dokładnie tam, gdzie powinno było być moje serce. Wiedziałam już, że czeপিаяć się kurczowo myśli o mojej córeczce, dam radę walczyć z ciemnością tak długo, jak trzeba.

Uczucie gorąca na moim sercu stawało się coraz bardziej prawdziwe. A im bardziej było prawdziwe, tym temperatura rosła. Nie mogłam uwierzyć, że tylko to sobie wyobrazam.

Coraz ciepłej... Za ciepło... Stanowczo za ciepło.

Zaczynało już parzyć. Zaczynało już boleć. Jak gdyby m złapała ze złej strony elektryczną lokówkę. Chciałam wypuścić swoje serce, ale przecież tak naprawdę niczego nie trzymałam. Moje ręce nie leżały złożone na moim mostku, tylko martwie i beużyteczne wzdułż boków. Ta gorąca szalała we mnie i nie umiałam się jej pozbyć.

Temperatura wzrastała, wzrastała bezustannie, aż w końcu przekroczyła moje najsmielsze oczekiwania.

We wnętrzu tego pożaru usłyszałam nagle rytm pulsu i uświadomiłam sobie, że odnalazłam swoje serce - akurat w takiej chwili, że zaraz gorzko tego pożałowałam. Dlatego, och, dlatego nie pozwoliłam pochłonąć się czerni?! Teraz marzył tylko o tym, by móc wyrwać siebie serce z piersi. Rozszarpałabym sama siebie goły mi rękami, byle tylko skończyć tę torturę. Ale nie czulałam swoich rąk i nie mogłam ruszyć choćby małym palcem.

Kiedy James nastąpił na moją nogę i pogruchołał mi kości, to było nic. Łozę z puchu po długiej wędrówce. Zgodziłabym się doświadczyć czegoś podobnego sto razy pod rząd. Sto złamań. Ach, przyjęłabym je z wdzięcznością.

Kiedy moja córeczka kopnięciami łamała mi zebra albo torowała sobie drogę na zewnątrz, to było nic. Skok w chłodny basen w upalny dzień. Zgodziłabym się doświadczyć czegoś podobnego tysiąc razy pod rząd. Przyjęłabym to z wdzięcznością.

Pozar we mnie wzmógł się. Chciało mi się krzycheć. Błagać kogoś głośno o to, żeby mnie dobił. Byle nie przeżyć kolejnej sekundy tej męki. Nie bylam jednak w stanie poruszyć ustami. Nadal przyciniała mnie niewidzialny ciężar.

Zaraz, jaki ciężar? To nie mrok spychało mnie w dół. Uzmysłowałam sobie, że to moje własne ciało było takie ciężkie. Plomienie rozprzestrzeniały się poza klatkę piersiową, roznosząc niewyobraźalny ból po barkach i brzuchu.

Parzyły gardło. Lizały kark.

Czemu nie mogłam się ruszać? Czemu nie mogłam krzyczeć? Nic o tym nie wspomiano w opowieściach.

Umysł miałam nieźnośnie trzeźwy - ból jeszcze to potęgował - więc rozwikłałam zagadkę, gdy tylko nasunęły mi się te pytania.

Odpowiedzią była morfina.

Miałam wrażenie, że od dnia, w którym dyskutowałam o tym z Edwardem i Carlisle, umarłam już milion razy. Obaj mieli nadzieję, że w cierpieniach ulży mi odpowiednia ilość środków przeciwbólowych. Carlisle wypróbował już te metody na Emmecie, ale jad rozprzestrzenił się po ciele szybciej od leku, zaklepiając po drodze naczynie krwionośne, tak że ten nie miał się już jak przemieścić.

Niczego po sobie nie pokazałam. Kiwałam z powagą głową, dziękując Bogu, że Edward nie potrafił czytać mi w myślach.

Zaaplikowano mi już kiedyś morfinę zaraz po jądzie, znalazłam więc prawdę. A prawda była taka, że substancja ta wywoływała jedynie odrętwienie, które nijak się miało do pożaru wzniecanego przez jad. Nie miałam jednak najmniejszego zamiaru o tym napomyślać. Edward żył skądby tylko kolejny argument na to, by nie przeprowadzać całej operacji.

Wiedziałam o odrętwieniu, ale nie domyślałam się, że przy dużych dawkach morfina podziela na mnie właśnie tak - że mnie przygniecie i zaklepije. Że będą musiały płonąć sparaliżowana.

Znałam historię Cullenów. Wiedziałam, że Carlisle nie krzychał podczas swojej przemiany, żeby go nie namierzono. Wiedziałam też, że według Rosalie krzyczenie na nie się zresztą nie zdawało. I liczyłam nieśmiało, że uda mi się zachować tak jak doktor. Posłuchać Rosalie i nie wydać z siebie żadnego dźwięku. Słud te ambicje? Słud, że zdawałam sobie sprawę, iż każdy mój krzyk będzie torturą dla Edwarda.

Teraz to, że moje życzenie zostało spełnione, wydawało mi się makabrycznym żartem.

Skoro nie mogłam krzyczeć, skoro nie mogłam się ruszać, jak miałam dać im znać, że mają mnie zabić?

Niczego taknie pragnęłam jak śmierci. Żałowałam, że w ogóle się urodziłam. W porównaniu z tym bólem całe moje życie było nic nie warte. Oddałabym wszystkie wspomnienia za oszczędzenie mi kolejnej sekundy męki.

Pozwólcie mi umrzeć! Błagam! Pozwólcie mi umrzeć!

W nieokreślonej przestrzeni mojego świata nie było niczego więcej. Tylko cierpienie i moje bezgłośnie krzyki, którymi domagałam się, by mnie dobito. Niczego więcej, nawet czasu. Więc nie miało to początku, ani końca. Jeden nieskończony długi moment wypełniony bólem.

Jedyną zmianą, jaka nastąpiła - nieprawdopodobną zmianą - było to, że niespodziewanie ból stał się dwukrotnie silniejszy. Dolna połowa mojego ciała, której nie czułam jeszcze przed morfiną, nagle także zapłonęła od wampirzego jadu. Zaczęło działać na nowo jakieś zerwane wcześniej połączenie - to parzące języki ognia je naprawiły.

A pożar zalał dalej.

Może po kilku sekundach, a może po kilku dniach, tygodniach czy nawet latach, odzyskałam w końcu poczucie czasu.

Trzy rzeczy wydarzyły się jednocześnie, a raczej jedna wynika z drugiej, tak że nie sposób było mi oocenić, która była pierwsza. Poczulałam, że mija czas, że morfina mnie już nie przygniata i że wracają mi siły.

Powoli odzyskiwałam władzę nad swoim ciałem i to owy mi poszczególnymi etapami jej odzyskiwania odliczałam czas. Wiedziałam już, że byłabym w stanie podkurczyć palce u stóp i zacisnąć dłonie w pięści. Wiedziałam o tym, ale żadnej z tych umiejętności nie wypróbowałam.

Chociaż ból nie zelżał ani odrobinę - wręcz przeciwnie, zaczęłam rozwijać w sobie nową zdolność jego doświadczenia, nową, zwiększoną wrażliwość, dzięki której dawało się docenić każdy przenikający moje żyły płomień z osobna - odkryłam, że potrafie oderwać się od niego myślami.

Przypomniało mi się, dlaczego nie powinnam była krzyczeć. Przypomniał mi się powód, dla którego zgodziłam się poddać tym torturom. Przypomniało mi się, że chociaż brzmiało to wysoce nieprawdopodobnie, istniało coś, dla czego warto było się im poddać.

W odpowiednim momencie, bo kiedy ulotnił się miazdzący mnie ciężar, potrzebowałam motywacji do tego, aby wytrwać. Dla postronnego obserwatora nie zaszła we mnie żadna zmiana. Ale tak naprawdę, wyzwolona z więzów odrętwienia, musiałam teraz walczyć o to, żeby nie wyć ani nie wic się w agonii. Żeby nie cierpieł nikt inny oprócz mnie. We wcześniej, sparaliżowana, nie miałam jak uciec przed ogniem - teraz stosu, na którym płonęłam, kurczowo się czepiałam.

Miałam akurat tyle siły, żeby zdołać leżeć nieruchomo, podczas gdy jad palił mnie żywcem.

Stopniowo coraz lepiej slyszalam i wkrótce mogłam już odmierzać czas, odliczając gwałtowne, rytmiczne uderzenia własnego serca.

Mogłam też odliczać swoje płytkie oddechy zasysane przez zaciśnięte zęby.

Albo cichsze, miarowe oddechy kogoś znajdującego się blisko mnie.

Te ostatnie dochodziły mnie najrzadziej, więc to na nich się skupiałam. Im większe porcje czasu odliczałam, tym szybciej mi mijał. Oddechy te, bardziej miarowe niż tykanie zegara, wyznaczały ścieżkę, którą mogłam przedrzeć się przez kolejne płonące sekundy.

Nadal robiłam się coraz silniejsza, a mój umysł działał coraz sprawniej. Kiedy w moim otoczeniu pojawiły się nowe odgłosy, mogłam je wychwycić i zanalizować.

Usłyszałam cwojes miękkie kroki, a potem szelest powietrza poruszonego przez otwierające się drzwi. Kroki zbliżyły się i poczułam nacisk po wewnętrznej stronie swojego nadgarstka. Nie chłód palców, tylko sam nacisk. Pożar w moim wnętrzu nie dopuszczał do mnie nawet wspomnienia chłodu.

- Wciąż bez zmian?

- Niestety.

Moją rozognioną skórę musnął czujś oddech.

- Po zapachu morfiny ani śladu.

- Wiem.

- Bello? Słyszysz mnie?

Nie miałam wątpliwości. Gdybym tylko rozluźniła szczękę, gdybym tylko otworzyła oczy, gdybym tylko podniosła mały palec zaczęłabym krzyczeć, szarpać się, wyć i dygotać. Nie mogłam sobie pozwolić nawet na najdrobniejszy gest, bo natychmiast straciłabym nad sobą kontrolę.

- Bello? Bello, najdrozsza? Możesz otworzyć oczy? Możesz spróbować ścisnąć moją rękę?

Nacisk na dloni. Na ten głos trudniej było mi nie zareagować, ale byłam twarda. Wiedziałam, że ból, jaki teraz czuł Edward, był niczym w porównaniu z tym, co mógłby czuć. Teraz tylko obawiał się tego, że cierpię.

- Moze... Och, Carlisle, może się spóźniłem? Pod koniec tego zdania niemalże załkał. Zawahałam się na chwilę.

- Spokojnie, Edwardzie. Wsłuchaj się w jej serce. Nawet u Emmetta nie było taką siłą. Nigdy nie slyszalem czegoś tak witalnego. Zobaczysz, Bella będzie okazać zdrowia.

Tak miałam rację, nie dając po sobie niczego poznać. Byłam przekonana, że Carlisle go pocieszy. Edward nie musiał cierpieć wraz ze mną.

- A co z jej... co z jej kręgosłupem? - wykrztusił.

Jej obrażenia nie były wcale poważniejsze niż u Esme. I tak jak u Esme, jad wszystko naprawi.

- Ale czemu leży tak nieruchomo? Musiałem gdzieś popełnić błąd!

- A może właśnie aż tak dobrze ci poszło? Synu, zrobiles wszystko, co ja sam bym zrobił, jeśli nie więcej. Nie jestem pewien, czy nie zabrakłoby mi wytrwałosci, czy w pewnym momencie nie straciłbym wiary w to, że da się ją uratować. Przestań się obwiniać. Bella przeżyje.

- Musi przeżyć w niewyobraźalne męczarnie - wyszeptał Edward ponuro.

- Nie wiadomo. Dostała tyle morfiny... Nie wiemy, jaki to przyniosło efekt.

Naciska na zgjęciu łokcia. Kolejny szepot

- Bello, kocham cię. Bello, wybac mi.

Tak bardzo chciałam odpowiedzieć, ale jeszcze bardziej pragnęłam nie pogarszać jego stanu. Nie teraz, kiedy miałam jeszcze dość sił, żeby kryć się ze swoim bólem.

Przez całą tę rozmowę, ogień we mnie bynajmniej nie osłabł. Ale w mojej głowie pojawiło się tyle wolnej przestrzeni! Przestrzeni, w której mogłam rozważać ich słowa. Przestrzeni na wspomnienie tego, co się wydarzyło. Przestrzeni na zastanawianie się nad przyszłością. A jeszcze tyle jej zostało na cierpienie!

I na zamartwianie się.

Gdzie było moje dziecko? Dlaczego nie było jej przy mnie? Dlaczego ani razu o niej nie wspomnieli?

- Nie, zostaj tutaj - powiedział cicho Edward, odpowiadając zapewne na pytanie, które Carlisle zadał mu w myślach. - Jakoś z tym sobie poradzą.

- Ciekawa sytuacja - stwierdził doktor. - A już mi się wydawało, że nie ma na tym świecie rzeczy, której bym nie widział.

- Później się tym zajmę. Razem się tym zajmijmy. Coś nacisnęło delikatnie wnetrze mojej płonącej dłoni.

- Wszystko będzie dobrze - zapewnił go Carlisle. - Jest tam nas pięcioro. Na pewno nie dopuścimy do rozlewu krwi.

Edward westchnął.

- Nawet nie wiem po czyjej stanąć stronie. Najchętniej wychłostałbym ich oboje. No nic, będzie na to czas później.

- Ciekaw jestem, jak Bella na to zareaguje - po której ona stanie stronie.

Edward zaśmiał się z wysiłkiem.

- Jestem przekonany, że mnie zaskoczy. Zawsze zaskakuje.

Slychać było, jak Carlisle odchodzi, i poczułam się sfrustrowana, że podsunięto mi pewne informacje, ale bez żadnego wyjaśnienia. Czy rozmawiali tak tajemniczo tylko po to, żeby mnie rozdrażnić?

Powróciłam do odmierzenia czasu, odliczając oddechy Edwarda.

Dziesięć tysięcy dziewięćset czterdzieści trzy oddechy później do sali operacyjnej zakradł się ktoś nowy. Stapał jeszcze lżej niż Carlisle i jakoś tak... energiczniej.

Dziwne, że potrafiłam wykłapywać takie drobne różnice pomiędzy krokami wampirów. Jeszcze dzień wcześniej w ogóle ich nie slyszalam.

- Ile jeszcze? - spytał Edward.

- Już niedługo - powiedziała Alice. - Wiesz, jaka wyraźna robi się w moich wizjach? Jest coraz lepiej.

Mimo to westchnęła.

- Ciągle nie możesz się z tym pogodzić?

- Dzięki, że poruszasz ten temat - zdrwiła. - Tez byloby ci ciężko, gdybyś zorientował się, jak bardzo ogranicza cię to, kim jesteś. Najlepiej widzę wampiry, bo sama jestem jednym z nich. I ludzi widzę nie najgorzej, bo kiedyś byłam człowiekiem. Ale moje wizje nie uwzględniają mutantów - mieszańców, bo nigdy z czymś takim się nie zetknęłam.

- Skup się.

- Nie ma po co. Bella to teraz dla mnie małe piwo.

Zamilkli na dłużej.

Kiedy Edward znowu się odezwał, miał już zupełnie inny ton głosu - o wiele pogodniejszy.

- Ręczywiście, wyjdź z tego - wykrztusił oszołomiony.

- Jasne, że tak

- Dwa dni temu nie byłas taka pewna siebie.

- Dwa dni temu widziałam same zakłócenia. Ale teraz, kiedy widzę, to już bułka z masłem.

- Spróbujesz ustalić, kiedy to się dokładnie skończy? Dla mnie?

Chwila ciszy.

- Dziękuję. Poweselał.

Jak długo jeszcze? Do licha, nie mogli powiedzieć tego na głos? Czy prosiłam o zbyt wiele? Ile jeszcze sekund miałam cierpieć katusze? Dziesięć tysięcy? Dwadzieścia? Osiemdziesiąt sześć tysięcy cztery sta, czy li jeszcze jeden dzień? Jeszcze dłużej?

- Będzie porażająca.

Edward warknął cicho.

- Zawsze taka była.

Alice prychnęła.

- Wiesz, o co mi chodzi. Tylko spójrz na nią.

Nie odpowiedział, ale słowa przyjaciółki rozbudziły w moim sercu nadzieję, że może jednak nie przypomniałam brykietu z węgla drzewnego, chociaż tak właśnie się czułam. Wydawało mi się, że musiał ze mnie zostać jedynie stos zwęglonych kości. Każda komórka mojego ciała już dawno obróciła się w popiół.

Usłyszałam, jak Alice wymyka się z pokoju. Usłyszałam, jak pocierają się o siebie warstwy poruszonego przez nią materiału. Słyszałam też ciche buczenie lamp pod sufitem i delikatne poddmuchy wiatru muskające zewnętrzną ścianę domu. Słyszałam po prostu wszystko.

Na dole ktoś oglądał w telewizji mecz baseballu. Marinersi Seattle wygrywali.

- Teraz moja kolej! - zaprotestowała przeciwko czemuś Rosalie. Odpowiedziało jej warknięcie.

- Hola, hola! - włączył się Emmett. Ktoś syknął.

Nadstawiłam uszu, ale nikt się już nie odezwał, a baseballem nie interesowałam się aż tak bardzo, żeby zapamiętać o swojej męce. Zabrałam się ponownie za odliczanie oddechów.

Dwadzieścia jeden tysięcy dziewięćset siedemnaście i pół sekundy później, ból zaczął się zmieniać.

Dobra wiadomość była taka, że odpływał powoli z palców u rąk i nóg. Powoli, ale przy najmniej było to coś nowego. To musiało być to. W końcu miał mnie opuścić.

I zła wiadomość: ogień w moim gardle też się przeobraził. Teraz nie tylko niemilosiernie palił, ale sprawiał, że chciało mi się pić. I to jak okropnie. Język przykleił mi się do podniebienia. Umierałam z bólu i pragnienia.

I kolejna zła wiadomość: temperatura w moim sercu wzrosła.

Jakim cudem?

Moje serce, choć pracowało już nienaturalnie wydajnie, jeszcze przyspieszyło - ogień wymusił na nim nowy, dziksy rytm.

- Carlisle! - zawołał Edward.

Nawet nie podniósł głosu, wiedziałam jednak że jeśli tylko doktor był w domu lub w jego pobliżu, musiał go usłyszeć.

Ogień wycofał się z moich dłoni, zabierając z sobą ból i pozostawiając je rozkosznie chłodnymi. Ale jego nadmiar przełał się do serca. Zapłonęło niczym słońce. I było coraz szybciej.

Do sali operacyjnej wszedł Carlisle, a zaraz za nim Alice. Rozróżniałam ich teraz tak doskonale, że potrafiłam nawet określić, że doktor idzie po prawej i wyprzedza córkę o dobre trzydzieści centymetrów.

- Słuchajcie - nakazał im Edward.

Nie w pokoju nie było w stanie zagłuszyć mojego serca, wybijającego szaleńczy rytm ognia.

- Ach - ucieszył się Carlisle. - Już prawie koniec. Poczułam niewysłowioną ulgę, ale przyćmił ją ból - straszliwy ból targający moje serce.

Moje ręce były jednak już od niego wolne aż po nadgarstki, zaś stopy aż po kostki. Pożar zupełnie tam wygasł.

- Już niedługo - zgodziła się Alice. - Pójdę przy prowadzić resztę. Z wyjątkiem Rosalie, prawda?

- Tak. Ktoś musi pilnować przed Bella małej.

Co takiego? Nie! Chciałam zobaczyć ją jak najszybciej. Pilnować jej przede mną? Za kogo oni mnie mieli?

Tak się zirytowałam, że odrobinię przestałam nad sobą panować. Drgnęły mi palce. Przyglądająca mi się trójka wampirów równocześnie wstrzymała oddechy.

Moje nieposłuszne palce ścisnęła czyjaś dłoń.

- Bella? Bello, kochanie?

Czy potrafiłam otworzyć usta, żeby mu odpowiedzieć, a nie krzyknąć z bólu? Zastanowiłam się nad tym, ale ogień zapłonął w mojej klatce piersiowej z jeszcze większą siłą, odpływając jednocześnie z moich łokci i przedramion. Nie, lepiej było nie ryzykować.

- Idę po resztę - oświadczyła Alice podenerwowanym tonem.

Az świsnęło, kiedy wybiegała na korytarz.

A potem - och!

Moje serce postanowiło dać już z siebie wszystko. Hałasując niczym wirniki startującego helikoptera, jego uderzenia zły się niemal w jeden donośny dźwięk. Zdawać by się mogło, że niestrudzony mięsień lada chwila zmiele mi żebra. Ogień w jego wnętrzu wysysał z moich członków resztki płomieni, żywiąc się nimi, tak że palił mnie mocniej niż kiedykolwiek. Ból był tak potworny, że w każdej sekundzie mógł wziąć nade mną górę i rozluźnić uścisk, którym czepiałam się stosu. Wygięłam się w łuk jakby pożar uniósł moje serce w powietrze.

Osunęłam się z powrotem na stół. Żadnej innej części mojego ciała nie pozwoliłam przy tym na podobną niesubordynację.

Wrzała we mnie walka - moje rozpędzone serce ścigało się z atakującym je ogniem. Oboje przegrywali. Ogień był skazany na niepowodzenie, bo skończyło już mu się paliwo. A moje serce galopowało na ostatnich nogach.

Siła pożaru sięgnęła zenitu. Wszystkie parzące płomienie, które do tej pory rozlewały się po całym moim ciele, koncentrowały się na jednym ludzkim organie, jaki mi pozostał. Odpowiedzią na ten finalny atak było pojedyncze przytłumione uderzenie. Moje serce jeszcze dwukrotnie się zacięło, a potem stuknęło cicho jeden jedyny raz.

Zapadła głucha cisza. Nikt nie oddychał. Nawet ja.

Przez moment docierało do mnie tylko to, że nic mnie już nie bolało.

A potem otworzyłam oczy i spojrzałam w zachwycie przed siebie.

Wszystko było takie wyraźne.

Wszystko miało takie ostre kontury.

Silne szpitalne lampy nie straciły nic ze swojej mocy, a mimo to widziałam jak na dłoni jarzące się pręciki ich żarówek. W samej bieli jaskrawego światła dopatryłam się wszystkich kolorów tęczy, a na obrzeżach nawet widma osmego koloru, na który nie miałam nazwy.

Poza luną, w ciemnych deskach drewnianego sufitu, rozróżniałam wszystkie słoje i prądkowania. Poniżej w powietrzu unosiły się drobiny kurzu - każda, niczym księżyc, o jasnej i ciemnej stronie. Niezliczone miniaturowe planety wirowały wokół siebie w niebieskim tańcu.

Kurz był tak piękny, że zszokowana wciągnęłam głośno powietrze przez usta. Ze świstem przemknęło przez moje gardło, a drobiniki w pobliżu moich ust przyspieszyły. Poczulałam się dziwnie - coś było nie tak. Zastanowiwszy się nad tym, uświadomiłam sobie, że wdech nie przyniósł mi ulgi. Nie potrzebowałam już tlenu. Świeży jego napływ był teraz moim płucem zupełnie obojętny.

Nie musiałam już oddychać, ale sprawiało mi to przyjemność. Mogłam tak posmakować wszystkiego, co znajdowało się w pokoju. Posmakować tych przuroczych drobiniek kurzu. Wykwintnego bukietu jedwabiu. Mieszanki powietrza zastalego i chłodniejszego wpadającego przez otwarte drzwi. Wspomnienia czegoś ciepłego i kuszącego, co powinno być wilgotne, ale nie było... Ten ostatni zapach zapiekł mnie sucho w gardle odległym echem pożaru wywołanego przez jał, chociaż tłumił go ostry odór chloru i amoniaku. Przede wszystkim jednak mogłam rozkoszować się fantastyczną wonią, przywodzącą na myśl miod i nagrzane słońcem kwiaty bzu, która była najsilniejszą w pomieszczeniu, a zarazem była od czegoś najbliższego mnie.

Obserwujące mnie wampiry też zaczęły oddychać, a ich oddechy mieszały się z ową najcudowniejszą z woni, wydobywając z niej nowe pokłady piękna. Cóż się w niej jeszcze kryło prócz miodu, słońca i bzu? Cyfiamon, hiacynt, gruska, woda morską, piekący się chleb, sosna, wanilia, wyprawiona skóra, jabłko, mech, lawenda, czekolada... Tyle porównań, ale żadne do końca nie trafione. W każdym razie coś kojarzącego się jak najlepiej.

Dźwięk telewizora w salonie ucichł i ktoś na parterze - czyżby Rosalie? - siedząc, przemiósł ciężar ciała z jednego uda na drugie.

Nagle zabrzmiał jakiś stłumiony łomot. Męski głos pokrzykiwał coś gniewnie do rytmu. Ktoś tu gustował w rapie? Zdziwiłam się na moment, ale zaraz potem hałas się oddalił, jak gdyby dom Cullenów minął samochód ze spuszczonej misy.

Az drgnęłam, kiedy umysłowiłam sobie, że jak najbardziej mógł być to samochód, tyle że kilka kilometrów stąd. Czyżby m słyzała, co działo się na zosie?

Nie zdawałam sobie sprawy, że ktoś trzyma mnie za rękę, dopóki lekko jej nie ścisnął. Zamarłam zaskoczona, tak jak robiłam to wcześniej, żeby nie zdradzić, jak cierpię. Nie tego się spodziewałam. Skóra towarzyszącej mi osoby, owsem, była idealnie gładka, ale miała niewłaściwą temperaturę. Nie była wcale zimna.

Sparaliżowało mnie tylko na chwilę, po czym moje ciało zareagowało gwałtownie na nieznany dotyk a sposób, w jaki zareagowało, wywołał u mnie jeszcze głębszy szok

Powietrze wydostało się z moich zacisniętych zębów z złowrogim sykem godnym roju pszczół. Nim dźwięk ten zamikł, moje mięśnie spięły się, abym jak najszybciej mogła uciec przed nieznanym. Zerwałam się ze stołu tak raptownie, że wszystko powinno było zawrócić mi przed oczami - ale nic takiego się nie stało. Chociaż w jedną zsmasną sekundę znalazłam się pod przeciwległą ścianą, po drodze zarejestrowałam każdą drobinę kurzu i każdy słój w deskach boazerii, na których spoczął mój wzrok

Dopiero przy czaiwszy się w obronnej pozycji kilka metrów dalej, zrozumiałam, co zbilo mnie z pantyku i że przesadziłam.

Och. No jasne. Przecież Edward nie był już dla mnie chłodny w dotyku. Oboje byliśmy teraz tak samo lodowaci.

Nie zmieniałm pozycji jeszcze przez jedną ósmą sekundy, żeby mieć czas rozzejrzeć się po pokoju.

Edward pochylił się nad stołem operacyjnym, który posłużył mi za stół, wyciągając ku mnie rękę z zaniepokojoną miną.

Jego twarz była dla mnie najważniejsza, ale kątem oka, tak na wszelki wypadek, chłonełam jak najwięcej szczegółów. Postępowałam tak, kierowana jakimś nowym dla siebie instynktem, który nakazywał wypatrywać potencjalnego źródła zagrożenia.

Moja wampirza rodzina czekała w gotowości wzdłuż ściany przy drzwiach, z Emmetem i Jasperem na samym przodzie. Jak gdyby to im, a nie mi, coś groziło. Węsylałam zapamiętałe, starając się wychwycić cokolwiek podejrzanego, jednak niczego takiego się nie doszukiwałam. Moje gardło znowu polechła słaba woń czegoś smakowitego - stiumiona przez intensywny zapach chemikaliów - przypominając mi o niedawnych torturach.

Alice w gładką Jasperowi zaskoczona, uśmiechając się szeroko. Ostre szpitalne światło odbiło się od jej białych zębów, tworząc kolejną ośmiokolorową tęczę.

Jej uśmiech mnie uspokoił, więc opanowana poskładałam szybko do końca wszystkie kawałki lamigłówek. Jasper i Emmett stali z samego przodu, żeby chronić pozostałych, tak jak się tego domyślałam, ale dopiero teraz skojarzyłam, że to przede mną chcieli ich chronić.

Wszystko to odnotowałam ot tak, na marginesie. W przeważającej części moje zmysły i umysł skupiły się na twarzy Edwarda.

Do tej pory jeszcze nigdy tak naprawdę jej nie widziałam.

Ileż to razy już mu się przyglądałam, zachwycając się jego urodą? Ileż to godzin - a gdyby je podliczyć, ileż dni, ileż ty godni - spędziłam, marząc na jawie o tym, którego miałam za ideał? Sądziłam, że znam jego twarz lepiej niż swoją własną. Sądziłam, że ze wszystkich rzeczy na świecie, tylko tego jednego w stu procentach mogę być pewna - nieskazitelności jego boskiej twarzy.

Okazało się, że równie dobrze mogłabym być ślepa.

Oto po raz pierwszy spojrziałam na Edwarda oczami, którym obca była słabość ludzkiego wzroku. Jęknęłam z wrazenia. Z wysiłkiem dobieierałam w myślach słowa, którymi mogłabym go opisać, ale te, które przychodziły mi do głowy nie były odpowiednie. Potrzebowałam jakiegoś ulepszzonego języka.

Jako że ukryty we mnie drapieżnik upewnił się już, że nic mu nie grozi, wyprostowałam się odruchowo. Od momentu, w którym zerwałam się ze stołu, minęła prawie pełna sekunda.

Mój uwagę przykuło na chwilę przedziwne zachowanie mojego ciała. Stałam wyprostowana, gdy tylko pomyślałam, że nie ma już potrzeby kucnąć. A właściwie nie stanęłam, tylko od razu stałam, jak gdyby w ogóle się nie poruszyła, a moja poprzednia pozycja była tylko złudzeniem. Pomiędzy sformulowaniem rozkazu a jego wykonaniem nie było żadnej zauważalnej przerwy.

Znieruchomiałam, na powrót przyjrzałam się twarzy Edwarda.

Nadal wyciągając ku mnie rękę, obszedł powoli stół operacyjny. Każdy krok zabierał mu niemal pół sekundy, ale tak płynnie przechodził w kolejny, że skojarzyło mi się to z wodą w górskiej rzece przelizującą się po gładkich kamieniach.

Obserwowałam jego pełne gracji ruchy, chłoneć ten widok swoimi nowymi oczami.

- Bello? - zapytał cicho.

Starał się być opanowany, ale po tonie jego głosu poznałam, że się martwi.

Nie byłam w stanie odpowiedzieć mu tak szybko, jak bym chciała, odurzona alsamitym i tymbrem jego barytonu. Był jak symfonia, symfonia na jeden instrument, instrument doskonalszy od każdego stworzonego przez człowieka...

- Bello? Skarbie? Wiem, że czujesz się zagubiona, ale uwierz mi, wszystko jest z tobą w najlepszym porządku.

Wszystko? Zanurkowałam w głębinę swojej jaźni, sięgając pamięcią do swojej ostatniej godziny w ludzkiej postaci. Wspomnienia już wyblakły, jak gdyby pokrył je gruby, ciemny welon. Stało się tak dlatego, że chcąc nie chcąc, porównywałam je do tego, co docierało do mnie teraz, a ludzkiemu zmysłowi tak niewiele odbierałam. Wszczęło w moich wizjach było takie niewyrażone!

Czy mówiąc, że wszystko jest w porządku, Edward miał też na myśli Renesmee? Dokąd ją zabrali? Czy była z Rosalie? Usiłowałam przypomnieć sobie jej twarzy czkłę - wiedziałam, że była śliczna ale obrazy, które przywołało jej imię, tylko zrytowały mnie swoją marną jakością. Rysy córkiści gnięły w mroku...

A co z Jacobem? Jak się czuł? Czy mój najlepszy przyjaciel, który tyle przeze mnie wycierpiał, teraz mnie nienawidzi? Czy wrócił do sfory Sama? Czy Seth i Leah też już wrócili do domu?

Czy Cullenowie byli bezpieczni, czy przez moją przemianę wybuchła wojna pomiędzy wampirami a wilkołakami? Czy zapewnienia Edwarda były szczere, czy też przywdział kolejną maskę, żeby mnie uspokoić?

A Charlie? Co miałam mu teraz powiedzieć? Na pewno dzwonił, kiedy płońalam. Jak mu wytłumaczono moją nieobecność? Jaką wersję wywerzeń mu zaserwowałem?

Kiedy namyślałam się, które z tych pytań zadać jako pierwsze, Edward zbliżył się do mnie ostrożnie i pogłaskał po policzku opuszkami palców. Były gładkie jak satyna, miękkie jak puch, a temperaturą pasowały teraz idealnie do ciepłoty mojemu ciału.

Jego dotyk wi dawał się wnikać pod powierzchnię mojej skóry, wnikać w kości mojej twarzy. Przeszył mnie prąd. Przyjemny dreszcz ześlizgnął mi się wzdłuż kręgosłupa i rozszedł delikatnym mrowieniem po żołądku.

Chwileczkę, pomyślałam, czując, jak budzi się we mnie rozkoszne ciepło. Czy nie sprzedano mnie, że na długi czas będę musiała zapomnieć o podobnych dozaniach? Czy nie uznałam, że to wysoka cena, ale jestem gotowa ją zapłacić?

Byłam nowo narodzonym wampirem. Paląca suchość w gardle stanowiła najlepszy tego dowód. I wiedziałam, co taki stan za sobą pociąga. Ludzkie emocje i tęsknoty miały do mnie w końcu wrócić w jakiejś formie, ale pogodziłam się z tym, że potrwa to kilka lat. Z początku miałam nie myśleć o niczym innym, prócz tego, jakby się tu nasycić. Taka była umowa. Na takie warunki przystałam.

Ale kiedy Edward przytulił mi dłoń do twarzy, swoją stalową dłoń obitą satyną nęży, w moich wyschniętych żyłach wystrzeliło poządanie, ogarniające mnie od stóp do głów.

Mój ukończony unióśł brew, czekając, aż się odezwe.

Przytuliłam go do siebie.

Tak jak poprzednim razem, nawet nie zauważyłam, kiedy się poruszyłam. Stałam wyprostowana i zeszywniała jak posąg, a już ułamek sekundy później trzymałam Edwarda w ramionach.

Był ciepły - a przynajmniej taki mi się wydał. Jego słodki, kuszący zapach rozpoznalabym wszędzie, chociaż do tej pory, z pomocą marnego ludzkiego węchu, rejestrowałam jedynie jego znacznie uboższą wersję.

Przycisnąłam Edwardowi policzek do umiśnionego pierśi.

Nagle drgnął i przemiósł ciężar ciała na drugą nogę, wypłatał się delikatnie, acz stanowczo z moich objęć. Zdezorientowana, podniosłam głowę. Przestraszyłam się, że już mnie nie chce.

- Auć. Ehm, Bello... Uważaj, to boli.

Gdy tylko dotarło do mnie, o co mu chodzi, jak najprędzej się od niego oderwałam i schowałam obie ręce za placami.

Byłam za silna!

- Oj - bąknęłam.

Posłał mi tak czarujący uśmiech, że gdyby moje serce jeszcze było, na pewno by się zatrzymało.

- Nie wpadaj w panikę, kochanie - powiedział, przesuając mi palec po wargach, rozchylonych ze strachu. - Po prostu tymczasowo jesteś ode mnie silniejsza.

Zmarszczyłam czoło. Oczywiście wiedziałam, że tak będzie, nie było to najbardziej surrealistyczna rzecz ze wszystkich surrealistycznych rzeczy, które przydarzyły mi się w ciągu ostatnich kilku sekund.

Byłam silniejsza od Edwarda! Aż wyrwało mu się „auć“!

Znowu pogłaskał mnie po policzku i zapomniałam o swoich strapieniach, bo moje zniuruchomiałe ciało przebiegła kolejna fala pożądania.

Odczuwałam wszystko o wiele silniej, niż byłam do tego przyzwyczajona, nie więc dziwnego, że pomimo dodatkowej przestrzeni w mojej głowie, z trudem podążałam za jakąś konkretną myślą. Każde nowe doznanie wytraćalo mnie z równowagi.

Przy pomniało mi się, jak Edward powiedział kiedyś - jego głos w moich wspomnieniach był niczym cień kryształowo czystych, melodyjnych dźwięków, które usłyszałam przed chwilą - że jego pobratymcy, nasi pobratymcy, łatwo się rozpraszaali. Rozumiałam teraz dlaczego.

Spróbowałam się skupić. Miałam mu przecież coś do powiedzenia. Tę najważniejszą rzecz.

Bardzo ostrożnie, tak ostrożnie, że tym razem mój ruch można było zobaczyć, wyjęłam zza pleców prawą rękę i uniosłam ją, aby dotknąć jego policzka. Nie pozwoliłam, by zdekoncentrowałam mnie perlowy odcień mojej dłoni, jedwabista gładkość jego skóry czy mrowienie w opuszkach.

Spojrzałam mu prosto w oczy i po raz pierwszy po przemianie usłyszałam własny głos.

- Kocham cię - wyszeptałam, ale zabrzmiało to tak, jakby m to wyśpiewała. Mój głos rozdziwnił się niczym pęk złoty ch dzwonił.

Edward odpowiedział mi uśmiechem, który poraził mnie o wiele większą siłą niż kiedykolwiek, kiedy byłam jeszcze człowiekiem. Dopiero teraz widziałam ten uśmiech tak naprawdę.

- Tak jak ja kocham cię.

Ujął moją twarz w dlonie i pochylił się ku mnie - na tyle powoli, bym przypomniała sobie, że muszę zachować ostrożność.

Pocałował mnie - w pierś ledwie musnął moje wargi, ale niespodziewanie wpił się w nie z nieznaną mi gwałtownością. Najchętniej zatraciłabym się w powodzi bodźców, ale chociaż niewyłącznie trudno było mi w niej zebrać myśli, starałam się za wszelką cenę nie zapomnieć, że niechęć mogę zrobić mi krzywdę.

Było tak, jakby nigdy przedtem mnie nie całował i jak gdyby był to nasz pierwszy pocałunek. Musiałam zresztą przyznać, że nigdy jeszcze nie całował mnie w taki sposób.

O mało co nie wzbudziło to we mnie poczucia winy. Jak nie musiałam znowu łamać warunków umowy. Przecież to niemożliwe, żeby m miała prawo czegoś takiego doświadczać.

Chociaż nie potrzebowałam tlenu, zaczęłam oddychać coraz szybciej - tak szybko, jak wtedy, gdy płońalam. Teraz szalał we mnie pożar innego rodzaju.

Ktoś odchrząknął znacząco. Ktoś mówiły basem, więc zaraz poznałam, że to Emmett. Był zarazem poirytowany i rozbawiony.

Przypomniało mi to o tym, że nie byliśmy sami. Uznysłowiałam sobie, że tułę się do swojego ukochanego w sposób, którego przy ludziach byłoby grzeczniej się wystrzegać.

Zawstydzona, odsunęłam się od niego o pół kroku jednym niewidocznym ruchem. Zachichotał i zaraz zrobił krok do przodu. Objął mnie w talii, a jego twarz promieniała - jakby pod jego diamentową skórą płonął biały płomień.

Mimowolnie wzięłam głęboki wdech, żeby dojść do siebie.

Jakże bardzo różniło się to całowanie od tego, które znalazłam! Porównując swoje ludzkie stępane wrażenia od tego czystego, intensywnego uczucia, przyjrzałam się badawczo minie Edwarda. Wyglądał na... zadowolonego z siebie.

- Ukry waleś się przede mną! - oskarżyłam go swoim śpiewnym głosem, ściągając odrobinę brwi.

Zaśmiał się, szczęśliwy, że jest już po wszystkim - po strachu, po bólu, po niepewności, po oczekiwaniu. Wszystko to było już za nami.

- Nie zapominaj, że do tej pory było to konieczne - oznajmił. Ale teraz to ty będziesz musiała uważać, żeby nie uszkodzić mnie.

Znowu parsknęła śmiechem.

Zamyśliłam się nad jego słowami. Cała scena była przekomiczna, więc w końcu wszyscy zaczęli się śmiać wraz z Edwardem.

Carlisle wyminął Emmetta i podszedł do mnie pospiesznie. Prawie nie uważał na siebie, ale ostrożniejszy Jasper ruszył zaraz za nim. Twarzy doktora też jeszcze nigdy tak właściwie nie widziałam. Miałam ochotę zamrucnąć - jak gdyby mi patrzyła prosto w słońce.

- Jak się czujesz, Bello? - zapytał.

Zastanawiałam się nad odpowiedzią przez sześćdziesiątą czwartą część sekundy.

- Jestem skołowana. Tyle tego... - urwałam, zasluchana w dźwięk własnego głosu.

- Tak pewnie trudno to sobie wszystko poukładać.

Przytaknęłam mu energicznie.

- Ale czuję się sobą. No, tak mniej więcej. Nie spodziewałam się tego.

Edward ścisnął mnie mocniej w pasie.

- Mówiłem ci, że tak będzie.

- W pełni się kontrolujesz - nie mógł nadziwić się Carlisle. - Tego to nawet ja się nie spodziewałem, nawet wzięwszy pod uwagę, ile miałaś czasu, żeby się do tego psychicznie przygotować.

Pomyślałam o tym, jak błyskawicznie zmienia mi się nastrój i jak nie potrafię się na niczym skupić.

- Nie jestem tego taka pewna - szepnęłam.

Carlisle pokiwiał z powagą głową, a potem w jego złotych oczach pojawił się błysk zainteresowania.

- Wydaje mi się, że tym razem trafiliśmy z tą morfina, czy się nie mylę? Powiedz mi, co pamiętasz ze swojej przemiany?

Zawahałam się. Prawie całą swoją uwagę koncentrowałam właśnie na tym, jak oddech Edwarda, owiewając mój policzek, przypomina mi o cudowne dreszczyki.

- Na samym początku wszystko było takie... takie zamglone. Pamiętam, że mała nie mogła oddychać...

Nagle się wystraszyłam i zerknęłam na Edwarda pytającego.

- Renesmee jest zdrowa jak rydz - zapewnił mnie z tajemniczą miną. Widać było, że jest dumny z córki, ale kryło się w tym coś więcej. Jej imię wymówił niemalże ze złością, jak człowiek wierzący wspominający świętego czy

Boga. - Pamiętasz, co działo się później?

Zawsze był ze mnie kiepski kłamca, więc dałam z siebie wszystko, żeby niczym się nie zdradzić.

- Nie za bardzo... Wcześniej było tak ciemno. A potem... otworzyłam oczy i nagle widziałam tyle szczegółów!

- Niesamowicie - szepnęła Carlisle, podskoczyła.

Zrobiło mi się głupio. Czekaliśmy, aż się zacierwieli i wszystko się wyda. Ale potem uświadomiłam sobie, że już nigdy nie dostanę rumieńców. Co za ulga! Może to miało ochronić Edwarda przed poznanie prawdy.

Musieliśmy jednak jakoś wprowadzić z błędu Carlisle'a. Kiedyś tam. Jeśli kiedykolwiek miał stworzyć kolejnego wampira. Było to jednak bardzo mało prawdopodobne i fakt ten nieco poprawił mi humor. Nie lubiłam kłamać, ale jeszcze bardziej nie lubiłam wszystkiego później odkręcać.

- Proszę, zastanów się. Opowiedz mi wszystko, co pamiętasz - naciskał doktor, nie mogąc się doczekać moich rewelacji.

Nie udało mi się powstrzymać i moją twarz wykrzywił grymas. Wolałam nie brnąć głębiej w kłamstwa, bo byłam pewna, że w końcu podwinie mi się noga. Nie chciałam zresztą nawet myśleć o tym, jak płonęłam. W odróżnieniu od wcześniejszych ludziach przeżyć, tę część swojej drogi przez mękę pamiętałam aż za dobrze.

- Och - zreflektował się Carlisle. - Wybacz mi, Bello. Porozmawiamy o tym kiedy indziej. Musisz przecież umierać z pragnienia.

Zanim o nim nie wspomnieli, tak właściwie zupełnie mi ono nie dokucało. Miałam teraz w głowie tyle miejsca! Kontrolowaniem pragnienia zajmowała się jakaś osobna część mózgu. Odbierałam to, jako coś całkowicie naturalnego. Mój stary mąż zgrywał się na podobnych zasadach oddychaniem i mruganiem.

Uwaga Carlisle'a sprawiała jednak że kwestia ta wysunęła się na pierwszy plan. Nagle nie byłam w stanie myśleć o niczym innym prócz tego, jak sucho miałam w gardle, a im więcej o tym myślałam, tym bardziej mnie piekło. Dłoń powędrowała mi od ruchowo do szyi, jakby mogła zdusić nią z zewnątrz płomień.

Moja skóra okazała się bardzo dziwna w dotyku. Była tak gładka, choć, rzecz jasna, twardością dorównywała skałom.

Edward wziął mnie za drugą rękę i pociągnął mnie za nią delikatnie.

- Chodź, zapojujemy - zaproponował wesoło.

Otworzyłam szeroko oczy. Ból wywołany pragnieniem zelżał, ustępując miejsca zaskoczeniu.

Zapolewać? Ja? Z Edwardem? Ale... jak?

Nie wiedziałam, co robić.

Zauważywszy moje zdezorientowanie, uśmiechnął się zachęcająco.

- To proste, kochanie. Instynktowne. Pokażę ci. O nic się nie martw.

Ani drgnęłam, więc uśmiechnął się zawiadako i uniósł brwi.

- Zawsze mi się wydawało, że marzyłaś o tym, żeby towarzyszyć mi na polowaniu.

Jego słowa przywołały niewyraźne wspomnienia naszych rozmów na ten temat. Zaśmiałam się melodyjnie. Część mojego umysłu zasłuchiwała się w zachwycie, a inna w ciągu sekundy skatalogowała na nowo wszystkie wydarzenia z pierwszych dni mojej znajomości z Edwardem, tak żebym już nigdy ich nie zapomniała. Tamte dni wyznaczał przecież prawdziwy początek mojego życia. Nie spodziewałam się, że tak nieprzejmnie będzie mi sięgać do nich pamięcią. Wrażenie było przy tym takie, jakby starała się wypatrzeć coś w mgłnej wodzie. Nauczona doświadczeniem Rosalie, wiedziałam jednak, że obrazy te nie wyblakną z czasem, jeśli tylko będę wracać do nich dostatecznie często. Nie chciałam zapomnieć o ani jednej minucie spędzonej z ukochanym, a nawet teraz, gdy przed nami rozciągała się wieczność. Przyrzekłam sobie upewnić się w najbliższej przyszłości, że wszystkie moje ludzkie wspomnienia na dobre zakorzenili się w moim niezawodnym wampirzym umyśle.

- To jak gotowa? - spytał Edward. Sięgnął po moją dłoń, którą nadal trzymał przy gardle, i musnął mnie gładkimi palcami po szyi. - Nie chcę, żebyś się męczyła dłużej niż to konieczne - dodał, mrużąc.

Jako człowiek nigdy bym tego mrużenia nie usłyszała.

- Nic mi nie jest - powiedziałam z przyzwyczajenia. - Zaczekaj. Najpierw co innego.

Tyle tego było. Nie zadałam mu jeszcze żadnego z dręczących mnie pytań. Miałam na głowie ważniejsze rzeczy niż ból gardła.

- Co takiego? - odezwał się Carlisle.

- Chcę ją zobaczyć. Chcę zobaczyć Renesmee.

Dźwięk było mi wymienić jej imię. A „moja córka” - nawet w myślach trudno było mi ją tak określić. Cięża wydawała się czymś niezmiernie abstrakcyjnym. Próbując sobie przypomnieć, jak czułam się trzy dni wcześniej, machinalnie wyswołodziłam dłonie z uścisku Edwarda i przyłożyłam je sobie do brzucha.

Był pusty. Pusty. I ukryty pod warstwą jedwabiu. W przypływie paniki, zacisnęłam palce na materiale, a jakaś pomniejsza cząstka mojej świadomości odnotowała, że Alice mnie ubrała.

Wiedziałam, że nic we mnie nie ma, i jak przez mgłę pamiętałam krwawą scenę porodu, ale mimo tych dowodów, niełatwo było mi uwierzyć, że moje dziecko istnieje. Kiedy jeszcze nosiłam je w sobie, kochałam je nad życie, a teraz, gdy przy mnie nie było, jawiło mi się jako coś, co tylko mi się przy widziało. To musiał być sen - powoli zapomniany sen, który w polowie był kosmarem.

Walcząc ze swoim skołowaniem, zauważyłam, że Edward i Carlisle spojrzeli na siebie.

- Co jest? - zaniepokoiłam się.

- Bello - zaczął ostrożnie Edward - to chyba nie najlepszy pomysł. Skarbie, ona jest w polowie człowiekiem. Ma bijące serce, w jej żyłach płynie krew. Dopóki nie zyskamy stuprocentowej pewności, że nad sobą panujesz... Nie chcesz jej przecież narazić na niebezpieczeństwo, prawda?

Zmarszczyłam czoło. Jasne, że tego nie chciałam.

Czy panowałam nad sobą? Hm. Na pewno czułam się zdezorientowana. I zdekoncentrowana. Ale czy niebezpieczna? Czy stanowiłam zagrożenie dla własnej córki?

Nie byłam pewna, czy mogę udzielić na to pytanie przeczącej odpowiedzi. A więc musiałam uzbroidać się w cierpliwość. Cóż, było to wyzwanie. Bo tak długo, jak jej nie widziałam, nie była dla mnie kimś prawdziwym. Tyłko majakiem... ulotnym snem o małej niezamajomej...

- Gdzie ona jest?

Nadstawiłam usze, żeby usłyszeć bijące piętro niżej serduszek, usłyszałam też, jak w jego pobliżu oddycha więcej niż jedna osoba - cichutko, jak gdyby opiekunowie Renesmee też nasłuchiwali. Wylapałam coś jeszcze, ale nie potrafiłam określić, co - coś pomiędzy łopotaniem z pogłosem a głuchym dudnieniem.

Najważniejsze było jednak to, że dźwięk bicia serca mojego dziecka odebrałam jako tak apetycznie wilgotny, że do ust napłynęła mi ślina.

A to oznaczało, że przed złożeniem wizyty małej niezamajomej, musiałam niestety nauczyć się polować.

- Czy jest z nią Rosalie?

- Tak - odparł cierpko Edward.

Widać było, że z jakichś powodów nie jest tym do końca zachwycony. A sądziłam już, że się z Rose pogodzili! Czyżby znowu stali po przeciwnych stronach barykady? Zanim zdążyłam o to zapytać, oderwał mi dłoń od brzucha i znowu pociągnął mnie za rękę.

- Czekaj - zaprotestowałam, usiłując się skupić. - A co z Jacobem? Co z Charliem? Opowiedzcie mi, co przegapiłam. Jak długo się... jak długo byłam... nieprzytomna?

To, że zawahałam się pod koniec, najwyraźniej nie wzbudziło niczyich podejrzeń. Edward i Carlisle za to po raz kolejny spojrzeli na siebie.

- Stało się coś złego? - wyszeptalam.

- Nic złego się nie stało - powiedział doktor, nie wiedząc czemu podkreślając słowo „złego”. - Tak właściwie, to mało co się zmieniło. Byłaś wyłączona z życia tylko przez nieco ponad dwa dni. W porównaniu z innymi przypadkami, bardzo szybko ci to poszło. Edward znakomicie wywiązał się ze swojego zadania. Wpadł na znakomity pomysł, żeby wstrzyknąć ci jad prosto w serce. - Przerwał na moment, żeby z dumą w oczach uśmiechnąć się do syna, po czym niespodziewanie westchnął - Jacob nadal tu jest, a Charlie nadal wierzy, że jesteś chora. Myśli, że jesteś teraz na badaniach w Centrum Kontroli Chorób w Atlancie. Daliśmy mu ży numer telefonu i bardzo się frustruje. Rozmawiał z Esme.

- Muszę do niego zadzwonić... - mruknęłam do siebie, ale dźwięk mojego głosu umysłowili mi, że mam problem. Charlie nie miał szans go rozpoznać. Usłyszałszy go w słuchawce, wcale nie miał się uspokoić. Ale potem dotarła do mnie druga informacja, którą podał mi Carlisle, i porzuciłam smutne rozmyślenia. - Jakt... Jacob jeszcze tu jest?

Znowu wymienili między sobą zakłopotane spojrzenia.

- Bello - powiedział szybko Edward - mamy jeszcze dużo do umówienia, ale w pierwszej kolejności powinniśmy zadbać o ciebie. Musisz skrócić się z bólu...

Kiedy o tym wspominał, przypomniało mi się, że pali mnie w gardle, i przelknęłam ślinę. - Ale Jacob...

- Skarbie, będziemy mieć całą wieczność na wyjaśnienia. Miał rację. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby odłożyć to na później. Zwłaszcza, że gdyby nie rozpraszało mnie pragnienie, łatwiej by mi się ich słuchało.

- Rzeczywiście - przyznałam.

Hej, czelaziciel! - zaświergotała Alice spod drzwi. Wybiegła na środek pokoju. Tak jak przy Edwardzie i Carlisle'u, kiedy przyjrzałam jej się wampirzymi oczami, zaniemówiłam. Była tak słiczna!

- Obiecałaś, że będę mogła przy tobie być przy tym pierwszym razie - ciągnęła - a co, jeśli w lesie miniecie po drodze jakieś jezioro albo kawałek blachy?

- Alice... - zaproponował Edward.

- To zajmij tylko sekundkę!

Nie czekając na przyzwolenie, wypadła jak strzala z pokoju.

Edward westchnął.

- Co ona bredzi o jakichś blachach?

Zanim ktokolwiek mu odpowiedział, Alice zdążyła już wrócić, dźwigając olbrzymie lustro w złoczonej ramie z pokoju Rosalie, niemal dwa razy od siebie wyższe i kilka razy szersze.

Jasper, odłąd przesunął się w ślad za Carlislem, ani razu się nie poruszył i ani razu nie zabrał głosu, przez co nie zwracałam sobie nim głowy. Przemieścił się dopiero teraz, żeby zająć pozycję koło Alice. Nie spuszczał ze mnie wzroku - bo też i ja stanowiliam tu jedyne zagrożenie.

Wiedziałam, że bezustannie śledzi moje nastroje, musiał więc zarejestrować, że zobaczywszy go w pełnej krasie po raz pierwszy, przeżyłam szok. Dla niedoskonałego ludzkiego oka bliźni, jakie mu pozostały po latach dowodzenia oddziałami nowo narodzonych w czasie wojen na południu kontynentu, były w większości niewidoczne. Widywałam je tylko wtedy, gdy padało na nie jaskrawsze światło, bo ich nieco krawędzie odcinały się wówczas wyraźnie od jego bladej skóry.

Teraz, widząc o wiele lepiej niż człowiek, odkryłam, że składa się głównie z bliźni. Od jego okaleczonej szyi i żuchwy nie można było oderwać wzroku - a chociaż był wampirem, trudno było uwierzyć, że przeżył tyle ataków na swoje gardło.

Kierowana instynktem, śpiałam miśnie, żeby móc się bronić. Każdy wampir by tak zareagował na widok brata Edwarda. Jego bliźni zastępowały podświetlony billboard z napisem „Uwaga! Niebezpieczeństwo!”. Ile wampirów próbowało go zabić? Setki? Tysiące? Tyle samo, co zginęło, próbując to zrobić.

Jasper zarówno widział, jak i wyczuwał, jak go oceniam, i w odpowiedzi uśmiechnął się krzywo.

- Edward nieźle mnie ochrzanił za to, że nie dopinowałam, żebyś zobaczyła swoje odbicie przed ślubem - odezwała się Alice, odrywając moją uwagę od swojego przerażającego ukochanego. - Nie dam mu powodu do tego, żeby znowu mi dogryzał.

- Dogryzał? - powtórzył ze sceptycyzmem, unosząc brew.

- No, może przesadziłam* [Gra słów: w oryginale użyto czasownika *chew out*, oznaczającego zarówno „ochrzaniać”, jak i „dokładnie przeżuwać” - przyp. tłum] - mruknęła i nie chcąc wdawać się z nim w dyskusję, odwróciła zwróciła Rose w moją stronę.

- A może raczej chcesz dostarczyć sobie rozrywkę? - zasugerowała.

Mruknęła do niego.

Ich przekomarzenia ledwie do mnie docierały. Osoba, którą zobaczyłam w lustrze, była o stokroć ciekawsza od jakichkolwiek słownych potyczek.

Patrzanie na nią sprawiło mi przede wszystkim ogromną przyjemność. Nieznajoma wampirzyca była niezaprzeczalnie niezwykle urodziwa, tak samo niezmiernie piękna, co Esme czy Alice. Jej twarz bez jednej skazy, bladą jak księżyc, okalała burza gęstych, lśniących, ciemnych włosów. Stała z gracją baletnicy. Ręce i nogi miała silne i gładkie, a jej skóra iskryła się delikatnie, połyskując niczym powierzchnia perły.

Ale potem się przestraszyłam.

Czy to miałam być ja? Nie potrafiłam w jej idealnych rysach doszukać się niczego znajomego.

I te oczy! Niby wiedziałam, czego się spodziewać, ale i tak przeszły mnie ciarki.

Przez cały ten czas, kiedy jej się przyglądałam, była całkowicie opanowana jak psąg bogini, a nie ktoś, w kim wzbiera panika.

Nagle jej usta się poruszyły.

- Te oczy... - wyszeptałam, niegotowa jeszcze powiedzieć „moje oczy”. - Jak długo to potrwa?

- Tylko kilka miesięcy - pocieszył mnie Edward. - Zwierzęca krew zmienia ich barwę szybciej niż ludzka. Najpierw robią się bursztynowe, a później złote.

Miałam paradować z takimi potwornymi częściami przez kilku miesięcy?!

- Miesiące?

Ze stresu głos podskoczył mi o oktawę. W lustrze, perfekcyjnie wymodelowane łuki brwiowe wampirzycy uniosły się w niedowierzaniu ponad płonącymi szkarłatem oczami - czerwiefszymi niż jakiegokolwiek inne, jakie w życiu widziałam.

Jasper, zaalarmowany moim stanem, przesunął się o krok do przodu. Znał młode wampiry aż za dobrze. Czy takie rozemocjonowanie poprzedzało u nowo narodzonych atak agresji?

Nikt nie odpowiedział mi na pytanie. Spojrzałam na Edwarda i Alice. Oboje na moment odplynęli, starając się zapobiec nieszczęściu. Jedno skupiało się zapewne na myślach Jaspera, żeby zrozumieć jego reakcję - drugie na najbliższej przyszłości, żeby przewidzieć moją.

Wzięłam kolejny niepotrzebny głęboki wdech.

- Wszystko ze mną w porządku - zapewniłam ich. Zerknęłam na nieznajomą w lustrze. - Po prostu... trochę za dużo się na mnie naraz zważyło.

Jasper zmarszczył czoło, co uwytkowało znajdujące się na nim bliźni.

- Nie wiem - stwierdził Edward.

Kobieta w lustrze skrzywiła się.

- Co za pytanie przegapiłam?

Uśmiechnął się szeroko.

- Jasper zastanawia się, jak ty to robisz.

- Co takiego?

- Jak udaje ci się tak świetnie kontrolować swoje emocje - wyjaśnił partner Alice. - Nigdy jeszcze nie wiedziałem, żeby nowo narodzony potrafił zatrzymać się w połowie drogi. Zdenerwowałaś się, ale kiedy zauważyłaś, że zaczęliśmy mieć się przed tobą na baczności, pohamowałaś się i uspokoiłaś. Byłem gotowy ci pomóc, ale wcale mnie nie potrzebowałaś.

- Czy to źle?

Zamarłam w oczekiwaniu na wyrok.

- Nie - oświadczył, ale nie wydał mi się być o tym przekonany. Edward pogłaskał mnie po ramieniu, jakby chciał mnie zachęcić do tego, żebym się rozluźniła.

- Robi to na nas wrażenie, ale nie wiemy, co o tym myśleć. Nie mamy pojęcia, jak długo się to u ciebie utrzyma.

Zamyśliłam się nad jego słowami. Czyli w każdej chwili mogłam się na kogoś rzucić? Zamienić w żądną krwi bestię?

Nie czułam w sobie nic, co by to zapowiadało. Ale może takie zmiany następowały zawsze zmienna.

- Powiedz nam lepiej, jak się sobie podobasz - zabrała głos Alice, wskazując niecierpliwie na moje odbicie.

- Czy ja wiem... - bąknęłam, nie chcąc się przyznać, jak bardzo mnie ten widok przerażał.

Znowu spróbowałam doszukać się w tej obcej kobiecie o oczach monstrum czegoś ze starej siebie. Hm... Było coś takiego w kształcie ust... Ignorując jej porażającą urodę, można było dojść do wniosku, że jej górna warga mimo wszystko nie pasowała do dolnej - że była w stosunku do niej nieproporcjonalnie pełna. Gdy znalazłam tę znajomą niedoskonałość, odrobinę poprawił mi się humor. Może reszta mnie też gdzieś tam się kryła.

W ramach eksperymentu uniosłam prawą rękę, żeby dotknąć palcami skroni. Piękność w lustrze powtórzyła ten gest, obserwując mnie uważnie szkarłatnymi oczami.

Edward westchnął.

Spojrzałam na niego pytająco.

- Rozczarowany?

- Tak - przyznał ze śmiechem.

Skoczłam mi z twarzy maskę opanowania. Poczulałam się głęboko zraniona.

Alice warknęła. Spodziewając się, że skoczę na Edwarda, Jasper znowu pochylił się do przodu i przyczaił.

Ale Edward zignorował ich i widząc, że na nowo znieruchomiałam, przytulil mnie mocno do siebie, całując w policzek.

- Miałem nadzieję, że kiedy twój umysł stanie się bardziej podobny do mojego, będę w stanie usłyszeć twoje myśli. Ale nie z tego. Znowu muszę się frustrować, próbując odgadnąć, co też się tam w środku dzieje.

Od razu poczułam się lepiej - raz, że wciąż mu się podobam, dwa, że moje myśli nadal pozostają moją własnością.

- No, cóż - powiedziałam nonszalanckim tonem - mój mózg chyba już nigdy nie będzie działał prawidłowo. Ale teraz przynajmniej jestem ładna.

Coraz łatwiej przychodziło mi zachowywać się w pełni naturalnie - dowcipkować, nie rozpraszać się bez przerwy. Być sobą.

- Bello - zamruczał mi Edward do ucha - nawet wcześniej nigdy nie byłaś ot tak po prostu ładna.

Ale potem odsunął się zmienna ode mnie.

- Dobrze, już dobrze - odpowiedział komuś z westchnieniem.

- O co chodzi? - spytałam.

- Jasper się stresuje, że za długo zwlekamy. Chodźmy już na to polowanie, żeby mógł się wreszcie rozluźnić.

Zerknęłam na zmartwioną twarz mojego szwagra i pokiwałam głową. Skoro rzeczywiście lada moment miałam wpaść w amok, byłoby lepiej, żeby nastąpiło to w głębi lasu. Wolalam być otoczona wtedy drzewami niż swoimi najbliższymi.

- Okej, zapojujmy - zgodziłam się, chociaż z nerwów żołądek podchodził mi do gardła.

Wyswobodziwszy się z objęć Edwarda, wzięłam go za rękę, po czym odwróciłam się plecami do pięknej nieznajomej w lustrze.

- Przez okno? - powtórzyłam, spoglądając w dół z wysokości pierwszego piętra.

Nigdy nie cierpiałam na lęk wysokości, ale widziałam teraz wszystko tak dokładnie, że perspektywa opuszczenia domu właśnie tą drogą nie za bardzo mi się uśmiechała. Krawędzie odłamków skał wystające z trawy wydały się ostrzejsze niż kiedykolwiek.

Edward uśmiechnął się.

- Tak będzie najwygodniej. Jeśli masz stracha, mogę wziąć cię na barana.

- Mamy przed sobą całą wieczność, a ty się przejmujesz, że stracimy trochę czasu, schodząc po schodach?

Spowaźniał.

- W salonie są Jacob i Renesmee.

- Och.

Jasne. Teraz to ja byłam potworem. Musiałam trzymać się z daleka od zapachów, które mogłyby obudzić we mnie bestię. A zwłaszcza od ludzi, których kochałam. Nawet tych, których tak na dobrą sprawę jeszcze nie zdążyłam poznać.

- To Renesmee może przebywać z Jacobem w jednym pokoju? Uświadomiłam sobie z opóźnieniem, że to bicie jego serca było tym dziwnym dudnieniem, które wcześniej wychwycałam. Znowu wyłożyłam słuch, ale usłyszałam tylko jeden miarowy puls. - Przecież za nią nie przepada.

Edward zacisnął usta w tajemniczym grymasie.

- Zaufaj mi, jest przy nim całkowicie bezpieczna. Wiem dokładnie, o czym Jacob myśli.

- No, tak - mruknęłam.

Ponownie zerknęłam w dół.

- Gramy na zwłokę? - zadrwił ze mnie, chcąc mnie zmobilizować.

- Odrobinę. Nie wiem, jak się do tego zabrać.

Było mi głupio, bo wszyscy się na mnie gapili. Na razie nie padały żadne złośliwe komentarze, ale Emmett już raz zachichotał, gdybym popełniła jakiś błąd, pewnie zacząłby się tarzać ze śmielem pod podłogę. A potem zapoczątkowałby serię dowcipów o najbardziej fajtlapowanej wampirzyzy na świecie...

I jeszcze ten strój! Bo kiedy leżałam półprzymn, Alice ubrała mnie w sukienkę. I to jaką sukienkę! Obcisłą, z lśniącym bładobłękitnym jedwabiu, która nie pasowała ani do skoków przez okno, ani do krwawych polowań. Sama zdecydowałyśmy się na coś zupełnie innego. Co sobie Alice wyobrażała, wybierając dla mnie taką odstraszającą kreację? Czyżby planowano na później cocktail party?

- Patrz - nakazał Edward, dając susa na wysoki parapet.

Jak gdyby od niechcenia, zrobił krok do przodu - i spadł.

Przyglądałam mu się pilnie, odnotowując sobie kąta, pod jakim zgiął kolana, żeby zamortyzować uderzenie. Wyładował bardzo cicho - można było pomyśleć, że to ktoś zamknął ostrożnie drzwi, albo odłożył książkę na stół.

Nie wyglądało to na coś trudnego.

Zacisnąwszy w skupieniu zęby, poszłam w jego ślady. Starając się zachowywać równie swobodnie, wyszłam w pustkę.

Ha! Ziemia wydawała się przybliżyć w tak powolnym tempie, że bez żadnego wysiłku ustawiłam stopy w taki sposób - zaraz, a to co? Szpilki? Ach, ta Alice! Chyba oszalała! - ustawiłam moje idiotyczne pantofelki w taki sposób, że gdy wyładowałam, odczułam to tak, jak gdybym po prostu zrobiła kolejny krok na płaskiej powierzchni. Siłą uderzenia przyjęłam na przód stóp, nie chcąc złamać obcasików.

Udało się! Uff. Nawet hałas nie narobiłam. Posłałam Edwardowi triumfalny uśmiech.

- Latwizna - skwitowałam.

Też się uśmiechnęłam.

- Bello?

- Tak?

- Muszę przyznać, że zrobiłaś to z dużą gracją. Nawet jak na wampira.

Zamyśliłam się nad tym na chwilę, a potem uśmiechnęłam się jeszcze szerzej. Gdyby tylko tak sobie mówił, Emmett parsknąłby śmiechem, skoro jednak wszyscy na piętrze siedzieli cicho, musiała być to prawda. Po raz pierwszy w moim życiu, opisując mnie, ktoś użył słowa „gracja”. No, może już nie „w moim życiu”, ale liczyło się to dla mnie tak samo.

- Dziękuję - szepnęłam.

Czym prędzej ściągnęłam srebrne satynowe szpilki, po czym wrzuciłam je do domu przez otwarte okno. Może użyłam przy tym nieco za duży siły, ale usłyszałam, że ktoś je złapał, zanim zniszczyły boazerię.

Alice była niepokieszona.

- Szkoda, że poprawił jej się tylko zmysł równowagi, a nie gust - skomentowała.

Edward wziął mnie za rękę - wciąż nie mogłam się nadziwić, że jego skóra może być taka gładka i ciepła - i puściliśmy się biegiem przez trawnik w kierunku rzeki. Nie miałam żadnych kłopotów z dotrzymaniem mu kroku.

Moje ciało potrafiło teraz tak wiele!

- Przeplniemy ją? - spytałam, kiedy przystanęliśmy nad wodą.

- Żebyś zniszczyła sobie taką piękną sukienkę? O, nie. Skaczemy.

Przyjrzałam się rzeczce z powątpiewaniem. Miała w tym miejscu jakieś pięćdziesiąt metrów szerokości.

- Ty pierwszy - powiedziałam.

Dotknąwszy przelotnie mojego policzka, odsunął się o dwa metry od krawędzi, dał potężnego susa i odbił się pewnie od płaskiego, stabilnie osadzonego kamienia. Błyskawicznie przeleciał zgrabnym łukiem ponad wodą, a tuż przed tym, jak zniknął w porastających przeciwnie brzeg zaroślach, zdążył jeszcze zrobić w powietrzu fikołka.

- Popisujesz się - mruknęłam.

Nie widziałam go, ale usłyszałam, jak się zaśmiał.

Tak na wszelki wypadek postanowiłam wziąć rozbieg dwukrotnie od niego dłuższy. Ustawiliśmy się w odpowiednim miejscu, wzięłam głęboki wdech.

Znowu się trwało. Jednak już nie tym, że się przewrócę albo pokieruszę. Teraz, dla odmiany, martwiłam się raczej, że niepotrzebnie złamię kilka drzew.

Trochę to trwało, ale w końcu ją poczułam - kryjącą się w moich kończych ną ogromną, niepojętą siłę. Nagle zyskałam pewność, że gdybym tylko zaprzęgnęła wykopać pod rzeką tunel - czy to przegrzając się przez skały, czy to miażdżąc je własnymi dłońmi nie zabrałoby mi to aż tak wiele czasu. Wszystko wokół mnie - i drzewa, i krzewy, i kamienie - nawet mury białego domu - zaczęłam postrzegać jako bardzo kruche.

Z nadzieją, że Esme nie jest szczególnie przywiązana do żadnego z przybranych drzew, dałam pierwszego susa. Ale zaraz się zatrzymałam, bo w opinującym się na mnie jedwabiu pojawiło się kilkunastocentymetrowe rozdarcie. Przeklęta Alice!

Cóż, zawsze wydawała się traktować ubrania tak, jakby były czymś jednorazowego użytku, nie powinna więc być się burzyć, że ich nie szanuję. Pochyliłam się, żeby schwytać rąbek sukienki z prawej strony, tam, gdzie szew nie był uszkodzony, i jak najostrożniej, żeby nie przesadzić, rozprułam go aż po górną część uda. Następnie powtórzyłam całą operację z lewej, powiększając o spory kawałek nowo powstałe rozdarcie.

Tak, teraz było o wiele lepiej.

Z wnętrza domu dobiegły mnie przytłumione śmiechy. Usłyszałam też, jak ktoś, a raczej „ktosia”, zgrzyta głośno zębami. I na piętrze śmiały się Cullenowie, ale ten, kogo rozbawiłam na parterze, nie posiadał dźwięcznego wampirzego głosu, tylko charakterystyczną basową chrupkę, którą od razu rozpoznałam.

Czyli Jacob też mi się przyglądał? Nie potrafiłam sobie wyobrazić, ani o czym mógł w tej chwili myśleć, ani co tu jeszcze porabiał. Spodziewałam się, że spotkam się ponownie dopiero za ładnych kilka lat, dopiero wtedy, kiedy w pełni kontrolowałyśmy swoje odruchy i kiedy rany, jakie zadałam jego sercu, wreszcie by się zabliznyły. I to pod warunkiem, że w ogóle były skłony mi wybaczyć.

Pomna swoich wahań nastroju, nie odwróciłam się, żeby na niego spojrzeć. Lepiej było mi unikać gwałtownych emocji. Nie zapomniałam też o tym, czego obawiał się Jasper. W pierwszej kolejności musiałam zaspokoić swoje pragnienie.

Spróbowałam opróżnić umysł z wszelkich zbędnych myśli, by móc się należycie skoncentrować. To moje ciało, pomyślałam. Daj się ponieść instyngtom.

- Bello, wszystko w porządku? - zawołał Edward z lasu, cofając się do rzeki. - Może wolałybyś zobaczyć powtórkę?

Po pierwsze, rzecz jasna, wszystko doskonale pamiętałam, a po drugie, nie chciałam dostarczyć Emmettowi kolejnego powodu do wysmiewania się z mojej edukacji, wzięłam więc głęboki wdech i ruszyłam.

Nieograniczana już przez ciasną spódnice, jedyny mused znalazłam się przy brzegu. Zajął mi to zaledwie osiemdziesiąt czwarta część sekundy, ale i tak moje oczy zdążyły zarejestrować, gdzie znajdował się ów płaski, stabilny kamień, którego użył Edward. W tym samym czasie mój mózg wyliczył, jak odbić się od niego prawą stopą, aby moje ciało wystrzeliło w powietrze. Zwracałam więcej uwagi na swój cel niż na prawidłową siłę odbicia i pomyliłam się, co do jej niezbędnej ilości, ale na szczęście zawyzyłam ją zamiast zaniżyć, dzięki czemu uniknęłam niechcianej kąpieli. Tak, zawyzyłam ją - bo ten pięćdziesięciometrowy dystans tak właściwie to był dla mnie pikuś...

Lot był niesamowitym, podniecającym przeżyciem, od którego, przy najmniej w przemożni, zakpięło mi się w głowie, ale do długich nie należał. Sekunda i już byłam po drugiej stronie.

Sądziłam, że problemem będzie dla mnie to, jak gęsto rosną tam drzewa, ale kiedy opadałam ku ich koronom, okazały się zaskakująco pomocne. Wystarczyło sięgnąć do najdogodniej położonej gałęzi i złapać ją pewnie jedną ręką - zawisłam na niej przez chwilę, po czym puściłam ją bez lęku i wyładowałam na palcach na szerokim konarze świerku, gdzie od ziemi dzieliło mnie nadal dobre pięć metrów.

Po prostu rewelacja!

Przez własny śmiech usłyszałam pędzącego ku mnie Edwarda znajdowałam się w głębi lasu, bo mój skok był dwukrotnie dłuższy niż jego. Kiedy stanął pod moim drzewem, oczy miał szeroko otwarte ze zdumienia. Zeskoczyłam zgrabnie z gałęzi, lądując bezszelstnie u jego boku.

- I co, dobrze się spisałam? - spytałam zadykana z podłasky towana.

- Znakomicie - odpowiedział, ale swobodny ton jego głosu nijak nie pasował do jego zszokowanej miny.

- Czy możemy to powtórzyć?

- Skup się, Bello. Przyszedliśmy tutaj, żeby zapolować.

- No, tak - zreplektowałam się. - Polować, jasne.

- Trzymaj się mnie - nakazał mi. Nagle złośliwie się uśmiechnął. - Jeśli potrafisz - dodał i już go nie było.

Był szybszy ode mnie. Nie mogłam pojąć, jak można poruszać nogami z tak oszalałą prędkością. W tej sztuce nie miałam najmniejszego szansu dorównać. Jako nowo narodzony wampir, miałam jednak więcej niż on siły, dzięki czemu każdy mój krok równał się długością trzem jego. I tak, by najmniej nie trzymając się w tyle, lecz najwyższym w świecie biegnąc z nim ramię w ramię, gnałam przed siebie poprzez zieloność leśnej gęstwiny. Sprawilo mi to tyle radości, że nie mogąc się opanować, cicho się zaśmiałam - śmiech nie spowolnił moich ruchów ani nie utrudnił koncentracji.

Zrozumiałam wreszcie, dlaczego Edward nigdy w biegu nie wpadał na drzewa - wcześniej wiele razy nie mogłam się temu nadziwić. Było to ciekawe uczucie, ta równowaga pomiędzy szybkością a spozrzęgowością. Pokonywałam kolejne kilometry w tak krótkim czasie, że wszystko wokół mnie powinno było się zlewać w ściany smaragdowego korytarza, a mimo to rozróżniałam pojedyncze żyłki każdego, najmniejszego nawet listka na najbardziej niepozornym z mijanych krzaków.

Wiatr wywołany pędem rozwiwał mi włosy i furkotał podartą sukienką. Jakże dziwne było to, że w zetknięciu z moją skórą wydawał się być ciepły! Tak samo, jak to, że ściółka leśna pod moimi bosymi stopami była równie rozkosznie miękką co najszlachetniejszy aksamit, a gdybym zamknęła oczy, mogłam pomyśleć, że muskają mnie zwiewne pióra, a nie chloszczą gałęzie.

Nigdy nie przypuszczałam, że las to miejsce do takiego stopnia tętniące życiem. Najróżniejsze stworzonka, których istnienia nawet nie podejrzewałam kręciły się w liściach. Wszystkie zamierzały na nasz widok, a ich serduszka zaczyły walić jak oszalałe. Zwierzęta najwyraźniej reagowały na nasz zapach o wiele rozsądniej niż ludzie. Mnie na przykład, kiedy byłam człowiekiem, wampirza woń przyciągała, a nie odstraszała.

Czekałam, aż się zasnąp, ale oddychałam miarowo bez żadnego wysiłku. Czekałam, aż zabolą mnie mięśnie, ale zlapawszy rytm, odnalazłam w sobie jeszcze większe pokłady siły. Moje sprężyste kroki się wydłużyły i wkrótce to Edward miał trudności z tym, żeby mnie dogonić. Kiedy zobaczyłam, że zostaje w tyle, znowu radośnie się zaśmiałam. Moje bosc stopy tak rzadko dotykały teraz ziemi, że czułam się raczej, jakbym leciała, a nie biegła.

- Bello! - zawołał za mną rozleniwiony m głosem. Bynajmniej nie był na mnie zły. Nie słyszałam niezłego więcej - musiał się zatrzymać.

Przez chwilę rozważałam bunt.

Ale zawróciłam w westchnieniem i skacząc lekko niczym wesole dziecko, przebyłam po swoich śladach dzielące nas sto metrów.

Spojrzałam na EdwarDA wycełukając. Uśmiechał się lobuzersko. Był taki piękny, że najchętniej nie przestawałabym na niego patrzeć.

- Cheesz zostać w kraju? - zapytał rozbawiony. - Czy planowałaś na to popołudnie mały wypad do Kanady?

- Możemy zostać, gdzie jesteśmy - zgodziłam się, bardziej niż na tym, co mówił, skupiając się na sposobie, w jaki poruszały się wtedy jego wargi. Trudno było się nie rozpraszac, kiedy moje nowe silne oczy wylapały bezustannie tyle fascynujących detali. - Na co zapołujemy?

- Na losie. Doszedłem do wnioska, że na pierwszy raz powinniemy wybrać dla ciebie coś łatwego...

Urwał, bo na dźwięk tego ostatniego słowa ściągnęłam gniewnie brwi. Nie zamierzałam się jednak klócić - zbyt było spragniona. Gdy tylko pomyślałam o palącej suchości w moim ustach, straciłam zdolność do koncentrowania się na cymkolwiek innym. Bez wątpienia piekło mnie coraz bardziej. Moje gardło było jak Dolina Śmierci o czwartej po południu w czerwcowy dzień.

- Gdzie? - spytałam, niecierpliwie przeczesując wzrokiem okoliczne zarośla. Teraz, kiedy przypominałam sobie o swoim pragnieniu, myśli o nim zaczęły zakradać się do najdalszych zakamarków mojej głowy, zakłócając swoją obecnością co przyjemniejsze wspomnienia: biegu przez las, całowania się z moim ukochanym, jego rozkosznych warg, palącej suchości w moim gardle... Nie, nie potrafiłam przed nią uciec.

- Nie ruszaj się przez moment - nakażał Edward, kładąc mi dłonie na ramionach.

Pod wpływem jego dotyku klękę zaspokoienia mojego pragnienia zesła od razu na drugi plan.

- A teraz zamknij oczy - dodał.

Kiedy wykonałam jego polecenie, przeniósł dłonie na moją twarz i pogłaskał mnie po policzkach. Pocałował, że przyspiesza mi oddech, i przez ułamek sekundy, znowu się zapomniawszy, spodziewałam się, że zaraz się zarumienię.

- Skłup się - poinstruował mnie. - Powiedz, co słyszysz? Mogłabym odpowiedzieć mu, że wszystko: jego cudowny głos, jego oddech, jego ocierające się o siebie wargi, ptaki czy szczące sobie piórka wysoko w koronach drzew, szumoczące się w nich serduszka, szemrające liście, tupot setek mrówek idących gęsiego w górę pnia najbliższego konu... Wiedziałam jednak, że Edwardowi chodzi o coś innego, zaczęłam więc nasłuchiwać uważniej, starając się wylapać jakieś inne dźwięki, dochodzące z oddali i wybijające się ponad wszechobecne szmery leśnego życia.

Nieopodal znajdowała się niewielka polana - co poznałam po tym, że wiatr zachowywał się nieco inaczej mając do czynienia z nieosłoniętą połacią trawy - polanę tę przecinał zaś wartki potok o kamienny dn. Właśnie tam, wśród szumu wody, rozleżały się raz po raz mlaśniejąca jezorów za to mające energiczne łomotanie mocnych serc, pompujących litry gęstej krwi...

Wrażenie było takie, jakby coś zassało ściany mojego gardła z taką siłą, że się z sobą zlepily.

- Nad potokiem, na północny wschód stąd? - spytałam, nie otwierając oczu.

- Właśnie tam - potwierdził z zadowoleniem. - A teraz... Poczekał tylko, aż znowu powieje wiatr... Co rejestruję twój węch?

Głównie jego samego - ową dziwną mieszankę kojarzącą mi się z nagrzany mi słońcem kwiatami bzu. Ale również kryjącą się pod korą iglaków żywicę, orzechwiąjące, wielopiętrowe wonie mchu i ściółki, czy wręcz orzechowy zapach kłujących się w korzeniach drzew drobnych grzyzoni...

Tak jak przy nasłuchiowaniu, na tym, co znajdowało się dalej, skoncentrowałam się dopiero w drugiej kolejności. Cóż tam było jeszcze? No tak woń czystej, górskiej wody - zważywszy na moje pragnienie, zaskakująco mi objętny. A ten zapach obok? Musiał należeć do tamtych ciepłokrwistych, chlepczących ch stworzeń. Był wyrazisty, jakby korzenny, intensywniejszy niż pozostałe. A mimo to równie nieciekawym, co źródłana woda. Zmarszczyłam nos.

Edward zachichotał.

- Wiem. Musi minąć trochę czasu, zanim się człowiek przyzwyczai.

- Trzy szuki? - strzeliłam.

- Pięć. Za nimi, głębiej w las, są jeszcze dwie.

- I co teraz?

- A na co masz ochotę?

Sądząc po tonie jego głosu, musiał się uśmiechać.

Zastanawiali się nad tym, nie przestając ani węszyć, ani nasłuchiwać. Mój umysł załapa kolejna fala nieugastzonego pragnieniu i nagle zwierzęcy odór znad strumienia wydał mi się całkiem zośny. Przy najmniej coś ciepłego miało wreszcie zwiłyć moje wyschnięte na popiół gardło. Otworzyłam szybko oczy.

- Nie myśl o tym - powiedziałział Edward, odrywając dłonie od mojej twarzy i robiąc krok do tyłu. - Najlepiej po prostu poddać się instyngtowi.

Pozwoliłam, żeby prowadził mnie znalezionej trop. Ledwo świadoma tego, że się poruszam, zesłał w dół zbrocza i zakradłam się na skraj wąskiej łąki przeciętej przez potok. W odrgradzających mnie od trawy paprociach zaważałam się na moment, a przy okazji, jak rasowy drapieznik, odruchowo przyklęnęłam. Nad wodą stał wielki samiec o szeroko rozłożonym porożu. Za nim, w cieniu drzew, dostrzegłam nakrapiane słonecznymi plamami sylwetki pozostałej czwórki zmierzającej spokojnie na wschód.

Skupiłam się na zapachu samca, a dokładniej, na najgorętszym punkcie jego włochatej szyi, gdzie ciepło pulsowało najmocniej. Między nami było tylko trzydzieści metrów - jak dla mnie, dwa, trzy skoki. Napięłam mięśnie, gotując się do pierwszego z nich.

Ale wtedy zmienił się kierunek wiatru. Powiało silniej, z południa. Nie myśląc o tym, co robię, poderwałam się zniecańka i nie dbając o to, że przepaszam stadko losi, wypadłam na polanę, a potem skręciłam w prawo i puściłam się biegiem przed siebie. Woń, którą przy niośl z sobą wiatr, była tak kusząca, że praktycznie mnie ubezwłasnowolniła. Nie miałam żadnego wyboru. Już siebie nie kontrolowałam.

Nowy zapach wszystko zdominował. Przede mną był tylko jeden cel - odnaleźć jego źródło. Mknęłam jak strzala przez las, wabiona obietnicą zaspokoienia palącegoj mojego pragnienia. Z minuty na minutę rosło ono w przerażającym tempie, macając mi w głowie, załguszając inne myśli i powoli przyopominając siłę pożaru w moich żyłach przez wampiryzj jada.

Tylko jedna rzecz miała teraz szansę przebić się do mojej świadomości. Instyngt potężniejszy i pierwotniejszy niż potrzeba ugaszenia ognia w moim gardle. Instyngt mówiący mi, że moim obowiązkiem jest bronić się przed niebezpieczeństwem.

Włączył się mój instyngt samozachowawczy.

Nagle zdałam sobie sprawę z tego, że ktoś mnie śledzi. Oszalałamiąjący zapach ciągnął mnie ku sobie, ale górę nad nim wziął impuls nakazujący mi się odwrócić i bronić posiłku przed konkurencją. Pierś ścisnął mi zbierający się w niej dźwięk. Moje wargi rozchyliły się same z siebie, odsłaniając ostrzegawczo zęby. Moje nogi zwoynily. Konieczność bronienia się przed atakiem z tyłu walczyła we mnie z chęcią ulżenia sobie w cierpieniu.

A potem usłyszałam, że mój prześladowca przyspieszył, i potrzeba dbania o swoje bezpieczeństwo wygrała. Gdy obracałam się na pięćce, nabierający rozpędu odgłos wlał się, bulgocząc, w moje gardło, by wreszcie wydotać się gwałtowną erupcją na zewnątrz.

Dziki charkot, który wy dobył się z moich własnych ust, do tego stopnia zbił mnie z tropu, że stanęłam jak wryta. Wytrącona z równowagi, w okamgnieniu otrzeźwiałam, a choć pragnienie nadal mnie paliło, mgła zapamiętania opadła.

Wiatr znowu się zmienił, dmuchając mi w twarz zapachem nadciągającego deszczu i wilgotnej ziemi, co jeszcze bardziej ułatwiło uwolnienie się z ognistych kajdan tamtej wcześniejszej woni, woni tak apetycznej, że mogła należeć tylko do człowieka.

Edward przystanął z wahaniem kilka metrów odej mnie, wyciągając ku mnie ręce, jak gdyby chciał mnie uściskać - albo obezwładnić. Przyglądał mi się uważnie. Cały czas miał się na baczności. Zastygłam struchlała.

Uzmysłowilam sobie, że mało brakowało, a bym go zaatakowała - jakby nie było, kucalałam jak drapieznik gotowa do skoku. Wyprostowałam się czym prędzej i wstrzymałam oddech, obawiając się siły zapachu napływającego z południa.

Zauważywszy, że jestem już na powrót sobą, Edward opuścił ręce i podszedł bliżej.

- Muszę się stąd wynosić - wycedziłam przez zaciśnięte zęby, zuywając na te kilka słów resztkę pozostałego w moich płucach powietrza.

Był zszokowany.

- Pójdź bezdobrowolnie?

Miałam już na końcu języka pytanie, dlaczego niby miało być to dla mnie takie trudne, ale liczyła się każda sekunda. Wiedziałam, że jasność umysłu zachowam jedynie tak długo, jak długo uda mi się odganiać od siebie myśli o...

Znowu popędziłam przed siebie, tyle że tym razem prosto na północ. Koncentrowałam się wyłącznie na nieprzyjemnym uczuciu biorącym się stąd, że mi oddychając, pozbawiałam się jednego z zmysłów, i bardzo mi tych dodatkowych bodźców brakowało. Była to jedyna reakcja mojego nowego ciała na brak tlenu. Zamierzałam biec tak długo, aż zapach, który zostawiłam za sobą, rozmyłby się w powietrzu i ani by mnie już nie drażnił, ani nie dawał się złokalizować - nawet gdybym zmieniła zdanie.

Teraz też miałam świadomość, że ktoś mnie goni, ale byłam już zupełnie opanowana i nie odbierałam tego jako zagrożenia. Instyngt podszeptwał wprawdzie, że bym wzięła wddech i upewniła się, czy to Edward, ale uparcie zduszałam w sobie podobne ciągoty. Wkrótce nie było to mi już zresztą potrzebne, bo chociaż mknęłam przez las szybciej niż kiedykolwiek przemierzając najprostszą - że ścieżkę, jaką można było wytyczyć pomiędzy drzewami, mój ukochany zrównał się ze mną po niespełna minucie.

Olśniło mnie. Zatrzymałam się raptownie, jak gdyby stopy wrosły mi w ziemię. Nadal nie oddychałam - tak na wszelki wypadek, bo bylam pewna, że w tej odległości nic mi już nie grozi.

Edward przemknął obok, zaskoczony moim zachowaniem, ale zaraz zawrócił i sekundę później stał już naprzeciwko mnie. Położył dłonie na moich ramionach i zajrzał mi głęboko w oczy. Jego mina świadczyła, że nie wyszedł jeszcze z szoku.

- Jak to zrobiłaś? - spytał z niedowierzaniem.

- Pozwoliłam się wcześniej wyprzedzić, prawda? - palnęłam, ignorując jego pytanie.

A sądziłam, że tak dobrze sobie radzę!

Otworzył wszy usta, poczułam na nowo zapachy, ale po tym, który tak mnie zniewolil i tak rozpalil we mnie pragnienie, nie było już wśród nich na szczęście ani śladu. Ostrożnie wzięłam pierwszy, nieśmiały wddech.

Edward wzruszył ramionami, ale nie dał za wygraną.

- Bello, powiedz, jak to zrobiłaś? - powtórzył.

- Jak uciekłam? Normalnie, wstrzymałam oddech.

- Ale jak udało ci się przerwać polowanie?

- Kiedy zaszedłeś mnie od tyłu... Kurczę, tak strasznie mi głupio. Przepraszam.

- I jeszcze mnie teraz przepraszasz? Za co? To ja jestem ci winien przeprosiny. Postąpiłem potwornie nieodpowiedzialnie. Założyłem, że na nikogo się nie natkniesz tak daleko od szlaków, a przecież powinienem był to najpierw sprawdzić. Taki głupi błąd! Nie masz mnie za co przepraszac.

- Ależ warnęłam na ciebie!

Nadal bylam przerażona tym, że dopuściłam się takiego bluźnierstwa.

- Och, to nic takiego. W sytuacji, która zaszła, było to zupełnie zrozumiale. Ale nie mogę pojąć, jak udało ci się stamtąd uciec.

- A co miałam zrobić? - Jego stosunek do całego tego zajścia nie był dla mnie jasny. Czego tak właściwie się po mnie spodziewał? - Przecież to mógł być ktoś, kogo znam!

Zbił mnie z panatyła ku, bo mój burzony okrzyk wywołał u niego dziki atak wesołości. Śmiech Edwarda rozszedł się echem wśród drzew.

- CZEGO SIĘ ZE MNIE ŚMIEJESZ?! - wrzasnęłam. Przystał od razu i znowu zaczął mieć mnie na oku.

Weź się w garść, rozkazałam sobie. Musiałam nauczyć się trzymać nerwy na wodzy. Zupełnie jak gdybym była młodym wilkołakiem, a nie młodym wampirem.

- Nie śmieję się z ciebie, Bello. Śmieję się, bo jestem w szoku. A jestem w szoku, bo nie wierzę własnym oczom.

- Co jest takie dziwne?

- Nie powinnaś być w stanie zrobić żadnej z tych rzeczy. Nie powinnaś być taka... taka rozsądna. Nie powinnaś być w stanie stać tutaj ze mną i o tym wszystkim spokojnie rozmawiac. A przede wszystkim, i to o wiele, o wiele ważniejsze, niż to, co już wymieniłem, nie powinnaś była być w stanie przerwać w polowie polowania, kiedy w powietrzu unosił się zapach ludzkiej krwi. Nawet dojrzałe wampiry mają z tym trudności - jesteśm zawsze bardzo ostrożni, żeby nie wystawić się na pokuszenie. Bello, zachowujesz się tak, jak byś była wampirem od dobrych kilka dziesięcioleci, a nie od kilku godzin.

- Och.

Przecież, w odróżnieniu od innych nowo narodzonych, już przed przemianą wiedziałam, czego się spodziewać. Wiedziałam, że będzie ciężko. To właśnie dlatego tak bardzo uważałam, żeby mnie nie ponosiło.

Znowu ujął moją twarz w dłonie, a w jego oczach zobaczyłam zachwyty.

- Czego bym nie dał, żeby choć teraz móc zajrzeć do twojego umysłu.

Tyle silnych emocji. Tyle silnych potrzeb.

Na pragnienie i tego typu sprawy bylam przygotowana, ale nie na to. Bylam przekonana, że kiedy Edward mnie dotknę, już nigdy nie będą się czuła tak, jak przed przemianą.

Cóż, i poniekąd nie czułam się tak, jak przed przemianą.

Bo moje odczucia stały się o wiele silniejsze.

Wyciągnęłam rękę, by przejechać mu opuszkami palców po policzku. Zatrzymałam się na dłużej na jego wargach.

- Sądziłam, że nie będę czuła się w ten sposób przez bardzo długi czas? - Moja niepewność zrobiła z tego stwierdzenia pytanie. - Ale ciągle cię pragnę.

Zamrugał zaskoczony.

- Jak możesz się w ogóle na tyle skoncentrować, żeby myśleć o czymś takim? Czy nie jesteś niewyobraźalnie spragniona?

Oczywiście, że byłam - zwłaszcza teraz, kiedy mi o tym przypominał.

Przełknęłam ślinę, a potem westchnęłam i zamknęłam oczy, tak jak robiłam to wcześniej, żeby było mi łatwiej się skupić. Pozwoliłam moim zmysłom ogarnąć to, co się działo wokół, tym razem jednak nieco spięta, bo wciąż się bałam, że kuszący zapach zakazanego owocu znowu się pojawi.

Edward opuścił ręce i zrezygnował z oddychania, a ja odplynęłam zasluchana w coraz to dalsze odgłosy dochodzące z tętniącego życiem zielonego labiryntu. Odsiewając dźwięki i zapachy, starałam się namierzyć coś, co by mnie nie odrzucało, a co mogłoby przynieść ukojenie.

Coś spełniającego te kryteria, choć już nie łoś, zostawiło za sobą na wschodzie ledwo wyczuwalny trop...

Nie odrywając od niego swoich wrażliwszych zmysłów, otworzyłam oczy i bez słowa pobiegłam w tamtym kierunku. Niemalże natychmiast natrafiłam na wznoszący się stromo ku górze stok, zacząłem więc przemieszczać się na ugiętych kolanach, w pozie przyklonu drapieznika, rękami niemalże szurając po ziemi. Gdy zbyt trudno było mi się wspinać, skakałam z drzewa na drzewo. To, że Edward za mną podążał, bardziej wyczuwałam, niż słyszałam. Poruszał się bezszelestnie, pozwalając mi się prowadzić.

Im wyżej się znajdowałam, tym mniej było roślinności, nasiliła się za to aromatyczna woń żywicy owego zwierzęcia, na które miałam apetyt - ostrzejsza niż łośia i bardziej apetyczna. Kilka sekund później moich uszu doszedł cichy odgłos stapania. Stworzenie, które doganiałam, nigdy by się nie zniżyło do lamania gałązek z nieprzygotowanym trzaskiem, tak jak czytny to swoimi raciami łośie. Bestia unikała schodzenia na ziemię, więc i ja przeniosłam się na konary, instynktownie zajmując strategiczną pozycję wyżej niż ona, w połowie wysokości dorodnego srebrnego świerka.

Miękkie uderzenia łap skradającego się wielkiego ssaka słyszałam teraz pod sobą, a jego zapach był już bardzo blisko. Rozzejrzałam się za ruchem pasującym do owego dźwięku i w dół na lewo od siebie dostrzegłam złotobrazową plamę sunącą wzdłuż szerokiej gałęzi mojego drzewa. Był to olbrzymi kot, lekko licząc cztery cięższe ode mnie. W skupieniu przyglądał się czemuś poniżej, a więc sam też polował - w zaroślach pod świerkiem wychwyciłam mało interesującą woń czegoś znacznie mniejszego. Koniuszek ogona pumy drgał nerwowo. Lada moment miała zaatakować.

Odwróciłam się lekko, przeleciałam kilka metrów i znalazłam się na tym samym co kot konarze. Zaalarmowane wibrowaniem drzewa zwierzę obróciło się w moją stronę, rycząc przeraźliwie, żeby mnie nastraszyć. Z ślepiami błyszczącymi furją zamierzyło się potęgna łapa.

Jego masa i wściekłość nie zrobiły na mnie żadnego wrażenia. Na wpeł oszalała z pragnienia, rzuciłam się na drapieznika i jednym celnym pchnięciem strąciłam go wraz z sobą na ziemię.

Walka nie trwała długo.

Jego pazury mogłyby być równie dobrze głaszczącymi mnie palcami, biorąc pod uwagę, jak moja skóra odbierała ich wysiłki. Jego kły nie były w stanie nawet jej zadrasnąć, choć próbowały i na moim barku, i na szyi. Jego ciężar w ogóle nie dawał się we znaki. Stawiał opór, ale w porównaniu z siłą moich mięśni jego starania wydawały się wręcz żałosne.

Moje zęby bez kłopotu odszukały ciepłe podgardle, a szczęka zacisnęła się dokładnie w tym punkcie, w którym temperatura tętna była najwyższa.

Było to równie proste jak wgrzanie się w kostkę masła. Stałowe brzytwy w moich ustach przecięły futro, tłuszcz i ścięgna, jak gdyby tak naprawdę nic a nie tam nie było.

Smak krwi mnie nie zachwycił, była jednak gorąca i mokra, i gdy łykałam ją łapczywie, przynosiła ulgę spierzchniętemu gardłu. Puma szarpała się podę mną coraz mniej energicznie, zakrzusła się, charknęła i jej ryki ucichły. Ciepło krwi rozeszło się po całym moim ciele, od opuszków palców u rąk aż po czubki palców u stóp.

Posilek dobiegł końca, nim zdążyłam się nasycić. Wyssawszy z kota wszystko do ostatniej kropli, znowu poczułam palące pragnienie. Odsunęłam od siebie puste truchło w stronę. Jak po takiej uczcie mogło mi się nadać więcej pić?

Zerwałam się na równe nogi. Dopiero kiedy wstałam, zorientowałam się, że wyglądam jak półtora nieszczęścia. Wtarłszy sobie twarz wierzchnią stroną przedramienia, zabrałam się za doprowadzanie do porządku sukienki. Pazury bestii nie miały szans naruszyć mojej skóry, ale w zetknięciu z cienkim jedwabiem spełniły swoją rolę doskonale.

- Hm... - odezwał się Edward.

Podniosłam wzrok. Oparła się niedbale o pień pobliskiego drzewa, obserwując w zamysleniu moje poczynania.

- Cóż - powiedziałam - pewnie mogłam bardziej się postarać.

Byłam utyłana ziemią, włosy wisiły mi w strąkach, a z smętnych resztek sukienki skapywała krew. Edward nigdy nie wraçał z polowania w takim stanie.

- Świetnie sobie poradziłaś - zapewnił mnie. - Tylko... było mi o wiele trudniej się temu przyglądać, niż by wypadało.

Uniosłam brwi, zdezorientowana.

- To wbrew mojej naturze - pospieszył z wyjaśnieniem - nie interweniować, kiedy tarzasz się po ziemi z pumą. Przez cały ten czas umierałem ze strachu.

- Ojej. Zupełnie niepotrzebnie.

- Wiem. To tylko nie dawały mi o sobie zapomnieć stare przyzwyczajenia. Podobają mi się za to, jakulepszyłaś swoją kreację.

Gdybym tylko mogła, oblałabym się rumieńcem. Zmieniałam temat.

- Dlaczego dalej chce mi się pić? - Bo jesteś młodym wampirem.

Westchnęłam.

- W pobliżu nie ma już żadnej pumy, prawda?

- Ale jeleniowaty ch mamy ci pod dostatkiem.

Skrzywiłam się.

- Nie pachną tak fajnie, jak ten kot.

- To dlatego, że są roślinożerne - wytłumaczył. - Mięsożercy bardziej przypominają zapachem ludzi.

- O nie, nie za bardzo - stwierdziłam, starając się nie sięgać pamięcią wstecz.

- Możemy tam wrócić - oznajmił z powagą, ale w oczach miał zawiadackie ogniki. - Ktokolwiek by to nie był, jeśli to tylko mężczyźni, pewnie nawet nie mieliby nic przeciwko śmierci, gdyby się dowiedzieli, że mają zginąć z twoich rąk.

- Znowu powiódł spojrzeniem po mojej podartej sukience. - Tak właściwie, to pomyśleliby, że już nie żyją, gdyby tylko cię zobaczyli. Że już nie żyją i poszli do nieba.

Prychnęłam, wywracając oczami.

- Chodźmy już lepiej rozejrzeć się za jakimiś cuchnącymi jeleniami.

W drodze powrotnej natrafiiliśmy na dużą grupę mulaków. Tym razem, ponieważ wiedziałam już mniej więcej, co robić, Edward pozwolił sobie zapłować razem z mną. Brudząc się niemal tak samo, jak przy pierwszej ofierze, zabiłam dużego samca. Zanim z nim skończyłam, mój kompan zdążył opróżnić z krwi dwie szuki, ani nie targając sobie przy tym włosów, ani nie plamiąc białej koszuli. Goniłiśmy rozproszone, przerażone stado jeszcze przez jakiś czas, ale zamiast znowu się pożywić, skupiłam się na obserwowaniu Edwarda w akcji, żeby odkryć sekret jego zadziwiającej schludności.

Tyle razy załowałam, że nie mógł brać mnie z sobą na łowy, ale w skrytości ducha trochę się też z tego cieszyłam. Wiedziałam, że byłoby to przerażające przeżycie. Że po czymś takim nie mogłabym spać po nocach. I że pewnie w efekcie zaczęłabym nareszcie postrzęgać mojego ukochanego jako prawdziwego wampira.

Oczywiście teraz, kiedy sama byłam jednym z nich, patrzyłam na to wszystko z zupełnie innej perspektywy. Ale podejrzewałam, że nawet moje ludzkie oczy dostrzegłyby, ile w tym wszystkim kryło się piękna.

Obserwowanie polującego Edwarda było doświadczeniem zaskakująco zmysłowym. Płynnością swoich zwinnych ruchów przypominał atakującego węża. Jego pewnym, mocnym ruchem nie sposób było się wygnąć, a kiedy pełne wargi rozchyliły się odsłaniając połyskujące zęby, oczarowały swoim perfekcyjnym krojem. Był po prostu wspaniały. Oto mój mąż, pomyślałam. Wezbrały we mnie nagłe dumy i pożądanie. Nic nie mogło nas już rozdzielić. Dysponowałam taką siłą, że nikt nie mógł zmusić mnie do opuszczenia jego boku.

Był także bardzo szybki. Odwróciwszy się przodem do mnie, przyjrzał się z zacięciem mojej zadowolonej minie.

- Pragnienie zaspokojone? - spytał.

Wzruszyłam ramionami.

- Przez ciebie nie mogłam się skoncentrować. Jesteś w tym o wiele lepszy ode mnie.

- Stulecia praktyki - skwitował z uśmiechem. Jego oczy nabrały niepokojąco uroczego koloru złotego miodu.

- Tylko jedno - sprostowałam.

Zażmiał się.

- Wystarczy ci już na dzisiaj? Czy może nie masz jeszcze dosyć?

- Myślę, że wystarczy.

Czułam się taka pełna! Chyba coś nawet we mnie chlupotało. Nie byłam pewna, ile jeszcze płynu pomieściłoby moje ciało. Tymczasem ogień w gardle wciąż się tlił. Cóż, uprzedzałam mnie, że pragnienie to stały element wampirzej egzystencji.

Było warto je znosić, by móc wieść takie życie.

Miałam poczucie, że w pełni siebie kontroluję. Być może były to tylko pozory, ale świadomość, że nikogo dziś nie zabiłam, dawała dużo satysfakcji. Skoro potrafiłam oprzeć się ludziom, których zupełnie nie znałam, może nie stanowiłam też żadnego zagrożenia dla wilkoka i niemowlęcia, których kochałam? Chęć zobaczenia Renesmee - oświadczyłam.

Teraz, gdy moje pragnienie było już ujarzmione (choć nadal dalekie zaspokojenia), wcześniej nie przemyślałam. Chciałam porównać obcą mi dziewczynkę, która była moją córką, z tajemniczym kimś, kogo jeszcze trzy dni temu wielbiłam ponad życie. To, że małeństwo nie przebywało już w moim brzuchu, było takie dziwne. Wydawało mi się wręcz, że jest to coś złego. Na moment poczułam się pusta i zrobiło mi się nieswojo.

Edward był wciąż moją ręką. Chwycałam ją - była cieplejsza niż wcześniej. Miał też delikatnie zaróżowione policzki, a cienie pod dołymi mi powiekami zniknęły bez śladu. Nie mogłam się opanować i pogłaskałam go po twarzy. A potem drugi raz. I trzeci.

Wkrótce zapominałam, że czekałam, aż ustosunkuje się do mojej prośby, i utonąłam w jego złotych oczach.

Było to niemal tak samo trudne, jak zawrócenie, po tym, jak wyczułam zapach ludzkiej krwi, ale jakoś się zapominałam o tym, że powinnam uważać, i kiedy stanęłam na palcach, żeby objąć Edwarda, zrobiłam to najdelikatniej, jak umiałam.

Nie musiał jednak mieć się na baczości. Spłótnyś mi ręce za plecami na wysokości mojej talii, przytulił mnie mocno do siebie i zaczął namiętne całować. Kiedyś jego wargi zdawały się być z marmuru, a moje, wtulając się w ich twardość, zmieniały znacznie kształt - teraz jego usta w dotyku były miękkie, a moje nie musiał się im poddawać.

Tak jak za pierwszym razem, zaraz po tym, jak się ocknęłam, odniosłam wrażenie, że skóra Edwarda, jego wargi, jego dłonie wnikają w głębię mnie aż po same kości. Że dotykają samej mojej duszy. Nigdy nie podejrzewałam, że to możliwe, bym mogła kochać go jeszcze bardziej.

Mój stary umysł nie byłby zdolny poradzić sobie z taką ilością miłości. Moje stare serce nie byłoby dość silne, by ją udźwignąć.

Może to właśnie tę część mnie moja przemiana miała uwydatnić. Tak jak współczucie w przypadku Carlisle'a, czy oddanie w przypadku Esme. Pewnie nigdy nie miałam rozwinąć w sobie tak wyjątkowych, fascynujących talentów, jak Edward, Alice czy Jasper. Pewnie miałam po prostu kochać Edwarda bardziej, niż ktokolwiek w historii kochał drugą osobę.

Mogłam z tym żyć.

Niektóre elementy pamiętałam - wplatanie palców w jego włosy, przesuwanie dłonią po jego gładkim torsie - inne były dla mnie całkowicie nowe. Sam Edward był jak ktoś inny. Tamten, którego znałam, nie całował mnie z taką pasją, z takim zapamiętaniem. Spróbowałam mu dorównać i zaniem się obejrzałam, leżeliśmy już na ziemi.

Zażmiał się podę mną.

- Przepraszam - powiedziałam. - To niemaumyślnie. Nic ci nie jest?

Pogłaskał mnie po twarzy.

- Jeśli o mnie chodzi, możesz tak czuć się. - Nagle zmarszczył czoło. - A co z Renesmee?

Musiałam odpowiedzieć sobie na pytanie, kiedy w tej chwili pragnęłam najbardziej. Twierdy orecz miałam do zgryzienia. O tym rzeczach marzyłam na raz!

Wiedziałam, że Edward nie miałby nic przeciwko, gdybyśmy przeludżyli naszą wyprawę, i trudno było mi myśleć o czymkolwiek innym prócz tego, jak cudownie było czuć jego skórę na swojej nagiej skórze (z mojej sukienki naprawdę niewiele pozostało), ale moje wspomnienia Renesmee, zarówno sprzed porodu, jaki po nim, stawały się coraz bardziej nierealne, coraz bardziej przypominały sny. Wszystkie pochodziły z okresu, kiedy byłam jeszcze człowiekiem, i jakwszyłto, co zarejestrowała moja ludzka pamięć, były bardzo niedoskonale. Nic, czego nie dotknęłam nowymi rękami, czego nie zobaczyłam nowymi oczami, nie wydawało mi się być prawdziwe.

Więź łącząca mnie z małą nieznaną słałą z minuty na minutę.

- Wracajmy - zdecydowałam ze smutkiem i zerwałam się z ziemi, pociągając Edwarda za sobą.

Kiedy przypomniałam sobie o Renesmee, zaraz zajęła centralne miejsce w moim nowym umyśle - dziwnym, przestronnym, ale i łatwo się rozpraszającym. Nurtowało mnie tyle pytań!

- Opowiedz mi o niej - poprosiłam.

Edward wziął mnie za rękę. To, że biegliśmy tuż obok siebie, bynajmniej nie przeszkadzało rozwijać nam zawrotną prędkość.
- Nie ma takiej drugiej na świecie - powiedział, a w jego głosie znowu dał się słyszeć podziw graniczący z wręcz nabożną czcią.

Ukuliła mnie zazdrość. Znała ją, a ja nie. To nie było fair.

- Ile jest w niej z ciebie? A ile ze mnie? To znaczy, za starej mnie.

- Chyba wyszło tak pół na pół.

- Jest ciepła i płynnie w niej krew - zaczęłam wyliczać.

- Tak Biję jej serce, tyle że trochę szybciej niż u zwykłych ludzi. Ma też odrobinę wyższą temperaturę, niż przewiduje norma. I sypia.

- Naprawdę?

- I to całkiem ładnie jak na noworodka. Jesteśmy jedynymi rodzicami na świecie, którzy nie potrzebują snu, a nasze dziecko już potrafi przesycać całą noc! - zażartował.

Spodobało mi się, że powiedział „nasze dziecko”. Te dwa słowa sprawiły, że Renesmee stała się odrobinę mniej nierzeczywista.

- Oczy ma dokładnie takiego samego koloru jak ty - więc mimo wszystko nie przypadły. - Uśmiechnęła się do mnie. - Są takie piękne...

- A co ma w sobie z wampira?

- Jej skóra wydaje się równie niezniszczalna, jak nasza. Nie żeby ktoś miał ochotę sprawdzić to doświadczalnie.

Zamrugalam gwałtownie, nieco zszokowana.

- Nikomu by to nawet do głowy nie przyszło - zapewnił mnie raz jeszcze. - Jej dieta... cóż, preferuje krew. Carlisle próbuje ją w kółko przekonać do mleka modyfikowanego, ale mała wyraźnie za nim nie przepada. Nie mogę powiedzieć, że bym miał to jej za złe - nawet jak na ludzkie jedzenie, pachnie to nie za ładnie.

Rozdziałwałam usta.

- Próbuje ją przekonać? - powtórzyłam.

Zabrzmiało to tak jakby Carlisle toczył z nią długie dysputy.

- Jak na swój wiek już jest zaskakująco pojętna, a do tego rozwija się w oszalamiającym tempie. Nie potrafi jeszcze mówić - podkreślałam tu to „jeszcze” - ale porozumiewa się z nami bez większych problemów.

- Dwuinnię dziecko? Nie potrafi mówić? Jeszcze? Zwolnić trochę, żeby łatwiej było mi to wszystko ogarnąć.

- Co masz na myśli, mówiąc, że porozumiewa się z wami bez większych problemów? - spytałam.

- Sądzę, że najprościej będzie, jeśli sama ci to zademonstruje. Nie za bardzo wiem, jak to opisać.

Zastanowiłam się nad tym. Wiedziałam, że istniało wiele rzeczy, które musiałam najpierw zobaczyć na własne oczy, żeby w nie do końca uwierzyć. Nie miałam pewności, ile dalszych rewelacji byłam gotowa usłyszeć, postanowiłam więc skierować rozmowę i ni inne tory.

- Dlaczego Jacob jeszcze tu się kręci? Jak on to w ogóle wytrzymuje? W imię czego? - Zadrzała mi głos. - Z jakiego powodu miałby jeszcze dłużej się męczyć?

- Jacob wcale się nie męczy - zaprotestował Edward zagadkowym tonem. - Chociaż chyba miałbym ochotę to zmienić - dodał przez zacisnięte zęby.

- Edwardzie! - syknęłam. Zatrzymałam się raptownie i szarpnięciem ręki zmusiłam go do tego samego (chcąc nie chcąc, bardzo zadowolona z siebie, że to potrafię). - Jak możesz tak mówić?! Jacob poświęcił wszystko, co miał, żeby nas ochronić! Tyle z mojej winy wycierpiał...

Skrzywiłam się, bo wróciły zamglone wspomnienia mojego wstydu i wyrzutów sumienia. Nie pojmowałam teraz, dlaczego tak bardzo potrzebowałam jego ciągłej obecności. Poczucie pustki i bezradziei, które ogarniało mnie, gdy nie było go przy mnie, ulotniło się podczas przemiany. Zapewne była to po prostu kolejna ludzka słabość.

- Jak zobaczysz, jak to wygląda - mruknęła Edward - to zrozumiesz, czemu mam takie ciągły. Obiecałam mu, że to on będzie mógł ci to wszystko wytłumaczyć, ale wątpię, żeby twoja reakcja różniła się znacznie od mojej. Choć oczywiście często się myślę, gdy w grę wchodzi twoje myśli, prawda?

Zerknęła na mnie znacząco, zacisnąwszy usta.

- Co za „wszystko”? Jacob ma mi wytłumaczyć?

Edward pokręcił głową.

- Dałam mu słowo. Chociaż, czy ja wiem, czy właściwie jestem mu jeszcze coś winny...

Zazgrzytał zębami.

- Nic nie rozumiem - poskarżyłam się, rozczłona i sfrustrowana.

Pogłaskała mnie po policzku, a kiedy mimowolnie się rozchmurzyłam, bo podniecenie wzięło we mnie górę nad irytacją, uśmiechnęła się do mnie ciele.

- Wiem, że to dla ciebie trudniejsze, niż to okazujesz. Pamiętam.

- Nie lubię czuć się zagubiona.

- Wiem. Więc wracajmy jaknajszybciej do domu, żebyś sama mogła wszystko ocenić.

Wspomniawszy o powrocie do domu, powiódł wzrokiem po resztkach mojego stroju i w zmyśleniu ściągnął brwi.

- Hm...

Po pół sekundy podjął decyzję. Zdjawszy z siebie koszulę, podał mi ją jak płaszcz, żeby mogła się ubrać.

- Aż tak źle? - spytałam.

Tylko się uśmiechnęła.

Wśliznęłam ręce w rękawy, po czym zapięłam koszulę, zasilając białą tkaninę zniszczoną górę sukienki. Musiałam, rzecz jasna, jednocześnie stoczyć z sobą walkę, by nagi tors Edwarda nie skłupił na sobie całej mojej uwagi.

- Pościgajmy się - zaproponowała. - Tylko nie dawaj mi forów!

Puścił moją rękę.

- Jak sobie życzyś.

Odalenieście drogi powrotnej do mojego nowego domu było równie proste, co trafienie do mojego starego z najbliższego skrzyżowania. Pozostawiliśmy za sobą dwa tak wyraźne tropy, że nawet biegnąc ile sił w nogach, nie miałam szans ich przegapić.

Edward nie wyprzedził mnie aż do samej rzeki. Pomna, że skacząc dalej od niego, odbiłam się jeszcze w głębi lasu, licząc na to, że ten mały forteł przyniesie mi zwycięstwo.

- Ha! - wykrzyknęłam, gdy moje stopy pierwsze dotknęły trawy. Nadstawiłam uszu, żeby wylapać, kiedy Edward wyładuje, ale zamiast tego usłyszałam coś, czego się nie spodziewałam. Coś, co, jak dla mnie, robiło duży hałas i znajdowało się stanowczo zbyt blisko mnie.

Lomot czy jegoś serca.

W tej samej sekundzie dołączył do mnie Edward i mocno chwycił mnie od tyłu za ramiona.

- Nie oddychaj - rozkazał mi, zdenerwowany. Przerwałam wdech w połowie, starając się nie wpaść w panikę.

Poruszałam teraz jedyne nie oczami, które instynktownie próbowały namierzyć źródło dźwięku.

W miejscu, w którym z trawnikiem Cullenów stykał się las, stał Jacob. Miał zacisnięte zęby, a ręce tymczasem splecione na piersi. Pozostałe dwa wilki były niewidoczne, usłyszałam jednak, jak przebiegając nerwowo łapami, miażdżą w zaroślach paprocie, i jak biją w nich dwa kolejne serca, jeszcze większe niż serce ich przywódcy.

- Jacob, nie szarżuj - powiedział Edward z troską. W warknięciu jednego ze schowanych w lesie wilków też dało się jej doszukać. - To chyba nie jest najlepsza metoda...

- A jaka jest niby lepsza? - przerwał mu Jacob. - Dopuścić ją od razu do małej? Bezpieczniej będzie najpierw przeprowadzić eksperyment z moim udziałem. Na mnie przy najmnie wszystko szybko się goi.

A więc to był test? Na sprawdzenie, czy uda mi się powstrzymać przed zabiciem Jacoba, zanim będę mogła spróbować nie zabić Renesmee? Zrobiło mi się niedobrze, ale w bardzo dziwny sposób - to nie w żołądku zebrało mi się na wymioty, tylko w głowie. Czy to Edward wpadł na ten pomysł?

Zerknęłam na niego. Zamyślił się na moment, a potem niepokój malujący się na jego twarzy ustąpił jakimś innym uczuciu. Wzruszył ramionami, a kiedy się odezwał, w jego głosie pobrzmiewała nuta wrogości.

- Jak by nie było, to twój kark

Jeden z wilków znowu warknął, ale tym razem z wściekłością. Nie miałam wątpliwości, że była to Leah.

Co się Edwardowi stało? Po tym wszystkim, co razem przeszliśmy, powinien być chyba być w stanie czuć choć trochę sympatii wobec mojego najlepszego przyjaciela. Sądziłam - być może naiwnie - że nawet się do pewnego stopnia z sobą zaprzyjaźnili. Cóż, musiałam źle zinterpretować pewne fakty.

Ale co ten Jacob wyprawiał? Dlaczego narażał życie, żeby zyskać pewność, że nic nie grozi Renesmee?

To nie miało dla mnie sensu. I nie miałoby go, nawet gdyby nasza przyjaźń przetrwała przemianę...

Nasze spojrzenia się spotkały i pomyślałam sobie, że może jednak ją przetrwała. Nadal wyglądał jak mój najlepszy przyjaciel. Tyle że to nie on był tą osobą z naszej dwójki, która przeszła całkowitą metamorfozę. Cielawa byłam, jak się jego zdaniem prezentuję.

A potem na jego twarzy pojawił się tak dobrze znany mi uśmiech - uśmiech należący do mojej bratniej duszy - i wiedziałam już, że między nami nic się nie zmieniło. Poczułam się tak jak dawniej, kiedy przesiadywałyśmy w jego prowizorycznym garażu - po prostu dwoje kumpli zabijających czas. Kiedyś wszystko było takie proste i normalne. Znowu zwróciło moją uwagę to, że owa dziwnie silna potrzeba, by mnie nie opuszczał, znikła bez śladu wraz z moimi ludzkimi ciałem. Był teraz dla mnie tylko przyjacielem i nikim więcej - tak jak być powinno.

Nadal jednak nie pojmowałam, co nim kieruje. Czy naprawdę był aż tak szlachetny, że był gotowy ryzykować życie, byle tylko nie pozwolić, bym w ulamku sekundy dopuściła się czynu, którego żałowałabym w męklach przez resztę wieczności? Samo to, że tolerował moją nową postać, zakrawało na cud, a jeszcze miał się poświęcić, żeby mnie chronić? Był jednym z najwspanialszych ludzi, jakich znalazłam, ale takiego daru nie mogłabym przyjąć od nikogo.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i ledwie zauważalnie wzdrygnął. - Kurczę, Bells, mogłabyś cię w cyrku pokazywać. Odpowiedziałam mu uśmiechem. Zawsze się przekomarzałyśmy. Takie zachowanie przy najmnie rozumiałam.

Tylko bez obelg, klanu! - upomniał go Edward. Wiatr zawiął akurat z przeciwnej strony, więc żeby móc wziąć udział w rozmowie, szybko napelniłam płuca bezpiecznym powietrzem.

- Nie, on ma rację. To te oczy, prawda? Aż ciarki przechodzą.

- Można dostać zawału na ich widok! Ale poza tym, nie jest źle. Myślałam, że będzie gorzej.

- Dzięki za super komplement.

Wywrócił oczami.

- Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Ciągłe wyglądasz jak ty - no, tak mniej więcej. Właściwie to nie tyle wyglądasz, co takie poczucie, że to ty. Nie sądziłam, że będzie tak, jakbyś cały czas tu była.

Znowu się uśmiechnęła, nie okazując przy tym ani odrobiny zgorznięcia czy rozczelenia.

Zachichotała i dodała:

- Tak czy siak, pewnie już niedługo się do tych oczu przyzwyczaję i tyle.

- Przyzwyczajasz się? - powtórzyłam zdezorientowana.

Bardzo się ucieszyłam, że nadal byliśmy przyjaciółmi, ale nie oczekiwałam, że będziemy spędzać z sobą jakoś bardzo dużo czasu.

Jacob przestał się uśmiechać i zrobił bardzo dziwną minę. Przywodziła mi na myśl tylko jedno. Czyżby miał coś na sumie?

Spojrzał na Edwarda.

- Dzięki - powiedział. - Obietnica obietnicą, ale mogłes mimo wszystko się wygadać. Przecież zwykle spełniasz wszystkie jej prośby bez szemrania.

- Może mam po prostu nadzieję - zasugerował Edward - że takją rozważysz tym wyznaniem, że urwie ci głowę.

Jacob prychnął.

- Macie teraz przede mną sekret? - spytał z niedowierzaniem. - Powiecie mi w końcu, co jest grane, czy nie?
- Później ci to wytłumaczę - oświadczył Jacob, wyraźnie zakłopotany - jak gdyby wiedział, że kłamie, a tak naprawdę niczego takiego nie planował. Zmienił temat. - Najpierw zajmijmy się tym tu - wskazał na siebie. Spoglądając na mnie wzywająco, ruszył powoli w moim kierunku.
Z zarostu na jego plecami dobiegło błagalne skomlenie, po czym wynurzyła się z nich szara sylwetka Lei. Seth, wyższy od niej w kłębnie i łatwy do rozpoznania po piaskowej sierści, wysunął się z lasu tuż za nią.
- Wyluzujcie - nakazał im Jacob. - Trzymajcie się od tego z daleka.
Na szczęście go nie posłuchali i nadal sunęli za nim krok w krok, tylko nieco zwolnili.
Wiatr ucichał. Zapachu mojego przyjaciela nie miało co ode mnie odgonić.
Był już tak blisko, że czułam w powietrzu ciepło bijące od jego ciała. Zapiekło mnie w gardle.
- No, Bells, do dzieła. Pokaż nam się od najgorszej strony.
Leah syknęła.
Nie chciałam mu nic pokazywać. Może i zgłosił się na ochotnika, ale uważałam, że to nie w porządku, tak go wykorzystywać. Tylko czy miałam jakieś inne wyjście? Rozumowałam bardzo logicznie. Jak jeszcze mogłam się upewnić, czy nie byłam czasem dla Renesmee zagrożeniem?

- No, szybciej, zanim się zestarczę - zasztartował. - Okej, wiem, że nie z tego, ale łapięsz aluzję. Śmiało, obwąchaj mnie sobie.
- Tylko mnie przytrzymaj - poprosił Edwarda, wtulając się plecami w jego pierś.
Zacisnął mi palce na ramionach z jeszcze większą siłą.

Napięłam mięśnie z nadzieją, że zdołam powstrzymać odruchy swojego ciała. Przyrzekłam sobie spisać się co najmniej tak dobrze, jak na polowaniu - w najgorszym razie miałam przestać oddychać i wziąć nogi za pas. Przygotowana na każdą okoliczność, niepewnie wzięłam pierwszy, jak najpiękniejszy wdech.

Zabolalo odrobine, ale moje gardło i tak już było podrażnione, zapach krwi Jacoba kolarzył mi się zresztą z człowiekiem w równie nikłym stopniu, co wcześniej zapach krwi pumy. Za dużo miał w sobie ze zwierzęcia i z miejsca mnie to odrzucało. Chociaż głośne, mokre odgłosy wydawane przez jego serce odbierałam jako kuszące, towarzyszącą im woń sprawiła, że z obrzydzenia zmarszczyłam nos. Paradoksalnie, dzięki temu, że czułam jego zapach, potrafiłam kontrolować swoją reakcję na szum i temperaturę pulsującą w nim krwi.

Wzięłam kolejny wdech i się rozluźniłam.
- Uch. Nareszcie rozumiem, o co zawsze było tyle hałasu. Jacob ty najnormalniej w świecie cuchnie!
Edward wybuchnął śmiechem i przeniósł mi ręce z ramion na talie. Setha też rozbawił mój komentarz, ale u niego śmiech był serią krótkich szczełków. Moich uszu doszedł także tubalny śmiech Emmetta, tylko trochę stłumiony przez szklaną ścianę domu, i nagle zdałam sobie sprawę, że naszej konfrontacji przygląda się znacznie więcej osób, niż mi się to wydawało.
Osmielony, Seth przesunął się nieco bliżej - Leah za to cofnęła się o kilka kroków.
- I kto to mówi - stwierdził Jacob, teatralnym gestem zatykając sobie nos.

Nie skrzywił się, kiedy Edward mnie przytulił. Nie dał po sobie niczego poznać nawet wtedy, kiedy mój ukochany przestał się wreszcie śmiać i szepnął mi czułe do ucha, że mnie kocha. Jak gdyby nigdy nic, dalej szczyrzył zęby w uśmiechu. Jego zachowanie doadało mi otuchy. Może w końcu spiciana między nami miały się skończyć? Może jakimś cudem wróciłyśmy do punktu wyjścia?
Może jako wampirzyca na tyle go odrzucałam, że się we mnie odkochał i mogliśmy znowu być tylko przyjaciółmi? Może właśnie tego nam było trzeba?

- To co, zdałam egzamin, tak? - upewniałam się. - Wtajemniczcie mnie teraz w ten swój wielki sekret?
Jacob się spłoszył.
- To nic pilnego, naprawdę...
Emmett znowu parsknął śmiechem - chyba nie mógł się już doczekać.
Przycisnęłabym Jacoba, gdyby nie to, że wsłuchawczy się w rzenie Emmetta, wyłapałam przy okazji kilka innych dźwięków. Siedem oddychających osób. Jedną parę płuc pracujących czuć znacznie szybciej niż pozostałe. I tylko jedno serce, szamoczące się cicho nieczym serduzku ptaka.
Zupełnie mnie to zdakoncentrowało. Okazało się, że od mojego dziecka dzieliło mnie tylko kilka metrów i cienka tafla szkła. Nie byłam w stanie jej dojrzeć, bo w specjalnych szybach wszystko odbijało się jak w jednym wielkim lustrze.

Zobaczyłam za to samą siebie. Wyglądałam bardzo dziwnie. W porównaniu z stojącym nieopodal Jacobem byłam taka błąda i nieruchoma... Nawet jeśli porównać mnie z Edwardem, rzucało się w oczy, że coś jest ze mną nie tak - lata praktyki nauczyły go świetnie udawać człowieka.

- Renesmee - wyszeptalam.
Zestresowana, przypomniałam posąg. Moja córeczka nie miała ani trochę pachnieć jak zwierzę. Czy lada moment miałam zaprzągnąć zrobić jej krzywdę?
- Wejźmy do środka - zaproponował Edward. - Jestem pewien, że sobie poradzisz.
- Pomóżesz mi, jakby co? - spytałam bardzo cicho.
- Oczywiście, że ci pomogę.
- A Emmett i Jasper? Też będą mnie pilnować?
- Nie się nie martw, Bello, o wszystko zadbam. Żadne z nas nie chce narazić Renesmee na niebezpieczeństwo. Podejrzewam, że się jeszcze zdziwisz, kiedy się przekonasz, jak szybko owinęła nas sobie wszystkich wokół palca.

Cokolwiek się wydarzy, włos jej z głowy nie spadnie.
Tak bardzo pragnęłam ją wreszcie poznać, tak bardzo pragnęłam wreszcie zrozumieć, czemu Edward wyraża się od niej z tak nabożnym zachwytem, że przewzwięczęłam strach i zrobiłam krok do przodu.
Ale zaraz drogę zastąpił mi zmartwiony Jacob.
- Jesteś pewien? - zwrócił się do Edwarda niemal błagalnym głosem. Nigdy jeszcze nie słyszałam, żeby zwracał się do niego w ten sposób. - Nie za bardzo to mi się podoba. Może powinniśmy jeszcze zacząć...
- Przeprowadźles już swój eksperyment.

Więc to był pomysł Jacoba a nie Edwarda?
- Ale... - zaczął Jacob.
- Starczy tych testów - uciął Edward, tracąc cierpliwość. - Bella chce zobaczyć naszą córkę i ma do tego prawo. Przepuść ją.
Jacob posłał mi dziwnie złękione spojrzenie, a potem odwrócił się na pięcie i puścił się biegiem ku domowi.
Edward warknął za nim.

Nie zdołałam dopatrzyć się żadnego sensu w ich tajemniczym konflikcie, ani nawet nie potrafiłam się na nim skupić. Nie mogłam myśleć o niczym z wyjątkiem mojego dziecka. Przed oczami stał mi rozmazany obraz jego twarzy czki i siłowałam się z własną pamięcią, starając się dolożyć do niego jak najwięcej szczegółów.
Edward zrobił się z powrotem grzeczny.

- Gotowa? - spytał zachęcająco.
Pokiwałam nerwowo głową.
Wziął mnie za rękę i poprowadził do środka.
Czekali na mnie jedno przy drugim. Wszyscy uśmiechali się przyjaźnie, ale przecież nie tyle mnie witali, co odgradzali mnie od malej. Rosalie stała dobrych kilka metrów za nimi, w pobliżu drzwi frontowych - sama, dopóki nie dołączył do niej Jacob. Zatrymał się tuż przed nią, bliżej niż bym się tego po nim spodziewała, ale też po minach i pozach tej dwójki było widać jak na dłoni, że nadal nie darzą się przyjaźnią.
Zza pleców Jacoba wychyliła się istotka przez Rosalie na rękach. Natchmiast przeobraziła w mnie istnieć wszystko poza tym maleństwem, o niczym innym już nie myślałam. Od chwili, w której otworzyłam oczy, nikt jeszcze do tego stopnia mną nie zawładnął.

- Byłam nieprzytomna tylko przez dwa dni? - jęknęłam zszokowana.
Nieznamoma dziewczynka musiała mieć co najmniej kilka tygodni, jeśli nie miesięcy. Była chyba dwukrotnie większa niż noworodek z moich zamglonych wspomnień. Wykręcając się ku mnie, z łatwością utrzymywała tułów w pionie, a lśniące kasztanowe włosy spływały jej w loczkach aż za ramię. Oczy koloru mlecznej czekolady patrzyły na mnie z zaintrygowaniem, w którym bynajmniej nie było nic dziecięcego - było to świadome, inteligentne spojrzenie dorosłej osoby. Wskazywała na mnie jedną rączką, dotknęła nią szyi Rosalie.
Gdyby nie to, że oszałamiała swoją urodą i doskonałością, nie uwierzyłabym, że to to samo dziecko. Moje dziecko.
Rysy twarzy odziedziczyła po Edwardzie, ale policzki i barwę oczu po mnie. Nawet Charlie się zalałał, przekazując jej w genach swoje łoki, chociaż ich odcień był taki sam, jak włosów Edwarda. Musiała być nasza. Było to może nieprawdopodobne, ale prawdziwe.

Myślałam, że kiedy zobaczę moją córkę, przestanie być dla mnie postacią ze snów, ale tymczasem to, że istniała, stało się dla mnie czymś jeszcze bardziej nierealnym.
Rosalie poklepała ją po rączce.
- Tak to ona - potwierdziła.
Renesmee nie przestawała się we mnie wpatrywać. A potem - tak samo, jak w zaledwie kilka sekund po swoich potwornych narodzinach - uśmiechnęła się do mnie. Perelki zębów zaślniły w jej usteczkach śnieżną bielą.
Czuając, że dostaje zawrotów głowy, przesunęłam się z wahaniem krok do przodu.
Reakcją zebranych była natychmiastowa.

Emmett i Jasper błyskawicznie znaleźli się tuż przede mną, gotowi mnie złapać. Edward chywił mnie od tyłu za ramiona. Nawet Carlisle i Esme zajęły pozycje po bokach swoich młodszych synów, podczas gdy Rosalie cofnęła się na próg, przyciskając Renesmee do siebie. Jacob również się przemienił, tak aby nadal bronić mi do nich dwóch dostępu.

Jedynie Alice zachowała spokój.
- Och, nie przesadzajcie - zachnęła się. - Nie widzicie, że Bella świetnie sobie radzi? Wcale nie ma zły ch zamiarów. Sami też na jej miejscu chcielibyście móc lepiej przyjrzeć się malej.
Miała rację - w pełni nad sobą panowałam. Szykowałam się na spotkanie z zapachem zniewalającym równie niesamowicie jak woń tamtych przypadkowych turystów w lesie, ale na szczęście czekała mnie miła niespodzianka. Nie musiałam z sobą walczyć. Zapach Renesmee stanowił idealnie zrównoważoną mieszankę aromatów najwspanialszych perfum i najsmakowszych potraw. Było w nim dostatecznie dużo z wampirzej słodyczy, aby jego ludzki komponent nie wysuwał się na pierwszy plan.

Moi bliscy nie mieli powodu do obaw. Byłam tego pewna.
- Jest dobrze - powiedziałam, poklepując dłoń Edwarda, którą trzymał mi na ramieniu. Mimo o wszystko zawałałam się jednak i dodałam: - Ale bądź w pogotowiu. Tak na wszelki wypadek
Jasper przyglądał mi się, mrucząc oczy, maksymalnie skoncentrowany. Wiedziałam, że właśnie ocenia mój stan emocjonalny, postarałam się więc o to, żeby w moim wnętrzu zapanował idealny spokój. Kiedy Edward wyzystał z jego myśli, w jakim jestem nastroju, zaraz mnie puścił, ale on sam, chociaż czerpał informację bezpośrednio ze źródła, nie dawał przekonania się tak łatwo.

Usłysawszy mój głos, Renesmee zaczęła wyrywać się Rosalie i wyciągać ku mnie porcelanowe rączki. Jej słodką buźkę wykrywał grymas zniecierpliwienia.
- Jazz, Em, przepuście nas. Bella się kontroluje.
- Ale, Edward - zaprotestował Jasper - istnieje ryzyko...
- Minimalne. Sluchaj, Jasper, na polowaniu Bella zalała trop jakichś turystów, którzy znaleźli się w złym miejscu o złym czasie...
Zszokowany Carlisle aż zachłyśnął się powietrzem. Esme wyraźnie zmarkotniała i spojrzała na mnie współczująco. Jasper otworzył szeroko oczy, po czym skinął nieznacznie głową, jak gdyby słowa Edwarda potwierdziły jakieś jego przypuszczenia. Jacob prawie że splunął z obrzydzenia. Emmett wruszył tylko ramionami. Rosalie wydała się być jeszcze mniej poruszona niż on, niemal całą swoją uwagę skupiając na pacy fikowaniu dziecka.
I tym razem pozory nie wprowadziły Alice w pole. Sądząc po tym, z jakim wyrazem twarzy lustrowała moją pozycję czoną koszulę, najbardziej w tej chwili interesowało ją to, co u licha się stało z wybraną przez nią kreacją.
- Edwardzie! - oburzył się doktor. - Jak mogłeś postąpić tak nieodpowiedzialnie!
- Wiem, Carlisle, wiem. Zachowałem się jak skończony idiota. Powinienem był poświęcić najpierw trochę czasu na to, żeby upewnić się, że w okolicy nikogo nie ma, zanim puściliśmy Bellę luzem.
- Edward... - szepnęłam, skrępowana tym, w jaki sposób wszyty się na mnie gapili. Jakby starali się przekonać, czy moje czerwone tętnówki nie zrobiły się jaskrawsze.
- Carlisle ma prawo suszyć mi głowę - zwrócił się do mnie z zawstydzonym uśmiechem. - Popeliłem poważny błąd. A to, że jesteś silniejsza niż ktokolwiek, kogo znam, tego nie zmienia.
Alice wywróciła oczami.
- Ale się ciebie żarty trzymają! - zdziwiła.
- Nie żartuję. Usiłuję tylko wytłumaczyć Jasperowi, dlaczego wiem, że Bella nie stanowi dla malej zagrożenia. To nie moja wina, że wszyscy wyciągnęli pochopne wnioski.

- Czekał i zdziwił się Jasper - to Bella nie zapoławiała na tych ludzi?
- Z początku miała taki zamiar - odpowiedział mu Edward, najwyraźniej świetnie się bawiąc. Zazgrzytałam zębami. - Kiedy zapala trop, pognąła do nich, aż się kurzyło.
- I co się później stało? - spytał Carlisle z rosnącym podekscytowaniem.

Oczy mu nagłe rozbleysły, a na jego twarzy zaczął formować się uśmiech. Przypomniała mi się scena z sali operacyjnej, kiedy próbował wyciągnąć ode mnie, jak się czulam podczas przemiany. Uwielbiał poszerzać swoją wiedzę o wampirach.

Edward nachylił się ku niemu, ucieszony, że nareszcie będzie mógł się mną pochwalić.

- Nie dość, że w tym całym ferworze dotarło do niej, że ją gonie, to jeszcze instykt podpowiedział jej, że w takim razie musi przerwać polowanie i bronić się przed napastnikiem. Ale to jeszcze nie wszystko. Takją to rozproszyło, że najpierw uświadomiła sobie, że to ja i dała sobie spokój z tym bronieniem się, a potem - I to jest najlepsze - zorientowała się, na kogo polowała, więc... wstrzymała oddech i stamtąd uciekła!

- A niech mnie - mruknął Emmett? - Naprawdę?

On to że opowiada - wtęczałam, jeszcze bardziej zawstydzona niż wcześniej. - Nic nie wspomniał o tym, że na niego warknęłam.

A dołożyłaś mu przy okazji z kilka razy? - ożywił się Emmett.

- Skąd! Jasne, że nie.

- Nie, naprawdę? Nie rzuciłaś się na niego?

Emmett! Jak możesz!

- Ech! - jęknął. - Jaka szkoda. Jesteś chyba jedyną osobą na świecie, która mogłaby spuścić mu manto - tylko ty jesteś w stanie go zaskoczyć, bo nie może ci czytać w myślach - no i jeszcze miałaś taką doskonałą wymówkę! Co ja bym dał, żeby zobaczyć, jak by sobie drań poradził, nie mając nad kimś przewagi! - westchnął.

Zmroziłam go wzrokiem.

- Nigdy nie zaatakowałabym Edwarda.

Kątem oka zauważyłam, że Jasper marszczy czoło, i zerknęłam na niego. Wyglądał na coraz bardziej wstrząśniętego. Edward zaczętnie uderzył go lekko pięścią w ramię.

- Rozumiesz teraz, o co mi chodzi?

- To nieprawdopodobne - szepnęła Jasper.

- Mogła ciebie zaatakować - jest wampirem dopiero od kilku godzin! - wypomniała Esme Edwardowi, przykładając sobie dłoń do serca. - Och, nie powinniśmy byli puszczać was samych.

Jako że Edward doszedł do puenty, nie zwracałam już za bardzo uwagi na resztę towarzystwa. Ponownie zapatrzyłam się na trzymaną przez Rosalie cudną dziewczynkę, a ona nadal wpatrywała się we mnie. Wyciągała ku mnie tłuste łapkę, jak gdyby świetnie wiedziała, kim jestem. Machinalnie powtórzyłam jej gest, wychylając się za Jaspera, żeby lepiej ją widzieć.

- Edwardzie, mogę? - odezwał się. - Proszę...

Jasper stał nieruchomo z zacziśniętymi zębami.

- Jaz, zaufaj mi - powiedziała cicho Alice. - Z czymś takim jeszcze nigdy nie miałeś do czynienia.

Ich oczy spotkały się na moment i Jasper skinął głową. Zszedł mi z drogi, ale położył mi rękę na ramieniu i zaczął się wraz zimą przesuwać ku Renesmee.

Przed każdym kolejnym krokiem, czuwałam się najpierw w swój nastrój, sprawdzałam, czy czasem nie pali mnie bardziej w gardle, i analizowałam, gdzie kto się znajduje, żeby upewnić się, że nawet mimo mojej wyjątkowej sily, obecni w salonie będą w stanie mnie powstrzymać. Był to bardzo powolny proces.

Dziecko w ramionach Rosalie, które z coraz bardziej rozdrażnioną miną cały ten czas próbowało uparcie wyswobodzić się z jej objęć, zniacnała głośno i przeciągle zalkało. Wszyscy oślupieli, jak gdyby - tak jak ja - jeszcze nigdy nie słyszeli jej głosu.

W pokoju zakotłowało się, bo każdy jak najszybciej chciał znaleźć się przy malej. Zostałam sama, z nogami wrośniętymi w podłogę.

Dźwięk płaczu Renesmee przeszył mnie niczym ostrze i sparaliżował. Oczy dzwinnie mnie zapieły, jak gdyby miały napłynąć do nich łzy.

Pocieszali ją, gruchali do niej, glaskali jej małe ciałko... Każdy mógł ją dotknąć - tylko ja nie.

- Co się dzieje? Coś ją boli? Wszystko w porządku?

Wyjaśnić najgłośniejszy domagał się Jacob - to jego zatroskany głos przebił się ponad wszystkie inne. Przeżyłam szok, kiedy zobaczyłam, że prosi gestem o podanie mu Renesmee, a kiedy Rosalie bez protestów mu ją przekazała, omal nie umarłam ze strachu.

- Nic jej nie jest - pocieszyła go Rosalie.

Rosalie pocieszająca Jacoba?

Uspokoiło mnie nieco to, że Renesmee nie stawiała oporu. Wtulila swojemu nowemu opiekanowi piąstkę w policzek, ale zaraz potem wykręciła się i znowu zaczęła się ku mnie wyrywać.

- Widzisz? - powiedziała Jacobowi Rosalie. - Po prostu domaga się Belli.

- Mnie? - wyszeptałam.

Oczy Renesmee - moje oczy - wpatrywały się we mnie niecierpliwie.

Edward podbiegł, położył mi dłonie na ramionach i delikatnie pchnął mnie do przodu.

- Czeka na ciebie już prawie trzy dni - przypomniał mi.

Dzieliło nas teraz od niej mniej niż dwa metry. Miałam wrażenie, że bucha od niej żar - falami, jak gdyby miała drgawki, które rytmicznie poruszały powietrze.

A może to raczej Jacob tak dygotał. Przybliżywszy się, dostrzegłam, że trząsą mu się ręce. Ale chociaż bez wątpienia był w tym momencie zdenerwowany, po wyrazie jego twarzy można było poznać, że przez te dwa dni odżył skał wreszcie spokój ducha.

- Jaka, nic jej nie zrobię - przyrzekłam mu.

Widząc swoją córkę na rękach u trząsącego się wilkołaka, czulam ogarniającą mnie panikę, ale dzielnie ją tłumila, byle tylko w żaden sposób nie stracić nad sobą kontroli.

Jacob ścigał brwi, jak gdyby na myśl o Renesmee w moich ramionach i jego ogarniała panika.

Dziewczyńska zaskliwała i wyprężyła znowu ciałko, raz po raz próbując mnie z desperacją dosięgnąć.

Nagle coś we mnie zaskoczyło. Fakt, że jeszcze bardziej nie mogła się doczekać tego spotkania niż ja, dzwicznej głosiku, znajoma barwa jej oczek - kiedy była powietrze bezradnymi piąstkami, wszystko to splotło się w jedną, zwartą całość. Jak mogłam sądzić, że jej nie znam? Jak mogłam myśleć, że nie jest prawdziwa? Bez najmniejszego wahania zrobiałam krok do przodu i najnaturalniejszym ruchem na świecie, jak gdyby nie było w tym nic nadzwyczajnego, podesunęłam dlonie dokładnie tam, gdzie powinny były się znaleźć, by sprawnie ją podnieść, po czym delikatnie przyciągnęłam ją do siebie.

Jacob wyciągnął przed siebie długie ramiona, tak że mogłam ją do siebie przytulić, ale jej nie puścił. Kiedy nasze ręce się zetknęły, wdrygnął się nieco. Jego śniada skóra, którą zawsze uważałam za niezwykle acz przyjemnie ciepłą, teraz parzyła jak ogień. Skóra mojego dziecka miała niemal taką samą temperaturę - różnica wynosiła jeden czy dwa stopnie.

Jeśli chodzi o Renesmee, to albo była zbyt przejęta, żeby dostrzec, jaka jestem lodowata, albo nianaczona przez Rosalie zdążyła już przywyknąć do tej wampirzej cechy. Spojrzała na mnie i znowu się uśmiechnęła, ukazując kwadratowe żąbkę, a w jej policzkach pojawiły się dwa uroczę doleczki.

A potem, z pełną remedytacją, dotknęła mojej twarzy.

Wyprzedzając moją reakcję, Edward i Jasper wznowicili swój uścisk, ale ledwie to do mnie dotarło. Zdebiła i przerażona, oddychałam szpatycznie, bo w moim umyśle pojawiła się zniacnała bardzo realistyczna i niepokojąca wizja. Pomyślałabym być może, że to jakieś wyjątkowo żywe wspomnienie - mogłam mu się przyglądać w głowie, nie tracąc z oczu tego, co się działo wokół mnie - gdyby nie to, że niczego podobnego sobie nie przypominałam. Zerknęłam poprzecznie na Renesmee, która spoglądała na mnie wyściekając, usiłując rozpaczliwie pojąć, czego właśnie doświadczam, i jednocześnie jakoś wziąć się w garść.

Nie dość, że wizja była zupełnie mi nieznaną i szokującą, to jeszcze coś z nią było nie tak - owszem, rozpoznawałam swoją twarz, swoją starą twarz, ale pamięć podpowiadała mi, że nie zgadza się w niej wiele drobnych szczegółów. Umysłowiłam sobie jednaki szbkę, że patrzyłam na siebie tak, jak postzegali mnie inni - widziałam siebie, jaką byłam naprawdę, a nie swoje lustrzane odbicie.

W owej wizji bylam wychudzoną i umęczoną, czoło lśniło mi z potu, a buzię miałam amazaną krwią, ale mimo tego uśmiechałam się błogo, a moje brązowe oczy, choć potwornie podkrążone, wpatrywały się w „obiekty w kamery” z uwielbieniem. Obraz powiększył się, jak gdyby niewidzialny operator zrobił zbliżenie, ale zaraz potem raptownie się oddalał.

Renesmee odjęła rączkę od mojego policzka. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i jej doleczki się pogłębiły.

W salonie panowała idealna cizsa, przerywana jedynie uderzeniami dwóch serc. Prócz Jacoba i malej nikt też nie oddychał. Cizsa przeciągała się - jak gdyby wszyscy czekali, aż pierwsza zabiorę głos.

- Co... co to było? - udało mi się wyrzucić.

- Co zobaczyłaś? - spytała mnie zaciekawiona Rosalie, wychylając się za Jacoba, który bardzo mi w tej chwili zawadzał, no i w ogóle wyglądał jak z zupełnie innej bajki. - Co ci pokazała?

- To ona mi to pokazała!?

- Mówiłem ci, że trudno to opisać - szepnęła mi Edward do ucha. Ale najważniejsze, że to działa i Renesmee może się z nami porozumiewać.

- Co zobaczyłaś? - powtórzył za Rosalie Jacob.

Zamrugalałam kilkakrotnie, oszołomiona.

- Hm. Siebie sama. Tak mi się przynajmniej wydaje. Ale bylam w strasnym stanie.

Widziałam się tylko ten jeden przyny raz - wyjaśnił mi Edward wyprany z emocji głosem, krzywiąc się z bólu. Uświadomiłam sobie, że musiał przejść przed sekundą to samo, co ja, bo przecież to, co Renesmee mi pokazała, wyłapał z jej myśli - Chciała dać ci znać, że wie, kim jesteś. Takpo swojemu się z tobą przywitala.

- Ale jak ona to robi?

Oczy wychodziły mi z orbit ze zdziwienia, ale mojej córki ani to nie zmartwiło, ani nie przestraszyło. Wciąż się uśmiechała i raz po raz pociągała mnie za włosy.

Edward wzruszył ramionami.

- A jak ją czytam innym w myślach? - spytał retorycznie. - A jak Alice widzi przyszłość? Ma taki dar i tyle.

- To intrygujące - dodał Carlisle. - Poniekąd to twoja umiejętność, Edwardzie, ale odwrócona o sto osiemdziesiąt stopni.

- Rzeczywiście - przyznał Edward. - Ciekawe...

Wiedziałam, że obaj zaczęli snuć teorie na ten temat, ale nic mnie to nie obchodziło. Patrzyłam na najpiękniejszą buziuchną pod słońcem. Jaka gorąca była ta kruszyna! Przypomniał mi się ten moment, kiedy czerni niemalże nade mną zwyciężyła - kiedy nie miałam się już czego uczepić, żeby nie dać się jej pochłonąć, bo nie nie było dostatecznie silne, by móc wyrwać mnie spod przgniatającej ciemności. Ów moment, kiedy pomyślałam o Renesmee i znalazłam coś, czego już nigdy nie miałam wypuścić z rąk

- Ja też cię pamiętam - powiedziała do niej cicho. Kolejny jakże naturalny gest: pochylila się i przycisnęła wargi do jej czołka. Pachniała cudownie. Zapach jej skóry drażnił gardło, ale łatwo mi było to ignorować, nie mąciło więc to mojej radości. Renesmee była prawdziwa. Znalam ją. Była tym samym maleństwem, o które od początku walczyłam - tym samym, które kochało mnie już wtedy, kiedy rosło w moim brzuchu. Połowką Edwarda, tak samo jak on idealną. I połówką starej mnie, co - o dziw o - okazało się być jej dotatkową zaleką, a nie wadą. Miałam rację. Warto była dla niej przejść drogę przez mękę.

- Spokojnie - mrugnęła do kogoś Alice - pewnie do Jaspera. Moi bliscy napierali na mnie ze wszystkimi stron, gdyż w większości jeszcze mi nie ufali.

- Czy nie starczy już tych ekspertymentów jak na jeden dzień? odezwał się Jacob. Był tak zrestrosowany, że mówił cienie niż zwykłe. - Nie powiem, Bella świetnie sobie radzi, ale czy nie byłoby lepiej nie przeciągać struny?

Posłałam mu spojrzene pełne irytacji. Zaalarmowany Jasper zmienił nieco pozycję. Stałiśmy tak ściśnięci, że byle drgnienie można było odebrać jako pełnowymiarowy ruch.

- Co ciebie ugryzło? - spytałam Jacoba rozdrażniona.

Spróbowałam delikatnie odebrać mu Renesmee, ale jedyny tego efekt był taki, że przysunął się do mnie bliżej, tak że gdy bym była wyzsza, zetknęlibyśmy się nosami. Dzieliło nas teraz tylko ciałkozymane przez nas oboje dziecka.

Edward syknął.

- To, że wszystko rozumiem, Jacob, nie znaczy, że nie posunę się do wyrzucenia ciebie z domu. Bella doskonale sobie radzi. Pozwól jej się nacieszyć naszą córką.

- I nie zapominaj, psie, że jakby co, to z chęcią mu pomogę - włączyła się Rosalie. - Jestem ci winna niezłego kopa w brzuch.

Cóż, stosunki między tym dwojgiem pozostały bez zmian. No, chyba że się jeszcze pogorszyły.

Wpatrywałam się ze złością w Jacoba, który też był zagniewany, ale przede wszystkim bardzo zatroskany. Nie odrywał od Renesmee wzroku. Tak się cisnęliśmy, że musiało go dotykać ze sześć wampirów, ale najwyraźniej wcale mu to nie przeszkadzało.

Czy naprawdę tak się poświęcał tylko dlatego, że chciał mnie i bronić przede mną samą? Co takiego wydarzyło się podczas mojej przemiany - przemiany w coś, czego nienawidził - że istotka, którą wcześniej miał za mordercę

monstrum, stała się z dnia na dzień jego oczkiem w głowie?

Zastanawiałam się nad tym, obserwując, jak patrzy na moją córkę i nagle zdałam sobie sprawę, w jaki sposób on na nią patrzył. Jak ktoś, kto poza nią nie widzi świata...

- Nie! - jęknęłam.

Jasper szczyknął zębami, a ramiona Edwarda owinięły się wokół mnie z siłą węży boa. W tej samej sekundzie Jacob wyrwał mi małą. Nie przeciwstawiłam się mu, bo czułam, że lada chwila eksploduje - że wreszcie stanie się to, na co wszyscy czekali.

- Rose - wycedziłam, starannie wymawiając każde słowo - weź ją od niego.

Oboje z Jacobem wykonali mój rozkaz bez szemrania i zaraz się ode mnie odsunęli.

- Edwardzie, nie chcę zrobić ci krzywdy, więc puść mnie, proszę.

Zawahał się.

- Zasłoń sobą Renesmee - odpowiedziałam mu.

Nie posłuchał mnie od razu, ale w końcu przystał na moją propozycję.

Skulona jak drapieżnik, zrobiłam powoli dwa kroki w stronę Jacoba.

- Zgadłam, prawda?

Cofnął się z rękami podniesionymi do góry, starając się przemówić mi do rozumu.

- Dobrze wiesz, że nad tym się nie panuje.

- Ty zapchłony kundlu! Jak mogłeś! Moje dziecko!

Cały ten czas przesuwałam się ku niemu, był więc zmuszony wyjść tyłem przez frontowe drzwi i nie patrzeć sobie pod nogi, pospiesznie pokonać stopnie werandy.

- Nie chciałem! To nie było specjalnie!

- Jeden jedyny raz miałam ją na rękach, a tobie już się wydaje, że możesz ją sobie zaklepać, podpierając się jakimś bzdurnymi wilczy mi czarami - marami? Renesmee jest moja!

- Możemy się podzielić - zasugerował błagalnym tonem, przemierzając tyłem trawnik

- Ha, ha, wygrałem - usłyszałam za sobą Emmetta. Małeńka część mojej świadomości zainteresowała się, kto też założył się z nim, że postąpi inaczej, ale nie miałam zamiaru się nad tym głowić. Za bardzo byłam rozwścieczona.

- Jak śmiałaś wpoić sobie moją córkę?! Zupełnie ci odbiło?!

- Nie miałem nad tym kontroli! - upierał się, zbliżając się do linii lasu.

Nie był już sam. Z zarosli ponownie wyłoniły się dwa wielkie wilki i zajęły pozycje po jego bokach. Leah warknęła na mnie. Odpowiedziałam jej przerażającym charkotem, który zbił mnie z pantafelów, ale nie na tyle, żebym się zatrzymała.

- Bella, wysłuchaj mnie! Zrozumi! - Jacob zebrał u mnie o współczucie. - Leah, zmiataj stąd! - rzucił w jej kierunku. Nie tylko się nie poruszyła, ale jeszcze odsłoniła kły. A czemu niby miałabym cię wysłuchać? - zasyczałam.

Furia przejmowała nade mną władzę i przesłaniała wszystko inne.

- Bo to właśnie ty mi o tym powiedziałaś. Kojarzysz? Powiedziałaś, że istnieje między nami szczególna więź. Że kiedy przy tobie jestem, wszystko jest na swoim miejscu. Że zawsze byłem i będę, członkiem twojej rodziny. No i masz, czego chciałaś.

Mój wzrok miotał pioruny. Pamiętałam, jak przez mgłę, że rzeczywiście coś takiego mówiłam, ale mój nowy superszybki mózg wyprzedził jego tok myślenia o dwie długości.

- Myślisz, że będziesz mógł zostać moim zięciem?! - wydarłam się piskliwie. Mój głos przeskokował dwie oktawy, ale mimo to nie przestał być melodyjny.

Emmett parsnął śmiechem.

- Edwardzie, powstrzymaj ją - poprosiła Esme. - Będzie się zdręzczać, jeśli coś mu zrobi.

Ale nie usłyszałam, żeby ktokolwiek za mną ruszył.

W tym samym momencie Jacob odpowiadał obruszony na moje pytanie:

- No co ty! Jak możesz tak w ogóle to odbierać? Na miłość to przecież to jeszcze dziecko!

- No właśnie!

- Wiesz, że nie myślę o niej w ten sposób! Sądzisz, że gdyby tak było, Edward trzymałby mnie jeszcze przy życiu? Chcę tylko, żeby była bezpieczna i szczęśliwa. Czy to takie złe? Czy to aż tak bardzo się różni od tego, czego ty dla niej chcesz?

Zabrakło mi słów, więc po prostu na niego warknęłam.

- Jest niesamowita, prawda? - dobiegł mnie komentarz Edwarda.

- Ani razu się na niego nie zamierzyła - przytaknął mu oglupiały Carlisle.

- Niech ci będzie, tym razem ty wygrałeś - przyznał z niechęcią Emmett.

- Trzymaj się od niej z daleka! - nakazałam Jacobowi.

- Nie potrafię!

- To się naucz. I zacznij naukę już teraz!

- Tak się nie da. Nie pamiętasz, jak bardzo mnie potrzebowałaś jeszcze trzy dni temu? Jak trudno ci się było z mną rozstać? Przeszło ci to, prawda?

Niepewna, do czego zmierzał, posłałam mu kolejne mrożące spojrzenie.

- To była ona - powiedział. - Od samego początku. Musieliśmy być razem, już wtedy.

Przypomniało mi się, jak to było, a potem zrozumiałam, co miał na myśli, i jakaś cząstka mnie nawet poczuła ulgę, że moje szaleństwo doczekało się wyjaśnienia. Ale owo poczucie ulgi sprawiło tylko, nie wiedzieć czemu, że rozgniewałam się na niego jeszcze bardziej. Czy spodziewał się, że to mi wystarczy? Że jedno małe usprawiedliwienie sprawi, że przejdę nad tym do porządku dziennego?

- Zabieraj się stąd, póki jeszcze masz szansę mi uciec - postraszyłam go.

- Bella, przestań - upierał się przy swoim. - Nessie też mnie lubi.

Zamarłam i wstrzymałam oddech. Za moimi plecami zapadła idealna cisza, bo widząc moją reakcję, moi najbliżsi też znieruchomieli.

- Jak.. jak ją nazwałeś?!

Jacob zrobił niepewną minę, cofając się przy tym o kolejne pół metra.

- No, wiesz - wymamrotał - to imię, które dla niej wymyśliłaś, jest trochę przy ciężkie...

- Moja córka skojarzyła ci się z potworem z Loch Ness?! - wrzasnęłam.

A potem rzuciłam mu się do gardła.

Seth, tak strasznie mi głupio. Powinienem być bliżej niej. Przepraszał go tak i przepraszał, chociaż moim zdaniem nie było to ani fair, ani stosowne. Jakby nie było, to nie Edward stracił nad sobą całkowicie panowanie. To nie Edward usiłował urwać Jacobowi głowę - Jacobowi, który nawet nie starał się przeobrazić w wilka żeby się obronić! To nie Edward złał niechcący Sethowi bark i obojczyk, kiedy ten zasłonił Jacoba własnym ciałem. To nie Edward o mało co nie zabił swojego najlepszego przyjaciela.

Nie żeby ów najlepszy przyjaciel nie miał tego i owego za uszami, nie rzecz jasna żadne z jego przewinień nie zasługiwało na karę śmierci.

Czy to nie ja powinnam była przepraszać wstyżających cię dokola?

Podjęłam jeszcze jedną próbę.

- Seth, nie...

- Bella, nie przejmuj się tym tyle - przerwał mi. - Naprawdę, nie takiego się nie stało.

A Edward oznajmił jednocześnie:

- Bello, skarbie, nikt nie ma ci tego za złe. I tak bardzo dobrze sobie radzisz.

Od incydentu pod lasem nie dali mi jeszcze dojść do słowa. Mój nastrój pogarszało dodatkowo to, że Edward miał wyraźne trudności z maskowaniem powracającego mu bez przerwy na twarz uśmiechu. Było oczywiste, że Jacob nie zasłużył sobie na mój atak, ale mój ukochany wydawał się czerpać z tego przykrego zajścia chorą satysfakcję. Może po prostu żałował, że nie jest nowo narodowanym wampirem, przez co nie miał żadnego pretekstu do rozładowania na Jacobie swojej irytacji?

Wyteżalałam siły, żeby wyrzucić reszki gniewu ze swojego ciała, ale nie przychodziło mi to łatwo, bo po pierwsze, gdy tu siedzieliśmy, to Jacob sprawował opiekę nad Renesmee, a po drugie przebywał z nią na dworze, żeby chronić ją przede mną. On był dobrym wujkiem, a ja oszalałam w krwiojęcach.

Carlisle zamocował kolejny kawałek uszywnienia na barku Setha i chłopak skrzywił się z bólu.

- Przepraszam, przepraszam! - wymamrotala pod nosem, wiedząc, że nigdy nie uda mi się przy nich wyartykułować nic więcej.

- Bella, luzik - powiedziała moja niedoszła ofiara, poklepując mnie po kolanie zdrową ręką. Edward, żeby mnie pocieszyć, poglaskał mnie z kolei po ramieniu.

Sethowi nie przeszkadzało nawet to, że podczas gdy doktor go opatrywał, siedziałam obok niego na kanapie.

- Za pół godziny będę zdrow jak ryba - ciągnął, nie przestając mnie poklepywać, chociaż kolano miało zimne jak lód i twarde jak kamień. - Miałas prawo się zdenerwować, kiedy usłyszałaś o Jake'u i Ness... - Nie dokończył, za to szybko zmienił temat. - To znaczy, nawet go nie ugryźłaś ani nic. To by dopiero było.

Schowalam twarz w dloniach. Drżałam na samą myśl o tym na samą myśl o tym, że byłam tego tak bliska. Tak mało brakowało. A dopiero teraz mi powiedziano, że wilkołaki nie reagowały na wampiryzm jad tak samo jak ludzie.

Dla nich była to trucizna.

- Jestem okropna...

- Śładże znowu. Powinienem był... - zaczął od nowa Edward.

- Daj spokój - westchnęłam. Nie chciałam, żeby i tym razem brał winę na siebie, tak jak to zawsze miał z zwyczajem.

Na moment zapadła krępująca cisza.

- Dobrze, że Ness... Renesmee nie ma w ślinie żadnego trującego jadu, skoro w kółko Jake'a podgryza - zauważył Seth.

Opuściłam ręce.

- Podgryza za go?

- Non stop. Jeśli tylko on albo Rose dostatecznie szybko nie podsuwają jej czegoś do jedzenia, a raczej do picia. Rose uważa, że to strasznie zabawne.

Wpatrywałam się w niego szokowana. Musiałam przyznać, że ta wiadomość w szczególnie sposób odrobinkę mnie ucieszyła, ale miałam z tego powodu wyrzuty sumienia.

Oczywiście wiedziałam już, że moja córka nie ma w ślinie jadu byłą pierwszą osobą, którą ukaśliła. Nie mogłam jednak powiedzieć tego jednak na głos, bo udawałam przeżycie, że z porodu i swojej przemiany nic nie pamiętałam.

- No cóż, Seth - odezwał się Carlisle, prostując się i odsuwając od kanapy. - Myślę, że na razie to wszystko, co mogę dla ciebie zrobić. Postaraj się teraz nie ruszać przez, hm, pewnie tak z kilka godzin. Ach! - zaśmiał się - Żeby tak leczenie ludzi przynosiło tak szybko takie wspaniałe rezultaty! - Na chwilę położył rękę na głowie swojego pacjenta. - Żadnego wiercenia się! - rozkażał mu na odchodnym, po czym udał się do swojego gabinetu. Słyszcząc, jak zamykają się za nim drzwi, zastanowiłam się, czy usunęły już z pokoju wszelkie ślady mojej tam bytności.

- Chyba da się tak wysiedzieć - stwierdził Seth, a potem ziewnął potężnie. Ostrożnie, upewnając się, że nie zmienia pozycji swojego barku, osunął się na oparcie i zamknął oczy. Zaledwie kilka sekund później rozdziawił usta rozluźniony snem.

Przez dobrą minutę przyglądałam się ze zmarszczonym czołem jego spokojnej twarzy. Podobnie jak Jacob, posiadał umiejętność natychmiastowego zapadania w sen na życzenie. Wiedząc, że w najbliższym czasie nie będę mieć okazji znowu go przeprosić, podniosłam się z kanapy. Nawet przy tym nie drgnęła. Wszystko, co dotyczyło sfery fizycznej, było teraz dla mnie takie proste, ale reszta...

Edward podszedł za mną do ściany szklanej i wziął mnie za rękę.

Leah przechadzała się nerwowo wzdłuż brzegu rzeki, zatrzymując się raz po raz, żeby zerknąć w kierunku domu. Nietrudno było ocenić, kiedy wpatrywała swojego brata, a kiedy mnie. W tym pierwszym wypadku przyglądała na zaniepokojoną - w tym drugim, jak gdyby ostrzyła sobie zęby.

Z schodów wierandy przed frontowymi drzwiami dochodziły mnie głosy Jacoba i Rosalie, sprzeczących się cicho o to, czyja to kolej nakarmić Renesmee. Byli nastawieni do siebie równie wrogo jak przed kilkoma dniami. Jedyńą rzeczą, co do której się zgadzali, było to, że małą należało trzymać jak najdalej ode mnie, dopóki w stu procentach nie odzyskam równowagi po swoim wybryku. Edward próbował ich nieco wcześniej przekonać, że nie jest to konieczne, ale ja nie miałam zamiaru się z nimi kłócić. Też wolałam nie ryzykować. Martwiłam się tylko, że kiedy sama zyskam pewność, że już wszystko za mną w porządku, tych dwoje i koniecznie zyska ją wraz ze mną.

Seth odchyłał powoli, Leah posapywała rozdrażniona, a tamtych dwoje szeptało na schodkach, ale poza tym nie docierały do mnie żadne inne odgłosy. Emmett, Alice i Esme wybraли się na polowanie, a Jasper, chociaż został, żeby mnie pilnować, i stał teraz na posterunku za filarem schodów, starał się nie narzucać mi swojej obecności.

Postanowiliśmy wykorzystać tę chwilę spokoju na przemyślenie tego, co opowiedzieli mi Edward i Seth, podczas gdy Carlisle nastawiał temu drugiemu złamany bark. Plonąc na sali operacyjnej, sporo przegapiłam i dopiero teraz miałam okazję nadrobić braki.

Najważniejszą wiadomością była taka, że konflikt ze sforą Sama należał już do przeszłości - to dlatego trójka Cullenów mogła wybrać się do lasu, nie stosując żadnych środków ostrożności. Pakt wiązał obie strony z tą samą siłą co dawniej. A właściwie to nawet z większą.

Z większą, ponieważ najbardziej święte z praw watahy głosiło, iż zdanemu jej członkowi nie wolno zabić osoby, którą wpoił był sobie jego brat. Taki czyn ściągnąłby na wszystkie wilki nieopisane cierpienia. Bez względu na to, czy w grę wchodziłby morderstwo czy też fatalna pomyłka, poszkodowany nie byłby w stanie winowajcy przebaczyć i stoczyłby z nim pojedynkę na śmierć i życie. Inna opcja nie wchodziła w rachubę. Jak wyjaśnił mi Seth, w historii plemienia doszło raz do takiej tragedii, a dziewczy na zginęła właśnie przez przypadek.

Tak więc, dzięki uczuciu, jakim obdarzył ją Jacob, Renesmee była teraz nietykalna. Staralam koncentrować się na uldze, jaką przynosiła mi ta informacja, zamiast na swoim rozgoryczeniu, ale miałam z tym trudności. W moim umyśle było dość miejsca, bym doświadczyła obu tych emocji jednakowo intensywnie.

Sam nie mógł też oskarżać Cullenów o to, że zmienili mnie w wampira, bo zezwolił na to Jacob, wypowiadając się jako jedyna prawdziwa Alfa i sukcesor Ephraima. W kółko uświadamiałam sobie na nowo, ile zawiądzęcam swojemu przyjacielowi. Było to nie do zniesienia, bo miałam ochotę wyłączyć się na niego wściekać.

Żeby czasami znowu nie wybuchnąć, celowo skierowałam swoje myśli gdzieś indziej i zajęłam się kolejnym intrygującym fenomenem: Jacob i Sam odkryli, że chociaż nadal istniały dwie sfory, jako ich przywódcy mogli się z sobą porozumiewać w swojej zwierzęcej postaci. Różniło się to znacznie od więzi łączącej ich wcześniej - nie potrafili czytać sobie we wszystkich myślach, tak jak przed rozłaniem. Seth twierdził, że przypominało to bardziej zwyczajną rozmowę. Sam mógł słyszeć tylko te myśli Jacoba, które ten był mu skłonny udostępnić i *vice versa*. Ustallili również, że mogą tak przekazywać sobie informacje na większą odległość, co, skoro się pogodzili, z pewnością miało okazać się przydatne.

Nie zorientowali się, że to możliwe, dopóki Jacob - naturalnie wbrew bliżniom Setha i Lei - nie wybrał się sam do La Push, żeby wytłumaczyć Samowi, co się wydarzyło i kim jest dala niego Renesmee. Odkąd zobaczyli ją wrócić po jej narodzinach, spuścili ją z oczu wyłącznie raz.

Zrozumiawszy, że sytuacja zmieniła się diametralnie, Sam wrócił z Jacobem, żeby złożyć wizytę Carlisle'owi. Musiał spotkać się z nim jako człowiek, bo Edward, nie chcąc opuszczać mojego boku, odmówił wystąpienia w roli tłumacza. Tym sposobem pakt został zawarty na nowo. Nie było to tylko wiadomo, czy wampiry i wilkołaki miały jeszcze kiedykolwiek nawiązać między sobą prawdziwie przyjacielskie stosunki.

Jedno duże zmartwienie z głowy.

Ale miałam jeszcze inne. Nie wiązało się ono wprawdzie z żadnym fizycznym zagrożeniem, tak jak w przypadku stada rozsierdzonych basiorów, jednak mimo to uważałam tę sprawę za pilniejszą.

Chodziło o Charliego.

Rano rozmawiał z Esme, ale i tak nie powstrzymało go przed tym, by zadzwonić jeszcze dwukrotnie i to całkiem niedawno - dokładnie w tym samym momencie, w którym Carlisle opatrywał Setha. Nie ustaliwszy jeszcze ze mną oficjalnej wersji wydarzeń, doktor i Edward tył telefonów po prostu nie odebrał.

Co powinnam była mu powiedzieć? Czy Cullenowie mieli rację, sugerując mi, że najlepiej byłoby dla niego, gdyby umarła? Czy zdołałabym leżeć spokojnie w trumnie, słyszając, jak płaczą nade mną moi zrozpaczeni rodzice?

Wydawało mi się, że postępując tak, zrobiłabym im świństwo. Ale, z drugiej strony, gdyby m zradziła im swoją tajemnicę, ściągnęłabym na nich gniew Volturi, a tego, rzecz jasna, za wszelką cenę chciałam uniknąć.

Miałam własny pomysł na to, jak to załatwić. Chciałam zacząć, aż będę na to gotowa, i pokazać się Charlie'm, żeby sam mógł wyciągnąć wnioski. Formalnie rzecz biorąc, prawo wampirów nie zostałoby naruszone. Czy nie byłoby lepiej dla Charliego, gdyby wiedział, że żyje - w pewnym sensie - i że jestem szczęśliwa? Nawet jeśli okazałoby się, że jestem czymś dziwnym, czymś innym, czymś, co najprawdopodobniej miało go przerazić?

Zwłaszcza moje oczy były jeszcze zbyt straszne. Ile jeszcze dokładnie musiało minąć czasu, żeby moje tęczywkłki przybrały odpowiedni kolor, a moje zachowanie przestało zaskakiwać mnie samą?

- Co stało, Bello? - spytał cicho Jasper, zauważywszy moje rosnące podenerwowanie. - Nikt się na ciebie nie gniewa. - Przerwał mi basowe warknięcie dochodzące znad rzeki, ale zignorował je. - Nikt nie jest nawet zaskoczony, naprawdę. Chociaż nie, w pewnym sensie jesteśmy zaskoczeni. Nikt się nie spodziewał, że uda ci się tak szybko z tego otrząsnąć. Światnie sobie radzisz. Lepiej, niż oczekiwaliśmy.

Im dłużej mówił, tym w salonie robiło się spokojniej. Seth zaczął pochrapywać. Niewątpliwie się rozluźniłam, nie zapomniałam jednak o tym, co mnie gryzło.

- Myślałam właśnie o Charlie'm - wyjaśniałam.

Kłótnia na schodkach dobiegła końca.

- Ach, tak - mruknął Jasper.

- Nie da się inaczej, prawda? Musimy wyjechać? Przynajmniej na jakiś czas. Udawać, że jesteśmy w Atlantycie, czy coś w tym stylu.

Czułam na sobie spojrzenie Edwarda, ale patrzyłam dalej na Jaspera. To on odpowiedział z powagą na moje pytanie.

- Tak. Tylko tak możemy chronić twojego ojca.

Zamilkłam na chwilę.

Tak bardzo będzie mi brakowało. Wstyżających cię sąd będzie mi brakowało.

Na przykład Jacoba, pomyślałam mimowolnie. Choć moja tęsknota za nim znikła i została wylęczona - zresztą ku mojej wielkiej uldze - pozostawał wciąż moim przyjacielem. Kimś, kto naprawdę dobrze mnie znał i kto mnie akceptował. Nawet jako potwora.

Przypomniałam mi się, o czym m wspomniał, wysuwając kolejne argumenty, zanim go zaatakowałam: „Powiedziałaś, że istnieje między nami szczególnie więź. Że kiedy przy tobie jestem, wszystko jest na swoim miejscu. Że zawsze będę i będę członkiem twoi rodziny. No i masz, czego chciałaś?”

Nie, nie tego chciałam. To nie tak miało być. Sięgnęłam pamięcią głębiej, do ulotnych, zamglonych wspomnień z czasów, kiedy byłam człowiekiem, a dokładniej do okresu, który pamiętałam najslabiej - do miesięcy bez Edwarda - miesięcy tak mrocznych, że usiłowałam ukryć je w najbardziej zakamarkach swojej świadomości. Nie potrafiłam przypomnieć sobie, jakich słów wtedy użyłam - pamiętałam tylko, jak żalowałam, że Jacob nie jest moim bratem, bo nasza miłość byłaby wówczas prostą i nie sprawiałaby nam bólu. Czy li owszem, marzyłam o tym, abyśmy byli rodziną. Ale nie brałam pod uwagę jeszcze jednej możliwości - że w grę może wchodzić jakaś moja córka.

Przypomniałam też sobie, jak nieco później, przy okazji jednego z wielu naszych pożegnań, zastanawiałam się, z kim Jacob się kiedyś zwiąże - kto odbuduje jego życie po tym, co mu zrobiłam. Powiedziałam wtedy coś w rodzaju, że kimkolwiek ta dziewczyna będzie, z pewnością nie będzie dala niego dość dobra.

Prychnęłam i Edward pytająco uniósł brew. Nic mu nie wyjaśniłam, potrząsnęłam tylko głową.

Byłam świadoma, że tęsknota za moim przyjacielem to nie wszystko. Nasz wyjazd miał spowodować dodatkową komplikację. Czy Sam, Jared albo Quil musieli kiedykolwiek wytrzymać choć jeden dzień z dala od obiektów swoich fiksjacji, Emily, Kim i Claire? Czy byłoby w stanie tyle przetrwać? Co by się stało, gdyby Jacob nie miał kontaktu z Renesmee? Czy bardzo by cierpiał?

Tliło się we mnie jeszcze na tyle dużo rozdziarnienia, że nawet mnie to ucieszyło - nie wizja cierpiącego Jacoba, tylko perspektywa go do małej. Jak miałam zaakceptować fakt, że moja córka należała do niego, skoro ledwie zdawała się należeć do mnie?

Moje myśli przerwał jakiś ruch na werandzie. Usłyszałam, jak tamtych dwoje wstaje, a zaraz potem pojawili się na progu. W tym samym momencie doskoczył do mnie Jasper, a po schodach zszedł Carlisle, niosący całe mnóstwo różnych zaskakujących przedmiotów, w tym centymetry, krawiec i wagę. Czyżby otrzykali jakiś sygnał, którego nie zauważyłam? Nawet Leah usiadła na zewnątrz i spoglądała przez okno z takim wyrazem pyska, jakby oczekiwała na coś dobrej jej znanego i jednocześnie zupełnie jej nieinteresującego.

- Musi być szosta - odezwał się Edward.

- I co z tego? - spytałam, obserwując uważnie Rosalie, Jacoba i Renesmee. Nadal stali w drzwiach: Rose, która trzymała małą na rękach, miała się na baczności, Jacob wyglądał na zmartwionego, a moja królowna na zniecierpliwioną.

- Czas zmierzyć Ness... to znaczy Renesmee - wytłumaczył mi Carlisle.

- Och. Rozumiem. Robicie to codziennie?

- Cztery razy dziennie - poprawił mnie doktor machinalnie, bardziej niż na mnie, skupiony na trójce przy drzwiach. Wskazał im ręką, że mają podejść do kanapy. Nie byłam pewna, ale chyba zobaczyłam, jak moja córeczka wzdycha.

- Aż cztery razy? Ale po co?

- Ona nadal bardzo szybko rośnie - szepnął Edward, nie ukrywając swojego zaniepokojenia. Ścisnął moją dłoń, a drugą ręką objął mnie w talii, jak gdyby musiał się o mnie oprzeć, żeby się nie przewrócić.

Nie byłam w stanie oderwać od małej oczu, żeby sprawdzić jaką mój ukochany ma minę.

Wyglądała kwitnąco, jak okaz zdrowia. Jej skóra przypominała swoim kolorem podświetlony alabaster, a policzki miały odcień płatków róży. Tak promienne piękno nie mogło paść ofiarą choroby. Nic nie zagrażało jej życiu bardziej niż jej własna matka. A może jednak?

Różnica pomiędzy dzieckiem, które urodziłam, a tym które zobaczyłam przed godziną była oczywista. Różnica pomiędzy Renesmee przed godziną a Renesmee teraz była subtelniejsza. Ludzkie oczy nigdy by jej nie dostrzegły, ale moje tak.

Jej ciało wydłużyło się niezznacznie i było odrobinę szersze. Twarzytka nie była już okrągła, ale raczej owalna. Jej łeczki dotykały ramion odrobinę niżej. Akurat wtedy, kiedy Carlisle zabrał się do mierzenia taśmą jej wzrostu, przeciągnęła się pomocnicie w ramionach Rosalie. Sprawdzał też obwód jej głowy, ale nie zapisał wyników - jak wszyscy stkie wampiry, miał doskonałą pamięć.

Zauważyłam, że Jacob przy ciska do piersi ręce z siłą podobną do tej, z jaką obejmował mnie Edward. Ściągnął swoje krzaczaste brwi tak, że połączyły się ponad jego głębok osadzonymi oczami.

Renesmee rozwinęła się z pojedynczej komórki w spore niemowlę w ciągu kilku tygodni. Zaledwie kilka dni po swoich narodzinach wyglądała tak, jakby ła da chwila miała nauczyć się chodzić. Jeśli takie tempo wzrostu miało się utrzymywać...

Byłam wampirzycą. Mój umysł nie miał już najmniejszych trudności z rachunkami.

- Co zrobimy? - wyszeptalam przestraszona.

Edward przy cisnął mnie do siebie jeszcze mocniej. Doskonale wiedział, o co mi chodzi.

- Nie wiem.

- Już zwalnia - mruknął Jacob przez zacisnięte zęby.

- Jacob, musimy kontynuować pomiary jeszcze przez kilka dni, żeby uzyskać pewność. Nie mogę nic obiecać.

- Wczoraj urosła o pięć centymetrów. Dzisiaj wyszło mniej.

- Mniej o siedemdziesiąt dziewięć tysięcznych centymetra, jeśli się nie pomyliłem przy pomiarze - odparł cicho Carlisle.

- Lepiej byłoby, żebyś się nie mylił - stwierdził Jacob niemalże groźnym tonem.

Rosalie zeszywniała.

- Robię wszystko, co w mojej mocy - zapewnił go doktor.

Jacob westchnął.

- No tak, chyba niczego więcej nie mogę wymagać.

Znów poczułam irytację, jak gdyby Jacob mówił to, co sama chciałam powiedzieć - ale wszystko przelęcał.

Renesmee również wydawała się być poirytowana. Zmrużyła gniewnie oczy, a potem wladczo wyciągnęła rękę ku Rosalie, która pochyliła się, by dziewczynka mogła dotknąć jej twarzy. Po chwili ciszy Rose westchnęła.

- Czego chce? - zażądał odpowiedzi Jacob. Znowu mnie wyprzedził - wyjął mi to pytanie z ust.

- Jak to czego? Chce do Belli - odparła Rosalie. Jej słowa sprawiły, że po moim sercu rozlało się ciepło. Spojrzała na mnie.

- Jak się czujesz?

- Martwię się - przyznałam.

Edward ścisnął mnie znacząco.

- Wszyscy się martwimy. Nie o to mi chodzi.

- Kontroluję się - dodałam.

Pragnienie zeszło na dalszy plan. Poza tym, cudowny zapach Renesmee wcale nie kojarzył mi się z czymś do jedzenia.

Jacob przy gryzł dolną wargę, ale nie poruszył się, kiedy Rosalie dała mi dziecko. Jasper i Edward pochyliłi się ku niemu, ale pozwolili mi je wziąć. Widać było, że i Rose jest spięta. Zaciekawilo inne, dlaczego Jasper nie robił nic, żeby pomóc pozostałym. Może do tego stopnia się na mnie koncentrował, że nie docierało do niego emocje innych?

Renesmee i ja wyciągnęłyśmy ku sobie ręce. Jej buźkę rozświetlił promienny uśmiech. Jej ciało idealnie wpasowywało się w moje objęcia, jakby moje ramiona zostały stworzone właśnie dla niej. Od razu przyłożyła mi swoją gorącą dłoń do policzka.

Teoretycznie byłam na to przygotowana, a jednak kiedy jej wspomnienie stanęło mi przed oczami wyrażne jak wizja, zaskoczona, głośno zaczerpnęłam powietrza. Obraz oszałamiał jaskrawością barw, a jednocześnie był zupełnie przezroczysty.

Pokażała mi, jak atakuję Jacoba na trawniku przed domem, a potem jak Seth daje susa pomiędzy nas. Szczegółowo zapamiętywała wszystko, co widziała i słyszała. Nie wyglądałam w jej reminiscencjach jak ja, ale jak jakiś winny drapieżnik dopadający swojej ofiary z prędkością wypuszczonej z luku strzaly. To nie mogłam być ja. Doszedłszy do takiego wniosku, poczułam się odrobinę mniej winna, przyglądając się bezbronnemu Jacobowi, który stał tylko z wyciągniętymi ku mnie rękami i nawet się nie trząśł, żeby zmienić się w wilka.

Edward ogłądał myśli naszej małej wraz z mną. Zasmiał się cicho, ale zaraz potem skrzywiliśmy się oboje, słysząc trzaskamiący ch się kości Setaa.

Renesmee obdarzyła mnie kolejnym wspaniałym uśmiechem. Przez resztę wizji nie odrywała wzroku od Jacoba. Kiedy tak na niego patrzyła, wylapałam w jej wspomnieniach nową nutę - była wobec niego nastawiona nie tyle opiekuńczo, co zaborczo. Odnosiłam wrażenie, że się ucieszyła, widząc, że Seth obronił go przed moim atakiem. Nie chciała, by mu coś się stało. Jacob był jej.

- O, nie! - jęknęłam. - Jeszcze tego brakowało!

- To dlatego, że on smakuje lepiej, niż my - zapewnił mnie Edward głosem zniekształconym przez swoje własne rozdziarnienie.

- Mówilem ci, że ona też mnie lubi - zawołał Jacob z drugiego końca pokoju, nie spuszczał oczu ze swojej pupili. Niby żartował, ale nie był do końca zrelaksowany - nadal marszczył brwi.

Renesmee niecierpliwie poklepała mnie po policzku, domagając się uwagi. W moim umyśle pojawiły się nowe wizje.

Rosalie rozczesująca szcztoką jej gęste lok. Przyjemne uczucie.

Carlisle mierzący ją taśmą. Wiedziała, że musi się wyprostować i znieruchomieć, ale co z nią robi, to już jej nie interesowało.

- Wygląda na to, że pokaze ci wszystko, czego nie widziałaś - szepnął mi Edward do ucha.

- Kiedy obdarzyła mnie kolejną scenką, zmarszczyłam nos. Zapach wy doby wający się z dziwnego metalowego kubka (musiał być z czegoś na tyle twardego, żeby nie można go było łatwo przegrzyć) zapiekł w moim gardle żywym ogniem. Auć!

Nie wiedzieć kiedy, ktoś zabrał mi Renesmee, a ktoś inny wykręcił mi ręce do tyłu. Tą drugą osobą był Jasper. Nie próbowałam się z nim szarpać, tylko zerknęłam na spanikowanego Edwarda.

- Co ja takiego zrobiłam?

Spojrzał na stojącego za mną Jaspere, a potem znowu na mnie.

- Ale przecież mała myślała o tym, jak chciało jej się pić... - mruknął zaskoczony Edward, drapiąc się po głowie. - Przecież przypomi niała sobie smak ludzkiej krwi...

Jasper wznowił swój uścisk Mimochoodem zauważyłam, że nawet mi to nie przeszkadza, nie mówiąc już o tym, że sprawiło mi to ból, jak każdemu zwyktemu śmiertelnikowi. Mnie jedynie to irytowało. Gdybym chciała, z łatwością mogłabym się mu wyrwać, ale nie stawiałam najmniejszego oporu.

- Zgadza się - powiedziałam. - No i co z tego? Co takiego zrobiłam? - powtórzyłam.

Edward jeszcze przez chwilę ścigał brwi, a potem jego twarz rozjaśniła się. Zasmiał się krótko.

- Nic, zupełnie nic. To ja się zapędziłem. Jazż, puść ją. Jasper posłusznie się ode mnie odsunął. Gdy tylko to zrobił, sięgnęłam ku Renesmee, a Edward podał mi ją bez wahania.

- Nic nie rozumiem - odezwał się Jasper. - To nie do miesienia.

To powiedziawszy, wyszedł szybko przez tylne drzwi. Zaskoczona, odprowadzałam go wzrokiem. Leah przesunęła się, żeby nie musiał przechodzić koło niej. Dotarłszy w kilkanaście sekund do brzegu rzeki, przesadził ją jednym zgrabnym suszem.

Renesmee dotknęła mojej szyi i niczym gola na meczu ponownie pokazała mi scenę jego wyjścia. Wyczułam w jej myślach nieme pytanie, ale nie znalazł na nie odpowiedzi - mnie samej też się ono nasunęło.

Otrząsnęłam się już z szoku po odkryciu jej niezwykłej umiejętności. Teraz wydawało mi się to bardzo naturalne - taka po postu była. Właściwie można się było czegoś takiego spodziewać. Być może, jako że sama stałam się częścią świata rodem z legend, już nigdy nie miałam oceniać czegoś ze sceptycyzmem.

- Ale co się działo z Jasperem?

- Wróci - powiedział Edward. Nie byłam pewna, czy zwraca się do mnie, czy do małej. - Musi pobyć trochę sam, żeby dopasować swoje poglądy do tych wszystkich rewelacji.

W łacikach jego ust czaił się lobuzerski uśmiech.

Kolejne ludzkie wspomnienie - Edward tłumaczący mi, że Jasper ma dość bycia „czarną owcą rodziny” i pewnie poczulby się dużo lepiej, gdybym „miała problemy z dostosowaniem się” do ich „stylu życia”. Słowa te padły w czasie naszej rozmowy o tym, ilu ludzi zabiję podczas mojego pierwszego roku jako nowo narodzony wampir.

- Jest na mnie zły? - spytałam cicho.

Edward otworzył szeroko oczy.

- Nie, skąd. A czemu niby miałby być?

- To w takim razie, co go gryzie?

- To do siebie ma pretensje, nie do ciebie, Bello. Dręczy go to, że... że może jednak to świadomość kształtuję byt. Rozumiesz - że jest coś takiego, jak samospełniające się przepowiednie.

- Jaktó? - wtęził się Carlisle.

- Jasper łamie sobie teraz głowę nad tym, czy agresja nowo narodzonych to naprawdę coś wrodzonego, coś nie do uniknięcia, czy też, jeśli przeprowadzić by przemianę w odpowiedni sposób i na odpowiednio przygotowanej jednostce, każdy zachowywałby się równie poprawnie, jak Bella. Zaczął się zastanawiać, czy sam ma z sobą takie a nie inne problemy tylko dlatego, iż wierzył dotąd, iż nie ma innej drogi. Może gdyby wyżej postawił sobie poprzeczkę, udaloby mu się ją przekroczyć. Twoje opanowanie, Bello, podważa wiele tez, które uważaś dotąd za prawdziwe.

- Niesprawiedliwie się osądza - stwierdził Carlisle. - Każdy jest inny. Przed każdym stoją inne wyzwania. Może zachowanie Belli odbiega od normy po prostu dlatego, że jest wyjątkowa. Może tak właśnie objawia się jej szczególny dar.

Zaniemówiłam. Wyczuwszy moje zaskoczenie, Renesmee dotknęła mnie, żeby pokazując mi raz jeszcze ostatnią sekundę, dać mi do zrozumienia, że nie wie, czym się tak przejęłam.

- To interesująca teoria - przyznał Edward - i całkiem wiarygodna.

Przez ulamek sekundy byłam rozczarowana. Co takiego? Żadnych magicznych wizji? Żadnych przydatnych w walce umiejętności budzących respekt czy grozę - ciskania oczami błyskawic czy czegoś w tym rodzaju? Nic praktycznego. Nic, czym można by było chociaż pospanować?

Ale im dłużej myślałam o tym, że moim darem ma być jedynie samokontrola, tym więcej doszukiwałam się w tym zalet.

Po pierwsze, przy najmniej miałam jakiś talent. Mało brakowało, a musiałabym m obejść się smakiem.

O wiele ważniejsze było jednak to, że jeśli Edward miał rację, miało mi być mimo wszystko darowane doświadczenie, którego najbardziej się obawiałam.

Co, jeśli wcale nie musiałam pójść w ślady innych czy nowo narodzonych wampirów i zamienić się w żądną krwi maszynę do zabijania? Co, jeśli wcale nie musielim nie ukrywać przez rok na jakimś pustkowiu, żebyim „dojrzała”? Co, jeśli, tak jak Carlisle, nie miałam zabić ani jednej niewinnej osoby? Co, jeśli miałam pominąć okres przejściowy i od razu dostosować się do zasad obowiązujących w domu Cullenów? Co, jeśli od razu mogłam stać się dobrym wampirem?

Mogłabym zobaczyć się z Charliem.

Westchnęłam, bo zaraz zesłam z powrotem na ziemię. Nie, nie mogłam zobaczyć się z nim tak szybko. Te oczy, ten głos, to ulepszone ciało... Co miałbym mu powiedzieć? Od czego w ogóle miałabym zacząć? W głębi ducha cieszyłam się, że dysponuję jakimiś wymówkami, dzięki którym mogę odłożyć pewne rzeczy na później. Z jednej strony marzyłam o tym, żeby znaleźć jakoś dla niego miejsce w swoim nowym życiu, ale z drugiej na samą myśl o naszym pierwszym spotkaniu przechodziły mnie ciarki. Wyobraziłam sobie, jak na widok mojej nowej twarzy i mieniającej się skóry, oczy wychodzą mu z orbit. Jak bardzo miał być przerażony! Jakież to mroczne wyjaśnienia przyszyby mu do głowy!

O nie, byłam takim tchórzem, że wolałam już odczekać ten rok, aż moje oczy przybiorą jakiś normalniejszy kolor. A można by było pomyśleć, że bycie niezmiészalnym sło w parze z byciem nieustraszonym...

- Czy kiedykolwiek miałeś do czynienia z samokontrolą jako tego typu darem? - spytał Edward Carlisle'a. - Naprawdę uważasz, że to tego typu umiejętność, a nie efekt starannych przygotowań i odpowiedniego nastawienia?

Doktor wzruszył ramionami.

- Przypomina to nieco to, co od zawsze potrafi robić Siobhan* [Siobhan - czyt. „sziwon” z akcentem na drugą sylabę - przyp. tłum.], chociaż ona sama nie nazywa tego darem.

- Siobhan? Ta twoja znajoma z rodziny irlandzkich wampirów? - upewniła się Rosalie. - Nie zdawałam sobie sprawy, że posiada jakieś szczególnie predyspozycje. Myślałam, że tylko Maggie jest spośród nich utalentowana.

- Bo i sama Siobhan jest tego zdania. Ale jest w niej coś takiego, że kiedy coś sobie postanowi, to osiąga to prawie że... samą siłą woli. Tłumaczy, że to tylko zasługa dobrej organizacji czasu, ale od lat podejrzewam, że kryje się za tym coś więcej. Weźmy na przykład to, co się stało, kiedy podjęła decyzję o przyjęciu Maggie do ich grupy. Z początku Liam miał nowo przybyłą za konkurencję, ale Siobhan zależało na tym, żebyim się dogadali, i jakoś dopięła swego.

Kontynuując tę dyskusję, Edward, Carlisle i Rosalie zajęli miejsca w fotelach. Jacob wyglądał na zmęczzonego, ale instynkt opiekuńczy nakazał mu usiąść koło Setha. Sądząc po tym, jak często nieprzytomnie mrugał, lada chwile miał odpłynąć w niebyt.

Przysłuchiwałam się toczącej się rozmowie, ale moja uwaga była podzielona - Renesmee nadal opowiadała mi o swoim dniu. Trzymałam ją na rękach przy oknie. Patrzyliśmy sobie prosto w oczy, a ja, kierowana odruchem, delikatnie ją kołysalam.

Dopiero teraz zorientowałam się, że pozostali wcale nie musieli siedzieć. Długie stanie zupełnie mi nie doskwierało. Równie dobrze mogłabym leżeć wyciągnięta wygodnie na łóżku. Wiedziałam, że mogłabym tak stać bez ruchu choćby i ty dzień, a siódmego dnia byłabym tak samo wypoczęta jak na samym początku.

Domyśliłam się, że moi bliscy siadają z przyzwyczajenia. Za bardzo rzucaliby się w oczy, gdyby wystawiali gdzieś całymi godzinami, ani razu nie zmieniając pozycji. Nawet tutaj, u siebie w domu, Carlisle zakładał nogę na nogę,

a Rosalie od czasu do czasu przeczesywała sobie palcami włosy. Dzięki tym drobnym gestom mniej przypominali posagi, a bardziej zwykłych ludzi. Odnotowałam w pamięci, że muszę przeanalizować ich zachowanie i zacząć brać z nich przykład.

Na próbę przeniosłam ciężar ciała z jednej stopy na drugą. Czulałam się idioty cznie, musząc robić takie rzeczy bez potrzeby.

Może zaangażowali się tak bardzo w tę rozmowę, żebyim mogła spędzić trochę czasu sam na sam z swoim dzieckiem?

Też mi „sam na sam”. Ale przynajmniej mała była bezpieczna.

Renesmee opowiadała mi swój dzień w najdrobniejszych szczegółach. Śledząc historjkę za historjką, odniosłam wrażenie, iż pragnie, bym ją poznała, tak samo mocno, jak pragnęłam tego ja. Smucilo ją to, że tyle przegapiłam - na przykład to, jak przy czaiła się z Jacobem pod drzewem i razem obserwowali skaczące w trawie wróbelki, a te podchodziły do nich coraz bliżej (musiał być to Jacob, bo Rosalie ptaki się bały). Albo jak bardzo nie smakowało jej jakieś białe lepkie obrzydlistwo, które Carlisle podał jej w kubeczku - mleko modyfikowane. Pachniało jak kwaśna ziemia. Albo jak Edward zaśpiewał jej słodko piosenkę, co tak jej się spodobało, że puściła mi ten fragment dwukrotnie. Niespodzianką było dla mnie to, że w tym wspomnieniu zobaczyłam siebie - leżałam zupełnie nieruchomo na stole operacyjnym w gabinecie Carlisle'a i chociaż byłam już wampirzycą, wyglądałam wciąż na umęczoną i wymizerowaną. Wzdrygnęłam się, przypominając sobie ten czas z własnej perspektywy. Ten potworny ogień...

Minęła godzina. Seth i Jacob pochrapywali chórem na kanapie, u pozostali nadal zawzięcie dyskutowali, kiedy nagle wizje Renenee zaczęły dziwnie się rozjeżdżać. Kontury podsyłanych przez nią obrazów rozmaływały się coraz bardziej, a poszczególne historyjki urywały się przed czasem. Spanikowana, miałam już zaalarmować Edwarda (czy z małą wszystko było aby w porządku?) kiedy powieki jej zadrgały, a potem opadły. Miały barwę białych płatków lawendy, jak białe obłoczki tuż przed zachodem słońca. Małeńka ziewnęła rozkosznie, układając swoje pełne usteczka w kształtne kółeczko, i już ani razu nie otworzyła oczu.

Zасыpiając, oderwała paluszek od mojej skóry. Ciekawa, co z tego wyniknie, uważając, żeby jej nie zbudzić, ujęłam jej rączkę i przytknęłam ją sobie z powrotem do szyi. Z początku nic się nie działo, ale po kilku minutach z jej myśli wyleciała ku mnie chmara wielobarwnych motylków.

Przyglądałam się jej snom jak zaczarowana. Nie posiadały żadnej fabuły - składały się na nie tylko kolory, kształty i twarze. Zauważyłam wśród nich z satysfakcją swoją własną - a raczej oba swoje oblicza, bo i to ludzkie, zmaltretowane, i to nieśmiertelne, porażające urodą. Pojawiała się nawet częściej niż Edward i Rosalie - konkarować ze mną mógł tylko Jacob. Nie chciałam irytować się z tego powodu.

Dotarło do mnie, dlaczego Edward nie nudził się, przesiadując noc w noc przy moim łóżku, tylko po to, żeby słuchać, co mówię przez sen. Sny Renesmee mogłabym podziwiać całą wieczność.

Z zamyslenia wyrwał mnie zmieniony ton głosu mojego ukochanego.

- Nareszcie - powiedział i odwrócił się, żeby wyjrzeć przez okno.

Zapadł już purpurowy zmrok, ale widziałam równie wyraźnie, jak przedtem. Nic nie kryło się w ciemnościach, zmieniły się tylko kolory.

Leah, nadal zagniewana, podniosła się i zasyła w zaroślach. W tym samym momencie, po drugiej stronie rzeki wyłoniła się z lasu Alice. Zanim wyrzuciła swoje ciało w powietrze, rozbujała się na gałęzi niezmy cyrkowy akrobata, dotykając raz po raz zacisniętych na konarze palców dłoni palcami stóp. Esme przeskoczyła rzekę w bardziej konwencjonalny sposób, za to Emmett pokonał ją po prostu w bród, tak energicznie rozchlapiując przy tym wodę, że część kropli osiadła na dzielących go od nas szybach. Ku mojemu zdziwieniu, ich trójce towarzyszył Jasper. Pokonał rzekę śmiało, ale jakby nie pokazując, na co go stać.

Szeroki uśmiech widniejący na twarzy Alice z czymś mi się mgliście kojarzył. Uśmiechali się zresztą już wszyscy: Esme rozczulona, Emmett podeksycytowany, Carlisle uradowany, Rosalie odrobinę naburmuszona, a Edward trochę niepewny.

Alice wbiegła do salonu jako pierwsza, wyciągając ku mnie rękę. Bijące od niej niezcierpliwienie było tak silne, że prawie tworzyło wokół niej widzialną aurę. Trzymała całkiem zwyczajny mosiężny klucz, do którego przywiązano przesadnie dużą kokardę różowej satyny.

Kiedy mi go podała, machinalnie przycisnęłam do siebie Renesmee prawą ręką, tak żeby lewą mieć wolną i móc ją nadstawić. Alice upuściła klucz, kna moje rozczapierzone palce.

- Wszystkiego najlepsze go z okazji urodzin! - pisnęła głośno.

Wzniosłam oczy ku niebu.

- Pierwsze urodziny ma się dopiero w rok po swoich narodzinach pouczyłam ją - a nie w dniu przemiany.

Spojrziała na mnie z wyższością starszej siostry.

- Bello, to nie dlatego, że są twoje pierwsze wampirze urodziny. Dziś trzy nastę września! Kończy sz dziewiętnaście lat!

O, nie! Nie ma mowy! - pokręciłam energicznie głową, zauważając przy okazji, że mój siedemnastoletni mąż też szczerzy do mnie zęby. - Nie, to się już nie liczy. Przystałam się starzeć trzy dni temu. Już zawsze będę mieć osiemnaście lat.

- A gadaj sobie, co chcesz - machnęła ręką. - Obchodzimy te urodziny tak czy siak, więc lepiej się z tym pogódź. Westchnęłam. Rzadko kiedy wyłócać się z Alice miało jakiś sens. Myślałabym, że to niemożliwe, ale kiedy zobaczyła, że nie protestuję, jej uśmiech zrobił się jeszcze szerszy. - Gotowa na otwieranie prezentu? - zaświergotała. - Prezentów - poprawił ją Edward, wyciągając z kieszeni drugi klucz - srebrny i dłuższy od poprzedniego, z bardziej wyważoną, niebieską kokardą. Powstrzymałam się z wysiłkiem od ponownego wywrócenia oczami. Dobrze wiedziałam, do czego był to klucz - do mojego „posłubnego” samochodu. Zastanowiłam się, czy nie powinienam była czuć się podekscytowana. Cóż, najwyraźniej przemiana w wampira nie wywoływała automatycznie zainteresowania sportowymi autami.

- Mój pierwszy - zastrzegła Alice, a zaraz potem pokazała Edwardowi język, bo przewidziała jego odpowiedź. - Do mojego jest bliżej.

- Ale tylko popatrz, co ona ma na sobie - niemalże jęknęła. - Cały dzień aż mnie skręca, kiedy na nią patrzę. Trzeba temu jak najszybciej zaradzić. Ściągnęłam brwi, próbując wpaść na to, co mosięzny klucz mógł mieć wspólnego z zaopatrzeniem mnie w nowe ubrania. Czyżby Alice napelniła nimi jakiś wielki stary kufer?

- Wiem, co zrobimy. Zagramy o kolejność - zaproponowała. - Papier, nożyczki, kamień. Jasper zachichotał, a Edward westchnął. - Dlaczego po prostu nie powiesz nam, kto by wygrał? - spytał oschle. Sprawili jej tym ogromną przyjemność. - Kto by wygrał? Ja! - Zatarła ręce. - Doskonale. - To chyba nawet lepiej, że z moim poczekaliśmy do jutra Edward uśmiechnął się, wskazując brodą na Jacoba i Setha, którzy mieli się już chyba nie obudzić aż do rana. Ciekawa byłam, ile godzin znowu nie spali. - Myślę, że będzie fajniej, jeśli przy odsłonięciu mojego prezentu będzie Jacob. Przy najmniej ktoś okaże dostatecznie dużo entuzjazmu.

Też się uśmiechnęłam. Tak dobrze mnie znał. - To do dzieła - zakomenderowała Alice. - Bello, daj Ness... Renesmee Rosalie. - Gdzie zwykle spia?

Wzruszyła ramionami. - Na rękach u Rosalie. Albo Jacoba. Albo Esme. Tak to, widzisz, wygląda. Jeszcze nigdy w jej życiu nikt jej nie odłożył. Będzie najbardziej rozpieszczonym półwampirzakiem na świecie. Edward parsknął śmiechem, a Rosalie fachowym ruchem przejęła ode mnie małą.

- Będzie też najmniej rozpieszczonym półwampirzakiem na świecie - zauważyła, uśmiechając się do mnie szeroko. - To właśnie jest piękne w byciu jedyną w swoim rodzaju. Dopiero ten uśmiech utwierdził mnie w przekonaniu, że więź, która się między nami tak niespodziewanie wytworzyła, nadal istnieje. Bardzo mnie to ucieszyło, bo nie byłam wcale taka pewna, czy sytuacja się nie zmieni po tym, jak

zycie Renesmee nie będzie już zależało od mojego. Może walczyłyśmy jednak z Rose dostatecznie długo po tej samej stronie barykady, by już na zawsze pozostać przyjaciółkami. Nareszcie dokonałam tego samego wyboru, którego i ona dokonałaby na moim miejscu, i dzięki temu przeżyłyśmy chyba rozżalenie, jakie wzbudziły w niej inne moje decyzje.

Weisnąwszy mi do ręki swój przyozdobiony kokardą klucz, Alice wzięła mnie pod łokcie i poprowadziła ku tylnym drzwiom. - Chodźmy już, chodźmy - zachęcała mnie śpiewnie. - To coś jest na dworze? - zdziwiłam się.

- Tak jakby - mruknęła, popychając mnie do przodu. - Mam nadzieję, że ci się spodoba - zawołała za nami Rosalie. Jest od nas wsiąstką, a zwłaszcza od Esme. - To nie idziecie z nami?

Rozejrzałam się po pokoju. Do wyjścia nie szedł nikt oprócz nas dwóch i Edwarda. - Chcemy, żebyś miała szansę nacieszyć się nim najpierw w samotności - powiedziała Rosalie. - Ale jeśli będziesz chciała, opowiesz nam później, jak było. Emmett zaśmiał się głośno i coś w jego śmiechu spowodowało, że poczułam się tak, jak gdybym miała się zaraz zarumienić - nie wiedziałam tylko, co.

Uświadomiłam sobie, że wcale się aż tak bardzo nie zmieniłam. Nadal szczerze nienawidziłam niespodzianek i nie przepadałam za prezentami. Miło było odkryć, że tak wiele moich starych cech przeszło ze mną do tego nowego, obcego ciała.

Nie oczekiwałam, że będę sobą. Uśmiechnęłam się szeroko. Wyszędzsy za Alice w purpurową noc, nadal się uśmiechałam. - Bardzo ładnie - skomentowała moja przewodniczka z zadowoleniem. - Taką właśnie masz mieć minę, myśląc o moim prezencie.

Puściła moją rękę, po czym wzięła krótki rozbieg i dała susa na przeciwny brzeg rzeki. - Teraz ty! - zawołała. Edward skoczył równocześnie ze mną. Skok sprawił mi tyle samo frajdy co po południu, a może nawet większą, bo noc nadała wszystkim wokół nowe, głębsze barwy.

Alice puściła się biegiem w głąb lasu, kierując się na północ. Ruszyliśmy za nią. Wołałam podążać za cichymi odgłosami jej kroków i świeżą ścieżką wytyczoną przez jej zapach, niż wypatrywać jej w ciemnościach, wśród gęstej roślinności.

Nie wiedzieć czemu, po jakimś czasie nagle zawróciła, by cofnąć się do miejsca, w którym przystanąłam. - Ty lko mnie nie atakuj! - ostrzegła i... skoczyła mi na plecy. - Co ty wyprawiasz? - spytałam ją zaskoczona, krzywiąc się, bo zakryła mi dłońmi oczy. Miałam ochotę ją z siebie zrzucić, ale się powstrzymałam.

- Upewniam się, że nie będziesz podglądać - oznajmiła. - Sam mogłem o to zadbać, bez tego cyrku z braniem cię na barana - stwierdził Edward. - Mógłbyś pozwolić jej oszukiwać. Weź ją za rękę i zaprowadź, wiesz gdzie. - Alice... - zaczęłam.

- Nie kłopotz się, Bello - przerwała mi. - I tak zrobimy to po mojemu. Poczułam, że Edward wplata mi palce w moje własne. - Jeszcze tylko kilka minut. Potem znajdzie sobie następne ofiary. Pociągnął mnie za sobą. Bez trudu dotrzy mywałam mu tempa. Nie bałam się, że uderzę niechcący w drzewo - wiedziałam, że to ono byłoby w tym zderzeniu poszkodowane.

- Mógłbyś być nieco bardziej wdzięczny, wiesz - skarciła go Alice. - To poniekąd prezent dla was obojga. - Prawda. Więc jeszcze raz bardzo ci dziękuję. - Niech ci będzie. Okej. - Jej głos zrobił się zmienna wyżyła z podekscytowania. - Zatrzymajcie się. Obróć ją troszeczkę bardziej w prawo. O tak Świetnie. Gotowa?

- Gotowa. W powietrzu unosiły się liczne nowe zapachy, co rozbudziło moją ciekawość. Skąd, u licha, takie wonie wzięły się w środku lasu? Wiciokrzew. Dym. Róże. Trociny? I jeszcze coś metalicznego. I wilgotna, żywa ziemia, wykopana spod ściółki i pozostawiona na wierzchu. Pochyliłam się w stronę niewidocznego zagadki.

Alice zeskokczyła mi z pleców, odsłaniając mi oczy. Spojrzałam na fioletowy mrok. Przed nami, na niewielkiej polanie, stał kamienny domek, lawendowo - szary w słabym świetle gwiazd. Budynek tak idealnie wpasowywał się w otoczenie, jak gdyby był częścią przyrody i wyrósł ze skały. Ściany miał gęsto porośnięte wiciokrzewem, sięgającym aż po grube drewniane gonty. Pod ciemnymi, głęboko osadzonymi oknami, w ogródczku wielkości chustki do nosa, kwitły późne róże. Do drewnianych drzwi wejściowych, wykończonych staroświecko lukiem, wiodła wąska ścieżka wykładana płaskimi kamieniami, które w ciemnościach wydawały się koloru ametystów.

Zszokowana, ścisnęłam mocniej trzymaną przez siebie klucz. - I jak, co o nim myślisz? - spytała Alice łagodnym tonem dobrej wróżki, poddając się baśniowej konwencji. Nie byłam w stanie wykrzusić z siebie ani słowa.

- Esme pomyślała sobie, że pewnie ucieszyłibyśmy się, mogąc mieszkać tylko we troje - wyjaśnił Edward - ale nie chciała też, żeby dzieliła nas od nich jakaś wielka odległość. Poza tym, każda wymówka jest dla niej dobra, żeby móc odrestaurować kolejny budynek. Ten domek stał w ruinie przez co najmniej sto lat.

Gapiałam się na swój prezent z ustami rozdziawionymi jak ryba. - Nie podoba ci się? - Alice zrzędała mina. - Pamiętaj, że jeśli tylko chcesz, możemy go kompletnie przerobić. Emmett na przykład aż się rwał, żeby powiększyć go o kilkaset metrów, nadbudować piętro, wstawić kolumny przy ganku, a na rogu walnąć wieżę, ale Esme sądziła, że najbardziej przypadnie ci do gustu, jeśli będzie właśnie taki, jak był. - W zdenerwowaniu mówiła coraz szybciej. - Jeśli się pomyliła, to nie się nie stało, możemy zabrać się znowu do pracy. Zabierz to najwyżej...

- Cii!

Na nic więcej nie było mnie stać. Ucihła posłusznie. Musiało minąć kilka sekund, żebyśmy doszły do siebie. - Dajecie mi na urodziny dom? - wyszeptaliśmy. - To prezent dla nas obojga - poprawił mnie Edward - a zresztą to nie prawdziwy dom, tylko taka... chatka. W domu to można wyprostować nogi.

- Żadnych dobudówek! - zaprotestowała. Alice była w siódmym niebie. - Podoba ci się!

Pokręciłam przecząco głową. - Zakochałaś się w nim? Przytaknęłam.

- Już się nie mogę doczekać, aż powiem o tym Esme! - Dlaczego nie przyszła z nami? Alice wykrzywiła swoją uśmiechniętą twarz, jak gdyby na moje pytanie nie było tak łatwo jej odpowiedzieć.

- Och, sama rozumiesz... Wszyscy dobrze pamiętają, jak to z tobą jest, kiedy dostajesz jakiś prezent. Nie chcieli wywierać na ciebie zbyt dużej presji. Gdybyś miała tu większą publiczność, poczułabyś się pewnie zobowiązana udawać, że dom ci się podoba.

- Ależ on mi się podoba. Jak mógłby mi się nie spodobać? - Przekładaj im to. - Pokłapała mnie po ramieniu. - A tak przy okazji, masz tam w pełni wyposażoną garderobę. Korzystaj z niej rozsądnie. I... Nie, to chyba wszystko.

- Nie wejdiesz z nami do środka? Odsunęła się od nas kilka kroków. - Edward wie, gdzie co jest. Wpadnę... kiedy indziej. Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz miała trudności ze skomponowaniem stroju.

Spojrzała na mnie z powątpiewaniem, a potem znowu się uśmiechnęła. - Lecę. Jaz z zamierzam wybrać się na polowanie. No to, na razie!

Pomknęła w las z gracją baletnicy.

- Dzwine, że nas nie odprawdzili! - odezwał się, kiedy ucichył jej krok. - Naprawdę jestem aż taka drażliwa na tym punkcie? Nie musieli zostawać w domu. Teraz mam wyrzuty sumienia. Nawet jej nie podziękowałam tak jak należy. Powinności wrócić, powiedziec Esme...

- Bello, nie bądź niemądra. Nikt nie ma cię za przewrażliwioną.

- To dlatego...

- To, że możemy pobyć trochę sami, to ich kolejny prezent.

Alice starała się być subtelną.

- Ach tak

Tych kilka słów wystarczyło, żeby kamienny domek przestał dla mnie istnieć. Mogliśmy być w dowolnym miejscu na ziemi. Nie widziałam ani drzew, ani gałąz, ani gwiazd. Był tylko Edward.

- Chodź, pokaż ci, jak go przerobili w środku - powiedział, pociągając mnie za rękę.

Czy nie docierało do niego, że moim ciałem wstrząsały delikatne dreszcze, jak gdyby w moich żyłach nadal krążyła doprawiona adrenaliną krew?

Po raz kolejny poczulałam się odrobinę dezorientowana, bo czekałam na reakcje, od jakichś moich organizmu. Serce powinno mi było dudnić niczym koła jadącego prosto na nas parowoza. Ogluszać. Moje policzki powinny były płonąć szkarlatem.

Przed wszystkim jednak powinnam być wyczerpana. Miałam za sobą najdłuższy dzień swojego życia.

Zaśmiałam się - cichutko i krótko, nadał w szkole - bo umysłowałam sobie, że ten dzień już nigdy nie miał się skończyć.

- Powiesz mi, co to za dowcip tak cię rozbawił?

- Nie jest jakiś szczególnie dobry - stwierdziłam, idąc za nim wąską drożką. - Tak sobie tylko pomyślałam... Dzisiejszy dzień to dla mnie pierwszy i ostatni dzień wieczności. Jakoś trudno mi to sobie poukładać w głowie. Nawet mimo tego, że mam w niej teraz tyle miejsca! - Znowu się zaśmiałam.

Zawtórował mi wesoło. Położył dłoń na gałce w drzwiach, czekając, aż je uroczycie otworzę. Wsadziłam klucz w zamek i przekręciłam go ostrożnie.

- Zachowujesz się tak naturalnie, Bello. Bez przerwy zapominam, jakie to musi wszystko być dla ciebie dziwne. Jaka szkoda, że nie mogę tego usłyszeć!

Tak szybko przykucał, żeby wzięć mnie na ręce, że nie zorientowałam się, co zamierza - a zważywszy na moje ulepszone zmysły, to naprawdę było coś.

- Hej!

- Przenoszenie przez próg wchodzi w zakres obowiązków młodego małżonka - przypomniał mi. - Powiesz mi, o czym myślisz? Zzera mnie ciekawość.

Pełną drzwi - ledwie słyszalnie zakrzykiwały - i znaleźliśmy się oboje w kamiennym saloniku.

- O wszystko słuchaj - powiedziałam. - No wiesz, o wszystkim naraz. O miłych rzeczach i o nowych rzeczach, i o rzeczach, którymi się zdrażęcam. O tym, że w kółko nadużyłam w myślach superlatyw. A teraz jeszcze myślę o tym, że Esme jest artystką. Taktu słuchaj!

Pokój wyglądał jak przeniesiony żywce z ilustracji w księżce dla dzieci. Podłoga była szaloną mozaiką gładkich, płaskich kamieni. Mozaika ta pojawiała się też gdzieś gdzieś na ścianach, które w innych miejscach przesłaniała boazeria. Pod niskim sufitem biegly odsłonięte belki, o które ktoś tak wysoki jak Jacob z pewnością uderzyłby głową. W pęknięciu kamiennym przechodzący w płynie w komin dogaślał powoli ogień. Napalono w nim drewnem wyrzuconym przez morze - drobne płomienie mieniły się od soli odcieniam i zieleni i błękitu.

Pomieszczenie umeblowano eklektycznie, ale ze smakiem, tak że wszystko tworzyło harmonijną całość, jakby poszczególne meble, mimo różnic w stylistyce, były kawalkami jednej ogromnej trójwymiarowej układanki. Jedno z krzeseł, na przykład, wygłądało całkiem średniowiecznie, niska otomana przy kominku była prawie że współczesna, a wypielniona księżką i biblioteczką w tyle pod oknem kojarzyła mi się z filmami dziejącymi się we Włoszech. Rozpoznałam kilka ozdabiających wnętrze obrazów, bo wcześniej wisiły u Cullenów - przemieśli tu te z ich kolekcji, którymi zawsze najbardziej się zachwycałam. Chociaż bez wątpienia były bezcenne mi oryginałami, pasowały tu jak ulał, tak samo jak wszystkie inne elementy wyposażenia.

W tym miejscu każdy uwierzyłby w czary i nikt nie zdziwiłby się, gdyby do środka weszła Królowa Śnieżka z jabłkiem w dłoni albo gdyby jednorozec w ogródku obgryzał pączki róż.

Edward upierał się zawsze, że jest postacią z horrorów, ale ja widziałam oczywiście, że to bzdura. To tutaj przynależał. Do mojego domu z bajki.

A teraz i ja byłam w tej bajce razem z nim.

Miałam już wykorzystać niecnie fakt, że nie postawił mnie jeszcze na ziemi, a jego odbierająca mi rozum twarz znajdowała się zaledwie kilka centymetrów od mojej, kiedy oznajmił:

- Mam szczęście, że Esme dobudowała jednak jeden pokój. Nikt z nas nie brał pod uwagę, że na świecie pojawi się Ness... Renesmee.

Zmarszczyłam czoło, wyrwana nieprzyjemnie z rozmarzenia.

- Ty też? - jęknęłam. - Tylko nie to!

- Wybacz, skarbie. To niemaumyślnie. Non stop przy słuchuję się myślom pozostałych, więc nie dziwno w tym, że to podłapałam.

Westchnęłam. Moje dziecko potworem z odmętów? Być może już nie dało się na to poradzić, ale bynajmniej nie zamierzałam kapitulować.

- Pewnie umierasz z ciekawości, jak też prezentuje się twoja garderoba, nieprawdaż? - zazartował. - A przy najmniej tak powiem Alice, żeby poprawić jej humor.

- Mam się bać?

- Wyrzywać mi się i błagać o litość.

Skręcił w wykończony łukami korytarzyk - przez te łuki wygłądało tak, jakbyśmy mieli swój własny zameczek

- Tam będzie pokój Renesmee - powiedział, wskazując brodą puste pomieszczenie o podłodze z jasnego drewna. - Nie mieli za bardzo czasu, by go wykończyć, bo musieli zamknąć się w domu i chronić przed rozwścieczonymi wilkołakami.

Zaśmiałam się cicho, zadziwiona, jak błyskawicznie doszło do zażegnania tego konfliktu. Jeszcze ty dzień temu żyliśmy w jakimś kosmarze.

Tylko czemu ten przekłety Jacob musiał go zakończyć właśnie w taki a nie inny sposób!

- A to nasz pokój. Esme próbowała urządzić go tak, żeby jego wnętrze przypominało nam jej wyspę. Domyślała się, że są to miłe wspomnienia.

Lóżko było wielkie i białe, otoczone niczym obłokami woałką zwiewnej mokratiery. Jasne drewno na podłodze było takie samo jak u Renesmee i uświadomiłam sobie teraz, że ma dokładnie taki odcień, jak piasek na jakiejś egzotycznej plaży. Ściany pomalowane były na jaskrawy błękit - kolor nieba w wyjątkowo słoneczny dzień - a przeciwległa ściana składała się głównie z szerokich szklanych drzwi wychodzących na niewidoczny sprzed domu ogródeczek okrągłe oczko wodne wśród pnących róż, gładkie jak lustro i okolone lśniącymi kamieniami - maleńki kawalek oceanu tylko dla nas.

- Och!

To wszystko, co byłam w stanie powiedzieć.

- Wiem - szepnęłam.

Staliśmy przez chwilę, sięgając pamięcią do tamtych dni. Chociaż moje własne wspomnienia były luźkie i niewyraźne, całkowicie przejęły kontrolę nad moim umysłem.

Edward uśmiechnął się szeroko, a potem roześmiał się.

- Twoja garderoba jest za tamtymi podwójnymi drzwiami. Muszę cię ostrzec, że jest większa od tego pokoju.

Nawet nie zerknąłam w jej kierunku. W moim świecie nie istniało znowu nic prócz niego - jego ciasno obejmujących mnie ramion, jego słodkiego oddechu, jego warg ledwie kilka centymetrów od moich własnych. Może i byłam nowo narodonym wampirem, ale z pewnością nie bym mnie teraz nie rozproszyła.

- Powiemy Alice, że pobiegłam prosto do jej ubrań - zamruczałam mu do ucha, wplatając mu palce we włosy. - Powiemy jej, że przez długie godziny nic tylko się przebierałam. Ale to będzie jedno wielkie kłamstwo.

Mój nastrój udzielił mi się od razu - a może zreszła już w takim nastroju był, tylko trzy mał swoje uczucia na wody, żeby jak przy szło to uczucie, pozwolić mi się nacieszyć prezentem urodzinowym. W nagłym porwyie namiętności przyciągnął moją twarz do swojej, a z jego ust dobył się cichy jęk. Na ten dźwięk przesywające mnie prądy rozpełtały w moim wnętrzu prawdziwą burzę. Straciłam nad sobą panowanie. Liczyło się tylko to, by znaleźć się jak najszybciej jak najbliżej Edwarda.

Moich uszu doszły odgłos rozdzieranych naszy mi rękami warstw tkanin i pomyślałam, że dobrze, że chociaż moje ubranie jest już podarte. Na ratowanie tego, co miał na sobie Edward, było już za późno. Ignorowanie pięknego, białego łożka wydało mi się wręcz zachwalstwem, ale byłymy siebie zbyt spragnieni, by tracić czas na przebycie ostatnich dwóch metrów.

Nasz drugi miesiąc miodowy nie przypominał pierwszego.

Czas spędzony na wyspie uważałam za najlepszy okres w swoim ludzki życiu - za ukoronowanie swojego ludzkiego życia. Tak się wtedy paliłam do pozostania człowiekiem! Tylko po to, by pobyć śmiertelną przy Edwardzie choć odrobinę dłużej, bo od strony fizycznej po mojej przemianie nasz związek już nigdy nie miał być taki sam.

Po dniu takim jak dzisiejszy powinnam się być domyślić, na czym miała polegać ta różnica. Powinnam się była domyślić, że będzie nam ze sobą jeszcze lepiej.

Dopiero teraz potrafiłam należyście docenić, z kim połączył mnie los. Moimi bystrymi oczami widziałam nareszcie każdy szczegół jego zapierającej dech w piersiach twarzy i perfekcyjnej muskulatury. Na języku czułam jego czysty, wyrazisty zapach, a pod opuszkami palców niewiarygodną jedwabistość jego marmurowej skóry.

Moja własna skóra była taka wrażliwa w zetknięciu z jego dłońmi...

Był jak ktoś zupełnie inny. Gdy nasze spragnione ciała spleływały się w jedno na piaskowej podłodze, odkrywał go na nowo. Edwarda, który nie uważał. Edwarda, którego nic już nie ograniczało. Edwarda, który niczego nie musiał się już bać. Mogliśmy brać w tym teraz udział razem - oboje jako aktywni uczestnicy. Nareszcie sobie równi.

Tak jak wcześniej już nasze pocałunki, tak teraz nasze pieszczoły stały się o wiele odważniejsze. Edward dotykał nas w sobie tłumia! Kiedyś było to konieczne, ale nie mogłam uwierzyć, jak wiele traciłam!

Starałam się nie zapominać, że jestem od niego silniejsza, ale trudno mi się było na to czymkolwiek skupić, bo docierające do mnie zesząd niewyłącznie intensywne bodźce odciały moją uwagę ku milionom różnych miejsc w moim ciele na sekundę. Jeśli sprawiałam mu ból, to się nie skarżył.

Bardzo, ale to bardzo niewielka część mojego umysłu zaczęła szukać rozwidkania pewnej związanej z zaistniałą sytuacją zagadki. Ani ja, ani Edward, nigdy nie mieliśmy się zmęczyć. Nie musieliśmy ani zacerpywać tchu, ani odpoczywać, ani jeść, ani nawet korzystać z ubikacji - obce nam był jakiegokolwiek przyziemne potrzeby. Mój ukochany posiadał najpiękniejsze, najbardziej idealne ciało pod słońcem, w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby nam przeszkodzić, i nie nie wskazywało na to, żeby w tym w któryś momencie miała stwierdzić, że jak na jeden dzień to mi już wystarczy. Zawsze miałam chciec czegoś jeszcze. A ten dzień nigdy nie miał dobiec końca. Zsumowując to wszystko, jakim cudem mieliśmy kiedykolwiek przestać?

To, że nie potrafiałam odpowiedzieć sobie na to pytanie, ani trochę mnie jednak nie martwiło.

Właściwie to nawet zauważyłam, kiedy zaczęło świtać. Miniatury ocean za szybą zmienił barwę z czarnej na szarą, a gdzieś tuż obok nas rozspiewał się jakiś ptaszek - może miał gniazdło w jednej z pnących róż.

- Brakuje ci tego? - spytałam Edwarda, kiedy piosenka ucichła.

W ciągu minionych kilku godzin przemawialiśmy do siebie nie raz, ale nie w taki sposób, który można by było nazwać rozmową.

- Czego ma mi niby brakować? - zamruczał.

Wszystkich moich dawnych cech: tego, że byłam ciepła, że byłam miękka, że kusząco pachniałam... Ja niczego na tej przemianie nie straciłam i tak się zastanawiałam, czy czasem trochę ci nie smutno, że z tyłoma rzeczami musiałeś się pożegnać.

Zaśmiał się cicho.

- Trudno by było znaleźć kogoś mniej smutnego niż ja. Zarzykowałbym stwierdzenie, że to nawet niemożliwe. Niewielu ludzi dostaje jednego dnia wszystko to, o czym marzyli, a dodatkowo jeszcze te rzeczy, na które sami nie wpadli.

- Próbujesz się wywinąć od odpowiedzi?

Przytulił mi dłoń do policzka.

- Ależ ty jesteś ciepła.

Poniekąd mówić prawdę. W moim odczuciu jego dłoń też była teraz ciepła - przyjemnie ciepła, zwyczajnie ciepła, a nie parząca jak skóra Jacoba.

Bardzo powoli przesuwał palce wzdłuż mojej twarzy, śledząc krzywiznę mojej żuchwy aż po szyję, a potem przedłużając tę linię aż po moją talię. Na chwilę przy mknęłam oczy.

- Jesteś miękka.

Nie mogłam się z nim nie zgodzić, bo opuszkę jego własnych palców w zetknięciu z moją skórą zdawały się być z satyny.

- A co do twojego zapachu, cóż, nie mogę powiedzieć, żeby mi go brakowało. Pamiętajsz zapach tamtych turystów na polowaniu?

- Bardzo nad tym pracuję, żeby go zapamiętać.

- Wyobraź sobie, że całujesz kogoś, kto tak pachnie. Ścianki mojego gardła zaczęły liźać zmienacka języki ognia.

- Och.

- Sama rozumiesz. Więc moja odpowiedź brzmi: nie. Niczego mi nie brakuje. Jestem taki szczęśliwy! Nikt na świecie nie ma tyle, co ja teraz.

Chciałam go już poinformować, że istnieje jedna taka osoba, ale nagle moje usta miały co innego do roboty.

Kiedy wschodzące słońce zmieniło kolor oczka wodnego za szybą na perłowy, przyszło mi do głowy kolejne pytanie do Edwarda.

- Jak długo to trwa? No bo widział, Carlisle i Esme, Em i Rose, Alice i Jasper - jakoś nie zauważyłam, żeby spędzali całe dnie zamknięci w swoich pokojach. Pokazują się ludziom regularnie, zawsze są kompletnie ubrani... Czy to...

czy ten apetyt kiedykolwiek przechodzi?

Przycisnęłam się do niego mocniej - jeśli w ogóle było to możliwe - żeby zademonstrować mu, o jaki apetyt mi chodzi.

- Trudno powiedzieć. Każdy jest inny, a ty, jak na razie, jesteś najbardziej inna ze wszystkich. Przeciętny młody wampir jest przez dłuższy czas zbyt zajęty zaspokajaniem dręczącego go pragnienia, żeby zauważać jakieś inne

swoje potrzeby. Jednak najwyraźniej to ciebie nie dotyczy. Ale nawet u typowego nowo narodzonego po pierwszym roku dochodzą do głosu inne potrzeby. A ani pragnienie, ani pożądanie nigdy tak do końca nie dają się zaspokoić. To po prostu kwestia nauczenia się, jak wyważyć proporcje. Nauczenia się wyznaczania priorytetów i kontrolowania w nich odruchów.

- I jak długo to trwa?

Uśmiechnął się, marszcząc nieco nos.

- Najgorsi byli Rosalie i Emmett. Woląłem trzymać się od nich z daleka przez całe dziesięć lat. Nawet Carlisle'owi i Esme działali na nerwy i to do tego stopnia, że w końcu zmusili młodą parę do przeprowadzki. Esme też zbudowała

im dom, ale o wiele bardziej okazały niż ten - cóż, wie, co podoba się Rosalie, i wie, co podoba się tobie.

- Czyli, mówisz, dziesięć lat, tak? - Byłam przekonana, że Rosalie i Emmett to było nic w porównaniu z nami, ale gdybym rzuciła liczbę większą niż dziesięć, mogłabym wyjść na zarozumiałą.

- A potem jest się z powrotem normalnym? Tak jak oni teraz?

Edward znowu się uśmiechnął.

- Hm, nie jestem pewien, co rozumiesz pod pojęciem „normalni”. Widziałas, jak moja rodzina wiedzie, przynajmniej z pozoru, przykładne ludzkie życie, ale przecież każdą noc smacznie przesyiałaś. Mrugnął do mnie znacząco.

- Kiedy się nie sypia, ma się nagle olbrzymie ilości wolnego czasu, który trzeba jakoś tam spożytkować. Więc czemu nie na swoje... zainteresowania. To dzięki tym długim nocnym godzinom stałem się najlepszym muzykiem w rodzinie,

przeżytałem - jako drugi po Carlisle'u - najwięcej książek, studiowałem najwięcej nauk, nauczyłem się najwięcej języków obcych... Emmett pewnie próbowałby ci wmówić, że tak dobrze się na wszystkim znam, bo potrafię czytać innym w

myślach, ale prawda jest taka, że kiedy oni mieli co robić, mnie się strasznie nudziło.

Oboje wybuchliśmy śmiechem, a to, w jaki sposób nasze ciała zaczęły się przy tym o siebie ocierać, skutecznie zakończyło naszą rozmowę.

Minęło trochę czasu, zanim Edward przypomniał mi o moich priorytetach.

Wystarczyło mu do tego tylko jedno słowo:

- Renesmee...

Westchnęłam. Już wkrótce mogła się obudzić. Musiała już dochodzić siódma. Czy miała się domagać mojej obecności? Nagle zamarlałam sparaliżowana strachem. Czy miała się bardzo zmienić od wczoraj?

Edward wyczuł moją reakcję i domyślił się jej źródła.

- Nic się nie martw, skarbie. Ubierz się tylko i ani się obejrzyj, będziemy już w domu.

Zerwawszy się na równe nogi, spojrzałam z powrotem na niego - jego diamentowe ciało połyskiwało delikatnie w rozproszonym świetle - potem na zachód, gdzie czekała na mnie Renesmee, potem znowu na niego, znowu na zachód, i tak jeszcze kilka razy w ciągu sekundy. Wyglądało to pewnie przekomicznie, jakbym była postacią z kreskówki. Edward uśmiechnął się, ale się nie zaśmiał: miał wyjątkowo silną wół.

- Spokojnie, kochanie. To tylko kwestia zachowania w życiu równowagi. Jesteś w tym taka dobra. Już niedługo wszytko sobie poukłada.

- I będziemy mieć dla siebie całą następną noc, prawda?

Uśmiechnął się szerzej.

- Myślisz, że poprosiliby cię przed chwilą, żebyś się ubrała, gdybym nie miał przed sobą tej perspektywy?

Mnie także musiała ona wystarczyć, by przetrwać dzień. Musiała mi wystarczyć, bo tylko radząc sobie z poskramianiem swojego pożądania, mogłam być dobrą... hm. Trudno mi było użyć tego słowa. Chociaż Renesmee była dla mnie już jak najbardziej prawdziwa i rzecz jasna niezwykle ważna, nadal nie docierało do mnie, że jestem matką. Podejrzałam jednak, że każda inna kobieta czułaby się na moim miejscu tak samo bez dziewięciu miesięcy ciąży na przy wyknicie do tej myśli. I z dzieckiem, które zmieniało się z godziny na godzinę.

Kiedy przypomniałam sobie o tempie, w jakim rosła moja córka, znowu się zestresowałam. Pchnąwszy podwójne rzeźbione drzwi do garderoby, nawet nie przystanęłam na progu, żeby wydać z siebie okrzyk przerażenia na widok tego, co zgotowała dla mnie Alice, tylko wleciałam do środka jak burza z zamiarem włożenia na siebie pierwszy ch rzeczy, jakie wpadłyby mi w ręce.

Powinłam była wiedzieć, że nie będzie to łatwe.

- Które są moje? - syknęłam.

Tak jak ostrzegł mnie Edward, pokój, w którym się znalazłam, był większy od naszej sypialni. Prawdopodobnie był też większy od całej reszty domu, ale żeby zyskać co do tego pewność, musiałoby go najpierw zmierzyć krokami. Wyobraziłam sobie Alice usiłującą przekonać Esmę, żeby zignorowała klasyczne proporcje budownictwa i pozwoliła na to monstrum. Ciekawa byłam, jak też udało jej się postawić na swoim.

Wnętrze garderoby przypominało nieco laboratorium. Ubrania spakowane były w pokrowce z białego plastiku wiszące w schludny ch rzędach. W bardzo wielu rzędach.

Edward dotknął metalowej rury ciągnącej się przez pół ściany na lewo od drzwi.

- O ile mi wiadomo, wszytko prócz tego wieszaka tutaj jest twoje.

- Wszytko?

Wzruszył ramionami.

- Alice - powiedzieliśmy jednocześnie, ale z inną intonacją: on jak wyjaśnienie, ja jak obelgę.

- Świetnie - mruknęłam.

Pociągnęłam za zamek błyskawiczny najbliższego mi pokrowca i zaraz warknęłam, bo moim oczom ukazała się długa do ziemi jedwabna suknia - w dodatku jasnoróżowa.

Znalezienie czegoś normalnego mogło mi zająć cały dzień!

- Pomogę ci - zaoferował się Edward.

W skupieniu kilkakrotnie pociągnął nosem, a wychyciwszy jakąś woń, przeszedł na drugi koniec pokoju, gdzie w ścianie była wbudowana komoda. Znowu ponuchał, po czym otworzył jedną z szuflad i z triumfalnym uśmiechem wyciągnął z niej parę starannie postarzonego niebieskich dżinsów.

Podbiegłam do niego.

- Jak to zrobili?

- Każda tkanina ma charakterystyczny dla siebie zapach, dżins też. To co teraz? Rozciągliwa bawełna?

Prowadzony przez swój nos odnalazł na jednym z wieszaków białą, sportową w kroju bluzę z długimi rękawami i rzucił ją w moją stronę.

- Dzięki - ucieszyłam się.

Powąchałam trzy mane przez siebie ubrania, żeby zapamiętać ich zapachy na potrzeby kolejnych poszukiwań. Rozpoznawałam już jedwab i satynę - tych planowałam unikać.

Namierzenie czegoś dla siebie zabrało mojemu ułożanemu tylko kilka sekund. Gdybym nie widziała go nigdy nago, byłaby gotowa przysiąc, że nie ma nic piękniejszego niż Edward w spodniach koloru khaki i beżowym swetrze. Ubrawszy się, wziął mnie za rękę. Przemknęliśmy przez ukryty przed światem ogródek, przesadziliśmy zgrabnym susem kamienny mur i popędziliśmy przez las. Uwolniliśmy swoją dłoń, żebyśmy w drodze powrotnej mogli się pościgać. Tym razem to on wygrał.

Renesmee już nie spała. Siedziała na podłodze i pilnowana przez pochylonych nad nią Rosie i Emmetta bawiła się stoikiem powyginanych srebrnych sztućców. W prawej ręczce miała akurat odształconą łyżkę. Gdy tylko zobaczyła mnie przez szybę, cisnęła nią o podłogę (od siły tego uderzenia w drewnie pojawiła się rysa) i wskazała na mnie wladco. Jej widownia zareagowała głośnym śmiechem: Alice, Jasper, Esmę i Carlisle siedzieli obok na kanapie i z uwagą obserwowali dziewczynkę, jak jakis niezwykle zajmujący film.

Od momentu, w którym zaczęli się śmiać, minęło może pół sekundy, a ja już stałam pośredku salonu z małą na rękach. Uśmiechnęłyśmy się do siebie promiennie.

Zmienia się, ale niewiele. Była mała mała zdolności, gdyby nie znalazł jej nikt oprócz niego. Najprawdopodobniej nie odróżniałby przekazy wanych mu przez nią wizji od tego, co sam potrafił przechwycić z jej umysłu.

Biegając do niej, pozwoliłam ponieść się wyobraźni i spodziewałam się, że będzie dużo gorzej. Dzięki moim przesadzonym łękom, powitałam te drobne zmiany niemalże z ulgą. Nawet bez najnowszych pomiarów Carlisle'a, wiedziałam, że Renesmee rośnie już wolniej niż wczoraj.

Poklepała mnie po policzku. Skrzywiłam się. Znowu była głodna.

- Dawno się obudziła? - spytałam domowników, dostrzegając kątem oka, że Edward zniknął w kuchni. Byłam pewna, że poszedł przygotować jej śniadanie, bo wyczytał z jej myśli to samo, co dopiero mi pokazała. Zastanawiałam się, czy zorientowałyby się, jakie mała ma zdolności, gdyby nie znalazł jej nikt oprócz niego. Najprawdopodobniej nie odróżniałby przekazy wanych mu przez nią wizji od tego, co sam potrafił przechwycić z jej umysłu.

- Dopiero kilka minut temu - powiedziała Rosalie. - Już się zbieraliśmy, żeby po ciebie dzwonić. Pytała o ciebie - a raczej zażądała twojej obecności. Esmę poświęciła swój drugi najlepszy zestaw sztućców, żeby mieć czym zabawzić małego potwora. - Uśmiechnęła się przy tym do Renesmee z takim rozkliwieniem i oddaniem, że nie sposób było odebrać tę informację jako skargę.

- Trzeba było coś ją zająć, bo nie chcieliśmy... no... nie chcieliśmy wam przeszkadzać.

Przygryza wargę i spojrzała gdzieś w bok, starając się nie parsknąć śmiechem. Poczulałam za to, że za moimi plecami śmieją się bezgłośnie Emmett - dom wibrował od tego aż po fundamenty.

Uniosłam z godnością brodę.

- Urządzimy ci pokój tak szybko, jak to tylko będzie możliwe - obiecałam Renesmee. - Spodoba ci się w naszym kamiennym domu. Wygląda jak bajki. - Przeniosłam wzrok na Esmę. - Nie wiem, jak ci dziękować, jest po prostu idealny.

Zanim zdążyła mi odpowiedzieć, Emmett znowu się zaśmiał - i tym razem już nie bezgłośnie.

- To on jeszcze stoi? - udało mu się wyrzucić w przerwie pomiędzy atakami wesołości. - Sądziłem, że we dwóch zrównacie go z ziemią. Czy m się zajmowaliście ubiegłej nocy? Dyskutowaliście o długu publicznym?

Zazgrzytałą zębami. Żeby się opanować, musiałam przypomnieć sobie, do czego doprowadził mój niekontrolowany wybuch gniewu poprzedniego dnia. Chociaż z drugiej strony, Emmett nie był tak kruchy jak Seth...

Na myśl o nim przyszło mi do głowy pewne pytanie.

- A gdzie się podziewają wilki?

Wyjrzałam przez okno, ale już wcześniej nie zauważyłam nad rzeką Lei.

- Jacob wyszedł z samego rana - odezwała się Rosalie. Na jej czole pojawiła się małeńka zmarszczka. - A Seth razem z nim.

- Co go tak denerwowało? - zaciękawili się Edward, wracając do salonu z kubkiem naszej córki w dłoni. Najwyraźniej we wspomnieniach Rosalie kryło się coś, czego nie byłam w stanie się dopatrzeć w jej minie.

Wstrzymany oddech, oddałam jej Renesmee. Może i świetnie sobie radziłam, ale nie miałam najmniejszych wątpliwości, że nie na tyle dobrze, żeby być w stanie małą nakarmić. Jeszcze nie teraz.

- Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi - burknęła, ale zaraz dodała: - Przyglądał się Nessie, jak śpi, z gębą rozdziawaną jak krety, którym zresztą jest, a potem ni stąd, ni zowąd poderwał się, chociaż nie szczególnego się nie wydarzyło, i już go nie było. I dzięki Bogu, że sobie polazł. Im więcej tu spędza czasu, tym niniejsze robią się szanse na to, że kiedykolwiek pozbędziemy się tego smrodu.

- Rose - skarciła ją delikatnie Esmę.

Rosalie odgarnęła sobie włosy za ramiona. Mniejsza o to. I tak na dniach się stąd wyrowadzam.

- Będę się upierał przy tym, żebyśmy pojechali do New Hampshire jak najszybciej i wszytko przy szykowali - powiedział Emmett Domyśliłam się, że kontynuując przerwaną naszym przybyciem rozmowę. - Bella jest już zapisana do Dartmouth i wszytko wskazuje na to, że już niedługo będzie mogła chodzić na zajęcia.

Posłał mi złośliwy uśmieszek - Pewnie będziesz najlepsza na roku, nie mając nocami nic lepszego do roboty niż nauka.

Rosalie zachichotała.

Weź się w garść, weź się w garść, powtarzałam w myślach. Byłam z siebie dumna, że nie daję mi się sprowokować.

Więc zaskoczyło mnie to, że pozwolił sobie na to Edward.

Warknął z ziaćnia - był to krótki, złowrogi dźwięk - i jego rysy wykrył grymas gniewu, jakby niebo jego twarzy przesłoniły burzowe chmury.

Nim ktokolwiek z nas się poruszył, Alice zeskoczyła z kanapy z głośnym jękiem.

- Co o najlepszego wyprawia?! Przecież kundel! Tyle miałam na dzisiaj planów, a teraz nic nie widzę! O nie! - Zerknęła na mnie z rozpaczą. - Spójrz tylko na siebie! Przecież trzeba ci pokazać, jak używać twojej garderoby!

Przez chwilę byłam szczerze Jacobowi wdzięczna, bez względu na to, co knuł.

Ale potem Edward zacisnął dłonie w pięści i wycodził:

- Rozmawiał z Charliem. I teraz sądzi, że Charlie tu za nim jedzie. Zaraz tu będzie.

Alice uzyła na głos pewnego słowa, które zabrzmiało bardzo dziwnie wypowiedziane jej święgotliwym głosem, po czym obróciła się na pięcie i wybiegła na dwór z taką prędkością, że zmieniła się przy tym w rozmazaną plamę.

- Powiedział o wszystkim Charliemu? - przeraziłam się. - Ale... Czy on nic nie rozumie? Jak mógł?! Nie! Tylko nie to!

Charlie nie mógł dowiedzieć się, czym się stałam! Nie mógł dowiedzieć się o istnieniu wampirów! Trafily z tego powodu na czarną listę, z której nawet Cullenowie nie mogli go wykreslić.

- Jacob już tu jest - powiedział Edward z obrzydzeniem.

Na wschodzie musiało zacząć padać, bo mój przyjaciel stanął na progu, otrząsając się niczym zmoknięty pies. Kropelki wody, które odrywały się od jego włosów, lądowały na wykładzinie i kanapie, zostawiając liczne ślady w postaci okrągłych szarych plamek. Jacob szczerzył zęby w szeroki uśmiechu, a oczy błyszczały mu z podekscytowania. To, że miał zniszczyć mojemu ojcu życie, sprawiało mu najwidoczniej olbrzymią przyjemność.

- Cześć wszytkim - przywitał nas wesoło.

Zapadła grobowa cisza.

Tuż za nim wślizgnęli się do środka Leah i Seth. Byli wprawdzie w swoich ludzkich postaciach, ale trzęsły im się już ręce, bo zdążyła im się udzielić panująca w pokoju nerwowa atmosfera.

- Rose - odezwałam się, wyciągając przed siebie rękę.

Bez słowa podała mi Renesmee. Przycisnęłam ją mocno do swojego nieruchomego serca jako amulet przeciwko podejmowaniu pochopnych decyzji. Zamierzałam trzymać ją w ramionach dopóty, dopóki miałam zyskać pewność, że moja decyzja o zabiciu Jacoba jest rezultatem chłodnej analizy, a nie jedynie morderczyńi odruchem nowo narodzonej wampirzycy.

Renesmee była bardzo spokojna. Przyglądała się i przy słuchiwała wszytkiemu uważnie. Ile rozumiała z tego, co się działo?

- Jedźcie tu Charlie - poinformował mnie Jacob swobodnym tonem. - Pewnie już o tym wiesz. I co wykombinowaliście? Alice szuka dla ciebie okularów przeciwsłonecznych?

- Raczej zadaj sobie pytanie, co sam wykombinowałeś! - warknęłam. - Coś ty najlepszego zrobił?! Przystań się uśmiechać, ale nadal był zbyt podniecony swoim wyznaniem, żeby poważnie odpowiedzieć.

- Blondie i Emmett obudzili mnie dziś rano jakąś gadką o tym, że macie się przenieść na drugi koniec Stanów. Jakbym miał wam tu to pozwolić. To z Charliem mielibyście największy kłopot, prawda? A tak macie jeden problem z głowy.

- Czy ty w ogóle wiesz, co narobileś?! Jakie niebezpieczeństwo na niego ściągnęłaś?!
Prychnął tylko. Nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. No, chyba że z twojej strony. Ale ty jesteś przecież wybrykiem natury i masz nad sobą jakąś tam superkontrolę, prawda? Chociaż, jeśli o mnie chodzi, czytanie w myślach byłoby fajniejsze. To by dopiero była jazda!

Edward błyskawicznie znalazł się tuż przed nim i zmierzył go groźnie wzrokiem. Chociaż Jacob było od niego o pół głowy wyższy, cofnął się odruchowo.
- To tylko teoria, kundlu! Uważasz, że powinniśmy przetestować ją właśnie na Charliem? Czy zastanowiłeś się nad tym, jak bardzo Bella będzie fizycznie cierpieć, jeśli jakimś cudem się na niego nie rzuci? Albo jakie będzie przechodzić katusze, jeśli nie uda się jej jednak oprzeć zapachowi jego krwi? Widzę, że jej los już zupełnie cię nie obchodzi!

Tym ostatnim słowem wręcz na niego splunął.
Podenerwowana Renesmee przycisnęła mi paluszki do policzka i puściła mi tę scenę raz jeszcze, zabarwioną dodatkowo własnym zaniepokojeniem.
Przemowa Edwarda podziałala na Jacoba jak zimny prysznic. Dopiero teraz zaczęło do niego docierać, dlaczego jesteśmy na niego źli.
- Bellę będzie coś bolało? - Ściągnął brwi.
- Jak gdyby wepchnąć jej do gardła rozżarzony do białości żelazny pręt!
Wzdrygnęłam się na wspomnienie zapachu czystej ludzkiej krwi.
- Nie wiedziałem - wyszeptał Jacob.
- To może trzeba było najpierw spytać - syknął Edward.
- Wtedy byś mnie zatrzymał.
- Bo powinno się było ciebie zatrzymać!
- Tu nie chodzi o mnie - przerwał im. Stałam nieruchomo, czepiając się kurczowo Renesmee i resztek swojego opanowania. - Jacob, tu przede wszystkim chodzi o Charliego. Jak mogłeś narazić go na takie ryzyko? Zdajesz sobie sprawę, że teraz albo będzie musiał umrzeć, albo sam też zmienić się w wampira?

Głos zatrząsł mi się od lez, których nie byłam już w stanie ronić. O ile Jacob przejął się oskarżeniami Edwarda, o tyle moje spływały po nim jak woda po gęsi.
- Spokojnie, Bella. Nie powiedziałem mu nic, czego sama nie planowałaś mu powiedzieć.
- Ale on tu teraz jedzie!
- No tak, na tym opiera się cały pomysł. Twój pomysł. Przecież sama mówiłaś, że ma cię zobaczyć i wysunąć błędne wnioski. Nic się nie bój, specjalnie go przygotowałem. Podsunąłem mu niezłą zmyłkę.
Miałam mu już zamachać przed nosem pięścią, ale się powstrzymałam i cofnęłam rękę.
- Może trochę jaśniej, Jacob. Kończysz mi się cierpliwość.
- Nie powiedziałem mu nic o tobie, nic a nic. To o sobie mu opowiedziałem. A tak dokładniej, to nic nawet nie mówiłem, tylko pokazałem co i jak, i tyle.

- Zmienił się przy Charliem w wilka - wyjaśnił mi Edward.
- Co takiego?! - wykrusiliłam.
- To dzielny facet. Tak samo dzielny jak ty. Ani nie zemadł, ani nie zwymiotował, ani nic. Muszę przyznać, że byłem pod wrażeniem. Chociaż powinnaś była zobaczyć jego minę, kiedy zacząłem się rozbiierać - zaśmiał się. -

Bezcerne doświadczenie.
- Ty idioto! Mógł dostać przez ciebie zawału!
- Nic mu się nie stało. To twarzą. Gdy byś tylko wyluzowała, zobaczyłabyś, że wyświadczylem ci przyśługę.
- Daję ci trzydzieści sekund - wycedziłam. - Masz trzydzieści sekund na powiedzenie mi, co tam masz mi do powiedzenia, zanim oddam Renesmee Rosalie i oderwę ci ten durny łeb. Tym razem Seth ci nie wystarczy za ochroniarza.

- Jezus, Bella. Kiedyś nie puszczałaś takich tekstów. To jakaś wampirza cecha?
- Dwadzieścia sześć sekund.

Wywrócił oczami i rozsiadł się wygodnie na najbliższym fotelu. Jego kompani ustawili się nieco z tyłu po obu jego bokach - obojgu było daleko do zrelaksowanej pozycji przywódcy. Leah nie spuszczała mnie z oczu i odsłaniała nieco zęby.

- To było tak wpadłem dziś rano do Charliego i poprosiłem go żeby się ze mną przeszedł. Zaskoczyłem go tą propozycją, ale kiedy dodałem, że chodzi o ciebie i że wróciłaś do Forks, poszedł ze mną do lasu. Wyjaśniłem mu, że nie jesteś już chora, ale że sprawy trochę się komplikowały, chociaż właściwie nie jest tak najgorzej. Chciał już do ciebie jechać, ale powiedziałem, że muszę mu coś najpierw pokazać. I wtedy zmieniłem się w wilka.

Wzruszył ramionami.
Moje szczęki parły ku sobie z taką siłą, jakby ścisłało je imadło.
- Masz nie opuszczać w swoim opisie ani jednego słowa, ty potworze.

- To ty dałaś mi tylko trzydzieści sekund. Okej, okej. - Wyraz mojej twarzy musiał go przekonać, że lepiej się ze mną nie przekomarzać. - Co tam się działo po kolei... Zmieniłem się z powrotem w człowieka, a potem, kiedy twój ojciec zaczął na nowo oddychać, powiedziałem mu coś w stylu: „Charlie, żyjesz w zupełnie innym świecie, niż ci się to zawsze wydawało. Dobra wiadomość jest taka, że to niczego nie zmienia - poza tym, że teraz jesteś już w wtajemniczony. Twój dzień powszedni będzie wyglądał tak samo jak do tej pory. Jeśli tylko chcesz, możesz po prostu zacząć udawać przed samym sobą, że nie takiego się nie wydarzyło”. Potrzebował może z minuty, żeby poukładać to sobie w głowie, a potem chciał wiedzieć, co tak naprawdę się z tobą dzieje i co to była za historia z tą rzadką egzotyczną chorobą. Powiedziałem mu, że rzeczywiście, byłas chora, ale już jest z tobą wszystko w porządku - tyle że, żeby wyzdrowieć, musiałaś przejść pewną metamorfozę. Chciał wiedzieć, co rozumiem pod pojęciem „metamorfozy”. Wy tłumaczyłam, że bardziej przyminasz teraz Esme niż Renee.

Edward syknął - ja tylko przyglądałam się Jacobowi i szeroko otwartymi ze strachu oczami. Sprawy przybierały niebezpieczny obrót.
- Po kilku kolejnych minutach spytał mnie, tak bardzo cicho, czy też potrafisz teraz zmieniać się w jakieś zwierzę. Odpowiedziałem: „Chciałoby się” - zaśmiał się.

Rosalie zachnęła się zdęgaszana.
- Chciałem opowiedzieć mu coś więcej o wilkołakach, ale nie zdążyłem nawet wymówić do końca tego słowa - przerwał mi i stwierdził, że wolałby „nie znać szczegółów”. Potem spytał, czy wiedziałaś, w co się pakujesz, kiedy wychodziłaś za męża Edwarda, a ja powiedziałem: „Jasne. Bella wie o wszystkim od samego początku, odłąd przeprowadziła się do Forks”. Nie za bardzo był tym zachwycony. Pozwoliłem mu gderać, aż w końcu wszystko z siebie wyrzucił. Jak już się uspokoił, chciał tylko dwóch rzeczy. Oświadczył, że chce cię jak najrybniej odwiedzić, to powiedziałem, że lepiej będzie, jeśli was uprzedzę.

Wzięłam głęboki wdech.
- A ta druga rzecz, której chciał? Co to było?
Jacob uśmiechnął się.
- To ci się spodoba. Zastrzegł sobie, że nie chce wiedzieć o tym wszystkim więcej, niż to absolutnie konieczne. Macie mu jak najmniej wyjaśniać, co właściwie jest grane. Tak więc, jeśli czegoś nie musi wiedzieć, to zachowajcie to dla siebie.

Po raz pierwszy, odłąd przekroczył próg salonu, poczułam ulgę.
- No, z tym to już jakoś sobie poradzimy - mrknęłam.
- A tak poza tym, to chce udawać, że wszystko jest po staremu dodał Jacob z zadowoleniem. Musiał wy czuć, że jednak powoli przekonywałam się do jego fortelu i że powoli budziła się we mnie wdzięczność.
- Jak wytłumaczyłeś mu pojawienie się Renesmee?

Musiałam się wysilić, żeby nie zmienić tonu głosu na mniej surowy. Owszem, zaczynałam doceniać jego starania, ale było to z mojej strony mimowolne i przedwczesne. Chociaż dzięki interwencji Jacoba Charlie przyjął wieści o mojej przemianie lepiej, niż się tego spodziewałam w najsmieszniejszych marzeniach, moja konfrontacja z nim nadal mogła skończyć się tragicznie.

- A, tak. O tym też pomyślałem. Powiedziałem mu, że tobie i Edwardowi dostała się w spadku pewna mała dama. - Zerknął na Edwarda. - Że to przygarnięta przez ciebie sierota - jak Dick Grayson* [Dick Grayson - postać z komiksów znana także jako Robin, adoptowany syn Batmana - przyp. tłum.] - Prychnął rozbawiony. - Chyba nie zaczniesz mi teraz wypominać, że mu nakłamałem, co? Tak właśnie trzeba, prawda?

Edward nie odpowiedział mi w żaden sposób, więc ciągnął swoją opowieść dalej. - Charlie był już wtedy w takim stanie, że nic nie mogło go zdziwić, ale upewnił się, czy to wygląda tak, że ją adoptujecie. „Będą ją wychowywać jak rodzoną córkę? Czyli poniekąd zostałem dziadkiem?” - tak dokładnie mnie spytał. No to powiedziałem mu, że tak. Pogratulowałam mu i takie tam. Nawet nie trochę uśmiechnął.

Znowu zapięły mnie kąciki oczu, ale tym razem ani nie z bólu, ani od paniki. Charlie uśmiechnął się na myśl, że został dziadkiem? Charlie miał zobaczyć Renesmee?
- Ale ona tak szybko się zmienia... - szepnęłam.

- Wyjaśniłem mu, że jest jeszcze bardziej wyjątkowa niż my wszyscy razem wzięci - przyznał Jacob rozczulony. Wstawszy z fotela, ruszył w moim kierunku, a kiedy Seth i Leah poderwali się, żeby pójść za nim, nakazał im gestem zostać na swoich miejscach. Renesmee wyciągnęła ku niemu rączki, ale przytuliłam ją tylko mocniej do siebie. - Powiedziałem mu: „Zaufaj mi, nie chcesz wiedzieć nic więcej. Ale jeśli uda ci się zignorować wszystko to, co cię zaskakuje albo zaniepokoi, obiecuję, że nie pożałujesz. To najwspanialsza osoba na całym świecie”. A potem powiedziałem mu jeszcze, że jeśli będzie tolerował to, co niezrozumiałe, to zostanieie tu na dłużej i będzie mógł małą lepiej poznać. Ale jeśli okaże się, że to go przeraża, to wyjedziecie. Stwierdził, że tak długo, jak nie będziecie wmuszać w niego zbyt wielu informacji, tak długo jak da sobie radę.

Zamilkł i z półuśmiechem na twarzy czekał na moją reakcję.
- Tyłko nie myśl, że ci podziękuję - oświadczyłam. - Nadal uważam, że naraziłeś Charliego na ogromne ryzyko.

- Przepraszam, że będzie cię boleć. Naprawdę, nie wiedziałem, że takto jest. Bella, może między nami nie ma już tego, co było, ale zawsze będziesz moim najlepszym przyjacielem i zawsze będę cię kochał. I to kochał cię wreszcie tak, jak należy. Narazicie będę wobec ciebie w porządku. Bo teraz oboje mamy przy sobie inne osoby, bez których ci nie umielibyśmy żyć. - Obdarzył mnie tak dobrze mi znanym serdecznym uśmiechem. - To co, jesteśmy wciąż przyjaciółmi?

Opierałam się temu z całym siłą, ale nie potrafiłam nie odpowiedzieć mu tym samym. Uśmiechnęłam się bladeo.
Podał mi rękę na zgodę.

Wzięłam kolejny głęboki wdech, po czym ułożyłam Renesmee nieco inaczej w swoich objęciach, by móc chwycić jego dłoń. Kiedy dotknęłam go swoimi chłodnymi palcami, nawet się nie wzdrygnął.
- Wezmę pod uwagę możliwość wybaczenia ci, ale tylko pod warunkiem, że nie zabijesz dziś Charliego.

- Nie zabijesz go, zobaczysz. Będziesz miała u mnie gigantyczny dług wdzięczności.
Wywróciłam oczami.

Wyciągnął ku mnie drugą rękę, tym razem prosząco.
- Mogę?

- Jacob, nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, ale trzymam ją tylko po to, żeby nie mieć czym cię rozszarpać. Może później?
Westchnął, ale nie wyklócał się ze mną. Rozsądne posunięcie. W tym samym momencie przez drzwi od strony rzeki wbiegła Alice z masą pakunków i miną nie wróżącą nic dobrego.

- Ty, ty ty - warnęła na trzy wilkołaki. - Jeśli już musicie tu siedzieć, przenieście się do kąta i zostańcie tam przez jakiś czas. Muszę coś widzieć! Bello, lepiej oddaj mu małą. Takczy siak, mulisz mieć wolne ręce.
Jacob uśmiechnął się triumfalnie.

Dopiero teraz dotarło do mnie w pełni, czego miałam się podjąć, i strach związał moje jelita w ciasny supeł. Zamierzałam eksperymentować na swojej nędznej samokontroli, używając w roli świnki morskiej własnego ciepłokrwistego ojca! W moich uszach i zabrzmiąły wcześniejsze słowa Edwarda: „Czy zastanowiłeś się i nad tym, jak bardzo Bella będzie fizycznie cierpieć, jeśli jakimś cudem się na niego nie rzuci? Albo jakie będzie przechodzić katusze, jeśli nie uda się jej jednak oprzeć zapachowi jego krwi?”.

Tych katuszy nie byłam sobie w stanie wyobrazić. Spanikowałam, oddychałam coraz bardziej szpatynowy.

- Zabierz ją - wyszeptalam, podając swoją córkę Jacobowi. Przejęty, zmarszczył czoło. Dał znak dwojgu swoim kompanom i w trójkę przeszli na drugi koniec pokoju. Razem z Sethem rozsiadł się zaraz wygodnie na podłodze, ale Leah pokręciła na to głową i zacisnęła usta.

- Czy mogę nie być przy tym obecna? - spytała jędliwie.
Wyglądała na spiętą. Miała na sobie ten sam brudny podkoszulek i bawełniane szorty, w których pojawiła się w domu Cullenów tuż przed narodzinami Renesmee, żeby na mnie nakrzyć.

Obcięte na rekruta włosy odrastały jej w nieregularnych kępach. Ciągłe trzęsły jej się ręce.
- Jasne - powiedział Jake.
- Trzymaj się z daleka od drogi, żebyś nie wpadła czasem na Charliego - dodała Alice.

Leah nawet na nią nie zerknęła - wyknęła się tylnimi drzwiami i zaszła w zaroślach, żeby na osobności zmienić się w wileczyę.

Edward znalazł się znowu przy mnie i poglaskał mnie po policzku.

- Będzie dobrze. Wierzę w ciebie. A jakby co, to ci pomogę. Wszyscy ci pomożemy.

Spojrzałam na niego oczami pełnymi niewypowiedzianego lęku. Czy był dość silny, żeby mnie powstrzymać, gdybym wpadła w amok?

- Pomyśl, Bello, gdybym nie był przekonany, że świetnie dasz sobie radę, właśnie byśmy się stąd wynosili. Ale wiem, że nie ma takiej potrzeby. I że będziesz dużo szczęśliwsza, mogąc dzielić z Charliem swoje nowe życie.

Usiłowałam spokojnie oddychać.

Alice pokazała mi coś leżącego na jej dłoni. Było to białe pudełeczko.

- Uprzedzam, że nie za przyjemnie się je nosi - wprawdzie nic nie boli, ale patrzy się przez nie jak przez mgłę, a to mocno irytujące. No i kolor i tak nie będzie taki sam, ale zawsze lepsze to niż jaskrawoczerwone tęczęwki, prawda?

Rzuciła mi swój nabytek. Obróciłam pudełeczko w palcach.

- Kiedy je...

- Jeszcze zanim wyjechałicie w podróż poślubną - wesła mi w słowo. - Staralam się być przygotowana na wszystko.

Zajrzałam do środka. Nigdy przedtem nie nosilam kontaktów, ale chyba nie była to jakaś wielka sztuka. Wyjęłam delikatnie jedno z brązowych szkiełek i obróciwszy je wkłesałam stroną do siebie, umieściłam na oku.

Mrugnąłam i zrenicie przesłoniła mi cienką blonka. Oczywiście była przezroczysta, ale patrząc przez nią, widziałam też z bardzo bliska jej powierzchnię. Chcąc nie chcąc, skupiałam co chwila swój wampirzy wzrok na mikroskopijnych ryśach i nierównościach jej faktury.

- Rozumiesz, co masz na myśli - mruknęłam do Alice, zakładając drugą soczewkę. Tym razem spróbowałam nie zamrużyć, ule nie było to łatwe, bo moje oko odruchowo chciało pożyć się ciała obcego. - I jak wyglądam?

Edward uśmiechnął się.

- Fantasty cznie. Jakżeby inaczej?

- Tak, tak, Bella zawsze wygląda fantastycznie - przerwała mi niecierpliwie Alice. - Są lepsze niż czerwone, ale to największy komplement, jakimi można je obdarzyć. Mają teraz kolor błota. Tamten stary czekoladowy brąz był o wiele ładniejszy. Aha, pamiętaj, że takie kontakty nie są wieczne - jad w twoich oczach w kilka godzin je rozpuści. Więc jeśli Charlie zostanie tu na dłużej, będziesz musiała go przeprosić i wymienić się z czasem na wymienić. Co nawet nie jest takim złym pomysłem, bo ludzie muszą przecieć od czasu do czasu korzystać z toalety. Esmę, daj jej kilka rad, jak zachowywać się bardziej jak człowiek, dobrze, a ja tymczasem pójdę zaopatrzyć łazienkę w zapas soczewek

- He mamy jeszcze czasu?

- Jakieś pięć minut. Będzie musiało jej wystarczyć absolutne minimum.

Esmę podeszła do mnie i wzięła mnie za rękę.

- Dwie podstawowe zasady to nie siedzieć zbyt nieruchomo i nie ruszać się z za szybko.

- Usiądź, gdy tylko i on usiądzie - wtęcił Emmett. - Ludzie nie lubią stać.

- Pamiętaj, żeby co jakieś trzydzieści sekund przesuwać wzrok zabrał głos Jasper. - Ludzie raczej nie wpatrują się dłużej w jeden punkt.

- Zmieniaj co pięć minut pozycję ciała - odezwała się Rosalie. - Najpierw siedź przez pięć minut z założonymi nogami, a potem następne pięć krzyżuj je tylko w łokach.

Każdą z tych sugestii przyjmowałam jak najbardziej na serio. Nie było nic śmiesznego w tym, że musiałam dbać o takie drobiazgi. Zdążyłam zresztą zauważyć już poprzedniego dnia, jak moi bliscy stosowali część z tych sztuczek

Pomyślałam, że będą po prostu naśladować ich zachowanie.

- I mrugaj co najmniej trzy razy na minutę - poszerzył listę Emmett. Nagle ściągnął brwi, popędził do stolika, na którym leżał pilot, i nastawiwszy telewizor na kanał z meczem futbolu amerykańskiego, skinął głową, usatyfakcjonowany.

- Ruszaj też rękami - kontynuował Jasper. - Odgarniaj sobie włosy albo udawaj, że coś cię swędzi.

- Przecież poprosiłam o to Esmę - zwróciła im uwagę Alice, wchodząc do salonu. - Dbajcie o Bellę. Nie za dużo tego na raz?

- Nie, chyba wszystko zapamiętałam - odparłam. - Siadać, rozglądać się, wiercić i mrugać.

- Zgadza się - potwierdziła Esmę, kładąc mi rękę na ramieniu.

Jasper zmarszczył czoło.

- Oczywiście będziesz jak najczęściej wstrzymać oddech, ale musisz mimo wszystko ruszać trochę klatką piersiową, żeby wyglądało na to, że jednak oddychasz.

Zrobiłam małą próbę. Nie miał zastrzeżeń. Edward przytulił mnie od drugiej strony.

- Wierzę w ciebie - powtórzył, mrucząc mi do ucha. - Wszystko będzie dobrze.

- Dwie minuty - oznajmiła Alice. - Tak sobie myślę, że powinnaś przywitać go, siedząc już na kanapie. W końcu byłaś ciężko chora. W ten sposób nie będzie musiał z samego początku wiedzieć, jak się przemieszczasz.

Podciągnęła mnie do sofy. Staralam się ruszać powoli, żeby sprawić wrażenie nieco bardziej niezdarnej, ale Alice wzniosła tylko oczy ku niebu. Najwyraźniej nie wychodziło mi to za dobrze.

- Jacob - powiedziałam - potrzebna mi Renesmee. Nastroszył się i ani drgnął.

Alice pokręciła głową.

- Bello, wiesz, że to zakłóci moje wizje.

- Ale ja naprawdę jej potrzebuję. Pomaga mi się uspokoić. W moim głosie dało się słyszeć narastającą we mnie panikę.

- No dobrze - jęknęła Alice. - Trzymaj ją mocno, żeby nie wierzała, to postaram się jakoś ją obchodzić, kiedy będę na ciebie patrzeć.

Westchnęła ciężko, jak gdyby musiała robić nadgodziny w dzień teoretycznie wolny od pracy. Jacob też westchnął, ale przyniósł mi małą, a potem uciekł pospiesznie przed srogim spojrzeniem mojej przyszywanej siostry do swojego kąpa.

Edward zajął miejsce koło mnie i objął mnie ramieniem, po czym pochylił się odrobinę do przodu, żeby zakomunikować z powagą naszej córce, co ją czeka.

- Renesmee, zaraz pojawi się tu pewien bardzo szerególny pan, który jedzie tu specjalnie po to, żeby spotkać się z tobą i twoją mamą.

Mówił do niej takim tonem, jakby był przekonany, że rozumie każde jego słowo. Czy naprawdę była taka mądra? Cóż, z pewnością patrzyła na niego w skupieniu i nie odwracała wzroku.

- Ale ten pan nie jest taki jak my, ani nawet taki jak Jacob. Musimy obchodzić się z nim bardzo ostrożnie. Nie powinnaś na przykład pokazywać mu różnych rzeczy, tak jak pokazujesz je nam.

Dotknęła jego twarzy.

- Właśnie - powiedział. - Pamiętaj, nie rób tego. I uważaj, bo będzie bardzo smakowicie pachniał, ale nie będziesz mogła go gryźć, rozumiano? Skóra tego pana nie goi się tak szybko jak Jacoba.

- Czy ona wie, co do niej mówisz? - szepnęłam.

- Oczywiście, że wie. Będziesz uważać, prawda, Renesmee? Pomóżesz nam?

Dziewczyńka ponownie dotknęła jego policzka.

- Nie, Jacoba wolno ci gryźć. Nie mam nic przeciwko.

Jacob się zaśmiał.

- Może lepiej byłoby gdybyś wyszedł - zasugerował mu Edward chłodno.

Nie przebaczył mu, bo wiedział, że cokolwiek się nie wydarzy, i tak będę cierpieć podczas zbliżającego się spotkania. Różnił się pod tym względem, bo jeśli tylko palenie w gardle miało być najgorszą rzeczą, jakiej miałam doświadczyć tego dnia, byłam gotowa znosić je cierpliwie.

- Przyszłam Charliemu, że tu będę - zaprotestował Jacob. - Przyda mu się moralne wsparcie.

- Moralne wsparcie? - powtórzył Edward drwiąco. - Z jego punktu widzenia jesteś najbardziej odrażającym potworem z nas wszystkich.

Usłyszałam, jak opony samochodu Charliego zjeżdżają z asfaltu szosy na wilgotną ziemię leśnej drogi, i oddech znowu mi przyspieszył. Moje serce powinno było walić jak młotem. Bardzo dziwnie się czułam z tym, że moje ciało nie reaguje, tak jak należy.

Żeby się uspokoić, skoncentrowałam się na miarowym rytmie serduszka Renesmee. Szybko przyniosło to widoczne efekty.

- Brawo, Bello - szepnęła z aprobatą Jasper.

Edward przytulił mnie mocniej do siebie.

- Jesteś pewien, że dobrze robimy? - spytałam go.

- W stu procentach. Uwierz w swoje możliwości.

Uśmiechnęłam się i pocałowałam mnie.

Nie był to bynajmniej symboliczny, zdawkowy całus, jakiego się spodziewałam, i zaskoczona, pozwoliłam znowu, by wzięły nade mną górę moje dzikie wampirze odruchy. Wargi Edwarda działały na mnie niczym dawka jakiejś uzależniającej substancji chemicznej wstrzyknięta mi prosto w układ nerwowy. Natychmiast zapragnęłam następnej. Musiałam skupiać się z całej siły, żeby nie zapomnieć, że na rękach mam niemowlę.

Jasper wy czuł, że gwałtownie zmienił mi się nastrój.

- Ehm, Edward, mógłbyś być tak miły i nie rozpraszać jej akurat w tym momencie? Musi być w stanie się kontrolować.

Edward odsunął się od mnie.

- Oj - powiedział.

Zaśmiałam się. To był mój tekst - od samego początku, od naszego pierwszego pocałunku.

- Później - obiecałam mu. Już nie mogłam się doczekać.

- Skup się, Bello - przypomniał mi Jasper.

- Wiem, wiem. Już.

Odepchnęłam od siebie rozamiętione myśli. Charlie. Przyjeżdżał Charlie. To o Charliem powinienem była myśleć. O tym, żeby nie zrobić mu krzywdy. Z Edwardem mieliśmy mieć dla siebie całą noc...

- Bello.

- Przepraszam, Jasper. Już nie będę.

Emmett zachichotał.

Samochód ojca był coraz bliżej. Wszyscy na powrót spowolnieli. Założyłam nogę na nogę i zaczęłam ćwiczyć mruganie.

Auto zatrzymało się przed domem i przez kilka sekund stało nieruchomo z włączonym silnikiem. Ciekawa byłam, czy Charlie denerwował się tak samo jak ja. Warkot ucieł, trzasknęły zamykane drzwiczki. Trzy kroki po trawie.

Osiem głuchych uderzeń podeszew ciężkich butów o drewniane schodki. Cztery kroki po deskach werandy. A potem cisza i dwa głębokie wdechy.

Puk, puk, puk.

Zaczerpnęłam powietrza z świadomością, że być może robię to po raz ostatni. Renesmee przycisnęła się do mnie, chowając swoją buźkę w moich włosach.

Carlisle poszedł otworzyć drzwi. Po drodze zmienił wyraz twarzy, z zatroskanego na serdecznego, bardziej pasującego do gościnnego gospodarza, a zrobił to z taką łatwością, jak gdyby przełączał kanał w telewizorze.

- Witaj, Charlie - powiedział, wyglądając na odpowiednio zawstydzonego. Mieliśmy być przecież w Atlancie w Centrum Kontroli Chorób. Charlie wiedział, że go okłamano.

- Witaj, Carlisle - mruknęła oschle. - Gdzie Bella?

- Tutaj jestem, tato.

A niech to! Zapomniałam, że miałam teraz zupełnie inny głos, a w dodatku zużyłam część swojego zapasu powietrza. Szybko go uzupełniłam, dziękując losowi, że zapach mojego ojca nie zdążył się jeszcze rozejść po pokoju.

Zagubiona mina Charliego potwierdziła, że zupełnie mojego głosu nie rozpoznaje. Spojrzał na mnie i otworzył szeroko oczy.

Odczytywałam po kolei emocje, które pojawiały się na jego twarzy.

Szk Niedowierzanie. Ból. Starta. Przeżalenie. Gniew. Podejrzliwość. Jeszcze więcej bólu.

Przygryzłam wargę. Było nawet zabawnie czuć na niej nacisk moich nowych zębów, bo mimo że skórę miałam jak z granitu, a nie po ludzku miękką, w zetknięciu z nią okazywały się być ostre niczym żyłtęki.

- To ty, Bella? - wyszeptał.

- Tak, to ja. - Skrzywiłam się na dźwięk swojego melodyjnego sopranu. - Cześć, tato.

Żeby się uspokoić, wziął kolejny głęboki wdech.

- Cześć, Charlie - przywitał go ze swojego kąpa Jacob. - Jak lecisz?

Charlie zerknął tylko na niego i wdrygnąłszy się na wspomnienie ich znowu, znowu wbil we mnie wzrok.

Powoli przeszedł przez salon, aż w końcu dzieliło nas od siebie może z półtora metra. Posłał Edwardowi oskarży cielskie spojrzenie, ale w centrum jego uwagi nadal znajdowałam się ja. Z każdym skurczem jego serca uderzała mnie fala bijącego od niego ciepła.

- Bella? - powtórzył.

Odezwałam się nieco ciszej, żeby mój głos nie brzmiał tak dźwięcznie.

- Tak, to naprawdę ja.

Zacisnął zęby.

- Przepraszam, tato.

- Jak się czujesz?

- Świetnie. Jestem zdrowa jak koń.

To by było na tyle, jeśli chodziło o mój zapas tlenu.

Jake wyjaśnił mi, że to było... konieczne. Że byłaś umierającą. Po tonie jego głosu można było poznać, że ma to wszystko za jedną wielką bujną.

Spięłam mięśnie, szykując się na najgorsze, i skupiona na ciepłym ciężarze Renesmee, wzięłam głęboki wdech.

Zapach Charliego wbił się w moje gardło pięścią z płomieni. Ale przenikający mnie ból był niczym w porównaniu z gorącym ukłuciem niewysłowionego pragnienia. Charlie pachniał apetyczniej niż cokolwiek, co mogłam sobie wyobrazić. O wiele bardziej kusząco, niż nieznanymi mi turyści, na których trop natknęłam się na polowaniu. Był tak blisko mnie, nasycając suche powietrze swoją wilgocią i ciepłem, od których do ust napływała mi ślina...

Ale nie byłam teraz na polowaniu. A on był moim ojcem.

Edward ścisnął moje ramię, żeby okazać mi współczucie, a Jacob spojrzął na mnie przeprasząco z drugiego końca pokoju.

Spróbowałam wzięć się w garść i zignorować ból i pragnienie. Charlie czekał, aż mu odpowiem.

- Tak było. Jacob powiedział ci prawdę. Chociaż on jeden - zachnął się Charlie.

Miałam nadzieję, że potrafi dostrzec w mojej twarzy coś więcej, niż tylko zmiany, jakie w niej zaszły, i że odczyta z niej, ile było we mnie skruchy.

Za zasłoną moich włosów Renesmee pociągnęła noskiem, bo i do niej dotarła już woń naszego gościa. Wzmocniłam swój ucisk.

Charlie zauważył, że zerkał zaniepokojona w dół, i powiódł wzrokiem za moim spojrzeniem.

- Och - wymknęło mu się. Nie wyglądał już na zagniewanego, tylko na zaskoczonego. - To ona, ta sierota, co to Jacob mówił, że zamierzacie ją adoptować.

- To moja bratanica - skłamał bez zająknięcia Edward. Musiał dojść do wniosku, że podobieństwo pomiędzy nim a Renesmee jednak zbytnio rzuca się w oczy. Lepiej było już na samym początku przyznać, że są z sobą spokrewnieni.

- Myślałam, że nie masz żadnych krewnych - powiedział Charlie, przybierając na nowo oskarży cielski ton głosu.

- Miałem starszego brata. Po tym, jak straciliśmy rodziców, adoptowano go, tak jak mnie. Nigdy już go później nie widziałem, ale kiedy zginął niedawno razem z żoną w wypadku samochodowym, odszukano mnie sądownie, bo małą nie miał się kto zająć. Szwagierka też nie miała bliższej rodziny.

Był w tym taki dobry. Mówił bardzo naturalnie, ani nie przesadnie pewnie, ani też nie płacząc się w zeznaniach. Musiałam to potrenować.

Renesmee wyjrzała spod moich włosów, znowu pociągając noskiem. Zerknęła na Charliego nieśmiało i zaraz schowała się z powrotem.

- Jest... Nie powiem, jest śliczna.

- Niewątpliwie - zgodził się Edward.

- Ale takie dziecko to duża odpowiedzialność. Wy dwoje dopiero co wkroczyliście w dorosłe życie.

- A mieliśmy jakiś wybór? - Edward musnął policzek naszej córeczki. Nie uszło mojej uwadze, że przejechał jej delikatnie palcami po usteczkach - tak dla przypomnienia. - Miałbyś serce ją odesłać?

- Hm... Cóż... - Charlie pokręcił w zamyśleniu głową. - Jake wspominał, że wolacie na nią Nessie?

- Wcale nie - burknęłam zbyt ostro. - Ma na imię Renesmee. Podniósł wzrok, żeby mi się przyjrzeć.

- A ty, jak się z tym czujesz? Może to Carlisle z Esme mogłoby...

- Nie ma mowy - przerwałam mu. - Jest moja. Chcę się nią opiekować.

Ściągnął brwi.

- Chcesz, żeby m tak młodo został dziadkiem?

Edward uśmiechnął się.

- Carlisle też nim jest.

Ojciec popatrzył z niedowierzaniem na mojego teścia, który nadal stał przy drzwiach - doktor przy pominał przystojniejszego młodszego brata Zeusa.

Charlie prychnął, a później parsknął śmiechem.

- No tak, to chyba rzeczywiście powinno poprawić mi humor, jego oczy same powędrowały ku Renesmee. - Nie ma co, z tej małej wyrośnie prawdziwa piękność.

Prąd powietrza porwał z sobą jego ciepły oddech i poniósł go prosto na nas.

Renesmee wygięła się w stronę kuszącego zapachu, strząsając i siebie moje włosy i po raz pierwszy ukazując się Charlieemu w całej swojej krasie. Spomiędzy jego warg wydobyl się cichy jęk.

Wiedziałam, na co tak zareagował. Zobaczył wreszcie jej brązowe oczy i zdał sobie sprawę, że są dokładnie takie same jak moje stare. Dokładnie takie same, jak jego własne.

Zaczął oddychać zbyt szybko i zbyt głęboko. Wargi mu drżały, ale i tak domyślałam się co do siebie po cichu mówił: odliczał wstecz, starając się wpasować dziewięć miesięcy w jeden. Starając się złożyć wszystko w logiczną całość, nie będąc jednak w stanie znaleźć w tej i całości miejsca dla namacalnego dowodu, który miał przed sobą.

Jacob podniósł się i podszedł do nas, żeby polępać go po plecach. Pochylił się, żeby szepnąć mu coś do ucha. Ojciec nie orientował się, że wszyscy i tak to słyszają.

- Wszystko jest w porządku, zaufaj mi. Nie musisz nic więcej wiedzieć.

Charlie przełknął ślinę i skinął głową, ale potem w oczach zapłonął mu gniew. Zrobił krok w stronę Edwarda, zaciskając dłonie w pięści.

- Nie chcę nic wiedzieć, ale mam dość kłamstw!

- Przylko mi, Charlie - powiedział Edward spokojnie - ale o wiele ważniejsze jest to, żebyś znał oficjalną wersję, niż prawdę. Jeśli masz z nami odtąd konspirować, musisz pamiętać, że to wersja oficjalna najbardziej się liczy. Służę to temu, żeby chronić Bellę i Renesmee, a także wszystkich nas. Czy przez wzgląd na nie dwie nie mógłbyś tych kłamstw tolerować?

Pokój pełen był kamiennych posągów. Skrzyżowałam nogi w łydkach.

Charlie mruknął coś pod nosem i spojrzął na mnie gniewnie.

- Mogłaś mnie jakoś ostrzec, córeczko.

- Tylko czy cokolwiek by ci to ułatwiło?

Zmarszczył czoło, po czym ukląkł przede mną na podłodze. Widziałam, jak w tętnicy na jego szyi pulsuje krew. Odbierałam wysyłane przez nią ciepłe wibracje.

Renesmee także je odbierała. Z uśmiechem wyciągnęła ku niemu różową piastkę. Przytrzymałam ją, nie pozwalając jej się do niego zbliżyć. Dotknęła mnie drugą rączką, żeby pokazać mi w swoich myślach twarz Charliego, swoje zaciekawienie nim i odczuwane przez siebie pragnienie. Krył się w tej krótkiej wizji jakiś subtelny podtekst, który pozwolił mi uwierzyć, że jednak zrozumiała Edwarda - ląknęła krwi, ale wiedziała, że musi się powstrzymać.

- Boże - wyrwało mi się. Wpatrywał się osłupiały w perelki jej zębów. - Ile mała ma miesięcy?

- Ehm...

- Trzy - wyręczył mnie Edward, a potem dodał powoli: - To znaczy, jest mniej więcej wielkości trzy miesięcznego niemowlęcia, ale pod wieloma innymi względami jest dużo bardziej rozwinięta.

Renesmee jak najbardziej świadomie do niego pomachała. Charlie gwałtownie zamrugał. Jacob dał mu sójkę w bok.

- Mówilem ci, że jest wyjątkowa.

Ojciec wzdygnął się, pełen obrzydzenia po tym, jak Jake go dotknął.

- Bez przesady - jęknął Jacob. - Jestem tą samą osobą, co wcześniej. Nie możesz po prostu udawać, że tamto w lesie nigdy się nie wydarzyło?

Charlieemu na wspomnienie tego niedawnego incydentu pobielały wargi, ale skinął głową.

- Jaka jest właściwie twoja rola w tym wszystkim? - spytał. - Ile wie Billy? Dlaczego tu jesteś?

Jacob wpatrywał się rozpromieniony w twarzy czkłę Renesmee.

- Hm, mógłby mi ci opowiedzieć wszystko ze szczegółami - Billy jest w to jak najbardziej wtajemniczony - ale musiałbym wtedy bardzo często wspominać o wilku...

- Uch! - zaprotestował Charlie, zakrywając sobie uszy. - Mniejsza o to. To mi wystarczy.

Jacob uśmiechnął się szeroko.

- Spokojnie, Charlie. Wszystko się ułoży. Staraj się tylko nie wierzyć w nic, co widzisz.

Ojciec wymamrotał coś niezrozumiałego.

- Dawajcie, chłopaki! - krzyknął zniacna Emmett swoim głębokim basem. - Gators górą!

Jacob i Charlie aż podskoczyli. Reszta z nas zamarła. Otrząsnąwszy się z szoku, ojciec spojrzął Emmettowi przez ramię.

- Floryda prowadzi?

- Właśnie zaliczyli pierwsze przyłożenie - potwierdził Emmett. Rosiał mi kpiarskie spojrzenie, strasząc brwi niczym czarny charakter z wodewilu. - Najwyższy czas, żeby i u nas ktoś coś wreszcie zaliczył.

Mało brakowało, a bym na niego warłknęła. Przy Charlie'm? To był cios poniżej pasa.

Ale Charlie był w takim stanie, że nie docierały do niego żadne aluzje. Znowu zaczerpnął powietrza, zasycając je z taką energią, jakby chciał, żeby trafiło mu do palców u stóp. Jak ja mu zazdrościłam! Wyprostowawszy się, obszedł Jacoba i usiadł w wolnym fotelu.

- Cóż - westchnął - zobaczmy, czy utrzymają prowadzenie.

- Nie jestem pewien, ile z tego powinniśmy zdradzić Renee - przyznał Charlie, przystając na progu.

Przeciągnął się. Zaburczało mu w brzuchu.

- Wiem, o co ci chodzi - przytaknęłam mu. - Nie chcę, żeby wpadła w histerię. Lepiej ją przed tym chronić. To nie są sprawy dla lekliwych.

Kąciki jego ust uniosły się odrobinkę, a wargi się wykrzywiły. Spojrzał na mnie smutno.

- Gdybym tylko wiedział jak cię też próbowałbym wcześniej chronić. Chociaż tak właściwie to ty nigdy do lekliwych nie należałaś, prawda?

Odpowiedziałam mu uśmiechem, wciągając przez zaciśnięte zęby ogrzane jego oddechem powietrze. Poklepał się w zamyśleniu po brzuchu.

- Coś tam razem wy kombinujemy . Będzie jeszcze czas to przedyskutować, co nie?

- Będzie, będzie - zapewniłam go.

Z jednej strony mieliśmy za sobą długi dzień, ale z drugiej był on taki krótki! Charlie się zasiał i groziło mu, że spóźni się na kolację, przygotowaną dla niego i Billy'ego przez Sue Clearwater. Po rewelacjach Jacoba mógł się pewnie czuć przy nich wyjątkowo skrępowany, ale przynajmniej miał tam dostać coś porządnego do jedzenia. Cieszyłam się, że ktoś dbał o to, by nie umarł z głodu z powodu absolutnego braku talentu kulinarnego.

Przez cały dzień napięcie dawało nam się we znaki, wydłużając kolejne minuty w nieskończoność. Charlie ani na moment się nie rozluźnił. Ale też wcale nie było mu spieszo wyjść. Obejrzał w całości dwa mecze (dzięki Bogu do tego stopnia pogrążony w rozmysłaniach, że pozostawał zupełnie obojętny na żarty Emmetta, które z komentarza na komentarz stawały się coraz bardziej dowodne i coraz mniej dotyczyły futbolu) i rozmowę komentatorów po meczach, a jeszcze wiadomości, i nie ruszył się z kanapy, dopóki Seth nie przypomniał mu, która to już godzina.

- Chyba nie zamierzasz wystawić mamy i Billy'ego do wiatru, co Charlie? Jak wyjedziesz, nie się nie stanie. Bella i Nessie jutro też tu będą, a jeśli coś trzeba, co nie?

Patrząc na Charliego, było widać jak na dłoni, że ani trochę nie wierzy zapewnieniom Setha, ale pozwolił mu się poprawdzić na zewnątrz. Przystając na progu, nadal był pełny nieufności.

Prześlątała padać, a chmury powoli się przerzedzały. Być może, już przed zapadnięciem zmierzchu, miało jeszcze na chwilę pokazać się słońce.

- Jak mówił mi, że planowaliście wyjechać bez pożegnania...

- Jeśli tylko daloby się to jakoś inaczej załatwić, nie dopuściłabym do tego. No i, jak widać, nadał tu jesteśmy .

- Powiedział mi, że moglibyście zostać na dłużej, ale tylko jeśli udowodniłbym, że jestem prawdziwym twardzielem i że potrafię trzymać buzię na kłódkę.

- Zgadza się... ale nie mogę ci obiecać, że nigdy się stąd nie wyniesiemy, tato. To dość skomplikowane...

- Nie mów mi nic, czego nie muszę wiedzieć.

- Jasne.

- A jeśli się wy prowadzicie, będziecie wpadać od czasu do czasu do wizyta?

- Masz moje słowo, tato. Teraz kiedy już coś tam wiesz, sądzę, że da się to załatwić. Będę się z tobą kontaktować tak często, jak tylko będziesz chciał.

Na moment przyciżył sobie dołną wargę, a potem pochylił się ku mnie powoli, ostrożnie wyciągając ramiona. Przemieściłam drżącą Renesmee tak, by móc ją trzymać jedynie lewą ręką, zacisnęłam zęby i wstrzymałam oddech, objęłam go wolnym ramieniem w pasie, przytulając do siebie. Był tak ciepły, taki kusząco miękkły...

- Jak najczęściej, córeczko - wyszeptał. - Pamiętaj, jak najczęściej.

- Kocham cię, tato.

Zadrżał i odsunął się. Cofnęłam rękę.

- Też cię kocham, małeńka. Może i dużo się zmieniło, ale to na pewno nie. - Dotknął jednym palcem zaróżowionego policzka Renesmee. - Jest do ciebie bardzo podobna.

Postarałam się zachować niewzruszony wyraz twarzy, chociaż jednak się to miało do mojego nastroju.

- Chyba bardziej do Edwarda - stwierdziłam, po czym dodałam z wahaniem: - Ma twoje kręcone włosy .

Charlie znieruchomiał, ale zaraz się zachnął.

- Ha. Nie da się ukryć. No, no. Dziadek - Pokręcił z niedowierzaniem głową. - Czy będę mógł ją kiedyś potrząsać?

Zamrugnęłam gwałtownie, zasłuchana, ale zaraz się opanowałam. Zastanowiwszy się na tył przez pół sekundy i oceniwszy stan Renesmee - wygładziła na pogrążoną w głębokim śnie - doszłam do wniosku, że skoro mam dzisiaj taki fart, to równie dobrze mogę znowu zaryzykować.

- Proszę - powiedziałam, podając mu ją.

Odruchowo zrobił z rąk niezdarną kółkę, w której mu ją ułożyłam. Jego skóra nie była tak gorąca jak jej, ale pulsujące pod jej cienką warstwą ciepło polaskotało mnie w gardle. W miejscu, w którym go musnęłam, dostał gęsej skórki. Nie miałam pewności, czy to dlatego, że byłam taka zimna, czy też z przyczyn czysto emocjonalnych.

- Hm - chrząknął, przejąwszy małą. - Sporó waży. Ściągnęłam brwi. Mnie wydawała się lekka niczym piórko.

Może nie byłam już w stanie szacować obiektów wnie takich rzeczy.

- Nie ma w tym nic złego - pocieszył mnie, widząc moją minę. - Będzie musiała być twarda, skoro ma dorastać w takich dziwnych warunkach - mruknął do siebie. Przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę, delikatnie nią zakłysał. -

To najbliższe dziecko, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia, z tobą włącznie. Przykro mi, ale to prawda.

- Nie obrażę się. Wiem, że tak jest.

- Śliczne małeństwo - powtórzył, ale tym razem raczej do Renesmee i dużo bardziej rozczulonym tonem.

Wiedziałam to w jego twarzy - mogłam obserwować, jak jego uczucie do niej rośnie. W zetknięciu z magią jej uroku był równie bezbronny, jak wszyscy inni. Dwie sekundy u niego na rękach wystarczyły jej, żeby go sobie podporządkować.

- Mogę wpaść znowu jutro?

- Jasne, tato. Oczywiście. Będziemy czekać.

- Ani się wascie stąd ruszać - pogroził mi, ale w jego oczach nie było ani zdenerwowania, ani gniewu, bo nie oderwał ich jeszcze od Renesmee. - Do zobaczenia, Nessie.

- No nie! Ty też?!

- Co jest?

- Ma na imię Renesmee. Tak jak Renee i Esme, tylko pisane razem. Żadnych wariacji. - Usiłowałam się uspokoić, ale nie było to takie łatwe, bo nie mogłam głębiej odetchnąć. - Chcesz wiedzieć jak ma na drugie?

- Jasne.

- Charlie. Przez „c”. To od połączenia Carlisle'a z Charliem.

Charlie uśmiechnął się tak promiennie, że w kącikach jego oczu pojawiły się drobne zmarszczki, zupełnie zbijając mnie tym z pantyaku.

- Dzięki, Bells.

- To ja ci dziękuję, tato. Tyle się zmieniło w tak błyskawicznym tempie. Az ciągle kręci mi się od tego w głowie. Gdyby cię teraz, przy mnie nie było, nie wiem, jak bym utrzymała kontakt z... z rzeczy wistością.

O mało nie palnęłam „ze swoją przeszłością”, ale chyba byłoby to dla niego za dużo.

Zaburczało mu w brzuchu.

- Jedź już na tę kolację, tato. Przyrzekłam, będziemy czekać. Pamiętałam, jak sama czułam się nieswojo, stawiając pierwsze kroki w tym świecie rodzem z baśni i legend - miałam wrażenie, że wszystko zniknie, gdy tylko zaa widnokręgu wynurzy się wschodzące słońce.

Charlie pokławał głową i niechętnie zwrócił mi Renesmee. Spojrzał ponad moim ramieniem w głąb domu. Kiedy rozglądał się po jasnym wnętrzu, w jego oczach na chwilę pojawiło się przerażenie. Wszyscy by li nadal w salonie, z wyjątkiem Jacoba, który, sądząc po odgłosach dochodzących z kuchni, wyjadał właśnie zawartość lodówki. Alice siedziała na najniższym stopniu prowadzących na górę schodów. Jasper półleżał przy niej z głową na jej kolanach. Carlisle pochylił się nad jakimś opasłym tomem. Esme nučila, szklując coś w swoim bloku, a Rosalie i Emmett skończyli właśnie budować pod schodami fundamenty gigantycznej konstrukcji, którą planowali wznieść z kart. Edward w którymś momencie zasiadł za fortepianem i teraz przy grywał sobie na nim cicho. Żaden z Cullenów nie zachowywał się tak, jakby dzień powoli dobiegał końca i wypadałoby przygotować kolację albo ruszyć się z miejsc i w jakiś sposób przyszykować się do zbliżającego się wieczoru. W panującej w pokoju atmosferze zaszła ledwie namacalna zmiana. Cullenowie nie przywiązali już aż tak wielkiej wagi co zwykle do należytego udawania ludzi i chociaż różnica była w gruncie rzeczy nieznaczna, Charlie ją wychwytał.

Wzdrygnął się, potrząsnął głową i westchnął.

- Do zobaczenia jutro. - Zmarszczył czoło. - Wiesz, to nie jest tak, że teraz wyglądasz jakoś dziwnie... Bardzo jesteś... ładna. Tylko muszę się do tego przyzwyczaić.

- Dzięki za komplement, tato.

Odsełd w zamyśleniu do auta. Przyglądałam się, jak odjeżdża. Dopiero usłyszawszy, jak opony jego samochodu zjeżdżają z drogi gruntowej na asfalt, uznyslowiłam sobie, że mi się udało. Udało mi się spędzić z ojcem cały dzień i nie zrobić mu krzywdy. I nik mi w tym nie pomogę! Rzeczywiście musiałam być jakoś wybitnie w tym kierunku uzdolniona.

Wydawało się to zbyt cudowne, by było prawdziwe. Czy naprawdę mogłam mieć nową rodzinę i zachować przy tym kilku pionków tej starej? A myślałam, że to poprzedni dzień był dla mnie spełnieniem marzeń.

- Wow - szepnęłam.

Zamrugnęłam i po trzecim komplecie szkieł kontaktowych nie zostało śladu.

Fortepian ucichł. Nie zdążyłam się nawet za siebie obejrzeć, Edward już obejmował mnie od tyłu w tali, podbródek opierając mi o ramie.

- Wyjęłaś mi to z ust.

- Udało się! A jednak!

- Świetnie się spałaś. Byłaś niesamowita. Tyle się martwiliśmy, jak to będzie z tobą po przemianie, a ty po prostu przeskoczyłaś ten etap!

Zażmiał się wesoło.

- Ja tam się zastanawiam, czy ona w ogóle jest wampirem, a co dopiero nowo narodzoną - odezwał się Emmett spod schodów - jest za łagodna.

Przypomniały mi się te wszystkie niewybredne aluzje, na które pozwolił sobie przy Charlie. Miał szczęście, że ciągle trzymałam na rękach małą. Nie byłam jednak w stanie pohamować się do końca i warknęłam na niego cicho.

-, Ojoj! - zawołał. - Już się boję!

Syknęłam i Renesmee poruszyła się w moich ramionach. Zamrugnęła kilkakrotnie, a potem rozejrzała się rozszpana, pociągnęła raz czy dwa noskiem i dotknęła mojej twarzy.

- Charlie jutro wróci - obiecałam jej.

- Doskonałe - powiedział Emmett. Tym razem Rosalie zaśmiała się razem z nim.

- Dzwie się tobie, Emmett - stwierdził Edward, wyciągając ku mnie ręce, żeby zabrać małą. Mrugnęła, kiedy się zaważałam, więc podałam mi ją, choć czułam się odrobinę zdezorientowana.

- A to dlaczego? - zainteresował się Emmett.

- To trochę nierozsądne, nie uważasz, drażnić najsilniejszego wampira w domu?

- Najsilniejszego? - prychnął Emmett. - Dobry dowcip.

- Bello - zwrócił się do mnie Edward - pamiętasz może, jak przed kilkoma miesiącami poprosiłem cię o wyświadczenie mi pewnej przysługi, gdy tylko staniesz się niemierniełta?

Coś mi tam świato. Przejrzałam pospiesznie swoje zamglone ludzkie wspomnienia i po krótkiej chwili przypomniałam sobie tę konkretną rozmowę.

- Ach - wyrwało mi się. - No tak

Alice wybuchnęła melodyjnym, perlistym śmiechem. Jacob wyrzwał zza framugi kuchennej drzwi z ustami pełnymi jedzenia.

- Co? - ryknął Emmett.

- Naprawdę? - spytałam Edwarda.

- Zaufaj mi. Wzięłam głęboki wdech.

- Emmett, co powiesz na mały zakład?

Zerwał się na równe nogi.

- Super. Wal.

Przygryzam wargę. Był taki ogromny.

- Chyba że się boisz... - zasugerował.

Ściągnęłam łopatkę.

- Ty. I ja. Siłujemy się na ręce. Teraz. Zaraz. Na stole w jadalni.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Ehm, Bello - wtrąciła się Alice. - Esme jest chyba bardzo przywiązana do tego stołu. To antyk

Esme nie odezwała się, ale z ruchów jej warg wyczytałam, że mówi Alice „dzięką”.

- Nie ma sprawy - powiedział Emmett. - Bella, zapraszam cię na dwór.

Poprowadził mnie w stronę garażu. Słyszałam za sobą kroki pozostałych. W pobliżu rzeki z bezadnej zbieraniny skał wystawał spory granitowy głaz i to on najwyraźniej był celem mojego szwagra. Mimo zaokrąglonych brzegów i dość nieregularnego kształtu, posiadał dość płaskiej powierzchni, by móc spełnić swoją rolę.

Emmett oparł się o niego łokciem i zachęcił mnie gestem do podejścia bliżej. Kiedy przyglądałam się, jak napina imponujący biceps, znowu ogarnęły mnie wątpliwości, ale nie dałam tego po sobie poznać. Czyż Edward nie przyrzekł mi, że przez pewien czas będę silniejsza od wszystkich dookoła? Czyż nie wydawał się być o tym świecie przekonany? Poza tym, jakby nie było, czułam się silna. Tylko czy aż tak? Zastanowiłam się nad tym, mierząc wzrokiem mięśnie przeciwnika. Cóż, byłam wampirem dopiero od niespełna dwóch dni, a to przecież coś za sobą pociągało. Chyba że pod tym względem stanowiłam wyjątek. Może nie byłam tak silna, jak przystało na nowo narodzoną. Może to dlatego tak łatwo było mi się kontrolować.

Zajmując miejsce naprzeciwko, postarałam się zachować niewzruszony wyraz twarzy.

- Okej, Emmett. Zawrzyjmy umowę. Jeśli z tobą wygram, będziesz miał zakaz wspominania o moim życiu seksualnym, jasne? Żadnych komentarzy, żadnych aluzji, zupełnie nic. Nawet sam na sam z Rose.

Zmrużył filiternie oczy.

- Umowa stoi. Ale jeśli ja wygram, będę jeszcze bardziej niezdolny niż teraz.

Usłyszałam, że z oburzenia zaparło mi dech, i uśmiechnął się złośliwie. Sądząc po jego minie, wcale nie żartował.

- Tak łatwo cię zatłwić, siostrzyczko? - zdziwił. - Niby powinnaś być dziaka, ale jakoś wcale tego po tobie nie widać. Założę się, że w tym waszym gniazdku nie zarysowałyście jeszcze nawet podłogi. - Zaśmiał się głośno. - Edward ci mówił, ile z Rose rozwaliliśmy domów?

Zgrzytając zębami, schwyliłam jego wielką dłoń.

- Raz, dwa...

- Trzy - dokończył i napał na moją rękę.

Nic się nie wydarzyło.

Och, to znaczy, czułam oczywiście, że wywiera nacisk na moją dłoń. Mój nowy umysł świetnie sobie radził z wszelkimi wyliczeniami, wiedziałam więc, że gdyby nie napotkał żadnego oporu, bez najmniejszego trudu zrobiliby dziurę w kamieniu. Nacisk zwiększył się i zaczęłam się zastanawiać, z jaką prędkością musiałyby zjechać ze stromeego wznieślenia betoniarka, żeby przy zderzeniu oddać tyle samo siły. Sześćdziesiąt kilometrów na godzinę? Siedemdziesiąt? Osiemdziesiąt? Pewnie więcej.

Nie wystarczyło to jednak, żeby mnie pokonać. Moja ręka ani drgnęła, a ja nawet nie musiałam się specjalnie starać, nie mówiąc o tym, żeby mnie coś bolało. Ba, stawianie Emmettowi oporu sprawiało mi dziwną przyjemność. Odkąd obudziłam się jako nieśmiertelna, tak bardzo uważałam na to, żeby niczego nie zniszczyć i nikogo nie zranić, że odczuwałam ulgę, używając wreszcie mięśni. Mogłam nareszcie pozwolić drzemiącej w nich mocy swobodnie przepływać, zamiast męczyć się, by utrzymać ją w ryżach.

Emmett odchrząknął. Na jego czole pojawiły się poziome zmarszczki. Zeszywniał cały, zamieniając się w jedną wielką dźwignię, której jedynym zadaniem było usunąć przeszkodę w postaci mojej znieruchomiałej ręki. Pozwoliłam, by się pocił w przenośni - podczas gdy sama napawałam się tym, co się działo w moim ramieniu.

Było to wspaniałe doznanie, ale po kilku sekundach zrobiło się nudne. Napięłam mięsień i Emmett stracił półtora centy metra.

Zaśmiałam się. Emmett warknął ochryple przez zacisnięte zęby.

- Cicho tam - upomniałam go. - Jeszcze nie skończyłam.

A potem wbiłam jego pięść w głaz.

Od ściany lasu odbił się echem ogłuszający huk. Blok pod nami zadygotał i jego fragment, mniej więcej jedna ósma, odłamawszy się wzdłuż niewidzialnej rysy, runął na ziemię - a dokładniej wprost na stopę Emmetta. Przesłoniłam usta dłonią. Zza pleców doszły mnie stłumione śmiechy Jacoba i Edwarda.

Emmett kopnął granitową bryłę z taką siłą, że kamień przeleciał ponad rzeką i przeciwny do półmłody klon, uderzył o dół pnia potężnej jodły, która zachwiała się, po czym zwała się na sąsiednie drzewo.

- Jutro rewanz - zapowiedział.

- Tak szybko to mi to nie przejdzie - uprzedziłam go. - Może lepiej zaczekać tak z miesiąc, co ty na to?

- Jutro - powtórzył rozłoszczony.

- Dobrze, już dobrze.

Skoro się upierasz.

Na odchodnym wałnęła jeszcze pięścią w reszkę głazu, aż pospał się z niej grad odłamków, a w powietrze wzbil się pył. Świetnie to wyglądało. Zachowywał się jak dziecko.

Zafascynowana niepodważalnym dowodem na to, że byłam silniejsza od najsilniejszego znanego mi wampira, położyłam dłoń na kamiennym bloku i powoli wywarłam na niego nacisk. Moje rozczapierzone palce zanurzyły się w skałę, nie tyle grzebiąc w niej, co miażdżąc ją pod sobą - konsystencją przypomniała twardey ser. Pod koniec tej operacji zostałaam z garścią żwiru.

Ale numer - mruknęłam.

Coraz szerzej się uśmiechając, zrobiłam zniacna zgrabny piruet i niczym karateka uderzyłam kamień kantem dłoni. Głaz stęknął, jęknął i obsypując mnie granitowym pudrem, rozłam się łomotem na dwie części. Zaczęłam niekontrolowanie chichotać.

Nie przejmowałam się zbytnio śmiechami zebranych na trawniku, tylko rozbiłam blok na coraz to mniejsze fragmenty. Okładając głaz pięściami i kąpiąc w zapamiętaniu, zbyt dobrze się po prostu bawiłam. Przerwałam dopiero kiedy zaśmiał się ktoś nowy cienko, ale rozkosznie, jak mały dzwoneczek.

Odwróciłam się przodem do swojej widowni.

- Naprawdę się zaśmiała, czy tylko mi się przesyłało?

Wszyscy wpatrywali się w Renesmee z takim samym osłupieniem, jakie musiało malować się na mojej twarzy.

- Naprawdę - potwierdził Edward.

- A kto się nie śmiał - mruknął Jacob, wywracając oczami.

- Nie wstawiaj mi, że jak po swojej własnej przemianie po raz pierwszy poszedłeś do lasu, to trochę sobie nie poszalałeś - zasydził Edward, ale po przyjacielsku, bez wrogości.

- Ja to co innego - powiedział Jacob, uderzając go na niby w ramię. Zaskoczył mnie tym spoufalaniem się. - Bella jest już poważną, dorosłą osobą. Stateczną żoną i matką. Takie wybryki to już chyba nie dla niej.

Renesmee skrzywiła się i dotknęła policzka Edwarda.

- Czego się domaga?

- Mniej stateczności - zaśmiał się Edward. - Przyglądanie się tobie sprawiło jej niemal tyle samo frajdy co mnie.

Podbiegłam bliżej.

- Aż taka jestem zabawna? - spytałam małą, sięgając po nią w tym samym momencie, w którym ona wyciągnęła się ku mnie. Zabrawszy ją Edwardowi, pokazałam jej mały skalny odłamek, który trzymałam w drugiej ręce. - Chcesz spróbować?

Uśmiechnęła się słodko i wzięła go obiema rączkami. Ścisnęła. Pomiędzy jej brewkami pojawiła się maleńkie pionowe wgłębienie.

Coś chrupnęło, a z jej piąstek posypało się trochę pyłu. Zmarszczywszy czołko, oddała mi grudek.

- Pozwól, że ja spróbuję - zaproponowałam.

Zduśliłam kamyk dwoma palcami, aż został z niego tylko piasek. Zaczęła mi bić brawo i znowu się roześmiała. Był to takuroczy dźwięk, że wszyscy do niej dołączyliśmy.

Nagle zza chmur wyłoniło się zachodzące słońce, wystrzeliwując ku naszej dziesiątce setki złoczerwonych promieni, i moją uwagę pochłonęło natychmiast to, jak pięknie w tym świetle prezentowała się moja skóra. Poczułam się oszołomiona.

Renesmee poglaskała gładkie fasetki niezliczonych brylantów, a potem przytknęła rączkę do mojego przedramienia. Jej własna skóra mieniła się tylko odrobinę, subtelnie i tajemniczo. Nic nie wskazywało na to, żeby moja córka musiała kiedyś w pogodny dzień chować się przed ludźmi. Dotknęła mojej twarzy, myśląc o tym, jak się różniami, rozalona, że i ona się tak cudnie nie iskrzy.

- I tak jesteś tu najpiękniejsza - zapewniłam ją.

- No, nie wiem, czy się z tym zgodzę - powiedział Edward.

Odwróciłam się, żeby mu odpowiedzieć, ale na widok jego twarzy w promieniach słońca zaniemówiłam.

Jacob przesłonił sobie oczy dłonią, udając, że łuna go razi.

- Bella to się teraz tylko do cyrku nadaje - skomentował.

- Jest wspaniała - przytaknął Edward, jak gdyby tekst o cyrku pomysły był jako komplement. Mój mąż był zarazem i zachwycający, i zachwycony.

To, że coś przychodziło mi absolutnie bez trudu, to była dla mnie prawdziwa nowość. Dziwne się z tym czułam - w czym nie było nic zaskakującego, bo właściwie to wszystko po przemianie odbierałam jako dziwne. Jako człowiek, nigdy nie byłam w niczym najlepsza. Radziłam sobie nieźle z Renee, ale pewnie sporo ludzi lepiej sprawdziliby się w roli jej poskramiacza - taki Phil też ze nią wytrzymał. Dobrze się uczyłam, ale nigdy na tyle dobrze, by móc nazywać się prymuską. Nie byłam uzdolniona ani muzycznie, ani plastycznie, ani w jakimkolwiek innym kierunku, za czytanie książek medali nie dawali, a o moich dokonaniach sportowych lepiej nawet nie wspominać. I tak, po osiemnastu latach niewyróżniania się niczym szczególnym, zdążyłam się przyzwyczaić do bycia przeciętną. Dopiero teraz zdałam sobie sprawę, że już dawno temu pogodziłam się z tym, że niczym już nie zabłysnę. Staralam się po prostu jak najlepiej wykorzystać to, co było mi dane, zawsze nieco odstawając do swojego otoczenia.

Teraz wszystko się zmieniło. Byłam niesamowita - i to nie tylko ja tak uważałam. Jakbym urodziła się właśnie po to, żeby zostać wampirem. Na tę myśl zachciało mi się śmiać - ale chętnie zaśpiewałabym też z radości. Odnalazłam swoje miejsce w świecie. Miejsce, do którego pasowałam. Miejsce, w którym nareszcie mogłam być szczęśliwa.

Odłąd przeobraziłam się w wampira, traktowałam mitologię o wiele bardziej poważnie niż wcześniej.

Spoglądając wstecz na pierwsze trzy miesiące swojej nieśmiertelności, wyobrażałam sobie często, jak mogłaby wyglądać nie moje życie we wrzuceniu Mojr* [Mojry (Parki) - w mitologii greckiej trzy boginie przeznaczenia - przyp. tłum]. (Kto wie, może i one naprawdę istniały?). Byłam pewna, że musiała zmienić barwę. Zaczynała się najprawdopodobniej jako bezowa, bo by to kolor kojarzący się z układnością i uległością, kolor, który dobrze nadawał się na to. Później jednak - a przy najmniej tak się czułam - musiała przejść w jaskrawą czerwien albo może w połyskujące złoto.

Dookoła mnie powstawał cudny arras wyszy wany niemi moich bliskich w pojemnych, intensywnych, dopełniających się kolorach.

Byłam zaskoczona, że dla niektórych z tych nici znalazło się miejsce w mojej tkaninie. Nie przy puszczałam, na przykład, że trafią do niej głębokie zielenie i brązy reprezentujące wilkołaki z La Push. Liczyłam co najwyżej na Jacoba i Setna, ale kiedy do sfory tego pierwszego dołączyli moi starzy kumple Quil i Embry, i ich losy wplątały się w osnowę gobelinu. Nawet z Samem i Emily pozostawaliśmy w dobrych stosunkach. Napięcie pomiędzy naszymi i rodzinami osłabło, a to głównie za zasługą Renesmee. Tak łatwo było ją pokochać. Także Sue i Leah Clearwater należały teraz do grona naszych znajomych - dwie kolejne osoby, których się w nim nie spodziewałam.

Najwyraźniej Sue postanowiła robić wszystko, co w jej mocy, aby pomóc mojemu ojcu zaaklimatyzować się w nowych realiach. Chociaż przebywając u Cullenów, nigdy nie była w stanie prawdziwie się rozluźnić, tak jak to potrafił jej własny syn czy jego koledzy, przyjeżdżała do nas z Charliem niemal dzień w dzień. Nie odzywała się za często, tylko krzątała wokół niego opiekuńczo. To na nią zerkała, kiedy Renesmee robiła po raz pierwszy coś, czego powinna była się nauczyć dopiero za kilka miesięcy albo lat - a zdarzało się to często. Sue spoglądała wtedy znacząco na Setha, jak gdyby chciała odpowiedzieć Charliemu: „Wierz mi, wiem coś o tym”.

Lei towarzyszyo wampirów nie odpowiadała jeszcze bardziej niż Sue, była też jedynym w członkiem naszej powiększonej niedawno rodziny, który odnosił się do owego powiększenia z nieskręwaną wrogością. Jedyną rzeczą, która ją przy nas trzymała, była rosnąca zżyłość pomiędzy nią a Jacobem. Nie chciałam wypychać nosa w nie swoje sprawy, ale intrygowała mnie ta gwałtowna zmiana w ich relacjach, więc raz o nią nieśmiało Jacoba pytałam. Wzruszył ramionami i odparł, że to przez nowy układ w sforze. Leah była teraz jego zastępcą - jego „beta”, jak to dawno temu określałam.

Pomyślałam, że tak długo, jak będą zajmował się tym „alfowaniem” na serio, lepiej będzie zadać o formalności - wyjaśnić.

Przez nowe obowiązki Leah czuła potrzebę częstszego kontaktowania się ze swoimi dowódcą, a skoro przebywał on głównie w towarzystwie Renesmee...

Leah męczyła się, musząc się z nami zadować, ale pod tym względem stanowiła wyjątek. Szczęście było głównym komponentem mojego nowego życia - dominującym wzorem na moim gobelinie. Nawet z mrocznym Jasperem

zyłam teraz w dobrej komity wie, co wcześniej wydawało mi się niewyobrażalne.

Cóż, z początku bardzo mnie irytował.

- Mam tego dość! - pozaliłam się Edwardowi pewnego wieczoru, odłożywszy Renesmee do jej łóżeczka z kutego żelaza. - Skoro nie zabiłam jeszcze ani Charliego, ani Sue, to można mnie już chyba uznać za nieszkodliwą. Czy ten Jasper musi mnie naprawdę na każdym kroku tak pilnować?

- Bello, nikt już nie wątpi w to, że w pełni się kontrolujesz. Znasz Jaspiera - nie potrafi się oprzeć pozytywnym emocjom. Jesteś bezustannie taka radosna, skarbie. On się nad tym nie zastanawia i po prostu jest coraz bliżej ciebie.

A potem przytulił mnie mocno, bo nie go tak nie cieszyło, jak obserwowanie mnie w euforii.

Tak przez większość czasu po prostu szalałam ze szczęścia. Dni nie były dość długie, bym mogła nacieszyć się córką, a noc z Edwardem liczyła sobie zbyt mało godzin, bym zdołała zaspokoić pragnienie.

Każdy medal ma jednak dwie strony. Wyobrażałam sobie, że gdyby przyjrzał się tkaninie naszej codzienności od spodu, dołoby się zauważyć wplecione pomiędzy kolorowe nici ponure szarości zwątpienia i lęku.

Renesmee wypowiedziała pierwsze słowo, kiedy miała równo tydzień. Brzmiało ono „mamo”, więc powinnam była być wniebowzięta, ale tak bardzo wystraszyła się tym kolejnym jej niezwykłym osiągnięciem, że ledwie zdołałam wykrzywić twarz w sztucznym uśmiechu. Nie pomogło mi bynajmniej to, że na tym pierwszym słowie nie poprzestała, tylko rozpoczęła nim swoje pierwsze zdanie. „Mamo, gdzie jest dziadek?” spytała, dźwięcznie i wyraźnie, zabierając głos jedyne dlatego, że znajdowała się w drugim końcu pokoju. Wcześniej spytała już o to samo Rosalie, używając swojej normalnej (albo, z innego punktu widzenia, wyjątkowo nienormalnej) metody komunikacji. Rosalie nie umiała odpowiedzieć, więc Renesmee zwróciła się do mnie.

Kiedy niespełna trzy tygodnie później ujawnia, że potrafi chodzić, wyglądało to podobnie. Najpierw przez dłuższą chwilę nie spuszczała wzroku z Alice, przyglądając się z uwagą, jak jej ciocia komponuje bukiety w rozszanych po całym salonie wazonach, tańcząc w tę i z powrotem z nęcącymi kwiatów, po czym podniosła się z podłogi i, ani trochę się nie kolebiąc, przeszła pewnie spory kawałek niemniejszą od Alice gracją.

Jacob zaczął bić jej brawo, bo najwidoczniej takiej reakcji oczekiwała. Przywiązano do niej tłumilo w nim jego własne odruchy - robił zawsze to, czego się po nim spodziewała. Sekundę później jednak nasze oczy się spotkały i zobaczyłam, że jest tak samo przerażony, jak ja. Zmusiałam swoje dłonie do klaskania, starając się ukryć przed małą panikę. Edward także włączył się do aplauzu, ale nie musiałam czytać mu w myślach, żeby wiedzieć, że też się martwił.

Po tym incydencie razem z Carlisle'em jeszcze pilniej zbierali materiały o dzieciach wampirów i ludzi, usiłując znaleźć jakiekolwiek informacje na temat tego, co miała przynieść przyszłość. Niestety, poszukiwania dawały bardzo mizerne rezultaty, a nie z tego, co znaleźli, nie mogło być uznane za wiarygodne.

Za sprawą Alice i Rosalie, pierwszym punktem w porządku dnia Renesmee była zazwyczaj mała rewia mody. Nigdy nie ubierano jej w tę samą rzecz dwa razy - z jednej strony, dlatego że wyrastała z ubrań w błyskawicznym tempie, z drugiej, bo moje przyjaciółki starały się stworzyć pamiątkowy album z jej zdjęciami, który wydawałby się obejmować kilka lat a nie tygodni. Codziennie robiły malej setki zdjęć, dokumentujących każdą fazę jej przyspieszonego rozwoju.

W wieku trzech miesięcy moja córka wyglądała na wyrosniętego roczniaka albo drobną dwulatkę, ale typem sylwetki nie przypominała tak do końca małego dziecka - była zbyt smukła i poruszała się zgrabniej niż przeciętny brzdąc, a jej ciało miało bardziej wyważone proporcje niż dorosłego. Brązowe loki sięgały jej do pasa - nie miałabym serca ich jej podciąć, nawet gdyby Alice wyrażała na to zgodę. Mówiła, nie popełniając przy tym żadnych błędów w wymowie czy gramatyce, ale rzadko zwracała sobie głowę czyż myś tak banalnym, jak wydobywanie z siebie dźwięków, wolała bowiem „po prostu” pokazywać innym, czego w danym momencie chciała. Nie tylko sprawnie chodziła, ale także biegała i tańczyła. Mało tego - potrafiła czytać!

Pewnego wieczoru zasiadłam czytać jej do snu poezję Tennysona, ponieważ rytm i płynność jego wierszy wpływały na nią uspokajająco. (Byłam zmuszona bez przerwy szukać dla niej nowych lektur - w odróżnieniu od większości małców, nie lubiła, kiedy jej historjki na dobranoc się powtarzały, a do książeczek z obrazami nie miała cierpliwości). Po kilku minutach wyciągnęła rączkę, żeby dotknąć mojego policzka, i przed oczami stanęła mi wizja nas dwóch, z tym że to ona dzierżyła dumnie tomik. Podałam go jej z uśmiechem.

- „Ponad dolina - pełny księżyc” - przeczytała bla bez wahania - „Rozproszone strumienie witknie snuły się przez skalne ściany z wolna jak dym, co spada, wiatrem w dół szubani”* [Fragment *Lotofagów* Alfreda Tennysona (1809 - 1892) w przekładzie Zygmunta Kubacki] - przyp. tłum.]

Odebrałam jej książkę zeszytwniały mi rękami i robotą.

- Jak zamierzasz zasnąć, sama sobie czytając? - spytałam słabym głosem, który tylko jakimś cudem mi nie zdradzał.

Według wylceń Carlisle'a rosła coraz wolniej - teraz tylko jej umysł pędził szaleńczo do przodu. Jednak nawet gdyby tendencja spadkowa się utrzywała, Renesmee miała zakończyć okres pokwitania w ciągu góra czterech lat.

Tylko cztery lata dzieliły ją od dorosłości. A za piętnaście miała być już staruszką.

Piętnaście lat żyćia.

Ale byle przez tak zdrową. Taka żywa i pogodna. Jej rzucający się w oczy dobry nastrój pozwalał mi cieszyć się tym, co miałam, i odkładać ponure rozmyślenia na później.

Carlisle i Edward szepcząc, dyskutowali o przyszłości malej, analizując różne opcje pod każdym możliwym kątem. Próbowałam nie słuchać. Nigdy nie prowadzili tych dysput w obecności Jacoba, ponieważ jedyna sprawdzona metoda na zahamowanie procesu starzenia, delikatnie mówiąc, nie wzbudziła by u niego entuzjazmu. U mnie też go nie wzbudzała. Wszystko we mnie krzyczało, że jest zbyt ryzykowna. Jacob i Renesmee na tyle sposobów wydawali się do siebie podobni, w ciałach ich obojga kryły się po dwie istoty różnych ras, a wilkołaki chyba nie bezpodstawnie przekazywały sobie z pokolenia na pokolenie, że dawka wampirzego jadu jest dla nich wyrokiem śmierci, a nie receptą na nieśmiertelność...

Po pewnym czasie wykorzystałmy wszystkie możliwości zbierania interesujących nas materiałów na odległość, zaczęliśmy więc planować wyprawy do miejsc, z których dane podania pochodząly.

W pierwszej kolejności zamierzaliśmy wrócić do Brazylji i zacząć śledztwo od Indian Ticuna. To właśnie kobieta z tego plemienia wyjawiała nam jako pierwsza, że wśród ludzi krążyły legendy o mieszańcach takich jak Renesmee. Jeśli podobne dzieci naprawdę przyszły kiedyś na świat, może w jakichś przekazach zachowała się informacja o tym, ile przeżyły lat...

Jedyną kwestią, jaka pozostała, było to, kiedy dokładnie tam pojechać.

Wyruszylibyśmy od rana, gdyby nie ja. Po pierwsze, choć to była blahostka, że względu na Charliego chciałam zostać w pobliżu Forks aż do Nowego Roku. Przede wszystkim jednak wiedziałam, że czas mnie goni i muszę wpuerw wybrać się w zupełnie inną podróż - i to na domiar złego w pojedynkę.

Odłąd została wampirem pokłóciłm się z Edwardem tylko jeden jedyny raz i to nie tyle o to, że mam jechać sama. Edward niczego nie wskórał. Fakty mówiły same za siebie, a żaden plan prócz mojego nie był ani trochę rozsądny. Musiałam złożyć wizytę Volturi i nie mogłam zabrać nikogo ze sobą.

Nawet uwolniona od dawnych koszmarów, uwolniona od jakichkolwiek snów, nie byłam w stanie zapomnieć o mieszańcach Volterry. A i oni nie pozwalali zapomnieć o sobie.

Zanim otrzymaliśmy prezent od Aro, nie miałam zielonego pojęcia, że Alice powiadomiła przywódców Volturi o naszym ślubie. Byliśmy daleko na wyspie Esme, byliśmy żołnierze w ciemnych pelerynach - w tym Jane i Alec, zdrowie bliźnięta obdarzone mrozącymi krew w zyłach talentami. To Kajusz planował wyeksperymentować na nas sprawy oddział, by sprawdzić, czy nadal, wbrew ich edyktowi, byłam człowiekiem. (Ponieważ poznałam tajemnicze wampirów, musiałam albo zostać zmieniona w jednego z nich, albo uciszona... raz na zawsze). Kolejna wizja podpowiedziała Alice, że jeśli wyśle zawiadomienie, Volturi zrozumieją aluzję i kontrola się opóźni. Ale prędzej czy później mieli ją przeprowadzić co do tego nie było żadnych wątpliwości.

Prezent ślubny sam w sobie nie wyglądał na żadne ostrzeżenie. Był ekstrawagancki, owszem, niemal przerażająco ekstrawagancki, ale to wszystko. Ostrzeżenie kryło się za to w ostatniej linijce liścika z gratulacjami napisanego własnoręcznie przez Aro czarnym atramentem na sztywnym kwadracie kredowobiałego papieru:

Nie mogę się już doczekać,

kiedy spotkam się z nową panią Cullen osobiście.

Podarunek umieszczono w bardzo starej, bogato zdobionej, drewnianej szkatułce wykładanej złotem i macięą perłową, wysadzonej kamieniami szlachetnymi we wszystkich kolorach tęczy. Alice powiedziała, że sama kasetka była bezcennym skarbem i że przyćmiłaby niemal każde dzieło sztuki jubilerskiej prócz tego, które zawierała.

- Zawsze się zastanawiałem, gdzie podziały się angielskie klejnoty koronne po tym, jak król Jan bez Ziemi oddał je w zastaw w trzy nastym wieku - stwierdził Carlisle. - Chyba nie powinno mnie dziwić, że część z nich dostała się w ręce Volturi.

Naszynik był prosty - gruby sznur łańcucha spleciony ze złota, niemalże pokryty łuskami, przywoził na myśl gładkiego węża gotowego zwinąć się ciasno wokół szyi swojej właścicielki. U dołu kołli zwiślał pojedynczy klejnot: biały brylant wielkości piłeczki golfowej.

Przypominnie zawarte w liście Aro zainteresowało mnie dużo bardziej niż jego prezent. Volturi musieli zyskać pewność, że byłam już nieśmiertelna, że Cullenowie nie wyłamali się i posłuchali ich rozkazu, i powinni by li przekonać się o tym jaknajszybciej. Nie można było dopuścić, by zjawili się w okolicy. Istniał tylko jeden sposób na to, byśmy mogli dalej mieszkać w Forks w spokoju.

- Nie puszczę cię tam samej - oświadczył Edward, zaciskając dłonie w pięści, kiedy poinformowałam go o swoich planach.

- Nie zrobią mi krzywdy - pocieszyłam go, próbując mówić takim tonem, jakbym sama w to wierzyła. - Nie mają się do czego przyczepić. Jestem wampirem? Jestem. Więc sprawa zamknięta.

- Nie puszczę cię. Nie ma mowy.

- Edwardzie, to jedyny sposób na to, żeby ją przed nimi ochronić.

Wytrącałam mu tym z ręki wszelkie argumenty. Logika mojego rozumowania była nieublagana.

Moje spotkanie z Aro trwało krótko, ale zdążyłam zauważyć, że należał do kategorii rasowych kolekcjonerów - zaś za swoje najcenniejsze nabytki miał żyjące osoby. Uroda, unikalność i umiejętności jego podwalnych sprawiły mu o wiele większą przyjemność niż jakiegokolwiek cacka zamknięte w jego skarbcu. Na nasze nieszczęście połądał już talentów Alice i Edwarda - i nie zamierzałam dawać mu żadnych powodów do tego, by zadrzocił Carlisle'owi kogós jeszcze. Renesmee była śliczna, urodziona i wyjątkowa, jedyna w swoim rodzaju. Nie mogliśmy dopuścić do tego, by Aro dowiedział się o jej istnieniu - nawet do tego, by zobaczył ją w którychś myślach.

A tylko do mojego umysłu nie miał wstępu.

Jakże mogłam go odwiedzić inaczej niż sama?

Alice, zapytana o zdanie, nie widziała żadnych przeciwwskazań, martwiła ją jednak kiepska jakość jej wizji. Powiedziała, że czasami bywały podobnie niewyrażne, kiedy na bieg wydarzeń mogły mieć wplyw decyzje jakichś osób z zewnątrz, które nie zostały jeszcze podjęte. Usłyszawszy o tym, Edward, który już wcześniej wahał się, czy moja samodzielna wyprawa to dobry pomysł, stał się jej zaprzysięgłym przeciwnikiem. Oświadczył, że będzie mi towarzyszył aż do mojej przesiadki w Londynie, ale ja z kolei nie chciałam zostawiać Renesmee bez obojga rodziców. Koniec końców, uzgodniłm się, że zastąpi go Carlisle. Denerwowałam się nieco mniej, wiedząc, że od kogós bliskiego będzie dzielić mnie tylko kilka godzin lotu.

Alice wytrwale sięgała wzrokiem w przyszłość, ale fakty, które w niej wyjawiała, ani trochę nie wiązały się z tym, czego szukała: na giełdzie miał się objawić nowy trend, za sześć tygodni groziła nam śnieżycą, Irina zastanawiała się, czy by nam nie wybaczyć i się z nami nie spotkać, Renee niecierpliwiła się i chciała do mnie zadzwonić... (Codziennie ćwiczyłam się w naśladowaniu swojego dawnego głosu i z dnia na dzień coraz lepiej mi to wychodziło -

wersji wy darzeń serwowanej Renee byłam nadal chora, ale połowa już zdrowiałam).

Kupiłyśmy bilety do Włoch dzień po tym, jak Renesmee skończyła trzy miesiące. Miała to być bardzo krótka wycieczka, więc nie uprzedziłam Charliego. Jacob wiedział, co jest grane, i trzymał stronę Edwarda. Dzisiaj nie kłóciliśmy się jednak o Włochy, tylko o Brazylie. Koniecznie chciałam polecieć tam z nami.

Byłyśmy właśnie na polowaniu - ja, Jacob i Renesmee. Mała nie przepadała za zwierzęcą posoką i tylko dlatego pozwoliliam Jacobowi do nas dołączyć. Zrobił z tego konkurs pomiędzy nimi dwojgiem, co zachęciło ją do picia nie ulubianej krwi bardziej niż cokolwiek innego.

Renesmee dobrze wiedziała, co jest dobre, a co złe, gdy w grę wchodziło polowanie na ludzi - uważała po prostu, że lepszym kompromisem jest korzystanie z krwi ze stacji krwiodawstwa. Zwykle jedzenie syciło ją, jej organizm nie miał problemów z trawieniem, ale wszystko bez wyjątku przeżywała z taką samą cierpiętniczą miną, jaką ja miałam w dzieciństwie zarezerwowaną dla kalafiora i fasoli. Krew zwierząt była przynajmniej lepsza niż ludzkie potrawy. Mała lubiła rywalizację i kiedy pojawiła się możliwość pokonania w czymś Jacoba, polowanie zaczęło ją ekscytować.

Prowadząc nas, wbiegła tanecznym krokiem na podłużną polanę w kształcie strzały, starając się wyłowić jakiś zapach, który przypadby jej do gustu.

- Jacob - spróbowałam przemówić mu do rozumu - masz tutaj pewne zobowiązania: Seta, Leę...

- Nie jestem niańką swojej watahy - prychnął. - I tak mają swoje obowiązki w La Push.

- Czy to nie tak jak ty? Czy zbyś już oficjalnie chciał rzucić szkołę? Jeśli masz zamiar nadążyć za Renesmee, powinienes o wiele bardziej przykładać się do nauki.

- To tylko tymczasowe. Wróć do szkoły, jak ty lko... jak ty lko wszystko zwolni tempo.

Jakoś zabrakło mi kontrargumentów i oboje odruchowo zerknęliśmy na małą. Wpatrywała się w kółujące nad jej głową płatki śniegu, ulatniające się zanim miały szansę przylgnąć do pożyłkłych źdźbeł trawy. Marszczona sukieneczka Renesmee koloru kości słoniowej była o jeden odcień ciemniejsza od śniegu, a jej kaszanowym lokom udawało się lśnić, chociaż słońce kryło się za grubą warstwą chmur.

Kiedy tak się jej przyglądałyśmy, przykacnęła byskawicznie, po czym wystrzeliła na pięć metrów w powietrze. Jej rączki zacisnęły się wokół jednego z płatków i opadła lekko z powrotem na ziemię.

Odrwóciwszy się do nas z ośmiewającym uśmiechem - był tak niesamowicie piękny, że nie sposób było się do niego przyzwyczaić - rozchyliła dłonie, żeby pokazać nam swój mały skarb przed jej stopniem. Była to idealnie uformowana ośmioramienna lodowa gwiazdka.

- Bardzo ładna - stwierdził Jacob z uznaniem - ale coś mi się wydaje, Nessie, że próbujesz się wymigać.

Podbiegła do niego w podskokach - wyciągnął ku niej ramiona doładnie w tym momencie, w którym dała w nie susa. Mieli ten manewr opracowany do perfekcji, bo robiła tak zawsze, kiedy miała mu coś do powiedzenia. Nadal wolała się głośno nie odzywać.

Dotknęła jego twarzy, słodko marszcząc czołko, podczas gdy w trójkę wsłuchiwaaliśmy się w odgłosy wydawane przez stadko łosi przemieszczające się gdzieś głębiej w lesie.

- Nie chce ci się pić? Jasne, już ci wierzę - odparł Jacob nieco sarkastycznie, ale przede wszystkim z dużą pobłażliwością. - Boisz się, że znowu złapię większego, i tyle!

Wyśliznęła się z jego objęć, łądując obiema stopkami na trawie, i wyrzuciła oczami - była taka podobna do Edwarda, kiedy to robiła! A potem dała nurka pomiędzy drzewa.

Pochyliłam się, jakbym miała za nią ruszyć.

- Moja kolej - rzucił mi Jacob, ściągając z siebie w biegu podkoszulek. Miał już pierwsze dreszcze. - Jeśli będziesz oszuliwiał, to się nie liczy! - zawołał za Renesmee.

Kręcąc głową, uśmiechnęłam się do wirujących ch liści, które za sobą zostawili. Jacob przy pominal czasem zachowaniem dziecka bardziej niż moją córeczką.

Przy stąnęłam, żeby dać moim myśliwym kilka minut przewagi. Namierzenie ich po śladach nie miało mi sprawić najmniejszych trudności, a Renesmee byłąby przeszczęśliwa, gdyby mogła zaskoczyć mnie wielkością zdobyczy.

Znowu się uśmiechnęłam.

Na łące zrobiło się bardzo pusto i cicho. Śnieg nade mną rzedniał, niemalże zupełnie już zniknął - zgodnie z przepowiednią Alice nie powinien utrzymywać się jeszcze przez wiele tygodni.

Zazwyczaj na polowania wybierałam się z Edwardem, ale dziś planował z Carlisleem naszą podróż do Rio - znawali się za plecami Jake'a... Ściągnęłam brwi. Postanowiłam, że po powrocie się z nim wstawię. Powinien był z nami jechać. Los Renesmee był dla niego tak samo ważny, jak dla każdego z nas - stawką było tu i jego życie, podobnie jak moje.

Myślamy wybiegałam w nieodległą przyszłość, ale moje oczy skłapiały się na tym, co działo się wokół - machinalnie przeczesywałam wzrokiem zbocze góry, sprawdzając, czy nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo i czy nie zbliża się czasem jakieś zwierzę, którym mogłabym się pożywić. Postępowałam tak w pełni instyktownie - płąnąc we mnie pragnienie było moją drugą naturą.

A może jednak istniał inny powód, dla którego tak bacznie się rozglądałam? Coś, co moje wychłone wampirze zmysły wychyciły na kilka sekund wcześniej, nim uczyniła to świadomość.

Kiedy moje spojrzenie przemikało po stroniej odległej grani odcinającej się niebieskawą szarością od zielonoczarnej mozaiki lasu, zniacka mignęło mi tam coś srebrnego czy złotego, coś, co nie miało prawa się w tamtym miejscu znajdować.

Skupiłam wzrok na tajemniczym odbłasku. Był tak daleko ode mnie i przesłaniało go tyle welonów mgły, że nawet orzeł by go tego nie dostrzegł. Ale ja widziałam.

A ona widziała mnie.

To, że była wampirem, nie ulegało żadnej wątpliwości. Faktura jej białej jak marmur skóry swoją gładkością przewyższała ludzką milion razy, a twarz nieznamomej, mimo zachmurzenia, delikatnie się iskrzyła. Gdyby nie zdradzała jej cera, wystarczyłoby przyjrzeć się jej pozie. Tylko wampiry i posągi potrafiły stać w zupełnym bezruchu.

Jej włosy były tak jasne, że niemalże srebrne. Właśnie ich barwa przykuła moją uwagę. Proste jak drut, zaczesane z przedziałkiem, sięgały wampirzyco do podbródka.

Nie znalazłam jej. Byłam w stu procentach przekonana, że nigdy wcześniej jej nie widziałam, nawet jako człowiek. Jej twarz nie była żadną z tych, które przechowywałam w swoich mglistych wspomnieniach. Ale rozpoznałam ją od razu po ciemnozłoty ch tęczołkach.

Irina zdecydowała się nas jednak odwiedzić.

Patrząc jej przez chwilę prosto w oczy, zastanawiałam się, czy i mnie równie szybko rozpozna. Podnosiłam już rękę, żeby pomachać jej na powitanie, ale wygięła odrobinę usta, przy bierając wrogi wyraz twarzy.

W lesie, niewidoczna dla mnie Renesmee wydała z siebie triumfalny okrzyk, a Jacob zawtórował jej, wyjąc radośnie. Kiedy kilka sekund później niesione echem dźwięki dotarły do Iriny, zobaczyłam, że obraca raptownie głowę, podążając spojrzeniem za ich źródłem, patrzyła nieco w lewo. Wiedziałam, co tam widzi: ogromnego rdzawo - brązowego wilka, być może tego samego, który zabił jej Laurenla. Jak długo nas obserwowała? Byłam pewna, że dość długo, by być świadkiem tego, jak bardzo ja i on jesteśmy z sobą zzy ci.

Ból wykrzywił jej twarz.

Kierowana odruchem, rozłożyłam ręce w przepaszającym geście. Irina zerknęła z powrotem na mnie, odsłaniając zęby, a potem rozchyliła je i warknęła. Była tak daleko, że ledwie było to słycać. Nim doszły do mnie echa, odwróciła się na pięćcie i znikła pośród drzew.

- Cholera! - jęknęłam.

Rzuciłam się biegiem w stronę Renesmee i Jacoba, żeby jak najprędzej upewnić się, że nic im nie grozi. Nie wiedziałam, w jakim dokładnie kierunku udała się Irina, ani też jak bardzo byłą wzburzona. Mściwość to popularna cecha wśród wampirów i nietłatwo da się nad nią zapanować.

Rozpędziwszy się, na ile tylko było mnie stać, w dwie sekundy później byłam już przy swoich bliskich.

Mój jest większy - usłyszałam obstawającą przy swoim Renesmee, kiedy wystrzeliłam z gęstych ciernistych zarośli na polankę, gdzie stali.

Na widok mojej miny Jacob przykacnął, gotując się do skoku, i obnażył kły. Pysk miał umazany krwią ofiary. Zaczął lypać głośno na prawo i lewo i usłyszałam, jak w jego gardle narasta charkot.

Renesmee okazała się być również przytomna jak on. Porzucając leżącego u swoich stóp rogacza, dała susa w moje nadstawione ramiona i zaintrygowana przyłożyła mi rączkę do policzka.

- To tylko moje przewrażliwienie - uspokoiłam ich. - Myślę, że wszystko jest w porządku. Czekaście.

Wyjęłam telefon komórkowy i przycisnięciem jednego klawisza wybrałam potrzebny numer. Edward odebrał po pierwszymy sygnale. Jacob i Renesmee przy słuchiwali się z uwagą, jak opowiadam mu, co się nam przydarzyło.

- Edward? Chodź tu szybko i weź z sobą Carlisle'a. - Terkotałam w takim tempie, że nie miałam pewności, czy Jake za nim nadąży. - Widziałam Irinę, a ona widziała mnie, ale potem zobaczyła Jacoba, wściekła się i wy daje mi się, że uciekła, a przynajmniej do nas nie podeszła, to znaczy jeszcze nie, ale wyglądała na porządnie zdenerwowaną, więc może się tu pojawi, a jeśli nie, to musicie z Carlisleem dogonić ją i z nią porozmawiać. Tak strasznie mi głupio!

Jacob warknął.

- Będę tam za pół minuty - zapewnił mnie Edward i moje uszy zarejestrowały od razu szum wiatru wywołanego przez jego pęd.

Wróciliśmy na podłużną łąkę, gdzie czekaliśmy w milczeniu, nasłuchując, czy nie zbliża się wampir, którego kroków byśmy nie rozpoznawali.

Wyłapałyśmy coś wreszcie, ale były to odgłosy dobrze nam znane. Ani się obejrzelśmy, Edward był już u mojego boku, a kilka sekund później dołączył do nas Carlisle. Na tym się jednak nie skończyło, bo doszedł mnie też tętent ciężkich łap. Cóż, nie powinno być to czuć się zaskoczona. Nieważne, jak niewielkie było prawdopodobieństwo, że Renesmee coś groziło - Jacob i tak musiał wezwać posiłki.

- Stała na tamtej grani - poinformowałam nowo przybyłych, wskazując wzniesienie palcem. Jeśli Irina uciekła, musiała już być daleko. Czy mogłaby się zatrzymać, aby wysłuchać Carlisle'a? Jej zachowanie wskazywało raczej na to, że nie. - Może powinniście zadzwonić po Emmetta i Jaspera i wyruszyć za nią w czwórkę? Wyglądała... na naprawdę rozniewnaną. Warknęła na mnie.

- Co takiego? - oburzył się Edward.

Carlisle położył mu dłoń na ramieniu.

- Jest w żalobie. Sam za nią pójde.

- Idę z tobą - zaprotestował Edward.

Zmierzyli się nawzajem wzrokiem. Carlisle oceniał chyba, czy lepiej będzie nie drażnić Iriny poirytowaniem Edwarda, czy wykorzystać w misji fakt, że Edward potrafił czytać w myślach. W końcu przeważyło to drugie. Sknął głową i pomknęli razem przez las szukać tropu bez pomocy moich szwagrów.

Jacob fulnął niecierpliwie i szurchnął mnie nosem w plecy. Wolał pewnie, by tak na wszelki wypadek, mała była już w domu. Podzielałam jego zdanie, więc czym prędzej ruszyliśmy w drogę. Seth i Leah osłaniali tyły.

Renesmee nie narzekała. Skoro polowanie przerwano, musiała zostać nakarmiona krwią od ludzkiego dawcy. Rączkę trzy mała mi nadal na policzku i po jej myślach było widać, że jest zadowolona z życia.

Carlisle i Edward nie zdolali dogonić Iriny. Pozostawiony przez nią trop urwał się nad zatoką. Przepłynęli na drugą stronę, żeby zobaczyć, czy uciełanierka nie przepравиła się w linii prostej, ale chociaż sprawdzili na wschodnim brzegu wielokilometrowe odcinki w obu kierunkach, nie natknęli się na żadne jej ślady.

To wszystko była moja wina. Tak jak przewidziała Alice, Irina zjawiła się, żeby pogodzić się z Cullenami, ale moja żałość z Jacobem wyprawdziła ją z równowagi. Załowałam, że nie dostrzegłam jej wcześniej, zanim jeszcze Jacob przeobraził się w wilka. Plułam sobie w brodę, że musielismy wybrać się na polowanie akurat w to miejsce.

Nie mieliśmy tego jak odkryć. Carlisle zadzwonił do Tanyi, ale nie widziano tam Iriny od czasu, jak pozostali Denalczycy wybrali się na nasze wesele. Tanya i Kate były zrozpaczone, że Irina niemalże nas odwiedziła, a mimo to nie wróciła do domu - rozłąka z siostrą, choćby tylko tymczasowa, była dla nich najwyraźniej ciężkim przeżyciem. Zastanawiałam się, czy nie kojarzy im się z tym, jak przed wiekami straciły matkę.

Alice zdołała wychwycić kilka obrazów dotyczących najbliższej przyszłości Iriny, ale nie dowiedzieliśmy się z nich nic konkretnego. Jedno było w miarę pewne - nie zamierzała póki co wrócić na Alaskę. Poza tym, wizje z nią związane były wyjątkowo gładne. Alice potrafiła ustalić jedynie tyle, że Irina jest bardzo przygnębiona. Ze zniechętą wyrazem twarzy przemierzała jakieś pokryte śniegiem pustkowia, może na północ od nas, a może na wschód. Od czasu swojej wizyty nie podjęła żadnej decyzji prócz tej, by przyjechać do samotności.

Mijały dni i chociaż, rzecz jasna, o niczym nie zapomniałam, problem z Iriną zszedł w moim umyśle na dalszy plan. Miałam na głowie pilniejsze sprawy. Do wyjazdu do Włoch pozostało zaledwie kilka dni, a zaraz po moim powrocie leciliśmy do Brazylii.

Każdy etap tej drugiej podróży omówiliśmy ze sto razy. Mielismy zacząć od Indian Ticuna, trapiąc ich legendy na tyle skutecznie, na ile było to na miejscu możliwe. Odład zgodziliśmy się, że będzie nam towarzyszył Jacob, odgrywając w naszych planach ważną rolę, było bowiem prawie pewne, że każdy, kto wierzył w wampiry, miał je w nas rozpoznać i unikać kontaktu. Jeśli Ticuna okazaliby się ślepa uliczką, ten sam region kraju zamieszkiwało wiele innych plemion o zbliżonych wierzeniach, którym także warto byłoby się bliżej przyjrzeć. Ponadto Carlisle miał już kiedyś styczność z wampirami z Amazonii i gdyby udało nam się je odnaleźć, zyskalibyśmy dodatkowe źródło informacji, a jeśli nie, to chociaż zdobylibyśmy jakieś wskazówki co do tego, gdzie takich informacji szukać. Najdogodniej dla nas byłoby oczywiście, gdyby to znajomi doktora okazali się odpowiedzialni za krążące wśród Indian podania o wampirach chrybrydach, ścisłej mówiący były to jednak wampiryce, więc raczej nie mogły mieć z płodzeniem dzieci nic wspólnego.

Nie powiedziałam jeszcze Charliemu nic o tej dłuższej wyprawie i zadreżczałam się bezustannie, jak to mu przekazać. Jak miałam go o tym powiadomić, tak by jak najmniej go przy tym zranić?

Tego wieczoru też o tym rozmyślałam. Przyglądałam się przy tym Renesmee, która oddychając spokojnie, pograżona w głębokim śnie, leżała zwinęta w kłębek na kanapie z lokami rozrzuconymi wokoło głowy. Zazwyczaj zabieraliśmy ją ze sobą i ukadaliśmy na noc w łóżeczku, ale dziś zasiedliśmy się w salonie, bo Edward znów zawzięcie dyskutował z Carlisle'em na temat naszego wyjazdu.

Prawie wszyscy coś planowali. Esme i Rosalie namawiały się, jaki o spakować, Jacob był u Sama, żeby przygotować obie sfory na swoją nieobecność. Emmett i Jasper rozprawiali z kolei podsekcytowni o tym, na co mogłoby w Brazylii zapłować - może na jaguara, a może na panterę? Egzotyczna fauna Amazonii pozwalała nam na odejście od stałej diety. Emmett zwierzył się, że marzy o pomocowaniu się z anakondą.

Alice obchodziła pokój, odkurzając niepotrzebnie idealnie już czyste powierzchnie i prostując perfekcyjnie zawieszzone przez Esme świąteczne girlandy. Jak na siebie, poruszała się wyjątkowo powoli. Kiedy na nią zerknęłam, poprawiała właśnie wazon na konsoli. Po jej zmieniającej się minie - to skupionej, to znowu nieobecnej - domyślałam się, że bada przyszłość. Założyłam, że stara się obejmować białe plamy, jakie pojawiały się w jej wizjach o Ameryce Południowej ze względu na Jacoba i Renesmee, ale i z błędu wyprowadził mnie Jasper.

- Daj spokój, Alice. Jej załoba to nie nasz problem - zawołał, a atmosfera w salonie zrobiła się nienaturalnie spokojna.

Alice musiała znowu się martwić, co działo się z Iriną.

Pokazała Jasperowi język, a potem podniosła kryształowy wazon wypełniony białymi i czerwonymi różami i obróciła się, by zanieść go do kuchni. Jeden z kwiatów ledwo zauważalnie przygiął, ale moja przyjaciółka, denerwując się brakiem nowych wizji, żeby zapomnieć o swojej frustracji, stawała się prawdziwą perfekcjonistką.

Przeniósłszy wzrok z powrotem na Renesmee, przeżapiłam moment, w którym naczynie nie wyszłognęło się Alice z rąk. Zaalarmowana szumem powietrza przecinanego przez spadający kryształ, zdążyłam jednak zobaczyć, jak wazon uderza o marmurową podłogę przy wejściu do kuchni i rozbił się na tysiące diamentowych kawałeczków.

Kiedy skrajce odłamki odbiły się od ziemi z niemelodijnym brzękiem i wystrzeżły we wszystkie strony kierunkach, jak jeden mąż spojrzeliśmy na plecy Alice i zamarliśmy zszokowani.

Pierwszą myślą, która mi się nasunęła, całkowicie nielogiczną, było to, że Alice robi nam jakiś głupi dowcip. Nie mieściło mi się w głowie, że mogła upuścić wazon przez przyпаdek. Miała przecież tyle czasu, żeby go złapać! Gdybym nie była świeżo przekonana, że to zrobi, sama zdążyłabym do niego podbiec, by ją w tym wypręczyć. Zresztą, jakim cudem w ogóle wyszłognęła jej się z rąk? Z jej pewnych, zwinnych palec...

Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby wampir upuścił coś przez przyпаdek. Nigdy.

Mruknęłam i Alice stała już do nas przodem. Obróciła się tak szybko, że nie było tego widać.

Jej oczy były gdzieś w połowie drogi pomiędzy majakiem a rzeczywistością. Otwierała je coraz szerzej, aż wreszcie wypełniały jej wąską twarzączkę. Tyle kryło się w nich strachu, bólu i rozpacz, że zajrzawszy w nie, poczułam się jak ktoś, kto oknął się w trumnie.

Usłyszałam, jak Edward głośno zaczerpnął powietrza - prawie że się przy tym zakrzuszył.

- Co jest? - warknął Jasper. Doskoczył do Alice z prędkością światła, miażdżąc pod stopami resztki wazonu, złapał ją za ramiona i potrząsnął gwałtownie. Wydawało mi się, że jej drobne kości zagrzeczoły. - Alice, co się stało?

W zasięgu mojego wzroku znalazł się Emmett. Rozgorączkowany, z obnażonymi zębami, wyglądał przez okno, wypatrując napastników.

Carlisle, Esme i Rosalie nie odezwali się ani słowem. Podobnie jak ja, nadal stali sparaliżowani.

Jasper znowu potrząsnął Alice.

- Co u licha jest grane?

- Jadą po nas - wyszeptali Alice i Edward jednocześnie. - Wszyscy.

W pokoju zapadła głucha cisza.

Choć raz jeden dotarło coś do mnie szybciej niż do innych - ponieważ te cztery słowa spowodowały, że w moim umyśle także pojawiła się pewna wizja. Było to tylko dalekie wspomnienie snu - blade, niewyraźne, niemal przezrocyste, jakby mój przyпаtrywała się mu przez grubą gałąz... Przed oczami stanął mi szereg zbliżających się ku mnie czarnych postaci, duch na wpol zapomnianego ludzkiego kosmaru. Spowijająca zakapturzona sylwetki mgła nie pozwalała mi zobaczyć, ani jak połyksują rubinowe tęczęwki przybyszy, ani jakby szczył ich ostre, mokre zęby, ale pamiętałam te detale aż za dobrze.

Jeszcze lepiej zapamiętałam to, co w owym potwornym śnie czułam - tamtą przemożną potrzebę, by chronić to, co było dla mnie najcenniejsze - to, co było za mną...

Zaprzęgnęłam porwać Renesmee na ręce i ukryć ją sobie pod skórą, ukryć ją w swoich włosach, sprawić jakoś, by stała się niewidzialna. Ale nie zdołałam nawet na nią spojrzeć. Miałam wrażenie, że przypominam już nie kamień, tylko lód. Po raz pierwszy, odład zostałam wampirem, zrobiło mi się zimno.

Ledwie zwróciłam uwagę na to, że Alice i Edward potwierdzają moje przypuszczenia. Nie było mi to potrzebne. Ja już wszystko wiedziałam.

- Volturi i jęknęła.

- Wszyscy - wyszeptał.

- Ale dlaczego? - spytała samą siebie. - Skąd ten pomysł?

- Kiedy? - spytała.

- I dlaczego? - dodała Esme.

- Kiedy? - powtórzył Jasper głosem przywodzącym na myśl rozszczępiający się lód.

Alice nie zamknęła powiek, ale jej oczy jakby przesłoniła błona - przez chwilę był już zupełnie nieprzytomne, tylko jej usta wykrzywał wciąż grymas przerażenia.

- Wkrótce - odpowiedziała równocześnie z Edwardem. - Wszędzie będzie dużo śniegu, i w lesie, i w miasteczku - uzupełniła samodzielnie. - Przybędą tu za niecały miesiąc.

- Ale co nimi kieruje? - spytał tym razem Carlisle.

- Muszą mieć jakiś powód - zaczęła spekulować Esme. - Może, żeby sprawdzić...

- Tu nie chodzi o Bellę - przerwała jej Alice. - Przyjadą wszyscy: Aro, Kajusz, Marek, każdy z członków ich straży przybocznej. Nawet ich żony.

- Ależ żony nigdy nie opuściły wizji! - zaprotestował Jasper. - Nigdy! Nawet podczas rebelii na południu! Nawet, gdy władzę próbowali im odebrać Rumuni! Nawet gdy polowali na nieśmiertelne dzieci! Nigdy!

- Ale teraz tak - stwierdził Edward cicho.

- Ale dlaczego? - powtórzył Carlisle. - Nie zrobiliśmy nic złego! A gdybyśmy nawet coś przewinili, co by to mogło być, żebyśmy aż tak im się narazili?

- Ty tu nas już jest... - Edward wzruszył ramionami. - Pewnie chcą się upewnić, czy czasem...

Nie dokończył.

- Ale to nie daje nam odpowiedzi na kluczowe tu pytanie! Dlaczego?

Wydawało mi się, że mogłabym udzielić Carlisle'owi odpowiedzi, ale jednocześnie nie byłam tego wcale taka pewna. Powodem wizyty Volturi była Renesmee, bez dwóch zdań. Nie wiedzieć czemu, od samego początku przeczuwałam, że się po nią stawią. Moja podświadomość ostrzegała mnie przed tym, jeszcze zanim uświadomiłam sobie, że jestem w ciąży. Poniekąd wcale mnie ta wiadomość nie dziwiła. Jak gdybym od zawsze wiedziała, że Volturi przybędą odebrać mi moje szczęście.

Ale nadal nie była to odpowiedź kompletna.

- Sprawdź to, Alice - poprosił ją Jasper. - Zobacz, co ich sprowokowało.

Zgarbiła się i pokręciła przecząco głową.

- Ta wizja przyszła znikąd, Jazz. Nie przyglądałam się poczynaniom Volturi. Nawet naszej przyszłości nie badałam. Rozglądałam się za jakimiś wieściami o Irinie. Nie było jej tam, gdzie się tego spodziewałam...

Nagle odcleciała - jej oczy znowu zrobiły się nieprzytomne i wpatrzyły się w nicność.

Po dłuższej chwili szły ja jej drgnęła, a czoło zmarszczyło. Usłyszałam, jak Edward wstrzymuje oddech.

- Postanowiła, że do nich pojedzie - powiedziała Alice. - Irina postanowiła, że pojedzie do Volturi. A potem to oni z kolei podejmą decyzję, żeby przyjechać tutaj. Ale wygląda to tak, jakby już od dawna na nią czekali. Jakby swoją

decyzję podjęli już dawno temu, tylko czekali na Irinę...

W milczeniu rozważaliśmy jej słowa. Co takiego mogła im powiedzieć Denalka, co spowodowałyby z ich strony tak gwałtowną reakcję?

- Czy możemy ją powstrzymać? - spytał Jasper.

- To niemożliwe. Jest już prawie na miejscu.

- Co ona wyprawia? - odezwał się Carlisle, ale przestałam śledzić toczącą się dyskusję. Cała moja uwaga skupiała się na pewnym obrazie, który powoli nabierał w mojej głowie konkretnych kształtów.

Wyobraziłam sobie Irinę przycajoną na grani, obserwującą to, co działo się w dole. Co zobaczyła? Wampirzyce i wilkołaki, którzy odnosili się do siebie, jak przystalo na najlepszych przyjaciół?

Cóż, tak to sobie właśnie wtedy wyjaśniłam i doskonale tłumaczyło to jej zachowanie. Ale dla Iriny ważniejsze było coś innego.

Zobaczyła też dziecko. Nieudługo piętne dziecko opisujące się w sniegu swoimi umiejętnościami, których, gdyby było z człowiekiem, przecież by nie posiadało...

Irina... jedna z trzech osieroconych sióstr. Carlisle mówił mi, że kiedy ich matka straciła życie z rąk Volturi za złamanie wampirzego prawa, Tanya i jej siostry zaczęły przestrzegać go z obsecyjną sumiennością.

Zaledwie pół minuty wcześniej Jasper wspominał przepis tego prawa, o który w tym wszystkim tak naprawdę chodziło: „Nawet gdy polowali na nieśmiertelne dzieci”... Nieśmiertelne dzieci - tabu, temat zakazany.

Nieszczęsna Irina! Doświadczwszy w przeszłości tego, czego doświadczyła, do jakich innych wniosków mogła dojść? Była za daleko, by usłyszeć bijące w Renesmee serduszek, za daleko, by poczuć bijące od jej ciała ciepło.

Zarumienione policzki mojej córki mogła uznać za sprytny kamuflaż.

W dodatku, jakby nie było, bratałymi się z wilkołakami. Z punktu widzenia Denalki samo to było odrażające, czemu więc nie mogłabym posunąć się jeszcze dalej...

Przemierzając śnieżne pustkowia z twarzą wykrzywioną cierpieniem, nie myślała wcale o Laurencie. Dręczyło ją co innego: to, że kierowana poczuciem obowiązku, miała nas wydać na pewną śmierć.

Przyjaźń o wielowiekowej historii najwyraźniej przegrała z jej sumieniem.

Reakcja Volturi na takie przyпаdki była zaś tak oczywista, że właściwie podjęli już decyzję.

Odrwocivszy się, pochylili się nad swoim śpiącym maleństwem, zakrywając je swoimi włosami i chowając twarz w jego lokach.

- Skłupcie się na tym, co Irina zobaczyła tamtego popołudnia - powiedziałam cicho, wchodząc w słowo Emmettowi. - Jaksądźcie, co ktoś, kto stracił matkę przez nieśmiertelne dziecko, mógł sobie pomyśleć na widok Renesmee?

Wszyscy zamilkli. Dopiero teraz zrozumieli to, do czego sama przed chwilą doszłam.

- Nieśmiertelne dziecko - wyszeptał Carlisle.

Edward ukłękł przy mnie i obie nas do siebie przytulil.

- Tyle że Irina się myli - ciągnęłam. - Renesmee nie jest taka jak tamte dzieci. One się nie zmieniali, a mała nigdy jeszcze nie zrobiła krzywdy ani Charliemu, ani Sue, ani nawet nie pokazała im nic, co mogłoby ich przestraszyć. Potrafi się kontrolować. Już jest bystrzejsza od większości dorosłych. Nic na nią nie mają...

Gadałam jak nakręcona, czekając, aż moi bliscy zdadzą sobie sprawę z tego, że mam rację, czekając, aż ktoś z nich wreszcie odetchnie z ulgą i napięcie opadnie, ale w pokoju robiło się coraz chłodniej. W końcu nie pozostało mi nic innego, jak zamilknąć. Przez długi czas nikt nie zabrał głosu.

- Za taką zbrodnię nie karzą w procesie, skarbie - szepnął do mnie Edward. - Aro zobaczył już dowody w myślach Iriny. Przybędą tu, żeby wykonać wyrok, a nie żeby nad nim obradować.

- Ale przecież jesteśmy niewinni - powiedziałam z uczuciem.

- Nie dadzą nam dość czasu, byśmy mogli ich o tym przekonać.

Mówił cicho i łagodnie, głos miał jakaksamit... a jednak nie udawało mu się maskować rozpacz. Jego głos był jak wcześniej oczy Alice - należał do kogoś, kto wiedział, że umrze straszną śmiercią.

- Co możemy zrobić? - spytałam.

Renesmee była taka śliczna, taka ciepła w dotyku, tak słodko spała. Tyle się zamartwiałam, że za szybko rośnie, że pozostało jej zaledwie nieco więcej niż dziesięć lat życia... Co za ironia!

Niecały miesiąc - oto, co szykował dla niej los.

Czy to była właśnie ta górna granica? Doznałam w życiu o wiele więcej szczęścia niż większość ludzi. Czyżby obowiązywało w naturze jakieś prawo głoszące, że szczęście i nieszczęście należy rozdzielać po równo? Czy swoją bezzbręzną radością zaburzyłam tę równowagę? Czy nie mogłam liczyć na więcej niż cztery miesiące?

To Emmett odpowiedział mi na moje pytanie.

- Możemy walczyć - oświadczył ze spokojem.

- Ale nie wygramy - warknął Jasper.

Zobaczyłam oczami wyobraźni, jak zaślania Alice własnym ciałem i jaki miałby wtedy wyraz twarzy...

- Cóż, uciec też nie możemy. Nie, dopóki korzystają z usług Demetriego. - Emmett skrzywił się i wiedziałam, że to nie tropiciel Volturi napawa go takim obrzydzeniem, tylko myśl o tym, że miałby przed kimś uciekać. - Nie rozumiem, dlaczego nie moglibyśmy wygrać. Mamy do wyboru kilka opcji. Nie musimy walczyć sami.

Podniosłam szybko głowę.

- Nie ma mowy, Emmett! Nie nasłę Volturi na Quileutów!

- Bella, wyluzuj. - Miał taką samą minę, jak wtedy, kiedy zastanawiał się, czy nie zmierzyć się z anakondą. Nawet w obliczu śmierci potrafił czerpać przyjemność ze stojącego przed nim wyzwania. - Nie miałem na myśli sfory. Ale bądźmy realistami - czy uważacie, że Jacob albo Sam zignorowaliby taką inwazję? Nawet jeśli nie chodziliby o Nessie? Nie wspominając już o tym, że dzięki Irinie Aro i tak już wie o naszym przymierzu. Ale nie, myślałem o innych naszych znajomych.

Carlisle był tego samego zdania co ja.

- Nie będę skazywał swoich przyjaciół na śmierć.

- Hej, może pozwól im podjąć tę decyzję - powiedział Emmett pojednawczym tonem. - Nie upieram się, że będą musieli z nami walczyć. - Widać było, że plan dopiero krystalizuje mu się w głowie. - Mogą po prostu czekać z nami na przybycie Volturi, tak żeby na ich widok tamci się zawahali. Bella ma rację. Trzeba ich zmusić do tego, żeby nas wysłuchali. Chociaż z drugiej strony, jeśliby nam uwierzyli, ominęłyby nas fajna bitwa...

Pod koniec swojej krótkiej przemowy prawie że się uśmiechał. Myślałam zaskoczona, że nikt go jeszcze nie uderzył. Ja miałam na to okropną ochotę.

- Dobrze mówisz - poparła go Esme. - To ma sens. Ta chwila zwątpienia z ich strony to dokładnie to, czego nam trzeba. Spróbujemy przemówić im do rozumu.

- Będziemy musieli ściągnąć tu wielu świadków - stwierdziła Rosalie bez entuzjazmu.

Esme przytknęła jej ozywioną, jak gdyby nie wychwycała w jej głosie nuty sarkazmu.

- O tyle to możemy naszych przyjaciół poprosić. Mieliby tylko dać świadectwo.

- Zrobilibyśmy dla nich to samo - stwierdził Emmett.

- Musimy tylko bardzo uważać na to, w jaki sposób im to przekazać - mruknęła Alice. Zerknąwszy na nią, zobaczyłam, że znowu jest przerażona. - Musimy starannie zaplanować te pierwsze spotkania.

- Spotkania? - powtórzył Jasper.

Alice i Edward spojrzeli na Renesmee. A potem oczy Alice zrobiły się szdiste.

- Rodzina Tanyi - zaczęła wyliczać. - I Siobhan. I Amuna. I część nomadów - na pewno Garrett i Mary, może Alistair.

- A co z Peterem i Charlotte? - spytał Jasper niemalże ze strachem w głosie, jak gdyby miał nadzieję, że odpowiedź będzie brzmieć „nie” i jego stary druh nie trafi na rzeź.

- Być może.

- A wampirzyce z Amazonii? - przypomniał Carlisle. - Kachiri, Zafrina i Senna?

Z początku Alice wydawała się zbyt głęboko pogrążona w swoich wizjach, by mu odpowiedzieć, ale w końcu wzdygnęła się i zamrugała. Na ułamek sekundy spojrzała doktorowi prosto w oczy, po czym spuściła wzrok.

- Nic nie widzę.

- Co to miało być? - szepnęła Edward niecierpliwie. - Ten fragment z dżunglą. Będziemy ich szukać?

- Nic nie widzę - powtórzyła Alice, nie patrząc w jego kierunku. Edward wyglądał przez moment na zdezorientowanego. - Będziemy musieli się rozdzielić i pospieszyć - trzeba to załatwić, zanim śnieg zacznie osiadać na ziemi.

Musimy dotrzeć do kogo tylko się da i ściągnąć ich tutaj, żeby zobaczyli dowody. - Znowu odplynęła. - Spytajcie Eleazara. Za tym kryje się coś więcej niż tylko obowiązek zlikwidowania nieśmiertelnego dziecka.

W salonie zapadła złowieszczą cisza. Czekaaliśmy, aż Alice wyjdzie z transu. Kiedy drgnęła, chociaż wróciła już do rzeczy wistości, jej źrenice pozostały dziwnie zamglone.

- Tyle tego - westchnęła. - Mamy mało czasu.

- Alice? - odezwał się Edward. - Wszystko działa się tak szybko. Nic z tego nie rozumiałem. Co to za...

- Nic nie widzę! - wydarła się na niego. - Jacob zaraz tu będzie!

Rosalie przesuwała się w stronę wejścia na werandę.

- Ja się tym...

- Nie - przerwała jej Alice. - Niech wejdzie. - Ze słowa na słowo jej głos stawał się coraz bardziej piskliwy. Złapała Jaspера za rękę i zaczęła ciągnąć go ku tylnym drzwiom. - Z daleka od Nessie też lepiej będzie mi się widziało.

Muszę sobie stąd pójść. Muszę się porządnie skoncentrować. Muszę sprawdzić każdy najdrobniejszy szczegół. Muszę już iść. Chodź, Jasper, nie mamy czasu do stracenia!

Usłyszeliśmy kroki Jacoba na schodkach werandy. Alice przyspieszyła, porywając Jaspера ze sobą. Wybiegł za nią posłusznie w srebrną noc, choć minę miał równie zagubioną jak Edward.

- Ruszcie się! - krzyknęła na odchodnym. - Musimy ich wszystkich namierzyć!

- Kogo namierzyć? - zdziwił się Jacob, zamykając za sobą drzwi. - Co ją tak nosi?

Nikt mu nie odpowiedział - wszyscy wpatrywali się tylko tępo w przestrzeń.

Jacob wytrząsnął sobie wodę z mokrych włosów, po czym, nie odrywając wzroku od Renesmee, włożył na siebie podkoszulek.

- Cześć, Bells! Myślałem, że o tej porze będziecie już u siebie.

Spojrział na mnie wreszcie, zamrugał, a potem zamilkł. Przygadałam się, jak stopniowo dociera do niego to, jaka w pokoju panuje atmosfera. Kiedy zauważył płamę na podłodze, rozsypane różę i pozostałości kryształowego wazonu, otworzył szeroko oczy i zatrząsł mu się ręce.

- Co jest? - spytał glucho. - Co się stało?

Nie wiedziałam, od czego zacząć. Nikt inny też na to nie wpadł.

By pokonać dzielącą nas odległość, wystarczyły mu trzy kroki. Ukłęknął przy nas i poczułam bijące od niego ciepło. Mięśniami i jego ramion wstrząsały rytmiczne dreszcze.

- Nic jej nie jest? - spytał zaniepokojony, sięgając do czołka Renesmee. Sprawdziwszy, czy nie ma temperatury, przekrzywiając głowę, wsłuchał się w jej serduszek. - Ty lko, błagam, Bella, mów prawdę!

- Wszystko z nią w porządku - wykrztusiłam łamiącym się głosem.

- Więc o co chodzi?

- O nas wszystkich, Jacob - wyszeptalam załamana. - To koniec. Zostaliśmy wszyscy skazani na śmierć.

Przesiedliśmy tak całą noc, jakżeby mające przedstawiać rozpacz i strach, a Alice nie wróciła.

Byliśmy na skraju wytrzymałości nerwowej, tak odrętwiali z szoku, że żadne z nas nie było w stanie się poruszyć. Mało brakowało, a Carlisle nie zdołałby wykrzesać z siebie dość energii, by opowiedzieć o wszystkim Jacobowi.

Wysłuchanie tej historii raz jeszcze ty lko pogorszyło sprawę - nawet Emmett spochnuriał i przy gwałt.

Dopiero kiedy weszło słońca i wiadomo było, że Renesmee lada moment się obudzi, zastanowiliśmy się, czemu Alice tak długo nie wraca. Miałam nadzieję, że dowiem się czegoś więcej, zanim przyjdzie mi zaspokoić ciekawość mojej córeczki - że będą już coś wiedzieć - cokolwiek czego mogłabym się uczyć, by zmusić się do uśmiechu i nie przestraszyć małej tym, co miałam jej do przekazania.

Czułam, że moja twarz stężyła na stałe w masłę, którą miałam na sobie całą noc. Nie byłam pewna, czy jeszcze kiedykolwiek udam mi się uśmiechnąć.

Jacob chrapał w kącie, rzucając się niespokojnie przez sen. Spał w postaci wilka, bo przed zaśnięciem złączył powieki z Sanowii, co się dzieje. Watahy szły już na wizytę Volturi, choć moim zdaniem, czego by nie zrobili, i tak mieli zginąć rano same.

Przez ścianę szła wpadły do pokoju pierwsze promienie słońca, zmieniając skórę Edwarda w roziskrzony marmur. Od wyjścia Alice nie spuszczałam mojego ukochanego z oczu. Wpatrując się w siebie, wpatrywałam się zarazem w tę osobę, której straty drugie z nas by nie przeżyło. Kiedy promienie dotarły i do mnie, w jego przygasłych z bólu oczach zobaczyłam swoje własne odbicie. Wpierw poruszyły się o milimetr jego brwi, a potem wargi.

- Alice - wyszeptał.

Dźwięk jego głosu skojarzył mi się z trząskiem topniejącej kry. W każdym z nas coś drgnęło, coś odtańczyło.

- Długo jej nie ma - zauważyła Rosalie zaskoczonym tonem.

- Gdzie też ona może być? - spytał retorycznie Emmett.

Esme położyła sobie dłoń na ramieniu.

- Może lepiej im nie przeszkadzać...

- Nigdy jeszcze nie zniknęła o tak - powiedział Edward. Nowe zmartwienie sprawiło, że maska, którą przywdział w nocy, pękła. Jego rysy na nowo ożyły, w oczach pojawiła się panika. - Carlisle, a może oni już ją dopadli? Jak sądzisz, czy miałaby dość czasu, żeby sprawdzić, czy kogoś na nią nie nasłali?

Przy pomniła mi się galaretowato - mleczna twarz Aro - wampira, który zajrzał w najdalsze zakamarki umysłu Alice, który wiedział dokładnie, jakie miała zdolności...

Emmett zaklął tak głośno, że Jacob warcząc, zerwał się na cztery łapy. Zawitowała mu sfera zgromadzona przed domem. Wszyscy nagle zaczęli poruszać się tak szybko, jakby się palilo.

- Zostań z Renesmee! - rozkazałam Jacobowi, rzucając się ku drzwiom.

Byłam nadal silniejsza od moich najbliższych ci i wykorzystalam swoją przewagę nad nimi do tego, by przepchać się na sam przód. Kilkomna susami wyprzedziłam Esme, ułamek sekundy później Rosalie. Gnałam na oślep przez leśną gęstwina, dopóki nie zrównalam się z Edwardem i Carlisle.

- Czy byliby w stanie ją zaskoczyć? - spytał doktor. Wysłuchając się w jego głos, można by było pomyśleć, że stał nieruchomo, podczas gdy pędził przecież z zawrotną prędkością. - Nie widzę, jak mogłoby się to odbyć - przyznał Edward - ale Aro zna ją lepiej niż ktokolwiek inny. Lepiej niż ja.

- Czy to pulapka? - krzyknął z tyłu Emmett.

- Być może - powiedział Edward. - Ale nie ma tu żadnych ch tropów poza tymi należącymi do Alice i Jaspera. Dołąd oni pobiegli?

Ślady poprowadziły nas po szerokim łuku: z początku kierowały się na wschód, by po drugiej stronie rzeki skierć się na północ, a potem, po kilku kilometrach, na zachód. Przeprawiliśmy się ponownie przez rzekę, przeskalując ją w szóstkę w kilkusekundowych odstępach. Na czelu, maksymalnie skoncentrowany, biegi Edward.

- Też wchwy cięś ten zapach? - krzyknęła do niego wkrótce po tym Esme z samego brzegu lewego skrzydła. Wskazała na południowy - wschód.

- Nie schodzę z głównego szlaku - jesteśmy już prawie mi terytorium Ouileutów - zarządził Edward. - Trzymajcie się blisko siebie. Zobaczmy, czy skierćli na północ czy na południe.

Nie znalazł przebiegu granicy tak dobrze, jak pozostali, ale w wiejącym od wschodu wietrze wyczuwalam słabą woń wilkolaka. Edward i Carlisle z przyzwyczajenia odrobinę zwolnili. Rozglądali się energicznie, spodziewając się, że lada moment trop zmieni kierunek

Nagle wilczy zapach przybrał na sile, a Edward drgnął, spojrział przed siebie i raptownie zahamował. Nie wiedzieliśmy, co jest grane, ale też stanęliśmy.

- Sam? - spytał Edward bezbarwnym głosem. - O co chodzi? Przywódca sfory z La Push wyłonił się za drzew kilkaset metrów dalej. Szedł do nas szybkim krokiem w ludzkiej postaci, z dwoma wielkimi basiorami, Paulem i Jaredem, po bokach. Dojście do nas zabrało mu trochę czasu i jego ludzkie tempo mnie zniecierpliwilo. Nie chciałam tracić czasu na rozmyślanie - chciałam być w ruchu, chciałam działać. Chciałam trzymać już Alice w ramionach i być w stu procentach przekonana, że nic jej nie grozi.

Gdy Edward wczuł się w myśli Sama, na moich oczach jego twarz zrobiła się biała jak kreda. Sam zignorował go i zatrzymał się przed Carlisle.

To jemu miało do przekazania wiadomość. W drodze na wybrzeże Alice powiedziała mi, że pod żadnym ch pozorem nie powinieniem zawiadamiać o tym spotkaniu Jacoba, dopóki nie skontaktują się z tobą i nie przekażą ci tego liścika. Obiecałem jej, że będę tu czekał, bo na pewno zjawisz się tu jej szukać. Mówiła, że to niezmiernie ważne. Sprawiała wrażenie, jakby zależało od tego życie nas wszystkich.

Z ponurą miną podał doktorowi złożony arkusik papieru pokryty drobnym czarnym drukiem. Była to kartka wydartą z niewielkiej książki. Gdy Carlisle ją rozwinął okazało się, że to strona z informacjami na temat praw autorskich pochodząca z taniego wydania *Kupca weneckiego*. Z mojego wydania. Nawet jeszcze mną pachniała. Przywiozłam od Charliego do kamiennego domu trochę swoich rzeczy, w tym kilka kompletów normalnych ch ubrań, wszystkie listy od mamy i swoje ulubione książki. Sfaty gowana kolekcja Szekspirów w miękkich oprawkach jeszcze poprzedniego dnia rano stała spokojnie na półce biblioteczki w moim nowym saloniku...

- Alice postanowiła nas opuścić - wyszeptał Carlisle.

- Co takiego?! - wykrzyknęła Rosalie.

Doktor obrócił list, tak abyśmy wszyscy mogli zaznajomić się z jego treścią.

Nie szukajcie nas. Nie ma czasu do stracenia. Pamiętajcie: Tanya, Siobhan, Amun, Alistair i tylu nomadów, ilu tylko się da. Mybierzemy na siebie Petera i Charlotte. Jest nam okropnie przykro, że musieliśmy odejść w ten sposób, bez pożegnania i jakichkolwiek wyjaśnień. Niestety, nie mogliśmy postąpić inaczej. Kochamy Was

Znowu zamarliśmy. Zapadła cisza, przerywana jedyne sapaniem wilków i biciem ich serc. Ich myśli także musiały być głośne, bo to Edward pierwszy się poruszył, by odpowiedzieć na pytanie, które wyłapał w umyśle Sama.

- Tak, ryzyko jest az tak duże.

- Na tyle duże, żeby porzucić własną rodzinę? - oburzył się przywódca watahy.

Postawa Alice bardzo go zbulwersowała. Było oczywiste, że nie czytał jej liścika przed oddaniem go Carlisle'owi, a sądząc po wyrazie jego twarzy, żalował teraz, że jej posłuchał.

Edward zeszywniał. Sam myślał pewnie, że się rozniewiał albo naburmuszył, ale ja rozpoznałam, że mój ukochany cierpi.

- Nie wiemy, co takiego zobaczyła - stwierdził. - Alice nie jest ani tchórzliwa, ani bezduszna. Musiała mieć swoje powody.

- Żaden z nas nigdy by ... - zaczął Sam, ale Edward zaraz mu przerwał:

- Jesteśmy z sobą związani inaczej niż wy w sforze. Każde z nas nadal posiada wolną wolę.

Indianin uniósł brodę, a jego czarne oczy stały się nagle dziwne matowe.

- Powiniście wziąć sobie to ostrzeżenie do serca - ciągnął Edward. - To nie jest coś, w co radziłbym się wam angażować. Możecie nadal zmienić wizję, której doświadczyła Alice.

Sam uśmiechnął się cierpko.

- My nie uciekamy.

Stojący za nim Paul prychnął.

- Nie skazuj przez dumę swoich bliskich na rzeź - powiedział cicho Carlisle.

Przywódca wilków posłał mu przyjazne spojrzenie.

- Tak, jak to wytknęłam nam Edward, nie jesteśmy do końca wolni. Renesmee jest częścią naszej rodziny w takim samym stopniu jak waszej. Jacob nie może jej opuścić, a my nie możemy opuścić jego.

Zerknął na liścik Alice i zacisnął usta.

- Nie znasz jej - burknął Edward.

- A ty ją znasz? - spytał go obcesowo Sam.

Carlisle położył Edwardowi dłoń na ramieniu.

- Mamy dużo spraw do załatwienia, synu. Niezależnie od tego, jaką decyzję podjęła Alice, bylibyśmy głupcami, gdybyśmy nie postąpili zgodnie z jej zaleceniami. Wracajmy do domu i zabierzmy się do pracy.

Edward skinął głową. Twarz miał nadal zeszywniała z bólu. Z za naszych pleców dochodziło ciche szlochanie Esme. Nie umiała ronić łez, ale jakoś musiała sobie ulżyć.

Mnie nie stać było nawet na to - otepiała, mogłam tylko patrzeć przed siebie. Nic jeszcze nie czułam. Wszystko wydawało mi się nierzeczywiste, jak gdybym po raz pierwszy od miesiąca zapadła w sen. Jak gdyby dręczący mnie jakiś koszmara.

- Dziękuję ci, Sam - powiedział Carlisle.

- Przepraszam. Wybacz. Nie powinniśmy byli jej przepuścić.

- Nie wyrzucaj sobie tego. Alice ma prawo robić, co jej się żywnie podoba. Ja też bym jej nie zatrzymał.

Zawsze miałam Cullenów za zamkniętą całość, za coś niepodzielnego. Teraz przypomniało mi się, że nie zawsze tak było. Carlisle stworzył Edwarda, Esme, Rosalie i Emmetta, a Edward z kolei stworzył mnie. Łączyły nas więzy krwi - i wampirzego jadu - ale tylko naszą szóstkę. Nigdy jednak nie myślałam o tym podziale. Nie zastanawiałam się nad tym, że dla części swoich dzieci Carlisle był poniekąd ojcem, a Alice i Jaspera jedynie adoptował. Zresztą, tak po prawdzie, to Alice adoptowała jego. Zjawiała się znikąd, przeprowadzając z sobą Jaspera, i zaliczała dla siebie miejsce w już istniejącej rodzinie. Oboje z Jasperem wiedzieli, jak to jest żyć osobno. Czyżby postanowiła na nowo wieść takie życie, zobaczywszy, jaki los czekałby ją u Cullenów?

Czy oznaczało to, że nie mieliśmy najmniejszych ch szans? Że nie było dla nas nadziei? Że nie istniało nic, co mogłoby przekonać Alice do pozostania po naszej stronie?

Rzeczy poranne powietrze wy dało mi się nagle gęstsze, a światło słoneczne przytumiłone, jakby moja rozpacz miała na nie jakiś wpływ.

- Ja tam nie poddam się bez walki - mrugnął Emmett pod nosem. - Alice zostawiła nam instrukcje. Weźmy się do roboty.

Pozostali mu przytaknęli i uswiadomiliam sobie, że mimo wszystko ufają jej radom i spróbują wcielić jej plan w życie. Nikt z nas by najmniej nie zamierzał się załamać, ani czekać z założonymi rękami na śmierć.

Tak, chcieliśmy walczyć do końca. Co innego nam pozostało? I najwyraźniej mieliśmy zaangażować w to innych, ponieważ tak nakazała nam Alice jeszcze przed swoim odejściem. Jak moglibyśmy nie posłuchać jej ostatniego ostrzeżenia? Wilkolaki też miały do nas dołączyć - dla Renesmee.

Mieliśmy walczyć więc i my, i oni, a w trakcie wszyscy mieliśmy zginąć.

Nie odnajdywałam w sobie tej samej determinacji, co reszta. Alice dobrze wiedziała, jakie mamy szanse na wygrana. Z jej wizji wynikało, że jakieś tam mieliśmy, i przekazała nam, jak najlepiej je wykorzystać, ale były tak marne, że sama wolała się ewakuować. Mówiło to samo za siebie.

Odwróciwszy się tyłem do Sama, by ruszyć za Carlisle do domu, szczerze mówiąc, czułam się już jak ktoś pokonany.

Nie biegliśmy już w panice, tylko pozwoliliśmy prowadzić się naszym zmysłom. Kiedy zbliżyliśmy się do rzeki, Esme się ożywiła.

- To tu zaczyna się ta odnoga, o której wam mówiłam. Ślady są zupełnie świeże.

Zdążyłam już zapomnieć, że wolała wcześniej do Edwarda coś i nowym tropie. Nie zwrócił wtedy na niego uwagi, bo pędziliśmy przecież ratować Alice...

- Sama Alice, bez Jaspera - skwitował Edward bez większego zainteresowania. - Pewnie zawędrowała tutaj w ciągu dnia.

Esme skrzywiła się, ale nie zaprottestowała.

Odbiłam lekko na prawo, zostając nieco w tyle. Edward mógł mieć rację, ale z drugiej strony... Po co Alice napisała liścika na kartce wyrwanej z książki i to książką znajdującą się w innym domu?

- Bello?

Edward zauważył, że się zawahałam. Nadał był przybity i jego głos nie zdradzał żadnych emocji.

- Chcę sprawdzić ten trop - oznajmiłam, węsząc zapamiętałe. Byłam jedyne początkującym tropicielem, ale zapach Alice unoszący się wzdłuż bocznej ścieżki nie wy dawał się niczym różnić od tego wzdłuż szlaku, którym uciekla z

Jasperem.

- Pewnie prowadzi z powrotem do domu.

- W takim razie tam się właśnie spotkamy.

Sądziłam z początku, że pozwolili mi pójść samej, ale kiedy oddaliłam się kawalek, jego puste przedem oczy rozświeciły.

- Poczekaj! - zawołał za mną. - Carlisle, zobaczmy się w domu.

Doktor nie widział żadnych przeciwwskazań. Zaczekałam, aż wszyscy zniknęli nam z oczu, po czym spojrzalam pytająco na Edwarda.

- Nie potrafiłbym się teraz z tobą rozstać - wyjaśnił. - Wzdrygnęłam się na samą myśl o tym.

Nie musiał dodawać nic więcej. Kiedy się nad tym zastanowiłam, dotarło do mnie, że rozstawszy się z nim, nawet na bardzo krótki czas, cierpiałabym tak samo jak on.

Tak mało czasu nam pozostało.

Ujął moją wyciągniętą dłoń.

- Pospieszmy się - powiedział. - Mała zaraz się zbudzi.

Skinęłam głową.

Wciąż trzymając się za ręce, rzuciliśmy się biegiem przez las.

Było pewnie głupotą z mojej strony marnować czas z dala od Renesmee tylko po to, żeby zaspokoić ciekawość, ale sprawa liściku nie dawała mi spokoju. Jeśli Alice nie miała przy sobie żadnej czystej kartki, mogła wyrzucić swoją wiadomość na jakimś gałęzi albo na pniu drzewa. Ba! Mogła niezuważona wkraść się do dowolnego domu przy szosie i wykraść z niego choćby i kostkę samoprzylepnych kolorowych karteczek. Dlaczego posłużyła się właśnie moją książką? I skąd ją w ogóle wytrzasnęła?

Zgodnie z moimi przypuszczeniami, trop wiódł do naszego kamiennego domu - okrężną drogą, tak aby trzymać się jak najdalej zarówno od domu Cullenów, jak i od terytorium wilków. Kiedy Edward zdał sobie z tego sprawę, zdezorientowany, ściągnął brwi.

Spróbował jakoś to sobie poukładać.

- Poprosiła Jaspera, żeby na nią zaczęła, i przyszła tu sama?

Byliśmy już prawie na miejscu. Poczułam się nieswojo. Cieszyłam się, że Edward był przy mnie i trzymał mnie za rękę, ale odnosiłam wrażenie, że powinien być jednak przyjąć tu sama. W całej tej historii było coś bardzo podejrzanego - jakby za czynami Alice coś się kryło, tylko nie miałam pojęcia co. Jedno było pewne - *Kupiec* należał do mnie, więc i do mnie należało rozwiązanie tej zagadki. Gdyby Alice chciała przełożyć coś w sekrecie Edwardowi, czy nie wydarłaby kartki z jednej z jego książek?

- Pozwól, że sama tam wejdę - oświadczyłam na ganku, wyswabdzając swoją dłoń pomiędzy jego palców.

- Bello...

- Proszę. Daj mi trzy dziesiąte sekund.

Nie czekając na jego zgodę, wpadłam do środka i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Moim celem była biblioteczka. Zapach Alice był bardzo świeży - nie mógł mieć więcej niż jeden dzień. W kominku płonął ogień, którego nie rozpalili ani Edward, ani ja. Wyjęłam z półki *Kupca weneckiego* i czym prędzej otworzyłam go na stronie tytułowej.

Koło poszarpanej krawędzi pozostawionej przez wyrwaną stronicę, pod słowami „William Szekspir” Alice napisała:

Spal to.

Poniżej widniało nazwisko i adres kogoś zamieszkałego w Seattle.

Kiedy Edward wszedł do środka - raczej po trzy nastu sekundach niż po trzy dziesiąte - przyglądałam się, jak szuka Szekspira płonie w kominku.

- I co znalazłaś?

- Była tutaj. Żeby napisać liścik, wyrwała kartkę z mojej książki.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

- A dlaczego ją teraz palisz?

- Bo... bo...

Zmarszczyłam czoło, pozwalając, by na mojej twarzy pokazał się cały ból i frustracja, które zjadały mnie od środka. Nie wiedziałam, co Alice usiłuje mi przekazać - rozumiałam jedynie to, że dołożyła wszelkich starań, by nie trafiło to do nikogo oprócz mnie. Jedynej osoby, w której myślach Edward nie potrafił czytać. Chciała coś przed nim zataić i najprawdopodobniej miała po temu słuszne powody.

- Bo pomyślałam, że tak wypada - wybałałam.

- Co też ona planuje...

Zapatrzyłam się w płomienie. Byłam jedyną osobą na świecie, która mogła okłamać Edwarda. Czy tego właśnie Alice ode mnie wymagała? Czy takie było jej ostatnie życzenie?

- Kiedy leciałyśmy do Włoch, żeby cię uratować - szepnęłam (nie było to kłamstwo, ale niewątpliwie starałam się odwrócić jego uwagę) - okłamała Jaspera, żeby nie polecał za nami. Wiedziała, że jeśli Jasper spotka się z Volturi, to zginie. Była tylko nie narazić go na niebezpieczeństwo, ryzykowała życie. I moje i życie także. I twoje.

Edward nic odpowiedział.

- Alice ma swoje priorytety - dodałam.

Poczułam bolesne ukłucie w swoim zastygłym sercu, bo uzmysłowiłam sobie, że moje wyjaśnienie wcale nie wydawało się być kłamstwem.

- Nie wierzę - powiedział Edward, ale takim tonem, jak gdyby nie zaprzeczając mi, tylko starał się przekonać samego siebie. Może tu znowu chodzi tylko o Jaspera. Zobaczyła w wizji, że wszyscy wyszlibyśmy z tego cała, tylko Jasper nie. Może...

- Mogłaby nam wtedy o tym powiedzieć. Mogłaby odesłać go samego.

- I dobrowolnie by ją opuścił? Może znowu go okłamała.

- Kto wie - udało mi się, że się zgadzam. - Wracajmy już do domu. Mamy mało czasu.

Wziął mnie za rękę i pomknęliśmy przed siebie.

Wiadomość od mojej przyjaciółki nie rozbudziła we mnie nadziei. Gdyby można było jakoś uniknąć zbliżającej się rzezi, Alice by została. Nie widziałam innej możliwości. A więc coś innego mi zostawiła. Nie drogę ucieczki. Ale czego innego jej zdaniem bym chciała? Może coś ocalić? Czy istniało coś, co mogłam jeszcze uratować?

Carlisle i pozostali nie próbowali podczas naszej nieobecności. Rozdzieliliśmy się może na pięć minut, ale zdążyli się w tym czasie spać. W rogu salonu siedział zmieniony w człowieka Jacob z Renesmee na kolanach. Oboje z szeroko otwartymi oczami obserwowali krzątające się wampiry.

Rosalie miała na sobie już nie jedwabną sukienkę, ale solidnie prezentujące się dzinsy, buty do biegania i zapinaną na guziki koszulkę z grubego materiału, jedną z tych, w jakie turyści w górach ubierają się często na dłuższe wycieczki. Esme była ubrana w podobny sposób. Na stoliku przy kanapie stał globus, ale moi bliscy skończyli już rozdział zadania i czekali tylko na nas.

W pokoju panował o wiele lepszy nastrój niż poprzednio - to, że można było się czytać, poprawiło wszystkim humor. Pokładali teraz nadzieje w planie Alice.

Zerknęłam na globus, ciekawa, jaki miał być pierwszy przystanek na naszej trasie.

- Mamą zostać? - zdziwił się Edward, patrząc na Carlisle'a. Nie wyglądał na zadowolonego.

- Alice powiedziała, że będziemy musieli pokazać naszym gościom Renesmee i że będziemy musieli przy tym szczególnie uważać - wyjaśnił doktor. - Edwardzie, ty z nas najlepiej sobie z tym poradzisz. Będziemy przysyłać tu każdego, kogo odnajdziemy.

Edward skinął głową, ale nadal był markotny.

- Tyle miejsc trzeba sprawdzić...

- Dlatego się rozdzielamy - odezwał się Emmett. - Ja i Rose, na przykład, zajmujemy się nomadami.

- Obiecuję ci, że i tak będziesz miał pełne ręce roboty - oznajmił Carlisle. - Tanya będzie tu z całą rodziną jutro rano, a nie wytłumaczyliśmy im, po co ich tu ściągamy. Po pierwsze, musisz tak ich poprowadzić, żeby nie zareagowali podobnie jak Irina. Po drugie, musisz się dowiedzieć, co miała na myśli Alice, każąc nam zwrócić się do Eleazara. Odpowiednie reakcje to jedno, ale czy zgodzą się jeszcze tu zostać i wystąpić przed Volturi w charakterze świadków? I do tego też trzeba ich będzie przekonać. A jak pojawiają się nowi goście, wszystko zaczyna się od początku. Oczywiście jeśli uda nam się w ogóle kogoś namówić, żeby tu się zjawił. - Westchnął ciężko. - Masz przed sobą najtrudniejszą misję z nas wszystkich. Wrócimy, by ci w niej pomóc, gdy tylko będzie to możliwe.

Na sekundę położył Edwardowi rękę na ramieniu, a potem pocałował mnie w czoło. Esme uściślała nas oboje, a Emmett szturchnął każde z nas po przyjacielsku w ramię. Rosalie obdarowała nas wymuszonym uśmiechem, posłała Renesmee całusa i zroziała Jacoba wzrokiem.

- Powodzenia - powiedział Edward.

- Tobie też go życzą - stwierdził doktor. - Każdemu z nas przyda się teraz dużo szczęścia.

Patrzyłam za nimi, jak odchodzą, żałując, że nie podzielałam ich entuzjazmu, i marząc o tym, by choć na kilka sekund móc zasiąść w samotności przed komputerem. Musiałam sprawdzić, kim jest tajemniczy J.Jenks i dlaczego Alice przeprowadziła tak skomplikowaną intrygę, by jego nazwisko trafiło wyłącznie do mnie.

Renesmee obróciła się w ramionach Jacoba, a żeby dotknąć jego policzka.

- Nie wiem, czy ktoś z was zamyślił Carlisle'a tu jednak przyjedzie - odpowiedział jej. - Mam nadzieję. Na razie wygląda na to, że tamtych jest trochę więcej od nas.

Więc już wiedziała. Rozumiała aż za dobrze, co to dziecko. Ze też te przekłete wilkokiłki z wpojeniem musiały zawsze spełniać wszystkie zachcianki obiektów swoich uczuć! Czy nie ważniejsze było to, by ją chronić, niż by jej nadskakiwać?

Przyjrzałam się uważnie jej twarzy. Nie wydawała się być przestraszona, tylko zaniepokojona i bardzo poważna. Znowu pokazywała coś Jacobowi.

- Nie, nie możemy im w niczym pomóc. Musimy zostać tutaj. Goście przyjadą tu oglądać ciebie, a nie krajobrazy.

Ściągnęła brewki.

- Nie, nie, nigdzie się stąd nie ruszę - odparł, ale zaraz dotarło do niego, że może czegoś nie wie i szczerze przerażony, przeniósł wzrok na Edwarda. - Prawda?

Edward zawałał się.

- No, wyrzuć to z siebie - zachęcił go Jacob spięty m głosem. Tak jak i my, był na skraj wytrzymałości nerwowej.

- Wampiry, które przybędą tu, żeby nam pomóc, nie są takie jak my - wyznał Edward. - Oprócz nas tylko rodzina Tanya i odnosi się z szacunkiem do ludzkiego życia, ale nawet oni nie przepadają za wilkołakami. Sądzą, że byłoby bezpiecznie...

- Potrafię o siebie zadbać - przerwał mu Jacob.

- ...bezpieczniej dla Renesmee - dokończył Edward - gdyby ci, którzy mają uwierzyć w jej historię, nie musieli dodatkowo godzić się z faktem, że są w nią wplątane wilkołaki.

- Ładnych macie znajomych. Zwróciliby się przeciwko wam tylko dlatego, że zadacie się nie z tymi, co trzeba?

- Myślę, że w normalnych okolicznościach okazaliby więcej tolerancji. Musisz zrozumieć, że zaakceptowanie Nessie nie będzie dla żadnego z nich łatwe. Po co mielibyśmy im to jeszcze odrobinę utrudniać?

Carlisle opowiedział Jacobowi o zasadach obowiązujących w świecie wampirów poprzedniego wieczoru.

- Te nieśmiertelne dzieci były naprawdę aż takie złe?

- Nawet sobie nie wyobrażasz, jakie blizny pozostawił po sobie tamten okres w naszej zbiorowej psychice.

- Edward...

Nadal czułam się dziwnie, słysząc jak Jacob wymawia jego imię bez niechęci.

- Wiem, Jake. Wiem, jak ciężko jest się rozstawać z małą. Rozegramy to intuicyjnie - zobaczmy, jak na nią zareagują. Tak czy siak, nie mogą jej zobaczyć ot tak na wejściu. Przez najbliższych kilka tygodni będzie musiała przemieścić się na stałe do kamiennego domu i czekać tam, aż nadejdzie właściwy moment, by ją zaprezentować. Więc tak długo, jak będziesz trzymać się z dala od tego domu tutaj...

- To już da się załatwić. Czyli jutro rano będziemy mieli już towarzystwo?

- Tak. To nasi najbliżsi przyjaciele. W tym szczególnym przypadku będzie chyba lepiej, jeśli od razu zagramy w otwarte karty. Możesz tu jeszcze zostać. Tanya wie o tobie. Poznała nawet Seta.

- Racja.

- Powinieneś uprzedzić Sama. Wróćcie po lesie będzie się kręcić wielu obcych.

- Słuszną uwagę. Chociaż po zeszłej nocy mam ochotę za karę nie mówić mu wszystkiego.

- Zwyczajne słuchanie Alice wychodzi wszystkim na dobre. Jacob zażyczył zębami. Widać było, że na temat zniknięcia Alice i Jaspera ma taką samą opinię, jak Sam. Kiedy rozmawiali, podeszłam do okien od strony rzeki, starając się wyglądać na zamysloną i podenerwowaną. Nie było to trudne. Oparłam czoło o szybę w miejscu, w którym szklana ściana skręcała w stronę jadalni, tuż koło jednego ze stolików komputerowych. Wpatrując się w las, przesunęłam palcami po klawiaturze w taki sposób, jak gdybym robiła to w rozrządzeniu. Czy wampiry robiły w ogóle cokolwiek w rozrządzeniu? Nikt w pokoju nie zwracał chyba na mnie uwagi, ale nie obróciłam się, żeby zyskać pewność. Rozbłysnął monitor. Ponownie, niby to przypadkiem, musnęłam klawiaturę, a potem z rozmysłem postukałam paznokciami w blat biurka, żeby wrażenie było takie, że robię to wszystko z nerwów. Kolejne muśnięcie klawiszy...

Kątem oka zbadalam, co wyświetliło się na ekranie.

Nie było żadnego J. Jenksa, ale wyskoczył niejaki Jason Jenks. Prawnik Potarłam opuszkami klawiaturę, próbując nie zgubić rytmu, jak gdybym głaskała odruchowo siedzącego tam kota, choć właściwie zapomniałam już o jego istnieniu. Jason Jenks miał własną wymyślną stronę internetową, ale podany na niej adres jego kancelarii nie zgadzał się z tym, który zostawiła mi Alice - jego biuro, owszem, mieściło się w Seattle, ale sądząc po kodzie, w innej dzielnicy. Odnotowałam w pamięci numer telefonu i znowu dotknęłam klawiszy. Tym razem wpisałam znany mi adres, ale ten w Internecie zupełnie nie występował. Może był w nim jakiś błąd? Mogłam dla pewności zlokalizować go na mapie, ale doszłam do wniosku, że kusilabym już los. Jeszcze jedno muśnięcie, żeby usunąć historię...

Wyglądając dalej przez okno, zdążyłam jeszcze dotknąć kilka razy blatu stolika, kiedy usłyszałam za sobą znajome kroczki. Z nadzieją, że minę mam taką samą, jak wcześniej, odwróciłam się do córeczki.

Renesmee wyciągnęła rączki. Otworzyłam ramiona i już po chwili była w moich objęciach. Pachniało od niej mocno wilkołakiem. Przy cisnęłam jej główkę do swojej szyi.

Nie wiedziałam, jak to zniósę. Owszem, bałam się o swoje własne życie, o Edwarda, o resztę swojej rodziny, ale było to niczym w porównaniu z skręcającym mi jelita lękiem, jaki ogarniał mnie na myśl o tym, co groziło mojej malej. Musiał istnieć jakiś sposób na to, by ją uratować, nawet jeśli cała nasza reszta miałaby zginąć.

Nagle uzmysłowiłam sobie, że niczego już więcej nie pragnęłam. Mogłam się pogodzić ze wszystkim, tylko nie z tym, że jej życie miało skończyć się tak szybko.

To właśnie ona była tym czymś, co po prostu musiałam ocalić.

Czyżby Alice się tego domyśliła?

Renesmee położyła mi piąstkę na policzku.

Pokazała mi cały szereg twarzy: swoją własną, Edwarda, Jacoba, Rosalie, Esme, Carlisle'a, Alice, Jaspera... Przesuwały się coraz to szybciej. Seth i Leah. Charlie, Sue i Billy. Powtarzała to bez końca. Martwiła się, jak my wszyscy. Ale na szczęście tylko się martwiła. Najwyraźniej Jake jednak zataił przed nią najgorsze. To, że nie było dla nas nadziei. Że za miesiąc mieliśmy już nie żyć.

W pewnym momencie zatrzymała się na dłużej na Alice. Czula się zagubiona. Gdzie jest Alice, zdawała się pytać.

- Nie wiem - szepnęłam. - Ale Alice to Alice. Wie, co robi. A w każdym razie wie, co zrobić, żeby jej było dobrze. Nienawidziłam się za to, że myślę o niej w ten sposób, ale jak inaczej mogłam tłumaczyć jej postępowanie? Mała westchnęła i jej tęsknota nasiliła się.

- Mnie też jej brakuje.

Poczułam, że zmieniła mi się wyraz twarzy, że moje ciało stara się dopasować go do mojego smutku. Oczy miałam jakieś dziwne nieprzyjemnie suche. Mrugały, próbując się tej suchości pozbycić. Przygryzłam wargę. Kędy wzięłam kolejny wdech, powietrze zubiło w gardle drogę, jak gdybym się nim krztusiła.

Renesmee odsunęła się ode mnie, by mieć na mnie lepszy widok i w jej myślach zobaczyłam swoje odbicie. Wyglądałam tak jak Esme wyglądała tego ranka.

A więc to tak się po wampirzemu płakało.

Moja córeczka patrzyła na mnie jeszcze przez chwilę, a potem jej oczka załśniły wilgocią. Poglaskała mnie po policzku, nic mi nie pokazując - po prostu chciała mnie pocieszyć.

Nigdy się nie spodziewałam, że kiedyś zamienimy się rolami, tak jak to zawsze robiliśmy z Renee. Nie potrafiłam sobie zresztą za dobrze wyobrazić naszej przyszłości.

W łaciuku oczka Renesmee pojawiła się łezka. Starłam ją całusem. Dotknąwszy tamtego miejsca, przyjrzała się w zdziwieniu swojemu mokremu paluszkowi.

- Nie płacz - powiedziałam jej. - Wszystko będzie dobrze. Włos ci z głowy nie spadnie. Już ja się o to postaram.

Może nie byłam w stanie zrobić nic więcej, ale Renesmee musiałam ocalić. Nie miałam już żadnych wątpliwości, że właśnie o to zadbała Alice. Domyśliła się. Zostawiła jej jakąś drogę ucieczki.

Do głowy cisnęły mi się dziesiątki pytań.

Jak wykraść dla siebie dość czasu, by odnaleźć J. Jenksa, i dlaczego Alice chciała, żeby m poznała tego człowieka?

Jeśli intry ga Alice nie miała jednak nic wspólnego z Renesmee, co mogłam zrobić, by uratować swoją córkę?

Jak mieliśmy z Edwardem wyjaśnić nazajutrz rodzinie Tanyi, co się dzieje? Co jeśli mieli potraktować nas tak jak Irina? Co jeśli by nas zaatakowali?

Nie umiałam walczyć. Jak miałam się tego nauczyć w ciągu miesiąca? Czy były w ogóle jakieś szanse na to, żeby m po tak krótkim kursie stanowią dla Volturi jakieś zagrożenie? A może miałam okazać się kompletnie bezużyteczna?

Mieli mnie zabić już w pierwszej minucie? Ot, kolejny nowo narodzony wampir, który ch tak dużo ginął w pierwszych miesiącach ich nowego życia?

Tyłu rzeczy chciałam się dowiedzieć, ale nie miałam okazji za dać nikomu swoich pytań.

Pragnęła dla dobra Renesmee zachować pozory normalności, uparłam się, byśmy wzięli ją na noc do kamiennego domu. Odprowadził nas tam Jacob. Czuję się teraz pewniej pod postacią wilka, bo łatwiej było m radzić sobie ze stresem, kiedy w każdej chwili był gotowy do walki. Zadróżciłam mu tej gotowości. Odstawiliśmy nas na miejsce, zaczął patrolować okolice.

Gdy mała usnęła, odłożyłam ją do łóżeczka, a potem poszłam do salonu z zamiarem zadania Edwardowi swoich pytań - przy najmniej tych, które mogłam mu zadać. Jednym z moich największych strapiień było przecież to, jak cokolwiek przed nim zataić. Niby miałam nad nim tę przewagę, bo nie potrafił czytać mi w myślach, ale i tak wydawało mi się to niemożliwe.

Zastałam go stojącego tyłem do mnie ze wzrokiem wbitym w ogień.

- Edwardzie, muszę...

Nie było mi dane dokończyć tego zdania. Mój ulochany znalazł się przy mnie tak szybko, jakby to, że stał przy kominku, było jedynie złudzeniem. Zdążyłam tylko zauważyć jego zawziętą minę, u później jego wargi spięły się moimi, a umięśnione ramiona zacisnęły się wokół mnie z siłą stalowych dźwigarów.

Przez resztę nocy miałam na głowie inne rzeczy niż rozmyślanie o swoich problemach. Nie zabrało mi wiele czasu zrozumienie tego, co Edwardem kierowało, a jeszcze mniej potrzebo wałam, by poczuć się dokładnie tak samo.

Zakładalam wcześniej, że będą musiały minąć lata, zanim zdołam zapanować nieco nad swoim po ządaniem. I że potem przez stulecia będę mogła czerpać z niego przyjemność. Więc skoro pozostał mi i Edwardowi zaledwie miesiąc razem... Cóż, w takich okolicznościach nie mogłam się powstrzymać przed byciem egoistką. Jak miałabym z tego, co było między nami, dobrowolnie zrezygnować? O nie, chciałam mu w nadchodzących dniach okazać jak najwięcej miłości.

Ciężko mi było oderwać się od niego nawet wtedy, kiedy wzeszło już słońce, ale mieliśmy przed sobą ważne zadanie do wykonania - zadanie, które być może było trudniejsze od wszystkich misji naszych bliskich razem wziętych. Gdy tylko przypomniałam sobie, co nas czeka, zamieniłam się w lękbernerwów - miałam wrażenie, że coś je rozciąga, przez co stają się coraz cieńsze.

- Żeby m tylko wiedział, jak wy dobyć od Eleazara potrzebne nam informacje, zanim powiemy mu o Nessie - westchnął Edward, gdy ubieraliśmy się pospiesznie w naszej przestronnej garderobie, która boleśnie przypominała mi o Alice. - Tak na wszelką wypadek

- Nie rozumiałby wtedy twojego pytania, więc i nie mógłby ci na nie odpowiedzieć - stwierdziłam. - Jak sadzisz, pozwól nam w ogóle cokolwiek wyjaśnić?

- Nie wiem.

Wzięłam śpiączkę jeszcze Renesmee i zanurzyłam nos w jej łokach. Z tak bliskiej odległości jej słodki zapach tłumil wszystkie inne.

Wiedziałam, że nie mogę sobie dziś pozwolić na zmarnowanie choćby sekundy. Musiałam wyjaśnić droczęcej mnie kwestie, a nie byłam pewna, ile czasu uda mi się spędzić z Edwardem sam na sam. Miałam nadzieję, że jeśli konfrontacja z Denalczykami przebiegnie po naszej myśli, będziemy mieć na dłuższy czas zapewnione towarzystwo.

Otworzył drzwi i przytrzymał je dla mnie.

- Edwardzie, nauczysz mnie walczyć? - spytałam, denerwując się, jak zareaguje.

Postąpił tak jak się tego spodziewałam. Najpierw zamarł, a potem omiótł mnie paraliżującym siłą spojrzeniem, jak gdyby widział mnie po raz pierwszy lub po raz ostatni w życiu. Jego oczy zatrzymały się na dłużej na naszej córeczce.

- Obawiam się, że żadne z nas nie będzie miało w starciu z nimi i najmniej szych szans.

- Chciesz, żeby m była zupełnie bezbronna? - spytałam, opanowując drżenie w swoim głosie.

Przełknął ślinę. Tak mocno zacisnął palce na drzwiach, że zadrżały, a ich zawiasy zakrzypiały w proteście. Skinął głową.

- Skoro tak to odbierasz... Myślę, że musimy jak najszybciej zabrać się do pracy.

Ruszyliśmy w stronę białego domu, ale powoli. Nie spieszyło nam się.

Zastanowiłam się, co mogłabym zrobić na polu bitwy, by mimo wszystko spróbować zwiększyć prawdopodobieństwo naszej wygranej. Poniekąd byłam na swój sposób wyjątkowa - jeśli posiadanie nieprzepuszczalnej czaszki można było uznać za coś wyjątkowego. Czy mogłam tę swoją cechę jakoś wykorzystać?

- Co najbardziej, twoim zdaniem, przy czynia się do tego, że mają nad nami aż tak dużą przewagę? A może znasz jakieś ich słabe strony?

Edward nie musiał się upewniać, czy chodzi mi o Volturi.

- W ofensywie ich najważniejszymi graczami są Alec i Jane - odparł beznamytnym głosem, jak gdybyśmy rozmawiali nie swoich śmiertelnych wrogach, tylko o drużynie baseballowej. - Ci od obrony nie mają zwykłe wiele do roboty.

- Jane, bo potrafi torturować na odległość - a przy najmniej torturować twój umysł. Ale co potrafi Alec? Czy nie mówiłeś mi kiedyś, że jest jeszcze groźniejszy niż Jane?

- To prawda. Można by powiedzieć, że jest antidotum na Jane. Ona sprawia, że czuje się niewyobrażalny ból, a Alec, wręcz przeciwnie, że nic się nie czaje. Nic a nic. Czasami, gdy Volturi są w dobrym humorze, nakazują mu zniezcilić swoją ofiarę przed egzekucją. Jeśli się poddała albo jakoś im się przy podobała.

- Znieczulić? A dlaczego to ma być gorsze od tego, co robi Jane?

- Bo kiedy cię znieczula, wyłącza wszystkie twoje zmysły, nie tylko dotyk. Nie czujesz bólu, ale też nie widzisz, nic nie słyszysz, nie rozpoznajesz zapachów. Nagle jesteś zupełnie sam w nieprzeniknionych ciemnościach. Tylko ty i twoje myśli. Nawet nie wiesz, że już ploniesz.

Wzdrygnęłam się. Czy skoro Volturi wydali na mnie wyrok, nie mogłam już liczyć na nic więcej prócz tego, że kiedy przyjdzie po mnie śmierć, nie będę zdawać sobie z tego sprawy?

- Ale umiejętności Aleca na tym się nie kończą - ciągnął Edward tym samym wypranym z emocji tonem. - Gdyby tak było, byłby jedynie równie niebezpieczny, jak Jane. Oboje mogą uczyć cię bezwolnym. Istnieje jednak między nimi pewna istotna różnica, ta sama, co pomiędzy Aro a mną. Aro potrafi czytać w myślach tylko jednej osobie naraz. Jane potrafi torturować tylko tego, na kogo patrzy. Ja słyszę wszystkich dookoła jednocześnie.

Zmroziło mnie, kiedy zrozumiałam, do czego zmierzał.

- A Alec mógłby umieszkodliwić za jednym zamachem nas wszystkich? - wyszeptalam.

- Tak. Jeśli wykorzystają przeciwko nam swoje zdolności, będziemy stali ślepi i głusi, czekając na swoją kolej. A może po pro stu nas spalą, nie rozrywając nas wcześniej pojedynczo na strzępy? Oczywiście moglibyśmy spróbować stawić im opór, tak czy siak, ale pewnie raczej zrobilibyśmy krzywdę sobie nawzajem niż komukolwiek z nich.

Przez kilka sekund sziłmym w milczeniu. Przy szedł mi do głowy pewien pomysł - nie za wiele sobie po nim obiecy wałam, ale zawsze był lepszy niż nic.

- Jak myślisz, czy Alec jest sprawnym żołnierzem? To znaczy, pomijając ten jego potworny dar. Gdyby został zaatakowany, ale nie mógł go użyć. Ciekawa jestem, czy kiedykolwiek znalazł się w takiej sytuacji...

Edward zerknął na mnie zaintrygowany.

- Do czego zmierzasz?

Patrzyłam prosto przed siebie.

- Hm... Pewnie jestem na niego odporna, prawda? Skoro to, co robi, jest takie podobne do tego, co robisz ty i Jane, i Aro. Może... jeśli nigdy nie musiał się przed nikim bronić... gdy b m nauczyła się kilku sztuczek...

- Jest z Volturi od wieków - wszedł mi w słowo Edward, wpadając zniemacka w panikę. Podejrzy wałam, że przed oczami ma tę dumą wizję co ja: całą swoją rodzinę skołowaną i bezbronną - z jednym wyjątkiem. Tylko ja miałam pozostać dość przytomną, by móc walczyć. - Tak, bez wątpienia jesteś odporna na jego moc, ale Bello, nie zmienia to faktu, że nadal jesteś nowo narodzonym wampirem. Nie uda mi się zmienić cię w kilka tygodni w maszynę do zabijania. A Alec z pewnością coś tam umie.

- Może tak, a może nie. Nie chcę, żeby moja wyjątkowość poszła na marne. Może wystarczy, że choć na moment odciągnę od was jego uwagę? Może zyskacie wtedy dość czasu, żeby móc się nim zająć?

- Błagam, Bello - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Zostawmy już ten temat.

- To całkiem sensowne.

- Postaram się przekazać ci tyle wiedzy, ile to tylko będzie możliwe, ale proszę, nie każ mi zastanawiać się nad tym, czy nie posłużyć się tobą jako czymś w rodzaju zywej tarczy.

Był taki poruszony, że ledwo dokończył to zdanie. Skinęłam głową.

W takim razie miałam zachować swoje plany dla siebie. Najpierw Alec, a potem, jeśli jakimś cudem miałam go pokonać, Jane. Skoro to właśnie na nich dwojgu opierała się przewaga Volturi... Może wtedy mielibyśmy jakieś szanse. Dałam porwać się marzeniom. Co, jeśli miało mi się udać dostatecznie ich rozproszyć albo nawet zlikwidować? Tak szczerze, nie wierzyłam, by kóreś z nich kiedykolwiek uczyło się walczyć. Bo i w jakim celu? Mała Jane była zbyt zarozumiała, by zmizć się do czegoś takiego.

Ile byśmy zyskali, gdyby m zdołała ich zabić!

- Muszę się wszystkiego nauczyć. Ile tylko uda ci się przekazać mi w ten miesiąc.

Udał, że mnie nie usłyszał.

To kto mógłby być następny? Czemu nie, mogłam już sobie wszystko zaplanować. Gdyby m jednak wysła cało z pojedynku z Alekiem, z gotowym planem w głowie nie straciłabym kilku cennych sekund, na wybieranie nowej ofiary. Spróbowałam się zastanowić, w jakich jeszcze innych sytuacjach mogłabym wykorzystać swoją grubą czaszkę jako sekretną broń. Cóż, nie w starciu z takimi osilkami jak Feliks - jego i jemu podobnych musiałam zostawić Emmettowi. A pozostali? Nie za bardzo wiedziałam, jakie mają zdolności. Oczywiście, oprócz Demetriego. A gdyby tak to jego zaatakować?

Niczym się przed Edwardem nie zdradzając, przeanalizowałam i tę opcję. Demetri... Bez dwóch zdań był dobrym wojownikiem inaczej nie przeżyłby tak długo. Wysyłano go przecież na wszystkie najniebezpieczniejsze misje. Nie mogły się obyć bez tropiciela. A tropicielem był jedynym w swoim rodzaju, z pewnością najlepszym na świecie. Co do tego nie miałam najmniejszych wątpliwości, bo gdyby tak nie było, wymieniono by go na kogoś innego Aro dobierał sobie współpracowników wyjątkowo starannie.

Gdybyśmy zabili Demetriego, moglibyśmy Volturi uciec. A przy najmniej ci z nas, którzy ocaliliby z rzezi. Moja mała córeczka, taka ciepła w moich ramionach... Ktoś mógłby uciec razem z nią. Jacob albo Rosalie, zależnie od tego, które by się uratowało.

Gdybyśmy zabili Demetriego, Alice i Jasperowi nic by już nie groziło. Czy właśnie to było celem Alice? By nasz ród nie wygasł? By przetrwało choć dwóch członków naszej rodziny?

Czy mogłam mieć jej za złe to, że tak to sobie obmyśliła? Jeśli tak to sobie obmyśliła...

- Demetri... - zaczęłam.

- Demetri jest mój - uciął Edward.

Spojrzałam na niego i zobaczyłam, że w jego oczach ploniec gniew.

- Dlaczego? - wyszeptalam.

Nie odpowiedział mi od razu. Kiedy wreszcie się odezwał, byłimy już przy rzece.

- Chcę to zrobić dla Alice. Tylko tak mogę jej teraz podziękować za te ostatnie pięćdziesiąt lat.

A więc rozumowała tak jak ja.

Moich uszu doszedł odgłos wydawany przez ciężkie lapy Jacoba w zetknięciu z zamarznąłą ziemią. Kilka sekund później truchtał już przy moim boku, nie odrywając swoich ciemnych ślepi od Renesmee. Skinęłam m głową na powitanie, po czym powróciłam do swoich pytań. Pozostało nam tak niewiele czasu.

- Edwardzie, jak sadzisz, dlaczego Alice ka zała nam w sprawie Volturi poradzić się Eleazara? Był może niedawno we Włoszech czy coś w tym rodzaju? Co takiego może wiedzieć, czego sami nie wiemy?

- Eleazar jest prawdziwym ekspertem od Volturi. Wypadło mi z głowy, że ci o tym nie wspominaliśmy. Był kiedyś jednym z nich.

Syknęłam odruchowo. Jacob cicho warknął.

- Co takiego?!

Usiłowałam wyobrazić sobie pięknego, ciemnowłosego mężczyznę, którego poznałam na naszym weselu, ubranego w powłóczystą, ciemnoszarą pelerynę.

Edward rozluźnił się nieco - na jego twarzy zamajaczył uśmiech.

- Eleazar jest bardzo wrażliwą osobą. Nie był do końca szczęśliwy w Volterze, ale szanował nasze prawa i rozumiał, że ktoś musi stać na ich straży. Uważał, że pracując wśród Volturi, robi coś dla dobra ogółu. Nie żałuje czasu, jaki z nimi spędził. Wszystko się jednak zmieniło, kiedy na jego drodze stanęła Carmen. Dopiero teraz się poczuł się spełniony. Wyznają podobne wartości, uboje mają w sobie bardzo dużo współczucia wobec wampirów. - Znowu się uśmiechnął. - Kiedy spotkali Tanyę i jej siostry, uznali, że odnalazli swoje miejsce. Styl życia naszych przyjaciółek z Alaski idealnie im odpowiadał. Podejrzewam, że prędzej czy później sami też doszliby do tego, jak przetrwać bez potrzeby zaspokajania swojego pragnienia ludzką krwią.

Jak dla mnie, te dwie wizje absolutnie się z sobą kłóciły. Nie potrafiłam ich z sobą pogodzić. Żołnierz Volturi pelen współczucia?

Edward zerknął na Jacoba i odpowiedział na wyłapanie z jego myśli pytanie.

- Nie, nigdy nie był jednym z ich wojowników w pełnym znaczeniu tego słowa. Trafił do ich grona ze względu na swój dar.

Następnie nieme pytanie mojego przyjaciela nasunęłoby się każdemu.

- Eleazar wy czuwał instynktownie, jakie dary posiadają inni - jakie niezwykle dodatkowe umiejętności mają napotykanne przez niego wampiry. Mógł informować Aro o tym, do czego kto jest zdolny - wystarczyło, że zbliżył się do tego kogoś na odpowiednią odległość. Było to bardzo przydatne przy planowaniu strategii bitwy. Mógł ostrzec Volturi, który z przeciwników był w stanie stawić im opór. Nie wygrać z nimi, tylko właśnie stawić im opór, bo rzadko się zdarza, by kokolwiek potrafił choćby utrudnić żołnierzowi Volturi na moment wykonanie jego zadania. Częściej więc jego ostrzeżenia były raczej wskazówkami dla Aro, który miał wówczas szansę podjąć decyzję o darowaniu komuś życia i zaproponowaniu danej osobie dołączenia do swojej świty. Dar Eleazara sprawdza się także do pewnego stopnia przy śmiertelnicach, ale praca z nimi wymaga od naszego znajomego ogromnego skupienia, ponieważ utajony jeszcze talent wykryć jest dużo trudniej. Aro testował przy pomocy Eleazara ludzi pragnących wstąpić w szeregi Volturi, żeby sprawdzić, jak duży mieli potencjał. Bardzo żałował, że traci tak cennego podwładnego.

- I pozwolili mu odejść? - spytałam. - Tak po prostu?

Edward wykrzywił nieco usta, przez co jego uśmiech stał się drapieżniejszy.

- Wiem, że masz Volturi za bandę zwyrodniałców, ale pamiętaj, że jesteś w swoim myśleniu odosobniona. Instytucja straży to fundament naszej cywilizacji, zawdzięczamy jej pokój. Bycie jej członkiem to dla wampira zaszczyt, a każdy z żołnierzy zgłosił się do służby dobrowolnie. Są dumni z tego, co robią, i nikt ich do niczego nie zmusza.

Nastrożyłam brwi i wbiłam wzrok w ziemię.

- Bello, oskarżenia pod ich adresem wysuwają wyłącznie kryminaliści.

- My nie jesteśmy kryminalistami.

Jacob przytaknął mi z głośnym sapnięciem.

- Ale Volturi tego nie wiedzą.

- Naprawdę wierzysz w to, że uda nam się ich zatrzymać i zmusić do tego, by nas wysłuchali?

Edward zahałał się na ułamek sekundy, a potem wzruszył ramionami.

- Jeśli namówimy dostatecznie wielu naszych znajomych, żeby się za nami wstawili.

Jeśli.

Poczułam nagle ze zdwojoną siłą, jak ważną misję mieliśmy do wypełnienia tego dnia. Oboje z Edwardem równocześnie ruszyliśmy pędem w stronę domu. Jacob szybko nas dogonił.

- Tanya powinna być tu już lada chwila - zauważył Edward. - Musimy się przygotować.

Tylko w jaki sposób mieliśmy się przygotować? Rozplanowaliśmy wszystko, ale zaraz porzuciliśmy te plany i zaczęliśmy od początku. Jeden raz, drugi, trzeci. Dyskusje nad każdym szczegółem nie miały końca. Czy mieliśmy im pokazać Renesmee od razu, czy też gdzieś ją schować? Czy Jacob miał zostać w środku czy kręcić się po dworze? Poprosił swoją sforę, żeby się nie oddalała, ale i nie rzucała w oczy. Czy sam powinien był postąpić tak samo?

W końcu moja córeczka, ja i Jacob (z powrotem w swojej ludzkiej postaci) zasiadliśmy za wielkim lśniącym stołem w jadalni, która to znajdowała się w pobliżu frontowych drzwi, ale za rogiem, więc nie była od progu widoczna. Jacob pozwolił mi trzymać Renesmee, bo chciała móc w razie potrzeby szybko zmienić się w wilka.

Choć cieszyłam się, że mogę tulić małą do siebie, czułam się przez to bezużyteczna. Nie pozwalało mi to zapomnieć, że jako nowo narodzony wampir i tak nie przydam się do niczego w walce, więc nie muszę mieć nawet wolnych rąk.

Sięgnęłam pamięcią wstecz do dnia naszego ślubu, próbując przypomnieć sobie, jakie Denalezy cy zrobili na mnie wrażenie. W moich niewyraźnych ludzkich wspomnieniach ich twarze kryły się w cieniu. Pamiętałam tylko, że wszyscy byli piękni, Tanya i Kate miały jasne włosy, a Eleazar i Carmen ciemne. Ale czy w ich oczach doszukiwałam się choć odrobiny serdeczności?

Edward oparł się niezauważalnie m ruchem o szybę wielkiego okna w salonie. Spoglądał w kierunku drzwi, ale nie wyglądało na to, żeby je widział.

Nasłuchiwaaliśmy, jak pobliską szosą przemyskają samochody. Żaden z nich nie zwałniał.

Renesmee wtuliła główkę w moją szyję, a rączkę przyłożyła mi do policzka, ale w mojej głowie nie się nie pojawiło. Nie było takich obrazów, którymi mogłabym wyrazić to, co teraz czuła.

- Co jeśli mnie nie polubią? - szepnęła.

Spojrzeliśmy na nią wszyscy.

- Oczywiście, że cię po... - zaczął Jacob, ale nakazałam mu wzrokiem zamilknąć. Nie chciałam jej oszukiwać, przyrzekając coś, co nie było wecale takie pewne.

- Nie wiadomo, jak to będzie, kochanie - powiedziałam jej szczerze. - Nigdy jeszcze nie spotkali kogoś takiego jak ty. Cały problem w tym, żeby zrozumieć, kim jesteś i cię zaakceptowali.

Westchnąwszy ciężko, wyświetliła mi wszystkie znane sobie osoby po kole: wampiry, ludzi, wilkolaki... Sama nie pasowała do żadnej z tych kategorii.

- Tak, jesteś wyjątkowa. Ale nie ma w tym nic złego. Polęciła przecząco główką. Była innego zdania.

- To moja wina - oświadczyła smutno, myśląc o naszych straconych twarzach.

- Wecale nie! - zaprotestowaliśmy w trójkę, ale nie dane nam było wyjaśnić jej dlaczego, bo naszych uszu doszedł dźwięk, na który wszyscy czekaliśmy: jedno z aut jadących szosą zmniejszyło prędkość, a jego opony zjechały z asfaltu na piasek.

Edward rzucił się do drzwi, by być gotowym je otworzyć. Renesmee schowała się w moich włosach. Jacob i ja popatrzyliśmy na siebie ponad stołem. W jego brązowych oczach malowała się desperacja.

Samochód jechał przez las bardzo szybko, szybciej niż Charlie czy Sue. Po chwili pojawił się na polanie i zaparkował przed werandą. Usłyszelśmy, jak otwierają się i zatrzasną dwie pary drzwiczek. Wchodząc po stopniach, żaden z gości się nie odezwał. Edward otworzył przed nimi drzwi, zanim zdążyli zapukać.

- Edward! - wykrzyknęła radośnie któraś z kobiet.

- Witaj, Tanyo. Kate, Eleazarze, Carmen. Miło was widzieć.

Wymienili uprzejmości.

- Carlisle oznajmił nam, że musi z nami jak najprędzej porozmawiać - powiedziała Tanya. Rozpoznawałam już jej głos.

Stali wciąż na progu. Nie widziałam ich, mogłam więc sobie tylko wyobrazić, że Edward rozmysłem nie pozwała im jeszcze wejść.

- O co chodzi? - ciągnęła Tanya. - Czyżbyście mieli jakieś kłopoty z wilkolakami?

Jacob wzniosł oczy ku niebu.

- Nie - odparł Edward. - Nasze stosunki z wilkolakami są lepsze niż kiedykolwiek.

Jedna z wampirycz zachichotała.

- Nie zaprosisz nas do środka? - zdziwiła się Tanya a i nie czekając na jego odpowiedź, dodała: - Gdzie jest Carlisle?

- Musiał pilnie wyjechać.

Na moment zapadła cisza.

- Edwardzie, co się dzieje?

- Proszę was, uzbrojcie się w cierpliwość i nie wysuwajcie pochopnych wniosków. Mam wam do wytłumaczenia coś niezwykle trudnego, a żeby mnie zrozumieć musicie pozbyć się najpierw wszelkich uprzedzeń. Czy możecie to dla mnie zrobić?

- Czy Carlisle dobrze się czuje? - spytał zaniepokojony męski głos Eleazar.

- Obawiam się, że żadne z nas nie czuje się teraz dobrze - stwierdził Edward, a potem coś podlepał, pewnie ramię Eleazara. - Ale fizycznie Carlisle'owi nic nie dolega.

- Ale fizycznie nie? - Tanyę rozdrażniły te zagadki. - To co masz na myśli?

- Mam na myśli to, że całej mojej rodzinie grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Ale zanim wyjaśnię wam, na czym ono polega, chciałbym użyć od was pewną obietnicę. Zanim w jakikolwiek sposób zareagujecie na to, co mam wam do powiedzenia, błagam, wysłuchajcie mnie do końca.

Tym razem zamilkli na dłużej niż wcześniej. Atmosfera robiła się napięta. Ja i Jacob nadal wpatrywaliśmy się w siebie w skupieniu i zauważyłam, że pobladły mu wargi.

- Zgoda - odezwała się wreszcie Tanya. - Dajemy słowo, że zanim was oszdzimy, wysłuchamy cię do końca.

- Dziękuję ci - powiedział Edward z uczuciem. - Gdybyśmy mieli wybór, nigdy byśmy czegoś takiego od was nie wymagali.

Odsunął się na bok. Czwórka przybyszów weszła do salonu. Ktoś pociągnął nosem.

- Wiedziałam, że nie obejdzie się bez wilkolaków - mrugnęła Tanya.

- Tak, ale znowu są naszymi sojusznikami.

To „znowu” przypomniało Tanyi, co miała na sumieniu, i słutecznie ją uciszyło.

- Gdzie twoja Bella? - zabrała głos inna wampirzyca. - Jaks się miewa?

- Miewa się dobrze. Dziękuję za pamięć. Wróćcie do nas dołączy. Zobaczycie, że w roli nieśmiertelnej odnalazła się wyjątkowo szybko.

- Edwardzie, powiedz nam coś więcej o tym zagrożeniu - poprosiła cicho Tanya. - Przekonasz się, że też staniemy po waszej stronie, tam, gdzie nasze miejsce.

Edward wziął głęboki wdech.

- Chciałbym, abyście najpierw zdali się na własne zmysły. Proszę, nadstawcie uszu. Co słyszycie? Tam, w pokoju obok?

Zrobiło się cicho, a potem ktoś się poruszył.

- Na razie tylko słuchajcie - upomniął ich Edward.

- Sądzę, że jest tam wilkok - stwierdziła Tanya. - Słyszę bicie jego serca.

- Ktoś jeszcze? - drażył Edward.

Zamysłili się.

- Co tam tak kłocą? - spytała Kate lub Carmen. - Czy to... czy to jakiś ptak?

- Nie, ale odnotujcie sobie w pamięci to, co słyszycie. A teraz zapachy. Co jeszcze czujecie oprócz wilkolaka?

- Macie tam człowieka? - wyszeptał szokowany Eleazar.

- Nie, to nie człowiek - Tanya zmarszczyła czoło. - To nie człowiek, ale... hm... pachnie bardzo podobnie. Co to takiego, Edwardzie? Wydaje mi się, że nigdy jeszcze nie miałam do czynienia z takim zapachem.

- Tak, potwierdzam, że z pewnością nie miałas po temu okazji. Proszę, błagam, zapamiętajcie, że to dla was coś zupełnie nowego. Bądźcie gotowi odrzucić wszelkie skojarzenia, jakie wam się odruchowo nasuną.

- Przyrzekliśmy cię wysłuchać.

- Cóż, w takim razie to już chyba wszystko. Bello, przynieś tu proszę Renesmee!

Moje kończyły wydały mi się dzwinnie odrętwiacie, ale wiedziałam, że to tylko plata mi figle rójce umysł. Przełamawszy opór, podniosłam się powoli z krzesła i zmuszając się do tego, by nie szurać nogami, pokonałam te kilka metrów dzielących mnie od narodziła. Za sobą czułam ciepło bijące od ciała Jacoba - mój przyjaciel towarzyszył mi jakcień.

Dopiero znalazłszy się w zasięgu wzroku naszych gości, przystanąłam sparaliżowana strachem, nie mogąc nagle zrobić ani kroku dalej. Renesmee wzięła głęboki oddech i wyjrzała spod moich włosów, spinając mięśnie swoich drobnych ramionek w oczekiwaniu na gwałtowną reakcję przybły ch.

Sądziłam, że przygotowałam się na wszystko: na krzyki, na oskarżenia, na twarze zamarłe w bezruchu wywołany m przez silny stres.

Tanya odskończyła do tyłu, potrącając jasnymi lokami, jak wędrowiec w głuszy na widok trującego węża. Kate w okamgnieniu dopadła frontowych drzwi i zaparła się plecami o ścianę, a pomiędzy jej zaciśniętych zębów wy dobył się głośny syk. Eleazar zaslonił sobą Carmen, przykucając w pozie drapieżnika.

- Bez przesady - mrugnął Jacob pod nosem.

Edward objął mnie ramieniem.

- Obiecaliście mnie wysłuchać - przypomniał im.

- Wszystko ma swoje granice! - zawołała Tanya. - Jak mogłeś, Edwardzie? Nie znasz naszych praw?

- Wyośmy się stąd - popędziła pozostałych Kate, sięgając do kłami.

- Edward... - Eleazarowi zabrakło słów.

- Zaczęłaćie! - nakazał im Edward bardziej stanowczym tonem. - Przypomnijcie sobie, co słyszećcie, przypomnijcie sobie, jaki zapach czuliście. Renesmee nie jest tym, czym się wam wydaje.

- Od tej zasady nie ma żadnych wyjątków - wycedziła Tanya.

- Tanyo! - zdenerwował się Edward. - Przecież słyszysz bicie jej serca. Zatrzymaj się i zastanów nad tym, co to oznacza.

- Bicie jej serca? - powtórzyła Carmen, wyglądając zza ramienia Eleazara. Widać było, że zaczęła mieć wątpliwości.

Edward spojrzął jej prosto w oczy.

- To nie jest dziecko wampir. Mała jest w połowie człowiekiem.

Denalcyzcy wpatrywali się w niego, jakby przemawiał do nich w nieznanym języku.

- Wysłuchajcie mnie - Edward na powrót przybrał błagalny ton głosu. Jego alsamitemu barytonowi trudno było się oprzeć. - Renesmee jest jedyna w swoim rodzaju. Jestem jej ojcem. Nie stworzyłem - jej biologicznym

ojcem.

Tanya kręciła przecząco głową, ledwie zauważalnie, ale jednak. Chyba nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Edwardzie, chyba się nie spodziewasz, że... - zaczął Eleazar.

- To znajdź inne wytłumaczenie, które pasowałoby do wszystkich faktów - przerwał mu Edward. - Czujesz przecież w powietrzu ciepło bijące od jej ciała. W jej żyłach płynie gorąca krew. Czujesz przecież jej zapach.

- Jak to możliwe? - wyszeptała Kate.

- Bella jest jej biologiczną matką - oznajmił Edward. - Zaszła ze mną w ciąży i urodziła Renesmee, kiedy była jeszcze człowiekiem. Niemalże ją to zabiło. Musiałem walczyć z czasem, żeby zdążyć wstrzyknąć jej do serca odpowiednią dawkę jadu.

- Słyszę o czymś takim po raz pierwszy w” życiu - wyznał Eleazar.

Nie rozluźnił się jeszcze, a jego oczy ziały chłodem.

- Wampiry nie mają raczej w zwyczaju obcować cieleśnie z ludźmi - podkreślił Edward. W jego głosie pobrzmiwała teraz nuta sarkazmu. - A jeszcze rzadziej zdarza się, by ludzie wychodzili z tego żywi. Chyba się ze mną co do tego zgodzicie?

Kate i Tanya spojrzały na niego wilkiem.

- Nie bądź taki uparty, Eleazarze. Na pewno widzisz, że jesteśmy do siebie podobni.

małej.

To Carmen pierwszą to zaintrygowało. Obeszła Eleazara, ignorując go, że ten próbuje delikatnie ją powstrzymać, i zbliżywszy się ostrożnie, stanęła dokładnie naprzeciwko mnie. Pochyliła się nieco, po czym przyjrzała się uważnie

- Oczy masz chyba po mamie - zwróciła się do niej - ale twarz po tacie, prawda?

A potem, jakby nie mogła się powstrzymać, uśmiechnęła się do niej szeroko.

Renesmee odpowiedziała jej najpiękniejszym ze swoich uśmiechów. Nie odrywając wzroku od Carmen, dotknęła mojej twarzy. Wyobrażała sobie, że pokazuje coś po swojemu wampirzycy, ale nie miała pewności, czy może tak

postąpić.

- Czy miałabyś coś przeciwko, gdyby Renesmee sama ci o sobie opowiedziała? - spytała Carmen. Nadal byłam zbyt zestresowana, żeby mówić inaczej niż szeptem. - Ma talent do szybkiego wyjaśniania skomplikowanych spraw.

Wampirzycy ciągle się uśmiechała.

- Umiesz mówić, małańka?

- Umieję - potwierdziła swoim świergotliwym sopranem.

Na dźwięk jej głosu wszyscy goście z wyjątkiem Carmen się wzdygnęli.

- Umieję mówić, ale mogę ci pokazać więcej, niż mogę powiedzieć.

I bez wahania przyłożyła jej swoją tłustą piąstkę do policzka.

Carmen zeszywniała na moment, jakby poraził ją prąd. Eleazar w ułamek sekundy znalazł się tuż za nią i położył jej ręce na ramionach, jakby chciał ją odepchnąć na bok.

- Czekaj - poprosiła go, nie spuszczać oczu z małej. Nawet już nie mrugała.

Pokaz Renesmee straszliwie mi się dłużył. Zazdrościłam przyglądającemu się Carmen Edwardowi, że słyszał, co kto myśli. Za moimi plecami Jacob przestępował nerwowo z nogi na nogę. Wiedziałam, że marzy o tym samym co ja.

- Co takiego Nessie jej pokazuje? - burknął.

- Wszystko - szepnął Edward.

Minęła kolejna minuta. Wreszcie Renesmee cofnęła rączkę i uśmiechnęła się triumfalnie do oszłomionej Carmen.

- Mój Boże, ona naprawdę jest twoją córką - wykrzusiła wampirzycy, zerkając na Edwarda. - Taki niesamowity dar! Od razu widać, że mała musi mieć równie uzdolnionego ojca.

- Czy wierzysz w to, co ci pokazała? - spytał przejęty Edward.

- Bez zastrzeżeń.

- Carmen! - oburzył się Eleazar. Ujęła jego dłonie i ścisnęła je czule.

- Może brzmi to wysoce nieprawdopodobnie, ale Edward nie kłamie. Jeśli chcesz się o tym przekonać, niech dziewczynka sama ci wszystko pokaże.

Carmen pchnęła Eleazara łokciem w moją stronę.

- Pokaż mu, *mi querida** [mi querida - hiszp. moje kochanie - przyp. tłum.] - poprosiła Renesmee.

Mała, wyraźnie uradowana tym, że Carmen ją zaakceptowała, uśmiechnęła się jeszcze szerzej i musnęła paluszkami czolo Eleazara.

- *Ay caray!* * [ay caray - hiszp. przekleństwo - przyp. tłum.] - wyrwało mu się.

Naty chmiał od niej odskoczyć.

- Co ci zrobiła? - spytała podniesionym głosem Tanya, podchodząc nieco bliżej. Kate także zaczęła się ku nam skradać, zachowując przy tam jaknajwiększą ostrożność.

- Usiłuje ci tylko pokazać całą tę historię ze swojego punktu widzenia - powiedziała Carmen swojemu ukochanemu, próbując rozproszyć jego obawy.

Renesmee ściągnęła niecierpliwie brewki.

- Nie uciekaj, tylko obejrzyj do końca - rozkazała Eleazarowi. Wyciągnęła rączkę, żeby opuszczyć jej palców dzieliło od jego twarzy tylko kilka centymetrów, ale nie przytknęła mu ich do czola, tylko zaczęła, aż sam się na to zdecydował.

Eleazar przyjrzał jej się podejrzliwie, zerknął pytająco na Carmen. Pokiwała z entuzjazmem głową. Denalcyzki wzięły głęboki wdech i pochylił się ku Renesmee.

Zadrżał, kiedy zobaczył pierwszą wizję, ale tym razem się nie odsunął. Dla lepszej koncentracji zamknął tylko oczy.

- Ach - westchnął, otwierając je kilka minut później. - Teraz wszystko rozumiem.

Renesmee uśmiechnęła się do niego. Zawahał się, ale nie miało odpowiedział jej tym samym.

- Eleazarze? - Tanya domagała się wyjaśnień.

- To prawda. Mała nie jest nieśmiertelnym dzieckiem, tylko w połowie człowiekiem. Chodź, to sama się przekonasz.

W milczeniu Tanya zajęła niepewnie jego miejsce, a potem ustąpiła je Kate. Obie siostry przeżyły wstrząs, kiedy przed oczami stanął im pierwszy z ciągu obrazów, ale po skończonej sesji, podobnie jak Carmen i Eleazar, nie potrzebowały już żadnych dodatkowych argumentów.

Spojrzałam kątem oka na Edwarda, nie dowierając, że naprawdę mieliśmy tu już z głowy. Wyglądał na usatysfakcjonowanego. Za zachowaniem Denalcyzków nie krył się żaden podstęp.

- Dziękuję, że mnie wysłuchaliście - powiedział cicho.

- Ale co z tym śmiertelnym niebezpieczeństwem, które wam grozi? - przypomniała Tanya. - Rozumiem już, że nie jest nim ta mała, więc o co chodzi? To Volturi, prawda? Jak się dowiedzieli o jej istnieniu? Kiedy mają się tu pojawić?

Nie zaskoczyło mnie to, że tak szybko odgadła, co jest grane. Cóż innego mogło stanowić zagrożenie dla tak silnej rodziny jak nasza, jeśli nie Volturi?

- Renesmee była z Bella w górach tamtego dnia, kiedy Bella widziała Irinę - wyjął Edward.

Kate syknęła i zmrzyła oczy.

- To Irina na was doniosła? Na Carlisle'a? Irina?

- Nie - wyszeptała Tanya. - To jakaś pomyłka...

- Alice zobaczyła to w jednej ze swoich wizji.

Ciekawa byłam, czy dostrzegli, że Edward skrzywił się odrobinę w mawiając jej imię.

- Jak mogła zrobić coś takiego? - wykrzyknął Eleazar w rozpacz.

- Wyobraźcie sobie, że widzieliście Renesmee tylko z daleka. I że nie zaczęłaście na nasze wyjaśnienia.

Tanya skrzywiła się ze wstrętem.

- Mniejsza o to, co sobie pomyślała... Jesteście naszą rodziną.

- Irina dokonała wyboru. W żaden sposób nie możemy temu zaradzić. Już za późno. Alice dała nam miesiąc.

Cała czwórka się zaszepiła.

- Tak długo? - zdziwił się Eleazar.

- Chcą przyjechać tu wszyscy. Zapewne wymaga to większych przygotowań.

- Cała straż? - jęknął Eleazar.

- Nie tylko straż - wycedził Edward. - Aro, Kajusz, Marek. Zabiorą ze sobą nawet zony.

Nasi goście zamarli z wrażeń.

- To niemożliwe - wyjął Eleazar.

- Dwa dni temu też tak uważałem - przypomniał Edward.

W Eleazarze zaczął zbierać gniew. Kiedy ponownie się odezwał, prawie że warczał:

- Ależ to nie ma najmniejszego sensu. Po co mieliby narażać siebie i zony na niebezpieczeństwo?

- Zgadza się, gdy tak na to spojrzeć, nie ma to sensu. Ale według Alice, to chodzi o coś więcej, niż tylko ukaranie nas za to, czego ich zdaniem się dopuściliśmy. Alice twierdzi, że to ty masz największe szanse rozwiązać tę zagadkę.

- O coś więcej, niż ukaranie was? Ale co by to miało niby być?

Eleazar zaczął przemierzać nerwowo przestrzeń pomiędzy nami a drzwiami ze wrokiem wbitym w podłogę.

- Gdzie reszta, Edwardzie? - spytała Tanya. - Carlisle i Alice, i pozostali?

Zawahał się, ale na tak krótko, że chyba tego nie zauważyli. Nie udzielił pełnej odpowiedzi.

- Szukają przyjaciół i znajomych, którzy mogliby nam pomóc.

Tanya rozłożyła ręce.

- Edwardzie, niezależnie od tego, ilu sprzymierzeńców zgromadzicie, i tak nie wygracie. Możemy jedynie zginąć razem z wami. Na pewno jesteście tego świadomi. Oczywiście nasza czwórka zasługuje pewnie na ten los po tym, co zrobiła wam Irina, po tym, jak zawiedliśmy was w przeszłości - wtedy także z jej powodu.

Edward pokręcił przecząco głową.

- Nie prosimy was o to, żebyście z nami walczyli i z nami zginęli. Wiesz, że Carlisle nigdy by was o coś takiego nie poprosił.

- Więc jakie są wasze plany?

- Szukamy po prostu świadków. Jeśli tylko uda nam się zatrzymać Volturi, choćby na chwilę... Jeśli tylko dadzą nam dojść do głosu... - Dotknął policzka Renesmee. Złapała go za rękę i ją przytrzymała. - Trudno wątpić w naszą historię, kiedy już zobaczy się ją jak film.

Tanya pokiwiała wolno głową.

- Sądziś, że jej przeszłość będzie ich aż tak bardzo interesować?

- Tak ponieważ pokazuje, jaka jest i jaka będzie w przyszłości. Tworzenia nieśmiertelnych dzieci zakazano tylko dlatego, że gdyby po ziemi chodziło więcej takich nieposkromionych istot, ryzykowalibyśmy, że przez ich ekscesy ludzie dowiedzą się o naszym istnieniu.

- A ja jestem grzeczna - wtrąciła Renesmee. Wsluchałam się w jej dźwięczny głosik, zastanawiając się, jakie odczucia wywołałby u nowych przybyszy. - Nigdy nie gryzę ani dziadka, ani Sue, ani Billy'ego. Kocham ludzi. I ludzi - wilków, takich jak mój Jacob.

Puściła Edwarda, by móc wykręcić się do tyłu i poklepać czule swojego opiekuna. Tanya i Kate spojrzęły po sobie.

- Ach - westchnął Edward. - Gdyby tylko Irina złożyła nam wizytę nieco później, nasze losy mogłyby się potoczyć zupełnie inaczej. Renesmee rośnie w nienaturalnie szybkim tempie. Nim dobiegnie końca ten miesiąc, który nam pozostał, zdąży się zmienić tak, jakby minęło pół roku.

- Cóż, to z pewnością możemy poświadczyć - stwierdziła Carmen. - Będziemy mogli przysiąc, że widzieliśmy, jak rośnie, na własne oczy. Jak Volturi mogliby zignorować takie dowody?

- Jak w samej rzeczy - mruknął Eleazar, ale nadal chodził w tę i z powrotem i nie podniósł głowy, jakby zupełnie nie zwracał na nas uwagi.

- Tak - zgodziła się Carmen Tanya - możemy wystąpić jako świadkowie. Tyle to możemy na pewno. I pomyślimy jeszcze, jak inaczej moglibyśmy wam pomóc.

- Tanya - zaprotestował Edward, wyłapując z jej myśli to, czego nie wypowiedziała na głos. - Naprawdę, nie musicie z nami walczyć.

- Jeśli Volturi nie zatrzymają się, żeby wysłuchać waszych świadków, mamy po prostu odsunąć się na bok i spokojnie się wszystkim przyglądać? Oczywiście mogę się wypowiadać wyłącznie za siebie...

Kate prychnęła.

- Tak bardzo we mnie wątpisz, sestro?

Tanya uśmiechnęła się szeroko.

- Jakby nie było, to misja samobójcza.

Kate też się uśmiechnęła i z nonszalancją wzruszyła ramionami.

- Ja tam w to wchodzę.

- Ja też - włączyła się Carmen. - Zrobię co w mojej mocy, żeby chronić tę małą. - Najwyraźniej nie mogąc oprzeć się jej urokowi, wyciągnęła ku niej rękę. - Czy mogę cię trochę potrzymać, *bebe linda** [*bebe linda* - hiszp. słiczne maleństwo - przyp. tłum.]

Renesmee, zachwycona nową przyjaciółką, wyprężyła się w jej kierunku. Podałam ją Carmen. Przytulila ją mocno do siebie, szepcząc do niej coś po hiszpańsku.

Tak samo było z Charliem, a wcześniej z wszystkimi Cullenami. Moja córeczka potrafiła podbić serce każdego. Co było w niej takiego, że ludzie z miejsca się w niej zakochiwali? Ba, że wystarczyło znać ją parę minut, by być gotowym oddać za nią życie!

Przez moment wydawało mi się, że może plan, który staraliśmy się zrealizować, ma szansę się powieść. Że Renesmee zjedna sobie naszych wrogów tak samo łatwo, jak zjednywała sobie naszych przyjaciół.

Ale potem przy pominięciu mi się, że przecież opuściła nas Alice, i nadzieja zgasła we mnie tak szybko, jak się pojawiła.

- Jaką rolę mają odegrać w tym wilkółaki? - spytała Tanya, mierząc Jacoba wzrokiem.

Odpowiedział jej, zanim zdążył to zrobić Edward.

- Jeśli Volturi nie zechcą się zatrzymać, żeby poznać prawdę o Nessie, to znaczy o Renesmee - poprawił się, uznawszy sobie, że Tanya może nie zrozumieć tego durnego zdrobnienia - wtedy wrocławimy do akcji i sami ich zatrzymamy.

- Brzmii to imponująco, chłopcze, ale taka sztuka nie udało się nawet o wiele bardziej doświadczonym w walce wojownikom niż wy.

- Nie wiesz, do czego jesteśmy zdolni.

Tanya machnęła lekceważąco ręką.

- To wasze życie. Róbcie z nim, co chcecie.

Jacob zerknął na Renesmee - nadal tuliła ją do siebie Carmen, a Kate pochyliła się nad nimi rozczulona - i nie trudno było się dopatrzeć w jego oczach tęsknoty.

- Nie ma co - powiedziała Tanya - ta mała jest wyjątkowa. Nie sposób jej się oprzeć.

- Bardzo utalentowana rodzina - mruknął Eleazar, nie przestając się nerwowo przechadzać. Przemieszczał się coraz szybciej, więc ledwie był przy tym widoczny. Pokonanie odcinka od Carmen do drzwi i z powrotem zabierało mu góra sekundy. - Ojciec czytający innym w myślach, matka - tarcza i jeszcze to niezwykle dziecko, które czaruje wszystkich dookoła. Ciekaw jestem, czy jest jakieś określenie na to, co ta mała potrafi, i czy to jej szczególnie dar, czy coś normalnego u wampirych hybryd. Jeśli coś podobnego można w ogóle uważać za normalne! Pół człowiek pół wampir! Kto by pomyślał!

Edward zdębiał. Wyciągnął rękę przed siebie i złapał Eleazara za ramię dokładnie w tym momencie, w którym ten chciał się odwrócić, by ruszyć znowu ku drzwiom.

- Chwileczkę, Eleazarze. Jak właśnie nazwał swoją żonę? Zaintrygowany Denalzyk nareszcie przy stanął.

- Tarczą. Bella jest tarczą, a przy najmniej takmi się wyjawia. Nie mam pewności, bo cały czas mnie blokuję.

Zagapiłam się na niego, ściągając brwi. Jaką znowu tarczą? Co miał na myśli, mówiąc, że go „blokuję”? W żaden sposób się przed nim nie bronila. Po prostu stałam.

- Tarczą? - powtórzył Edward zaskoczony.

- Edwardzie, nie udawaj, że nie nie wiesz. Skoro ja nie potrafię jej przejrzeć, to ty też tego nie możesz. Nie powiesz mi chyba, że słyszysz teraz jej myśli?

- Nie - wykruszył Edward. - Ale zawsze tak było. Nawet przed jej przemianą.

- Zawsze? - Eleazar zmrugał gwałtownie. - A to ciekawe. Musi mieć ogromny talent, skoro jej dar manifestował się do tego stopnia, jeszcze kiedy była człowiekiem. Nie jestem w stanie nijać się przez tę tarczę prześlizgnąć, by móc powiedzieć o niej coś więcej. A przecież Bella jest jeszcze nieuskolawiona, ma dopiero kilka miesięcy. - Spojrzał na Edwarda niemalże z irytacją. - I w dodatku wszystko wskazuje na to, że nie ma pojęcia, co robi. Jest całkowicie tego nieświadoma. Co za ironia! Zjeździłem dla Aro cały świat w poszukiwaniu podobnych anomalii, a wam nie dość, że się taki rarytas trafia przez przyrądek, to jeszcze nawet nie zdajecie sobie sprawy z tego, z czym macie do czynienia!

Pokręcił głową z niedowierzaniem. Zmarszczył czoło.

- O czym wy mówicie? Jak mogę być jakąś tarczą? Co to w ogóle znaczy?

Słowo to przywodziło mi na myśl jedyne części uzbrojenia średniowiecznego rycerza. Czulałam się idiotycznie.

Eleazar przyjrzał mi się badawczo, przekrzywiając głowę.

- W straż byliśmy chyba zbytnimi formalistami. Tak szczerze, nie da się obiektywnie podzielić talentów na żadne wyraźne kategorie. Każdy jest unikalny. Dokładnie ten sam zestaw umiejętności nigdy nie występuje dwa razy.

Ale ciebie, Bello, akurat łatwo sklasyfikować. Talenty czysto defensywne, takie, które wyłącznie chronią przed czymś swojego posiadacza, nazywa się właśnie tarczami. Czy testowałaś już swoje umiejętności na kimś innym prócz Edwarda? Zablokowałaś kogoś z wyjątkiem jego i mnie?

Chociaż mój nowy mózg pracował niezwykle sprawnie, potrzebowałam kilku sekund, żeby złożyć skłądną odpowiedź.

- To coś działa tylko w niektórych przypadkach - wyznałam. - Można powiedzieć, że... że nik nie ma dostępu do mojego umysłu. Ale Jasper bez problemu manipuluj moim nastrojem, a Alice widzi, co czeka mnie w przyszłości.

- Tarcza czysto mentalna - mruknął do siebie Eleazar. - Ograniczona, ale bardzo skuteczna.

- Nawet Aro nie udało się wychwycić jej myśli - wyjawiał mu Edward. - Chociaż kiedy się spotkali, była jeszcze człowiekiem.

Eleazar otworzył szeroko oczy ze zdumienia.

- I Jane próbowała zadać mi ból, ale nie jej z tego nie wyszło - dodałam. - Edward podejrzewa, że nawet Demetri nie potrafiłby mnie znaleźć i że jestem też odporna na Aleca. Też tak uważasz?

Denalzyk nadal oszolomiony, skinął tylko głową.

- Bella tarczą! - Edward był tym wyraźnie zachwycony. - Nigdy na to tak nie patrzyłem. Jedyń tarczą, jaką kiedykolwiek poznałem, była Renata, ale u niej objawia się to zupełnie inaczej.

Eleazar powoli wychodził z szoku.

- Tak jak mówilem, żaden talent nie manifestuje się w dokładnie taki sam sposób, bo i nie ma dwóch takich osób, które myślałyby dokładnie tak samo.

- Kim jest Renata? - spytałam. - Co takiego robi?

Renesmee również to zainteresowało, więc oderwała się od Carmen, by wychylić się zza Kate.

- Renata to osobisty ochroniarz Aro - wyjaśnił mi Eleazar. - Bardzo praktyczna z tej tarczą i bardzo Volturi.

Pamiętałam swoją audiencję u Aro jak przez mgłę. Podczas gdy rozmawialiśmy w slynniej wieży, po sali kręciło się sporo członków jego świty, w tym kilka wampiryc, których twarży nie byłam w stanie sobie jednak przypomnieć. Renata musiała być jedną z nich.

- Ciekawe... - zamyslił się Eleazar. - Musisz wiedzieć, Bello, że Renata, w odróżnieniu od ciebie, udaremnia wszelkie ataki nie mentalne, tylko te przeprowadzane bardziej tradycyjnie - nazwijmy je fizycznymi. Jeśli ktoś zbliża się do niej z wrogimi zamiarami - do niej albo do Aro, bo w momentach zagrożenia zawsze mu towarzyszy - nagle nie wiadomo co odwraca uwagę atakującego. Nagle zaczyna on iść w innym kierunku i zapomina, po co właściwie w tym poprzednim kierunku szedł. Trudno się domyślić, że to właśnie Renata za tym stoi. Potrafi ponadto rozciągnąć swoją tarczę na kilkanaście metrów we wszystkie strony. Może dzięki temu w razie potrzeby chronić też Marka i Kajusza, ale to Aro jest dla niej najważniejszy. Przeciwdziała więc atakom fizycznym, ale jak widac wszystko tak naprawdę rozgrywa się na poziomie mentalnym. Dlatego ciekaw jestem, która z was by wygrała, gdyby próbowała zablokować ciebie. - Pokręcił głową. - Nigdy jeszcze nie słyszałem, żeby ktoś był odporny na dar Aro czy Jane...

- Mam, jesteś wyjątkowa - oznajmiła Renesmee, nie okazując przy tym ani odrobiny zdumienia, jak gdyby komentowała to, w jakich kolorach mam ubranie.

Czulałam się zdezorientowana. Czy z nie poznałam już swojego daru? Czy nie polegał on na tym, że tak świetnie nad sobą panowałam, co pozwoliło mi uniknąć losu nowo narodzonej? Odbarzone paranormalnymi zdolnościami i wampiry były zawsze uzdolnione tylko w jednej konkretnej dziedzinie, prawda?

A może Edward miał jednak rację wtedy na początku? Zanim Carlisle nie przekonał nas, że moja samokontrola nie jest czymś do końca naturalnym, Edward twierdził, że wzięła się stąd, iż wiedziałam, na co się decyduję i co się ze mną stanie. Jak powiedział, był to „efekt staranny ch przy gotowań i odpowiedniego nastawienia”.

W którą wersję miałam wierzyć? A może potrafiłam coś jeszcze? Czy istniało jakieś określenie dla takich jak ja? Osobna kategoria?

- Czy umiesz rozciągać swoją tarczę? - zainteresowała się Kate.

- Rozciągać? - powtórzyłam.

- Zwiększać jej powierzchnię - wyjaśniła. - Chronić nią kogoś koło siebie.

- Nie wiem. Nigdy tego nie próbowałam. Nie wiedziałam, że tak można.

- Och, może wcale nie masz takich zdolności - dodała pospiesznie. - Ja na przykład pracuję nad sobą od stuleci i udaje mi się jedyne utrzymać pod napięciem swoją własną skórę.

Nie zrozumiałam, o co jej chodzi.

- Kate potrafi razić ludzi prądem - wytłumaczył mi Edward, widząc moją zagubioną minę. - Trochę tak jak Jane.

Odruchowo się od niej odsunęłam. Parsknęła śmiechem.

- Nie jestem sadystką - zapewniła mnie. - Traktuję to wyłącznie jako coś, co przydaje się w walce.

Powoli docierała do mnie sens jej słów. To, co powiedziała, zaczynało układać się w logiczną całość. Twierdziła, że mogłabym „chronić kogoś koło siebie”. Jak gdyby potrafiła wsadzić sobie kogoś do swojej dziwnie odpornej głowy!

Przypomniało mi się, jak Edward wił się na kamiennym posadźce w średniowiecznej wieży pałacu Volturi. Chociaż było to moje ludzkie wspomnienie, jako jedno z bardziej bolesnych, odstawało od innych jakością obrazu - jak gdyby wypalono mi je w tankach mózgowych rozżarzoną żelazem.

A jeśli następnym razem bylabym w stanie zapobiec podobnemu atakowi? A jeśli bylabym w stanie ochronić Edwarda? Ochronić Renesmee? A jeśli istniało choćby minimalne prawdopodobieństwo, że mogłabym ich tą swoją tarczą przesłonić?

- Musisz mnie nauczyć, jak to się robi! Musisz mi wszystko pokazać! - wybuchnęłam, chwytając Kate za ramię.

Skrzywiła się bólu.

- Może najpierw przestań mi miażdżyć kość promieniową, dobrze? - zaproponowała.

- Oj, przepraszam!

- Rzeczywiście, blokujesz aż miło - stwierdziła. - Nie powinnaś być ł mój ot tak chwycić. Niczego nie poczułaś?

- To naprawdę nie było konieczne - mruknął Edward po nosem. - Bella nie miała złych zamiarów.

Obie puściłyśmy jego komentarz mimo uszu.

- Nie, nic a nic - odparłam. - A co, zareagowałaś tą swoją sztuczką z prądem?

- Zgadza się - przyznała Kate. - Hm... Nigdy jeszcze nie spotkałam nikogo, na kogo to by nie działało, ani wśród wampirów, ani wśród ludzi.

- Mówiłaś, że to rozszerzyłaś? Na swoją skórę?

- Kiedyś nie umiałam wyjść poza wewnętrzną stronę dłoni. Trochę tak jak Aro.

- Albo Renesmee - zauważył Edward.

- Po latach ćwiczeń potrafię utrzymać pod napięciem całą powierzchnię swojej skóry. To skuteczna broń. Każdy, kto próbuje mnie dotknąć, pada na ziemię, jak śmiertelnik potraktowany paralizatorem. Oszałamia go to tylko na chwilę, ale mi ośobiście to wystarcza.

Gonitwa myśli w mojej głowie sprawiła, że słuchałam Kate coraz mniej uważnie. Czyli jeśli tylko okazałabym się dość pojętną uczennicą, mogłabym chronić swoich bliskich? O niczym tak teraz nie marzyłam, jak o tym, by odkryć w sobie talent do rozciągania swojej tarczy. Skoro, z niewiadomych względów, tyle rzeczy mi się po przemianie udawało, może mogłam liczyć i na to? Trudno mi było jednak w to uwierzyć. Moje ludzkie życie nie przygotowało mnie do bycia wybitnie uzdolnioną. Wydawało mi się, że nawet już zdobyte umiejętności mogę stracić z dnia na dzień.

Jeszcze nigdy niczego tak straszliwie nie pragnęłam, jak tego, by móc ocalić tych, których kochałam.

Byłam tak zajęta tymi spekulacjami, że nie zauważyłam milczącej wymiany zdań pomiędzy Eleazarem a Edwardem, dopóki ta nie przerodziła się w zwykłą rozmowę.

- I nie było, twoim zdaniem, ani jednego wyjątku od tej reguły? - spytał ni stąd ni zowąd Edward.

Podniosłam wzrok, żeby zobaczyć, do kogo kieruje to wyrwane z kontekstu pytanie, i uszy słowiliam sobie, że wszyscy w pokoju już się obu mężczyznom przypatrują. Pochylił się ku sobie w napięciu: Edward nieufnie, Eleazar posmutniał i jakby mający wobec czegoś opory.

- Nie chcę myśleć o nich w ten sposób - wycedził Denalzyk przez zaciśnięte zęby.

Zaskoczyło mnie to, jak raptownie zmieniła się panująca w salonie atmosfera.

- Jeśli się nie mylisz... - zaczął Eleazar.

- To była twoja myśl, nie moja - przerwał mu Edward.

- Jeśli się nie mylę... Nie potrafię nawet objąć myśla, co by to za sobą pociągało. Postawiloby to świat, który stworzyliśmy, na głowie. Odebrałoby mi to sens życia. Zmieniłoby diametralnie mój stosunek do samego siebie.

- Twoje podbuki były zawsze szlachetne.

- Czy to miałoby jakieś znaczenie? W czym ja brałem udział? Tyle istnieć...

Tanya położyła mu dłonie na ramieniu. Bardzo chciała go jakoś pocieszyć.

- Mój drogi przyjacielu, powiesz nam co przegapiłyśmy? Co Edward wyłapał z twoich myśli? Powiedz nam, to zaraz zasypimy cię kontrargumentami. Nigdy nie zrobiłeś niczego, czym mogłbyś się do tego stopnia zadurzać.

- Doprawdy? - mruknął.

A potem strzepnął jej dłonie i znowu zaczął krząć nerwowo po pokoju, jeszcze szybciej niż wcześniej.

Tanya patrzyła na niego przez kilka sekund, po czym skupiła się na Edwardzie.

- W takim razie to ty nam to wytłumacz.

Edward skinął głową. Mówiąc, nie odrywał oczu od Denalczyka.

- Eleazar starał się pojąć, dlaczego ma zjawić się tu, by nas ukarać, aż tyłu Volturi. Nie tak się to zwykle odbywa. Oczywiście nie da się ukryć, że jesteśmy największą grupą dojrzałych wampirów, z jaką przyszłoby im się zmierzyć, ale różne rodziny i oddziały łączyły się już przecież ze sobą w przeszłości, żeby móc lepiej się bronić, i ich liczebność nigdy nie była dla Volturi jakimś szczególnym wyzwaniem. Owszem, łączą nas silniejsze więzy niż tamtych ich przeciwników, ale nie jest to aż tak istotne. Eleazar analizował inne przypadki, w których za to czy tamto karano wiele wampirów naraz, kiedy nagle zauważył pewien powtarzający się schemat. Pozostali członkowie straży nie mogli go dostrzec, bo Eleazar przekazywał wyniki swoich poszukiwań wyłącznie Aro, w cztery oczy. Schemat ten powtarzał się zresztą rzadko, mniej więcej raz na sto lat.

- Co to za schemat? - spytała Carmen.

Podobnie jak Edward, śledził każdy ruch swojego ukochanego.

- Aro nieczęsto brał udział w wyprawach mających na celu czyjąś egzekucję - ciągnął Edward. - Kiedy już wyrażał na to ochotę, w grę wchodziło właśnie zniszczenie jakiejś większej grupy. Rzecz jasna, w samej egzekucji nie brał udziału, tylko się przyglądał. A potem, pod koniec rzezi, miał w zwyczaju uniewinniać jednego z skazanych, twierdząc, że z jego myśli wyczytał budzącą w nim litość skrucę. Zawsze okazywało się później, że ów wampir posiadał jakiś cenny dar, o którym Aro wiedział od Eleazara. Innymi słowy, zawsze tak się tajemniczo składało, że jeśli jakiś odkryty przez Eleazara talent zainteresował Aro, prędzej czy później rodzinę takiego osobnika oskarżano o jakiś odrażający występki. Wszyskich zabijano, jemu jednemu darowywano życie, a on, niezmiernie wdzięczny, przechodził na stronę Volturi. Żaden oferty nie odrzucał.

- Uważali pewnie, że to ogromny zaszczyt być wybranym do straży - zasugerowała Kate. - Musiało im to schlebiać.

- Ha! - zachnął się Eleazar, wciąż chodząc w tę i z powrotem.

Edward odszedł od tematu, żeby wyjaśnić jego reakcję.

- Mają tam taką jedną. Na imię jej Chelsea. Potrafi wpływać na więzi uczuciowe pomiędzy ludźmi - i je wzmacniać, i osłabiać. Gdy Aro kogoś uniewinniał i proponował mu wstąpienie do straży, Chelsea mogła tak manipulować tę osobę, by ta poczuła nagłe, że chce Aro służyć, że chce spędzić z Volturi resztę życia, że chce się im przypodobać...

Eleazar zatrzymał się zniemka.

- Wszyscy docenialiśmy rolę, jaką odgrywała Chelsea. Walcząc przeciwko sprzymierzonym ze sobą siłom, mogliśmy doprowadzać do tego, że sojusznicy odwracali się od siebie, przez co o wiele łatwiej było nam ich pokonać. Przybywając, by ukarać tylko kilkoro członków większej grupy, mogliśmy odseparować winnych od niewinnych i wymierzyć sprawiedliwość bez zbędnych aktów przemocy - winni mogli być ukarani szybko i sprawnie, a niewinnym włos nie spadał z głowy. Gdyby nie Chelsea, niewinni stanęliby w obronie oskarżonych i musielibyśmy walczyć ze wszystkimi, a tak sprawiała, że pozostali przedstawiali cokolwiek czuć wobec swoich dawnych druhów i nie interweniowali. Wydawało mi się, że jest to bardzo dobre pomyślane, że ze strony Aro to wręcz akt miłosierdzia. Nie przeczę, podejrzewałem, że Chelsea macza palce i w tym, byśmy jako straż tworzyli zgryźnię zespół, ale to też było dobre. Zwiększało naszą efektywność. Pomagało nam unikać wewnętrznych konfliktów.

Nareszcie zrozumiałam, dlaczego strażnicy Volturi wykonywali rozkazy swoich przywódców z tak przesadnym, jak dla mnie, zadowoleniem, jakby byli im nie tylko oddani, ale i w nich zakochani.

- Jak potężny jest jej dar? - spytała Tanya ostrym tonem, zerkając po kolei na każdego Denalczyka z osobna.

Eleazar wzruszył ramionami.

- Mogłem odejść z Carmen. - Pokręcił w zamyśleniu głową. - Ale zagrożona jest jakakolwiek inna więź niż ta, która łączy dwoje będących ze sobą w związku ludzi. A przynajmniej jakakolwiek inna więź łącząca członków zwykłej wampirzej społeczności. Podkreślam „zwykłej”, bo są to więzi słabsze niż w naszej rodzinie. Wampiry niepięć lat dłużej krwi są bardziej cywilizowane niż reszta - potrafią prawdziwie kochać nie tylko swoich partnerów. Wątpię, by Chelsea była w stanie nam zagrozić swoimi umiejętnościami.

Tanya uśmiechnęła się łudzi, uspokojona. Eleazar powrócił do swoich rozważań.

- Widzę tylko jeden powód, dla którego Aro zdecydował się tu sam przyjechać i przywieźć z sobą aż tak liczną switę. Jego celem nie jest ukaranie was, tylko wzbogacenie swojej kolekcji. Chce się tu stawić osobiście, żeby samodzielnie wszystko dopilnować, a ponieważ jesteście dużą, uzdolnioną rodziną, musi mieć pod ręką wszystkich swoich żołnierzy. Z drugiej strony, nie może zostawić Marka, Kajusza i żon samych w Volterze - byłoby to zbyt ryzykowne, ktoś mógłby to wykorzystać - więc zabiera ich ze sobą. Jak inaczej mógłby zagwarantować sobie powodzenie tej misji? Musi bardzo pożądać talentów, które pragnie podczas niej zdobyć...

- Z tego, co widziałem w jego myślach zeszłej wiosny - wyszeptał Edward - wynikało, że niczego tak nie pożąda, jak daru Alice.

Rozdziały usta. Przed oczami stanęły mi na nowo koszmarnie wizje, które nie dawały mi nigdyś spokoju: Edward i Alice w czarnych pelerynach, z jaskrawoczerwonymi oczami, wyniosli i chłodni, mający mnie czy Carlisle'a za nic, a pomiędzy nimi trzy mający ich za ręce Aro... Czy Alice widziała jakiś czas temu coś podobnego? Czy zobaczyła, jak Chelsea próbuje wyssać z niej wszystko to, co do nas czuła, a wpoił jej miłość do Aro, Kajusza i Marka?

- Czy to dlatego Alice odeszła? - spytałam. Gdy wy-mawiałam jej imię, głos mi zdrzął. Edward przyłożył mi dłoń do policzka.

- Chyba nie ma na to lepszego wytłumaczenia. Odeszła, chcąc nie dopuścić do tego, by dostała to, czego tak bardzo pragnie. Chcąc zapobiec temu, by jej moc dostała się w jego ręce.

Tanya i Kate, wyraźnie poruszone, wymieniły pomiędzy sobą szeptem kilka zdań - nie wtajemniczyliśmy ich przecież w tę sprawę.

- Ciebie Aro też chce - przypomniałam cicho Edwardowi.

Machnął ręką, ale przybrał jednocześnie dziwnie przesadnie opanowany wyraz twarzy.

- Bez porównania mniej. Nie mogę dać mu wiele więcej ponadto, co już sam posiada. I oczywiście musiałby mnie wpiąć jakoś sobie podporządkować. Zna mnie i wie, jak trudne byłoby to zadanie - dodał z sarkazmem, unosząc jedną brew.

Widząc ten pokaz nonszalancji, Eleazar zmarszczył czoło.

- Zna też twoje słabe strony - zauważył z powagą, po czym spojrzał na mnie znacząco.

- To teraz nieistotne - powiedział szybko Edward. - Mamy ważniejsze rzeczy do omówienia.

Denalczyk zignorował ten unik.

- Najprawdopodobniej chce też twojej żony - ciągnął. - Musiała go bardzo zaintrygować, potrafiąc mu się oprzeć jeszcze przed swoją przemianą w wampira.

Edward czuł się nieswojo, dyskutując o tej kwestii. Ja też wolałam się w nią nie zagłębiać. Eleazar miał rację. Gdyby Aro chciał, żebyśmy coś dla niego zrobiła - cokolwiek - wystarczyłoby, żeby postraszył mnie, że zrobi krzywdę Edwardowi, a od razu bym się podporządkowała. Z Edwardem byłoby tak samo.

Czy tak naprawdę najgorsze w tym wszystkim wcale nie było to, że mogliśmy zginąć? Czy to wcielenia w szeregi Volturi powinniśmy byli się bardziej bać?

Edward zmienił temat.

- Myślę, że Volturi tylko czyhali na okazję, na jakiś pretekst. Nie wiedzieli, jaką wymówką przyjdzie się im posłużyć, ale kiedy się pojawiła, wszystko już mieli zaplanowane. To dlatego Alice miała wizję o ich przybyciu, zanim jeszcze odwiedziła ich Irina. Podjęli decyzję wcześniej i tylko czekali, aż wydarzy się coś, co usprawiedliwiłoby ich działania.

- Jeśli Volturi nadużywają w ten sposób zaufania, jakim darzą ich wszyscy nasi pobratymcy... - Carmen nie dokończyła.

- Czy ma to jakieś znaczenie? - spytał Eleazar. - Kto by nam uwierzył? A nawet gdybyśmy zdołali przekonać pozostałych, że Volturi nas oszukują, co by to zmieniło? Nikt nie jest w stanie ich pokonać!

- Chociaż niektórzy z nas są dość szaleni, by się tego podjąć - wtrąciła Kate.

Edward pokręcił przecząco głową.

- Powtarzam, Kate, macie tu zostać wyłącznie w charakterze świadków. Niezależnie od tego, co jest prawdziwym celem Aro, nie sądzę, by dla jego osiągnięcia był gotowy niszczyć reputację Volturi. Jeśli tylko udowodnimy, że jesteśmy niewinni, nie będzie miał innego wyboru, jak zostawić nas w spokoju.

- No tak - mruknęła Tanya.

Nikogo raczej nie przekonał. Przez kilka dłużących się minut nikt z nas nie zabrał głosu.

Nagle usłyszałam, że w leśną drogę prowadzącą do domu Cullenów skręca kolejny samochód.

- A niech to. To Charlie. Może nasi goście mogliby zacząć na górze, aż...

- Nie - przerwał mi Edward.

Oczy miał nieprzytomne - musiał wczuływać się właśnie w czyjeś myśli.

- To nie twój ojciec. - Przeniósł wzrok z drzwi na mnie. - Alice przysłała Petera i Charlotte. Czas na kolejne podejście.

Nawet wzięwszy pod uwagę spore rozmiary domu Cullenów, nigdy bym nie przypuszczała, że mogło się w nim zmieścić w miarę wygodnie aż tylu gości. Wychodziło to tylko dlatego, że żaden z przybyłych nie sypiał. Mieliśmy za to problem z posiłkami. Na szczęście, do postawionych im warunków wszyscy dostosowali się bez szemrania - Forks wraz z La Push omijały szerokim łukiem, szukając ofiar jedynie poza granicami stanu. Aby łatwiej było im pokonać duże odległości, Edward, jak na dobrego gospodarza przy stało, bez mrugnięcia okiem pożywał chętnym autą z garażu.

Goście może poszli na kompromis, ale mimo to czułam się z tym fatalnie. Mogłam się tylko pocieszać, że każde z nich gdzieś tam przecieżył tak by polowało.

Jacob był w jeszcze gorszej sytuacji niż ja. Wilkołaki istniały po to, by chronić ludzi przed atakami wampirów, a nie tolerować masowe mordy niemalże na swoim terytorium. Wiedząc jednak, że okoliczności są wyjątkowe, a Renesmee grozi śmiertelne niebezpieczeństwo, nie odzywał się ani słowem i wpatrywał się gniewnie w podłogę zamiast w naszych potencjalnych świadków.

Byłam zdumiona, z jaką łatwością przychodzi przybłędniemu bezstannemu akceptowanie obecności mojego przyjaciela. Edward przepowiadał kłopoty, ale jak się okazało, martwił się na zapas. Traktowali Jacoba, jakby był niewiedzialny - ani nie jak partnera do rozmowy, ani nie jak coś do odedania. Przy pomimoło mi to sposób, w jaki ludzie niechętni zwierzętom domowym odnosili się nieraz do pupili swoich przyjaciół.

Leah, Seth, Quil i Embry zostali odesłani do sfooty Sama i Jacob z wielką chęcią by do nich dołączył, gdyby nie to, że nie mógł znieść rozstania z Renesmee, a mała była z kolei bardzo zajęta fascynowaniem swoją osobą ty ch wszystkich dziwnych tyków należących do grona przyjaciół Carlisle'a.

Odegraliśmy scenę przekonywania innych do Renesmee jeszcze pół tuzina razy. Wpierw Peterowi i Charlotte, których Alice i Jasper przyślali do nas bez słowa wyjaśnienia - jak większość ludzi znających Alicę, darzyli ją takim zaufaniem, że posłuchali jej, chociaż nie wiedzieli, o co chodzi. Alice nie zdradziła im żadnej informacji na temat tego, dokąd się z Jasperem wybierali, nie obiecała im też, że się jeszcze kiedyś zobaczą.

Zarówno Peter, jak i Charlotte, nigdy w życiu nie mieli do czynienia z nieśmiertelnym dzieckiem, więc chociaż znali wampirze prawo, ich negatywna reakcja nie była tak silna jak u Denalczyków. Kierowani ciekawością, pozwolili Renesmee „pokazać”, kim naprawdę jest, i nie trzeba było im nic więcej. Zgodzili się wystąpić w charakterze świadków i byli teraz równie oddani naszej sprawie co rodzina Tanyi.

Carlisle przyślął przyjaciół z Irlandii i Egiptu.

Irlandczycy przyjechali pierwsi, a przecignięcie ich na naszą stronę okazało się zaskakująco proste. Ich przywódczynią była Siobhan - charyzmatyczna kobieta o pięknym korpułentnym ciele, od którego apetycznych krągotności falujących przy każdym jej ruchu, nie można było oderwać oczu - ale to nie ona zdecydowała, czy zostają czy nie. Wraz ze swoim partnerem Liamem, potężnym o kwadratowej szczęce, była od dawna przyzwyczajona do słuchania we wszystkim najmłodszego członka swojej rodziny, rudzielca o sprężystych łokach o imieniu Maggie. Mała Maggie nie imponowała wzrostem ani wagą, ale posiadała szczególnie dar - potrafiła rozpoznać, czy ktoś ją okłamuje. Siobhan i Liam darzyli ją bezgranicznym zaufaniem. Kiedy oznajmiła, że Edward mówi prawdę, zaakceptowali naszą wersję wydarzeń, zanim jeszcze dotknęły mojej córeczki.

Z Egiptjanami wyglądało to zupełnie inaczej. Nawet po tym, jak wyjaśnienia Renesmee przekonały dwoje młodszych członków klanu, Benjamin i Tia, ich lider, Amun, nadal odmawiał jej dotknięcia i oświadczył, że wszyscy wracają do domu. Benjamin - nienaturalnie pogodny wampir o wyglądzie nastolatka, bardzo pewny siebie i beztroski zarazem - namówił Amuna do pozostania, ale tylko pod wyrażoną subtelny mi aluzjami groźbą, że w innym wypadku wybiorą z Tią wolność. Amun został, jednak uparcie odmawiał dotknięcia Renesmee i nie pozwolił na to także swojej partnerce Kebi. Chociaż cała czwórka była do siebie tak bardzo podobna, że mogłoby uchoćzić za prawdziwą rodzinę - wszyscy mieli kruczczarne włosy i blade twarze w oliwkowym odcieniu - wy dawali się do siebie dziwnie nie pasować. Amun, najstarszy z Egiptjan, stał na ich czele i wy dawwał rozkazy. Kebi chodząca za nim krok w krok i nigdy nie słyszałam, żeby wypowiedziała choć jedno słowo. Tia również była wiecia kobieta, ale kiedy już od czasu do czasu zabierała głos, zawsze czyniła to z powagą, wykazując się jednocześnie olbrzymią wdzięknością. Mimo pozycji Amuna i mądrości Tii, odnosiło się jednak wrażenie, że to Benjamin dyktuje tam warunki. Pozostali krążyli wokół niego niczym wierne satelity, jak gdyby ich zachowanie zależało od siły jego magnetyzmu. Zauważywszy, że Eleazar przygląda mu się szeroko otwartymi oczami, założyłam, że talent chłopaka polega właśnie na tym, że potrafił rzucić na innych urok.

- To nie tak - Edward wprowadził mnie do błędów, kiedy tej nocy zostaliśmy sami - Jest utalentowany, owszem, ale w inny sposób. I to nie on chce, żeby tamci wkłólo niego skakali, tylko sami to robią, bo jego dar jest tak niezwykły, iż Amun umiera ze strachu na myśl, że mógłby go stracić. Do tego stopnia, że podobnie jak my planowaliśmy nie dopuścić do tego, by Volturi dowiedzieli się o Renesmee - u westchnął - Amun stara się umiejętnościami Benjaminu utrzymać w tajemnicy przed Aro. Sam Benjamin stworzył, wiedząc, że będzie wyjątkowy.

- To co takiego potrafi Benjamin?

- Coś, czego Eleazar jeszcze nigdy u nikogo nie wiedział. Coś, o czym jeszcze nigdy nie slyszalem. Coś, przed czym nie ochroniłałyby cię nawet twoja tarcza. - Obdarzył mnie tak dobrze mi znanym łobuzerskim uśmiechem. - Benjamin potrafi wywierać wpływ na cztery żywioły: na wiatr, na wodę, na ogień i na ziemię. To nie są żadne sztuczki. Nie sprawia, że masz jakieś omamy, tylko naprawdę te żywioły kontroluje. Na razie jest na etapie eksperymentów, ale Amun próbuje tak nimo pokierować, żeby stał się niewyciężonym wojownikiem, taką jego tajną bronią. Jednak sama wiesz, jak Benjamin jest niezależny. Nie da się wykorzystać.

- Lubisz go - wywnioskowałam z tonu jego głosu.

- Nie ma problemów z odróżnianiem dobra od zła. I podoba mi się jego nastawienie do życia.

Amun był jednak do życia zupełnie inaczej nastawiony i razem z Kebi starał się ograniczać kontakty z nami do minimum, chociaż Benjamin i Tia byli z kolei na dobrej drodze, by stać się dobrymi przyjaciółmi zarówno Denalczyków, jak i gości z Irlandii. Mieliśmy nadzieję, że Carlisle, kiedy w końcu się pojawi, oblaśnie nieco mrocznego Egiptjanina.

Emmett i Rose odesłali do nas wampiry żyjące w pojedynkę - wszystkich znanych ch doktorowi nomadów, jakich udało im się odnaleźć.

Pierwszy przybył Garrett - wysoki, szczupły mężczyzna o wesołych rubinowych oczach i długich jasnych włosach, które wiażywał nad sobą z tylu głowy lawkąem rzemyka. Wystarczyło na niego spojrzeć, by domyśleć się, że kochał przygody. Podejrzycie, że przyjąłby naszą propozycję bez względu na to, co byśmy mu zaproponowali, tylko po to, aby się sprawdzić. Szybko dogadał się z Tanją i Kate, zadając im nieudzielone pytania na temat ich niecodziennej diety, więc ciekawa byłam, czy kolejny m wyzwaniam, z którym zaprzagnąłby się zmierzyć, nie miał być ów właśnie nasz „vegetarianizm”.

Następni goście, Mary i Randall, byli już z sobą zaprzyjaźnieni, ale podróżowali osobno. I oni wysłuchawszy historii Renesmee, zgodzili się być naszymi świadkami. Tak jak Denalczycy, rozważali też to, jak postąpią, jeśli Volturi nie pozwolą sobie mi wyjaśnić. Cała trójka nomadów nie wykluczała, że stanie w naszej obronie.

Oczywiście im więcej obcych kręciło się po domu, tym bardziej zrzędiłwi robił się Jacob. Gdy tylko mógł, trzymał się od nich na dystans, a kiedy czasem brakowało mu cierpliwości, skarżył się Renesmee, że jeśli ktokolwiek spodziewa się po nim, że pamięta imiona ty ch wszystkich pijawek, to będzie musiał w pierw sporządzić dla niego ich listę.

Carlisle i Esme wrócili po tygodniu od dnia swojego wyjazdu, a Emmett i Rosalie zaledwie kilka dni później. Wszyscy poczuliśmy się znacznie lepiej, mając ich z powrotem w domu. Doktor przywiózł z sobą jeszcze jednego swojego przyjaciela, chociaż określenie „przyjaciół” było tu może trochę na wyrost. Alistair, ciemnowłosy, melancholijny wampir rodem z Anglii, teoretycznie zaliczał Carlisle'a do grona swoich najbliższych znajomych, ale był takim mizantropem, że mógł zdziżyć o co najwyżej jedną jego wizytę na stolecice. Zdecydowanie mało wdęrowała po świecie samotnie. Żeby go do nas ściągnąć, Carlisle musiał przypomnieć mu wszystkie przysługi, jakie wyświadczył mu na przestrzeni lat. Brytyjczyk unikał towarzyswa jak diabeł świeconej wody i było jasne, że nikt spośród zbranych za nim nie zapręda.

Jeśli chodzi o historię pochodzenia Renesmee, Alistair uwierył Carlisle'owi na słowo, odmawiając, podobnie jak Amun, by sama cokolwiek mu pokazała. Edward zdradził Carlisle'owi, Esme i mnie, że Anglik boi się przebywać w naszym domu, ale jeszcze bardziej boi się, że nie dowie się, co tak naprawdę by tu zaszło. Odnosił się z głęboką nieufnością do wszelkich przedstawicieli władzy, a więc i do Volturi. Jeśli ich intencje były naprawdę takie, jak się tego obawialiśmy, potwierdziłoby to jego najwięzłe lęki.

- Rzecz jasna, wiedzą już że tu jestem - slyszeliśmy, jak mamrotał do siebie na strychu, gdzie najczęściej się zasywał. - Nie ma teraz najmniejszych szans na to, żeby zataić przed Aro. Będę się musiał ukrywać przed nim całe wieki, oto jako się skończy. Na ich liście znajdują się wszyscy, z którymi Carlisle rozmawiał w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Nie mogę uwieryć, że dałem się w to wciągnąć. Co za uroczy sposób na okazywanie sympatii swoim przyjaciółom.

Jeśli miał rację, co do tego, że miał być zmuszony uciekać przed Volturi, to - jako troiciel - mógł przy najmniej mieć większą nadzieję niż reszta nas, że taka sztuka mu się uda. Precyznością i efektywnością ustępował znacznie swojemu odpowiednikowi u Volturi (czuł tylko, że coś go ledwie namacalnie ciągnie ku owemu czemuś, co akurat szukał), przy ciąganiu to wystarczyłoby mu jednak, by w razie czego wiedział, dokąd się udać - w przeciwnym kierunku do tego, z którego nędięgał z kompanami Demetri.

A potem do naszy ch drzwi zapukała dla odmiany para nieoczekiwanych gości - nieoczekiwanych ch, bo ani Carlisle, ani Rosalie nie zdołali skontaktować się z Amazonkami.

- Carlisle! - powitała serdecznie doktora wysza z egzoty cznie prezentujących się kobiet.

Obie wyglądały tak jakby je rozciągnięto - miały długie ręce i długie nogi, długie palce i długie czarne workoczce, długie nosy i podługne twarze. Ubrane były w stroje uszyte wyłącznie ze skór dzikich zwierząt: skórzane kamizelki i skórzane obcisłe spodnie wiązane wzdłuż boków przepłatany mi niczym sznurrowadła cienkimi rzemieniami. Nie tylko ekscentryczne stroje sprawiały, że wydawały się dzikie - wszystko w nich się na składało, począwszy od ich niespokojnych ch, szkarlatnych ch oczu, a skończywszy na ich naglych ch, zwinnych ruchach. Nigdy nie spotkałam mnej czy wilizynowy ch wampirów.

Najbardziej interesujące w ich pojawieniu było to, że przyślą je Alice. „Interesujące” to było mało powiedziane! W jakim celu Alice pojechała do Ameryki Południowej? Czy żyty tylko dlatego, że przewidywała, iż nikomu innemu nie uda się namierzyć Amazonek?

- Zafrina i Senna! - ucieszył się Carlisle. - A gdzie Kachiri? Nigdy nie widziałem was inaczej jak w komplecie.

- Alice powiedziała, że musimy się rozdzielić - wyjaśniła Zafrina niskim, ochrypłym głosem, który idealnie pasował do jej dzikiego wyglądu. - Nieswojo nam przebywać z dala od siebie, ale zapewniła nas, że my dwie jesteśmy wam potrzebne tutaj, a z kolei Kachiri jest jej straszliwie potrzebna do zafatwienia czegoś w jakimś innym miejscu. To wszystko, co nam wyjawia, oprócz tego, że bardzo jej się spieszy?..

Jej ostatnie zdanie przeszło dość niespodziewanie w pytanie a ja - zmieniona w kłębek nerwów, jak zawsze, gdy przychodziło mi to zrobić, niezależnie od tego, ile podejść miałam już za sobą - podeszłam bliżej z Renesmee, by Amazonki ją poznały.

Pomimo swojej powierzchowności wysłuchały naszej historii nadzwyczaj spokojnie, po czym bez protestów pozwoliły zilustrować ją dzięki wspomnieniom malej. Moja córka podbiła ich serca z taką samą łatwością jak w przypadku pozostałych wampirów, ale i tak, kiedy przebywały w jej pobliżu, nie potrafiłam się do końca rozuścić - za bardzo kojarzyły mi się z drapieżnikami. Senna zawsze trzymała się blisko Zafriny i nigdy nic nie mówila, ale podobieństwo pomiędzy nimi dwiema a Amunem i Kebi było tylko pozorne. Kebi wydawała się być Amunowi podporządkowana - Amazonki były raczej jak dwie połowki jednego organizmu i traf chciał, że to akurat w połowie Zafriny mieściło się to, co potrzebne do wy dawania siebie głosu.

Wieści o Alice do pewnego stopnia były dla mnie źródłem pociechy. Wszystko wskazywało na to, że starała się nie tylko uniknąć losu, jaki przewidział dla niej Aro, ale i osiągnąć jakiś tylko sobie znany cel.

Pojawienie się Amazonek bardzo podekscytowało Edwar da, ponieważ Zafrina była ogromnie utalentowana. Jej umiejętnościami mogły zostać wykorzystane jako bardzo niebezpieczna broń. Edward nie poprosił oczywiście Zafriny o to, by walczyły z nami przeciwko Volturi, ale jeśli nie mieliby zatrzymać się na moment, by wysłuchać naszy ch świadków, być może zatrzymały ich nagła zmiana scenierii.

- To bardzo potężna iluzja - wytłumaczył mi po tym, jak wyszło no jaw, że jestem odporna na kolejny niezwykły dar. Wampirzyęc ten fakt zdziwił - jeszcze nigdy się z czymś takim się nie spotkała - krążyła więc wokół nas zaintrygowana, przy słuchając się, jak mój ukochany opisuje mi, czego nie mogłam doświadczyć.

- Zafrina - ciągnął - potrafi tak wpłynąć na twój mózg, że przed oczami staję ci to, co tylko jej się zamarzy - tylko to i nic innego.

- Teraz, na przykład, mam wrażenie, że znajduję się sam jeden w środku tropikalnego lasu deszczowego. Wszystko dookoła widzę z takim i szczegółami, że pewnie nawet uwieryłybym, że to prawda, gdyby nie to, że dotykem nadal wyczuwam cię w swoich objęciach.

Usta Zafriny wykrzywiły się w nieświadomie okrutnym uśmiechu. Chwilę później Edward jakby się onęknął i też szeroko się uśmiechnął.

- Rewelacja - skomentował.

Renesmee była zafascynowana. Nie okazując wcale strachu, wyciągnęła ku Amazonce rączki.

- Ja też mogę?

- A co byś chciała zobaczyć? - spytała ją Zafrina.

- To samo, co pokazałaś tatuiowi.

Wampirzyca skinęła głową. Obserwowałam zaniepokojona, jak Renesmee sięga wzrokiem do innej rzeczy wistosci. Sekundę później jej brązowe oczka na powrót zbrożyły się przytomne, a jej słodką twarzyćkę rozświetlił promienny uśmiech.

- Jeszcze! - zakomenderowała.

Od tego momentu trudno było ją oderwać od naszego nowego gościa i jej „śliznych obrazków”. Martwiło mnie to, ponieważ byłam pewna, że Zafrina jest w stanie stwarzać także iluzje, które „ślizne” wcale nie były. Na szczęście, do wszyskiego, czym była zabawiana moja córeczka, miałam dostęp poprzez jej myśl, mogłam więc sama oceniać, czy w wizjach Amazonki nie pojawiały się żadne niestosowne treści. Jej mijałki były tak bardzo realistyczne, że niczym się od innych ch wspomnień Renesmee nie różniły.

Chociaż nie miałam się do przekazywania innym opiekę nad małą, musiałam przyznać, że Zafrina zjawiała się w samą porę. Jeśli chciałam się uczyć walczyć, musiałam mieć wolne ręce. Materiału do opanowania miałam sporo - i teorii, i praktyki, a czasu było coraz mniej.

Mojej pierwszej lekcji nie można było uznać za udaną.

Edward powalił mnie na ziemię w jakieś dwie sekundy. Ale zamiast pozwolić mi się sobie wyrwać - co z pewnością by mi się udało - zerwał się na równe nogi i dał susa w bok. Domyślałam się od razu, że coś jest nie tak stał nieruchomo jak posąg, wpatując się w ścienne lasu po przeciwległej stronie łąki, którą wybrałiśmy do ćwiczeń.

- Przemasz, Bello - powiedział.

- Nic mi nie jest. Chodź, spróbujmy jeszcze raz.

- Nie mogę.

- Jak to nie możesz? Dopiero co zaczęliśmy.

Nie odpowiedział.

- Słuchaj, wiem, że nie jestem w tym dobra, ale jeśli mi nie pomożesz, to już na pewno nie zrobię żadnych postępów.

Nie odezwał się. Skoczyłam na niego, pozorując atak, ale nie kiwnął nawet palcem i oboje przewróciliśmy się na ziemię. Leżałam pod mną zupełnie nieruchomo. Przcisnęłam wargi do jego szyi.

- Wygrałam! - objęłam.

Zmrużył oczy, ale nic nie powiedział.

- Edwardzie? O co ci chodzi? Czemu nie chcesz mnie uczyć?

Minęła pełna minuta, zanim coś z niego wydusiłam.

- Po prostu... nie mogę tego znieść. Emmett czy Rosalie wiedzą tyle samo, co ja. Tanya i Eleazar pewnie jeszcze więcej. Poproś o lekcję kogoś innego.

- Ale to nie fair! Jesteś w tym dobry. Pomogłeś wcześniej Jasperowi - walczyłeś z nim i ze wszystkimi innymi też. Dlaczego nie ze mną? Co zrobiłam nie tak?

Westchnął smutno. Oczy miał ciemne, ledwie kilka iskerek złota przebijało się przez czerni.

- Kiedy tak patrz na ciebie w ten sposób, jakbyś była moim celem, kiedy analizuję pod różnym kątem, jak by cię tu zabić... - Zadrżał. - To po prostu dla mnie zbyt prawdziwe. Nie mamy aż tyle czasu, żeby to, kto cię uczy, zrobiło jakąś różnicę. Każdy może przekazać ci podstawy.

Spojrzałam na niego spode łba, wydymając usta. Dotknął mojej dolnej wargi i uśmiechnął się.

- Poza tym, wcale ci to niepotrzebne. Volturi na pewno się zatrzymają. Przemówimy im do rozumu.

- A co jeśli nie! Muszę nauczyć się walczyć.

- To znajdź sobie innego trenera.

Nie była to nasza ostatnia rozmowa na ten temat, ale nie udało mi się go namówić, żeby zmienił zdanie.

Moim nauczycielem ooczko został Emmett, ale chyba głównie po to, żeby zemścić się na mnie za wszystkie przegrane siłowania się na ręce. Gdyby na moim cielem tworzył się jeszcze siniaki, byłaby fioletowa od góry do dołu. Z pomocą przyszedł mi też Rose, Tanya i Eleazar, wykładając się dla odmiany cierpliwością i bardzo mnie wspierając. Ich lekcje przypominały te prowadzone w czerwcem przez Jaspera, chociaż moje wspomnienia z tamtego okresu były mało wyraźne. Niektórzy z gości uznali moją edukację za niezłą rozrywkę, a kilkoro zaferowało nawet swoje usługi. Kilka razy pojedynkował się ze mną nomada Garrett - okazał się zaskakująco dobrym nauczycielem. Był taki serdeczny i ugodowy, że nie mogłam się nadszwić, czemu nigdy nie dołączył do żadnej większej grupy. Raz walczyłam nawet z Zafriną, podczas gdy Renesmee przyglądała nam się z objęciem Jacoba. Jej wskazówki były bardzo cenne, ale już nigdy nie powtórzyłyśmy tej sesji - mimo że bardzo Amazonkę lubiłam i wiedziałam, że nie zrobi mi krzywdy, w głębi ducha po prostu panicznie się jej bałam.

Nauczyłam się od moich instruktorów wielu rzeczy, ale nadal miałam poczucie, że wiem denerwująco mało. Nie miałam pojęcia, ile sekund byłaby w stanie wytrzymać w starciu z Alekiem czy Jane. Mogłam się tylko modlić, że dostatecznie długo, by coś to nam dało.

Kiedy nie opiekowałam się Renesmee, ani nie uczyłam się walczyć, siedziałam z Kate na trawniku za domem, starając się wypchnąć swoją wewnętrzną tarczę poza swój mózg. Być może w przyszłości chronić pod nią znajdujące się koło mnie osoby. Do tego Edward akurat mnie zachęcał i wiedziałam dlaczego. Miał nadzieję, że taka metoda niesienia innym pomocy mnie usatyfakcjonuje i jeśli dojdzie do bitwy, nie będę musiała brać w niej udziału.

Wszystko pięknie, ale męczyłam się okropnie. Przede wszystkim nie bardzo było wiadomo od czego zacząć, brakowało jakiegokolwiek punktu podparcia. Nie miałam nic prócz przemownego pragnienia, by móc się na coś przydać - by móc rozszerzyć swoją tarczę na Edwarda, Renesmee i jak najwięcej pozostałych członków swojej rodziny. Byłam uparta. Próbowaliśmy całe godziny wyrzucić z siebie to nienamacalne coś, ale udawało mi się to jedynie sporadycznie, a efekty nie były imponujące. Czulałam się tak, jakbym usiłowała rozciągnąć niewidzialną gumkę - gumkę, która w dowolnej chwili mogła zmienić się z czegoś konkretnego w obłok dymu.

Tylko Edward był chętny do występu w roli naszego królika doświadczalnego - pozwalał, by Kate raziała go raz za razem prądem, podczas gdy ja gmerałam niezdarnie w zakamarkach swojej głowy. Pracowaliśmy bez końca, więc z wysiłku powinnam była pokrywać się potem, ale oczywiście mojemu idealnemu ciału obce były takie słabości. Męczył się tylko mój umysł.

Nie mogłam patrzeć, jak Edward cierpi. Dawałam z siebie wszystko, ale i tak krzywił się tylko i wdzygał w moich ramionach, chociaż Kate zarzekała się to najniższe napięcie, na jakie ją stać. Od czasu do czasu obejmowałaam swoją tarczą nas dwoje, ale zaraz potem traciłam tę zdolność na nowo.

Nienawidziłam tych treningów. Gdyby tylko Kate zastąpiła Zafriną! Edward oglądałby wtedy po prostu podsyłane przez Amazonkę wizje, czekając aż jedną z nich zdoła zablokować. Ale Kate upierała się, że nie dość bym do tego, aby móc wykonać motywowaną motywację rozumiejąc rzecz jasną związującą się z bólu Edwarda. Zaczynałam wątpić w to, co mi powiedziała, kiedy dowiedziałam się o jej talencie - że mam się jej nie obawiać, bo nie jest sadystką. Jak dla mnie, nasze sesje w trójkę wydawały się sprawiać jej przyjemność.

- Hej - zawołał Edward wesoło, nie dając po sobie poznać, że odczuwa jakikolwiek dyskomfort. Był gotowy na wszystko, by le tylko odciągnąć mnie od nauki walki wręcz. - Ledwie mnie coś ukłuło. Dobra robota, Bello.

Wzięłam głęboki wdech, analizując, co mogło przyczynić się do tego drobnego sukcesu. Po raz kolejny rozciągnęłam w myślach niewidzialną gumkę, przykładając się do tego, by nawet z dala ode mnie nie traciła na gęstości.

- Jeszcze raz, Kate - mruknęłam przez zaciśnięte zęby. Przcisnęła dłoń do ramienia mojego ukochanego.

Odetchnął z ulgą.

- Tym razem nic.

Uniosła brew.

- A dałam wyższe napięcie.

- Super - sapnęłam.

- Przyszykuj się - ostrzegła mnie, ponownie sięgając do ramienia Edwarda.

Tym razem przeszedł go dreszcz, a z jego ust wydobył się cichy syk.

- Przepraszam! Przepraszam! Przepraszam! - wyjęczałam, przygryzając wargę. Dlaczego ciągle popełniałam jakieś błędy?

- Możesz być z siebie dumna - powiedział Edward, przyciągając mnie mocniej do siebie. - Pracujesz nad tym przeciw dopiero od kilku dni, a już zdarza ci się rozciągać tarczę. Kate, powiedz Belli, że świetnie sobie radzi.

Wykrzywiła usta.

- Czy ja wiem... Nie da się zaprzeczyć, że ma niezwykłe zdolności, ale dopiero zaczynamy je odkrywać. Mogłaby wycisnąć z siebie dużo więcej, jestem tego pewna. Po prostu nie jest dość zdeterminowana.

Popatryłam na nią zdumiona, mimowolnie odsłaniając zęby jak mogła wygadywać takie rzeczy? Co mogło być dla mnie lepszą motywacją od Edwarda traktowanego na moich oczach prądem?

Moich uszu doszły cicho wypowiedziane komentarze, które wymieniali pomiędzy sobą obserwując nas osoby. Na początku treningu byli to tylko Eleazar, Carmen i Tanya, ale potem przystanął przy nas i Garrett, później Benjamin i Tia, jeszcze później Siobhan i Maggie, a teraz nawet Alistair zerkał na nas w dół przez okno na drugim piętrze. Widzowie zgadzali się z Edwardem - uważali, że dobrze mi idzie.

- Kate... - odezwał się Edward ostrzegawczym tonem, kiedy do głowy przyszedł jej jakiś nowy pomysł, ale zdążyła już zerwać się z miejsca i pomknąć wzdłuż zakola rzeki do idących powoli w stronę domu Amazonek, Renesmee i Jacoba. Moja córeczka trzymała Zafrinę za rękę, żeby mogły wymieniać się swoimi obrażkami, a Jacob szedł kilka metrów za nimi, nie spuszczając ich z oczu.

- Nessie - zagruchnęła Kate (wszyscy goście szybko podchwyli irytujące mnie zdrobnienie) - nie chciałabyś czasem pomóc swojej mamie?

- Tyko nie to! - prawie że warknęłam.

Edward spróbował mną delikatnie kołysać, żeby mnie uspokoić. Wyrwałam się z jego uścisku w tym samym momencie, w którym miała przebiegła przez trawnik i dopadała moich kolan. Denalka, Zafrina i Senna podążyły tuż za nią.

- Zapomnij o tym, Kate - syknęłam.

Renesmee wyciągnęła ku mnie rączki. Odruchowo otworzyłam ręce. Wtulila się we mnie, wpasowując swoją głowę w zagłębienie pod moim ramieniem.

- Ale mamo, ja chcę pomóc - oznajmiła z uczuciem. Przyłożyła mi paluszek do szyi, by wzmocnić swoją deklarację wizją nas dwóch razem tworzących jedną drużynę.

- Nie - powiedziałam stanowczo, robiąc szybko kilka kroków do tyłu, bo zobaczyłam, że Kate przyśwaja się do nas, sięgając ku nam ręką.

- Trzymaj się od nas z daleka! - rzuciłam w jej kierunku.

- Nie.

Uśmiechając się niezmyślnie, który zapędził swoją ofiarę w koki róg, zaczęła powoli się ku nam skradać.

Wycofując się w takim samym tempie, w jakim wampirzyca się do nas zbliżała, przeniósłam sobie Renesmee na plecy, których uczepliła się jak małpka. Miałam teraz wolne obie ręce i jeśli Kate chciała, by jej dłonie pozostały docepięte do nadgarstków, powinna była brać nogi za pas.

Najwyraźniej nie docierało do niej to, w jakim jestem stanie. Jakby nie było, nigdy nie doświadczyła na własnej skórze, co czuje matka wobec swojego dziecka. Musiała nie zdawać sobie sprawy, że nie tyle posuwała się za daleko, co już dawno ową granicę przekroczyła. Byłam tak wściekła, że wszystko wokół wydało mi się jakby czerwone, a na języku poczułam smak kojarzący mi się z zapachem rozżarzonego żelaza. Siła, którą zazwyczaj trzymałam w ryżach, rozlała się po moich mięśniach, i wiedziałam, że jeśli tylko Denalka bym nie do tego zmusiła, mogłabym zmienić ją w kupkę twardej jak diament odłamków.

Moja furia sprawiła, że każdą cząstkę swojego jestestwa zaczęłam odbierać wyraźniej niż kiedykolwiek. Nawet elastyczność mojej tarczy stała się dla mnie czymś namacalnym. Uświadomiłam sobie, że to coś o wiele większego niż gumka - że to cienka warstwa jakiejś nieokreślonej materii pokrywająca mnie od stóp do głów. Im większy wzbierał we mnie gniew, tym lepiej orientowałam się w jej właściwościach, a więc, innymi słowy, tym lepszą miałam nad nią kontrolę. W razie gdyby Kate miała mnie przechytrzyć, nadełam tarczę tak, by całkowicie przesłoniła Renesmee.

Wampirzyca zrobiła z wyrachowaniem jeszcze jeden krok do przodu i z mojego gardła dobył się groźny charkot.

- Kate! Ostrożnie! - zawołał Edward.

Zrobiła kolejny krok, a potem popełniła błąd widoczny nawet dla kogoś tak niedoświadczonego jak ja - chociaż dzieliła nas dwie odległości, którą mogłam pokonać jednym susem, odwróciła się, skupiając się na moment, zamiast na mnie, na Edwardzie.

Z Renesmee bezpieczną na moich plecach, przykucałam, gotowa do skoku.

- Czy wychywasz się jakiegokolwiek myśli Nessie? - spytała Kate Edwarda rozluźnionym głosem.

W okamgnieniu znalazłam się między nimi, zagradając im drogę.

- Ani jednej - odpowiedział - a teraz, proszę, daj Belli odetchnąć. Nie powinna prowokować jej w ten sposób. Wiem, że wydaje się opanowana jak na swój wiek, ale pamiętaj, że ma tylko kilka miesięcy.

- Edwardzie, nie mamy czasu obchodzić się z nią jak z jaskiem. Musimy ją przycisnąć. Zostało nam ledwie parę tygodni, a Bella ma w sobie potencjał, żeby...

- Powiedziałem, daj jej teraz odetchnąć.

Zrobiła urażoną miną, ale potraktowała jego ostrzeżenie bardziej serio niż moje.

Renesmee przyłożyła mi dłoń do szyi. Pokazała mi atak Kate, myśląc o tym, że nie mogło stać się jej nic złego i że tatuś był przeciwieństwem wszystkiego wtajemniczonego...

Nie wyciszyłam się od tego. Nadal postzręgałam wszystko jako czerwone. Lepiej jednak już nad sobą panowałam i rozumiałam, że Denalka miała rację. Wzburzenie mi pomagało. Tak nauka przychodziła o wiele łatwiej.

Jednakże oznaczało to, że pochwalałam takie metody.

- Kate - warknęłam rozkazująco.

Położyłam rękę na barku Edwarda. Nadal odbierałam swoją tarczę jako coś w rodzaju elastycznego pancerza wokół Renesmee i mnie. Rozciągnęłam go jeszcze bardziej, tak by objął również Edwarda. Na powierzchni otaczającej nas błony nie było ani jednej rysy. Nic nie wskazywało na to, by miał się rozoderżnąć. Oddychałam ciężko z wysiłku i kiedy się odezwałam, zabrzmiało to raczej jakczyjeś ostatnie słowa niż jak gniewny okrzyk.

- Jeszcze raz - rozkazałam Kate. - Samego Edwarda! Wywróciła oczami, ale kiedy podeszła do nas, posłusznie dotknęła tylko jego.

- Nie - oświadczył.

Po jego głosie można było poznać, że się uśmiecha.

- A teraz? - spytała Kate.

- Nadal nie.

- A teraz? - wykrztusiła, marszcząc czoło.

- Nic a nic.

Odsunęła się od nas, dysząc.

- Widzicie to? - spytała Zafrina niskim, głębokim głosem, przyglądając nam się z uwagą. Mówiła po angielsku z silnym akcentem, przeciągając samogłoski w najmniej spodziewanym momencie.

- Nie widzę niczego, czego widzieć nie powinienem - zakomunikował Edward.

- A ty, Renesmee?

Mała posłała jej szeroki uśmiech i pokręciła przeczącą głową.

Niemal całkowicie już ochłonęłam, siłowanie się z moją tarczą kosztowało mnie więc coraz więcej energii. Zaciskając zęby i posapując, napałam na niewidzialną błonę. Im dłużej utrzymywałam ją rozciągniętą, tym wydawała mi się cięższa. Stawiła mi opór, chcąc wrócić na swoje dawne miejsce.

- Tylko nie wpadajcie w panikę - ostrzegła Zafrina naszą widownię. - Chcę tylko sprawdzić granice jej możliwości.

Wszyscy zebrani, zszokowani, głośno zaczerpnęli powietrza - Eleazar, Carmen, Tanya, Garrett, Benjamin, Tia, Siobhan, Maggie - wszyscy prócz Senny, której repertuar przyciążki był najwidoczniej dobrze znany. Oczy pozostałych zrobiły się puste, a na ich twarzach malował się niepokój.

- Kto odzyska wzrok ręką do góry - poinstruowała ich Amazonka. - Do dzieła, Bello. Zobacz, ilu zdołasz osłonić.

Wypchnęłam powietrze z płuc z głośnym sapnięciem. Poza Renesmee i Edwardem najbliżzej mnie znajdowała się Kate, ale i tak były to jakieś trzy metry. Spiwszy mięśnie szczęki, pchnęłam z całych sił, starając się odsunąć upartą, opierającą mi się powłokę jak najdalej od siebie. Centymetr po centymetrze przybliżałam ją do celu, walcząc z nią nie tylko o każdy kolejny odcinek, ale i o ten, który dopiero co zdobyłam. Pracując nad sobą, koncentrowałam się na grymasie wampirzycy, a kiedy Denalka zamruwała, a jej oczy na powrót stały się skupione, stępnęłam cicho, czując ogromną ulgę. Kate podniosła rękę do góry.

- Fascynujące! - mruknął Edward pod nosem. - To jak lustro weneckie. Potraficie czytać im wszystkim w myślach, ale nie mogą mnie tu dosięgnąć. Słyszę Renesmee, chociaż nie słyszałem jej, kiedy byłem jeszcze na zewnątrz.

Założę się, że Kate mogłaby mnie teraz porazić prądem, skoro też jest tu z nami pod parasolem. Ale ciebie nadal nie słyszę... Hm... Ciekawe, jak to działa? Ciekawe, czy gdyby...

Mamrotał coś dalej do siebie, ale nie byłam w stanie się temu przyслуchiwać. Zgrzytając zębami, próbowałam zmusić błonę do objęcia Garretta, który stał nieopodal Kate. Po chwili i on dał znać, że znowu widzi.

- Bardzo dobrze - pochwalila mnie Zafrina. - A teraz...

Ale odezwała się przedwcześnie. Jęknęłam nagle, bo moja tarcza odskoczyła niczym gumka, którą za mocno rozciągnięto, wracając gwałtownie do swojego pierwotnego kształtu. Renesmee dopiero teraz doświadczyła ciemności, którą zesłała na wszy stłoch Zafrina, i zdrząła ze strachu na moich plecach. Umordowana, raz jeszcze napałam na ochronną powłokę, aby znalazło się pod nią miejsce dla małej.

- Mogę trochę odpasnąć? - wydzyszałam.

Odłąd przemieniłam się w wampira, jeszcze ani razu się nie zdarzyło, żebym potrzebowała chwili odpoczynku. Czulałam się wyrażona z równowagi, przez to, że byłam jednocześnie tak silna i tak wyczerpana.

- Proszę bardzo - powiedziała Zafrina.

Widąc było, że wyzwoliła widzów spod swojego czaru, bo się rozluźnili, a potem zaczęli się powoli rozchodzić, wymieniając się przy tym uwagami. Kilka minut ślepoty bardzo ich poruszyło - jako nieśmiertelni, nie byli przyzwyczajeni do bezradności.

- Kate! - krzyknął Garrett.

Był jedynym wampirem pozbawionym daru, który przychodził na moje treningi. Zastanawiałam się, co tak do nich przyciąga tego łowcę przygód.

- Nie radzę - ostrzegł go Edward.

Nie wystarczyło. Z zamysłoną miną, dogonił tę, którą wołał.

- Słyszałem, że potrafisz położyć każdego na łopatki.

- Zgadza się - potwierdziła Kate. Uśmiechając się przebiegle, pokazała mu swoją dłoń, przebieając szybko palcami. - A co, jesteś ciekaw, jak to jest?

Wzruszyłam ramionami.

- Nigdy czegoś takiego jeszcze nie widziałem. Trudno uwierzyć, że nie ma w tym ani odrobiny przesady...

- Nie wątpiłaś, zmieniać poważając. - Może działał tak tylko na wampiry bardzo młode albo bardzo słabe. Nie jestem pewna. Ty tam wyglądasz na silnego. Może mógłbyś jednak ustać na dwóch nogach.

Wyciągnęła ku niemu rękę, wewnętrzną stroną dłoni do góry, zachęcając, by sam się przekonał. Drgnęła jej warga. Mogłam się założyć, że za jej powagą krył się zwykły fortel.

Garrett powitał wyzwanie szerokim uśmiechem. Śmiało dotknął dłoni Kate palcem wskazującym.

Nie musiał długo czekać. Zaraz ugłębił się pod nim kolana i zachłystnąwszy się głośno powietrzem, przewrócił się do tyłu, uderzając głową o wystający z ziemi granitowy blok. Skąła chyba się rozlamowała, bo coś nieprzyjemnie chrupnęło. Strasznie było się przyglądać, jak jeden z nieśmiertelnych jest unieszkodliwiany w taki sposób. Jawiło mi się to jako coś wbrew prawom naszego świata. Wszystko we mnie protestowało.

- Uprzedzałem - mruknął Edward.

Powieki Garretta drżały przez kilka sekund. W końcu otworzył szeroko oczy. Zerknął na uśmiechającą się złośliwie Kate i niespodziewanie się rozpromieniał.

- Wow - powiedział.

- Podobało ci się? - spytała ze sceptycyzmem.

- Nie jestem szalony - zaśmiał się, kręcąc przecząco głową. Podniósł się powoli na kęćki. - Ale trzeba przyznać, że robi wrażenie.

- Tak mi mówiono.

Edward zwrócił oczy ku niebu.

W tym samym momencie przed domem od frontu zapanowało jakieś poruszenie. Przez szmer zaskoczonych głosów przebił się baryton Carlisle'a:

- Czy to Alice was przyślala? - spytał kogoś niepewnie, nieco zdenerwowany.

Kolejni niezapowiedziani goście?

Edward popędził ku domowi i większość zebranych poszła za jego przykładem. Nadal miałam Renesmee na plecach, więc trzymałam się z tyłu pochodu. Chciałam dać doktorowi trochę czasu - pozwolił mi, żeby najpierw należyście przybyśzów przygotował na to, z czym mieli się niedługo zetknąć.

Okružając ostrożnie dom, żeby wejść do środka kuchennymi drzwiami, wzięłam małą na ręce i nadstawiłam uszu.

- Nikt nas nie przyślal - odpowiedział nieznajomy Carlisle'owi głębokim szepczącym głosem. Skojarzył mi się on natychmiast z sędziwym i głosami Aro i Kajusza, i zamarałam tuż za progiem kuchni.

Wiedziałam, że salon był zatłoczony - prawie wszyscy zeszli się zobaczyć nowych gości - ale nie dochodziły z niego prawie żadne odgłosy. Płytkie oddechy, nic więcej.

Carlisle miał się bardzo na baczności, kiedy znowu się odezwał:

- W takim razie, co was tutaj sprowadza?

- Wieści szybko się roznoszą - odparł inny głos, tak samo cichy, jak pierwszy. - Dotarły do nas pogłoski, że Volturi zmagają się przeciwko wam. I że nie zamierzacie zmierzyć się z nimi samotnie. Jak widać, były to pogłoski prawdziwe. To niezwykłe zgromadzić tyle wampirów w jednym miejscu.

- Nie zamierzamy rzucać Volturi rękawicy - oświadczył Carlisle, wyraźnie spięty. - Zaszo pewne nieporozumienie, to wszystko. Owszem, to bardzo poważne nieporozumienie, ale mamy nadzieję, że zdołamy sprawę wyjaśnić. Ci, których tu zastalście, to nasi świadkowie. Musimy tylko doprowadzić do tego, by Volturi nas wysłuchali. Nie zrobiliśmy...

- Nie dbamy o to, czy rzeczywiście dopuściliście się tego, o co was oskarżają - przerwał mu pierwszy z przybyśzów. - Nie interesuje nas to, czy złamaliście prawo, czy nie.

- Niezależnie od tego, jak odrażająca miałaby być to zbrodnia - włączył się drugi.

- Tysiąc pięćset lat czekaliśmy na to, by ktoś wreszcie sprzeciwił się tym włoskim szumowinom - oznajmił pierwszy. - Jeśli istnieje choćby nikłe prawdopodobieństwo, że tracą władzę, chcemy być tego świadkami.

- Być może nawet pomożemy wam ich pokonać - dodał drugi. Jeśli tylko uznamy, że macie szansę odnieść sukces.

Mówiąc, tak doskonale się uzupełniali i tak podobnie mieli do siebie głosi, że mniej wrażliwy słuchacz mógłby wziąć ich za jedną osobę.

- Bello? - zwrócił się do mnie Edward surowym tonem. - Przynieś, proszę, Renesmee. Może powinniśmy sprawdzić, czy warto wierzyć w zapewnienia naszych rumuńskich gości.

Pomogła mi świadomość, że w obronie mojej córki stanęłaby zapewne połowa znajdujących się w pokoju wampirów, gdyby Rumuni zareagowali na nią agresywnie. Nie podobał mi się dźwięk ich głosu ani kryjąca się w ich słowach groźba. Wszedłszy do salonu, zauważyłam, że nie tylko ja ich tak odbierałam. Większość znieruchomiałych wampirów spoglądała na nich wrogo, a kilkoro Carmen, Tanya, Zafrina i Senna - na mój widok przesunęło się dyskretnie w moją stronę, aby ustawić się w nieco bardziej obronnych pozach pomiędzy Renesmee a przybyszami.

Obaj stojący przy drzwiach Rumuni byli niscy i drobni. Jeden miał włosy ciemne, a popielaty blond włosów drugiego był tak jasny, że wydawały się być jasnoszare. Ich skóra wyglądała na tak samo cienką i suchą, jak skóra Volturi, chociaż pomyślałam sobie, że u tych dwóch aż tak bardzo nie rzuca się to w oczy. Nie miałam pewności, bo jakkolwiek by było, kiedy widziałam Volturi, dysponowałam znacznie gorszymi zmysłami człowieka. Nie mogłam dokonać godnego zaufania porównania. Oczy obcych wampirów, wąskie i bystre, miały odcień ciemnego burgunda i nie przesłaniała ich mgła. Ubrani byli w proste czarne stroje, które można byłoby uznać za współczesne, choć przynajmniej inspirowane modą sprzed wieków.

Dostrzegłszy mnie, ten z ciemnymi włosami szeroko się uśmiechnął.

- No, no, Carlisle'u. Niegrzeczny z ciebie chłopiec, nie ma co.

- Ta mała nie jest tym, za co ją masz, Stefanie.

- Niech ci będzie - stwierdził blondyn. - Jak już mówiliśmy, nam tam jest wszystko jedno.

- W takim razie, Vladimirze, zapraszamy, abyście zgodnie z swoją wolą pozostali z nami jako obserwatorzy. Chciałbym jednak podkreślić, że tak jak ja już mówiłem, nie mamy w planach zaatakowania Volturi.

- Będziemy trzymać za was kciuki - zaczął Stefan.

- I liczyć na to, że nam się poszczęści - dokończył Vladimir.

Udało nam się zyskać siedemnastu świadków - Irlandczyków: Siobhan, Liama i Maggie. Egipcjan: Amuna, Kebi, Benjamin i Tię. Amazonki: Zafrinę i Senne. Rumunów: Vladimira i Stefana oraz nomadów: Charlotte, Petera, Garretta, Alistaira, Mary i Randalla. Do tego dochodziło jedenastu członków naszej rodziny - jedenastu, jako że Tanya, Kate, Eleazar i Carmen uparli się, by zaliczyć ich właśnie do niej.

Pomijając Voltterrę, dom Cullenów stanowił najprawdopodobniej największe skupisko przyjaźnie nastawionych do siebie nieśmiertelnych wampirzej historii.

W naszych sercach zaczęła powoli kiełkować nadzieja. Nawet ją się przed tym nie uchowałam. Moja córeczka przekonała do siebie tyle osób w tak krótkim czasie! Teraz Volturi musieli tylko zechcieć na moment się zatrzymać...

Ostatni dwaj przedstawiciele wyciętego w pień klanu rumuńskich wampirów - skupieni jedynie na tym, by wreszcie się zemścić na tych, którzy piętnaście stuleci wcześniej doprowadzili do upadku ich imperium - przyjęli informację o pochodzeniu Renesmee ze stoickim spokojem. Nie zgodzili się jej dotknąć, ale też wstrętem, z kolei nasz pakt z wilkołakami wręcz podejrzenie ich uradował. Przyglądali się, jak trenuję rozciąganie swojej tarczy z Kate i Zafriną, przyglądali się, jak Edward odpowiada na niewypowiedziane na głos pytania, przyglądali się, jak Benjamin samą siłą swojego umysłu sprawia, że zaczyna wiać wiatr albo że wody rzeki strzelają pod niebo niczym gejzer, i widać było po tym, jak blyśzczały im oczy, że rodzi się w nich przekonanie, iż zianawidzeni przez nich Volturi mają nareszcie trafić na godnych siebie przeciwników.

Nie marzyliśmy o tym samym, ale wszyscy mieliśmy odwagę marzyć.

- Charlie, wiem, że minął już ponad tydzień, odkąd widziałeś Renesmee, ale nadal mamy tych gości, o których ani nie chcesz, ani nie możesz nie wiedzieć, więc odwiedzenie nas nie wchodzi w rachubę. Ale co powiesz na to, żeby wpaść z nią do ciebie?

Ojciec ucichł na tak długo, że zaczęłam się zastanawiać, czy czasem nie wychwyił, że jedyni nie udają zrelaksowaną. Ale potem odburknął:

- Ech. No tak. Ty tylko to, co muszę wiedzieć.

I zdałam sobie sprawę, że odpowiedział z opóźnieniem wyłącznie dlatego, że nadal trudno było mu być tak pogodzący się z tą całą nadnaturalną otoczką.

- Okaj, skarbie. A dacie radę zjawić się tu gdzieś tak o pierwszej? Sue ma przywieźć mi obiady. Jest tak samo przerażona moim gotowaniem, jak ty na samym początku, kiedy się do mnie przeprowadziłaś - zaśmiał się, po czym westchnął, przy pominięciu sobie stare, dobre czasy.

- Tak o pierwszej idealnie mi pasuje.

Im szybciej, tym lepiej. I tak już za długo to odkładałam.

- Przy prowadźcie z sobą Jake'a?

Charlie nie miał rzecz jasną pojęcia, co to takiego wpojenie, ale trudno było nie zauważyć, jak bardzo Jacob jest małej oddany.

- Może. Jeszcze nie wiem.

Na pewno nie miał dobrowolnie zrezygnować z popołudnia z Renesmee, za to bez wampirów.

- To może powinienem zaprosić też Billy'ego? Tyle że... Hm... Może innym razem.

Myślałam byłam gdzie indziej, więc nie słuchałam go zbyt uważnie - dość, żeby wychwytać w jego głosie jakąś dzwinną niechęć, kiedy mówił o Billym, ale nie dość, żeby martwić się, o co mu chodziło. Charlie i Billy byli obaj dorośli. Jeśli mieli z czymś problem, sami mogli sobie z nim poradzić. Ja miałam teraz na głowie ważniejsze sprawy.

- Do zobaczenia - pożegnałam się i rozłączyłam.

Za propozycją, którą mi złożyłam, kryło się coś więcej niż tylko chęć chronienia go przed dwudziestoma siedmioma wampirami, różnego temperamentu - z których każdy niby przyrzekł, że nie zabije nikogo w promieniu czterystu pięćdziesięciu kilometrów, ale kto ich tam wiedział... Oczywiście żaden człowiek nie powinien był mieć z naszymi gośćmi nic do czynienia, ale moja wizyta u ojca była przede wszystkim wymówką - fortem, którym mogłam mi dłużej oczy Edwardowi. Zabrałam Renesmee do Charliego, żeby nie przyjechał do nas - Edward nie mógł się tu do niczego przyczepić. Miałam więc dobry powód, żeby opuścić dom, ale nie był to wcale powód, dla którego tak naprawdę dom opuszczałam.

- Dlaczego nie możemy pojechać twoim ferrari? - naburmuszył się Jacob, kiedy spotkaliśmy się w garażu. Siedziałam już z Renesmee w volvo Edwarda.

Jakiś czas wcześniej mój ukochany pokazał mi wreszcie mój „samochód poślubny” i tak jak to podejrzewałam jego prezent nie wzbudził we mnie należytego entuzjazmu. Jasne, był piękny, opływowy i szybki, ale ja tak bardzo lubiłam teraz biegać...

- Za bardzo byś się wyróżniała - wyjaśniłam - a z kolei gdy byś poszła pieszo, wystraszyłabyś Charliego.

Jacob ponarząkał jeszcze trochę, ale zajął miejsce koło mnie. Renesmee przeniosła się z moich kolan na jego.

- Jak się czujesz? - spytałam, wyjeżdżając z garażu.

- A jak myślisz? - prychnął zgorzniały. - Mam te wszystkie cuchnące pijawy powyżej uszu. - Zobaczywszy moją minę, odpowiedział mi, zanim zdążyłam mu cokolwiek wypomnieć. - Wiem, wiem: to ci dobrzy, są tutaj, żeby nam pomóc, to dzięki nim wszyscy ocalejemy, i tak dalej, i tak dalej. Mów sobie, co chcesz, ale przy Panu Draculi Numer Jeden i Draculi Numer Dwa to chyba każdego muszą przechodzić ciarki.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć. Do moich ulubieńców ci dwaj goście też nie należeli.

- Tu się akurat z tobą zgodzę.

Renesmee pokręciła głową, ale nic nie powiedziała - w odróżnieniu od całej reszty, uważała Rumunów za fascynujących. Ponieważ nie chcieli jej dotykać, raz nawet zadała sobie trud, by się do nich odezwać, interesowało ją bowiem to, dlaczego mają taką niezwykłą skórę. Przestrzymałam się, że może ich obrazi tym pytaniem, ale też trochę ucieszyłam się, że na nie wpadła, bo sama też byłam tego ciekawa. Jej dociekiwość na szczęście ich nie uraziła - może tylko odrobinę posmutniała.

- Przez bardzo długi czas siedzieliśmy zupełnie nieruchomo - wyznał Vladimir. Przy słuchającym mu się Stefan od czasu do czasu kiwał głową, ale nie kończył tym razem za swojego kompana zdań, jak to miał w zwyczaju. - Widzisz, dziecko, kontemplowaliśmy własną boskość. Mieliliśmy ogromną władzę, a najlepszym tego dowodem było to, że wszyscy sami do nas ciągnęli: i dyplomaci, i inni ludzie, którzy chcieli używać od nas jakieś korzyści, i ci, którzy mi mogliśmy się pożywić. Siedzieliśmy tak na naszych tronach i mieliśmy się za bogów. Przez długi czas nie zauważyliśmy, że się zmieniamy - że niemalże przeobrażiliśmy się w kamienne posągi. Przy puszczam, że Volturi wyświadczyli nam przysługę, kiedy spalili nasze zamki. Przy najmniej Stefan i ja wyrwaliśmy się z tego letargu. Teraz oczy Volturi pokryte są obrzydliwą przykurzoną błoną, ale nasze nadal są bystre. Sądzę, że będziemy mieli dzięki temu nad nimi przewagę, kiedy przyjdzie nam je im wyłupić.

Po tym incydencie starałam się trzymać małą od nich z daleka.

- Jak długo będziemy mogli siedzieć u Charliego? - przerwał moje rozmyślenia Jacob. Wyraźnie się rozluźnił, kiedy zostawiliśmy dom i jego nowych mieszkańców za sobą, z czego wynikało, że mnie samej tak do końca za wampira nie miał. Odebrałam to jako wielki komplement. Dla niego byłam nadal po prostu Bellą.

- Tak się składa, że całkiem długo.

Coś w tonie mojego głosu wzbudziło jego uwagę.

- Czy tylko odwiedzamy twój tatę, czy robimy przy okazji coś jeszcze?

- Wiesz, Jake, muszę przyznać, że kiedy Edward jest w pobliżu, jesteś naprawdę dobry w kontrolowaniu swoich myśli.

Jedną z jego gesty ch, czarnych brwi powędrowała do góry.

- Tak?

Skinięłam tylko głową i przeniosłam wzrok na Renesmee. Wyglądała przez okno, więc trudno mi było ocenić, jak bardzo jest zainteresowana tym, o czym rozmawiamy. Postanowiłam, że lepiej będzie przy niej nie ryzykować.

Jacob spodziewał się, że coś jeszcze dodam, a niczego się nie doczekawszy, wypchnął dolną wargę przed górną, zastanawiając się nad tym, co powiedziałam.

Reszta drogi przesiedzieliśmy w milczeniu. Mrużyłam oczy, próbując coś wypatrzeć przez irytujące kontakty i strugi lodowatego deszczu - cały czas nie było dostatecznie zimno na śnieg. Moje tęczołki miały już nieco mniej przerażający kolor niż po przemianie - jaskrawy szkarłat ustąpił matowej ciemnej pomarańczy.

Wrócić miały stać się dostatecznie bursztynowe, bym mogła porzucić soczewki. Miałam nadzieję, że Charliego ta zmiana zbytnio nie zestresuje.

Kiedy zjechalismy na miejsce, Jacob nadal analizował naszą krótką wymianę zdań, ale podbiegając w ludzkim tempie do ganku, żeby nie zmoknąć, nie zamienił się ze sobą ani słowa. Ojciec musiał nas wypatrywać - otworzył drzwi, zanim do nich zapukalam.

- Kogo my tu mamy? Kurczę, wydaje mi się, że lata jej nie widziałem! Tylko spójrz na siebie, Nessie! No, chodź do dziadka! Przysiągłbym, że urosłaś z piętnaście centymetrów! Ale chyba schudłaś, co, Ness? - Posłał mi spojrzenie pełne wyrzutu. - Nie karmią cię tam czy co?

- To dlatego, że tak wystrzeliła - usprawiedliwiłam się. - Cześć, Sue! - zawołałam mu przez ramię. Z kuchni pachniało już kurczakiem, pomidorami, czosnkiem i serem - dla pozostałych musiała być to pewnie bardzo miła woń.

Czułam też w powietrzu sosnowe igły i kurz.

W policzkach Renesmee ukazały się uroczę doleczki. Przy Charliem nigdy się nie odzywała.

- Wchodźcie, dzieci. Nie stójcie tak na zimnie. A gdzie mój zięć?

- Podejmuje znajomych - odparł Jacob, a potem prychnął. - Wierz mi, Charlie, masz wielkie szczęście, że nie jesteś w nie wtajemniczany. Nie więcej nie powiem.

Ojciec skrzywił się, a ja dałam Jake'owi sółkę w bok.

- Auć - syknął cicho, starając się ukryć to przed Charliem.

Hm. A sądziłam, że robię to delikatnie.

- Muszę lecieć - oznajmiłam. - Mam kilka rzeczy do załatwienia.

Jacob zerknął na mnie, ale nijak tego nie skomentował.

- Co, Bells - zdrwił Charlie - nie kupiłaś jeszcze wszystkich prezentów? Pamiętaj, że do Gwiazdki zostało jeszcze tylko parę dni.

- Tak mam w tym roku mały poślizg - wybąkałam. Nawet jako wampir nie umiałam kłamać. To stąd ten kurz. Ojciec musiał wyjść z pudeł ozdoby bożonarodzeniowe.

- Nic się nie martw, Nessie - szepnęła małej do ucha. - Jeśli mama da plamę, jestem zabezpieczony.

Wywróciłam oczami, ale prawda była taka, że sprawa świąt zupełnie wyłączała mi z głowy.

- Obiad gotowy! - zawołała Sue z kuchni. - No, chodźcie jeść!

- Do zobaczenia, tato - powiedziałam.

Wymieniłam się z Jacobem krótkie spojrzenia. Nawet gdyby zawiodła go samokontrola i przypominałby sobie tę scenę przy Edwardzie, przy najmniej nie mógłby się niczym z nim podzielić. Nie miał pojęcia, co kombinuję.

Cóż, pomyślałam wsiadając do samochodu. Ja też nie miałam.

Szosa była ciemna i śliska, ale zupełnie się już tym nie przejmowałam. Miałam teraz taki refleks, że prowadząc auto, nie musiałam wcale koncentrować się na drodze. Jedynym problemem było niezwracanie na siebie uwagi nadmierną prędkością, kiedy miałam jakieś towarzystwo. Chciałam mieć już dzisiejszą misję za sobą, rozwiązać wreszcie zagadkę pozostawioną przez Alice, żeby móc z powrotem zabrać się do tego, co było mi najbardziej potrzebne - do nauki. Nauki tego, jak niekiedy chronić, a innych zabijać.

Z rozziębieniem tarczy rzuciłam sobie coraz lepiej. Odkąd dowiedziałam się, co prowokowało u mnie najsilniejszą reakcję, zawsze z łatwością znajdowałam sobie jakiś powód do gniewu, więc Kate nie odczuwała już potrzeby, bym dodatkowo motywowała, i pracowałam głównie z Zafriną. Amazonia była zadowolona z moich wyników - chociaż bardzo mnie to wyčerpywało, potrafiłam wytworzyć wokół siebie osłonę o średnicy trzech metrów i utrzymać ją przez ponad minutę. Tego rana sprawdziłyśmy coś zupełnie nowego - czy zdołabym odseparować tarczę od swojego umysłu. Nie rozumiала, jak miałam pożytek z takiej umiejętności, ale Zafrina była zdania, że ćwiczenie jej bym zmocniło, podobnie jak ćwiczenie mięśni brzucha i pleców, zamiast jedynie ramion. Z czasem, gdy wszystkie mięśnie stawały się silniejsze, można było podnieść większy ciężar.

Nie byłam w tym za dobra. Tylko raz mignęła mi przed oczami rzeka w sercu dżungli, którą Zafrina usiłowała mi pokazać.

Istniały też inne sposoby na przygotowanie się do tego, co się zbliżało, a ponieważ zostały nam jeszcze tylko dwa tygodnie, martwiłam się coraz bardziej, że być może zaniedbuję metodę najważniejszą ze wszystkich. Dzisiaj zamierzałam wreszcie zarządzić temu przeczeniu.

Wyuczylam się na pamięć wszystkich odpowiednich map, nie miałam więc żadnej kłopotów z dotarciem pod adres pozostawiony mi przez Alice, a nie występujący w Internecie - ten należący do niejakiego J. Jenksa. Moim następnym krokiem miało być namierzenie Jasona Jenksa pod adresem, którego Alice mi nie podała, a który z kolei znalazłam przy pomocy wyszukarki.

Nazwanie tej części Seattle niezbyt atrakcyjną byłoby nieudowieniem. Najbardziej normalny z samochodów Cullenów wydawał się być tu zjawiskiem rodem z innej planety. Nawet moja stara furgonetka prezentowałaby się tu całkiem przyzwoicie. Gdybym była jeszcze człowiekiem, zablokowałabym wszystkie drzwiczki i docisnęła pedał gazu, ale teraz nie miałam się czego bać, rozglądałam się więc tylko zafascynowana. Próbowałam sobie wyobrazić, co w takim miejscu mogłaby porabiać Alice, i wyobrażania mnie zawodziła.

Po obu stronach ulicy stał rząd wąskich dwupiętrowych czeregówkowców pochylających się nieco ku chodnikom, jakby przygniatał je do ziemi biczący jej deszcz. Domy podzielono w większości dawno temu na osobne mieszkania. Ciężko było określić, jaki pierwotnie miała kolor luszcząca się farba na ich fasadach - teraz królowały tu różne odliczenia szarości. W kilku budynkach na parterze mieściły się jakieś przybiki: brudny bar o oknach pomalowanych na czarno, sklep ezoteryczny z pulsującymi neonami w kształcie dłoni i kart do tarota na drzwiach, studio tatuażu i złobek z rozbitą szybą sfilejoną srebrną taśmą izolacyjną. W żadnym z okien nie świeciły się lampy, chociaż było dostatecznie pochmurno, by ludzie w środku potrzebowali dodatkowego światła. Z oddali dochodziły stłumione głosy - ktoś miał chyba włączony telewizor.

W zasięgu wzroku znajdowało się tylko kilka osób: dwoje kulających się w deszczu przechodniów idących każdy w inną stronę i jakiś facet siedzący na zadaszonym ganku kancelarii prawniczej o zabitych deskami oknach, specjalizującej się w obsłudze biedaków. Mężczyzna z ganku czytał mokrą gazetę i pogwizdywał, a wesołe dźwięki, które z siebie wydobywał, pasowały do otaczającej go sceny, jak kwiatek do koczucha.

Tak mnie zbilo z pantyku ku to jego beztrośnie pogwizdywanie, że dopiero z opóźnieniem zorientowałam się, że opuszczony budynek kancelarii to właśnie miejsce, którego szukałam. Na odrapanych murach nie było wprawdzie żadnej pomocnej tabliczki, ale studio tatuażu tuż obok miało numer o dwa niższy.

Podjechałam do krawężnika, ale przez chwilę nie wyłączałam jeszcze silnika. Jakoś tam na pewno miałam dostać się do środka tej rudery, ale musiałam się zastanowić, jak to zrobić, nie wzbudzając podejrzeń faceta z gazetą. Może powinienam była zaparkować przecznicę dalej i zabrać się od tyłu? Ale tam mogło kręcić się jeszcze więcej ludzi. A gdyby tak dojechać tu po dachach? Czy byłoby dostatecznie ciemno, by nikt mnie nie zauważył?

- Ej, proszę pani! - zawałał do mnie nieznamy z ganiku.

Udając, że nie słyszę go za dobrze przez szybę, otworzyłam okno od strony pasażera. Mężczyzna odłożył gazetę na bok ukazując mi się po raz pierwszy w całej okazałości. Zdziwiłam się, bo poza swoim długim, brudnym płaszczem i burzą skłotnionych czarnych włosów, prezentował się zaskakująco elegancko. Nie wiał wiatr, więc nie czułam zapachów tkanin, ale jego polykająca ciemnoczerwona koszula wyglądała na jedwabną. Śniadą skórę miał czystą i gładką, a zęby białe i proste. Czyżby tylko przebrał się za włóczęgę?

- Nie radziłbym zostawiać tutaj takiego wozu - powiedział. - Może go pani tu nie zastać po powrocie.

- Dziękuję za ostrzeżenie.

Zgasiłam silniki i wysiadłam z auta. Może bardziej niż wlamywać się do kancelarii opłacało mi się pociągnąć pogwizdującego dzentelmena za język.

Otworzyłam swój wielki, szary parasol - tak naprawdę nie dbałam o to, czy wilgoć zniszczy moją kaszmirową sukienkę, ale musiałam zachowywać się jak zwykła kobieta.

Mężczyzna zmrucił oczy, żeby przez strugi deszczu dojrzeć moją twarz. Zaraz potem szeroko je otworzył i przełknął głośno ślinę. Podchodząc bliżej, usłyszałam, że serce bije mu coraz szybciej.

- Szukał kogoś - zaczęłam.

- A ja niewątpliwie jestem kimś - odparł z uśmiechem. - Co mogę dla ciebie zrobić, ślicznotko?

- Czy nazywa się pan Jenks?

- Och. - Spowaźniał momentalnie. Wstał, po czym omiół mnie badawczym spojrzeniem. - A w jakiej sprawie szuka pani Dżeja?

- Nie pański interes. - Zresztą, nie miałam przecież pojęcia. - Czy pan to Jenks?

- Nie.

Staliśmy przez dłuższy czas w milczeniu, podczas gdy jego bystre oczy przesuwały się to w górę to w dół mojej obcisłej jasnoszarej sukienki. W końcu podniósł głowę i nasze spojrzenia się spotkały.

- Nie przypominam pani tych, których zazwyczaj obsługuję.

- Chyba nie jestem taką zwyczajną klientką - przyznałam - co nie zmienia faktu, że muszę widzieć się z Jenksem jak najszybciej.

- Nie jestem pewien, jak panią potraktować - przyznał.

- Może powie mi pan na początek, jak ma pan na imię?

Uśmiechnął się szeroko.

- Max.

- Miło cię poznać, Max. To teraz może mi powiedz, jak traktujesz zwyczajnych klientów Dżeja, co?

Zmarszczył czoło.

- Cóż, klienci Dżeja, których widuje się w tych stronach, nie wyglądają tak jak ty. Tacy jak ty nawet tu nie zagląдают, tylko wałają prosto do jego drugiego biura, takiego w wieżowcu, ze skórzanymi kanapami.

Podalam mu drugi adres, którym dysponowałam.

- Tak to tam - potwierdził. Znowu zrobił się podejrziwy. - Jak to się stało, że trafiłaś tutaj a nie tam?

- To pod tym adresem polecono mi go szukać. Powiedziała mi to bardzo zaufana osoba.

- Jesteś pewna? To nie jest miejsce dla grzecznych dziewczynek. Zaciśnęłam usta. Nigdy nie byłam dobra w bluffowaniu, ale nie miałam wyboru.

- Może wcale nie jestem grzeczną dziewczynką.

Max wydawał się być w kropce.

- Słuchaj, ślicznotko...

- Mam na imię Bella.

- Okej, niech będzie Bella. Widzisz, Bella, nie chcę stracić tej roboty. Nie muszę właściwie robić nic poza tym, że tu wysiaduję, a Dżej dobrze mi płaci. Wierz mi, chciałbym ci pomóc, ale... Oczywiście mówię ci to tylko nieoficjalnie, jasne? Czy jak to tam określić. W każdym razie, niech to zostanie między nami, okej? Problem polega na tym, że jeśli dopuszczę do niego kogoś, przez kogo mógłby mieć jakieś kłopoty, no to będę miał przechlapane. Wyleje mnie. Rozumiesz mój dylemat?

Zamyśliłam się, przygryzając nerwowo dolną wargę.

- Nigdy nie przyszedł tu nikt, kto by przypominał mnie z wyglądu? No, nie tak do końca - moja siostra jest o wiele ode mnie niższa i ma krótkie, czarne, sterczące włosy.

- Dżej ma twoją siostrę?

- Tak myślę.

Max podrapał się po głowie. Uśmiechnęłam się do niego i z wrażeń przez moment nierówno oddychałam.

- Mam pomysły - oznajmił. - Zadzwonię do Dżeja i opiszę mu ciebie przez telefon. Niech sam podejmie decyzję.

Ile wiedział J. Jenks? Czy mój opis miał mu się z czymkolwiek skojarzyć? Oto było pytanie.

- Nazywam się Cullen - wyjawiałam Maksowi, modląc się, żeby ta szczerość nie wpakowała mnie w jakieś tarapaty. Byłam coraz bardziej zła na Alice. Czy naprawdę musiałam działać po omacku? Wystarczyłaby jedna mała dodatkowa wskazówka...

- Cullen, mam.

Z łatwością podejrzalam, które przycisnął klawisze. Cóż, gdyby to nie wypaliło, mogłam później sama skontaktować się z jego tajemniczym pracodawcą.

- Cześć, Dżej. Tu Max. Wiem, że miałem korzystać z tego numeru tylko w sytuacjach awaryjnych...

- Czy to sytuacja awaryjna? - spytał rzeczowym tonem męski głos.

Dla śmiertelnika byłby niesłychany.

- No, niezapelnie. Jest tu ze mną dziewczyna, która chciałaby się z tobą zobaczyć...

- I tylko dlatego mnie niepokoisz? Dlaczego nie zastosowałeś zwykłej procedury?

- Nie zastosowałem normalnej procedury, bo to nie taka zwykła dziewczyna.

- To glina?

- Nie, skąd.

- Tego nigdy nie możesz być pewny. A może to ktoś od Kubarewa?

- Nie, nie. Hej, daj mi to wyjaśnić, dobra? Mówi, że zaszłej siostrę.

- Szczerze w to wątpię. A jak wygląda?

- Hm... - Max zmierzył mnie wzrokiem z miną znawcy. - Jakby się tu urwała prosto z wybiegu. - Mrugnął do mnie porozumiewawczo. - Ciało supermodelki, błada jak ściana, ciemnobrązowe włosy prawie do pasa i przydałoby jej się przespacia kilka godzin. Brzmi znajomo?

- Niestety nie - odpowiedział oschle Jenks. - Martwisz mnie, Max. Przez swoją słabość do pięknych kobiet pozwalasz sobie...

- Przyznaję - przerwał mu - takie zawsze mają u mnie przody, ale co w tym złego? Już się rozłączam i po krzyku. Przepraszam za zwracanie głowy.

- Nazwisko - podpowiedziałam mu szeptem.

- A tak Czekaj, Dżej, może to coś ci powie. Ta dziewczyna nazywa się Bella Cullen.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła głucha cisza, a potem Jenks zaczął nagle wydzierać się jak opętany, używając słów, jakie rzadko można usłyszeć poza parkingami i dla tirów. Max przeszedł całkowitą metamorfozę - pobladł mu wargi, a po jego kpiarskiej postawie nie zostało ani śladu.

- Bo nie spytałeś! - wrzasnęła, spanikowany.

Jenks zamilkł. Pewnie próbował się uspokoić.

- Piękna i błada? - upewnił się, na nowo opanowany.

- Już ci mówiłem, że tak.

Piękna i błada? Co ten człowiek wiedział o wampirach? Czy sam był jednym z nas? Nie byłam przygotowana na tego typu konfrontację. Zazgrzytałam zębami. W co mnie ta Alice najlepszego wpakowała?

Max przeczechał cierpliwie kolejny wybuch agresji szefa, ale wyłapawszy spośród stęka obelg pewne instrukcje, zerknął na mnie, niemalże przerażony.

- Przecież klientów z średniowiecia przyjmujesz zawsze tylko w czwartki... Okej, okej. Jasne, już się robi.

Zamknął telefon.

- Chce się ze mną spotkać? - spytałam z nadzieją.

Max spojrzął na mnie z wyrzutem.

- Trzeba mi było powiedzieć, że jesteś klientem priorytetowym.

- Nie wiedziałam, że nim jestem.

- Myślałam, że może jesteś gliną - przyznał. - To znaczy, nie wyglądasz jak glina. Ale też nie zachowujesz się normalnie.

Wzruszyłam ramionami.

- Kartel narkotykowy? - strzelił.

- Kto, ja?

- No tak. Albo twój chłopak czy coś.

- Nie, przykro mi, nie trafiłeś. Jestem z zupełnie innej bajki. Mój mąż też. My to bardziej z tych, co *just say no** [just say no - ang. „po prostu powiedz nie” - hasło niezwykle popularnej w USA kampanii z lat 80. przeciwko braniu narkotyków, które weszło do języka potocznego - przyp. tłum.]

Max zmieł w ustach przekleństwo.

- Mężatka? Ech, coś nie mam szczęścia.

Uśmiechnęłam się.

- Mafia? - zgadywał dalej.

- Nie.

- Przemysłamentów?

- Błagam, Maxi! Czy to właśnie z takim i ludźmi stykasz się zwykle w pracy? Może powinienes się jednak rozzejrzeć za jakąś inną posadą.

Musiałam przyznać, że rozmowa z nim sprawiała mi i nawet pewną przyjemność. Poza Charliem i Sue nie miałam styczności z żadnymi śmiertelnikami. Zabawnie było przyglądać się, jak biedak stara się gdzieś mnie przypoasać. Cieszyło mnie też to, że nie miałam najmniejszej ochoty go zabić.

- Musisz być zamieszana w jakąś większą aferę - dedukował.

- W jakąś naprawdę cuchnącą sprawę.

- I tu się mylisz.

- Tak? Wszyscy tak mówią. Ale kto inny potrzebuje lewych papierów? Albo raczej, kto inny ma tyle forsy, żeby go było na nie stać po cenach Dżeja. To zresztą nie mój interes - dodał. - Mężatka! - mrugnął pod nosem.

Podał mi trzeci z kolei adres Jenksa i wyjaśnił pokrótce, jak dojechać. Kiedy odjeżdżałam, odprawiał mnie wzrokiem, a na jego twarzy malowały się podejrziwość i żal.

Po spotkaniu z Maksym byłam gotowa niemal na wszystko - nawet na zamaskowaną, ultranowoczesną kwatere godną przeciwnika Jamesa Bonda. Na miejscu pomyślałam, że albo jako test dostałam zły adres, albo kwatery Jenksa mieściła się pod ziemią, gdzieś pod tą zwyczajną handlową ulicą tułącą się do zbrocza zalesionego wzgórze w spokojnej willowej dzielnicy.

Zaparkowałam i wysiadłam z wozu, zerknęłam ku górze. Gustowny szyld głosił, iż w budynku poniżej mieści się kancelaria prawnicza Jasona Scotta.

Biuro urządzone było na beżowo z jasnozielonymi akcentami - neutralnie, schludnie i bez żadnych szaleństw, poza wbudowanym w ścianę akwarium. Nie wychwycałam w powietrzu woni wampira, co pozwoliło mi się rozluźnić - czekało mnie jedynie spotkanie z nieznanym mi człowiekiem.

Za biurkiem siedziała ladniutka jasnowłosa recepcjonistka.

- Dzień dobry - przywitała mnie. - Czym mogę pani służyć?

- Chciałabym się zobaczyć z panem Scottem.

- Czy była pani umówiona?

- Niezupełnie.

W łącikach ust kobiety zamajaczyły złośliwy uśmiešek.

- W takim razie będzie musiała pani trochę poczekać. Proszę sobie usiąść, a ja...

- April! - zagrział zmienacka przez intercom jej szef. - Lada chwila ma się tu zjawić niejaka pani Cullen.

Triumfalnie wskazała na siebie.

- Niezwłocznie ją do mnie przyslij, zrozumiano? Wszystko inne może poczekać.

W jego głosie slychać było coś więcej niż tylko zniecierpliwienie. Zzerały go nerwy.

- Pani Cullen już tu jest - poinformowała go April, gdy tylko dał jej dojść do głosu.

- Co takiego? No to przyslij ją do mnie! Na co czekasz?

- Już się robi, panie Scott!

Trzępcząc rękami, zerwała się na równe nogi, po czym poprowadziła mnie krótkim korytarzem w głąb biura, dopytując się, czy nie chcę czasem kawy albo herbaty, albo jeszcze czegoś innego.

- Proszę - powiedziała, otwierając przede mną jedne z drzwi.

Przekroczywszy próg, znalazłam się w typowym gabinecie poważnego biznesmena z olbrzymim biurkiem z ciemnego drewna oraz niską, szeroką komodą z wielkim lustrem nad blatem.

- Zamknij za sobą drzwi - poinstruował April ochryplym tenorem.

Podczas gdy recepcjonistka wycofywała się pospiesznie, przyjrzałam się niskoemu mężczyźnie siedzącemu za biurkiem. Miał jakieś pięćdziesiąt pięć lat, spory brzuszek i postępującą łysinę. Ubrany był w błękitną koszulę w białe prążki i czerwony jedwabny krawat - na oparciu jego obrotowego fotela wisiał granatowy blezer. Prawnik drażał, jego twarz miała niezdrowy blade kolor, a czoło było zszarzone mu od potu. Wyobraziłam sobie, jak pod warstwą tłuszczu otaczającą jego żołądek ukryty wrzód powoli szykuje się do perforacji.

Dżej wziął się w garść i chwając się lekko, wstał, by podać mi rękę ponad blatem biurka.

- Miło mi panią poznać, pani Cullen.

Podeszłam bliżej i uściśnęłam jego dłoń. Skrzywił się, dotykając mojej lodowatej skóry, ale też nie wydał się być jej temperaturą zaskoczony.

- Witam, panie Jenks. A może raczej panie Scott?

Znowu się skrzywił.

- Co pani woli. Klient nasz pan.

- To może proszę nazywać mnie Bella, a ja będę mówiła do pana Dżej, dobrze?

- Jak starzy znajomi - zgodził się, ocierając sobie czoło jedwabną chusteczką. Pokazał mi gestem, żebym usiadła, i sam także opadł na swój fotel. - Czy nareszcie mam przyjemność poznać uroczą małżonkę pana Jaspera?

Czyli ten człowiek znał Jaspera, a nie Alice! Nie tylko go znał, ale najwyraźniej się go bał.

Zamyśliłam się nad tym na sekundę.

- Nie, niestety. Tak się składa, że jestem jego szwagierką. Mężczyzna zacisnął usta. Chyba podobnie jak ja, zachodził w głowę, co jest grane.

- Mam nadzieję, że u pana Jaspera wszystko w porządku? - spytał ostrożnie.

- Z pewnością. Zrobił sobie właśnie przedłużone wakacje. Moje wyjaśnienie odpowiedziało mu chyba na kilka dręczących go pytań.

- To dobrze, to dobrze. - Pokiwał głową i zetnął ze sobą opuszczone palców obu dłoni. - Powinnaś była zgłosić się wprost do mojego głównego biura, Bello. Moi asystenci bez problemów by cię do mnie dopuścili. Nie było potrzeby w tym wypadku bawić się konspiracją.

Nie nie powiedziałam. Nie byłam pewna, dlaczego Alice podała mi właśnie adres w slumsie.

- No cóż, najważniejsze, że się spotkaliśmy. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Potrzebne mi papiery - oświadczyłam, starając się mówić tonem osoby, która wie, czego chce, i jest w tego typu sprawach doskonale zorientowana.

- Oczywiście. - Moja prośba na szczęście nie zbiła Dżej z tropu. - Akty urodzenia, akty zgonu, prawo jazdy, paszporty, legitymacje ubezpieczeniowe?..

Odetchnęłam z ulgą. Miałam u Maksa dług wdzięczności.

Ale zaraz potem uśmiech zniknął z mojej twarzy. Alice przysłała mnie tu nie bez powodu, a powodem tym, jak się domyślałam, była chęć chronienia Renesmee. Tylko tyle moja przyjaciółka mogła dla mnie zrobić przed swoim zniknięciem - spróbować zadać o to, co uważałam za najważniejsze.

Tyle że Renesmee musiałaby skorzystać z usług fałszerza, jedynie gdyby reszta życia miała spędzić ukrywając się przed Volturi. A ukrywać się przed nimi musiałaby tylko wtedy, gdybyśmy przegrali.

Gdyby miał się z nią ukrywać Edward lub ja sama, nie potrzebowałyby dokumentów tak od razu. Byłam przekonana, że mój ułochany albo wiedział, jak je zdobyć, albo umiał sporządzić je własnoręcznie, albo też znał sposoby na to, jak uciekać bez nich. Moglibyśmy przebiec z małą w objęciach tysięcy kilometrów. Moglibyśmy przepłynąć z nią przez dowolny ocean.

Gdybyśmy tylko mogli z nią być.

I jeszcze to utrzymywanie wszystkiego w tajemnicy przed Edwardem. Bo istniało duże prawdopodobieństwo, że jeśli się o czymś dowie, to później dowie się o tym z jego myśli Aro. Gdybyśmy przegrali, przed egzekucją Edwarda Aro z pewnością wydobłoby od niego informacje, na których mu zależało.

Sprawdzały się wszystkie moje najgorsze przypuszczenia. Nie mogliśmy wygrać. Skoro miałam wykłpować Renesmee na ucieczkę, mieliśmy jedynie spore szanse na zabicie Demetriego, nim sami zginemy.

Moje nieruchome serce zaczęło ciężać mi, niczym głaz. Cała moja nadzieja ułotniła się, jak mgła w promieniach słońca. Oczywiście zapiekły.

Komu miałam przydzielić tak odpowiedzialne zadanie? Charlie'emu? Ale Charlie był tak żałośnie bezbrorny. Jak zresztą miałabym przekazać mu Renesmee? Nie mogłam przecież dopuścić do tego, by czekał w pobliżu pola bitwy. Pozostawała więc tylko jedna osoba. Właściwie to od samego początku było wiadomo, na kogo padnie.

Przemysłałam to wszystko tak szybko, że z punktu widzenia Dżej nawet się nie zawaahałam.

- Dwa akty urodzenia, dwa paszporty i jedno prawo jazdy - wyrecytowałam.

Jeśli zauważył, że zrobiłam się spięta, nie dał tego po sobie poznać.

- Na nazwisko?..

- Jacob... Wolfe. L.. Vanessa Wolfe.

Nessie pasowało na zdrobnienie od Vanessy, a Jacob miałby ubaw z bycia Wolfem* [Wolf - ang. wilk - przyp. tłum.]

Jenks odnotował sobie moje wymagania w notesie.

- Jakies drugie imiona?

- Dowolne, byleby się nie wyróżniały.

- Jak sobie życzysz. W jakim wieku mają być to osoby?

- Mężczyzna ma mieć dwadzieścia siedem lat, a dziewczynka pięć.

Jacob bez trudu mógłby uchodzić za kogoś przed trzydziestką - był przecież taki wielki. A przy tempie wzrostu Renesmee, lepiej było zaważyć niż zaniżyć. Jaki mógł udawać jej ojczyca...

- Jeśli chcesz wykończone dokumenty, będę jeszcze potrzebował zdjęć tych osób - przerwał moje rozmyślenia Dżej - chyba że, podobnie jak pan Jasper, wolałabyś je wykończyć sama.

To by wyjaśniało, czemu nie wiedział, jak wygląda Alice.

- Nie, nie - powiedziałam. - Chcę wykończone. Jedną chwilęczkę.

Szczęśliwym trafem miałam w portfelu cały plik fotografii swoich najbliższych, w tym jedną, która idealnie się nadawała - miała niespełna miesiąc i przedstawiała Jacoba na schodkach werandy z Renesmee na rękach. Alice dała mi ją zaledwie kilka dni przed tym, jak nas opuściła...

Och.

Dotarło do mnie, że może wcale nie był to zbieg okoliczności. Alice wiedziała, że mam to konkretne zdjęcie. Może nawet, kiedy mi je wręczała, nawiedziła ją jakaś mglista wizja.

- Proszę.

Jenks spojrział na fotografię.

- Twoja córeczka jest bardzo do ciebie podobna.

Zamarłam.

- Bardziej wdała się w swojego ojca.

- Którym nie jest jednak ten mężczyzna. Dotknął palcem twarzy Jacoba. Zmroziłam go spojrzeniem. Na jego czoło pojawiły się nowe krople potu.

- Nie. To bardzo bliski przyjaciel rodziny.

- Proszę mi wybaczyć - wymamrotał, znowu coś notując. - Na kiedy potrzebne są ci te papiery?

- Czy dałoby się załatwić je w tydzień?

- To szybki termin. Cena będzie dwukrotnie wyższa. Ale o czym ja mówię? Zapomniałem, z kim mam do czynienia.

Najwyraźniej miał po wzytach Jaspera i dobre wspomnienia.

- Proszę po prostu wymienić sumę.

Wydał mi się nie być skory do wypowiedzenia jej na głos, chociaż byłam pewna, że wiedział już, iż cena nie gra dla nas roli. Nawet gdyby nie brać pod uwagę rozsianych po całym świecie kont bankowych należących do różnych członków rodziny, w samym domu Cullenów pochowano po łatach dość gotówki, by utrzymać jakiś kraik przez dobre dziesięć lat. U Charliego w tyle dowolnej szafłady można się było natknąć na setkę haczyków do wędkowania - u Cullenów podobną rolę spełniały banknoty. Wątpiłam, by ktokolwiek miał się zorientować, że nieco z nich sobie dzisiaj przywłaszczylam.

Dżej zapisał długą liczbę u dołu kartki. Nawet nie drgnęła mi powieka. Sknęłam głową. Miałam przy sobie znacznie więcej. Sięgnąwszy znowu do torebki, odczytywałam właściwą kwotę - nie zajęło mi to dużo czasu, bo miałam wszystko pospinaane w pliki po pięć tysięcy dolarów każdy.

- Oto pieniądze.

- Och, Bello, nie musisz płacić mi całej sumy już teraz. Zwyczajowo na tym etapie biorę tylko połowę, a drugą, dla własnego bezpieczeństwa, klient wykłada dopiero przy odbiorze.

Obdarzyłam zdenerwowanego prawnika bladej uśmiechem.

- Ależ ja ci ufam, Dżej. A poza tym masz u mnie bonus - przy odbierze dokumentów dam ci jeszcze drugie tyle.

- Zapewniamsię, że to absolutnie zbyteczne.

- Nalegam. - I tak nie mogłam ich wziąć z sobą. - Czyli widzimy się tu za tydzień o tej samej porze?

Posłał mi spojrzenie cierpiętnika.

- Jeśli mam być szczerzy, preferuję przeprowadzać takie transakcje w miejscach niezwiązanych z prowadzoną przeze mnie działalnością zawodową.

- Oczywiście. Przepsraszam, że nie robię nic tak jak byś się tego mógł spodziewać.

- Doświadczzenie nauczyło mnie, że jeśli w grę wchodzi rodzina Cullenów, nie można niczego zakładać z góry. - Skrzywił się mimowolnie, ale zaraz się opanował. - Czy możemy się spotkać za tydzień o ósmej wieczorem w restauracji Pacifico? To nad Lake Union. Podają tam wyśmienite jedzenie.

- Świetnie - powiedziałam, chociaż zjęść z nim kolacji nie miałam najmniejszego zamiaru. Gdyby mi się przy nim posiliła, straciłby zresztą apetyt.

Podniosłam się z fotela i ponownie uściśnęłam mu dłoń. Nie wzdrgnął się tym razem, ale po jego zacisniętych wargach i spiętych karku poznałam, że coś go trapi.

- Czy będziesz miał kłopot z tym, żeby zająć na czas? - spytałam.

- Co? - Myślałam był już gdzie indziej. - Czy zdąży na czas? O tak, na pewno. O nic się nie martw. Za tydzień w Pacifico dostaniesz cały komplet.

Załowalam, że nie ma przy mnie Edwarda i nie mogę się dowiedzieć, co też tak naprawdę Dżęja niepokoi. Westchnęłam. Utrzymywanie rzeczy w sekrecie przed moim ukochanym stanowiło trudne zadanie, ale przebywanie z dala od niego było jeszcze gorsze.

- W takim razie, do zobaczenia.

Usłyszałam muzykę, jeszcze zanim wysiadłam z samochodu. Edward nie dotknął pianina od dnia, w którym opuściła nas Alice. Gdy zatrasnęłam drzwiczki, melodia przeszła zgrabnym pasażerem w moją kolesankę. Edward grał ją na moje powitanie.

Poruszając się powoli, wyciągnęłam z auta Renesmee. Po całym dniu poza domem spała jak kamień. Jacoba zostawiłyśmy u Charliego, bo powiedział, że zabierze się z Sue do La Push i odwiedzi Billy'ego. Podejrzewałam, że przed konfrontacją z Edwardem woli wypełnić swój umysł najróżniejszymi, mało ważnymi obrazami, byle tylko przesłonić nimi to, jaki miałam wyraz twarzy, kiedy wróciłam z Seattle.

Idąc w kierunku drzwi, wyczułam wręcz bijącą od wielkiego białego domu nadzieję. Kiedy wychodziłam z niego kilka godzin wcześniej, panująca w nim atmosfera jeszcze mi się udzielała. Teraz odbierałam ją jako coś całkowicie mi obcego.

Kiedy usłyszałam, że Edward dla mnie gra, znowu zachciało mi się płakać, ale wiedziałam, że nie mogę pozwolić sobie na chwilę słabości. Edward nie mógł się zacząć niczego domyślać. Byłam gotowa na wiele, byle tylko nie zostawić w jego umyśle żadnych wskazówek dla Aro.

Weszłam do środka. Edward uśmiechnął się do mnie, ale nie przestał grać.
- Witaj w domu - powiedział, jak gdyby był to zupełnie zwyczajny wieczór. Jak gdyby w salonie nie znajdowało się oprócz niego dwanaście innych wampirów, a drugie tyle nie kręciło się w najbliższej okolicy. - I jak wam minął dzień z Charliem?

- Bardzo miło. Przepraszam, że tak długo nas nie było. Wyskoczyłam kupić prezent gwiazdkowy dla Renesmee. Wiem, że nie będziemy w tym roku jakoś szczególnie hucznie świętować, ale niech ma chociaż to... - Wzruszyłam ramionami.

Edward zasępił się. Przerwał grę i nie wstając z taboretu, obrócił się do mnie przodem, po czym przyciągnął mnie jedną ręką do siebie.
- No tak święta. Nawet się nie zastanawiałem, jak to wszystko zorganizować. Ale jeśli tylko zależy ci na tym, żeby obejść je, jak należy...
- Nie, nie - przerwałam mu. Wzdrygnęłam się w duchu na samą myśl o tym, ile musiałaby wówczas wykrzesać z siebie fałszywego entuzjazmu. Samo udawanie spokojnej już wiele mnie kosztowało. - Nie chciałam tylko, żeby minęły zupełnie niezauważone.

- Pokażesz mi, co jej kupiłaś?
- Skoro jesteś ciekawy. To nie dużego.
Renesmee pochrapywała słodko wtulona w moją szyję. Zazdrościłam jej. Byłoby miło móc uciec od rzeczy wiścioci choćby na parę godzin.
Rozchyliłam ostrożnie torebkę, uważając, żeby Edward nie dostrzegł wypelniających ją nadal banknotów i wyjęłam aksaminowy woreczek
- Był na wystawie sklepu z antykami. Wpadł mi w oko, kiedy przejeżdżałam obok
Wyrząsnęłam z sakiewki na nadstawioną dłoń Edwarda okrągły złoty medalion. Był ozdobiony dookoła misternie wyrytymi listkami winorośli. Edward zjrzał do środka. Po jednej stronie było miejsce na małą fotografię, po drugiej, krótka inskrypcja po francusku.

- Czy wiesz, co tu jest napisane? - spytał mnie zmienionym głosem, bardziej przygaszonym niż wcześniej.
- Sprzedawca twierdził, że można by to przetłumaczyć jako „nad życie”. Miał rację?
- Tak, zgadza się.

Podniósł wzrok i spojrzał na mnie badawczo swoimi topazowymi i oczami. Wytrzymałam tylko ułamek sekundy, a potem niby to odciągnęło moją uwagę coś na ekranie telewizora.
- Mam nadzieję, że jej się spodoba - mrucnęłam.
- Jasne, że jej się spodoba - powiedział niemalże wesoło swobodnym tonem.

Upewniło mnie to w przekonaniu, iż wiedział już, że coś przed im ukrywam. Ale byłam też pewna, że nie wiedział nic ponadto.
- Zabierzmy ją do domu - zaproponował, wstając i obejmując nie ramieniem.
Zawahałam się.

- Co? - spytał.
- Chciałam jeszcze trochę poćwiczyć z Emmetem...
Na swoją mişję w Seattle straciłam cały dzień. Czulałam, że mam do nadrobienia zaległości.

Emmett siedział z Rose na kanapie przed telewizorem - oczywiście to on trzymał pilota. Na dźwięk moich słów obrócił się ku mnie i promiennie uśmiechnął.
- Doskonale. Przydałoby się trochę przerzedzić ten las.
Edward popatrzył z niezadowoleniem wpięram na niego, a potem na mnie.

- Będziecie mieli na to mnóstwo czasu jutro.
- Nie bądź śmieszny - zaprotestowałam. - Nie ma dla nas już czegoś takiego jak „mnóstwo czasu”. Liczy się każda minuta. Ty le musisz się jeszcze nauczyć, a...
- Jutro - przerwał mi ostro. A mińę miał przy tym taką, że nawet Emmett nie chciał się z nim kłócić.

Zaskoczyło mnie to, jak trudno było mi się dostosować na nowo do rytmu dnia, który, jakby nie było, obowiązywał dopiero od bardzo niedawna. Ale kiedy straciłam nawet tę odrobinę nadziei, która zdążyła we mnie zakiełkować, wszystko wy dawało mi się niemożliwe do zrealizowania.

Próbowałam skupić się na pozytywach. Było bardzo prawdopodobne, że moja córeczka przeżyje najbliższe wydarzenia, a i Jacob również. Gdyby udało im się zacząć gdzieś nowe życie, to niekiedy byłoby to chyba jakieś zwycięstwo, prawda? Jednak, żeby mieli najpierw szansę uciec, musielibyśmy wraz z naszymi gośćmi dać z siebie wszystko. Powodzenie strategii Alice zależało bezpośrednio od naszej postawy - nie mieliśmy innego wyboru, jak zacząć się z Volturi bić. Cóż, samo to też już byłoby jakimś zwycięstwem. Nikt nie zagroził poważnie ich supremacji od tysięcy lat.

To nie miało być koniec świata, a jedynie koniec Cullenów. Koniec Edwarda i koniec mnie.
Odpowiadała mi taka wizja - a przynajmniej to, że mieliśmy zginąć we dwojkę. Nie chciałam po raz drugi zostać sama bez Edwarda. Jeśli miał odejść z tego świata, zamierzałam pójść natychmiast jego śladem.

Nie miało to większego sensu, ale zastanawiałam się od czasu do czasu, czy coś nas czeka tam, po drugiej stronie. Wiedziałam, że Edward nie wierzył w taką możliwość, ale Carlisle owszem. Ja nie potrafiłam sobie nic takiego wyobrazić. Ale to, że Edward mógł tak po prostu nie istnieć, także nie mieściło mi się w głowie. Więc jeśli moglibyśmy być nadal razem - niezależnie od tego gdzie i na jakich zasadach - byłoby to moim zdaniem dostatecznie szczęśliwe zakończenie naszej historii.

Dni miały mi niby na podobnych czynnościach, co przed wyjazdem do Seattle, ale było mi ciężiej niż kiedykolwiek
W dzień Bożego Narodzenia pojechalśmy do Charliego - Edward, Renesmee, Jacob i ja. Zjawili się też wszyscy członkowie sfery Jacoba, a dodatkowo Sam, Emily i Sue. Ich obecność podczas uroczystości bardzo mi pomogła. Zgromadziłyśmy się wokół skromnie udekorowanej choinki - widać było jak na dłoni, w którym miejscu ojciec znużił się jej ozdabianiem i dał sobie spokój - a wielkie nagrane ciała wilkolaków wypełniły szczerlinie każdy kąt saloniku i zajęły każdy wycielający mebel. Z moimi znajomymi z La Push było podobnie jak z Emmetem - zawsze można byłoby liczyć na to, że będą podklescytowanie zbliżając się bitwą, niezależnie od tego, czy równała się samobójstwu, czy nie. Ich nastroje skłatecznie maskowały mój własny. Edward, jak zwykle, był dużo lepszym ode mnie aktorem.

Na szyjce Renesmee wisiał medalion, który dostała ode mnie już o świcie, a w kieszeni zakieciuka miała odtwarzacz MP3 od swojego taty - małej gadżet zdolny pomieścić w sobie pięć tysięcy plików, wypełniony z wczesnego mojego ukochanego jego ulubionymi piosenkami. I na nadgarstku małej połyskiwała kusztowność plecioną bransoletka - quileucka wersja pierścionka, który chłopak mógłby dać swojej dziewczynie. Edward był zły na Jacoba za ten podarek, ale ja jakoś się nim nie przejąłam.

Już niedługo, zaledwie za parę dni, miałam oddać swoją córeczkę Jacobowi pod opiekę. Jak mógł mnie irytować symbol jego oddania, skoro tak bardzo na nim polegałam?
Edward wykałał się przytomnością umysłu i zabrał również o prezent dla Charliego. Paczkę dostarczono nam poprzedniego dnia - za dodatkową opłatą przysłano nam ją w ekspresowym tempie - i ojciec spędził całe świąteczne przedpołudnie na lekturze grubego tomu instrukcji obsługi nowej wędkarskiej echosondy.

Sądząc po tym, jak wilkolakom trzęsły się uszy, przygotowane przez Sue potrawy musiały być przepyszne. Ciekawa byłam, co podglądając nas, pomyślałyby jakiś postronny obserwator. Czy dostatecznie dobrze odgrywałam swoje role? Czy ktoś z wentrznymi wiazłby nas za zwykłych chłmiertelników świętujących w gronie przyjaciół?

Myślę, że wychodząc od Charliego, zarówno Edward, jak i Jacob, odczuwali taką samą ulgę, jak ja. Było nam nieswojo, że wkladamy tyle energii w udawanie ludzi, podczas gdy moglibyśmy się zajmować tyłoma innymi i pilnymi sprawami. Dlatego trudno mi się było na tych wszystkich głupstwach koncentrować. Z drugiej strony, miałam jednak świadomość, że najprawdopodobniej widzę Charliego po raz ostatni. Może i dobrze się składało, że byłam zbyt otępią, by to do mnie w pełni docierało.

Co do mamy, nie widziałam się z nią od dnia swojego ślubu, ale umysławiałałam sobie, że mogłam się tylko cieszyć z tego, że przez minione dwa lata powoli się od siebie oddalałyśmy. Swoją kruchością i wrażliwością nie pasowała do mojego świata. Nie chciałam, by miała z nim cokolwiek wspólnego. Charlie był silniejszy.

Być może nawet dość silny, by zdołać się teraz ze mną pożegnać. Ale do tego i ja musiałabym być równie silna.
W drodze powrotnej nikt nie był w nastroju do rozmowy. Deszcz za szymbami auta przypominał gęstą mgłę, balansował na granicy pomiędzy ciężką a lodem. Renesmee siedziała mi na kolanach i bawiła się medalionem - to otwierała go, to znowu zamykała. Przyglądałam się jej, myśląc o tym, co mogłabym powiedzieć Jacobowi, gdyby mi tylko nie musiała ukrywać swoich planów przed Edwardem.

Jeśli kiedyś będzie to dla was bezpieczne, zabierz ją do Charliego. Opowiedz mu pewnego dnia, co się dokładnie wydarzyło. Powiedz mu, jak bardzo go kochałam - tak bardzo, że nie mogłam znieść myśli o wyprowadzce z Forks, nawet kiedy moje ludzkie życie dobiegło już końca. Powiedz mu, że był najlepszym ojcem pod słońcem. Powiedz mu, żeby przekazał Renee, że ją też bardzo kochałam i że odeszłam z nadzieją, że zażna w życiu jeszcze wiele szczęścia...

Miałam przekazać Jacobowi dokumenty, zanim będzie za późno. Zamierzałam też dołączyć karteczkę dla Charliego. I list do Renesmee. Coś, do czego mogłabym wracać, gdy już mnie przy niej nie będzie, żeby upewnić się, że ją kochałam.

Kiedy wyjechalibyśmy na polanę, na której stał dom Cullenów, z zewnątrz wszystko prezentowało się tak jak zwykle, ale slychać było, że w środku panuje poruszenie. Jedne wampiry mamrotaly coś po nosem, inne po prostu powarkaly. Brzmiało to jak kłótnia. Część przy niepozostali zabrał głos Carlisle i Amun.

Zamiasł okrążyć budynek i zostawić samochód w garażu, Edward zaparkował przy schodkach werandy. Zanim wysiedliśmy z wozu, wymieniłmyż zaniepokojone spojrzenia.
W Jacobie zaszła duża zmiana: przybrał poważny wyraz twarzy i wyraźnie miał się na baczności. Domyślałam się, że zaalarmowany, był teraz nie tyle sobą, co Alfą. Wydarzyło się coś ważnego i w interesie obu sfer leżało, by użyła na ten temat jak najwięcej informacji, którymi i później mógłby podzielić się z Samem.

- Alistair zniknął - rzucił Edward, kiedy wbiegaliśmy po stopniach.
By zrozumieć, co jest grane, wystarczyło poniekiąd rozejrzeć się po salonie. Pod ścianami stali poruszeni widzowie - wszystkie zamieszujące teraz nasz dom wampiry, z wyjątkiem sprzeczącą się trójki i nieobecnego Alistaira, a najbliższych trzech skłóconych wampirów znajdowały się Esme, Kebi i Tia. Pośrodku pokoju zdenerwowany Amun syczał właśnie na Carlisle'a i Benjaminia.

Edward zacisnął zęby. Podeszёл szymbko do Esme, a jako że trzymał mnie za rękę, pociągnął mnie za sobą. Przytulilam Renesmee mocniej do piersi.
- Amunie, jeśli chcesz nas opuścić, nikt ci tego nie broni - powiedział Carlisle ze spokojem.
- Kradniesz mi połowę mojego klanu! - wrzasnęła Amun, wskazując palcem na Benjaminia. - Czy to właśnie dlatego mnie tu sprowadziłeś? Żeby mnie ograbić?

Doktor westchnął, a Benjamin wznosił oczy ku niebu.
- Tak, tak - zdrwił. - Carlisle sprowokowała Volturi i naraził całą swoją rodzinę tylko po to, żeby mnie tu zwać, żeby mi tu zwać, żeby mi tu zwać...
- Nie dojdzie do żadnego starcia - powiedział Carlisle stanowczym tonem.
- Mówić to sobie można!

- A jeśli już dojdzie, zawsze będziesz mógł przejść na drugą stronę, Amunie. Jestem pewien, że Volturi doceniłyby twoje wsparcie.
Egipcjanin uśmiechnął się złośliwie.
- Tak, to chyba jest jakieś rozwiązanie.

- Nie będę miał ci tego za złe - ciągnął doktor bez cienia wrogości czy fałszu w głosie. - Przyjmiemy się od bardzo długiego czasu, ale nigdy nie poprosiłby cię, żebyś narażał dla mnie życie.

Amun nieco chęba się opawał.

- Ale nie masz nic przeciwko, żeby narażał je dla ciebie mój Benjamin.

Carlisle położył mu dłoń na ramieniu, ale ten ją strącił.

- Zostanę - oświadczył - ale być może wcale nie wyjdzie ci to na dobre. Jeśli tylko w ten sposób będę mógł się uratować, przejdę na stronę Volturi. Jesteście wszyscy głupcami, skoro wierzycie, że uda wam się ich pokonać. - Spojrzał spode łba na zebranych, po czym, zerknąwszy na mnie i Renesmee, dodał jeszcze rozdrażniony: - Poświadczę, że w trakcie mojego pobytu tutaj dziecko urosło. To akurat prawda. Każdy może przekonać się o tym na własne oczy.

- O nic więcej nie prosiłimy.

Amun się skrzywił.

- Ale też dostaje wam się więcej, niż o to prosiłicie. - Przeniósł wzrok na Benjamin. - Dałem ci życie. Teraz je zmarnujesz.

Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby od Benjamin a aż tak wiało chłodem. Jego mina zupełnie nie pasowała do jego chłopięcych rysów.

- Wielka szkoda, że tworząc mnie, nie dałeś rady podmienić mojej woli na swoją. Być może wtedy nie sprawiałbym ci zawodu.

Amun ściągnął brwi. Machnął ręką na Kebi i minąwszy nas bez słowa, oboje wyszli na zewnątrz.

- Nie planuje wyjazdu - wyjął mi Edward ściszonegłosem - ale będzie odtąd trzy miał się od nas jeszcze bardziej na dystans. Nie biefował, kiedy groził, że dołączy do Volturi.

- A dlaczego Alistair wyjechał? - szepelał.

- Nikt tak do końca nie wie. Nie zostawił żadnego listu. Z tego, co do siebie mamrotał, wynikało, że uważa bitwę za pewnik i pewnie doszedł do wniosku, że już lepiej zdezertować niż walczyć z Volturi przeciwko nam. Wbrew temu, co mogło się wydawać, naprawdę bardzo sobie Carlisle'a ceni.

Wszyscy w pokoju słyszeli oczywście naszą wymianę zdań. Eleazar włączył się do naszej rozmowy, jakby od samego początku toczyła się w szerszym gronie.

- Obawiam się wystraszyć go coś więcej niż tylko to, że nie będziemy mieli okazji przedstawić Volturi swojej wersji wydarzeń. Nie zastanawialiśmy się wcale nad tym, jak mogą zareagować już na nasze wyjaśnienia, a z tego, co podsłuchałem, Alistair martwił się przede wszystkim o to, że nie pomogłyby nam żadne dowody. Podejrzał, że Volturi nie byłoby wcale skorzy nas wysłuchać i tak czy siak znalazłby jakąś wymówkę, żeby dopiąć swego.

Volturi łamiący własną prawą z rądy władzy i zysku? Takie poglądy nie były wśród moich pobratymców popularne. Obecne w salonie wampiry spjrzały niepewnie po sobie. Tylko na Rumunach hipoteza Eleazara nie zrobiła żadnego wrażenia i w blądzących po ich ustach uśmiechach można było doszukać się ironii. To, że inni pragnęli mieć o ich odwiecznych wrogach jak najlepsze zdanie, wydało się ich bawić.

Goście zbili się w kilka grupki i zaczęli z sobą dyskutować, ale to właśnie na Rumunach się skupiał - być może dlatego, że jasnowłosy Vladimir co rusz zerkał w moim kierunku.

- Mam szczerą nadzieję, że Alistair się nie myli - mruknął do niego Stefan. - Niezależnie od wyniku tego starcia, wieść o nim na pewno się rozejdzie. Najwystęży czas, żeby świat dowiedział się, czym stali się Volturi. Jeśli wszyscy będą uparcie wierzyć w to, że stoją oni na straży porządku i tym podobne bzdury, te kanalie będą dzierżyć władzę w nieskończoność.

- Kiedy my rządziłimy, przy najmniej nie ukrywaliśmy, na czym nam najbardziej zależy - stwierdził Vladimir.

Stefan mu przytaknął.

- Nigdy nie udawaliśmy niewiniątek i nie nazywaliśmy siebie świętymi.

- Myślę, że to dobra okazja, żeby spróbować ich zdetronizować - powiedział Vladimir. - Mam tu duże szanse na wygraną. Nie wyobrażam sobie, żebyśmy gdzie indziej zebrali lepszą armię. A ty jak uważasz?

- Wszystko jest możliwe. Może kiedyś...

- Stefan, czekamy od piętnastu wieków! A oni przez te lata tylko umocnili swoją potęgę. - Vladimir przerwał na moment i znowu na mnie spojrzął. Nie okazał wcale zdziwienia, kiedy zobaczył, że i ja mu się przyglądam. - Jeśli Volturi tu zwycięży, wyjdą z tego jeszcze silniejsi. Po każdej takiej misji, jaka, to ich straży dołączają nowe wybitnie uzdolnione jednostki. Pomyśl, co zyskają dzięki samej tylko nowo narodzonej - wskazał mnie podbródkiem - a przecież ona dopiero odkrywa swoje talenty. Albo dzięki władcy żywiołów. - Skłnął głową w stronę Benjamin a, który z miejsca zeszywniał. Już niemal wszyscy w salonie przysłuchiwali się ich rozmowie. - Bo iluzjonistką i ognistym dotykem nie byłoby chyba zainteresowani. - Tym razem jego wzrok padł na Zafrinę, a potem na Kate. - Mają w końcu swoje piekielne bliźnięta.

Stefan popatrzył na Edwarda.

- Kolejna osoba czytająca w myślach też nie jest im aż tak bardzo potrzebna. Ale rozumiem, o co ci chodzi. Rzeczywiście, wiele by na tym zwycięstwie zyskali.

- Więcej, niż możemy im na to pozwolić, nieprawdaż?

Stefan westchnął.

- Przyuszczam, że tak. A to oznacza...

- ... że póki jest nadzieja, musimy stać po ich stronie.

- Jeśli tylko udaloby nam się ich jakoś osłabić albo zdemaskować...

- ... wtedy inni dokończą to, do czego się przyczyłimy...

- ... i wreszcie odplacą nam za nasze krzywdy. Wreszcie się na nich zemścimy.

Na chwilę ich spojrzenia się spotkały.

- To chyba jedyne wyjście - powiedzieli jednocześnie.

- Zatem będziemy walczyć - podsumował Stefan.

Chociaż byłoby widać, że są rozdarci, że instykt samozachowawczy próbuje w nich wygrać z pragnieniem zemsty, uśmiechnęli się do siebie, jakby już nie mogli się doczekać.

- Będziemy walczyć - zgodził się Vladimir.

Pomyślałam, że poniekąd dobrze się stało. Podobnie jak Alistair uważałam, że bitwy nie da się uniknąć, a w takim wypadku dwa dodatkowe wampiry po naszej stronie mogły tylko pomóc. Ale i tak, usłyszawszy, jaką Rumuni podjęli decyzję, zadrażałam.

- My też będziemy walczyć - włączyła się Tia. W jej głosie było więcej powagi niż kiedykolwiek - Jesteśmy przekonani, że Volturi nadużywają tu władzy, a żadne z nas nie ma najmniejszego zamiaru dołączyć do ich straży.

Zatrząmała oczy na Benjaminie. Chłopak uśmiechnął się i zerkał figlarnie na parę posępnych Rumunów.

- Cóż, wychodzi na to, że będą tu walczyli o własną wolność. Nie wiedziałem, że jestem aż tak chodowym towarem.

- A ja nie po raz pierwszy będę walczył po to, żeby uwolnić się spod jarzma niesprawiedliwego króla - wyznał wesoło Garrett. Podszedł do Benjamin a i poklepał go po plecach. - Niech żyje wolność!

- My będziemy walczyć dla Carlisle'a - oznajmiła Tanya. Deklaracja Rumunów zmobilizowała widać wysłuchanych na opowiedzenia się, po której są stronie.

- A my jeszcze nie wiemy, czy poprzestaniemy na byciu świadkami czy nie - powiedział Peter, spoglądając na niziutką Charlotte. Jej twarz wykrywał tylko grymas niezadowolenia. Wyglądało na to, że sama podjęła już decyzję. Ciekawa byłam jaką.

- Ja też nie - odezwał się Randall.

- Ani ja - bąknęła Mary.

- Obie sfory na pewno będą walczyć - zabrał zniacka głos Jacob. - Nie boimy się wampirów - dodał z dumą.

- Dzieci - mruknął Peter.

- Niemowlęta - poprawił go Randall.

Jacob uśmiechnął się tylko drwiąco.

- Ja też w to wchodzę - zapowiedziała Maggie, wyrwawszy się próbującej ją powstrzymać Siobhan. - Wiem, że to Carlisle ma rację w tym konflikcie. Nie mogę tego zignorować.

Siobhan złamała ręce.

- Carlisle - zaczęła, jak gdyby byli w pokoju sami, nie zważając na to, że atmosfera zrobiła się niespodziewanie bardzo oficjalna. - Nie chcę, żeby doszło do tej bitwy.

- Ja też tego nie chcę, Siobhan - zapewnił ją. - Sama wiesz, że to ostatnia rzecz, jakiej pragnę. - Uśmiechnął się blade. - Może w takim razie powinnaś się skoncentrować na tym, żeby do niej nie dopuścić.

- Wiesz, że nic to nie da - powiedziała.

Przypomniało mi się, jak rozmawiał o zdolnościach Irlandki z Rose. Wierzył, że Siobhan posiada subtelny acz niezwykle silny dar polegający na tym, że zawsze potrafiła doprowadzić do końca to, co sobie zaplanowała - tyle że sama nie wierzyła w jego istnienie.

- Spróbować nie zaszkodzi - stwierdził.

Irlandka wywróciła oczami.

- Co, mam może sobie wizuualizować, co chcę osiągnąć? - spytała z sarkazmem.

Carlisle uśmiechnął się szeroko.

- Jeśli nie masz nic przeciwko.

- W takim razie my się nie musimy deklarować, prawda? - odparowała. - Skoro nie ma takiej możliwości, żeby z naszych pertraktacji wywazała się bitwa.

Położyła Maggie dłoń na ramieniu, przyciągając ją do siebie. Jej partner, Liam, ani nie zabrał głosu, ani w żaden inny sposób nie okazał tego, co myśli na ten temat.

Prawie wszyscy w pokoju w wyawali się być zdezorientowani tym, dlaczego Carlisle i Siobhan w tak podniosłej chwili zaczęli się nagle przekomarzać i o co im właściwie chodziło, ale dwójka wampirów niczego im nie wyjaśniła.

Starczyło dramaty cznych przemów jak na jeden wieczór. Goście rozeszli się powoli - niektórzy wybrali się na polowanie, inni zaś znaleźli sobie coś do czytania w bogatej bibliotece doktora bądź zaszli przed jednym z licznych komputerów i telewizorów.

Edward, Renesmee i ja zdecydowaliśmy się na łowy, a Jacob na nasze towarzysstwo.

- Głupie pijawy - mruknął do siebie, kiedy znaleźliśmy się na dworze. - Myślą, że są kimś lepszym od nas.

Prychnął.

- Za to jacy będą zszokowani, kiedy niemowlęta ocałą ich szacowne osoby - zauważył Edward.

Jacob rozpozgodził się i dał mu sójkę w bok.

- Kurczę, masz rację. Tak właśnie będzie.

Nie była to nasza ostatnia taka wyprawa - zamierzaliśmy zapolować jeszcze raz tuż przed terminem, w którym spodziewaliśmy się przybycia Volturi. Jako że miał on nadejść za kilka dni, planowaliśmy, tak na wszelki wypadek, spędzić je na wielkiej polanie służącej Cullenom do gry w baseball, na której według wizji Alice miało dojść do konfrontacji. Wiedzieliśmy tylko tyle, że goście z Włoch pojawiają się wtedy, kiedy będzie na tyle zimno, by śnieg osiadał na ziemi na dłużej. Nie chcieliśmy, by Volturi znaleźli się zbyt blisko Forks, a Demetri miał ich do nas przyprowadzić, niezależnie od tego, gdzie mieliśmy na nich czekać. Ciekawa byłam, po kim nas namierzał. Podejrzałam, że skoro nie mógł po mnie, to po Edwardzie.

Poluując nie zwracałam zbytniej uwagi ani na zwierzyńcę, ani na wirujące w powietrzu płatki śniegu, które w końcu się pojawiły, ale topniały jeszcze w locie. Myślałam o Demetrim. Czy zda sobie sprawę z tego, że nie jest w stanie mnie tropić? Jak zareaguje na to odkrycie? Jak miał zareagować na nie Aro? A może Edward się mylił? Może dar Demetrieo był jednym z tych wyjątków, dla których moja tarca nie stanowiła żadnej przeszkody? Wszystko poza moim umysłem było przecież we mnie bezbronne - niczym nieosłonięte przed manipulacjami Jaspera, Alice czy Benjamin a. Może talent Demetrieo opierał się na podobnych zasadach co ich zdolności?

A potem przyszła mi do głowy tak rewolucyjna myśl, że przeżyłam szok. Łoś, z którego wysłałam dopiero połowę krwi, wypadł mi z rąk na skaliste podłoże. Płatki śniegu ułaniały się kilka centymetrów od jego buchającego gorącym ciała z niesłychalnym dla ludzi sykkiem przy pominającym odgłosy wydawane przez skierujące mięso. Wpatrywałam się tępo w swoje zakrwawione dlonie.

Edward natychmiast do mnie podbiegł, przerywając w połowie swój posilek.

- Co się stało? - spytał cicho, rozglądając się niespokojnie dookoła za czymś, co mogło wpłynąć na moje niezwykle zachowanie.

- Renesmee - wyrzuciłam.

- Jest za tamty mi drzewami - zapewnił mnie. - Słyszysz i jej myśli, i myśli Jacoba. Wszystko jest w porządku.

- Nie o to mi chodzi - powiedziałam. - Myślałam o swojej tarcy. Uważasz, że naprawdę jest coś warta, że bardzo się nam przyda. Wiem, że inni mają nadzieję, że uda mi się osłaniać nią Zafrinę i Benjamin a, choćby miało być o tylko po kilka sekund naraz. Ale co jeśli to błędne założenie? Co jeśli mamy ponieść klęskę właśnie dlatego, że mi ufacie?

Mało brakowało, żeby mi wpadła w historię, ale kontrolowałałam się na tyle, że nie podniosłam głosu. Nie chciałam przestraszyć Renesmee.

- Bello, co cię naszło? To wspaniale, że umiesz się bronić, ale nie czyni cię to jeszcze odpowiedzialną za ratowanie kogokolwiek innego. Nie stresuj się bez potrzeby.

- Ale co jeśli nie potrafisz nikogo chronić? - wyszeptalam, oddychając spazmatycznie. - Ten mój cały dar, on jest jakiś wadliwy! Na nim nie można polegać! Nie wiadomo, jak nim sterować! Nie ma żadnej reguły! Może w końcu wcale nie zablokuję Aleka!

- Cii... - spróbował mnie uspokoić. - Nie panikuj. I nie przejmuj się Alekiem. To, co robi wcale tak bardzo się nie różni od tego, co robią Jane czy Zafrina. To tylko iluzja. Nie może dostać się do wnętrza twojego umysłu dokładnie tak

jakone.

- Ale Renesmee może! - syknęłam rozemocjonowana. - Wydało to nam się takie naturalne. Nigdy wcześniej tego nie kwestionowałam - po prostu jej się to udawało. Ale przecież wsadza swoje myśli do mojej głowy tak samo,

jak wsadza je do głów wszystkich innych. W mojej tarczy są dziury, Edwardzie!

Wwiercałam w niego wzrok, czekając, aż i do niego dotrze, jak istotne jest to odkrycie, ale nadal wyglądał na zupełnie opanowanego - zacisnął tylko usta, jak ktoś, kto namyśla się, jak coś wyrazić.

- Wpadłeś na to już dawno temu, prawda? - odgadłam. Czulałam się jak idiotka. Przez kilka miesięcy nie dostrzegłam czegoś tak oczywistego.

Skinął głową. Kąciki jego warg uniosły się delikatnie w błądym uśmiechu.

- Kiedy pierwszy raz coś ci pokazała.

Westchnęłam zżenowana swoją głupotą. Dobrze, że niczego mi nie wyrzucił.

- I nie dręczysz cię to? Nie postrzegasz tego jako problemu?

- Mam dwie teorie, jedną nieco bardziej prawdopodobną od drugiej.

- To pierwszą poproszę tę mniej prawdopodobną.

- Cóż, jest twoją córką. Genetycznie jest w połowie tobą. Kiedyś dołączałam ci, że nadajesz myśli na innej częstotliwości niż reszta ludzi. Może ona nadaje na tej samej.

Nie za bardzo w to wierzyłam.

- Przecież w jej myślach potrafisz czytać. Wszyscy zresztą to potrafią. A co jeśli to Alec nadaje na innej częstotliwości? Co jeśli...

Przyłożył mi palec do ust.

- Już to przeanalizowałam. I dlatego właśnie sądzę, że moja druga teoria jest bardziej sensowna.

Zacisnęłam zęby, szykując się na kolejną porcję argumentów.

- Pamiętasz, co Carlisle powiedział mi zaraz po tym, jak mała pokazała ci swoje pierwsze wspomnienie?

Jasne, że pamiętałam.

- Powiedział, że to poniekąd twoja umiejętność, ale odwrócona o sto osiemdziesiąt stopni.

- Zgadza się. I dało mi to do myślenia. Może twój talent też odziedziczyła na odwrót.

Zastanowiłam się nad tym.

- Ty wszystkich blokujesz... - zaczął.

- ... a jej nikt nie potrafi zablokować? - dokończyłam z wahaniem.

- Taką mam teorię. Skoro potrafi wnikać do twojej głowy, wątpię, żeby istniała na świecie taka tarcza, która byłaby w stanie ją zatrzymać. To powinno okazać się pomocne. Z tego, co widzieliśmy, wynikało, że jeśli już ktoś pozwala jej pokazać sobie jej wspomnienia, zostaje przeciągnięty na naszą stronę. A jeśli tylko Renesmee znajdzie się dostatecznie blisko Volturi, nie będą mogli się od jej wspomnień odgradzić. Jeśli Aro zgodzi się, żeby wyjaśniła mu, kim jest...

Wyobraziłam sobie swoją córeczkę tak blisko cheiwych, zamglonych oczu Aro i wzdrygnęłam się.

- Cóż - powiedział Edward, masując moje spięte ramiona. - Przynajmniej Aro w żaden sposób nie może się ustrzec przed poznanem prawdy.

- Ale czy prawda wystarczy, by go powstrzymać? - mruknęłam.

Na to pytanie nie umiał już odpowiedzieć.

- Wybierasz się dokądś? - spytał Edward.

Ton głosu miał nonszalanccki, ale w jego twarzy kryło się coś, co zdradzało, że tylko udawał zrelaksowanego. I jeszcze jakoś tak kurtuczowo tulił do siebie Renesmee...

- Tak - odparłam równie swobodnie. - Mam do załatwienia jeszcze kilka ostatnich spraw.

Uśmiechną się zawadiacko, tak jak lubiłam najbardziej.

- Tylko wróć do mnie szybko.

- Zawsze chcę wrócić jak najszybciej.

Wzięłam znowu jego volvo. Czy po mojej wizycie u Charliego sprawdzał drogomierz? Ile kawalków układanki zdołał już do siebie dopasować? Z pewnością na tyle dużo, by wiedzieć, że miałam przed nim jakiś sekret. Czy wydedukował powód, dla którego nie mogłam uczynić go swoim powiernikiem? Czy uzmysławił sobie, że Aro miał duże szanse przejąć wróćce wszystkie znane mu informacje? Sądziłam, że tak właśnie było, to tłumaczyłoby, dlaczego nie domagał się ode mnie żadnych wyjaśnień. Zakładałam, że stara się nie zwracać sobie głowy moim zachowaniem, żeby nie pozostawić w swoim umyśle żadnych wskazówek dla przeciwnika. Czy połączył moje wyjazdy z tym, jak zaraz po zniknięciu Alice zastała mnie palącą książkę w kominku? Nie wiedziałam, czy był w stanie aż tak sprawnie kojarzyć fakty.

Było to wyjątkowo ponure popołudnie - na dworze było już tak ciemno, jak o zmroku. Pedziłam szosą przez mrok, przyglądając się gęstej powłoce chmur. Czy wieczorem miał padać śnieg? Czy miało spać go na tyle dużo, by pokrył ziemię białą warstwą, dopasowując scenę do wizji Alice? Edward szacował, że pozostały nam jeszcze dwa dni. Potem mieliśmy przenieść się na polanę, by przyciągnąć Volturi do wybranego przez nas miejsca.

Jadąc przez coraz bardziej czarny las, wspominałam swoją ostatnią wyprawę do Seattle. Wiedziałam już chyba, czym kierowała się Alice, podając mi adres punktu kontaktowego w sercu slumsów, służącego J. Jenkowi do obsługiwania tych spośród jego klientów, którzy działali poza prawem. Czy trafiwszy do jednego z jego oficjalnie istniejących biur, domyśliłabym się, o co mam go poprosić? Czy gdybym poznała go jako Jasona Jenksa lub Jasona Scotta, szanowanego prawnika, odgadłaby mi, że zajmuję się też dostarczaniem fałszywych dokumentów? Musiałam sobie uświadomić, że to, co mogę od niego uzyskać, jest całkowicie nielegalne. Zrozumieć to na tamtej zapuszczonej ulicy.

Kiedy kilka minut przed czasem wjechałam na parking restauracji, dookoła panowały już egipskie ciemności. Zignorowawszy skorych mnie wycręcyńców swoich kołtajowych czatujących na gości przy wejściu, sama zaparkowałam wóz, po czym złożyłam szła kontaktowe i weszłam do lokalu, by zacheać na Dżeja przy stoliku. Chciałam mieć tę smutną konieczność jak najszybciej za sobą i wrócić do odciercia najbliższy ch, ale miałam przecucie, że Dżej obraziłby się śmiertelnie, gdybym zaproponowała mu błyskawiczną wymianę na ciemnym parkingu - może i robił lewe interesy, ale wydawał się dbać o to, by nie niżzył się do pewnego poziomu.

Podalam nazwisko Jenks i główny kelner zaprowadził mnie do prywatnej jadalni, gdzie na kamiennym palenisku trzaśkał już miło ogień. Zeby ukryć kolejny z ekstrawaganckich pomysłów Alice, na to, jak powinna ubierać się elegancka kobieta, miałam na sobie długi do łdyki trenecz w kolorze kości słoniowej. Kiedy mężczyzna pomógł mi go zdjąć i jego oczom ukazała się sukienka kołtajowa z różowo - szarej satyny, usłyszałam, że na moment zapanoło mu dech w pierśiach. Nie dawało się ukryć, że taka reakcja mi schlebiała. Nie byłam przyzwyczajona, by kłokolwiek oprócz Edwarda uważał mnie za zjawiskowo piękną. Pan z obsługi wycofał się niezłarnie z pokoju, jkając coś kurtuazyjnie o mojej urodzie.

Stałam przy kominku, trzy mając palce blisko płomieni, żeby choć odrobinę je ogrzać przed nieuniknionym ściskaniem dłoni. Dżej rzecz jasna doskonale się orientował, że z Cullenami jest coś nie tak, ale warto było chyba uczyć się dbać o takie drobizgi.

Na ułamek sekundy zastanowiłam się nad tym, co bym poczuła, gdybym wsadziła rękę w ogień. Jak miałam się czuć płonąć...

Z odrętwienia wyrwało mnie pojawienie się Dżeja. Główny kelner i jemu pomógł zdjąć płaszcz i stało się jasne, że nie tylko ja ubrałam się na tę okazję szczególnie starannie.

- Przepraszam za spóźnienie - odezwał się prawnik, kiedy zostaliśmy sami.

- Ach, nie ma za co. Jest punkt ósma.

Podaliśmy sobie ręce na powitanie i odnotowałam, że jego palce były nadal wyraźnie cieplejsze od moich, nie widać było jednak po nim, żeby się tym przejął.

- Pozwól sobie na śmiałość i powiem, że wygåład pani oszałamiająco.

- Dziękuję, Dżej. Proszę, mów mi po imieniu.

- Muszę być zadowolony, że pracuje się z tobą zupełnie inaczej niż z panem Jasperem. Atmosfera jest znacznie mniej... napięta.

Uśmiechną się nieśmiało.

- Naprawdę? Ja przy Jasperze zawsze się rozluźniam.

Ściągnął brwi.

- Ach tak - mruknął grzecznie, chociaż nie wątpiłam, że miał za sobą diametralnie odmienne doświadczenia. Było mi z tym nieswojo. Co też takiego Jasper zrobił temu człowiekowi?

- Długo znasz Jaspera? Skrępowałam go tym pytaniem.

Westchnął.

- Pracuję z twoim szwagrem od ponad dwudziestu lat, a mój były partner podjął z nim współpracę piętnaście lat wcześniej... Ani trochę się od tego czasu nie zmienił.

Skrzywił się nieznacznie.

- Tak, on już tak ma.

Dżej pokręcił głową, jakby mógł z niej wytrząsnąć nie dające mu spokoju myśli.

- Może usiądziemy?

- Tak właściwie to trochę mi się spieszy. Mam przed sobą długą jazdę do domu.

Mówiąc, wyciągnęłam z torbki grubą białą kopertę z bonusem, który mu obiecałam, i wręczyłam ją.

- Och. - W jego głosie dało się wychwytać nutę rozczarowania. Schował kopertę w wewnętrznej kieszeni marynarki, nie sprawdzwszy, jaką zawiera kwotę. - Miałem nadzieję, że chociaż przez chwilę porozmawiamy.

- O czym? - spytałam zaciekawiona.

- Cóż, najpierw może dam ci to, co zamówiłaś. Chcę być pewny, że jesteś usatysfakcjonowana.

Odróciwszy się do mnie tylem, umieścił swoją aktówkę na stole. Strzelili zatraski. Ze środka wyjął dużą beżową kopertę.

Chociaż nie miałam pojęcia, na co powinnam była zwrócić uwagę, otworzyłam kopertę i pobieżnie przejrzałam jej zawartość. Dżej zastosował odbicie lustrzane oryginalnego obrazu i zmienił kolory, dzięki czemu nie było widać na pierwszy rzut oka, że zarówno w paszporcie Jacoba, jaki na jego prawie jazdy, znajduje się to samo zdjęcie. Obie fotografie wyglądały prawidłowo, ale mój osąd nic tu nie znaczył. Zerknęłam na zdjęcie w paszporcie Vanessy Wolfe i szybko odwróciłam wzrok, bo ścisnęło mnie w gardle.

- Dziękuję ci, Dżej - powiedziałam.

Zmarszczył odrobinę nos i wyczułam, że zawiódłam go, nie przeprowadzając żadnych poważniejszych testów.

- Zapewniam, że to miniaturowe dzieła sztuki. Każdy z tych dokumentów zaspokołby wymagania najbardziej skrupulatny ch ekspertów.

- Ufam ci w zupełności. Nawet nie wiesz, jak bardzo doceniam to, co dla mnie zrobiłeś.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Bello. Gdyby w przszości rodzinie Cullenów było jeszcze coś potrzebne, wiesz, gdzie mnie szukać.

Z pozoru nie kryła się w tym zaproszeniu żadna aluzja, ale podejrzewałam, że przede wszystkim próbował mnie zachęcić do tego, abym to ja go odąd odwiedzała zamiast Jaspera.

- O czym to chciałeś ze mną porozmawiać?

- A, tak. To delikatna sprawa...

Spoglądając na mnie pytająco, wskazał na palenisko. Przesiadłam na jego kamiennej budowie, a prawnik zajął miejsce koło mnie. Na czoło wystąpiły mu znowu krople potu - zaczął je ocierać wyjętą z kieszeni chustką z niebieskiego jedwabiu.

- Jesteś siostrą żony pana Jaspera? - spytał. - Czy żoną jego brata?

- Żoną brata - przyznałam, zastanawiając się, co mu da ta informacja.

- Nowo poślubioną żoną pana Edwarda? Czy dobrze zgaduję?

- Tak, to ja.

Uśmiechną się przepaszająco.

- Widziałem te imiona już tyle razy... Proszę przyjąć spóźnione gratulacje. To wspaniale, że pan Edward po tak długim czasie wreszcie znalazł dla siebie takuroczą partnerkę.

- Dziękuję za miłe słowa.

Zamilkł na moment, zajęty walką z potem.

- Jak można się domyślać, po tylu latach owocnej współpracy pan Jasper i cała jego rodzina zjednali sobie u mnie wiele szacunka.

Skinęłam głową, mając się coraz bardziej na baczności. Jenks wziął głęboki wdech, ale tylko wypuścił powietrze z płuc.

- Dżej, proszę, nie krępij się. Powiedz mi to, co masz mi do powiedzenia.

Wziął kolejny głęboki wdech, a potem zaczął mówić bardzo szybko i niewyraźnie, także jedno słowo zlewało się z następnym.

- Gdybyś mogła mi tylko przyrzec, że nie planujesz porwać tej dziewczynki jej ojcu, spałby mi dzisiaj spokojnie.

- Och - wyrwało mi się. Całkowicie mnie zaskoczył. Potrzebowałam kilkunastu sekund, żeby zrozumieć, do jakiego doszedł wniosku analizując moje zamówienie. - O nie. Tu chodzi o coś zupełnie innego. - Zmusiłam się do uśmiechu, żeby go uspokoić. - Staram się po prostu zabezpieczyć przyszłość mojej córeczki na wypadek, gdyby mnie i mojemu mężowi coś się stało.

Teraz to ja go zaskoczyłam.

- Coś wam grozi? - Ale zaraz zreflektował się i zarumielił. - Oczywiście to nie mój interes...

Obserwując, jak po jego policzkach rozlewa się plama czerwień, nie po raz pierwszy podziękowałam losowi za to, że nie byłam przeciętną nowo narodzoną. Pomimo swoich związków ze światem przestępczym, Dżej wydawał mi się dość sympatyczną osobą i nie zaslugiwał na śmierć z moich rąk.

- Nigdy nie nic wiadomo - westchnęłam.

Zmarszczył czoło.

- Pozostaję mi zyczyć ci powodzenia. I proszę się na mnie nie gniewać, ale... jeśli pan Jasper kiedykolwiek się do mnie zgłosi i spyta, na jakie nazwiska były wystawione te papiery...

- Będiesz mógł mi wszystko wyjawić bez wahania. Nie mam przed Jasperem żadnych tajemnic.

Moja postawa pomogła mi się nieco rozluźnić.

- To bardzo dobrze - stwierdził. - Nie namówię cię, żebyś została na kolacji?

- Naprawdę mi przykro, Dżej, ale spieszy mi się.

- W takim razie życzę powodzenia. Oby zdrowie i szczęście wam dopisywało. Pamiętaj, Bello, jeśli czeokolwiek będziecie potrzebować, nie wahajcie się przed ponownym skorzystaniem z moich usług.

- Będę pamiętać.

Opuszczając pokój ze swoim nielegalnym zamówieniem, spojrzalam sobie przez ramie. Jenks odprowadzał mnie wzrokiem pełnym żalu i niepokojem.

Droga powrotna zabrała mi mniej czasu niż jazda do Seattle. Noc była czarna jak smoła, więc zgasiłam światła i docisnęłam pedał gazu. Kiedy wjechałam do garażu, zobaczyłam, że nie ma w nim większości samochodów, w tym mojego ferrari i porsche Alice. Tradycyjnie odzywiające się wampiry musiały pokonywać setki kilometrów, żeby zaspokoić pragnienie. Staralam się nie myśleć o ich poczynaniach tej nocy, krzywiąc się, kiedy przed oczami stawały mi twarze ich niewinnych ofiar.

W salonie zastałam jedynie Kate i Garretta, sprzeczących się nie na poważnie na temat wartości odżywczej zwierzęcej krwi. Garrett wrócił najwyraźniej dopiero co ze swojego pierwszego „wegetariańskiego” polowania i przyznał, że ciężko jednak jest mu się przestawić.

Edward musiał zabrać Renesmee na noc do kamiennego domku, a jeśli tak, to Jacob kręcił się po lesie gdzieś w jego pobliżu.

Reszta moich bliskich też zapewne wyprawiała się na łowy - najprawdopodobniej w towarzystwie Denalczyków.

Miałam dla siebie praktycznie cały dom. Druga taka okazja mogła się nie powtórzyć.

Otworzyłam drzwi do sypialni Alice i Jaspera, poznałam węchem, że nikt nie zaglądał tam od bardzo dawna, być może nawet od dnia, w którym nas opuścili. Przeszukałam w czysy ich ogromną szafę, aż wreszcie znalazłam taką

torbę, jakiej szukałam. Musiała należeć do Alice. Był to czarny skórzany plecakzek jeden z tych, które zazwyczaj używa się jak damskie torebki, tak mały, że nawet Renesmee mogłaby go nosić, nie budząc niczyjego zdziwienia. Potem zrobiłam najazd na podręczny zapas gotówki Alice i Jaspera i odliczyłam sobie sumę równą dwukrotności rocznego dochodu przeciętnego amerykańskiego gospodarstwa domowego. Pokój uciekinierów źle się wszystkim kojarzył, przypuszczałam więc, że moja kradzież miała tu największe szanse pozostać niezauważona. Koperta ze sfalszowanymi dokumentami też trafiła do plecaczka, na sam wierzch. Spakowawszy się, przysiadłam na skraju materaca i spojrzałam na założone niepozorny pakunek, w którym mieściło się wszy skto, co mogłam dać swojej córce i najlepszemu przyjacielowi, żeby pomóc im się uratować. Oparłam się o słupek w narożniku ramy łóżka, czując się zupełnie bezradna. Ale co jeszcze mogłam zrobić?

Siedziałam tak ze spuszczoną głową kilkanaście minut, aż nagle zaczęło mi coś świtać.

Hm...

W moim założeniu, że Jacob i Renesmee uciekną, musiało się mieścić przekonanie, że Demetri nie będzie żył. Zapewniłoby to tym, którzy by przeżyli, trochę czasu na złapanie oddechu - wszystkim, którzy by przeżyli, a więc i Alice z Jasperem.

Skoro zaliczali się do tej grupy, czy nie mogłoby pomóc Jacobowi i Renesmee? Gdyby do nich dołączyli, maleńka miałaby ochronę najlepszą z możliwych. Nie istniał żaden powód, dla którego nie mogłoby dojść do ich ponownego spotkania poza jednym - wize Alice ani Jacoba, ani Renesmee nie obejmowały. Jak miałaby zacząć ich szukać?

Zamyśliłam się nad tym na moment, po czym wyszłam na korytarz i poszłam prosto do Esme i Carlisle'a.

Błat Esme jak zwykle pokryty był różnorodnymi planami i listami piętrzącymi mi się w schludnych stosach. Powyżej do ściany przy mocowany był rząd drewnianych przegródek, a w jednej z nich znajdowało się pudełko z artykułami piśmiennymi. Zaopatrzyłam się w długopis oraz czysty arkusz kremowego papieru.

Przez pełne pięć minut wpatrywałam się w pustą stronicę, koncentrując się na mojej decyzji. Alice może nie widziała Jacoba i Renesmee, ale z pewnością umiała zobaczyć mnie. Wyobraziłam sobie, jak przed oczami staje jej ta chwila, modląc się, żeby moja przyjaciółka nie była zbyt zajęta, by tę wizję zignorować.

Powoli, w skupieniu, napisałam na kartce dużymi literami trzy słowa: RIO DE JANEIRO.

Rio wydawało mi się najlepszym miejscem, do jakiego można było ich wysłać. Po pierwsze, od Forks dzieliło je tysiące kilometrów. Po drugie, według ostatnich doniesień Alice i Jasper bawili właśnie w Ameryce Południowej. Po trzecie wreszcie, nic nie wskazywało na to, żeby nasze stare problemy stały się nieaktualne tylko dlatego, że pojawiły się inne, dużo poważniejsze. Przyszłość Renesmee nadal stanowiła dla nas zagadkę, a to, jak szybko mała rosła, wciąż przepełniało nas strachem. Teraz wyszukanie i zbadanie indiańskich legend miało być zadaniami Jacoba, a jeśli los miał się do nas uśmiechnąć, i Alice.

Znienacka strasznie zachciało mi się płakać, więc znów zwiesiłam głowę i zacisnęłam zęby. Mogłam się tylko cieszyć, że Renesmee miała szansę wyjść cało z konfrontacji z Volturi, ale już teraz tęskniłam za nią tak mocno, że trudno było mi to znaleźć.

Wzięłam głęboki wdech i umieściłam kartkę z nazwą miasta na dnie plecaka. Prędzej czy później Jacob miał ją tam znaleźć.

Było mało prawdopodobne, by jego prowincjonalna szkoła miała w swojej ofercie język portugalski, ale trzymałam kiuklą, żeby mój przyjaciel miał za sobą choć kilka semestrów hiszpańskiego.

Pozostało nam tylko czekać.

Edward i Carlisle spędzili dwa kolejne dni na polanie, na którą według Alice mieli przybyć Volturi. Latem w tym samym miejscu zaatakowali Cullenów nowo narodzeni Victorii. Ciekawiło mnie, czy doktor odbierał to jako *deja vu*. Dla mnie wszystko miało być nowe. Tym razem Edward i ja mieliśmy stanąć do walki u boku naszych najbliższych.

Zakładaliśmy, że Volturi będą starali się wytręcić albo Edwarda albo Carlisle'a. Zastanawiałam się, czy miało być to dla nich niespodzianką, że oskarżenia nie uciekli. Czy mieli dojść do wniosku, że w takim wypadku lepiej zachować ostrożność? Wątpiłam, żeby kiedykolwiek wcześniej poczuli taką potrzebę.

Chociaż byłam niewidzialna dla Demetriego - a przynajmniej na to liczyliśmy - chciałam zostać z Edwardem. Nie widziałam innej możliwości. Zostało nam tylko kilka godzin, które mogliśmy spędzić razem.

Nie mieliśmy za sobą żadnej wzruszającej sceny pożegnania, ani też takowej nie planowaliśmy. Gdybyśmy wymówili pewne słowa na głos, byłoby w tym coś zbyt ostatecznego. Kojarzyłoby mi się to z wystukaniem na klawiaturze słowa „koniec” na ostatniej stronie pisanej powieści. Żadne tego typu słowa stać między nami nie padły, ale trzymaliśmy się jak najbliżej siebie, bezustannie się dotykając. Bez względu na to, jaki miał spotkać nas koniec, chcieliśmy się postarać o to, by nie spałał nas rozdzielonych.

Kilka metrów od polany, w opielkującej gęstwinie lasu, rozstawiliśmy namiot dla Renesmee. Teraz przeżywalismo *deja vu* w trójkę, bo znowu biwakowaliśmy na ziemie z Jacobem. Niemalże nie sposób było uwierzyć, ile się od czerwca zmieniło. Siedem miesięcy wcześniej wydawało się, że już nigdy nie uporządkujemy naszych wzajemnych relacji, takaby ani jedna osoba w naszym gronie nie cierpiała z powodu złamanego serca - tymczasem zdołaliśmy osiągnąć idealną równowagę. Co za ironia, że akurat gdy ułożyliśmy kawałki tej uczuciowej układanki w zgrabną całość, miała ona ulec bezpowrotnemu zniszczeniu.

Śnieg zaczął padać na dzień przed sylwestrem i zgodnie z przepowiednią Alice jego drobne płatki w zetknięciu z kamienistym gruntem tym razem nie topniały. Podczas gdy Renesmee i Jacob spali - nie mogłam się nadziwić, że małej nie budzi jego wyjątkowo głośne chrapanie - lekki puch przysłonił ziemię niczym cienką warstwą lukru, by później zacząć zbierać się w grubszych zaspach. Nim weszło słońce, sceneria z wizji Alice była gotowa. Edward i ja przyglądaliśmy się roziskrzonemu białemu polu, trzymając się za ręce, ale żadne z nas się nie odezwało.

Przez cały wczesny ranek na polanę schodzili się nasi bliscy i goście. W ich oczach krył się dowód ich przygotowania - u jednego k tęczywoi były jasnoziote, u innych ci intensywnie szkarlatne. Wkrótce po tym, jak stawiły się ostatnie wampiry, uszyszliśmy wilki krążące po lesie. Jacob wynurzył się z namiotu, pozostawiając Renesmee samą, żeby do nich dołączyć.

Edward i Carlisle zabrał się do ustawiania pozostałych w luźnym szyku - Cullenowie mieli stać w środku, a świadkowie po bokach.

Obserwowałam ich z pewnej odległości, czekając przy namiocie, aż moja córeczka się obudzi. Kiedy w końcu wstała, pomogłam jej włożyć na siebie to, co wybrałam dla niej z rozwągą dwa dni wcześniej. Były to ubranka bardzo dziewczęce, z masą falbanek, ale jednocześnie porządnie uszyte z solidnych tkanin, by jak najdłużej nie wyglądały na znoszone - nawet gdyby ich właścicielka miała przejechać w nich kilka stanów na gigantycznym basiorze. Na plecach wsadziłam jej czarny skórzany plecakzek zawierający dokumenty, pieniądze, kartkę z nazwą miasta oraz cztery listy: dla niej, dla Jacoba, dla Charliego i dla Renee. Była na tyle silna, by móc z łatwością taki ciężar udźwignąć.

Kiedy zobaczyła malującą się na mojej twarzy rozpacz, jej oczka zrobiły się wielkie jak spodki, ale pojmowała z tego, co się działo, dostatecznie dużo, by nie zadawać żadnych pytań.

- Kocham cię - powiedziała jej. - Bardziej niż cokolwiek na świecie.

- Ja też cię kocham, mamusiu - odpowiedziała. Dotknęła wiszącego na swojej szyjce medalionu, który zawierał teraz miniaturową fotografię naszej trzyosobowej rodziny. - Zawsze będziemy razem.

- Zawsze będziemy razem w naszych sercach - poprawiłam ją najcichszym z szeptów - ale jeśli okaże się to dziś konieczne, bądźziesz mnie musiała opuścić.

Otworzyła oczy jeszcze szerzej i dotknęła rączką mojego policzka. Jej nieme „nie” było głośniejsze, niż gdyby je wykrzyczała.

Z wysiłkiem przelknęłam ślinę - moje gardło wydało mi się dziwnie napuchłe.

- Zrobisz to dla mnie? Proszę?

Przycisnęła mi paluszką do twarzy jeszcze mocniej. Dlaczego?

- Nie mogę ci powiedzieć. Ale przyrzekam, że już niedługo sama to zrozumiesz.

Renesmee pokazała mi Jacoba.

Skinęłam głową, ale odsunęłam jej rączkę od siebie.

- Nie myśl o tym - szepnęłam jej od ucha. - I nie mów nic Jacobowi, dopóki nie każe ci uciekać, dobrze?

Temu się nie sprzeciwiała. I skinęła głową. Została mi do zrobienia jeszcze jedna rzecz. Sięgnęłam do kieszeni.

Kiedy pakowała rzeczy Renesmee, nagle moja uwaga przykuła kolorowa iskierka. Zbłąkany promień słońca, który wpadł do pokoju przez świetlik, odbił się od kamieni szlachetnych zdobiących beczenną starą szkatułkę upchniętą na najwyższej półce w najrzadziej używanym kącie garderoby. Przy stanęłam na moment, a potem wrzuciłam ramionami. Dopasowawszy do siebie wskazówki Alice, nie mogłam mieć nadziei na pokojowe rozwiązanie konfliktu pomiędzy nami a Volturi, zadałam sobie jednak pytanie, czemu nie miałam spróbować choć na początku okazać im jaknajwięcej dobrej woli. Czy mogłoby nam to jakoś zaszkodzić? Chyba mimo wszystko gdzieś we mnie tliła się reszka nadziei - złudnej nadziei, palcem na wodzie pisanej się po półkach i zdjęłam prezent ślubny od Aro.

Teraz, przy Renesmee, zawiesiłam sobie gruby złoty łańcuch na szyi. Kiedy olbrzymi diament wpasował się w zagłębienie pod moim gardłem, poczułam po raz pierwszy, jak bardzo jest ciężka.

- Śliczny - szepnęła mała, zaciskając wokół mnie ramionka z siłą imadła.

Przytulilam ją sobie do piersi. Trzymając ją na rękach, wyszłam z namiotu i zaniósłam ją na polanę.

Na mój widok Edward uniósł brew, ale ani mojej biżuterii, ani plecaczka Renesmee w żaden inny sposób nie skomentował. Teraz to on z kolei przy garnął nas do siebie. Przez dłuższy czas staliśmy tak w milczeniu, a potem odsunął się od nas z głębokim westchnieniem. W jego oczach nie potrafiłam się dopatrzyć pożegnania. Być może liczył jednak na to, że coś go czeka po śmierci, bardziej, niż się do tego przyznawał.

Renesmee wspięła mi się zwinnie na plecy, żebym miała wolne ręce, i przesyłałam wraz nią na wyznaczoną mi pozycję, jakiś metr za tymi, którzy mieli pójść na pierwszy ogień: Carlislem, Edwardem, Emmettem, Rosalie, Tanyą, Kate i Eleazarem. Po moich bokach znajdowali się Benjamin i Zafrina - moim zadaniem było chronić ich pod tarczą tak długo, jak by się dało. Ich talenty stanowiły najlepszą broń w naszym arsenale. Jeśli dla odmiany to Volturi mogli zostać oślepieni, choćby tylko na chwilę, wszystko mogło potoczyć się zupełnie inaczej.

Zesztywniała Zafrina sprawiała wrażenie jeszcze dzikszej niż zwykle, a towarzysząca jej Senna starała jej się dorównać. Benjamin siedział na śniegu z palcami wciśniętymi w ziemię i mamrotał coś pod nosem o budowie skał. Poprzedniego wieczoru w tyle polany zgromadził w wielkich stertach sporo głazów - pokryte warstwą białego puchu prezentowały się bardzo naturalnie. Takim kamiennym blokiem nie można było zrobić nieśmiertelnemu krzywdy, ale przy odrobinie szczęścia można go było zdekongentrować.

Nasi świadkowie zbrali się w grupkach na prawo i lewo od nas - najbliżej ci, którzy zadeklarowali, że włączą się do walki. Zauważyłam, że Siobhan pociera sobie skronie i ma zamknięte oczy - czyżby przystała jednak na propozycję Carlisle'a i wyobrażała sobie, jak nie zawodzą nas nasze dyplomatyczne metody?

Za nami, schowane między drzewami i wilkołaki były już w pełnej gotowości - słyszeliśmy tylko, jak posapują i jak biją ich serca.

Nadpłynęły chmury, rozpraszając światło, tak że równie dobrze mogło być już po południu. Rozglądając się badawczo, Edward zmarszczył czoło i domyślałam się, że to już ten moment - że widzi po raz drugi to, co po raz pierwszy ujrział w wizji Alice. Zgadał się już każdy szczegół. Do przybycia Volturi pozostało zaledwie kilka minut czy nawet sekund.

Cała moja rodzina i wszyscy sprzymierzeńcy zamarli w oczekiwaniu.

Z zarości wyłonił się potężny samiec Alfa o rdzawo - brązowej sierści i zajął miejsce koło mnie - musiało mu być ciężko przebywać z dala od Renesmee ze świadomością, jak ogromne grozi jej niebezpieczeństwo.

Maleńka wplotła paluszką w futro na jego umięśnionym barku i rzyk ciałko odrobinię się rozluźniło. Była spokojniejsza, wiedząc, że Jacob jest tu obok. Ja też poczułam się przez to nieco lepiej. Tak długo, jak przy niej był, nic nie mogło się jej stać.

Nie odrywając wzroku od ściany lasu, żeby nadmiernie nie ryzykować, Edward sięgnął za siebie. Wyciągnęłam ramię i złapałmi się za ręce. Ścisnął mi porozumiewawczo palce.

Minęła kolejna minuta. Złapałam się na tym, że nasłuchuję.

Nagle Edward spał mięśnie, a pomiędzy jego zacisniętych zębów wydobył się cichy syk. Spojrzył na północny skraj polany.

I my tam spojrzeliśmy. W duchu odliczaliśmy ostatnie sekundy.

Ich nadejście przypomniało pełne przepychu widowisko z udziałem jakiejś koronowanej głowy - nie dało się zaprzeczyć, że było w nim coś pięknego.

Poruszeni się w ścisłej, oficjalnej formacji, ale bynajmniej nie monotonnym marszowym krokiem - spłynęli z drzew idealnie z sobą zsynchronizowani. Tak zgrabnie się przemieszczali, że ciemna falująca plama, jaką tworzyli, zdawała się unosić kilka centymetrów nad ziemią.

Obrzeże owych plamy było szare, ale jej barwa ciemniała z każdym rzędem ciał, wreszcie w samym środku przejść w kručzącą czerni. Wszyscy przybyłszy byli zakapturzeni, każde oblicze skrywał cień. Ich stopy muskały śnieg w tak regularnym rytmie, że brzmiało to jak muzyka - skomplikowana, nie cichnąca ani na chwilę kompozycja.

Na jakiś znak, który przegapiłam - lub którego może wcale nie było, bo wystarczająco tysiąclecia praktyki - oddział przybyśków przegrupował się. Ich szeregi były zbyt uporządkowane, a sam manewr zbyt sztywny, by można było przypisać tej operacji do otwarcia się kwiatowego pąka, chociaż kolory były rozmieszczone odpowiednio. Przypomniało to raczej otwierający się wachlarz, bo z gracją ruchu kontrastowała kanciastość formacji. Otulone szarymi pelerynami postacie przeszły na flanki, a te ubrane na czarno wystały na przód. Nie nie dało się wbrew w górę narzuconemu scenariuszowi.

Zbliżeli się do nas powoli, lecz nieublaganie. Nie spieszyli się, na nic nie uważali, niczym się nie przejmowali. Było to tempo niepokonych.

Niemal wszystkie szczegóły zgadzały się z moim starym koszmarem. Jedynym elementem, którego brakowało, było samozadowolenie połączone z poządlwością widoczne na twarzach moich przeciwników ze snu - tamte drapieżne triumfalne uśmiechy.

Prawdziwi Volturi jak na razie byli zbyt zdyscyplinowani, by okazywać jakiegokolwiek emocje. Nie zdradzili się nawet z tym, czy zaskoczyło ich albo zmartwiło to, że czekało na nich tak wiele wampirów - zresztą, w porównaniu z nimi, wydaliśmy mi się nagłe niezdrani i nieorganizowani. Nie zbili ich chyba z tropu nawet fakt, że na polanie obecny był wilkołak

Nie mogąc się powstrzymać, przeprowadziłam w myślach krótkie podsumowanie. Było ich trzydzieści dwoje. Nawet gdyby nie liczyć dwóch trzymających się w tyle wychudzonych postaci w czerni, które, o ile się nie myliłam, były znanymi mi ze słyszenia znanymi - sądząc po ich zachowaniu, nie miały brać udziału w starciu - Volturi nadal mieliby nad nami przewagę. Spośród nas, chętny ch by walczyć było zaledwie dziewiętnastu - pozostała siódemka miała się jedynie przyglądać naszej egzekucji. Dziesięć chowających się w lesie wilków takną dobrą sprawę nie stanowiło żadnej różnicy.

- Anglicy nadchodzą, Anglicy nadchodzą - zamruczał tajemniczo Garrett* [Garrett walczył przeciwko koronie angielskiej w rewolucji amerykańskiej w latach 1775 - 1783 - przyp. tłum.], po czym zachichotał cicho i zrobił krok w kierunku Kate.

- A jednak - szepnął Vladimir do Stefana. - Przyjechali.

- Z zonanami - syknął Stefan. - Z całą strażą. Wszyscy w komplecie. Dobrze, że nie próbowaliśmy w Volterze.

A potem, jak gdyby sama liczba Volturi nie była dość porażającą, za ich przesuwanym się majestatycznie orszakiem na polanie zaczęło wychodzić jeszcze więcej wampirów.

Twarze nieśmiertelnych z napływającego niekończącą się z pozoru falą tłumy stanowiły całkowite zaprzeczenie twarzy opanowanych do granic możliwości Volturi - malaowały się na nich wielokrotnie emocje zmieniające się jak w kalejdoskopie. Z początku, kiedy zobaczyli, że oczekuje ich niespodziewanie duże zgromadzenie, byli to szok, a nawet nieco przestraszczeni. Ale niepokój wkrótce ustąpił - czuli się pewnie, mając nad nimi tak miąższą przewagę, bezpiecznie, podążając za niedającą się powstrzymać siłą, jaką byli Volturi - i zrobili z powrotem te miny, jakie mieli, zanim ich zaskoczyliśmy.

Zrozumienie ich nastawienia do nas nie było trudne - ich grymasy nie pozostawiały niedomowień. Oto zbliżała się do nas żądna zemsty kohorta in grany, napuszczona hasłami domagającymi się sprawiedliwości. Dopóki nie zajrzałam tym ludziom w oczy, nie zdawałam sobie w pełni sprawy, jakimi uczuciami darzył wampirzy świat niesławne nieśmiertelne dzieci.

Było jasne, że ta rozwieściana horda - ponad czterdzieści wampirów - to poniekąd świadkowie drugiej strony. Po naszej śmierci mieli rozgłosić, że zbrodniarze ponieśli zasłużoną karę, a Volturi oszczędili ich absolutnie bezstronnie. Większość tego motochu wyglądała jednak, jakby miała nadzieję na coś więcej niż tylko miejsca na widowni - jak nie chcieli też dopomóc w rozstrzygnięciu i paleniu.

Nie mieliśmy najmniejszych szans. Nawet gdybyśmy jakoś zneutralizowali niezwykle umiejętności tych spośród strażników Volturi, którzy byli wybitnie utalentowani, nasi wrogowie mogliby nas po prostu zdusić swoją masą. Nawet gdybyśmy zabili Demetriego, Jacob nie byłby w stanie wyminąć się pozostałym.

Wyczuliłam, że ta potworna prawda dociera też do moich kompanów. Gęstniejąca rozpacz zmieniała powietrze w olów, przegnatając moje barki z większą mocą niż kiedykolwiek.

Jedną z wampirzy, które wyszły z lasu, zdawała się nie należeć do żadnej z stron konfliktu. Gdy zawałała się pomiędzy dwoma grupami, rozpoznałam w niej Irinę. Spośród innych świadków Volturi wyróżniał ją też wyraz twarzy. Przerazona wpatrywała się w stojącą w naszym pierwszym szeregu Tanę.

Edward warknął - bardzo cicho, ale zabrzmiało to jak przekleństwo.

- Alistair miał rację - mruknął do Carlisle'a.

Doktor spojrział na niego pytająco.

- Alistair miał rację? - powtórzyła szeptem Tanya.

- Kajusz i Aro przybyli tu, by nas zniszczyć i zarazem powiększyć swoją kolekcję - wyjaśnił Edward konspiracyjnym głosem, żeby nie usłyszała go druga strona. - Przygotowali zawczasu rozbudowaną strategię na każdą okoliczność, jeśli oskarżenia Iriny miałyby okazać się fałszywe, zamierzali za wszelką cenę znaleźć jakiś inny pretekst do tego, by nas ukarać. Ale teraz widzą małą, więc są pełni optymizmu co do tego, jak potoczą się wypadki. Moglibyśmy nadal próbować odpreżyć ich inne zmślone zarzuty, ale w pierw musieliby się zatrzymać, wysłuchać prawdy o Renesmee. - Zamilkł na moment, by po chwili dodać jeszcze ciszej: - Tyle że nie mają najmniejszego zamiaru tego zrobić.

Jacob fulnął dzwinnie.

A potem, może dwie sekundy później, zupełnie niespodziewanie, posępna procesja jednak się zatrzymała! Muzyka zsynchronizowany ch stąpnięć ustąpiła miejsca ciszy. Volturi zamarli jednocześnie jak jeden wielki organizm. Nikt ani jednym drgnięciem nie wyłamał się spod dyscypliny. Stąpali około stu metrów od nas.

Za sobą, po bokach, usłyszałam bicie wielkich serc. Znajdowały się teraz bliżej z nas niż wcześniej. Pozwoliłam sobie zerknąć na prawo i lewo, by zobaczyć kątem oka, co też wywołało u Volturi taką reakcję.

To dołączyły do nas wilki.

Wsunęły się z lasu po obu stronach naszej dość beładnej formacji, tworząc z swych potężnych sylwetek dwa długie skrzydła. Na przy patrzenie się im poświęciłam jedynie ułamek sekundy, zdążyłam jednak zauważyć, że wilków było więcej niż dziesięć, i odróżnić te, które znałam, od tych, których widziałam po raz pierwszy. Ustawiło się wokół nas w równy ch odstępekach szesnaście basiorów - łącznie z Jacobem, sfory z La Push liczyły sobie już siedemnastu członków. Patrząc na wysokość w łbie i nieproporcjonalnie duże łapy nieznaney mi siódemki, nietrudno się było domyślić, że są to wilkołaki bardzo, ale to bardzo młode. Powinnam była przewidzieć, że tak to się skończy. W najbliższej okolicy pojawiło się ostatnio tyle wampirów, że kolejne metamorfozy wśród quileuckiej młodzieży były czymś nieuniknionym.

Miało dziś zginąć z nami jeszcze więcej dzieci.

Oburzyłam się, jak Sam mógł do tego dopuścić, ale zaraz uzmysłowiłam sobie, że nie miał wyboru. Nawet gdyby jego plemię reprezentował przy nas choćby tylko jeden wilk, Volturi i tak odszukałby później pozostałe. Sprzymierzając się z nami, w każdym wypadku wilkołaki ryzykowały zciem wszystkim przedstawicielom swojego gatunku.

A przecie mieliśmy przegrać.

Nagle wpadłam w gniew. Nie, gniew to było za mało powiedziane - ogarnęła mnie żądza mordu. Dławiąca mnie rozpacz znikła bez śladu. Kontury stojących przede mną ciemnych postaci otoczyła niłka czerwonawa pościawia i nie pragnęłam w tej chwili niczego prócz tego, by trafila mi się wkrótce okazja zatapić w nich zęby, wyrwać kończyny z ich tułowii i odrzucać je na gotowe do spalenia sterty. Byłam tak rozjuszona, że mogłabym zatańczyć wokół płonącego stosu, podczas gdy tamci smazy liby się żywcem, a dogłdając ich dogasających ch popiołów, śmiałabym się na całe gardło. Odruchowo odsłoniłam zęby, a z głębi moich trzewii wy dobył się cichy, dziki charkot. Dotarło do mnie, że kłkili moich ust unoszą się w uśmiechu.

Zawtórowały mi moje towarzyszyki, Zafrina i Senna. Edward ścisnął moją dłoń, którą ciągle trzymał, żeby mnie upomnieć.

Zacienione twarze Volturi w większości nadal niczego nie wyrażały. Tylko dwie pary oczu zdradzały pewne emocje. W samym środku szeregu, stykając się rękami, Aro i Kajusz zatrzymali się, by ocenić sytuację, zaś cała straż przystanęła wraz z nimi, czekając, aż padnie rozkaz, by nas zgładzić. Dwójka sędziwych wampirów nie utrzymywała ze sobą kontaktu wzrokowego, było jednak oczywiste, że się ze sobą komunikują. Marek, chociaż dotykał drugiej ręki Aro, nie wydawał się brać udziału w tej rozmowie. Spojrzenia nie miał tak pustego, jak jego podwładni, ale było ono niemal równie obojętne. Tak jak poprzednim razem, kiedy go spotkałam, sprawiał wrażenie wyjątkowo zmudzonego.

Sprawadzeni przez naszych przeciwników świadkowie pochylali się ku nam, świdrując wzrokiem mnie i Renesmee, ale nie oddalali się zbyt blisko od linii drzew, tak że pomiędzy nimi a Volturi zostało sporo wolnej przestrzeni. Tylko Irina kręciła się bliżej żołnierzy w pelerynach, zaledwie kilka kroków od małżonk Aro i Kajusza oraz ich dwóch muskularnych ch ochroniarzy. Obie wampirzyce miały jasne włosy, oczy przesłonięte błoną i charakterystycznie cienką skórę.

Jednym ze strażników o ciemniejszy m stroju była kobieta, stojąca tuż za Aro. Nie miałam pewności, ale wyglądała na to, że opierała dłoń o jego plecy. Czy patrzyłam właśnie na drugą tarczę, ową Renate? Zaciekawilo mnie, tak jak wcześniej Eleazara, to, czy potrafiłaby mnie zablokować.

Nie, nie zamierzalam sprawdzić tego w praktyce. Próbuując dostać się do Kajusza czy Aro, marnowałabym tylko czas. Istotniejsza była likwidacja innych celów.

Rozejrzałam się za nimi i namierzalam jej bez problemu - dwie drobne postacie prawie w samym sercu oddziału wroga. Alec i Jane, bez wątpienia najniższymi wzrostem członkowie straży, zajmowali uprzywilejowane pozycje u boku Marka, oddzielając go od Demetriego. Byli tak opanowani, że ich uroczę włosy, że ich uroczę buzie przypomniały maski, a ich okrycia były najciemniejsze ze wszystkich, z wyjątkiem czarnych płaszczy trójki przywódców. Piekielne bliźnięta, tak nazwał ich Vladimir. Perły kolekcji Aro. To na ich talentach opierała się ofensywa Volturi.

Siępiałam mięśnie, a do ust napłynął mi jad.

Aro i Kajusz powiedli spojrzeniem wzdłuż kordonu moich bliskich i z twarzy tego pierwszego wyczytałam, że jest boleśnie rozczarowany. Ze złością zacisnął usta. Jeszcze kilkakrotnie zlustrował naszą grupę, ale tej, na której mu zależało, w naszym gronie się nie doszukał.

Jakże byłam teraz wdzięczna Alice, że nas opuściła!

Im dłużej się przeciągało, tym Edward szybciej oddychał.

- Co się dzieje? - szepnął do niego zaniepokojonym tonem Carlisle.

- Nie wiedzą jeszcze, jak postąpić. Rozpatrują różne opcje, wybierają główne cele: mnie, rzecz jasna, ciebie, Eleazara, Tanę...

Marek bada, jak silne są poszczególne łącznie nas więzi - stara się ustalić, gdzie kryją się nasze słabe punkty. Irytuje ich obecność Rumuńów. Dużym zmartwieniem jest dla nich to, że są wśród nas wampiry, których nie kojarzą - z szczególnym uwzględnieniem Zafriny i Senny - i oczywiście fakt, że zbrałaby się z nami wilki. Jeszcze nigdy w historii nik nie miał nad nimi przewagi liczebnej. To właśnie to ich zatrzymało.

- Jakiej znowu przewagi liczebnej? - zdziwiła się Tanya.

- Tej całej zbieraniny pod lasem nie biorą pod uwagę. Dla strażników to zera, równie dobrze mogliby wcale nie istnieć. Aro po prostu lubi mieć publiczność.

- Czy powinieniem zabrać głos? - spytał Edwarda Carlisle.

Edward zawałał się, ale skłnął głową.

- To twoja jedy na szansa. Innej nie dostaniesz.

Carlisle ściągnął łopatkę, po czym zrobił kilkanaście kroków do przodu. Okropnie było przyglądać się, jak tak stoi, samotny i bezbronny.

Rozłożył ramiona w powitalnym geście.

- Aro, przyjacielu! Nie widziałem cię całe wieki!

Przez dłuższy czas na osnieżonej polanie panowała idealna cisza. Edward wsłuchiwał się w to, co o zachowaniu doktora pomyślał sobie Aro, i wyczuwałam z łatwością, jak bardzo był spięty. Z każdą sekundą nieublaganie rosło napięcie.

A potem również Aro wystał na środek Tarcza, Renata, przemieściła się wraz z nim, jak gdyby opuszki jej palców były przyzwyte do jego szaty.

Wśród zgromadzonych żołnierzy przeszedł s tłumiony pomruk. Po raz pierwszy od swojego przybycia Volturi się ożyli. Patrzyli na nas teraz wilkiem i jeden po drugim obnażali zęby. Kilkoroz przyczytało się, gotując się do skoku.

Aro uniósł władczą rękę.

- Spokój! - rozkazał.

Przeszedł jeszcze parę metrów, a kiedy przystanął, przechylił głowę. W jego zamglony ch oczach rozbiła się ciekawość.

- Cóż, Carlisle'u - odezwał się swoim słabym, cienkim głosem. - Witasz mnie niby serdecznie, ale twoje słowa wydadają się być nie na miejscu. Wszakże zgromadziłeś na prawdziwą armię, żeby zabić mnie i moich najbliższych.

Doktor pokręcił przecząco głową i wyciągnął przed siebie prawą rękę, jak gdyby nie dzieliło ich jeszcze niemal stu metrów.

- Wystarczy że mnie dotkniesz, a dowiesz się, że nie takie były moje intencje.

Volturi ściągnął brwi.

- Jednak cóż znaczą twoje intencje, drogi Carlisle'u, w obliczu tego, czego się dopuściłeś.

Po jego twarzy przemknął cień smutku - nie potrafiłam powiedzieć, czy tylko grał, czy też nie.

- Wiedz, że nie popelnilem zbrodni, za którą chęcie mnie ukarać.

- Odsuś się więc i pozwól nam ukarać ty ch, którzy sąj winni. Przyznam, Carlisle'u - że nie bym miałe takie uczucie/ło, jak to, że mógłbym darować ci dziś życie.

- Nikt z nas nie złamał prawa, Aro. Pozwól, że wszystko ci wyjaśnię.

Ponownie wyciągnął ku niemu rękę.

Zanim Aro zdążył mu odpowiedzieć, dołączył do niego pospiesznie Kajusz.

- Tyle bezsensownych zasad, tyle bezsensownych praw sam dla siebie stworzył, Carlisle'u - syknął. - Jak to możliwe, że bronisz lamania jedynej reguły, która ma jakiegokolwiek znaczenie?

- Nikt tu nie złamał prawa. Gdybyście tylko mnie wysłuchali...

- Widzimy dziecko - przerwał mu Kajusz. - Nie traktuj nas jak głupców.

- Mała nie jest nieśmiertelna. Wcale nie jest wampirem. Mogę tego w bardzo prosty sposób dowieść...

- Skoro nie jest jedynym z Zakazanych - wszedł mu w słowo starzec - czemu w takim razie zebrałeś tu bez mała batalion, by ją chronić?

- To nasi świadkowie, Kajuszu. Wy też swoich przywieźliście. - Doktor wskazał na wrzący gniewem tłum przy scianie lasu. Niektórzy z przybyłych warknęli głośno w odpowiedzi. - Każdy z naszych gości może opowiedzieć ci historię pochodzenia tej dziewczynki. Zresztą, wystarczy, że jej się przyjrzą. Zobacz, jak jej policzki rumiem ładną krew.

- Tania szuczka! - odparł Volturi. - Gdzie nasza informatorka? Niech tu do nas wyjdzie! - Spojrzal za siebie i zaczął się rozglądać, aż wreszcie dostrzegł kryjącą się za żonami Irinę. - Hej, ty! Do mnie!

Denalka popatrzyła na niego nieprzytomnie, jak ktoś, kto nie do końca wybudził się z jakiegoś odrážającego koszmaru. Zniecierpliwiony Kajusz strzelił palcami. Jeden z ochroniarzy żon zbliżył się do Iriny i pchnął ją brutalnie. Kobieta zamruwała drukrotnie, po czym ruszyła powoli w kierunku wolającego ją starca, nadal pograżona w głębokim szoku. Zatrzymała się kilkanaście metrów za wcześniej, nie spuszczając z oczu swoich dwóch siostr.

Kajusz podszedł do niej szybko i uderzył ją w twarz.

Nie mogło jej to zabołeć, ale w jego postępkach było coś straszliwie upokarzającego. Poczulał się tak, jakby ktoś przy nim kopnął psa.

Tanya i Kate jednocześnie syknęły.

Irina zeszywniała, a jej oczy skupiły się wreszcie na Kajuszu. Wskazał kobylistym palcem na Renesmee, która nadal ciepiała się kurczowo moich pleców z paluszkami wplecionymi w futro Jacoba. Byłam tak wzburzona, że od starca zdawała się oddzielać mnie tafla czerwonego szkła. Pierś Jacoba zdrząła od dobowającego się z niej charkotu.

- Czy to dziecko widziałaś? - zwrócił się Kajusz do Iriny. - Czy to to dziecko, które, jak się zarząkałaś, było bez dwóch zdań czymś więcej niż człowiekiem?

Denalka przeniosła na nas wzrok, by przyjrząc się malej po raz pierwszy, odłąk zjawiła się na polanie. Przechyliła głowę. Wyglądała na zdezorientowaną.

- Czy tak? - popędził ją Kajusz.

- Nie... nie jestem pewna - wykrztusiła zagubiona. Wampirówi drgnęła ręka, jakby miał ochotę znowu uderzyć przesłuchiwaną.

- Jak to? - spytał ostrym tonem.

- To nie takie samo dziecko, ale sądzę, że to samo. Chodzi mi o to, że zmieniło się. Jest teraz większe niż wtedy, kiedy je widziałam, ale...

Nie dokończyła, bo Kajusz z wściekłości zachłysnął się głośno powietrzem, odsłaniając równocześnie zęby. Aro podszedł do niego i by go powstrzymać, położył mu rękę na ramieniu.

- Opanuj się, bracie. Możemy wszystko spokojnie wyjaśnić. Nie ma się co spieszyć.

Kajusz obrócił się do Iriny tyłem z obrazoną miną.

- A teraz, kochanińka - zamruczał słodko Aro - pokaż mi, co też usiłujesz nam przekazać.

Wyciągnął dłoń ku oszołomionej wampirzycy. Ujęła ją niepewnie. Cała operacja zabrała zaledwie pięć sekund.

- Widzisz, Kajuszu? To nic trudnego zdobyć informacje, których nam trzeba.

Starzec nie powiedział.

Zerknąwszy kątem oka na swoją publiczność, Aro wrócił do przerwanej rozmowy z Carlislem.

- A zatem mamy do czynienia z nie łądą zagadką. Ponoć dziewczynka urosła, a przecież we wspomnieniu Iriny była bez wątpienia nieśmiertelnym dzieckiem. Cielawe.

- Właśnie ten paradoks usiłuję ci wytłumaczyć - oznajmił doktor. Ze zmiany, jaka zaszła w jego głosie, wynioskowałam, że mu użlyło. Oto pojawiła się szansa, by przedstawić Volturi naszą wersję wydarzeń - szansa, w której pokładaliśmy wszystkie swoje naiwne nadzieje.

Ja ulgi nie czulał. Niemalże odrętwiała z furii, czekałam na pokazy rozbudowanej strategii, które obiecał mi Edward.

Carlisle ponownie podał Aro rękę. Volturi zawałał się na moment.

- Wolalbyśmy raczej uzyskać wyjaśnienia od kogoś odgrywającego w tej sprawie bardziej kluczową rolę, mój przyjacielu. Czy się nie mylę, zakładając, że nie brałeś w tym przestępstwie udziału?

- Nikt nie popełnił żadnego przestępstwa.

- Może i tak, jednakże pragnę przyjrząc się tej sprawie z jak najszerzej perspektywy wy. - Tu Aro przybrał surowszy ton. - Najlepiej będzie, jeśli otrzymam dowody wprost z ręki twojego utalentowanego syna. - Wskazał głową na mojego ukochanego. - Skoro dziecko tak tuli się do jego nowo narodzonej partnerki, mniemam, iż Edward też jest w to zamieszany.

Nie było nic dziwnego w tym, że chciał to przeprowadzić właśnie w ten sposób. Zapoznawszy się z myślami Edwarda, miał zarazem poznać myśli każdego z nas. Z wyjątkiem mnie.

Edward pocałował przelotnie mnie i Renesmee w czoło, ale nie spojrział mi w oczy. Wyszedł śmiało na żasnione pole, a mijając Carlisle'a, poklepał go po ramieniu. Za moimi plecami ktoś cicho jęknął - to Esme straciła nad sobą na chwilę kontrolę.

Czerwona poświata, którą widziałam wokół żołnierzy Volturi zapłonęła jaskrawiej niż wcześniej. Cierpiałam, musząc patrzeć, jak Edward samotnie przemierza białą pustą przestrzeń - ale też nie mogłam pozwolić na to, by Renesmee zbliżyła się choćby o krok do naszych przeciwników. Walczyły we mnie ze sobą dwie przeciwstawne potrzeby. Znieruchomiałam do tego stopnia, że moje kości wydawały się skłonne popękać od samego wywieranego na nie nacisku.

Kiedy Edward pokonał połowę dzielącego go od Aro dystansu, czyli li, innymi słowy, znalazł się bliżej Volturi niż nas, zobaczyłam, że Jane się uśmiecha.

I to było to.

Ten pelen zadowolenia uśmiešek podziałał na mnie jak czerwona plachta na byka. Mój gniew sięgnął zenitu, zostawiając w tyle nawet gwałtowną żądzę mordu, kipiącą we mnie od momentu, w którym do naszych skazanych na zgubę szeregów dołączyły wilki. Poczulał w ustach smak furii - wzbierała we mnie niczym pożąta fala przypływu czystej mocy. Naprzyłam mięśnie i zareagowałam instynktownie. Rzuciłam swoją tarczę, korzystając z całej siły zebranej w moim umyśle. Cisnęłam nią jak oszczepem prosto przed siebie przez przestąpną połąć pola - dziesięć razy dalej niż wynosił mój rekord. Oddech uciekł mi przez usta z głośnym sapaniem.

Tarcza wystrzeliła ze mnie w bańce energii, mglisty m atomowym grzybie z płynnej stali. Pulsowała na całej swojej powierzchni jak żywy organizm - czulałam ją, od wierzchołka jej sklepienia aż po boczne krawędzie.

Rozciągliwa materia nie stawiała mi teraz żadnego oporu. Wyzwoliwszy w sobie pokłady mocy, o które się nie podejrzewałam, rozumiałam, że trudności, na jakie wcześniej natrafiałam, miały źródło we mnie samej - to ja ciepiałam się swojej niewidzialnej broni, protestując podświadomie przeciwko utracie tej formy samoobrony. Teraz mogłam puścić ją wolno. Bez większego wysiłku, nie musząc wcale się specjalnie na tym skupiać, wypchnęłam tarczę z siebie na dobre pięćdziesiąt metrów. Napinała się, jakby była kolejnym moim mięśniem, posłuszny mi mojej woli. Uformowałam ją na kształt wyludzonego owalu. Wyszła z mojej dłoni jak żywa, zaskoczona, spiczasto zakończona powłoka. Wszystko pod jej elastyczną żelazną powłoką stało się nagle częścią mnie - odbierałam siłę życiową wszystkiego, co zakrywała, jako rozgrane do białości punkty, otaczające mnie jarzące się isierki światła. Wytrzymałam tarczę do przodu ponad białą polą i kiedy w jej obrębie znalazło się oślniewające światło Edwarda, odetchnęłam z ulgą. Przytrzymałam ją w miejscu, spinając swój nowy mięsień, tak jak ściśle Edwarda otaczał - cienkimi aż niezmiernieczalnym pancernem chroniącym jego ciało przed naszymi wrogami.

Trwało to tylko sekundę. Edward nadal szedł w kierunku Aro. Sytuacja zmieniła się diametralnie, ale nikt prócz mnie tego nie zauważył. Zaskoczona, parsknęłam śmiechem i pocałuałam zaraz na siebie wzrok swoich towarzyszy, Jacob zerknął na mnie z taką miną, jakby mi miał mieć za wariać.

Edward zatrzymał się nieco ponad metr od Aro i umyslowiłam sobie z goryczą, że chociaż z pewnością mogłam do tego nie dopuścić, nie powinniśmy była zapobiec temu, by Volturi wniknął w myśli mojego ukochanego. Taki właśnie był cel naszych wlotygodniowych zabiegów - doprowadzić do tego, by Aro wysłuchał naszych racji. Sprawilo mi to niemal fizyczny ból, ale nie mogłam postąpić inaczej - cofnęłam swoją tarczę, pozostawiając Edwarda ponownie narażonego na atak. Nie było mi już do śmiechu. Skoncentrowałam się maksymalnie, tak abym w razie czego móc błyskawicznie rozszerzyć swoją osłonę.

Edward uniósł arogancko brodę i podał Aro rękę w taki sposób, jak gdyby dotknięcie jej miało być dla przywódcy Volturi jakimś wielkim zaszczytem. Aro sprawiał wrażenie zachwyczonego taką postawą, ale tego zachwytu nie podzielił inni. Renata przestąpiła nerwowo z nogi na nogę. Kajusz tak się krzywił, że trudno by to uwierzyć, by jego półprzezroczysta krusza skóra miała się jeszcze kiedyś wygładzić. Mała Jane obnażyła zęby, a stojący przy niej Alec zmrużył w skupieniu oczy. Domyśliłam się, że gdyby ty tylko zaszła taka potrzeba, podobnie jak ją, natychmiast pokazałby, co potrafi.

Aro zbliżył się do Edwarda bez wahania - bo i czego miał się bać? Zwaliste światki jego siepaczy - tych, którzy mieli na sobie najjaśniejsze peleryny, w tym atletycznie zbudowanego Feliksa - rzucały na śnieg cienie zaledwie kilka metrów dalej. Jane mogła przy pomocy swojego diabelskiego daru pocalić Edwarda na ziemię i sprawić, by wił się u stóp Aro w agonii. Alec na rozkaz ogłuszyłby go i oślepił, zanim ten zdążyłby choćby drgnąć. Nikt nie wiedział, że bylibym w stanie im się przeciwstawić - nawet Edward nie był tego świadomy.

Aro ujął dłoń Edwarda z pogodnym uśmiechem na twarzy, przy mykając przy tym powieki, po czym wyraźnie się przygarbił pod ciężarem niezliczonych tysięcy informacji.

Każda sprzywana przed innymi mi myśli, każda strategia, każde odkrycie - wszystko, co Edward wyłapał w ciągu ostatniego miesiąca z otaczających go umyśłów - należało teraz do Aro. Weześniejsze wspomnienia również - każda wizja Alice, każdy cichy wieczór spędzany w rodzinny m gronie, każdy obrazek z główki Renesmee, każdy pocałunek, każda pieszczota, jakimi się z Edwardem obdarzyliśmy - wszystko to też było teraz w jego posiadaniu.

Syknęłam sfrustrowana i moja irytacja zmąciła powierzchnię tarczy, powodując, że ta zmieniała kształt, kurcząc się do rozmiarów obejmujących chyl jedyne nasze szeregi.

- Weź się w garść, Bello - szepnęła do mnie przyjaźnie Zafrina.

Zacisnęłam zęby.

Aro nie przestawał chłonać myśli swojej ofiary. Edward także pochylał głowę i dostrzegłam, że napiął mięśnie karku. Zapoznając się raz jeszcze z wszystkim tym, co Volturi z niego wysysał, badał jednocześnie, jak Aro na który element reaguje.

Ta dwustronna acz nierówna wymiana ciągnęła się tak długo, że nawet strażnicy zaczęli się niepokoić. Ten i ów mruknął coś pod nosem bądź do sąsiada, aż wreszcie Kajusz warknął, że mają się uciszyć. Jane przesuwała się drobnymi krokami do przodu, jakby nie mogła nad sobą zapanować, a zestresowana Renata cała zeszywniała. Przyglądałam się jej przez chwilę. Słynna kobieta - tarcza, mimo swoich wybitnych umiejętności, najwidoczniej miała słabe nerwy i łatwo wpaadała w panikę. Aro może i miał z niej pożytek, ale wojownik był z niej żaden. Nie okazywała morderczych zapędów, jej zadaniem nie było zabijać, tylko chronić. Chociaż sama nie miałam w walce wprawdy, wiedziałam, że gdyby przyszło nam się z sobą zmierzyć, starłabym ją na proch.

Przeniosłam wzrok powrotem na Aro, bo wyprostował się i otworzył oczy. Kryły się w nich podziw i czujność. Nie puścił dłoni Edwarda.

Mój ukochany odrobinę się rozluźnił.

- Rozumiesz teraz? - zwrócił się ze spokojem do Volturi swoim aksamitnym barytonem.

- A owszem, owszem - zgodził się Aro. Trudno było to uwierzyć, ale był chyba wyjęty z dziesiątą światła jakichs dwóch, czy to bogów, czy śmiertelników, widziało wszystko tak wyrażnie.

Na zdyscyplinowanych twarzach członków straży malowało się to samo niedowierzanie, które czulałam i ja.

- Dajeś mi wiele do myślenia, młody człowieku - kontynuował Volturi. - O wiele więcej, niż się tego spodziewałam.

Ciągle nie puszczał dłoni Edwarda. Mój ukochany stał spięty w pozie kogoś, kto słucha. Nic nie powiedział.

- Czy mogę ją poznać? - spytał Aro niemalże błagalnym tonem. Nagle bardzo mu na tym zaczęło zależeć. - Tyle wieków przeżyłem, a nigdy nawet nie marzyłem o tym, by mogła urodzić się taka istota. Toż to nowy rozdział w historii naszej rasy!

- Co się dzieje, Aro? - wtrącił się Kajusz, zanim Edward zdążył zabrać głos. Usłyszawszy prośbę Aro, zdjęłam Renesmee z swoich pleców i przytulilam ją do piersi, by znalazła bezpieczne schronienie w moich objęciach.

- Coś, o czym nawet ci się śniło, mój mocno stąpający po ziemi przyjacielu. Zachęcam cię, byś osobiście rozważył ten przypadek. Czasu mamy dużo. Przybyliśmy tu wymierzyć sprawiedliwość, ale jak się okazuje, nie było po temu powodu.

Kajusz syknął zaskoczony.

- Spokojnie, bracie - upomniał go Aro.

Powinna była być to dla mnie bardzo dobra wiadomość. Na taki obrót spraw właśnie liczyliśmy. Jak by nie było, dopiero co nas ulaskawiono, chociaż nigdy tak naprawdę nie sądziiliśmy, że będzie to możliwe. Aro nas wysłuchał i co więcej, przyznał, że nie złamaliśmy prawa.

Oczy miałam jednak nadal wbite w Edwarda i nie uszło mojej uwagi, że mięśnie na jego plecach znowu się napięły. Powtórzyłam sobie w myślach słowa, którymi Aro zwrócił się do Kajusza, i dotarło do mnie, że zachęte do „rozważenia tego przypadku” można było rozumieć na dwa sposoby.

- Czy przedstawisz mnie swojej córce, Edwardzie? - ponowii prośbę Aro.

Kajusz nie był jedynym, który syknął, słysząc tę rewelację.

Edward skinał niechętnie głową. Renesmee przekonała do siebie w końcu tyle innych wampirów. A Aro wydawał się zawsze być przywódcą Volturi. Czy gdyby stanął po jej stronie, pozostali przybyśle ośmieliliby się nas zaatakować?

Jako że Aro wciąż trzywał Edwarda za rękę, mógł odpowiedzieć mu na pytanie, którego tamten nie zadał na głos.

- Myślę, że zwążywszy na okoliczności, w tym jednym punkcie możemy pójść na kompromis. Spotkamy się pośrodku.

Puścił jego dłoń, ale kiedy Edward obrócił się do nas przodem, objął go ramieniem, jak gdyby był naszym znajomym - i tyle tylko pozostało w kontakcie z jego umysłem.

Kiedy ruszyli w naszym kierunku, cała straż także zrobiła krok do przodu, ale Aro, nie patrząc na nich, powstrzymał ich niedbałym gestem.

- Moi drodzy, nie ma takiej potrzeby. Jeśli tylko ich nie spowodujemy, nie będą mieli wobec nas złych zamiarów.

Zolnierze Volturi odpowiedzieli mi z większą swobodą niż wcześniej, to warcząc, to prychając gniewnie w proteście, ale jak jeden mąż posłusznie przystanęli. Najwięcej problemów miała z tym Renata, która z nerwów czaiła się tak blisko Aro, jak tylko mogła. Z jej ust wydobył się cichy jęk

- Panie... - wyszeptala.

- Nie lękaj się, moja miła. Wszystko będzie dobrze.

- Może jednak wezmiesz kilku członków straży ze sobą - zasugerował Edward. - Będą spokojniejsi.

Aro pokiewał głową, jakby było to niezwykle mądre spostrzeżenie, które sam powinien był uczynić. Pstryknął dwukrotnie palcami.

- Feliks! Demetri!

Dwa wampiry w okamgnieniu znalazły się u jego boku. Prezentowały się dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy zetknęłam się z nimi po raz pierwszy: obaj byli wysokimi brunetami, z tym że smuły Demetri przypominał bardziej ostre miecza, a barczysty Feliks najeżoną żelaznymi szpicułkami maczugę.

Czterech mężczyzn stanęło wraz z Renatą w połowie drogi pomiędzy nami a Volturi.

- Bello - zawołał Edward - przy prowadź tu, proszę, Renesmee... i kilku przyjaciół.

Wzięłam głęboki wdech. Moje ciało sężyło ze sprzeciwu. Kiedy pomyślałam, że Renesmee ma trafić w sam środek konfliktu... Ale ufałam Edwardowi. Wiedziałby, gdyby Aro coś knuł.

Aro miał teraz przy sobie trzech ochroniarzy, założyłam więc, że mogę dobrać sobie dwóch. Kto nimi będzie, postanowiłam w mgnieniu oka.

- Jacob? Emmett? - spytałam cicho.

Zdecydowałam się na szwagra, bo wiedziałam, że się do tego pali, a na Jacoba, bo nie zniósłby rozłąki z małż.

Objął skinięły głowami. Emmett uśmiechnął się szeroko.

Wmaszerowałam na polane, mając z każdej strony po jednym roslim kompanie. Kiedy Volturi zobaczyli, kogo z sobą prowadzę, znowu rozszedł się wśród nich chórny pomruk - z pewnością nie darzyli wilkołaków zaufaniem. Aro ponownie musiał ich uciszyć, podnosząc rękę.

- Oryginalnych macie znajomych - mruknął Demetri do Edwarda.

Edward nie odpowiedział, ale Jacob warknął basowo przez zacisnięte kły.

Zatrzymaliśmy się kilka metrów od Aro. Edward wysliznął się spod jego ramienia i dołączywszy do nas, szybko ujął moją wolną dłoń.

Przez moment obie delegacje przyglądały się sobie w milczeniu. Feliks przywitał się ze mną na stronie:

- Miło cię znowu widzieć, Bello.

Mrugnął do mnie łobuzersko, kątem oka śledząc jednocześnie każdy ruch Jacoba.

Uśmiechnęłam się do niego krzywo.

- Cześć, Feliks.

Zachichotał.

- Ładnie wyglądasz. Nieśmiertelności ci służy.

- Dziękuję za komplement.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Jaka szkoda...

Nie dokończył komentarza, ale nie potrzebowałam daru Edwarda, żeby odgadnąć, co chciał powiedzieć: „Jaka szkoda, że zaraz będę musiał cię zabić”.

- Tak wielka szkoda - mruknęłam.

Znowu mrugnął.

Aro puścił tę wymianę zdań mimo uszu. Zafascynowany, przechylił głowę.

- Jakże ona dziwnie pachnie - stwierdził. - I jak dziwnie bije jej serce. - Mówił wręcz z melodyjnym zaśpiewem. Przyjrząwszy się Renesmee, skupił się na mnie. - Rzeczywiście, droga Bello, z nieśmiertelnością ci to tworzy. Jak gdybyś była stworzona do bycia wampirem.

Skinęłam głową, dając mu znać, że usłyszałam jego pochlebstwo.

- Spodobał ci się mój podarek? - spytał, zerkając na wisior, który miałam szyi.

- O tak jest piękny. Powinnam chyba była odpisać na twój liścik, żeby podziękować ci za tak wielką szczodrość.

Zaśmiał się uradowany.

- Och, to nic takiego. Taki tam drobiazg. Pomyślałem, że będzie pasował do twojej nowej buzi, no i miałem rację.

Od strony szeregu Volturi dobiegł mnie cichy syk. Rzuciłam okiem, żeby sprawdzić, kto tym razem się obruszył.

Hm. To Jane nie była zadowolona z faktu, że Aro dał mi prezent.

Volturi chrząknął, żeby zwrócić na siebie moją uwagę.

- Czy mogę przywitać się z twoją córką, słiczna Bello? - zagruchał słodko.

Musiąłem się upomnieć, że właśnie o to w tym wszystkim chodziło. Zwalczając w sobie chęć wzięcia nóg za pas, zrobiłam powoli dwa kroki do przodu. Tarcza rozciągała się z mną niczym peleryna, przesłaniając pozostałych członków mojej rodziny, podczas gdy Renesmee musiała pozostać bez ochrony. Czuliśmy się z tym okropnie.

Aro promieniał.

- Och, jest urocza - szepnęła. - Taka podobna do ciebie i do Edwarda. - A potem dodał głośniejszym głosem: - Witaj, Renesmee.

Spojrzała na mnie pytająco. Skinęłam głową.

- Witaj, Aro - odpowiedziała uprzejmie swoim wysokim, dźwięcznym głosem.

Aro zrobił skonsternowaną minę.

- Co się tam dzieje? - warknął Kajusz, rozjuszony tym, że zmuszony jest o to pytać.

- Jest w połowie nieśmiertelna, a w połowie śmiertelna - poinformował Aro brata i resztę Volturi, nie odrywając od Renesmee pełnego zachwytu wzroku. - Została poczęta przez tych dwoje i donoszona przez tę tu nowo narodzoną jeszcze przed jej przemianą.

- To niemożliwe - prychnął Kajusz.

- Sądzisz, że udało im się mnie oszukać, bracie? - Aro wyglądał na rozbawionego, ale Kajusz się wzdręgnął. - Czy bicie serca, które sam słyszysz, to też sprytna sztuczka?

Starzec spojrział na niego spoźniętym okiem, obruszony, jakby niewinne pytania Aro były brutalnymi ciosem.

- Zachowaj spokój i trzeźwość umysłu - doradził mu Aro, uśmiechając się nieprzerwanie do Renesmee. - Wiem, jak miłujesz sprawiedliwość, ale nie postąpisz sprawiedliwie, występując przeciwko temu niezwykłemu dziecku z powodu jej pochodzenia. Za to ile nowych wiadomości będzie można zdobyć! Wiem, że nie dzielisz mojej pasji do gromadzenia wiedzy, bracie, ale oż mi, proszę, trochę tolerancji, kiedy będę dodawał nowy rozdział do naszej historii. Ten przypadek oszłamnia mnie swoim nieprawdopodobieństwem. Przybył mi tu, by ukarać winnych i smucić się, że nasi starzy przyjaciele okazali się fałszywi, a tu, patrz, co zyskaliśmy w zamian! Co za cudowne odkrycie! Ileż to otwiera przed nami nowych możliwości!

Wyciągnął ku Renesmee dłoń w zachęcającym geście, ale małe dziecko miała inne plany. Oderwała ode mnie tułów, sięgając ku górze, by dotknąć opuszkami palców jego policzka.

W odróżnieniu od niemal każdego, kto po raz pierwszy miał do czynienia z darem mojej córki, Aro nie doznał szoku. Podobnie jak Edward, był przyzwyczajony, że przez jego umysł przewijają się cudze wspomnienia i refleksje. Uśmiechnął się jeszcze szerzej, po czym westchnął z satysfakcją.

- Wspaniale - szepnęła.

Renesmee na powrót się do mnie przytuliła. Miała bardzo poważny wyraz twarzy.

- Tak zrobisz? - spytała Aro.

Spojrzał na nią czule.

- Oczywiście. Nie mam zamiaru skrzywdzić twoich najbliższych, skarbie.

Powiedział to z takim uczuciem, że na chwilę dałam się nabrać. Ale zaraz potem usłyszałam, że Edward zgrzyta zębami, a daleko za nami syknęła oburzona kłamstwem Maggie.

- Ciekawe... - mruknął Aro w zamyśleniu, ignorując to, jaką reakcję wywołały jego słowa, za to zniemczała przenosząc wzrok na Jacoba. Pozostali Volturi spoglądali na mojego przyjaciela ze wstrętem, ale w oczach Aro dopatryłam się jedynie niepojętej dla mnie tęsknoty.

- To nie opiera się na takich zasadach - odezwał się Edward, zaskakując mnie ostrym tonem swojego głosu.

- Tak tylko błędnie myślami - usprawiedliwił się Aro, nie przestając jednak otwarcie szacować walorów Jacoba. Następnie przyjrzał się dwóm rządom basiorów na skrzydłach naszej formacji. Coś, co pokazała mu Renesmee, sprawiło, że nagle zainteresował się wilkami.

- One nie są naszą własnością, Aro - powiedział Edward. - Nie możemy im rozkazywać, tak jak to sobie wyobrazasz. Stawij się tutaj z własnej nieprzymuszonej woli.

Jacob zawarczał ostrzegawczo.

- Cóż, mimo wszystko wydają się do ciebie dość przywiązane - stwierdził Volturi. - I do twojej młodej partnerki i do twojej... rodziny. Są wobec nas lojalne - wymówił ten przymiotnik z lubością.

- Są oddane sprawie chłonięcia ludzkiego życia. Gdybyśmy byli zwykłymi wampirami, nie moglibyśmy mieszkać w ich pobliżu. Z tobą się raczej nie dogadają. No, chyba że zmienisz dietę.

Aro zaśmiał się wesolo.

- Tak tylko błędnie myślami - powtórzył. - Dobrze wiesz, jak to jest. Żaden z nas nie potrafi w pełni kontrolować swoich podświadomych pragnień.

Edward się skrzywił.

- Zgadza się. Wiem, jak to jest. Ale znam także różnicę pomiędzy tego rodzaju myślami a myślami, za którymi kryje się jakiś plan. A tego nie zdołasz wcielić w życie.

Jacob obrócił swój wielki łeb w jego stronę i zaskamlał.

- Aro zastanawia się, jak by to było, gdyby miał do dyspozycji kilka... psów obronnych - wyjaśnił mi Edward.

Przez sekundę nie się nie dźniał, a potem całą wielką polanę wypełnił charkot dobywający się z kilkunastu gardeł naszych czworonożnych przyjaciół.

Ponad harmider wybił się krótki szczyk - zapewne Sama, ale nie odwróciłam się, by to sprawdzić - i wilki zamilkły. Zapadła złowroga cisza.

- Przyuszczam, że to dostatecznie wyczerpująca odpowiedź na moje pytanie - powiedział Aro, znowu się śmiejąc. - Ci tu już wybraли, po której chęć być stronie.

Edward syknął i pochylił się do przodu. Złapałam go za ramię, nie mając pojęcia, co takiego mógł wyczytać z myśli Aro, co do tego stopnia wytrąciłoby go z równowagi. Feliks i Demetri zaraz także przyczaili się do skoku. Aro machnął na nich ręką i wszyscy troje się wyprostowali.

- Tyle mamy do omówienia - oświadczył Aro, przypominając nagle tonem głosu zagonionego biznesmena. - Tyle decyzji do podjęcia. Jeśli tylko wy i wasz włochoaty obrońca mi wybaczą, moi drodzy Cullenowie, muszę odbyć teraz naradę z moimi braćmi.

Aro nie cofnął się ku szeregowi swoich zaniepokojonych żołnierzy, czekających w północnej części polany - zamiast tego nakazał im kolejnym machnięciem podejść do siebie.

Edward natychmiast ruszył w przeciwnym kierunku, pociągając za sobą mnie i Emmetta. Wycofaliśmy się spiesznie, nie spuszczać oczu ze zbliżającego się przeciwnika. Jacob szedł najwolniej. Sierść na karku miał najeżoną, gdy obnażone i wpatrywał się w Aro. Renesmee złapała go za koniuszek ogona, zmuszając go, żeby się nas trzymał, jakby był na smyczy. Dotarliśmy do naszych najbliższych w tym samym momencie, w którym Aro został otoczony przez ciemne peleryny.

Dzieliło nas teraz zaledwie pięćdziesiąt metrów - każde z nas mogło pokonać tę odległość jednym susem w ułamku sekundy.

Kajusz z miejsca zaczął się z Aro wyłócać:

- Jak możesz znieść tę infamię? Dlaczego stoimy tu bezczynnie w obliczu tak odrażającej zbrodni, zatuzowanej śmiechu wartą historią?

Ręce miał opuszczone sztywno wzdłuż boków, a palce wykrzywione w szpony. Ciekawa byłam, dlaczego po prostu nie dotknie Aro, żeby przekazać mu, co myśli na ten temat. Czy zbyłby mi byli świadkami rozłamu po stronie wroga?

Czy aż tak dopiszoło nam szczęście?

- Ponieważ to wszystko prawda - odparł Aro ze spokojem. - Każde słowo, które tu padło. Nie widzisz, ilu tam świadków gotowych zeznać, że czują ciepło bijące od pulsującej w żyłach tego dziecka krwi? Ze choć są tu od niedawna, dziecko zdążyło w tym czasie urosnąć i osiągnąć nowe umiejętności?
Szerokim gestem wskazał wszystkich naszych gości po kolei, od dystansującego się od nas Amuna po nieskorą do walki Siobhan. Słowa te miały Kajusza udobruchać, ale przyjął je dziwnie - na dźwięk słowa „świadkowie” ledwie zauważalnie drgnął, a wykrzykiwane jego rysy gniew zastąpiła chłodna kalkulacja. Zerknął na swoich własnych świadków z miną wyrażającą z grubszą... podenerwowaniem.

Też spojrzałam na ścisły motloch, ale zorientowałam się od razu, że takie określenie już do przyszybow nie pasuje. Emocje wśród tłumy opadły. Wszyscy szepotali po sobie zdezorientowani, usiłując ustalić, co się właściwie wydarzyło.

Kajusz zmarszczył czoło, pograżając się w głębokich rozmyślniach. Jego postawa spowodowała, że na nowo rozgorzał we mnie gniew, ale i zmartwiła mnie zarazem. Co jeśli straż Volturi miała znowu zareagować na jakiś niewidzialny dla mnie sygnał, tak jak wtedy, kiedy maszerowali? Zaniepokojona, zbadalam stan swojej tarczy, ale wydawała się być równie nieprzepuszczalna, co wcześniej. Wygięłam ją w szeroką, niską zwieszającą się kopułę przesłaniającą całą naszą grupę.

Znajdujących się pod nią moich bliskich i przyjaciół odbierałam jako pojedyncze słupy światła o ostrych konturach, z których każdy czymś tam się wyróżniał, choć dopiero w przyszłości, jak podejrzewałam, miałam spamiętać czym. Na razie rozpoznawałam tylko Edwarda - był szedł najjaśniej ze wszystkich.

Gryzłam mnie to, że pomiędzy jasnymi punktami jest jeszcze tyle wolnego miejsca. Tarcza nie stanowiła przecież żadnej fizycznej bariery i gdyby któryś z utalentowanych Volturi po prostu pod nią wszedł, nie chroniłaby nikogo oprócz mnie. W skupieniu przyciągnęłam elastyczną broń i ostrożnie bliżej siebie. Najdalej na północ stał Carlisle - zassałam powłokę z powrotem centymetr po centymetrze, starając się tak ją uformować, by jak najszelwniej przylegała do jego ciała.

Na szczęście tarcza chciała we mną współpracować - wtuliła się w Carlisle'a, a kiedy przesunął się, żeby być bliżej Tany, przemieściła się wraz z nim, czepiając się jego iskry.

Zafascynowana jej właściwościami, powtórzyłam ten manewr z każdym z nas z osobna, zaciskając ją wokół każdej z migoczących płam, którą był przyjaciel bądź sprzymierzeniec. Dziwna materia wręcz się do nich lepila, odształcając się płynnie, gdy ktoś się poruszył.

Zajął mi to tylko chwilę. Kajusz nadal deliberował.

- Wilkołaki - mruknął w końcu.

Uzmysłowiałam sobie w panice, że większość z nich pozostawiłam bez ochrony. Miałam już ku nim sięgnąć, kiedy pojąłam zdziwiona, że już teraz postrzeżałam ich jako iskry. Zaciekawiona, zmniejszyłam na moment kopułę, tak aby odsłonić Amuna i Kebi, zajmujących pozycje na samym obrzeżu naszej grupy. Znalazłszy się poza kontrolowaną przez mnie powłoką, zgasli - dla mojego nowego zmysłu przestał istnieć. Za to wilki nadal płynęły jasno - a dokładniej połowa z nich. Hm... Znowu wypchnęłam tarczę jak najdalej i gdy tylko objęła Sama, rozbłyły i pozostałe basiony.

Ich umysły musiały być ze sobą powiązane ściślej, niż to sobie wyobrażałam. Jeśli tylko w obrębie powłoki była Alfa, cała reszta sfory była tak samo chroniona co ona.

- Och, bracie... - Aro zrobił złołą minę.

- Tego przy mierza też będzie bronił? - oburzył się Kajusz. - Dzieci Księżycy są naszymi wrogami od zarania dziejów. W Europie i Azji polowałam na nich z taką zaciętością, że ich rasa niemalże tam wyginęła. A mimo to Carlisle nawiązuje z tymi paszycami przyjazne stosunki - bez wątpienia po to, by spróbować odebrać nam władzę. I lepiej chronić swój wypaczony styl życia.

Edward odchrząknął głośno i Kajusz posłał mu gniewne spojrzanie. Aro przesłonił sobie twarz szczupłą, delikatną dłonią, jak gdyby wstyd mu było za swojego druha.

- Kajuszu, jest środek dnia - podkreślił Edward. Wskazał na Jacoba. - To oczywiste, że to nie są Dzieci Księżycy. Watahy, które tu widzisz, nie są w żaden sposób spokrewnione z waszymi wrogami z drugiej półkuli.

- Zajmujecie się tu hodowlą mutantów! - odparował starzec.

Edward zacisnął zęby, ale zaraz opanował się i odpowiedział spokojnie:

- To nawet nie są wilkołaki. Jeśli mi nie wierzysz, to spytaj Aro - on ci wszystko wyjaśni.

Nie wilkołaki? Oglupiała, zerknęłam na Jacoba. Jego olbrzymie barki uniosły się nieco, po czym opadły - wzruszył ramionami. Też nie miał pojęcia, o co Edwardowi chodzi.

- Drogi Kajuszu - odezwał się Aro - gdybyś tylko podzielił się ze mną zawczasu swoimi przemyśleniami, ostrzegłbym cię przed wysuwaniem tego argumentu. Chociaż istoty te nazywają siebie wilkołakami, wcale nimi nie są. Prawidłowe określenie na nie to „zmiennokształtni”. To, że przeobrażają się akurat w wilki, to czystszy przykład Podświadomy wybór pierwszego z nich, który się przemienił, mógł równie dobrze paść na niedzwiedzia, jastrzębia albo pumę. Z Dziećmi Księżycy całe nie mają nic wspólnego. Ten specyficzny dar odziedziczyli po swoich przodkach. Ma podłoże genetyczne - nie przedłużają swoją gatunku, zarazając swoją przy padłością innych, tak jak to czynią prawdziwe wilkołaki.

Kajusz patrzył na Aro z irytacją i z czymś jeszcze - być może uważał jego zachowanie za zdradę.

- Oni znają nasz sekret - oświadczył stanowczo.

Edward chciał już zabrać głos, ale uprzedził go Aro:

- Należą do tego samego świata, co my, bracie, do świata legend, a w dodatku ich los jest chyba jeszcze bardziej uzależniony od tego, czy pozostaną w cieniu, niż nasz. Nie mogą sobie pozwolić na to, by nas wydać. Ostrożnie, Kajuszu. Głosowe inkryminacje zaprowadzą nas donikąd.

Starzec wziął głęboki wdech i sknął głową. Wy mienili przeciągle, porozumiewawcze spojrzenia.

Wdało mi się, że rozumiem, jakie instrukcje kryły się za starannie dobranymi przez Aro słowami. Falsywe zarzuty nie pomagały przekonać obserwujących całe to zjawisko świadków obu stron konfliktu - Aro zalecał bratu obracać inną z przędzy skatowany ch przez nich wcześniej taktyk. Zastanowiłam się, czy przy czyną zaistniałego sporu pomiędzy przy wódcami Volturi - w tym powodem, dla którego starzec nie chciał się podzielić swoimi myślami - było to, że Kajusz nie dbał o zachowanie pozorów tak bardzo jak Aro. Bardziej zależało mu na doprowadzeniu do rzezi niż na zabezpieczeniu własnej reputacji.

- Chcę porozmawiać z naszą informatorką - oznajmił niespodziewanie, po czym wbił wzrok w Irinę.

Do tej pory Denalka całkowicie ignorowała ich dysputę - wciąż zszokowana, że zastała swoje siostry wśród skazanych, wpatrywała się w nie z rozpaczą. Sądząc po wyrazie jej twarzy, wiedziała już, że oskarżenia były absolutnie bezpodstawne.

- Irino - warknął Kajusz, niezadowolony, że ktoś nie zwraca na niego uwagi.

Ocknęła się natychmiast, a kiedy uświadomiła sobie swoje położenie, wyraźnie obleciała ją strach.

Starzec pstryknął palcami.

Z wahaniem wyszła zza szeregów Volturi, by ponownie przed nim stanąć.

- A zatem byłaś w błędzie, kiedy zjawiła się u nas ze swoimi rewelacjami - zaczął.

Tanya i Kate, mocno zatrużone, pochyliły się do przodu.

- Tak bardzo mi przykro - wyszeptwała Irina. - Powinnam była się upewnić, co tak naprawdę widzę. Ale do głowy mi nie przyszło, że jest jakieś inne wytłumaczenie.

Wskazała na nas bezradnie.

- Drogi Kajuszu - spytał Aro - czy można było od niej wymagać, by wpadła w kilka sekund na prawidłowe rozwiązanie tej zagadki, skoro jest ono tak dziwne i nieprawdopodobne? Każdy z nas doszedłby do tego samego wniosku.

Starzec strzelił palcami, żeby go uciszyć.

- Wszyscy wiemy, że się myliła - powiedział szorstko. - Interesuje mnie to, co tobą kierowało.

Irina zaczęła zdenerwowana, aż Kajusz doda coś jeszcze, a ponieważ zapadła cisza, powtórzyła:

- Co mną kierowało?

- Poczynając od tego, dlaczego w ogóle zakradła się tam ich szpiegować.

Wzdrygnęła się na dźwięk tego ostatniego słowa.

- Żywiłaś do Cullenów urazę, nieprawda?

- Tak - przyznała, spoglądając smutno na Carlisle'a.

- Ponieważ... - odpowiedział jej Kajusz.

- Ponieważ wilkołaki zabiły mojego przyjaciela - wyszeptala - a Cullenowie nie pozwolili mi się na nich za to zemścić.

- Zmiennokształtni - poprawił ją cicho Aro.

- A więc Cullenowie stanęli po stronie zmiennokształtnych, zamiast bronić swojego pobratymcy - podsumował Kajusz. - Gorzej, zamiast bronić przyjaciela swojej przyjaciółki.

Usłyszałam, jak Edward sarknął ze wstrętem pod nosem. Kajusz wypróbował po kolei wszystkie zarzuty ze swojej listy, szukając tego jednego, który miał trafić na podatny grunt.

Irinie zeszły wniła ramiona.

- Tak to odbierałam.

Kajusz odczekał chwilę, po czym znowu podsunął jej następny krok:

- Jeśli pragnęłabyś złożyć oficjalną skargę na zmiennokształtnych - i na Cullenów, za udzielanie im wsparcia - teraz byłby na to odpowiedni moment.

Na jego ustach zagościł okrutny uśmiešek. Przepraszam - powiedziała do nas, a potem zwróciła do świadków Volturi. - Nie popełniono żadnego przestępstwa. Nie macie po co tu dłużej siedzieć.

Gdy mówiła, Kajusz uniósł rękę. Trzymał w niej tajemniczy przedmiot z rzeźbionego, bogato zdobionego metalu.

Był to sygnał. Zareagowano na niego tak szybko, że osłupiali, mogliśmy tylko przyglądać się z niedowierzaniem temu, co się działo. Nim zdążyliśmy cokolwiek zrobić, było już po wszystkim. Trzech z żołnierzy rzuciło się na Irinę, zasłaniając ją swoimi pelerynami. Po polanie rozniósł się echem straszliwy odgłos rozdieranego metalu. Kajusz wślizgnął się pomiędzy katów i ze środka szarego kręgu, wśród nieustających ch zgrzytów, wystrzelił pod niebo oślepiający snop iskier poprzetykany językami płomieni. Żołnierze odskoczyli do tyłu i w мгnieniu oka powrócili na swoje miejsca w idealnie prostym szeregu strażników.

Nad płonącymi szczątkami Iriny pozostał osamotniony Kajusz. Z tajemniczego przyrządu, który dzierżył, wciąż w reszki ciała, lał się strumień ognia.

Urządzenie wydało z siebie ciche kliknięcie i przestało miotać płomienie. Wśród tłumy świadków zgromadzonych za Volturi przeszedł zduszony jęk. My byłśmy zbyt wstrząśnięci, by wydobyć z siebie jakikolwiek dźwięk. Wiedzieliśmy, że za chwilę czekać śmierć i nie można na to nic poradzić, to było jedno - widzieć czyjąś śmierć na własne oczy, to było coś zupełnie innego.

Kajusz uśmiechnął się lodowato.

- Dopiero teraz tak naprawdę wzięła na siebie odpowiedzialność za swoje czyny.

Zerknął na pierwszy rząd naszej formacji, na sparaliżowane Tanyę i Kate.

W tej samej sekundzie pojąłam, że zawsze był w pełni świadomy siły rodzinnych więzów. To właśnie na tej sile zasadał się jego fortel. Nie zależało mu na skardze Iriny - chciał, by mu się sprzeciwiła. Zyskał tym samym pretekst do tego, by ją zabić i owym aktem przemocy spowodować lawinę wydarzeń. Atmosfera była już dostatecznie napięta, gęstniała na granicy eksplozji. Egzekucją Iriny rzucił w tę mieszanek wybuchowych gazów zapaloną zapalną.

Gdyby jej swoja intręga rozpętał burzę, nie byłoby sposobu, by opanować żywość. Walka trwałaby dopóty, dopóki po którejś ze stron nie wyróżni to by wszyscy stali w pień. Dopóki nie wyróżni to by w pień wszystkich po naszej stronie. Kajusz dobrze o tym wiedział.

Edward także.

- Powstrzymajcie je! - zawołał, dając susa, żeby złapać za ramię Tanyę, która z przerażliwym wyciem rzuciła się na uśmiechniętego starca. Nim udało jej się wyswobodzić, Carlisle oplótł ją rękami w pasie.

- Już za późno, żeby jej pomóc - przekonywał gorączkowo szarpając się z nim kobietę. - Nie daj mu tego, czego chce!

Kate, podobnie jak Tanya, wrzeszcząc bezładu i składu, wyrwała się do przodu, nie bacząc na to, że jej atak przyczylnił się do śmierci nas wszystkich. Tę siostrę trudniej było ujarzmić. Stojąca najbliżej niej Rosalie próbowała zablokować ją chwytem z pasów i Denalka poraziła ją prądem z taką siłą, że Rose osunęła się na ziemię. Emmett capnął Kate za ramię i przewrócił brutalnie, ale zaraz zatoczył się i ugięły się pod nim kolana. Wampirzyca zerwała się na równe nogi i wyglądało na to, że nikt jej już nie zawróci.

Garrett rzucił się na nią i założył jej nelsona. Znowu runęła na śnieg... Zobaczyłam, jak mężczyźni przechodzą dreszcz, bo go poraziła. Lypnął białkami, ale nie rozluźnił uścisku.

- Zafrina! - zreflektował się Edward.

Oczy Kate zrobiły się nieprzytomne, a jej krzyki przeszły w jęki. Tanya przestała się szamotać.

- Oddaj mi mój wzrok - syknęła.

Z desperacją, ale i z całą delikatnością, na jaką było mnie stać, przyciągnęłam swoją tarczę jeszcze bliżej iskień moich przyjaciół, odsłaniając ostroźnie Kate, ale starając się jednocześnie utrzymać ją wokoło Garretta, tak aby powłoka oddzielała ich ciała od siebie.

Odskławszy nad sobą kontrolę, mężczyźni przycisnęli Denalkę do ziemi.

- Czy jeśli pozwolę ci wstać, znowu mnie obezwładnisz? - spytał ją.

Warknęła w odpowiedzi, nadal dziko wierzgając.

- Tanyo, Kate - zwrócił się do nich szeptem Carlisle. - To, że ją pomścicie, jej już nie pomoże. Irina nie chciała dla was takiego końca. Pomyślcie o tym, co stanie się później. Jeśli ich zaatakujecie, zabijaj nas wszystkich.

Tanya zgarbiła się z żalu i wtułła w Carlisle'a, szukając wsparcia. Kate nareszcie zniemochiała. Doktor i Garrett dalej je pocieszali, ale w słowach, które padały z ich ust, było zbyt dużo natarczywości, by brzmiały kojąco.

Moja uwaga skupiała się ponownie na wwiercających się w nas spojrzaniach. Nie mogliśmy zapominać, że mieliśmy widownię. Kątem oka dostrzegłam, że Edward i wszyscy pozostali z wyjątkiem Carlisle'a i Garretta również mieli się znowu na baczności.

Najważniejsza ze wszystkich była reakcja Kajusza. Wzburzony, wpatrywał się z niedowierzaniem w leżących na śniegu Kate i Garretta. Aro też przyglądał się tej parze, a główną emocją malującą się na jego twarzy było zdziwienie. Wiedział, jaką bronią dysponowała Kate. Poznał jej dar poprzez wspomnienia Edwarda.

Czy zrozumiał, co zaszło? Czy dotarło do niego, że potrafię już wyczytnąć z swojej tarczą takie rzeczy, o jakich na ostatnim treningu przy Edwardzie nawet mi się nie śniło? A może sądził, że to Garrett jakoś się na Kate uodpornił?

Strażnicy Volturi nie stali już jak na apelu - przychajdali do szkoły, gotowali się do odpowiedzi na nasz atak.

Za nimi, czterdziestu trzech świadków obserwowało dramatyczne wydarzenia kilkunastu ostatnich sekund z zupełnie innymi minami, niż kiedy weszli na polaną. Zdezorientowanie ustąpiło miejsca podejrzliwości. Błyskawiczna egzekucja Iriny wszystkich zszokowała. Czy Denalka dopuściła się jakiegokolwiek zbrodni?

Nie doszło do bitwy, dzięki której, jak Kajusz liczył, świadkowie mieli zapomnieć o jego podstępie. W zamian, zaczęli oni powoli kwestionować motywację przywódców Volturi. Aro zerknął do tyłu, na jeden krótki moment zdradzając, jak bardzo jest strapiony. To, że lubił mieć publiczność, okazało się żubne.

Usłyszałam, że widząc ten przebieg skzenerowania, Stefan i Vladimir mruknęli coś do siebie z zadowoleniem.

Aro przejmował się najwyraźniej, że nie będzie mógł dłużej, jak to określili Rumuni, „udawać niewiniątka”. Ale nie wierzyłam, że Volturi zostawią nas w spokoju tylko po to, by ocalić swoją reputację. Skończywszy z nami, mogli przecież zabić i swoich świadków. Zrobiło mi się nagłe dziwnie za tej masy nieznajomych wampirów, którą z sobą przywieźli. Nawet gdyby któryś z przybyszów teraz uciekł, Demetri z łatwością by go późniejsi wytropili.

Przez wzgląd na Jacoba i Renesmee, na Alice i Jaspera, na Alistaira i na wszystkich tych, którzy zjawili się tutaj, nie wiedząc, jaką cenę przyjdzie im za to zapłacić, Demetri musiał dzisiaj zginąć.

Aro dotknął delikatnie ramienia Kajusza.

- Irina została ukarana za świadczenie nieprawdy w sprawie tego oto dziecka.

A więc taka była ich wymówka.

- Może powinniśmy powrócić do tematu, którym zajmowaliśmy się wcześniej? - zaproponował.

Kajusz wyprostował się, przybierając nieodgadniony wyraz twarzy. Patrzył prosto przed siebie niewidzącymi oczami. Przywozł mi na myśl kogoś, kto właśnie dowiedział się, że został zdegradowany.

Aro podszedł do nas nieco bliżej. Renata, Feliks i Demetri przesunęli się wraz z nim jak cienie.

- Tak dla formalności chciałbym jeszcze porozmawiać z kilkoma waszymi świadkami. Rozumiecie, procedury.

Machnął lekceważąco ręką.

Dwie rzeczy wydarzyły się na raz. Kajusz spojrział na brata i na jego ustach znowu zagościł okrutny uśmiešek. A Edward syknął, zaciskając dłonie w pięści tak mocno, że jego kłykcie zdawały się być o krok od przebicia twardej jak diament skóry.

Marzyłam o tym, by móc go spytać, co jest grane, ale Aro stał tak blisko, że usłyszałby nawet najcichsze westchnienie. Carlisle rzucił okiem na Edwarda i zacisnął zęby.

Podczas gdy Kajusz płał się w bezużytecznych oskarżeniach, podejmując kolejne nieroztropne próby doprowadzenia do rzezi, Aro musiał obmyślić bardziej skuteczną strategię.

Przemknąłszy jak duch ku prawemu krańcowi naszej formacji, przy stanął jakieś dziesięć metrów od Amuna i Kebi. Warujące w pobliżu wilki najezżyły się, ale nie zmieniły pozycji.

- Ach, kogóż ja widzę! - zawołał Aro serdecznie - Amun, mój sąsiad z południa! Już tak dawno mnie nie odwiedzałeś!

Egipcjanin ani drgnął, tak bardzo był zestresowany. Towarzysząca mu Kebi przy pomylna rzezbę.

- Czas nie jest mi wart, nie zauważyłam jego upływu - oświadczył, nie poruszając przy tym wargami.

- Święte słowa - zgodził się Aro. - Lecz być może miałeś jakiś inny powód, aby mnie unikać?

Amun nie odpowiedział.

- Trenowanie nowo narodzonych to bardzo czasochłonne zajęcie - ciągnął Aro. - Coś o tym wiem. Jestem wdzięczny losowi, że inni wyręczają mnie w tym męczącym zadaniu. Cieszę się, że twoi nowi podopieczni tak dobrze się zaaklimatyzowali. Z chęcią bym ich poznał. Jestem pewien, że planowałeś wpaść do nas, by mi ich przedstawić.

- Oczywiście - mruknął Amun, ale tak bezbarwnym tonem, że nie sposób było określić, czy mówi to z sarkazmem czy może z przestrawchem.

- A tu nagle się spotykamy. Czy to nie cudowne?

Egipcjanin skinął głową. Jego twarz pozostawała sztywną maską.

- Ale powód twojej obecności tutaj nie jest, niestety, zbyt przyjemny. Carlisle poprosił cie, żebyś świadczył w jego sprawie?

- Tak.

- I czego byłeś tu świadkiem?

- Obserwowałem tę tu dziewczynkę - stwierdził Amun, nadal nie okazując żadnych emocji - i niemal od samego początku byłoby dla mnie jasne, że nie mam do czynienia z nieśmiertelnym dzieckiem.

- Być może, skoro, jak się zdaje, będziemy reformować naszą klasyfikację - wtrącił Aro - powinniśmy zdefiniować stosowane przez siebie terminy. Mówiąc „nieśmiertelne dziecko”, masz, rzecz jasna, na myśli ludzkie dziecko, które zostało ukąszone i zmieniono i zmienio się w wampira, prawda?

- Tak właśnie to mam na myśli.

- Co jeszcze zaobserwowałeś u dziewczynki?

- To samo, co zapewne zobaczyłeś w myślach Edwarda. Że to jego rodzona córka. Że rośnie. Że uczy się nowych rzeczy.

- Tak tak - powiedział Aro. W jego przyjaznym głosie pojawiła się na moment nuta zniecierpliwienia. - A tak dokładniej, co konkretnie widziałeś podczas swojego tutaj kilkutygodniowego pobytu?

Amun zmarszczył czoło.

- Że mała rośnie... bardzo szybko.

Aro uśmiechnął się.

- Czy uważasz, że powinno jej się pozwolić żyć?

Syknęłam mimowolnie i nie byłam w swojej reakcji odosobniona. Połowa wampirów z naszego obozu też tak zaprotestowała. Dawała o sobie znać wzbierająca w nas furia. Po drugiej stronie polany kilkoro ze świadków Volturi wydało z siebie ten sam odgłos. Edward cofnął się o krok i żeby przywołać mnie do porządku, chwycił mnie za nadgarstek.

Aro zignorował poruszenie, ale Amun rozejrzał się niespokojnie.

- Nie przybyłem tutaj, aby wydawać osądy - odparł wymijająco.

Volturi zaśmiał się beztroško.

- Musisz mieć jakieś zdanie na ten temat.

Egipcjanin uniósł brodę.

- Nie sądzę, by stanowiła jakiegokolwiek zagrożenie. Uczy się jeszcze szybciej niż rośnie.

Aro skinął głową, rozważając tę odpowiedź. Po chwili odwrócił się, żeby odejść.

- Aro? - zawołał za nim Amun.

Volturi okręcił się.

- Tak, przyjacielu?

- Wykonałem swoją powinność. Nic mnie tu więcej nie trzyma. Moja partnerka i ja chcielibyśmy już odejść.

Aro uśmiechnął się ciepło.

- Oczywiście. Cieszę się, że udało nam się zamienić z sobą choć kilka zdań. Jestem zresztą pewien, że już niedługo znowu się zobaczymy.

Amun zacisnął usta. Skłonił się raz, przyjmując do wiadomości tę ledwie zakamuflowaną groźbę, po czym dotknął ramienia Kebi i razem puścili się biegiem ku południowemu krańcowi polany, by po kilku sekundach zniknęli wśród drzew. Wiedziałam, że zamierzają uciekać przez bardzo długi czas.

Nie odstępowały ani na krok przez śróćcie swoich ochroniarzy, Aro przemaszerał wzdłuż naszych ch szeregów i zatrzymał się dopiero u ich przeciwległego końca, przed potężną Irlandką Siobhan.

- Witaj, droga Siobhan. Jak zawsze trochę słowicie wyglądasz. Wampirzyca dygnęła, ale się nie odezwała.

- A ty? - spytał Volturi. - Czy masz dla mnie taką samą odpowiedź, co Amun?

- Zgadza się - potwierdziła - ale dodam coś jeszcze. Renesmee doskonale rozumie, z czym musi się kryć. Nie tylko nie zagraża ludziom, ale i mnieją wśród nich wyróżnia niż my. Nie musimy się obawiać, że dowiedzą się z jej powodu o naszym istnieniu.

- Jesteś tego pewna?

Z głębi trzewi Edwarda dobyło się ciche warknięcie. Zamglone szkarłatne oczy Kajusza zobnały. Renata sięgnęła opiekuńczy gestem ku swojemu panu. A Garrett uwolnił Kate, by zrobić krok do przodu. Teraz to ona próbowała go zatrzymać, ale strzepnęła jej dłoń.

- Nie do końca za tobą nadążam - przyznała Siobhan.

Aro cofnął się nieznacznie, niby od niechcenia, ale w stronę reszty swojej straży. Renata, Feliks i Demetri byli teraz tuż za nim.

- Nie złamano tu prawa - oznajmił Aro kojącym głosem, każde z nas orientowało się jednak, że na tym nie poprzestanie. Gniew piął się ku górze po ściankach mojego gardła, ale z wysiłkiem zwalczyłam w sobie chęć zademonstrowania Volturi wściekłym rykiem swojego sprzeciwu, swoją złość przelałam za to na tarczę, znacznając ją na całej powierzchni i upewnając się, że wszyscy są należycie chronieni.

- Nie złamano tu prawa - powtórzył Aro - jednakże czy jest to równoznaczne z tym, że nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo? Nie. - Pokręcił przecząco głową. - To już osobna kwestia.

W odpowiedzi na jego deklarację spielismy się tylko jeszcze bardziej, a stojąca z samego brzegu naszego oddziału Maggie, rozuszona, potrząsnęła głową.

Aro, niby to w zamyśleniu, zaczął przechadzać się w tę i z powrotem, stąpając przy tym tak lekko, jakby wcale nie dotykał stopami ziemi. Umysłowołam sobie, że nie chodzi po linii prostej, lecz zbliża się stopniowo do pozostałych Volturi.

- Jest niesamowita, jest wyjątkowa... absolutnie wyjątkowa. Jakże wielka byłaby to strata zniszczyć coś tak uroczone. Zwłaszcza, że tak wiele moglibyśmy się nauczyć... - Westchnął, jak gdyby ciężko mu było kontynuować. -

Niestety , prawda jest taka , że istnieje pewne zagrożenie , zagrożenie , którego nie możemy sobie pozwolić zignorować .

Nikt mu nie zaprzeczył. Ciągnął swój monolog w idealnej ciszy. Można było odnieść wrażenie, że mówił wyłącznie do siebie.

- Co za ironia, że im wyższy osiągał ludzie etap w rozwoju, im większą wiarę pokładają w nauce i im bardziej kontrolują nią swój świat, tym trudniej im zdemaskować naszą rasę. Jednak chociaż dzięki ich rosnącemu niedowiarstwu roślinie w nas pewność siebie, technologia, którymi dysponują, stają się na tyle zaawansowane, że gdyby tylko mieli na to ochotę, mogłoby nas zastraszyć, a nawet niektórych z nas usmiercić. Przez tysiące lat trzyaliśmy się na ubożu bardziej dla wygody niż dla bezpieczeństwa, ale w ostatnim burzliwym stuleciu pojawiło się uzbrojenie o takiej mocy, że nawet nieśmiertelni są w jego obliczu bezbroni. Teraz to nasz mityczny status chroni nas przed owymi słabymi istotami, na które polujemy .

Wyciągnął przed siebie rękę, jakby chciał pogłaskać Renesmee po główce, chociaż dzieliło go od niej czterdzieści metrów, bo zrównał się już niemalże z szeregiem strażników.

- To niezwykle dziecko... . Gdybyśmy tylko mogli znać jej potencjał - mieć całkowitą pewność, że nigdy świadomie czy nieświadomie nie wyda naszej tajemnicy! Ale nie wiemy nic o tym, na kogo wyrosnie. - Doskonałe odgrywał rozdarte pomiędzy sympatią do małej a poczuciem obowiązku. - Nawet jej rodzice zdarczają się, jaka czeka ją przyszłość. Niemożliwe jest ustalenie, czym się stanie.

Przerwawszy swój wywód, spojrzał najpierw na naszych świadków, a potem, znacząco, na własnych.

- Tylko to, co jest poznane, jest bezpieczne. Tylko to, co jest poznane, można tolerować. Tolerując nieznan... osłabia się samego siebie.

Kajusz wyszczerzył zęby w złowrogim grymasie.

- Przesadzasz, Aro - odezwał się Carlisle ponuro.

- Spokojnie, przyjacielu - zagruchał Volturi z uśmiechem. Nadal był wobec nas ujmująco grzeczny. - Nie wyciągamy pochopnych wniosków. Przyjrzyjmy się temu zagadnieniu pod każdym kątem.

- Czy mogę przedstawić swój punkt widzenia? - zgłosił się Garrett, przesuając się o kolejny krok wprzód.

- Proszę, nomado - Aro udzielił mu pozwolenia.

Garrett wyprostował się dumnie. Skupił wzrok na zbieraninie wampirów stojących na skraju polany i zwrócił się bezpośrednio do nich.

- Tak jak inni, przyjechałem tutaj na prośbę Carlisle'a, by złożyć przed wami zeznanie - zaczął. - W sprawie dziecka nie jest już to jednak konieczne. Wszyscy widzimy, czym jest. Ale zostałem. Zostałem, by przyjrzeć się z bliska czemuś innemu. Wy, tam! - Wskazał palcem na świadków Volturi. - Dwoje z was znam, Makennę i Charlesa, i widzę, że wielu z pozostałych też jest wędrowcami, obieżyświatami, tak jak ja. Osobami, które nie są nikomu podporządkowane. Wysłuchajcie uważnie tego, co mam wam do powiedzenia. Te dwa sędziwe wampiry nie zjawily się tutaj z zamiarem wymierzenia sprawiedliwości, tak jak wam to przedstawily. Spodziewaliśmy się tego i nasze podejrzenia okazały się słuszne. Zjawily się tutaj z pozoru wprowadzone w błąd, ale przede wszystkim z usprawiedliwieniem na to, czego naprawdę chciły się tu dopuścić. Zważcie, jak czepiają się rozpaczliwie kolejnych nędznych wymówek, byle tylko móc jednak dopiąć swego. Zważcie, jak się męczą, byle tylko uzasadnić jakoś swoje zapędy. A jaki jest ich ukryty cel? Zniszczyć tę otę rodzinę. Wskazał na Carlisle'a i Tanyę.

- Volturi przybyli tutaj, by zlikwidować tych, których postrzegają jako swoich konkurentów. Być może, tak jak ja, spoglądacie na ich złote oczy i ogarnia was zdumienie. To prawda, trudno ich zrozumieć. Ale włoska trójca przyjrzała się im i zobaczyła coś jeszcze prócz dzwignego stylu życia. Zobaczyła kryjąca się w tych ludziach moc.

- Przyglądałem się relacjom panującym w tej rodzinie - podkreślał, w rodzinie, a nie w grupie czy oddziale. Nasi złotoocy pobratymcy odrzucają przyrodzone nam zwyczaje. Ale czy w zamian zyskują coś warte go nawet, być może, więcej niż zwykłe zaspokojanie pragnienia? Mieszkając z nimi pod jednym dachem, poczyniłem pewne obserwacje i wydaje mi się, że kluczowy dla powstania tak silnych więzów - a właściwie niezbędny do ich powstania - jest właśnie pokojowy charakter owego pełnego wytrzeźnia życia. Nie ma w nim miejsca na wybuchy agresji, tak powszechne wśród wielkich południowych klanów, które znikają z powierzchni ziemi równie szybko, jak się pojawiały, wybijane w wyniku niekończących się waśni. Nikomu tu też do głowy nie przyjdzie, żeby zaważyć o władzę. A Aro wie o tym jeszcze lepiej ode mnie.

Podczas gdy Garrett wygłaszał swoją oskarżycielską mowę, nie spuszczałam oczu z Aro, wyglądając w napięciu jakiejś gwałtownej reakcji z jego strony, ale Volturi był jedynie odrobinę rozbawiony, jak pobliźniwy dorosły czeląjący, aż małe dziecko wijące się w złości na podłodze usławił sobie wreszcie, że nik nie zwraca na nie uwagi.

- Carlisle zapewnił nas wszystkim, kiedy tłumaczył nam, do czego nas potrzebuje, że nie wezwał nas do siebie po to, abyśmy stoczyli tu bitwę. Ci świadkowie - Garrett wskazał na Siobhan i Liama - zgodzili się dostarczyć dowodów w sprawie, a swoją obecnością zmusić Volturi do zatrzymania się, by Carlisle zyskał szansę na przedstawienie swojej wersji wydarzeń. Niektórzy z nas zastanawiali się jednak - tu spojrzał na Eleazara - czy fakt, że Carlisle mówi prawdę wystarczy, by zatrzymać karzącą rękę, tak zwaną, sprawiedliwości. Czy Volturi wymierzal ją, by bronić bezpieczeństwa naszej rasy poprzez utrzymywanie naszego istnienia w tajemnicy, czy też wyłącznie po to, by utrzmacić się przy władzy? Czy mieli przybyć tutaj, by zniszczyć nielegalnie stworzonego potworka czy też obcą sobie ideologię? Czy miało usatysfakcjonować ich to, że oskarżenia informatorki okazały się bezpodstawne, czy też mieli wcielić w życie swój diabelski plan nawet bez zasady dymnej w postaci jakiegos pretekstu?

- Znamy teraz odpowiedź na wasze pytanie. Słyszałam kłamstwa, które padły z ust Aro - jest wśród nas talentowna wampirzyca, która wie, czy ktoś przy niej łże czy nie - i widzimy triumfalny uśmiech na twarzy Kajusza. Ich straż to tylko beznamiętne narzędzie w ich rękach, broń, którą zapewniają sobie dominację.

- Nadszedł zatem czas na inne pytania, pytania, na które to wy musicie odpowiedzieć. Kto wam rządzi, nomadowie? Czy słuchacie się kogoś jeszcze oprócz siebie samych? Czy chcecie podążać swoją własną ścieżką, czy to Volturi mają decydować o tym, jak żyjecie?

- Przyjechałem tu, żeby zostać świadkiem. Zostaję, żeby walczyć. Volturi nie zależy na śmierci tego dziecka. Zależy im na tym, by usmiercić naszą wolną wolę.

Garrett spojrzał na Aro i Kajusza.

- Dosyć tego, mówię. Dosyć kłamliwych usprawiedliwień. Bądźcie szczerzy w swoich zamiarach, a my będziemy szczerzy w swoich. Będziemy bronić swojej niezależności. Możecie nas zaatakować albo i nie - wybór należy do was. Niech wasi świadkowie zobaczą wreszcie, jak okazujemy naprawdę interesujące was kwestie.

Raz jeszcze obrócił się ku tłumowi nieznamymych, patrząc w oczy każdemu z nich po kolei. Widać było jak na dłoni, że jego przemówienie poruszyło ich do głębi.

- Możecie rozważyć dołączenie do nas. Jeśli myślicie, że Volturi pozwolą, abyście wyszli z tego żywi i zaczęli rozgłaszać na prawo i lewo, co tu się wydarzyło, grubo się mylicie. Być może wszyscy zginiemy - wrzyszył ramionami - a może nie. Być może jesteśmy godniejszym ich przeciwnikiem, niż się to im wydaje. Być może Volturi trafiłi wreszcie na równych sobie. Obiecuję wam jednak - jeśli nas wybiją, to i was także.

Zakończywszy swoje szokujące wystąpienie, wycofał się, by zająć miejsce koło Kate, i przykucał gotowy się bronić.

Aro uśmiechnął się.

- Piękna przemowa, mój drogi rewolucjonisto.

Garrett ani trochę się nie rozluźnił.

- Rewolucjonisto? - warknął. - A przeciwko komu ta rewolta, jeśli można spytać? Czy jesteś moim królem? Czy wolałbyś, żebym tytułował się „panem”, tak jak twoi służalczy żołnierze?

- Spokojnie - powiedział Aro, nie obrażony wższy się. - To tylko aluzja do epoki historycznej, w trakcie której przyszedł na świat. Jak widzę, nadal jesteś patriotą.

Garrett posłał mu pełne gniewu spojrzenie.

- Przepytajmy naszych świadków - zaproponował Volturi. - Wysłuchajmy najpierw ich przemysłań, zanim podejmiemy decyzję. Powiedźcie nam, przyjaciele... - Odwrócił się do nas tyłem z taką swobodą, jakbyśmy nie byli jego wrogami, po czym przeszedł kilka metrów w kierunku roztrzęsionych obserwatorów, którzy klębili się teraz jeszcze bliżej ściany lasu niż wcześniej. - Co o tym wszystkim sądzicie? Mogę was zapewnić, że dziecko nie jest tym, czego się obawialiśmy. Czy podejmiemy ryzyko i pozwolimy mu żyć? Czy zagrożymy całej naszej rasie, byle tylko ocalić tę jedną rodzinę? A może raczej ma nasz prostolinijny Garrett? Czy staniecie po ich stronie w walce przeciwko naszej niespodziewanej próbie przejęcia władzy nad naszym życiem?

Świadkowie przyglądali mu się, mając się na baczności. Niska czarnowłosa kobieta popatrzyła na stojącego koło niej blondyna.

- Czy tylko taką mamy alternatywę? - spytała zmienacka, przenosząc wzrok powrotem na Aro. - Zgodzić się z wami albo z wami i walczyć?

- Oczywiście że nie, uroczą Makennę - odpowiedział Volturi takim tonem, jakby był przerażony, że ktoś mógł tak sobie pomyśleć. - Nawet jeśli nie zgodzisz się z naszą decyzją, możesz odejść w pokoju, tak jak Amun.

Makenna znowu zerknęła na swojego kompana, a on ledwie dostrzegalnie skinął głową.

- Nie przybyłim tutaj, żeby walczyć. - Zawahała się, wypuściła powietrze z płuc, a potem dodała: - Przybyłim tutaj wystąpić w charakterze świadków. I możemy poświadczyć, że skazana rodzina jest niewinna. Wszystko to, co powiedział Garrett, to prawda.

- Ach - zasmucił się Aro. - Przykro mi, że postrzegacie nas w taki sposób. Ale tak już mamy pracę.

- Tu nie chodzi, o to, jak was postrzegam, tylko o to, co czuję - odezwał się zdenerwowany jasnowłosy towarzysz Makenny. Jego oczy powędrowały ku Garrettowi. - Garrett powiedział, że jest wśród nich wampirzyca, która rozpoznaje, czy ktoś przy niej kłamie. Tak się składa, że ja też mam taki dar.

Przestraszony, przysunął się bliżej do swojej partnerki, czelając na reakcję Aro.

- Nie lękaj się nas, drogi Charlesie - zaśmiał się Volturi. - Bez wątpienia nasz patriota naprawdę wierzy w to, co mówi.

Charles zmarszczył nos.

- Oto nasze świadectwo - oznajmiła Makenna - a teraz czas już na nas.

Wycofali się powoli, nie odwracając się tyłem do straży, dopóki nie skryły ich drzewa. Jeden z nieznamymych opuścił polanę w podobny sposób, a trójka po prostu wystrzeżila w las.

Przyjrzałam się badawczo pozostałym trzynaściu siedmiu wampirom. Kilko z nich wyglądało po prostu na zbyt zagubionych, by móc się na coś zdecydować. Ale większość wydawała się być aż za dobrze świadoma tego, jaką kierunek przybrała debata. Przypuszczałam, że woleli zrezygnować z przewagi na starcie, żeby dowiedzieć się, kto doładnie miał ich ścigać.

Byłam pewna, że Aro widzi to samo, co ja. Podeszłszy miarowym krokiem do swoich żołnierzy, zwrócił się do nich w te słowa:

- Moi drodzy, tamci mają nad nami przewagę liczebną. Nie możemy liczyć, że kółkolwiek z zewnątrz udzieli nam pomocy. Czy powinniśmy pozostawić tę tu kwestię otwartą, aby się ratować?

- Nie, panie - wyszeptali chórem.

- Czy ochrona naszego świata jest warta tego, byśmy być może przerezzdzili nasze szeregi?

- Tak - oświadczyli. - Nie boimy się.

Aro uśmiechnął się i popatrzył na swoich dwóch druhów.

- Bracia - zakomunikował im z powagą - mamy do podjęcia niezwykle trudną decyzję.

- Naradźmy się - powiedział rozentuzjuszowany Kajusz.

- Naradźmy się - powtórzył bez większego zainteresowania Marek.

Schwycili się za ręce, tworząc ze swoich peleryn czarny trójkąt.

Gdy tylko Aro skoncentrował się na cichej wrymianie myśli z swoimi braćmi, w lesie zniknęło dwóch kolejnych świadków Volturi. Miałam nadzieję, że potrafili szybko biegać.

A więc nadesza godzina zero. Ostrożnie oderwałam sobie rączki Renesmee od szyi.

- Pamiętajsz, co ci mówiłam?

W oczach stanęły jej łzy, ale skinęła głową.

- Kocham cię - pisaęła.

Obserwowali nas Edward i Jacob - ten drugi tylko kątem oka.

- Ja też cię kocham. - Dotknęłam jej medalionu. - Nad życie.

Pocałowałam ją w czoło.

Jacob zaskamlał niespokojnie.

Wspęłam się na palce i szepnęłam mu do ucha:

- Zaczęłam, aż będą zajęci walką, a potem rzuć się z nią do ucieczki. Zabierają ją jak najdalej stąd. Kiedy skończą się łąd, znajdziesz w jej plecaczku wszystko, czego wam trzeba, żeby wzbic się w powietrze.

Zdrzutotani, Edward i Jacob zrobili niemal identyczne miny, chociaż jeden z nich był przecięz wciąż zwierciemem.

Renesmee wyprężyła się ku Edwardowi, więc wziął ją na ręce. Przytulili się mocno.

- Czy właśnie to przede mną ukrywałaś? - spytał mnie cicho.

- Przed Aro - sprostowałam.

- Alice?

Skinęłam głową.

Wykrzywił się z rozpaczy, ale rozumiał, że nie miałam innego wyboru. Czy miałam ten sam wyraz twarzy, kiedy dopasowałam wreszcie do siebie wszystkie wskazówki Alice?

Jacob warczał cicho, jednostajnie i ani na moment nie przerywając, jak mruzcąc lew. Sierść na karku miał zjezoną, a ldy odsłonięte.

Edward pocałował Renesmee w czoło i oba policzki, po czym posadził ją na barku mojego przyjaciela. Wdrapała się mu zwinnie na plecy, czepiając się paluszkami jego sierści i umościła się w zagłębieniu pomiędzy jego potężnymi łopatkami.

Jacob spojrział na mnie ślepiami pełnymi bólu. Jego pierś wibrowała wciąż miarowym charkotem.

- Nie moglibyśmy jej powierzyć nikomu innemu prócz ciebie - powiedziałam mu. - Nie zniosłabym tego rozstania, gdybym nie wiedziała, że będzie z kimś, kto tak bardzo ją kocha. Wiem, że będziesz w stanie ją chronić.

Zaskamlał znowu i pochylił łeb, żeby trącić mnie nosem.

- Wiem - wykrztusiłam. - Ja też cię kocham, Jake. Jesteś najlepszy.

Lza wielkości baseballowej piłki wypłynęła mu z oka i zniknęła w rdzawym futrze.

Edward oparł się czołem o ten sam jego bark, na którym wcześniej posadził Renesmee.

- Żegnaj, Jacobie. Mój bracie... mój synu.

Pozostali nie pozostawali obojętni na nasze pożegnanie. Wprawdzie nie odrywali wzroku od czarnego trójkąta, ale wyczuwałam, że nas słuchają.

- Czy nie ma dla nas żadnej nadziei? - szepnął Carlisle.

W jego głosie nie było strachu, tylko determinacja i akceptacja.

- Zawsze jest nadzieja - mruknęłam. To może być prawda, powiedziałam sobie. - Znam tylko swój własny los.

Edward wziął mnie za rękę. Wiedział, że i jego to dotyczy. Mówiąc „swój własny los”, nie mogłam nie mieć na myśli i jego. Byliśmy jak dwie połówki jednego jabłka.

Oddech stojącej za mną Esmee zrobił się chrapliwy. Minęła nas, muskając nasze twarze, i zatrzymała się przy Carlisle'u, też ujęła jego dłoń.

Nagle otaczający nas nasi przyjaciele i bliscy zaczęli się po cichu żegnać i wyznawać sobie miłość.

Garrett pochylił się ku Kate.

- Jeśli wyjdziemy z tego żywi, kobieto, pójde z tobą choćby na koniec świata.

- Teraz mi to mów! - zachnęła się.

Rosalie i Emmett pocałowali się szybko, ale namiętnie.

Tia pogłaskała Benjamina po policzku. Uśmiechnął się wesoło i przytrzymał jej dłoń, żeby nie oderwała jej od jego skóry.

Nie zdążyłam przyjrzeć się wszytkim, bo moją uwagę odwróciła jakaś niewidzialna siła wierająca nacisk na moją tarczę. Nie potrafiłam oszacować, z jakiego źródła pochodzi, ale kierowała się najwyraźniej ku krańcom naszej formacji, zwłaszcza ku Siobhan i Liamowi. Nie zdoławszy przebić się przez powłokę, po krótkiej chwili zniknęła.

Naradzająca się trójca nie poruszyła się ani o milimetr, ale być może coś przegapiłam i dali już swoim sługom sygnał.

- Bądźcie gotowi - szepnęłam do pozostałych. - Zaczyna się.

- Chelsea próbuje zerwać łączące nas więzi - szepnęła Edward - ale nie może ich znaleźć. Nie potrafi nas tu wyczuć... - Zerknął na mnie. - Czy to twoja robota?

Uśmiechnęłam się do niego groźnie.

- Zakryłam was wszystkim.

Odchylił się ode mnie nagle, wyciągając rękę ku Carlisle'owi. W tym samym momencie w miejscu, w którym rozciągana przez mnie błona owijała się wokół światła Carlisle'a, poczułam na niej znacznie ostrzejsze od poprzedniego uderzenie. Nie sprawiło mi bólu, ale też nie było przyjemne.

- Carlisle, nic ci nie jest? - jęknął Edward przerażony.

- Nie, a co?

- Jane nas atakuje.

Gdy tylko wymówił jej imię, w moją tarczę uderzył tuzin ostrzy, z których każde celowało w innego członka naszej grupy. Napięłam powłokę, upewniając się, że w żadnym miejscu nie jest uszkodzona. Jane chyba nie była w stanie jej przebić. Rozejrzałam się pospiesznie - nikomu nie się stało.

- Niesamowite - stwierdził Edward.

- Dlaczego nie czekają na decyzję? - syknęła Tanya.

- To u nich normalna procedura - odparł Edward szorstko. - Mają w zwyczaju unieruchamiać tych, przeciwko którym toczy się proces, żeby im się nie wymknęły.

Po drugiej stronie polany wściekła Jane wpatrywała się w nas z niedowierzaniem. Byłam przekonana, że poza mną nigdy nie zetknęła się z kimś, kogo jej moc nie powaliłaby na ziemię.

Aro miał domyślić się lada chwila - jeśli już tego nie odgadł - że moja tarcza jest o wiele potężniejsza, niż sądził Edward. Zresztą od dawna miał mnie na celowniku, nie było więc sensu ukrywać, co potrafię. Może nie było to zachowanie godne dojrzałej osoby, ale posłałam Jane wyzywający uśmiech.

Zmarszczyła nos i poczułam kolejne uderzenie, tym razem skierowane prosto we mnie.

Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej, odsłaniając zęby.

Warknęła cienko. Wszyscy drgnęli, nawet zdyscyplinowani strażnicy. Wszyscy z wyjątkiem trzech sędziwych wampirów, które nawet nie podniosły wzroku. Jane przycała się do skoku i jej bliźniak złapał ją za ramię.

Rumunów bardzo to rozbawiło.

- Mówiłem ci, że to nasz czas - powiedział Vladimir do Stefana.

- Tylko popatrz na jej minę - zachichotał Stefan.

Alec podlepał siostrę po ramieniu, a potem objął ją i obrócił się do nas przodem. Jego twarzy nie szpecił żaden grymas. Wyglądał jak aniołek.

Czekałam na jakiś nacisk, jakiś objaw tego, że nas atakuje, ale niczego takiego nie czułam. Chłopiec patrzył tylko na nas, idealnie opanowany. Czy już coś zrobił? Czy omijał już moją tarczę? Czy tylko ja go jeszcze widziałam? Ścisnęłam dłoń Edwarda.

- Wszystko w porządku? - wykrztusiłam.

- Tak - odszepnęła.

- Czy Alec próbuje już nas unieruchomić?

Edward skinął głową.

- Jego dar działa wolniej niż dar Jane. Tak podpełza. Dotknie nas za kilka sekund.

Wiedząc, czego wyglądać, od razu to coś zobaczyłam.

Po śniegu rozlewała się dziwna przeźroczysta mgła, niemalże niewidzialna na białym tle. Przypominała mi miraż - polyskiwała odrobinkę, nieco rozmazywała kontury. Odciągnęłam tarczę od Carlisle'a i pozostałych z pierwszego rzędu, tak żeby uderzywszy o nią, złowrogi opar nie znalazł się zaraz przy nich. Co jeśli miał ją bez żadnego wysiłku przeniknąć? Czy powinniśmy byli rzucić się wtedy do ucieczki?

Znikąd zerwał się wiatr, który przemykając pomiędzy naszymi nogami, zaczął spychać zalegający na polu śnieg w stronę szeregów Volturi - Benjamin także zdawał sobie sprawę z naddających niebezpieczeństwa i starał się rozpędzić mgłę silnymi podmuchami. Łatwo było je śledzić dzięki wirującemu płatkom, ale opar okazał się całkowicie na nie odporny. Równie dobrze można było walczyć tą metodą z cieniem.

Egipcjanin nie dał za wygraną. Ziemia pod naszymi stopami zatrzęsała się i przerażliwym jękiem pękła wąskim zygzakiem przez sam środek pola. Platy śniegu osunęły się do szczeliny, ale mgła przesłiznęła się ponad nią, obojętna na prawo grawitacji podobnie jak na wiatr.

Szczelka Benjamina sprawiła, że naradzający się przywódcy wreszcie się rozstąpili. Aro i Kajusz patrzyli na rozwierającą się ziemię szeroko otwartymi oczami. Marek popatrzył w tym samym kierunku, ale nie okazał przy tym żadnych emocji.

Nie zabrali głosu - też czekali, aż dotrze do nas mgła. Wicher przybrał na sile, szwiszcząc zajadle, ale nie zdołał zmienić jej kursu. To Jane się teraz uśmiechała.

A potem opar natrafił na przeszkodę.

Poczułam go, gdy tylko linął powierzchnię tarczy - miał słodki smak, tak intensywny, że aż mdły. Wróciło niewyraźne wspomnienie drętwiejącego od nowokainy języka.

Mgła popęzła ku górze, szukając jakiejś szpary, jakiegoś słabego punktu. Na żaden nie natrafiała, jej długie mleczone palce macały uparcie powłokę, starając dostać się jakoś do środka, ale ujawniły jedynie imponujące rozmiary otaczającego nas ochronnego ekranu.

Po obu stronach wawozu wampirów zaparło dech w piersiach.

- Dobra robota, Bello! - Egipcjanin pogratulował mi cicho.

Na mojej twarzy znowu pojawił się uśmiech.

Alec zmrucił oczy. Po raz pierwszy wydawał się w siebie wątpić. Mgła klębiła się ponad moją tarczę, nie czyniąc jej żadnej szkody.

Nagle zamysliłam sobie, że dam radę. Oczywiście miałam się przez to stać cieniem numer jeden, zginąć jako pierwsza, ale tak długo, jak miałam wytrzymać, mieliśmy być dla Volturi nie tyle godnym, co wręcz groźnym przeciwnikiem. W naszym gronie znajdowali się przecież Benjamin i Zafrina. Ale nie mogli zostać przez nikogo unieruchomieni, bo ja potrafiłam temu zaradzić.

Tak długo, jak miałam wytrzymać.

- Będę musiała się skoncentrować - szepnęłam do Edwarda. - Kiedy dojdzie do walki wręcz, będzie mi dużo ciężiej chronić właściwych ludzi.

- Będę cię osłaniał.

- Nie, nie. Ty musisz dorwać Demetriego. Zdam się na Zafrinę. Amazonka przyłożyła sobie dłoń do serca.

- Nikt jej nie tknie - przyrzekła Edwardowi.

- Ech, z chęcią zajęłabym się Jane i Alekiem - przyznałam - ale wiem, że więcej dobrego zdziałam tutaj.

- Jane jest moja - syknęła Kate. - Niech zobaczy wreszcie, jak to jest, kiedy ktoś razi cię prądem.

- A Aleca biorę na siebie - warknął Vladimir z drugiej strony. - Jest mi winien wiele życia, ale zadowolę się w zamian tylko jego własnym.

- Ja chcę tylko Kajusza - powiedziała spokojnie Tanya. Pozostali też zabrali się do rozdzielania pomiędzy siebie poszczególne strażników, ale szybko im przerwało.

To Aro postanowił wreszcie przemówić.

- Zanim zgłoszujemy... - zaczął. Przyglądał się nadal nie dającej żadnych efektów mgle Aleca.

Potrząsnęłam gniewnie głową. Miałam dosyć tej farsy. Odezwała się znowu we mnie żądza mordu. Poczułam się rozgoryczona, że cała moja rola w bitwie miała sprowadzać się do stania nieruchomo na uboczu. Tak bardzo chciałam walczyć!

- ... pozwól sobie przypomnieć - ciągnął - że niezależnie od tego, co postanowimy, nie musi tu dojść do żadnych aktów przemocy.

Edward zaśmiał się ponuro. Aro posłał mu smutne spojrzenie.

- Będzie to dla naszej rasy ogromna strata, jeśli stracimy kóreś z was. A zwłaszcza ciebie, Edwardzie, i twoją nowo narodzoną partnerkę. Dla wielu z was znalazłoby się miejsce w szeregach naszej straży. Bello, Benjaminie, Zafrino, Kate - serdecznie zapraszamy. Przed wami wiele opeji do wyboru. Weźcie je pod uwagę.

Chelsea ponowiła próbę wpływnięcia na nasze decyzje, ale wysyłane przez nią ładunki zabębniły tylko o tarczę niczym grad. Aro powiódł wzrokiem po naszych stężonych twarzach, wyglądając w nich jakichkolwiek oznak wahania. Sądcząc po jego minie, musiał obejść się smakiem.

Wiedziałam, że rozpacziwie pragnie ocalić Edwarda i mnie, by zniewolić nas, tak samo jak miał nadzieję zniewolić Alice. Ale nie miał na to szans. Jeśli chciał wygrać, musiał mnie zabić. Świadomość, że jestem zbyt ważnym graczem, by mógł mi darować życie, sprawiała mi głęboką satysfakcję.

- W takim razie, zgłoszujemy - oświadczył z nieskrywaną niechęcią.

Kajusz miał w sobie więcej entuzjazmu.

- Nie ma żadnego powodu, dla którego mielibyśmy godzić się na takie ryzyko. To dziecko to jedna wielka niewiadoma. Musi zostać uśmiercone wraz ze wszystkim, którzy je chronią.

Było widać, że nie może się już tego doczekać. Zduśiłam w sobie krzyk sprzeciwu, jaki sprokował we mnie jego złośliwy uśmiech.

Marek pozostał niewzruszony. Głosząc, wydawał się patrzeć poprzez nas.

- Nie sądzę, by w najbliższym czasie cokolwiek nam groziło. - Mówił jeszcze ciszej niż jego dwaj bracia. - Dziecko nie jest na razie niebezpieczne. Zawsze możemy wrócić do sprawy. Moim zdaniem należy zostawić ich w spokoju.

Zaden ze strażników nie odebrał jednak jego słów jako komendy „spocznij”, a Kajusz bynajmniej nie spochmurniał. Zachowywali się tak, jakby go nie usłyszeł.

- Czy li to mój głos ma być decydujący? - spytał retorycznie Aro.

Edward zeszywniał zmienacka u mojego boku.

- Jest! - syknął

Zaryzykowałam i zerknęłam na niego. Oczy mu ślniły, a na jego twarzy pojawił się wyraz triumfu. Nic z tego nie rozumiałam. Taką minę mógłby mieć anioł zniszczenia podczas pożaru świata. Był piękny i przerażający zarazem.

Strażnicy wymienili pomiędzy sobą nerwowo jakieś ciche komentarze.

- Aro!

Edward prawie że krzyknął. Był pewny siebie jak zwycięzca.

Volturi nie odpowiedział mu od razu. Pewnie zastanawiał się, skąd ta zamiana.

- Tak, Edwardzie? Masz coś do dodania?

- Być może - powiedział grzecznie, opanowując swój niewyjaśniony wybuch radości. - Ale czy mogłbyśmy najpierw ustalić pewną kwestię?

- Oczywiście - odparł Aro z uprzejmym zainteresowaniem w głosie, unosząc brwi.

Zagrzytałam zębami. Im bardziej był szarmancki, tym bardziej trzeba było na niego uważać.

- To, że obawiacie się mojej córki - bierze się wyłącznie stąd, że nie da się dowiedzieć, jak będzie przebiegał jej rozwój, czyż nie tak? W tym właśnie cały problem?

- Tak mój przyjacielu - potwierdził Aro. - Gdybyśmy tylko mogli mieć stuprocentową pewność, że gdy dorosnie, będzie w stanie ukryć swoją inność przed ludźmi, że nas nie zdemaskuje...

Rozłożył ręce, wzruszając ramionami.

- A zatem, gdybyśmy tylko wiedzieli, czym dokładnie stanie się w przyszłości - zasugerował Edward - wtedy cała ta narada nie była by potrzebna?

- Gdyby istniał jakiś sposób zdobyć ciał takiej wiedzy... - zgodził się Aro. Jego przytłumiony głos stał się nieco bardziej piskliwy. Volturi nie miał powojęć, do czego Edward zmierza. Ja też się nad tym głowiłam. - Gdyby tak było, owszem, moglibyśmy zakończyć naszą debatę.

- I rozstać się w pokoju? Znowu zapanowałyby pomiędzy nami przyjacielskie stosunki?

W tym drugim pytaniu pobrzmiewała ironia.

- Oczywiście, Edwardzie - odpowiedział Aro jeszcze bardziej piskliwie. - Nic by mnie bardziej nie uradowało.

Edward parsknął śmiechem.

- W takim razie mam coś do dodania.

Aro zmarszczył czoło.

- Dziewczynka jest ewenementem na skalę światową. O jej przyszłości można tylko spekulować.

- Jest kimś wyjątkowym, zgadza się, ale nie aż tak bardzo. Nie jest jedyną w swoim rodzaju.

Byłam w szoku, ożywała mnie nadzieja, ale musiałam zwalczać w sobie te uczucia, bo zbytnio mnie rozpraszają. Tuż za powłoką mojej tarczy nadal czaiła się złowroga mgła, a kiedy spróbowałam się skupić, poczułam znowu na bionie nacisk niewidzialnego ostrza.

- Aro, czy mógłbyś poprosić Jane, żeby przestała atakować moją żonę? - zareagował po dżentelmeńsku Edward. - Nadal omawiamy dowody.

Volturi uniósł rękę.

- Uspokójcie się, moi mili. Wysłuchajmy go.

Ostrze się cofnęło. Jane odsłoniła zęby. Nie mogłam sobie odmówić tej przyjemności i uśmiechnęłam się do niej szeroko.

- Możesz już do nas dołączyć, Alice! - zawołał Edward.

- Alice? - wykruszyła Esmę. Alice!

Alice, Alice, Alice! Zapanowało poruszenie.

- Alice!

- Alice!

- Alice - szepnął Aro.

Poczułam ogromną ulgę i równie wielką radość. Musiałam dać z siebie wszystko, żeby moja tarcza się nie skurczyła. Mgła Aleca nadal badała jej wytrzymałość, a Jane tylko czekała na okazję.

A potem usłyszałam, jak pędzą przez las od południowego zachodu - jak mną tak szybko, jak tyłko się da, nie dbając o to, ile robią przy tym hałas.

Obie strony zamaryły w oczekiwaniu. Świadkowie Volturi wyglądali na jeszcze bardziej zagubionych niż przedtem.

Kiedy Alice wbiegła tanecznym krokiem na polanę i zobaczyłam znowu jej twarz, miałam wrażenie, że ze szczęścia zaraz zemdleję. Jasper wypadł pomiędzy drzew tuż za nią, zacięty i skupiony. Towarzyszyła im trójka nieznajomych, w tym wysoka, muskularna kobieta o długich, ciemnych, zmierzwionych włosach, którą, jak się domyślałam, była Kachiri. Miała takie same nienaturalnie wydłużone kończyny i rysy, jak pozostałe Amazonki, w jej przyпадku nawet jeszcze bardziej wydatne.

Druga wampirzyca też była śniada, ale znacznie drobniejsza, o burgundowych tęczówkach. O plecy objął jej się długi, czarny warkocz. Rozejrzała się strachliwie dookoła.

Ostatni wyłonił się z lasu piękny, młody mężczyzna - nie potrafił biec ani tak prędko, ani tak zwinnie jak reszta. Skórę miał barwy niesamowicie nasyczonego, ciemnego brązu, a rozbiegane oczy burszty nowe jak tekowe drewno.

Czarne włosy nosił splecione w warkocz, ale nie tak długi jak u wampirzycy. Widząc przed sobą tyłu obcych, miał się na baczności.

Kiedy się do nas zbliżył, uszu zabrany ch dotarł nowy dźwięk i przez tłum przeszedł kolejny szmer zdziwienia - dźwiękiem tym było bicie serca młodzieńca, przyspieszone z wysiłku.

Alice dała suasa ponad rzednącą wzdłuż mojej tarczy mgłą i zatrzymała się z gracją baletnicy u boku Edwarda. Jasper i nieznajomi zmieścili się pod kopułą wraz z nią. Wyciągnęłam ku niej rękę, żeby jej dotknąć - Edward, Carlisle i Esmę postąpił tak samo. Nie było czasu na inne powitanie.

Członkowie straży Volturi przyglądali się badawczo, jak spóźnalscy bez trudu przekraczają niewidzialną barierę, i ci spośród nich, którzy byli specjalistami od walki wręcz, w tym osilek Feliks, spojrzeli nagle na mnie z nadzieją. Do tej pory nie byli pewni, jakie dokładnie właściwości posiada moja tarcza - teraz stało się jasne, że przed zwykłym atakiem nie chroniła. Gdy tylko Aro dałby sygnał, mieli rzucić się na mnie wszyscy na raz. Ciekawa byłam, ilu z nich będzie w stanie oślepić Zafrina i na ile ich to spowolni. Czy na dość długo, by Kate i Vladimir zdążyli unieszkodliwić Jane i Aleca? O więcej nie śmiałam prosić.

Edward był pochłonięty doprowadzeniem do końca swojej intrygi, ale wyłapał w myśli strażników, na moment zeszywniał z gniewu. Odzyskawszy nad sobą kontrolę, zwrócił się ponownie do Aro:

- Alice spędziła ostatnie tygodnie, Aliczka swoich własnych świadków i jak widać, nie wraca z pustymi mi rękami. Alice, czy mogłabyś nam ich przedstawić?

- Czas na przesłuchania świadków już minął! - warknął Kajusz. - Aro, czekamy na twój głos!

Nie odrywając wzroku od twarzy Alice, Aro uciszył brata gestem dłoni.

Moja przyjaciółka wystąpiła przed nasz szereg i wskazała na przybystry.

- To Huilen, a to jej siostrzeniec Nahuel.

Ten głos! Wydało mi się, że nigdy nie wyjeżdżała.

Usłyszawszy, jak jest stopień pokrewieństwa pomiędzy wampirzycą a młodzieńcem, Kajusz skrzywił się ze złości, a świadkowie Volturi chóralnie zasydzeli. Wampirzy świat się zmieniał i wszyscy to czuli.

- Prosimy, Huilen - zakomenderował Aro. - Wy tłumacz nam, po co cię tu sprowadzono.

Drobna kobietka spojrzała zlekioną na Alice. Kachiri, żeby ją wesprzeć, objęła ją ramieniem, a moja przyjaciółka pokiwiała zachęcająco głową.

- Mam na imię Huilen - oznajmiła. Mówiła wyraźnie, ale z silnym akcentem. Po kilku zdaniach stało się jasne, że starannie się zawsze przygotowała i miała wszystko przećwiczone: słowa wypływały z jej ust nieprzerwanym strumieniem, jak gdyby deklamowała dobrze sobie znany wierszyk dla dzieci. - Sto pięćdziesiąt lat temu mieszkałam z moimi pobratymcami, ludźmi z plemienia Mapuche. Miałam siostrę, na którą wolał Pirę. Nasi rodzice nazwali ją tak na część śniegu zalegającego w górach, bo miała bardzo jasną cerę. Była bardzo piękna - zbyt piękna. Pewnego dnia wyznała mi w sekrecie, że napotkała w lesie anioła i ów anioł odwiedza ją teraz w nocy. Ostrzegalam ją - Huilen pokręciła smutno głową. - Jak gdyby to, jak bardzo ją śniaczył, nie było dostatecznym ostrzeżeniem... Domyślałam się, że to libishomen z naszych legend, ale nie chciała mnie słuchać. Była jak opętana.

- Po jakimś czasie wyznała mi, że jest pewna, iż różnie w niej dziecko jej czarnej anioła. Planowała uciec z wioski i nie odwołam jej od tej decyzji - wiedziałam, że nawet nasz ojciec i matka zgodzą się, że trzeba zabić i czarki pomiot, i Pirę. Uciekłam z nią w głąb puszczy. Szukała swojego kochanka, ale na próżno. Trochęyla się o nią, polowałam dla niej, kiedy już brakowało jej sił. Żywiła się surowymi zwierzętami, wypijając z nich krew. Nie potrzeba mi było nic więcej, by upewnić się, co nosiła w swym łonie. Miałam nadzieję, że zanim zabiję tego potwora, zdąży jej jeszcze uratować życie.

- Ale Pirę kochała swoje dziecko. Nazwała jej Nahuel, co w naszym języku oznacza drapieżnego kota. Rosnąc, stawał się coraz silniejszy i łamał jej kości - ale jej miłość do niego nie słabła.

- Nie udało mi się jej ocalić. Dziecko wygryzło sobie drogę na zewnątrz i Pirę szybko zmarła, błagając, bym się nim zaopiekowała. Takie było jej ostatnie życzenie. Nie mogłam go nie spełnić.

- Kiedy spróbowałam wziąć Nahuela na ręce, ukłsił mnie. Odczołgałam się w dzungłę, by umrzeć. Nie zaszedłam daleko - nie pozwolił mi na to ból - ale i tak było to niesamowite, że noworodek mnie odnalazł. Dopełił do mnie po poszyciu i czekał u mego boku, aż się ocknę. Kiedy doszedł do siebie, spał obok zwinęty w kłębek

- Opiekowałam się nim tak długo, aż nie nauczył się sam polować. Polowaliśmy na ludzi z leśnych ch wiosek, utrzymując nasze istnienie w tajemnicy. Nigdy jeszcze nie oddaliliśmy się tak bardzo od naszego domu, ale Nahuel pragnął zobaczyć to dziecko, które tu macie.

Huilen skinęła głową na znak, że skończyła, i cofnęła się za Kachiri.

Aro gapił się na ciemnoskórego młodzieńca z zaciśniętymi mi ustami.

- Nahuelu - spytał - czy naprawdę masz sto pięćdziesiąt lat?

- Plus minus dziesięć - uściślił przy bys ciepłym barytonem. Jego obcy akcent ledwie było słychać. - Nie korzystamy z kalendarzy.

- A w jakim wieku przestałeś rosnąć?

- Mniej więcej w siedem lat po swoich narodzinach.

- I od tamtego czasu się nie zestarzałeś?

- Po jakimś czasie wyznała mi.

- Nic takiego nie zauważyłem.

Poczułam, że przez ciało Jacoba przechodzi dreszcz, ale sama nie chciałam wyciągać żadnych wniosków. Musiałam zczekać z dekoncentrującymi i rozmyślaniami, aż mi niebezpieczeństwo.

- A czym się żywisz? - drążył Aro, wydając się zaintrygowany wbrew swojej woli.

- Głównie krwią, ale czasem jadam też coś jak ludzie. Mogę stosować wyłącznie ludzką dietę i nic mi nie jest.

- Potrafisz stworzyć nieśmiertelną istotę? - Aro wskazał na Huilen zmienionym głosem. Skupiłam się na swojej tarczy - być może szukał nowej wymówki.

- Ja tak, ale reszta już nie.

Wszystkie trzy obecne na polanie grupy znowu przeżyły szok. Aro uniósł brwi.

- Co za reszta?

- Moje siostry. - Nahuel ponownie wzruszył ramionami.

Przez moment Aro wpatrywał się w niego dziko, ale wzięty się w garść.

- Może bądź tak łaskaw i opowiedz nam ciąg dalszy swojej historii, skoro takowy najwyraźniej istnieje.

Młodzieńiec zmarszczył czoło.

- Kilka lat po śmierci mojej matki mój ojciec wrócił w nasze strony, żeby mnie odszukać. - Skrzywił się odrobinę. - Był bardzo zadowolony, kiedy mnie odnalazł. - Ten jego głos sugerował, że jego własna reakcja była wręcz przeciwna. - Miał już dwie córki, ale ani jednego syna. Spodziewał się, że się do niego przyłączy, podobnie jak moje siostry. Był zdziwiony, że mam towarzyszkę. Moje siostry nie są jadowite, ale czy to kwestia płci czy czysty przypadek... kto to wie? Uważałem, że moje miejsce jest przy Huilen, i nie wyraziłem zainteresowania jego propozycją. Widuję go od czasu do czasu. Mam teraz już trzy siostry - najmłodsza przestała rosnąć jakieś dziesięć lat temu.

- Imię ojca? - spytał Kajusz przez zaciśnięte zęby.

- Joham. Ma siebie za naukowca. Sądzi, że tworzy rasę nadludzi.

W żaden sposób nie próbował maskować swojego obrzydzenia. Kajusz przeniósł wzrok na mnie.

- A twoja córka, czy jest jadowita?

- Nie - odpowiedziałam.

Nahuel skierował na mnie swoje złotobrzowe oczy.

Kajusz zerknął na Aro, chcąc, by ten potwierdził tę informację, ale drugi Volturi pogrążony był w rozmyślaniami. Nadal zaciskając usta, spojrział na Carlisle'a, potem na Edwarda, a wreszcie na mnie.

Starzec warknął.

- Zalaatwy wreszcie tę sprawę i ruszajmy na południe zając się tą drugą - popędził brata.

Aro przez długą, pełną napięcia chwilę patrzył prosto na mnie. Nie wiedziałam, czego wyglądał ani czego się doszukał, ale coś w tym czasie się w nim zmieniło, coś w wyrazie jego twarzy - w oczach, w układzie ust. Byłam pewna, że podjął wreszcie decyzję.

- Bracie - przemówił łagodnie do Kajusza - wszystko wskazuje na to, że nie grozi nam jednak żadne niebezpieczeństwo. To niespodziewany obrót rzeczy, ale fakty mówią same za siebie. Te półwampiry są do nas bardzo podobne.

Nie ma potrzeby ich niszczyć.

- Czy tak właśnie brzmi twoja decyzja? - upewnił się Kajusz.

- Tak Zagłosowałem.

Starzec nastroszył się.

- A ten cały Joham? Nieśmiertelny lubujący się w eksperymentach?

- Cóż, być może rzeczywiście powinniśmy się z nim rozmówić - przyznał Aro.

- Powstrzymajcie go, jeśli chcecie - wtrącił się Nahuel bezbarwnym głosem - ale pozwólcie moim siostronom odejść w pokoju. Nie zrobili nic złego.

Aro skinął z powagą głową, po czym obrócił się do swoich żołnierzy i uśmiechnął się ciepło.

- Moi drodzy! - zawołał. - Dziś nie walczymy!

- Tak jest - odpowiedzieli mu chórem, prostując się.

Mgła Aleca niemal natychmiast się rozrzędziła, ale nie zmniejszyła tarczy. Nie wykluczałam podstępów.

Kiedy przywodziła Volturi stanął znowu przedem do nas, przyjrzałam się uważnie ich twarzom. Aro, jak zwykle, z pozoru wydawał się być przyjaźnie do nas nastawiony, ale wyczuwałam za tą fasadą dziwną pustkę - jak gdyby wreszcie przestał coś w skrytości ducha kłuć. Jeśli chodziło o Kajusza, był on, rzecz jasna, rozwieściany, ale pełen rezygnacji, skierował teraz swój gniew do wewnątrz. Marek wyglądał na... znużonego - naprawdę, nie dawało się tego lepiej określić. Strażnicy stali się na powrót jednym organizmem, obojętnym i zdyscyplinowanym. Ich zwarta grupa była już gotowa do opuszczenia polany. Świadkowie Volturi mieli się wciąż na baczności i jeden po drugim znikali wśród drzew. Im mniej ich było, tym szybciej podejmowali decyzję o odejściu. W końcu nie został ani jeden.

Aro rozłożył w niemalże przepraszającym geście. Za jego plecami wycofywała się już w zgrabnej formacji większa część straży wraz z Kajuszem, Markiem i tajemniczymi, milczącymi żonami. Przy przywódce Volturi pozostała jedynie trójka jego osobistych ochroniarzy.

- Tak się cieszę, że udało nam się rozwiązać ten spór bez uciekania się do przemocy - zaświerkał słodko. - Carlisle'u, mój przyjacielu, jak dobrze móc cię znowu nazywać przyjacielem! Mam nadzieję, że nie zywisz do mnie urazy. Wiem, że rozumiesz, jaką rolę mamy do spełnienia. Czy tego chcemy, czy nie, obowiązują nas pewne procedury.

- Odejdź w pokój, Aro - oświadczył doktor sztywno. - Pamiętaj, że mieszkamy tu na stałe i nie możemy zwracać na siebie uwagi, więc proszę, w drodze powrotnej nie polujcie w tym regionie.

- Oczywiście, Carlisle'u. Przykro mi, że się do mnie uprzedziłeś. Może kiedyś mi wybaczysz.

- Być może, kiedyś, jeśli udowodnisz, że jesteś naszym przyjacielem.

Aro skłonił głowę niby to pełen skruchy i w tej pozycji zrobił kilka kroków do tyłu. Dopiero wtedy obrócił się, by ruszyć na północ. Przyglądaliśmy się w ciszy, jak ostatni czterej Volturi znikają w lesie.

Nikt się nie odzywał. Nie zrezygnowałam z podtrzymywania tarczy.

- Czy już naprawdę po wszystkim? - szepnęłam do Edwarda.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Tak Poddali się. Tak jak wszyscy tyrani, robią dużo szumu, ale w gruncie rzeczy są tchórzami.

Zaśmiała się. Zawtórowała mu Alice.

- No co jest? Rozluźnicie się. Oni już nie wrócą.

Ale nadal do nas nie docierało.

- A niech to szlag - mruknął Stefan. I wtedy się zaczęło.

Zaczęliśmy wiwatować, a polanę wypełniło ogłuszające wycie wilków. Maggie poklepała Siobhan po plecach. Rosalie i Emmett znowu się pocałowali, ale tym razem dłużej i z bardziej namiętnie. Benjamin i Tia spleli się w czułym uścisku, podobnie jak Carmen i Eleazar. Esme objęła Alice i Jaspera. Carlisle dziękował gorąco przybyszom z Ameryki Południowej, którzy nas uratowali. Kachiri przysunęła się do Zafriny i Senny i wzięła je za ręce. Garrett podniósł Kate wysoko w górę i okręcił ją w powietrzu.

Stefan splunął na śnieg. Vladimir zażrzytał zębami z kwaśną miną.

Prawie wdrapałam się na wielkiego rdzawego basiora, żeby porwać w objęcia swoją córeczkę. Przycisnęłam ją sobie mocno do piersi, a Edward przytulił nas obie do siebie.

- Nessie, Nessie, Nessie - zagruchałam.

Jacob szczełnął, czyli zaśmiał się po swojemu, i trącił nosem tył mojej głowy.

- Cicho tam - mruknęłam.

- Czyli w końcu zostaną z wami? - spytała mała.

- Na zawsze - przyrzekłam jej.

Mieliśmy przed sobą całą wieczność. A Nessie miała wyrosnąć na piękną, zdrową, silną kobietę. Tak jak półczłowiek Nahuel, za sto pięćdziesiąt lat miała być nadal młoda. A my wszyscy mieliśmy być nadal razem.

Szczęście rozeszło się po moim ciele z siłą fali uderzeniowej - tak gwałtownie, tak niespodziewanie, że nie byłam pewna, czy to nie dawka śmiertelna.

- Na zawsze - szepnęłam mi Edward do ucha.

Nie byłam w stanie wykrzusić z siebie ani słowa więcej. Uniosłam głowę i zaczęłam całować go z takim zapamiętaniem, że pewnie mógłby od tego zapłonąć las.

A gdyby tak się stało, zupełnie bym tego nie zauważyła.

I żyli długo i szczęśliwie

- Więc różne czynniki złożyły się pod koniec na nasze zwycięstwo, ale tak naprawdę wszystko sprowadzało się do... Belli - tłumaczył Edward.

Moi bliscy siedzieli wraz z dwójką ostatnich gości w salonie. Za wielkimi oknami zapadła noc.

Vladimir i Stefan znikli, jeszcze zanim przestaliśmy wivawotać. Byli ogromnie rozczarowani tym, jak skończyła się nasza konfrontacja z Volturi, ale Edward twierdził, że pokaz tchórzostwa w wykonaniu ich wrogów sprawił im tyle uciechy, że do pewnego stopnia wynagrodziło im to tę frustrację.

Egipcjanom spieszo było dogonić Amuna i Kebi, by tamci nie musieli zadrezczać się dłużej myśłą, że doszło do starcia. Byłam pewna, że jeszcze kiedyś ich zobaczymy - a przynajmniej Benjamina i Tię.

Następni opuścili nas nomadowie. Peter i Charlotte porozmawiali chwilę z Jasperem i tyle ich widzieliśmy.

Amazonki, na nowo w komplecie, także jak najszybciej chciały wrócić do domu - trudno było im wytrzymać z dala od ich ukochanego lasu deszczowego - ale też zbierały się do wyjazdu z o wiele większą niechęcią niż niektórzy inni goście.

- Musisz nas odwiedzić z małą - powiedziała Zafrina. - Obiecay mi, że nie zapomnisz!

Nessie przycisnęła mi rączkę do szyi, dołączając się do tych próśb.

- Oczywiście - zgodziłam się.

- Zobaczysz, Nessie, będziemy najlepszymi przyjaciółkami! - zadeklarowała duża kobieta, zanim odeszła ze swoimi siostrami.

Po Amazonkach przyszła kolej na Irlandczyków.

- Dobra robota, Siobhan - skomplementował ją Carlisle, kiedy się żegnaliśmy.

- Ach, ta moc poboznych żyćzeń - skwitowała z sarkazmem, wywracając oczami. Ale potem nagle spoważniała. - Rzecz jasna, to jeszcze nie koniec. Volturi nie przebaczą nam tak łatwo tego, co się tu wydarzyło.

Odpowiedział jej Edward.

- Byli wstrząśnięci, ich pewność siebie legła w gruzach. Ale masz rację, nie da się ukryć, że prędzej czy później dojdą po tym do siebie. A wtedy... - Zacinając usta. - Podejrzewam, że spróbują zaskoczyć każdego z nas z osobna.

- Alice ostrzeże nas, jeśli coś postanowią - oświadczyła Siobhan pewnie - i znowu się zbierzemy. Być może nadejdzie czas, że nasz świat będzie gotowy uwolnić się od Volturi raz na zawsze.

- Być może - przyznał Carlisle. - A jeśli do tego dojdzie, zmierzmy się z nimi razem.

- Właśnie tak - poparała go Siobhan. - Wszyscy razem. Jak moglibyśmy przegrać, skoro miałabym inne plany?

Zaśmiała się perłście.

- W samej rzeczy - powiedział Carlisle. Objęli się, po czym doktor uściślał rękę Liama. - Spróbujcie odnaleźć Alistaira i opowiedzieć mu, jak to się wszystko potoczyło. Nie chciałbym, żeby następne dziesięć lat spędził, chowając się pod jakimś murem.

Siobhan znowu się zaśmiała. Maggie utuliła mnie i Nessie, i odeszli.

Denalczycy rozstali się z nami jako ostatni. Tanya i Kate nie były za bardzo w nastroju do świętowania - zamierzały w spokoju oplakiwać siostrę. Na Alaskę wyjechał też nimi Garrett. Byłam pewna, że już się od nich nie odłączy.

Dwójką przybyśków, która z nami została, byli Huilen i Nahuel, chociaż spodziewałam się, że zabiorą się z Amazonkami. Zafascynowany ich historią Carlisle siedział teraz pogrążony z Huilen w głębokiej rozmowie, podczas gdy Nahuel im się przyśluuchiwał, a Edward wyjaśniał reszcie rodziny, co przegapili, nie wiedząc o moich nowych umiejtnościach.

- Alice dostarczyła Aro wyświadczone narady trójki przywódców za sprawą Aleca ofiary są nieprzytomne. Dzięki temu, kiedy zapadnie wyrok nikt nie może uciec. A my tymczasem staliśmy dumnie, było nas więcej od nich i mieliśmy w swoich szeregach osoby wybitnie uzdolnione, podczas gdy w zetknięciu z tarczą Belli dary ich geniuszy na nie się nie zdawały. W dodatku Aro zdawał sobie sprawę, że jeśli wyda rozkaz do ataku, Zafrina z miejsca oślepi jego żołnierzy. Jestem pewien, że wielu z nas zginiłoby w tej bitwie, ale oni z kolei byli pewni, że i wielu z nich pożegnałoby się z życiem. Istniało nawet spore prawdopodobieństwo, że przegramy. Nigdy wcześniej nie znajdowali się w takiej sytuacji. I najwyraźniej ich przerosła.

- Trudno o pewność siebie, kiedy jest się otoczonym przez stado wilków wielkości koni - zdrwił Emmett, dając Jake'owi sółkę w bok.

Jacob wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu.

- Przede wszystkim, gdyby nie wilki, toby się w ogóle nie zatrzy mali - podkreśliłam.

- Właśnie - zgodził się ze mną.

- Co do tego, nie ma wątpliwości - przyznał Edward. - To kolejna rzecz, z którą nigdy wcześniej się nie zetknęli. Prawdziwe Dzieci Księżyca bardzo rzadko tworzą sfery i nigdy tak do końca się nie kontrolują. Szczęście basiorów

wmaszerowujących na polanę w szyku bojowym - na taką niespodziankę Volturi nie byli przygotowani. Kajusz strasznie się zresztą boi wilkołaków. Kilka tysięcy lat temu nieomal przegrał z nimi bitwę i do dzisiaj nie może się z tego otrząsnąć.

- Więc istnieje jednak coś takiego jak prawdziwe wilkołaki? - spytałam. - Te od pełni księżyca i srebrnych nabo?

Jacob prychnął.

- Prawdziwe. To co ja jestem, wymyślony?

- Wiesz, co mam na myśli.

- To z pełnią to prawda - zdradził Edward. - Ale srebrne naboje to tylko kolejny z tych mitów, który mi ludzkość usiłowała dodać sobie animusza. Niewiele ich chodzi jeszcze po ziemi. Kajusz tak zaciekle zwałcał je przy pomocy swoich sług, że prawie wyginęły.

- I nigdy mi o nich nie wspominałeś, bo...

- ... bo jakoś nigdy nie było okazji.

Wywróciłam oczami, a Alice parsknęła śmiechem i pochyliła się do przodu (Edward obejmował ją drugim ramieniem), żeby do mnie mrugnąć.

Spojrzałam na nią spode łba.

Jasne, kochałam ją do szaleństwa. Ale teraz, kiedy już dotarło do mnie, że nareszcie jest w domu, a jej dezercja była tylko intrgą, bo Edward musiał uwierzyć, że opuściła nas na dobre, zaczynałam odczuwać coraz większą irytację. Była mi winna wyjaśnienia.

Westchnęła.

- No, Bello, wyrzuć to z siebie.

- Jak mogłaś mi to zrobić?

- To było konieczne.

- Konieczne! - wybuchnęłam. - Przez ciebie uwierzyłam, że wszyscy mamy zginąć! Przez te kilka tygodni byłam na skraju wytrzymałości psychicznej!

- Mogło się to skończyć i w ten sposób - zauważyła ze spokojem - więc lepiej było takto zalać, żebyś z wczasu odesłała Nessie.

Odruchowo przytuliłam małą mocniej do siebie - spała mi na kolanach.

- Ale wiedziałaś, że to nie jedyna możliwość - zarzuciłam Alice. - Wiedziałaś, że jest nadzieja. Nigdy nie przyszło ci do głowy, żeby po prostu mnie we wszystko wtajemniczyć? Wiem, że Edward musiał myśleć, że nie mamy szans ze względu na Aro, ale mi mogłaś przecież powiedzieć prawdę.

Zamyślała się na moment.

- Nie sądzę - stwierdziła. - Nie jesteś aż taką dobrą aktorką.

- Więc to przez mój brak zdolności aktorskich?

- Och, już tak nie piszcz, Bello. Czy ty w ogóle masz pojęcie, jak trudno mi było wcielić ten plan w życie? Nie miałam nawet pewności, że ktoś taki jak Nahuel istnieje. Wiedziałam tylko tyle, że mam rozglądać się za czymś, czego nie widziałam! Wyobraź sobie, że szalasz czegoś takiego - to nie takie łatwe. Do tego, jakbyś się nie dość spieszyła, mieliśmy jeszcze za zadanie wysłać do was kluczowych świadków. A ja musiałam mieć oczy non stop szeroko otwarte na wypadek, gdybyś postanowiła przekazać mi jakieś nowe polecenia. Będiesz mi musiała kiedyś wytłumaczyć, co takiego jest w tym Rio. A na samym początku musiałam oczywiście postarać się dowiedzieć o każdym fortelu, do jakiego mogli uciec się Volturi, i zostawić wam dość wskazówek, żebyście byli przygotowani na każdą okoliczność, a miałam tylko kilka godzin na odtworzenie wszystkich opcji. No i przede wszystkim musiałam was przekonać, że naprawdę z wyrachowaniem was porzucam, bo Aro musiał być pewny, że nie krycieknie już żadnego asa w rękawie. Inaczej, Aro nie wzięłby moich wzmówek za dobrą monetę. A jeśli myślicie, że nie miałam wyrzutów sumienia...

- Już dobrze, już dobrze - przerwałam jej. - Przepraszam. Wiem, że tobie też było ciężko. Tylko tak jakakós... Och, tak okropnie za tobą tęskniłam! Nie rób mi już tego więcej.

Pokój wypełnił jej dzwiczmy śmiech. Uśmiechnęliśmy się, słysząc znowu tę niebiańską muzykę.

- Też za tobą tęskniłam, Bello. Więc przebac mi i spróbuj czerpać satysfakcję z faktu, że to ty jesteś bohaterką dnia.

Teraz już wszyscy wybuchnęli śmiechem. Zawstydzona, ukryłam twarz we włosach Nessie.

Edward zabrał się z powrotem do analizowania każdej zmiany w stosowanej strategii i układzie sił, jakich byliśmy tego dnia świadkami na polanie, i ogłosił z przekonaniem, że to moja tarcza i nie innego sprawiła, iż Volturi wycofali się z podkolanymi ogonami. Czuliłam się nieswojo, widząc, w jaki sposób inni na mnie patrzą. Nawet Edward. Jakbym urosła w ich oczach o trzydzieści metrów. Staralam się ignorować ich pełne podziwu spojrzenia, skupiając się głównie na twarzy czuającej Nessie i Jacobie, który jako jedyny odnosił się do mnie tak samo, jak zwykłe. Dla niego już zawsze miałam być tylko Bella i przynosiło mi to ulgę.

Spojrzenie, które najtrudniej przychodziło mi tolerować, stanowiło również dla mnie największą zagadkę.

Rozumiałabym, gdyby pół człowiek pół wampir Nahuel miał już o mnie wyrobione zdanie i mój wyczyn był dla niego szokiem. Ale przecież mnie nie znał. Mogło mu się zdawać, że dzień w dzień odpieram swoją tarczą ataki groźnych wampirów i w tym, czego dokonałam na polanie, nie było w gruncie rzeczy nic szczególnego. A mimo to nie odrywał ode mnie oczu. A może od Nessie, ale to też mi się nie podobało.

Musiał sobie uzmysławiać, że mała była jedyną przedstawicielką jego gatunku i zarazem plci przeciwnej, z którą nie łączyły go więzy pokrewieństwa.

Do Jacoba, jak przypuszczałam, jeszcze to nie dotarło i miałam nadzieję, że jeszcze długo nie dotrze. Jeśli o mnie chodziło, miałam dość wszelkich konfliktów na długi czas.

Kiedy Edward odpowiedział już na wszystkie nasuwające się innym pytania, nasza dyskusja przeniósł się w kilka równoległe prowadzonych rozmów. Czuliłam się dziwnie wyczerpana. Rzecz jasna, nie senna, ale tak jakbym miała za sobą dostatecznie długi dzień. Potrzebowałam odrobiny spokoju, odrobiny normalności. Chciałam, żeby Nessie znalazła się w swoim własnym łóżeczku. Chciałam, żeby otaczały mnie już ścianami mojego własnego domu.

Zerknęłam na Edwarda i przez ulamek sekundy miałam wrażenie, że i ja potrafie czytać w myślach. Widziałam, że czuł dokładnie to samo, co ja. Że też marzył o odrobinie spokoju.

- Może powinniśmy położyć Nessie?...

- Tak, to dobry pomysł - zgodził się od razu. - Chyba nie wyspała się za dobrze zeszłej nocy przy tym całym chrapaniu.

Uśmiechnęłam się do Jacoba.

Mój przyjaciel wznosił oczy ku niebu. Ziewnął.

- Nie ma co, trochę czasu już minęło, odkad ostatni raz spałem w łóżku. Założę się, że ojciec będzie wniebowzięty, kiedy zwałę mu się na głowę.

Dotknęłam jego policzka.

- Dziękuję.

- Do usług. Ale ty już o tym dobrze wiesz - Wstał, przeciągnął się, pocałował w czubek głowy Nessie, a potem mnie, a na koniec klepnął Edwarda po przyjacielsku w ramię. - Do zobaczenia jutro. Chyba będzie od teraz strasznie nudno, prawda?

- Mam taką ogromną nadzieję - powiedział Edward.

Kiedy wyszedł, i my się podnieśliśmy - ja jak najostrożniej, żeby mała się nie obudziła. Byłam wdzięczna losowi, że śpi tak smacznie. Taki ciężar spoczywał jeszcze kilka godzin wcześniej na tych drobnych ramionkach! Najwyższy czas, by mogła być znowu dzieckiem - hołubionym i bezpiecznym. Przed sobą miała jeszcze kilka lat dzieciństwa.

Rozmyślanie o spokoju i bezpieczeństwie przypominało mi o kimś, komu tych dwóch rzeczy bardzo było trzeba. Przy stanęłam przy kanapie.

- Ach, jeszcze coś Jasper?

- Tak, Bello?

Siedział wciąsnęty pomiędzy Alice a Esme, nareszcie nie trzymając się aż tak bardzo na uboczu.

- Tak pytam, z ciekawości - dlaczego J. Jenks sztywnieje na sam dźwięk twojego imienia, co?

Jasper zachichotał.

- Cóż, wiem po prostu z doświadczenia, że niektórzy chętniej się zastraszy niż przekupić.

Ściągnęłam brwi. Obiecałam sobie w duchu, że od tego momentu to ja stanę się pośrednikiem pomiędzy Cullenami a Dżejem. Z Jasperem za partnera w interesach jak nic już niedługo by dostał zawału.

Wyściskami i wycałowani, zyczyliśmy naszym bliskim dobrej nocy. Tylko Nahuel znowu zachował się dziwnie - odprowadzał nas wzrokiem z takim wyrazem twarzy, jakby chciał do nas dołączyć.

Przeprawiliśmy się przez rzekę, ruszyliśmy przez las w niemalże ludzkim tempie, donikąd nie spiesząc i trzymając się za ręce. Miałam po dziurki w nosie życia z poczuciem, że zbliża się jakiś niezwykle ważny termin. Chciałam rozkoszować się każdą chwilą. Edward musiał czuć to samo.

- Muszę przyznać, że Jacob mi dzisiaj zaimponował - odezwał się.

- Tak, te wszystkie wilki to było coś.

- Nie o to mi chodzi. Ani razu nie pomyślał dzisiaj o tym, że według Nahuela, Nessie już za sześć i pół roku będzie młodą kobietą.

Zastanawiałam się nad tym przez moment.

- Nie patrzy na nią w ten sposób. Wcale mu nie zależy, żeby szybko dojrzała. Chce tylko, żeby była szczęśliwa.

- Wiem. I tak, jak powiedziałam, to mi imponuje. Wiem, że nie powinienem tego mówić, ale mogła gorzej trafić.

Zmarszczyłam czoło.

- O tym to ja zaczęłam myśleć za te sześć i pół roku.

Edward zaśmiał się, a potem westchnął.

- Wygląda na to, że jak dojdzie co do czego, biedak będzie miał konkurencję.

Bruzdy na moim czole się pogłębiły.

- Zauważyłam. Jestem wdzięczna Nahuelowi za to, co dla nas zrobił, ale to całe gapienie się mógłby sobie darować. Mam gdzieś, że jest jedyną półwampirzycą, z którą nie jest spokrewniony.

- Och, on wcale nie gapił się na nią - tylko na ciebie. Tak też mi się wydawało... ale to nie miało sensu.

- Po co miałby mi się przyglądać?

- Bo żyjesz - odparł cicho.

- Nic nie rozumiem.

- Całe swoje życie - wyjaśnił - a jest pięćdziesiąt lat starszy ode mnie...

- Niedołężny staruch - wtrąciłam.

Puścił tę uwagę mimo uszu.

- Zawsze uważał siebie za coś w rodzaju wcielenia zła, za mordercę z natury. Jego siostry także zabiły swoje matki, ale wcale się tym nie przejmowały - Joham wychował je w przekonaniu, że ludzie to zwierzęta, a one same to boginie. Ale Nahuelem opiekowała się Huilen, a Huilen kochała swoją siostrę bardziej niż kogokolwiek na świecie. To go ulształowało. Poniekąd, szczerze siebie nienawdził.

- To okropne - szepnęłam.

- Ale potem zobaczyłam naszą trójkę - i uświadomiłam sobie, że bycie w połowie nieśmiertelnym wcale nie oznacza, że jest się automatem czy potworem. Patrzy na mnie i widzi... że mógł mieć takiego ojca.

- Nie zaprzeczę - zgodziłam się. - Jesteś ideałem pod każdym względem.

Prychnął, ale zaraz na powrót spowaźniał.

- Patrzy na ciebie i widzi, jakie życie mogła wieść jego matka.

- Biedny Nahuel - mruknęłam, a potem westchnęłam, bo wiedziałam już, że nie będę w stanie myśleć o nim źle, niezależnie od tego, jak bardzo będzie mnie kępował, świdrując mnie wzrokiem.

- Nie musisz go żalować. Jest teraz szczęśliwy. Dzisiaj zaczął wreszcie sobie przebaczać.

Podniósł mnie tym na duchu. Pomyślałam, że mimo wszystko mieliśmy za sobą dzień wypełniony szczęśliwymi i zdarzeniami. Chociaż tragiczna śmierć Iriny rzucała na niego cień, nie dało się zaprzeczyć, że nad innymi uczuciami górowała radość. Życie, o które tyle walczyłam, po raz kolejny zostało uratowane. Moja rodzina była znowu w komplecie. Moja córeczka miała przed sobą świetlaną przyszłość rozciągającą się przed nią aż po horyzont. Nazajutrz zamierzałam odwiedzić ojca, który widząc, że strach w moich oczach zastąpiła wesołość, sam też miał odzyskać spokój. Nagle dotarło do mnie, że nie zastanę go w domu samego. Przez ostatnie tygodnie byłam zbyt zajęta, żeby to dostrzec, ale teraz nie miałam wątpliwości, że Sue i Charlie są parą. Poczulałam się tak, jakbym właściwie od zawsze wiedziała, że tak to się skończy - że matka wilkołaków zwiąże się z ojcem wampirzycy. Nareszcie nie miał być sam. Uśmiechnęłam się, uradowana swoim odkryciem.

Ale najważniejszym zdarzeniem w tej powodzi szczęścia było to, czego byłam najbardziej pewna: że zostanę z Edwardem na zawsze.

Za nic nie chciałybyśmy raz jeszcze przejść przez to, co przeżyłam w ciągu minionych tygodni, ale musiałam przyznać, że dzięki nim doceniałam to, co mam, jeszcze bardziej niż przedtem.

Nasz kamienny domek był oazą spokoju wśród srebrno - błękitnej nocy. Zanieśliśmy Nessie do łóżeczka i starannie opatuliliśmy ją kołderką. Uśmiechnęłam się przez sen.

Zdjęłam sobie podarek Aro z szyi i rzuciłam go w kąt jej pokoju. Jeśliby chciała, mogłaby się nim bawić - lubiła błyskotki.

Przeszliśmy wolnym krokiem do sypialni. Między nami kołysały się nasze splecione ręce.

- Będziemy świętować całą noc - mruknął Edward, biorąc mnie pod brodę, żeby przyciągnąć moje usta do swoich.

- Czekaj - zawahalam się, odsuwając się od niego. Spojrzał na mnie zdezorientowany. Zazwyczaj w takich chwilach nie protestowałam. Okej, cofam „zazwyczaj” - to był pierwszy raz.

- Chcę coś najpierw wypróbować - wyjaśniłam z niepewnym uśmiechem.

Przypatrywał się mi zaskoczony.

Przyłożyłam mu dłoń do policzków i żeby się skupić, zamknęłam oczy.

Nie wychodziło mi to za dobrze, kiedy starała się mnie tego nauczyć Zafrina, ale teraz znalazłam swoją tarczę o wiele lepiej niż wtedy. Rozumiałam już, że miałam kłopoty z oderwaniem jej od siebie, bo bronił się przed tym mój instynkt samozachowawczy.

W porównaniu z chronieniem tarcz innych czy było to dla mnie nadal niezwykle trudne. Okrywająca mnie błona stawiała zaciekłe opór. By odepchnąć ją od siebie, musiałam użyć całej swej siły i woli.

- Bello! - wyszeptał zszokowany Edward.

Dał mi tym samym znać, że moja sztuczka działa, więc skoncentrowałam się jeszcze bardziej, przywołując wspomnienia specjalnie wybrane na tę okazję. Pozwiliłam im zalać swój umysł, mając nadzieję, że zalewają jednocześnie umysł Edwarda.

Niektóre z nich nie były zbyt wyraźne - pochodziły z czasów, kiedy byłam jeszcze człowiekiem, zarejestrowałam je więc nędznie ludzkimi zmysłami: pierwszy raz, kiedy zobaczyłam jego twarz... to, jak się czułam, kiedy trzymałam mnie w ramionach na łące... jego głos dochodzący do mnie z mroku po tym, jak zaatakował mnie James... jego twarz, kiedy czekał na mnie pod girlandami kwiatów, żeby pojąć mnie za żonę... każda droga mojemu sercu chwila z naszego pobytu na wyspie... jego chłodne dłonie dotykające przez skórę mojego brzucha naszego dziecka...

A potem przyszła kolej na wspomnienia wyraziste, na sceny i obrazy zapamiętane w najdrobniejszych szczegółach: jego twarz, kiedy zbudziłam się do nowego życia o świecie niekończącego się dnia swojej nieśmiertelności... tamten pierwszy pocałunek... tamta pierwsza noc...

Jego wargi napały zniecałka na moje, gwałtownie mnie rozpraszając.

Z cichym jękiem straciłam panowanie nad odpychanym poza siebie ciężarem. Wrócił błyskawicznie na swoje stare miejsce, na powrót przesłaniając moje myśli.

- Ech - westchnęłam. - A już mi się udawało!

- Słyszałem cię - wykrztusił. - Ale jakim cudem? Jak to zrobiłaś?

- To pomyśl Zafriny. Ćwiczyłam to z nią parę razy.

Był oszołomiony. Zamrugał dwukrotnie i pokręcił głową.

- Teraz już wiesz - powiedziałam ze swobodą, wzruszając ramionami. - Nikt nigdy nie kochał nikogo tak bardzo, jak ja kocham ciebie.

- Masz prawie rację. - Uśmiechnął się, nadal powoli dochodząc do siebie. - Wiem tylko o jednym wyjątku.

- Klamca.

Znowu zaczął mnie całować, ale nagle przestał.

- Udaloby ci się to zrobić jeszcze raz? - spytał zafascynowany.

Skrzywiłam się.

- To bardzo trudne.

Nie odstępiał. Patrzył na mnie wyczekująco.

- Ale ostrzegam, że nic, ale to nic, nie może mnie rozpraszać!

- Będę grzeczny - przyrzekł.

Zacisnęłam usta i ściągnęłam brwi. Ale potem się uśmiechnęłam.

Ponownie przyłożyłam mu dłoń do policzków, odepchnęłam od siebie tarczę i zaczęłam pokazywać tam, gdzie go przerwałam - wyświetliłam Edwardowi naszą pierwszą noc po mojej przemianie... ze szczególnym naciskiem na co ciekawsze szczegóły.

Kiedy moje wieki znowu przerwał jego namięty pocałunek parsknęłam śmiechem.

- A niech cię - warknął, przesuwając łapczywie wargami wzdłuż krawędzi mojej żuchwy.

- Mamymasę czasu, żeby nad tym popracować - przypomniałam mu.

- Całą wieczność - mruknął.

- Hm, to mi pasuje.

A potem zajęliśmy się już rozkosznym przeżywaniem tego drobnego, acz idealnego fragmentu naszej wspólnej wieczności.

Amazonia

Kaehiri
Senna
Zafrina*

Denali

Eleazar* - Carmen
Irina - Lauront
Kate*
Saha
Tanya
Vuolii

Egipt

Amun - Kebi
Benjamin* - Tia

Irlandia

Maggie*
Siobhan* - Liam

Półwysep Olympic

Carlisle - Esme
Edward* - Bella*
Jasper* - Alice*
Renesmee*
Rosalie - Emmett

Volturi

Aro* - Sulpicia
Kajusz - Athenodora
Marek - Didymo*

Straż przyboczna Volturi *(wybór)*

Alec*
Chelsea* - Afion*
Corin*
Demetri*
Felix Heidi*
Jane*
Renata*
Santiago

Nomadzi amerykańscy *(wybór)*

Garrett
Jamoo* - Vitorio*
Mary
Peter - Charlotte
Randall

Nomadzi europejscy *(wybór)*

Alistair*
Charles* - Makenna

Rumunia

Stefan
Vladimir

* wampir obdarzony dodatkowymi nadprzyrodzonymi zdolnościami
- pary

Podziękowania

Jak zwykle jestem niezmiernie wdzięczna następującym osobom:

Mojej wspaniałej rodzinie za wsparcie i miłość, której nie da się porównać z żadną inną.

Mojej utalentowanej i nieustrudzonej asystentce do spraw public relations Elizabeth Eulberg za stworzenie STEPHENIE MEYER z surowej gliny, która była niegdyś tylko zwykłą szarą myszką o imieniu Steph.

Całemu zespołowi w Little, Brown Books for Young Readers za pięć lat entuzjazmu, wiary, wsparcia i niezwykle ciężkiej pracy.

Wszystkim twórcom i administratorom stron internetowych poświęconych cyklowi „Zmierzch”: jesteście naprawdę *cool*.

Moim kochanym fanom, którzy mają wyjątkowo dobry gust, jeśli idzie o literaturę, muzykę i kino, za to, że uwielbiają mnie bardziej, niż na to zasługuję.

Księgarzom, którzy polecali klientom moje książki, bo to dzięki nim cała seria to bestsellery. Wszyscy pisarze mają wobec was dług wdzięczności za to, z jaką pasją promujecie literaturę.

Niezliczonym zespołom i muzykom, którzy motywowali mnie do pracy. Czy wspominałam już Muse? Tak? Naprawdę? Jaka szkoda. Muse, Muse, Muse...

A teraz osoby, którym jeszcze nigdy nie dziękowałam:

Najlepsze mu nieistniejącemu zespołowi na świecie - Nic and the Jens z gościnnym udziałem Shelly C. (Nicole Driggs, Jennifer Hancock, Jennifer Longman i Shelly Colvin) - za to, że wzięłyście mnie pod swoje skrzydła. Bez was nie ruszałabym się z domu.

Moim przyjaciółkom na odległość, które uchroniły mnie przed szaleństwem: Cool Meghan Hibbett oraz Kimberly „Shazzer” Suchy.

Shannon Hale za bezgraniczną wyrozumiałość i dbanie o moje wisielcze poczucie humoru.

Makennie Jewell Lewis za zgodę na użycie jej imienia i jej mamie, Heather, za wspieranie Arizona Ballet.

I na koniec nowo odkrytym przeze mnie zespołom, których piosenki trafiają na moją prywatną listę „przebojów, przy których łatwiej się pisać”: Interpol, Motion City Soundtrack oraz Spoon.